



PAOLO
BACIGALUPI

NAKREĆANA
DZIEWCZYNA

NAKREĆCANA DZIEWCZYNA

Paolo Bacigalupi

Przetłumaczył
Wojciech M. Próchniewicz

Wydawnictwo MAG
Warszawa 2013

Tytuł oryginału The Windup Girl
Copyright © 2009 by Paolo Bacigalupi
Copyright © for the Polish translation ©
2011 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Joanna Figlewska
Korekta: Urszula Okrzeja
Ilustracja oraz opracowanie graficzne
okładki: Tomasz Maroński
Projekt typograficzny: Tomek Lisań Fruń

Wydanie II
ISBN 978-83-7480-264-2

Wydawca: Wydawnictwo MAG
ul. Krypska 21 m.63, 04-082 Warszawa
tel: 691962519
e-mail: kurz@mag.com.pl
www.mag.com.pl
Wyłączny dystrybutor. Firma Księgarska
Olesiejuk
spółka z.o.o. S.K.A.
www.olesiejuk.pl

opracowanie wersji elektronicznej: eLJot

Dla Anjuli

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Dedykacja

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

X

XI

XII

XIII

XIV

XV

XVI

XVII

XVIII

XIX

XX

XXI

XXII

XXIII

XXIV

XXV

XXVI

XXVII

XXVIII
XXIX
XXX
XXXI
XXXII
XXXIII
XXXIV
XXXV
XXXVI
XXXVII
XXXVIII
XXXIX
XL
XLI
XLII
XLIII
XLIV
XLV
XLVI
XLVII
XLVIII
XLIX
L
Epilog

Podziękowania

I

— Nie, nie mangustan. — Anderson Lake nachyla się i pokazuje. — Poproszę ten tutaj. *Kaw pollamai nee khap*.

Czerwona skórka i zielone włoski. Wieśniaczka uśmiecha się, obnażając poczerwiałe od żucia betelu zęby i wskazuje pryzmę owoców za plecami.

— *Un nee chai mai kha?*

— Tak. To. *Khap*. - Anderson kiwa głową i zmusza się do uśmiechu. — Jak to się nazywa?

— *Ngoh*. - Wymawia to słowo starannie, dla cudzoziemca, i wręcza mu jeden okaz.

Anderson bierze owoc, marszcząc czoło.

— To coś nowego?

— *Kha*. - Kobieta potwierdza, kiwnąwszy głową.

Anderson obraca owoc w dłoni, przyglądając mu się. Bardziej niż owoc przypomina morski ukwiał lub rozdymkę. Ze wszystkich stron sterczą łaskoczące go w dłoń szorstkie zielone macki. Skórka ma rdzawoczerwoną barwę rdzy pęcherzowej, ale w zapachu nie wyczuwa się ani śladu zepsucia. Mimo wyglądu, wydaje się zupełnie zdrowy.

— *Ngoh* - powtarza chłopka, a potem, jakby czytając mu w myślach: — Nowy. Nie ma rdzy.

Anderson kiwa z roztargnieniem głową. Targ *soi* wokół kłębi się od mieszkańców Bangkoku na zakupach. Przejście wypełniają cuchnące pryzmy durianów i wiaderka z wodą, w których chlupocą ryby żmijogłowe i tajskie makrele. Nad nimi płachty polimeru z oleju palmowego obwisają od żaru zwrotnikowego słońca, rzucając na targ cienie ręcznie

malowanych kliprów kompanii handlowych i twarze uwielbianej Małej Królowej. Przepycha się człowiek niosący wysoko nad głową kury o cynobrowych grzebieniach, trzepoczące i skrzeczące z oburzenia w drodze do rzeźni, a kobiety w jaskrawych *pha sin* targują się i uśmiechają do sprzedawców, zbijając ceny pirackiego ryżu U-*Tex* i nowych odmian pomidorów.

Andersona nic z tego nie rusza.

— *Ngoh* - powtarza jeszcze raz wieśniaczka, szukając kontaktu.

Długie włoski owocu łaskoczą go w dłoń, pobudzając do rozmyślań o jego pochodzeniu. Kolejny sukces tajskich genhakerów, po pomidorach, bakłażanach i papryczkach, od których uginają się sąsiednie stragany. Całkiem jakby zaczynały się spełniać prorocтва grahamickiej Biblii. Jakby święty Francis we własnej osobie kręcił się niespokojnie w grobie, przygotowując się do powtórnego przyjścia, objuczony ciężarem zatraconych w historii kalorii.

„I przybędzie w dźwięku trąb i powróci Eden...”.

Anderson obraca dziwny włochaty owoc w dłoni. Ani śladu smrodu cibiskozy. Ani jednej blizny od rdzy pęcherzowej, ani graffiti, jakie rysuje na skórcie genhakowany ryjkowiec. Ma w głowie cały atlas kwiatów, owoców i warzyw świata, a jednak nie widzi żadnej wskazówki, która pomogłaby mu go rozpoznać.

Ngoh. Tajemnica.

Na migi pokazuje, że chciałby spróbować, i chłopka zabiera mu owoc. Brązowym kciukiem gładko oddziera włochatą skórę, ukazując blady miąższ. Półprzejrzysty, żyłkowany, najbardziej kojarzy się z marynowanymi szalotkami serwowanymi w martini w klubach dla naukowców w Des Moines.

Oddaje mu go. Anderson wacha ostrożnie. Zaciąga się kwiatową słodyczą. *Ngoh*. Nie powinien istnieć. Wczoraj jeszcze nie istniał. Wczoraj nie sprzedawał ich ani jeden stragan w całym Bangkoku, a dzisiaj piętrzą się piramidkami wokół tej siedzącej na ziemi w cieniu plandeki niedomytej kobiety. Z jej szyi mruga do niego lśniący złoty amulet z męczennikiem Phra Seubem, talizman chroniący przed zsyłanymi przez firmy kaloryczne rolniczymi plagami.

Ubolewa, że nie może obserwować tego owocu w jego naturalnym środowisku, wiszącego na drzewie, albo kryjącego się pod liśćmi jakiegoś krzaka. Mając odrobinę więcej informacji, mógłby odgadnąć rodzaj i rodzinę, wpaść na jakiś trop genetycznej przeszłości, którą próbuje ekshumować Królestwo Tajlandii, nie ma jednak żadnych więcej wskazówek. Wsuwa do ust śliską, półprzejrzystą bryłkę *ngoh*.

Atak smaku, uderzenie cukru i płodności. Kwiatowa bomba oblepia mu język. Całkiem jakby wrócił na pola MegaPlonu w Iowa, kiedy dostał pierwszą w życiu, maleńką landrynkę od agronoma z Midwest Compact, będąc jeszcze tylko bosym chłopakiem ze wsi między łodygami kukurydzy. Ten wstrząsający atak smaku — prawdziwego smaku — po wypranym z niego całym życiu.

Z nieba leje się żar. Kupujący przepychają się i targują, ale jego nic nie rusza. Obraca *ngoh* w ustach, z zamkniętymi oczyma, smakując przeszłość, rozkoszując się czasami obfitującymi w takie owoce, zanim krajobraz spustoszyła cibiskoza i japoński genhakowany ryjkowiec, rdza pęcherzowa i świerzbopieśń.

Stapia się z rajem — pod słonecznym młotem, wśród stękających bawołów i krzyków umierających kur. Gdyby był grahamitą, padłby na kolana i w ekstazie dziękował za przedsmak powrotu Edenu.

Z uśmiechem wypływa czarną pestkę na dłoń. Czytywał dzienniki botaników i odkrywców, kobiet i mężczyzn, którzy przemierzali najgłębsze ostępy dżungli w poszukiwaniu nowych gatunków — ich odkrycia nie dają się jednak porównać z tym jednym owocem.

Ponieważ ci wszyscy ludzie pragnęli odkryć. On zaś znalazł odrodzenie.

Wieśniaczka rozpromienia się, już pewna, że ma klienta.

— *Ao gee kilo kha?* Ile?

— Zdrowe są? — pyta Anderson.

Kobieta wskazuje na rozłożone obok na kamieniach świadectwa Ministerstwa Środowiska, podkreślając palcem daty kontroli.

— Najnowsza odmiana — mówi. — Najlepszy gatunek.

Anderson przygląda się połyskującym pieczęciom. Najprawdopodobniej białe koszule przybiły je za łapówkę, nie przeprowadzając pełnej kontroli, która zapewniłaby, że produkty są odporne na rdzę pęcherzową ósmej generacji oraz cibiskożę 111.mut.7 i mut.8. Cynik w głębi duszy podpowiada, że właściwie to bez znaczenia. Misterne, lśniące w słońcu stemple nie mają rzeczywistej funkcji, są raczej talizmanami — pozwalają ludziom czuć się bezpiecznie w niebezpiecznym świecie. W istocie, jeśli cibiskoza wybuchnie znowu, zdadzą się na nic. To będzie nowa odmiana, wszystkie stare badania staną się bezwartościowe, a ludzie znów zaczną modlić się do amuletów Phra Seuba, podobizn króla Ramy XII, składać ofiary w świątyni Lak Mueang, a potem wszyscy wykaszlą płuca, obojętne ile pieczętek Ministerstwa Środowiska będzie przyozdabiało ich żywność.

Anderson chowa pestkę *ngoh* do kieszeni.

— Poproszę kilo. Albo nie, dwa. *Song*.

Podaje jej konopny worek. Nie chce mu się targować. Ile zażąda, to i tak za mało. Cuda są na wagę złota. Unikatowy gen dający odporność na kaloryczne epidemie albo pozwalający efektywniej wykorzystywać azot sprawia, że zyski rosną niebotycznie. Jeśli rozejrzy się teraz po targu, zobaczy tę prawdę na każdym straganie. W uliczce kłębią się Tajowie kupujący wszystko, od genhakowanych odmian ryżu U-*Tex*, po cynobrowe kury. Ale wszystko to stare wynalazki, oparte na osiągnięciach genetycznych AgriGenu, PurCala i Total Nutrient Holdings sprzed lat. Owoce dawnej nauki, wytworzone gdzieś w bebechach laboratoriów naukowych Midwest Compact.

A *ngoh* to co innego. *Ngoh* nie pochodzi ze Środkowego Zachodu. Królestwo Tajów jest sprytne, nie to co reszta. I kwitnie, a inne kraje, jak Indie, Birma i Wietnam, padają jak kostki domina, głodując i żebrząc u kalorycznych monopolistów o ich naukowe osiągnięcia.

Parę osób przystaje, żeby zerknąć na nabytki Andersona, ale rezygnuje, widząc cenę, która jemu wydała się niska.

Kobieta podaje mu *ngoh*, a Anderson omal nie wybucha śmiechem z rozkoszy. Ani jeden z tych kudłatych owoców nie powinien istnieć; równie dobrze mógłby nieść worek pełen trylobitów. Jeśli dobrze domyśla się jego pochodzenia, powrót *ngoh* z niebytu jest równie szokujący, jak byłby przechadzający się po Thanon Sukhumvit tyranozaur. Ale przecież to samo dotyczy wypełniających targ ziemniaków, pomidorów i papryczek, piętrzących się we wspaniałej obfitości, czy skrzynki innych dorodnych, niewidzianych od lat psiankowatych. W tym tonącym mieście chyba wszystko jest możliwe. Owoce i warzywa powstają z martwych, w alejach kwitną wymarłe kwiaty, a za tym wszystkim stoi Ministerstwo Środowiska, odprawiające czary nad niefunkcjonującym od pokoleń materiałem genetycznym.

Dźwigając worek pełen owoców, przeciska się z powrotem przez *soi* i wychodzi na szeroką aleję. Wita go kłębowisko ruchu, ludzie jadący do pracy przelewają się przez aleję Thanona Ramy LX jak wezbrany Mekong. Rowery, riksze rowerowe, niebieskoczarne bawoły i człapiące, ogromne megodonty.

Na widok Andersona Lao Gu wyłania się z cienia walącego się biurowca, starannie odłamując żarzący się koniuszek papierosa. Znowu te psiankowate. Są wszędzie. Nie ma ich nigdzie na świecie, a tu pienia się aż miło. Resztę Lao Gu wtyka do wystrzępionej kieszeni koszuli i truchta przed Andersonem do rikszy.

Stary Chińczyk wygląda jak strach na wróble, ubrany w łańchmany, ale i tak mu się poszczęściło. Żyje, a większość jego rodaków zginęła. Ma pracę, a inni uchodźcy z Malezji tłoczą się jak hodowlane kurczaki w upalnych wieżowcach z czasów Ekspansji. Lao Gu ma na kościach żylaste mięśnie i dość pieniędzy, by pozwolić sobie na papierosy Singha. Według reszty żółtych kart, żyje sobie jak król.

Siada okrakiem na siodelku rikszy i cierpliwie czeka, aż Anderson wgramoli się na fotel pasażera.

— Do firmy — wydaje polecenie. — *Bai khap*. - Potem przechodzi na chiński: — *Zou ba*.

Staruszek staje na pedałach i włącza się do ruchu. Rowery dzwonią ze wszystkich stron, jak dzwonki odstrasające cibiskożę, zirytowane, że tamują ruch. Lao Gu nie zwraca na nie uwagi i lawiruje, wjeżdżając głębiej w potok pojazdów.

Anderson sięga po kolejnego *ngoh*, potem się powstrzymuje. Powinien je zachować. Są zbyt cenne, by się nimi opychać jak łąkome dziecko. Tajowie wymyślili jakąś nową metodę na ekshumowanie przeszłości, a jemu wystarczy nasycić się dowodami rzeczowymi. Bębni palcami po owocach w worku, z trudem się pohamowując.

Żeby zająć się czymś innym, wygrzebuje paczkę papierosów i zapala jednego. Zaciąga się tytoniem, rozkoszując się żarem, wspominając zaskoczenie, gdy odkrył, jak świetnie prosperuje Królestwo Tajlandii, jak szeroko pienia się tutaj psiankowate. Pałac, myśli o Yatesie. O jego rozczarowaniu, kiedy siedzieli naprzeciw siebie, a między nimi na nowo tliła się wskrzeszona przeszłość.

* * *

— Psiankowate.

Zapałka Yatesa rozbłysła w półmroku biura SpringLife, oświetlając jego rumianą twarz, gdy przytykał ogień do papierosa i mocno się zaciągał. Zaskwierczał ryżowy papier. Koniuszek się rozżarzył, a Yates wypuścił dym, posyłając go pod sufit, gdzie w duchocie niczym w saunie posapywały nakręcane wiatraki.

— Bakłażany. Pomidory. Papryki. Ziemniaki. Tytoń oskrzydłony; *nicotiana*. – Uniósł papierosa i poruszył brwią. — Tytoń.

Zaciągnął się raz jeszcze, mrużąc oczy od żaru. Wokół w milczeniu stały zacienione biurka i pedałowe komputery. Wieczorem, po zamknięciu fabryki, można było w zasadzie pomyśleć, że te puste blaty znamionują coś innego niż klęskę. Może po prostu pracownicy poszli do domu, żeby wypocząć przed kolejnym dniem ciężkiej pracy? Kłam temu zadawały pokryte kurzem fotele i komputery — lecz w spowijającym meble cieniem półmroku, wśród prześlizgującego się przez mahoniowe okiennice światła księżycy, można było sobie wyobrażać co by było, gdyby.

Wysoko, nakręcane wentylatory dalej powoli się kręciły, laotańskie gumowe paski rytmicznie poskrzypywały, ciągnąc się po suficie, pobierając nieustanny strumyczek energii kinetycznej z centralnych sprężyn fabryki.

— Tajowie mieli w laboratoriach trochę szczęścia — powiedział Yates — no i proszę, zjawiasz się. Gdybym był przesądny, pomyślałbym, że wyczarowali ciebie razem z tymi pomidorami. Bo każdy organizm potrzebuje drapieznika.

— Trzeba było zameldować, że robią takie postępy — odparł Anderson. — Nie tylko fabryką miałeś się zajmować.

Yates się skrzywił. Jego twarz stanowiła studium niszczącego działania tropików. Popękane naczynka spletały się na policzkach w różowe dopływy i zdobiły bulwę nosa. Wodniste niebieskie oczy zamrugały, mętne jak powietrze miasta, duszne od palonego obornika.

— Powinienem się domyślić, że wygryziesz mnie z mojej niszy.

— To nic osobistego.

— Nic, tylko moje dzieło życia. — Zaśmiał się, suchy terkot przypominający początki cibiskozy. Anderson uciekłby na ten dźwięk z pokoju, gdyby nie wiedział, że Yates, jak cały personel AgriGenu, jest uodporniony na wszystkie nowe odmiany.

— Poświęciłem wiele lat, żeby to zbudować — dodał — a ty mi mówisz, że to nic osobistego. — Machnęła ręką ku okienkom biura wychodzącym na halę fabryki. — Zrobiłem sprężyny wielkości pięści, w których mieści się gigadzul energii. Cztery razy większy stosunek energii do wagi niż w innych produktach na rynku. Mam tu rewolucję w przechowywaniu energii, która przez ciebie pójdzie do śmieci. — Nachylił się ku niemu. — Czegoś tak przenośnego nie ma od czasów benzyny.

— Tylko jeśli uda ci się je wyprodukować.

— Już jest blisko — upierał się Yates. — Tylko te kadzie z glonami. Tylko z nimi jest problem.

Anderson nie odezwał się. Yates chyba odebrał to jako zachętę.

— Sam pomysł jest bez zarzutu. Kiedy tylko kadzie zaczną produkować odpowiednią ilość...

— Powinieneś nas powiadomić, jak tylko pierwszy raz zobaczyłeś psiankowate na rynku. Tajom udaje się uprawa ziemniaków od co najmniej pięciu sezonów. Ewidentnie mają gdzieś bank nasion, a my od ciebie nic nie wiemy.

— Nie moja działka. Ja się zajmuję magazynowaniem energii. Nie hodowlą roślin.

Anderson prychnął.

— A jak zbiory się nie udadzą, to skąd weźmiesz kalorie do nakręcania twoich bajeranckich sprężyn? Rdza pęcherzowa mutuje teraz co trzy sezony. Chałupniczy genhakerzy łamią nasze projekty pszenicy TotalNutrient i SoyPro. Najnowsza odmiana kukurydzy MegaPlon daje radę ryjkomcom tylko w sześćdziesięciu procentach, a my tu słyszymy, że ty siedzisz na genetycznej kopalni złota. Ludzie głodują...

Yates się zaśmiał.

— Nie gadaj mi tu o ratowaniu życia. Widziałem, co się stało z bankiem nasion w Finlandii.

— Nie my wysadziliśmy skarbcę. Nikt nie miał pojęcia, że Finowie to tacy fanatycy.

— Każdy głupi by to przewidział. Firmy kaloryczne mają taką reputację, jaką mają.

— To nie była moja operacja.

Yates znów parsknął śmiechem.

— Tak się zawsze można wytłumaczyć, nie? Firma gdzieś wkracza, a my stoimy z boku i umywamy ręce. Udajemy, że to nie my byliśmy odpowiedzialni. Firma wycofuje SoyPro z birmańskiego rynku, a my stoimy sobie z boku, mówimy, że kontrowersje wokół własności intelektualnej to nie nasza działka. Ale ludzie głodują i tak. — Zaciągnął się dymem z

papierosa. — Naprawdę nie wiem, jak ktoś taki jak ty może spać spokojnie.

— Nic trudnego. Odmawiam paciorek do Noego i świętego Francisa i dziękuję Bogu, że ciągle jesteśmy jeden krok przed rdzą pęcherzową.

— Czyli to koniec? Zamykasz fabrykę?

— Nie. Oczywiście, że nie. Produkcja sprężyn będzie trwać dalej.

— O? — Yates nachylił się ku niemu, pełen nadziei.

Anderson wzruszył ramionami.

— Przykrywka się przyda.

* * *

Żar papierosa dociera do palców Andersona, który upuszcza go między pojazdy. Pociera sparzony kciuk i palec wskazujący, a Lao Gu pedałuje przez zakorkowane ulice. Bangkok, Miasto Bóstw, przesuwa się w tył.

Mnisi w szafranowych szatach przechadzają się chodnikami w cieniu czarnych parasoli. Dzieci biegają grupkami, rojąc się i rozpraszając, śmiejąc i pokrzykując do siebie w drodze do klasztornych szkół. Uliczni sprzedawcy wyciągają ramiona obwieszane wiankami z aksamitków, do składania w świątyniach, i unoszą błyszczące amulety z czcigodnymi mnichami, chroniące przed wszystkim, od bezpłodności po świerzbopieśń. Stragany na kółkach dymią i syczą, pachną smażonym olejem i fermentowaną rybą, a między kostkami nóg ich klientów migocą i nikną kształty cheshire'ów, pomiaukujące i czekające na resztki.

Nad głowami mającą wysokośćiowce z czasów Ekspansji, obrośnięte pnączami i pleśnią — okna dawno powybijane, wielkie kości obrane do czysta. Pozbawione klimatyzacji i wind nie nadają się do mieszkania, więc stoją i kiszą się w słońcu. Z

ich porów sączy się nielegalny dym z palonego obornika, znacząc miejsca, gdzie malajscy uchodźcy pośpiesznie pieką *ćapati* i gotują *kopi*, zanim na górę wtargną białe koszule i spuszcza im lanie za naruszanie przepisów.

Pośrodku jezdni leżą twarzą do ziemi uchodźcy z północy, z wojny o węgiel, z rękoma wyciągniętymi do góry, w uprzedzająco grzecznej pozycji żebraka. Mijają ich riksze, rowery i zaprzężone w megodonty wozy, rozstępując się jak rzeka wokół kamieni. Na nosach i ustach żebraków wyrastają kalafiorowate narośle *fa'gan*. Zęby mają czarne od betelu. Anderson sięga do kieszeni i rzuca im drobne pod stopy, nieznacznym skinieniem głowy odpowiadając na dziękczynne *wai*, i pełźnie dalej.

Krótką chwilę później ukazują się bielone ściany i uliczki cudzoziemskiej dzielnicy przemysłowej. Magazyny i fabryki stłoczone jedna przy drugiej, razem z zapachem soli i gnijących ryb. Wzdłuż uliczki rozkładają się handlarze, pod daszkami z brezentu i koców dla ochrony przed słońcem, które wali jak młotem. Tuż za nimi majaczy system zapór i śluz — to wały króla Ramy XII, powstrzymujące ciężar błękitnego oceanu.

Trudno nie być nieustająco świadomym tych wysokich wałów i ciśnienia znajdującej się za nimi wody. Trudno nie myśleć, że Miasto Bóstw to jedna wisząca na włosku katastrofa. Lecz Tajowie są uparci i wymyślili sposób, by uchronić ich szacowne Krung Thep przed zatopieniem. Napędzane węglem pompy, przymusowe roboty na wałach i głęboka wiara w wizjonerskie przywództwo dynastii Chakri jak dotąd pozwalają im opanować żywioł, który pochłonął Nowy Jork i Rangun, Mumbai i Nowy Orlean.

Lao Gu wciska się w zaułek, niecierpliwie brzęcząc dzwonkiem na tamujących ruch kulisów. Na śniadych grzbietach kołyszą się zrobione z WeatherAll skrzynie. Logotypy sprężyn skrętnych produkowanych przez Chińczyków

z Chaozhou, antybakteryjnych chwytów kierownicy Matsushita i ceramicznych filtrów do wody Bo Lok bujają się tam i z powrotem w hipnotycznym, człapiącym rytmie.

Fabryka SpringLife unosi się nad tą ciżbą, jak wysoka twierdza zwieńczona wielkimi wentylatorami, kręcącymi się powoli w wylotach na najwyższym piętrze. Po drugiej stronie *soi* stoi jej lustrzane odbicie — fabryka rowerów Chińczyków z Chaozhou, a pomiędzy nimi kłębią się narosłe jak pąkle stragany na kółkach, jakie zawsze tamują wszystkie wejścia do fabryk, sprzedając ich pracownikom przekąski i posiłki.

Lao Gu hamuje na dziedzińcu zakładu i wysadza Andersona przed wejściem na halę. Anderson gramoli się z rikszy, chwytając worek *ngoh* i przez chwilę stoi, patrząc na ośmiometrowe wrota do wpuszczania megodontów. Nazwę tej fabryki powinno się zmienić na „Kaprys Yatesa”. Straszny był z niego optymista. Anderson wciąż go słyszy, jak zachwala zalety genhakowanych glonów, jak protestuje, wygrzebując z szuflad biurka wykresy i zabazgrane kartki.

„Nie możesz z góry osądzać mojej pracy tylko dlatego, że projekt Dar Oceanu się nie udał. Produkty tych glonów, starannie obrobione, dają wykładniczy wzrost pojemności energetycznej. Zapomnijmy o ich potencjale kalorycznym. Skupmy się na zastosowaniach w przemyśle. Jeśli tylko dasz mi trochę czasu, przyniosę ci na tacy cały rynek magazynowania energii. A przynajmniej, zanim podejmiesz decyzję, wypróbuj jedną z pokazowych sprężyn...”.

Gdy wchodzi na halę, ogarnia go huk maszyn, tłumiąc ostatni rozpaczliwy okrzyk optymizmu Yatesa.

Megodonty stękają, napierając na kieraty, olbrzymie głowy nisko spuszczone, chwytne trąby wloką się po ziemi, gdy zataczają powolne koła wokół osi. Te genhakowane zwierzęta to żywe serce systemu napędowego fabryki, zapewniające energię dla linii taśm, wentylatorów i linii wytwórczych. Gdy

ciągną naprzód, ich uprężę rytmicznie poszczękują. Związkowi poganiacze w czerwieni i złocie chodzą obok swoich podopiecznych, pokrzykują na zwierzęta, od czasu do czasu smagają bambusowymi witkami, zachęcając pochodzące od słońi potwory do większego wysiłku.

Po drugiej stronie hali linia produkcyjna wydziela sprężyny skrętne w nowiutkich obudowach i wysyła je do Działu Kontroli Jakości, a stamtąd do Pakowni, gdzie są ustawiane na paletach w oczekiwaniu na jakiś teoretyczny moment, gdy będą gotowe do wyeksportowania. Na widok Andersona robotnicy przerywają pracę i pozdrawiają go *wai*, składając dłonie i unosząc je do czoła, falą wyrazów szacunku rozchodzącą się wzdłuż linii.

Banyat, szef Kontroli Jakości, podbiega z uśmiechem. Składa dłonie w *wai*.

Anderson odpowiada zdawkowym *wai*.

— Jak tam jakość?

Banyat się uśmiecha.

— *De khap*. Dobrze. Świetnie. Proszę spojrzeć. — Daje znak, a Num, kierownik zmiany, uderza w dzwon sygnalizujący zatrzymanie linii. Zaprasza Andersona, by poszedł za nim. — Ciekawa rzecz. Będzie pan zadowolony.

Anderson rzuca mu wąski uśmiech, ma wątpliwości, czy cokolwiek od Banyata może go naprawdę ucieszyć. Wyciąga z worka *ngoh* i podaje kontrolerowi.

— Jakieś postępy? Naprawdę?

Banyat kiwa głową, biorąc owoc. Zerka na niego od niechcienia, obiera. Wyłuskuje półprzejrzysty miąższ do ust. Nie okazuje zdziwienia. W ogóle nie reaguje. Po prostu bez namysłu zjada to cholerstwo. Anderson się krzywi. *Farangowie* o wszystkich zmianach w tym kraju dowiadują się ostatni — fakt, który lubi podkreślać Hock Seng, gdy jego paranoiczny umysł

zaczyna podejrzewać, że Anderson zamierza go zwolnić. Hock Seng pewnie też już zna ten owoc, albo przynajmniej będzie tak twierdził, jeśli go zapyta.

Banyat rzuca łupinę do koryta do karmienia megodontów i prowadzi Andersona wzdłuż linii.

— Rozwiązaliśmy problem z linią cięcia — mówi.

Num znów wali w dzwon, robotnicy odchodzą od stanowisk. Na trzecie uderzenie związkowi mahuci poklepują swoje zwierzęta bambusowymi witkami. Megodonty stają, powłócząc nogami. Linia zwalnia. Na drugim końcu hali przemysłowe sprężyny bębnowe tykają i pojękują, gdy wlewa się do nich energia z kół zamachowych — energia, która ponownie uruchomi linię, kiedy Anderson zakończy inspekcję.

Kontroler prowadzi Andersona wzdłuż milczącej linii, mijając kolejnych czyniących *wai* robotników w zielono-białych mundurach, i odgarnia zasłonę z tworzywa z oleju palmowego wiszącą w wejściu na halę obróbki końcowej. Tutaj, ze wspnianym zapamiętaniem rozpyła się w powietrzu wynalazek Yatesa, pokrywając sprężyny osadem genetycznego szczęśliwego trafu. Kobiety i dzieci w maskach z potrójnym filtrem unoszą wzrok i zdzierają osłony z twarzy, by pokłonić się swojemu chlebobawcy w głębokim *wai*. Twarze mają pokryte potem i jasnym pyłem. Ciemna pozostaje tylko osłaniana filtrem skóra wokół ust i nosa.

Razem z Banyatem idą na drugą stronę, w żar linii cięcia. Tu płoną energią lampy grzejne, a powietrze jest gęste od zgnilizny rozmnażających się glonów. Nad ich głowami wiszą, sięgając sufitu, umazane pasmami genhakowanych glonów ramy z sitami do suszenia. Kapią, schną i czernieją na pastę od ciepła. Spoceni robotnicy są rozebrani niemal do naga — mają tylko szorty, podkoszulki i kaski na głowach. Istny piec, mimo wirujących nakręcanych wentylatorów i wydajnego systemu

wietrzenia. Pot spływa po karku Andersona. Koszula przemaka mu w jednej chwili.

Banyat coś pokazuje.

— Tutaj, pan zobaczy. — Przesuwa palcem po leżącym obok linii nożu tnącym.

Anderson kłęka, by przyjrzeć się powierzchni.

— Rdza — mruczy Banyat.

— Myślałem, że mamy to pod kontrolą?

— Woda morska. — Banyat się uśmiecha. — Ocean niedaleko.

Anderson krzywi się, patrząc na wiszące sita z suszącymi się glonami.

— A zbiorniki z glonami i suszarnie też nie pomagają. Co za bałwan wymyślił, że można do tego wykorzystać ciepło odpadowe. Gównno, a nie oszczędność energii.

Banyat posyła mu kolejny zakłopotany uśmiech, ale się nie odzywa.

— Czyli wymieniliście narzędzia do cięcia?

— Mamy teraz siedemdziesiąt pięć procent braków.

— Aż tak się poprawiło? — Anderson zdawkowo kiwa głową. Macha na narzędziowego, a ten krzyczy przez całą wykańczalnię do Nema.

Ostrzegawcze dzwony rozbrzmiewają raz jeszcze, do obwodu wpada prąd, rozpalają się prasy i lampy grzejne. Anderson kuli się, gdy nagle wzrasta temperatura. Płonące lampy i prasy oznaczają podatek węglowy w wysokości piętnastu tysięcy bahtów za każdym razem, gdy się zapalą — fragment należącego do Królestwa wycinka globalnego budżetu węglowego. Firma SpringLife szczerze płaci za możliwość wykorzystania go. Yates wykorzystał system w niezwykle pomysłowy sposób, umożliwiając fabryce korzystanie z

tajskiego limitu węglowego, lecz wydatki na niezbędne łapówki i tak są niebotyczne.

Rozpędza się główne koło zamachowe, fabryka dygocze, gdy ruszają podziemne tryby. Deski podłogi wibrują. Energia kinetyczna pędzi przez cały mechanizm jak adrenalina, mrowiący zwiastun fali energetycznej, jaka zaraz przeleje się na linię produkcyjną. Megodont protestuje wrzaskiem i jest uciszany uderzeniami bata. Jęk kół zamachowych wzmagają się do wycia, a potem ustaje — dźwule pędzą przez przekładnie.

Dzwon kierownika zmiany rozbrzmiewa jeszcze raz. Pracownicy podchodzą do maszyn, ustawiają narzędzia tnące. Wytwarzają tu dwugigadżulowe sprężyny — ponieważ są mniejsze, wymagają przy obróbce dodatkowej uwagi. W dole linii zaczyna się proces zwijania, a prasa tnąca ze świeżo naprawionymi precyzyjnymi ostrzami z sykiem unosi się w powietrze na hydraulicznych podnośnikach.

— *Khun*, proszę. — Banyat gestem kieruje Andersona za ochronną kratę.

Dzwon Numa rozbrzmiewa po raz ostatni. Linia wchodzi na bieg. Gdy system się zasprzęgła, Anderson czuje krótkie szarpnięcie. Pracownicy kulą się za osłonami. Włos sprężyny wypada z sykiem spomiędzy kołnierzy ustalających i wije się przez ciąg podgrzewanych rolek. Potem na rdzawy włos tryska cuchnący odczynnik, natłuszczając go śliską warstwą, która będzie w stanie przyjąć równą warstwę proszku z Yatesowych glonów.

Prasa spada. Andersona aż bolą zęby od wstrząsu. Włos sprężyny pęka czysto, a odcięty kawałek biegnie przez kurtyny na obróbkę końcową. Trzydzieści sekund potem wraca, bladoszary i obsypany glonowym proszkiem. Wije się przez kolejny ciąg podgrzewanych rolek, a potem zostaje zmuszony torturami do przybrana ostatecznego kształtu, skręcania się w coraz ciaśniejszą i ciaśniejszą spiralę, w miarę napinania

sprężyny pracując wbrew całej swojej molekularnej strukturze. Narasta ogłuszający wizg torturowanego metalu. Na napinaną sprężynę tryskają z osłony smary i glonowy proszek, ochlapując robotników i sprzęt, a potem nakręcona sprężyna jest stąd zabierana. Włoży się ją do obudowy i wyśle na kontrolę jakości.

Żółta dioda mruga, że można wyjść. Robotnicy wyskakują z klatek, by podnieść prasę, gdy z hartowni wypada z sykiem kolejny strumień rdzawego metalu. Szczękają kręcące się na pusto rolki. Zatrzymane dysze smarowania rozpylają w powietrzu drobną mgiełkę, czyszcząc się automatycznie przed kolejnym przebiegiem. Robotnicy kończą ustawiać prasy i znowu kulą się za osłonami. Jeśli coś zawiedzie, włos sprężyny będzie miotającym się chaotycznie po hali ostrzem o ogromnej sile. Anderson widywał już skutki takich awarii: głowy rozplątane jak miękkie mango, odcięte kończyny i bryzgi krwi jak obrazy Pollocka...

Prasa uderza ponownie, obcinając kolejną sprężynę, jedną z czterdziestu na godzinę, mającą teraz podobno tylko siedemdziesiąt pięć procent szans na wyłączenie na złomowisku nadzorowanym przez Ministerstwo Środowiska. Wydają miliony na produkcję złomu, którego utylizacja będzie kosztować kolejne miliony — obosieczny miecz, który tnie i tnie. Yates coś tu spieprzył, przypadkiem, albo w ramach celowego sabotażu, a uświadomienie sobie złożoności tego problemu zajęło ponad rok — zbadanie kadzi z glonami, produkujących rewolucyjne pokrycia dla sprężyn, poprawienie kukurydzianych żywic smarujących wały, przekładnie i sprzęgła, zmiany w kontroli jakości i ustalenie, jak wilgotność, przez cały rok wahająca się w okolicach stu procent, wpływa na proces wymyślony w o wiele suchszym klimacie.

Do hali wpada kłęb jasnego pyłu — to robotnik przeciska się przez folie z hali wykańczalni. Jego śniadą twarz pokrywa mieszanka brudu i rozpylonego oleju palmowego. Kołyszące się

kurtyny ukazują przez moment jego kolegów, spowitych w chmury jasnego pyłu, jak cienie w śnieżnej zamieci: pokrywają włos sprężyny proszkiem, który zapobiegnie zakleszczeniu pod dużym naprężeniem. Cały ten pot, tyle kalorii, tyle wypalonego przydziału węglowego — wszystko po to, żeby Anderson miał wiarygodną przykrywkę, kiedy rozpracowuje tajemnice psiankowatych i *ngoh*.

Racjonalna firma zamknęłaby tę fabrykę. Zrobiłby to nawet Anderson, mimo swego umiarkowanego pojęcia o procesach niezbędnych w produkcji sprężyn skrętnych następnej generacji. Lecz jego robotnicy, związki, białe koszule i wszyscy nadstawiający ucha Tajowie muszą wierzyć, że jest ambitnym przedsiębiorcą, więc fabryka musi działać, i to pełną parą.

Anderson ściska dłoń Banyata i gratuluje mu dobrej roboty.

Właściwie to szkoda. Jest potencjał do odniesienia sukcesu. Kiedy widzi, że któraś ze sprężyn Yatesa naprawdę działa, aż zapiera mu dech. Yates był wariatem, ale nie był głupi. Anderson widział, jak z maleńkich obudów sprężyn ciekną dzule, tykając z zadowoleniem całymi godzinami, gdy inne sprężyny nie pomieściłyby jednej czwartej tej energii przy dwa razy większej masie, albo w ogóle zmieniły się pod ogromnym naprężeniem w jedną molekularną płataninę. Czasem niemal zachwyca się marzeniami tego człowieka.

Bierze głęboki wdech i przeciska się z powrotem do wykańczalni. Wychodzi po drugiej stronie, w chmurze glonowego proszku i dymu. Nabiera powietrza cuchnącego rozdeptanymi odchodami megodontów i wchodzi po schodach do biura. Za plecami jeden z megodontów znów się drze, jakby był maltretowany. Anderson odwraca się, zerka na halę i zapamiętuje, który to poganiacz. Kierat numer cztery. Kolejny problem na długiej liście, jaką stanowi SpringLife. Otwiera drzwi do biura administracji.

Pomieszczenia w środku wyglądają prawie tak samo jak wtedy, gdy pierwszy raz je zobaczył.

Ciągle ciemne, otchłanne i puste, ze stojącymi milcząco w cieniu biurkami i pedałowymi komputerami. Cienkie ostrza słońca przeciskają się między listewkami tekowych okiennic, oświetlając dymiące ofiary dla jakichś bogów, którzy nie zdołali uratować chińskiego klanu Tan Hock Senga w Malezji. Pokój wypełnia duszący zapach sandałowego kadzidełka, a kolejne jedwabiste smużki unoszą się nad kapliczką w rogu, gdzie uśmiechnięte złote posążki kucają wokół talerzyków z ryżem U-Tex i lepkiemi, upstrzonymi muchami mango.

Hock Seng już siedzi za komputerem. Koścista noga równomiernie pedałuje, zasilając mikroprocesory i podświetlenie dwunastocalowego ekraniku. W jego szarym blasku Anderson dostrzega mrugnięcie oczu Hock Senga, wzdrygnięcie człowieka, który w każdym otwarciu drzwi widzi zapowiedź krwawej jatki. To drgnienie jest równie halucynacyjne jak zniknięcie cheshire'a — w jednej chwili jest, w drugiej go nie ma, a ty masz wątpliwości — lecz Anderson zna uchodźców z żółtymi kartami na tyle dobrze, by rozpoznać ten stłumiony lęk. Zamyka drzwi, uciszając łoskot maszyn; staruszek się uspokaja.

Anderson pokasłuje i rozpędza dłonią dym z kadzideł.

— Chyba ci mówiłem, że masz przestać to palić.

Hock Seng wzrusza ramionami, lecz nie przestaje pedałowić i pisać.

— Mam otworzyć okna? — Jego szept brzmi jak drapanie bambusem po piasku.

— Jezus, nie. — Anderson krzywi się na samą myśl o tropikalnym skwarze za okiennicami. — Po prostu pal to sobie w domu. Tu ma tego nie być. W ogóle.

— Tak. Oczywiście.

— Mówię poważnie.

Oczy Hock Senga zerkają nań przez moment, zanim powrócą do ekranu. Wystające kości policzkowe i zapadnięte oczodoły odcinają się ostrą płaskorzeźbą w świetle monitora. Pajęczne palce wciąż stukają w klawisze.

— To na szczęście — mruczy. Potem następuje chrapliwy chichot. — Nawet cudzoziemskie diabły potrzebują szczęścia. Przy tylu problemach z fabryką może przydałaby się panu pomoc Budai.

— Nie tutaj. — Anderson rzuca na biurko świeżo kupione *ngoh* i rozwała się w fotelu. — Pal je sobie w domu.

Hock Seng nieznacznie pochyla głowę, potwierdzając. Nad ich głowami leniwie kręcą się rzędy nakręcanych wiatraków, posapując skrzydłami w duchocie biura. Siedzą tu we dwójkę jak rozbitkowie, otoczeni mapą wielkiego zamysłu Yatesa. Szeregi pustych biurek i komputerów stoją w milczeniu, obliczone na sprzedawców, specjalistów od logistyki, kadrowych i sekretarki.

Anderson przebiera w *ngoh*. Pokazuje Hock Sengowi jedno ze swych zielonowłosych odkryć.

— Widziałeś już takie coś?

Hock Seng zerka.

— Tajowie mówią na to *ngoh*. - Wraca do pracy, pedałuje przez arkusze kalkulacyjne, które nigdy się nie zbilansują, i czerwone zapisy, których nigdy się nikomu nie zgłosi.

— Wiem, jak mówią na to Tajowie. — Anderson wstaje i podchodzi do biurka starszka. Hock Seng kuli się, gdy Anderson kładzie mu *ngoh* obok komputera, patrzy na owoc jak na skorpioną. — Rolnicy na targu zdradzili mi, jak na to mówią. W Malezji też takie były?

— Ja... — Hock Seng zaczyna mówić i milknie. Wyraźnie stara się opanować, na twarzy migoczą mu rozmaite emocje. —

Ja... — Raz jeszcze głos mu się załamuje.

Anderson obserwuje, jak strach rzeźbi wyraz twarzy Hock Senga. Z Incydentu uratował się niecały jeden procent malezyjskich Chińczyków. Hock Seng pod każdym względem jest szczęściarzem, ale Andersonowi jest go żal. Jedno proste pytanie, kawałek owocu, a staruszek już wygląda, jakby chciał uciec z fabryki.

Hock Seng gapi się na owoc, oddychając chrapliwie. W końcu mamrocze:

— W Malezji nie. Tylko Tajowie są tacy cwani w tych sprawach. — I znów pracuje, wbijając wzrok w mały ekranik, zamknąwszy wspomnienia na kłódkę.

Anderson czeka, czy wyjawi coś jeszcze, ale staruszek milczy. Tajemnica *ngoh* będzie musiała poczekać.

Wraca do swojego biurka i zaczyna grzebać w korespondencji. Przygotowane przez Hock Senga pokwitowania i dokumenty podatkowe leżą w jednym rogu blatu, domagając się uwagi. Zaczyna rozprawiać się z tym stosem, składając podpisy na wypłatach wynagrodzeń dla Związku Megodontów i stawiając pieczętki SpringLife na zleceniach utylizacji odpadów. Wachluje się koszulą w narastającym upale i wilgotności.

W końcu Hock Seng unosi wzrok.

— Banyat pana szukał.

Anderson kiwa głową, rozkojarzony formularzami.

— Znaleźli rdzę na prasie do cięcia. Wymiana ostrza zredukowała braki o pięć procent.

— Czyli udaje się dwadzieścia pięć procent?

Wzrusza ramionami, przerzuca kolejne kartki, przystawia stempel na rozliczeniu węglowym Ministerstwa Środowiska.

— Tak twierdzi. — Składa dokument i wsuwa go z powrotem do koperty.

— To nadal nie wychodzi na plus. Te pana sprężyny tylko się nakręcają i nic nie oddają. Trzymają te dzule i nie puszczaają, jak Somdet Chaopraya Małą Królową.

Anderson robi rozgniewaną minę, ale nawet nie chce mu się bronić tej nierównej jakości.

— Czy Banyat mówił panu także o zbiornikach hodowlanych? — pyta Hock Seng. — Z glonami?

— Nie. Tylko o rdzy. A bo co?

— Są zanieczyszczone. Część glonów nie produkuje tego... — Hock Seng waha się. — Tego osadu. Są nieproduktywne.

— Nic mi nie wspominał.

Kolejne drobne wahanie, a potem:

— Na pewno próbował.

— A jest bardzo źle? Mówił coś na ten temat?

Hock Seng wzrusza ramionami.

— Tylko tyle, że osad jest niezgodny ze specyfikacją.

Anderson się chmurzy.

— Zwolnię go. Nie potrzebuję kontrolera jakości, który nie potrafi przekazać mi złych wiadomości.

— Może nie zwrócił pan uwagi.

Anderson ma parę określeń na ludzi, którzy zaczynają temat, a potem jakoś im się rozmydlą, lecz przerywa mu krzyk megodonta z dołu. Jest na tyle głośny, że dygoczą szyby w oknach. Przystaje, nasłuchuje kolejnego wrzasku.

— To z czwartego kieratu — mówi. — Ten mahut jest niekompetentny.

Hock Seng nawet nie odrywa wzroku od klawiatury.

— To Tajowie. Oni wszyscy są niekompetentni.

Anderson powstrzymuje śmiech na to stwierdzenie żółtej karty.

— Ale ten jest jeszcze gorszy. — Wraca do korespondencji. — Masz go wymienić. Kierat numer cztery. Pamiętaj.

Pedał Hock Senga gubi rytm.

— To będzie ciężka sprawa. Nawet Pan Łajna musi kłaniać się w pas Związkowi Megodontów. Kiedy ich nie ma, trzeba polegać na ludzkich dżulach. To nie za dobra pozycja przetargowa.

— Nie obchodzi mnie to. Mają go wywalić. Nie możemy sobie pozwolić na panikę. Znajdź jakiś kulturalny sposób, żeby się go pozbyć. — Przysuwa do siebie kolejny stos wypłat czekających na jego podpis.

Hock Seng próbuje jeszcze raz.

— *Khun*, negocjacje ze związkiem to skomplikowana kwestia.

— Dlatego mam ciebie. To się nazywa delegowanie. — Anderson dalej kartkuje papiery.

— Tak, oczywiście. — Hock Seng patrzy nań oschle. — Dziękuję za lekcję zarządzania.

— Cały czas mi powtarzasz, że nie rozumiem tutejszej kultury — odpowiada Anderson. — To sam się tym zajmij. Pozbądź się go. Nie obchodzi mnie, czy będziesz kulturalny, czy wszyscy utracą twarz, ale znajdź sposób, żeby go wywalić. Gość stwarza niepotrzebne zagrożenie w systemie napędowym.

Hock Seng sznuruje usta, ale nie protestuje. Anderson postanawia założyć, że jego polecenia zostaną wysłuchane. Przegląda kolejny list z Ministerstwa Środowiska. Krzywi się. Potrzebna jest jeszcze jedna koncesja. Tylko Tajom chce się poświęcać tyle czasu, żeby łapówka wyglądała jak umowa na usługę. Są grzeczni, nawet gdy wyciskają cię do sucha. Albo kiedy jest problem ze zbiornikami na glony. Banyat...

Anderson kartkuje dokumenty na biurku.

— Hock Seng?

Starzec nie unosi wzroku.

— Zajmę się tym poganiaczem — mówi, nie przerywając pisania. — Załatwię to, choć będzie to pana kosztowało, kiedy znowu przyjdą targować się o premie.

— Miło słyszeć, ale nie o to pytałem. — Anderson stuka w blat biurka. — Mówiłeś, że Banyat narzeka na osad z glonów. Problem jest ze starymi kadziami czy nowymi?

— Ja... chyba nie powiedział.

— Czy ty mi aby nie mówiłeś, że nowy sprzęt ma przyjść z ładowiska w tamtym tygodniu? Nowe kadzie, nowe pożywki?

Klepanie w klawiaturę na moment traci rytm. Anderson udaje niezrozumienie, ponownie

wertując papiery, już wiedząc, że nie ma w nich faktur i dokumentów kwarantanny.

— Gdzieś tu powinna być lista. Jestem pewien, że mi mówiłeś, że zaraz będą. — Unosi głowę. — Im bardziej się zastanawiam, tym jestem pewniejszy, że nie powinienem już słyszeć o żadnych problemach z zanieczyszczeniami. Nie przy tym nowym sprzęcie, jeśli wyszedł z cła i został zainstalowany.

Hock Seng nie odpowiada. Pisze zapamiętałe, jakby nie usłyszał.

— Hock Seng? Nie zapomniałeś czasem mi o czymś powiedzieć?

Wzrok Chińczyka pozostaje utkwiony w szarym blasku monitora. Anderson czeka. Ciszę wypełnia rytmiczne poskrzypywanie wiatraków i szczękanie zapadki pedału komputera Hock Senga.

— Nie ma dokumentu przyjęcia — odzywa się w końcu stary człowiek. — Dostawa wciąż leży na cle.

— Miała wyjść w zeszłym tygodniu.

— Są opóźnienia.

— Mówiłeś, że nie będzie żadnego problemu — mówi Anderson. — Byłeś pewien. Powiedziałeś, że załatwiasz to z

Urzędem Celnym osobiście. Dałem ci dodatkową kasę, żeby wszystko poszło gładko.

— Tajowie liczą czas na swój sposób. Może to nastąpi dziś po południu. A może jutro. — Hock Seng robi minę przypominającą uśmiech. — To nie Chińczycy. Są leniwi.

— A ty w ogóle zapłaciłeś te łapówki? Ministerstwo Handlu miało dostać działkę, żeby ją przekazać ich ulubionemu inspektorowi z białych koszul.

— Zapłaciłem.

— Wystarczająco dużo?

Hock Seng unosi głowę, mruży oczy.

— Zapłaciłem.

— Nie schowałeś czasem połowy do własnej kieszeni?

Hock Seng chichocze nerwowo.

— Oczywiście, że zapłaciłem całość.

Anderson chwilę dłużej przypatruje się żółtej karcie, próbując ocenić jego uczciwość, w końcu jednak poddaje się i ciska papierami. Właściwie sam nie rozumie, czemu to go tak rusza, ale denerwuje się, że stary sądzi, że tak łatwo będzie w stanie go oszukać. Ponownie zerka na worek *ngoh*. A może Hock Seng po prostu wyczuwa, jak drugorzędna jest ta fabryka... Odpycha tę myśl i znów przypiera go do muru.

— Czyli jutro?

Hock Seng pochyla głowę.

— To chyba najbardziej prawdopodobne.

— Niezmiernie mnie to cieszy.

Hock Seng nie reaguje na sarkazm. Anderson zastanawia się, czy jest przetłumaczalny. Ten człowiek mówi po angielsku z niezwykłą łatwością, ale od czasu do czasu natykają się na jakiś językowy impas, zakorzeniony bardziej w kulturze niż słownictwie.

Wraca do papierów. Tu formularze podatkowe. Tam wypłaty wynagrodzeń. Robotnicy kosztują dwa razy więcej niż powinni. To kolejny problem z interesami w Królestwie. Do tajskich prac — tylko Tajowie. Na ulicach głodują uchodźcy z Malezji z żółtymi kartami, ale nie wolno ich zatrudnić. Zgodnie z prawem, Hock Seng powinien stać w kolejce po pracę, głodny jak wszyscy inni ocaleli z Incydentu. Gdyby nie jego specjalistyczne umiejętności językowe, księgowo oraz pobłażliwość Yatesa, dalej cierpiałby głód.

Zatrzymuje się nad nową kopertą. Jest zaadresowana osobiście do niego, ale zgodnie ze zwyczajem pieczęć jest złamana. Hock Seng ma kłopoty z respektowaniem tajemnicy korespondencji. Omawiali ten problem wiele razy, ale staremu ciągle zdarza się „mylić”.

W środku jest mały kartonik z zaproszeniem. Raleigh proponuje spotkanie.

Anderson z namysłem postukuje kartą o blat. Raleigh. Wyrzucony na brzeg rozbitek z czasów dawnej Ekspansji. Kawałek deski, który osiadł tu podczas przyprływu, w czasach, kiedy ropa była tania, a kobiety i mężczyźni okrążali glob w godziny, nie w tygodnie.

Gdy ostatnie jumbo jety wystartowały z zalanych pasów startowych lotniska Suvarnabhumi, Raleigh stał po kolana w podnoszącej się morskiej wodzie i patrzył, jak odlatują. Zaszył się gdzieś ze swoimi dziewczynami, przeżył je wszystkie, załatwił sobie nowe, plotąc sobie życie z trawy cytrynowej, bahtów i najprzedniejszego opium. Jeśli wierzyć jego opowieściom, przetrwał zamachy i kontrzamachy, epidemie kaloryczne i głód. Dzisiaj, jak pokryta wątrobianymi plamami ropucha, zaszywa się w swoim „klubie” Ploenchit, z uśmiechem samozadowolenia nauczając nowo przybyłych cudzoziemców zapomnianych sztuk przedupadkowej rozpusty.

Anderson ciska kartę na blat. Jakikolwiek stary ma intencje, zaproszenie jest wystarczająco niewinne. Raleigh nie przeżyłby tyle czasu w Królestwie, nie wykształcając w sobie pewnej paranoi. Uśmiecha się nieznacznie, zerkając na Hock Senga. Ci dwaj świetnie by do siebie pasowali: dwie wykorzenione dusze, daleko od ojczyzny, a każda z nich przetrwała dzięki sprytowi i paranoi...

— Jeśli pan nic nie robi, tylko przygląda się, jak pracuję — mówi Hock Seng — to Związek Megodontów domaga się renegekcji stawek.

Anderson patrzy na piętrzące się na biurku faktury.

— Wątpię, żeby byli aż tak grzeczni.

Pióro Hock Senga przystaje.

— Tajowie zawsze są grzeczni. Nawet kiedy grożą.

Rzuca Hock Sengowi znaczące spojrzenie.

— No to chyba masz w ręku kartę przetargową, żeby pozbyć się tego poganiacza z czwórki. Cholera, może ja w ogóle nic im nie zapłacę, dopóki nie zabiorą tego palanta?

— Związek jest potężny.

Fabryką wstrząsa kolejny ryk, Anderson aż się kuli.

— I durny! — Zerka ku oknom obserwacyjnym. — Co oni mu, do cholery, robią? — Kiwa na Hock Senga. — Idź, sprawdź.

Hock Seng ma taką minę, jakby chciał się sprzeczać, ale Anderson wbija weń wzrok. Staruszek wstaje.

Ogłuszające trąbienie uniemożliwia mu głośne narzekanie. Z okien o mało co nie wylatują szyby.

— Co się, kur...

Kolejne jęklive trąbienie trzęsie budynkiem, potem słychać mechaniczny pisk: to zacina się główny wał. Anderson zrywa się z fotela i biegnie do okna, ale Hock Seng dobiega tam przed nim. Z rozdziawionymi ustami gapi się przez szybę.

Żółte oczy wielkości talerzy unoszą się na wysokość okien. Megodont stoi dęba, zataczając się. Cztery kły bestii zostały dla bezpieczeństwa spiłowane, ale to i tak potwór, cztery i pół metra w kłębie, dziesięć ton mięśni i wściekłości, stojących na tylnych łapach. Szarpie za łańcuchy przypinające go do kieratu. Trąba unosi się, odsłaniając otchłań paszczy. Anderson zatyka uszy dłońmi.

Wrzask megodonta dudni przez szyby. Ogłuszony Anderson pada na kolana.

— Jezu! — Dzwoni mu w uszach. — Gdzie jest ten mahut?

Hock Seng kręci głową. Nie wiadomo, czy usłyszał. Wszystkie dźwięki wydają się stłumione i odległe. Chińczyk kuśtyka ku drzwiom i otwiera je dokładnie w momencie, gdy megodont rzuca się na kierat numer 4. Wał pęka. Odłamki teku lecą we wszystkie stron. Anderson uchyla się przed odłamkami, skóra pali go od ostrych jak igły drzazg.

W dole poganiacze gorączkowo rozpinają łańcuchy megodontów i odciągają je od rozszalałego zwierzęcia, zachęcając je okrzykami, narzucając swoją wolę słoniowatym stworzeniom. Megodonty potrząsają głowami i porykują w proteście, szarpia się, ośladnięte instynktownym pragnieniem pomocy swemu kuzynowi. Pozostali tajscy robotnicy ratują się ucieczką na bezpieczną ulicę.

Rozwścieczony megodont przypuszcza kolejny atak na kierat, trzaskają szprychy. Mahut, który powinien go opanować, jest miazgą krwi i kości na podłodze.

Anderson chowa się z powrotem do biura. Lawiruje między pustymi biurkami, przeskakuje je, sunie po blatach, ląduje przed kasami pancernymi.

Kiedy wykręca szyfr, ślizgają mu się palce. Pot ścieka do oczu. 23 w prawo. 106 w lewo... Ręka przechodzi do kolejnej tarczy, modli się, żeby się nie pomylić, bo trzeba będzie zacząć od nowa. Z hali znów dobiega odgłos łamanego drewna i krzyki

kogoś, kto podszedł zbyt blisko. Hock Seng podchodzi i zagląda mu przez łokieć. Anderson go odgania.

— Powiedz ludziom, żeby uciekali. Ewakuuj wszystkich. Mają wyjść!

Hock Seng kiwa głową, ale wisi nad nim, gdy ten walczy z szyfrem.

Anderson wbija weń wzrok.

— No idź!

Hock Seng pochyla się w geście posłuszeństwa i pędzi do drzwi, coś wołając; jego głos tonie w krzykach uciekających robotników i trzaskającego twardego drewna. Anderson kręci ostatnią tarczą i szarpie drzwiami sejfu: papiery, pliki kolorowych banknotów, tajne dokumenty, pneumatyczna strzelba... pistolet sprężynowy.

Cały Yates.

Krzywi się. Wszędzie dziś pełno tego starego dziada, jakby jego *phii* siedział mu na ramieniu. Pompuje sprężynę pistoletu i wtyka go za pasek. Wyciąga strzelbę. Kiedy sprawdza, czy jest załadowana, za jego plecami niesie się echem kolejny wrzask. Przynajmniej na to się Yates przygotował. Staruch był naiwny, ale nie głupi. Anderson pompuje strzelbę i kieruje się ku drzwiom.

Krew z podłogi hali bryzga na wały napędowe i linie Kontroli Jakości. Trudno dojrzeć, kto zginął. Ale więcej niż tylko jeden mahut. W powietrzu wisi słodki odór ludzkich wnętrzności. Pasma flaków zdobią drogę megodonta wokół jego kieratu. Znow staje dęba, góra genetycznie zmodyfikowanych mięśni, zмага się z ostatnim łańcuchem.

Anderson unosi strzelbę. Na skraju pola widzenia drugi megodont staje dęba, trąbiąc na znak współczucia. Mahuci tracą kontrolę. Wysiłkiem woli nie zwraca uwagi na szerzący się zamęt i przykłada oko do lunetki.

Celownik omiata rdzawy masyw pomarszczonej skóry. Potwór, powiększony przez szkła, jest tak wielki, że nie da się spudłować. Anderson ustawia przełącznik na ogień automatyczny, robi wydech i pozwala zbiornikowi z powietrzem działać.

Z lufy wyskakuje mgiełka strzałek. Wściekle pomarańczowe kropeczki zasypują skórę zwierzęcia, markując trafienia. Toksyny opracowane przez AgriGen na podstawie badań nad jadem os wsączają się w ciało, mierząc w ośrodkowy układ nerwowy.

Opuszcza broń. Bez lunetki ledwo dostrzega strzałki rozsiane po skórze megodonta. Za parę chwil padnie.

Potwór obraca się i wbija wzrok w Andersona. Oczy płoną plejstocieńską wściekłością. Anderson, wbrew sobie, czuje podziw dla bystrości zwierzaka. Całkiem jakby wiedział, co zrobił.

Megodont szarpie łańcuchy. Stalowe ogniwa pękają i z gwizdem sypią się po hali, wbijając się w linie taśmociągów. Pada uciekający robotnik. Anderson odrzuca bezużyteczną strzelbę i wyszarpuje sprężynowiec. To zabawka wobec dziesięciu ton rozjuszonego cielska, ale tylko tyle mu zostało. Krew napływa mu do głowy. Megodont szarżuje, Anderson strzela, szarpiąc za spust tak szybko, jak nadaża palec. Pistolet pluje bezsensownymi ostrymi dyskami.

Megodont podcina mu nogi trąbą. Chwytna kończyna owija się wokół nich jak pyton. Anderson próbuje chwycić się wycięcia zamka, wierzga nogami, chcąc się uwolnić. Trąba się zaciska. Krew zalewa mu głowę. Zastanawia się, czy potwór chce go po prostu zdusić, jak opitego krwią komara, ale potem zostaje ściągnięty z galerii. Rozpaczliwie usiłuje złapać się umykającej balustrady i nagle jest w powietrzu. Leci.

Triumfalne trąbienie megodonta niesie się echem, gdy Anderson płynie w powietrzu. Podłoga hali pędzi ku niemu.

Wali o beton. Ogarnia go ciemność. Leż i umieraj. Walczy z utratą przytomności. Po prostu umrzyj. Usiłuje wstać, odtoczyć się, zrobić cokolwiek, ale nie może się ruszyć.

Pole widzenia wypełniają mu barwne kształty. Próbują się złać. Megodont jest blisko. Czuje zapach jego oddechu.

Kolorowe plamy się zbiegają. Megodont góruje nad nim — rdzawa skóra i przedwieczna wściekłość. Unosi stopę, żeby zgnieść go na miazgę. Anderson przekręca się na bok, lecz nogi go nie słuchają. Nie może się nawet czołgać. Palce drapią o beton jak pająki na lodzie. Nie jest w stanie odpowiednio szybko uciec. Jezus, nie chcę tak zginąć. Nie tutaj. Nie w ten sposób... Jest niczym jaszczurka z przydeptanym ogonem. Nie może wstać, nie może uciec, zaraz zginie, miazga pod stopą przerośniętego słonia.

Megodont jęczy. Anderson ogląda się przez ramię. Bestia postawiła stopę z powrotem. Chwieje się jak pijana. Węszy trąbą, a potem znienacka załamują się jej tylne nogi. Siada na zadzie, w absurdalnej, psiej pozycji. Ma niemal zdumioną minę, narkotyczne zdziwienie, że ciało już jej nie słucha.

Powoli rozjeżdżają się przednie nogi, megodont z jękiem pada w słomę i gnój. Jego oczy opadają na poziom wzroku Andersona. Wpatrują się w niego, niemal ludzkie, mrugają zdezorientowane. Trąba znów sięga po niego, podrygując niezdarnie, kompletnie nieskoordynowany wąż z mięśni i odruchów. Dyszy rozdziawiona bezwładnie paszcza, ziejąc żarem jak z pieca. Trąba poszturčuje go. Kołysze. Nie daje rady chwycić.

Anderson powoli wyczołguje się z zasięgu megodonta. Podnosi się na kolana, potem zmusza się do wstania. Chwieje się, kręci mu się w głowie, wreszcie rozstawia stopy i staje prosto. Jedno żółte oko śledzi jego ruchy. Wściekłość przepadła. Mruga długorzęsa powieka. Ciekawe co sobie myśli. Czy czuje

rozchodzące się po układzie nerwowym spustoszenie. Czy wie, że zaraz nastąpi koniec. A może po prostu czuje się zmęczony?

Kiedy tak nad nim stoi, prawie mu go żal. Cztery nierówne owale, gdzie kiedyś miał ciosy, to teraz brudne trzydziestocentymetrowe połacie kości ze śladami po niechlujnym cięciu. Na kolanach lśnią rany, wokół pyska pleni się świerzbopleśń. Z bliska, ze sparaliżowanymi mięśniami, z ciężko zapadającą się klatką piersiową, jest po prostu nieszczęsnym, zajeżdżonym stworzeniem. Ten potwór nigdy nie nadawał się do walki.

Megodont wypuszcza ostatnie tchnienie. Jego ciało wiotczeje.

Wokół Andersona kłębią się ludzie, coś krzyczą, poszturchują go, próbują ratować rannych i odnaleźć zabitych. Wszędzie są ludzie. Czerwono-złote związkowe mundury, zielone liberie SpringLife, mahuci wdrapujący się na olbrzymiego trupa.

Przez moment Anderson wyobraża sobie, że obok stoi Yates, pali psiankowate i napawa się katastrofą. „A mówiłeś, że za miesiąc wyjeżdżasz”. Później obok pojawia się Hock Seng, jego szept, czarno-migdałowe oczy i koścista ręka, która wyciąga się, dotyka jego szyi i powraca unurzana w czerwieni.

— Krew panu leci — mruczy.

11

— Raz, dwa! Do góry! — woła Hock Seng.

Pom, Nu, Kukrit i Kanda napierają na wał rozwalonego kieratu, unosząc go z łożyska jak drzazgę wyciągniętą ze skóry olbrzyma, i podnoszą go na tyle wysoko, żeby mała Mai mogła wczłogać się pod spód.

— Nic nie widać! — krzyczy.

Mięśnie Poma i Nu się napinają; próbują powstrzymać wał przed opadnięciem. Hock Seng klęka i podaje dziewczynce nakręcaną przez potrząsanie trzęsilampkę. Jej palce ocierają się o jego dłoń, diodowa latarka znika w ciemności. Jest warta więcej niż ona. Ma nadzieję, że uda im się nie opuścić tego wału, dopóki ona tam siedzi.

— I jak?! — woła minutę później. — Jest pęknięty?

Brak odpowiedzi. Hock Seng ma nadzieję, że tam nie uwięzła. Kuca i czeka, aż Mai skończy sprawdzać. Fabryka wokół to rój krzątający — robotnicy starają się doprowadzić wszystko do porządku. Cielsko megodonta roi się od ludzi, związkowych robotników z lśniącymi maczetami i metrowymi piłami do kości, rozbierających czerwonymi rękami tę górę mięsa. Kiedy ściągają z potwora skórę, płynie krew, odsłaniając poprzerastane tłuszczem mięśnie.

Hock Seng wzdryga się na ten widok, przypominający mu podobnie poćwiartowanych ludzi, inną rzeźnię, katastrofę w innej fabryce. Zniszczone świetne magazyny. Pozabijani świetni ludzie. Wszystko to przywodzi mu na myśl czas, gdy przyszły Zielone Opaski z maczetami i spaliły mu magazyny. Juta, tamaryndowiec i sprężyny, wszystko poszło z dymem. W

płomieniach połyskiwały śliskie od krwi maczety. Odwraca wzrok, odpychając te wspomnienia. Zmusza się do oddychania.

Gdy tylko Związek Megodontów usłyszał, że padło jedno z ich zwierząt, od razu przysłał swoich fachowych rzeźników. Hock Seng próbował nakłonić ich, żeby wywlekli trupa na zewnątrz i dokończyli na ulicy — chcieliby mieć tu miejsce na naprawę napędu, lecz związkowcy odmówili, i teraz oprócz krzątanimy wynikającej z napraw i sprzątnięcia, fabryka jest pełna much i coraz bardziej cuchnie śmiercią.

Z cielska sterczą kości, jak koral wyłaniający się z oceanu ciemnoczerwonego mięsa. Spływają rzeki krwi, kierując się do odpływów kanalizacyjnych i napędzanych węglem miejskich pomp przeciwpowodziowych. Hock Seng przygląda się z goryczą, jak płyną. Potwór miał w środku setki litrów krwi. Tyle kalorii idzie do kanału. Rzeźnicy są szybcy, ale i tak rozebranie zwierzęcia zajmie im prawie całą noc.

Skończyła? — sapie Pom. Myśli Hock Senga wracają do bieżących problemów. Pom, Nu i ich rodacy dźwigają ciężki kierat. Hock Seng woła do dziury:

— Mai, co tam widzisz?!

Jej odpowiedź jest stłumiona.

— No to wyłaź! — Z powrotem kuca. Ociera pot z twarzy.

W hali jest goręcej niż w garnku z gotującym się ryżem. Wszystkie megodonty są odprowadzone do stajni, nie ma komu napędzać linii produkcyjnych ani wentylujących budynek wiatraków. Wilgotne gorąco i odór śmierci otulają ich jak koc. Równie dobrze mogliby znajdować się na miejscu rzezi nad Khlong Toey. Hock Seng walczy z odruchem wymiotnym.

Związkowi rzeźnicy wznoszą okrzyk. Rozcięli brzuch megodonta. Wypadają wnętrzności. Zbieracze podrobów — jeden w drugiego ludzie Pana Łajna — brodzą w nich i widłami zbierają do taczek to spadłe z nieba źródło kalorii. Skoro

pochodzą z tak czystego zwierzęcia, pewnie nakarmi się nimi świnie na farmach Pana Łajna na peryferiach, a może pójda do garkuchni, przed którymi stoją kolejki żółtych kart — chińskich uchodźców z Malezji, mieszkających w skwarnych wieżowcach z czasów Ekspansji, pod ochroną Pana Łajna. A to, czego nie zjedzą świnie i żółte karty, wyląduje w miejskich metanowych kompostownikach, razem z dzienną porcją skórek owoców i obornika, po czym powoli wygrzeje się na kompost i gaz, który potem oświetli ulice miasta zielonym poblaskiem urzędowo zatwierdzonego metanu.

Hock Seng drapie się z namysłem w pieprzyk w szczęśliwym miejscu. Świetny monopol. Wpływy Pana Łajna sięgają do tak wielu dzielnic miasta, że aż dziwne, że dotąd nie został premierem. Ale naturalnie, gdyby zechciał, ten ojciec ojców chrzestnych, największy *jao por*, jaki kiedykolwiek trząśł Królestwem, mógłby mieć, co tylko by sobie zażyczył.

Ale czy zechce to, co zamierzam mu zaoferować? — zastanawia się Hock Seng. Doceni taką biznesową propozycję?

Z dołu wreszcie dociera głos Mai, przerywając mu zadumę.

— Pęknięty! — krzyczy.

Chwilę później gramoli się z otworu, cała pokryta kurzem i ociekająca potem. Nu, Pom i reszta puszczają konopne liny. Kierat spada w łóżysko, podłoga się trzęsie.

Mai ogląda się na ten łomot. Hock Sengowi wydaje się, że dostrzega przeblysł strachu, świadomość, że kierat naprawdę mógł ją zmiażdżyć. Znika równie szybko, jak się pojawia. Odporne dziecko.

— Tak? — pyta. — I co dalej? Czy rdzeń też jest pęknięty?

— Tak, *Khun*, mogę potąd wsunąć rękę do pęknięcia. — Pokazuje mu, dotykając dłoni prawie w przegubie. — I tam trochę dalej jest drugie, prawie takie samo.

— *Tamade* - klnie Hock Seng. — A łańcuch?

Dziewczyna kręci głową.

— Te ogniwa, które widać, były pogięte.

— Zawołaj Lina, Leka i Chuana...

— Chuan nie żyje. — Mai macha ręką ku plamom w miejscu, gdzie megodont stratował dwóch robotników.

— Oczywiście. — Hock Seng się krzywi. Nie żyje także Noi, Kapiphon i nieszczęsny Banyat, kontroler jakości, który nigdy nie spotka się z gniewem Andersona za to, że pozwolił zanieczyścić kadzie z glonami. Kolejne wydatki. Po tysiąc bahtów dla rodzin zabitych robotników, dwa tysiące dla rodziny Banyata. Znow się krzywi. — No to znajdź kogoś innego, niedużego, z ekipy sprzątajacej, jak ty. Zejdziecie pod ziemię. Trzeba skontrolować główny łańcuch, ogniwo po ogniwie. Dopóki nie zostanie sprawdzony, nie ma mowy, żebyśmy znowu ruszyli.

— A po co ten pośpiech? — Pom się śmieje. — I tak sporo czasu upłynie, zanim znowu ruszymy. *Farang* będzie musiał wypłacić związkowi całe worki opium, żeby w ogóle zechcieli tu wrócić, po tym, jak zastrzelił Hapreeta.

— Ale jak wrócą, nie będziemy mieć kieratu numer cztery — rzuca Hock Seng. — Trzeba czasu, żeby załatwić od Korony zezwolenie na ścięcie drzewa o takiej średnicy, potem, żeby spławić je tutaj z północy, zakładając, że w ogóle w tym roku przyjdzie monsun, a przez cały ten czas nie będziemy pracować na pełnej mocy. Pomyśl sobie. Niektórzy w ogóle nie będą mieli pracy. — Wskazuje kierat. — A zostaną ci, co pracują najciężej.

Pom kiwa głową, skrywając gniew, i składa dłonie w *wai*.

— *Khun*, zapomniałem się. Nie chciałem pana urazić.

— No to świetnie. — Hock Seng potakuje i się odwraca.

Zachowuje kwaśną minę, lecz w głębi duszy się zgadza. Żeby megodonty znow zaczęły człapać w kółko wokół kieratów, trzeba będzie opium, łapówek i renegocjacji umów na dostawę

energii. Kolejne czerwone zapisy w bilansie. I to nie licząc jeszcze kosztu modlących się mnichów, kapłanów-braminów, ekspertów od feng shui, i mediów, które muszą poradzić się *phii*, żeby robotnicy się udobruchali i zechcieli pracować w tej feralnej fabryce...

— *Tan Xiansheng!*

Hock Seng unosi głowę znad obliczeń. Naprzeciwko, obok szafek robotników, siedzi na ławce *yangguizi* Anderson Lake, a lekarka opatruje mu rany. Cudzoziemski diabeł chciał najpierw, żeby zszywała go na górze, w biurze, ale Hock Seng przekonał go, żeby został tu, na hali, na oczach wszystkich robotników, żeby widzieli jego zakrwawiony, biały, tropikalny garnitur, jak u powstałego z grobu *phii*, ale przynajmniej wciąż żywego. I nieznanego strachu. Może zyskać na tym mnóstwo twarzy. Cudzoziemiec jest nieustraszony.

Cudzoziemiec popija z butelki whiskey Mekong. Posłał po nią Hock Senga, jakby ten był zwykłym służącym. Hock Seng posłał Mai — wróciła z butelką podrabianego mekongu z bardzo porządną etykietką i przyniosła dość reszty, żeby dostać parę bahtów napiwku za bystrość. Hock Seng jednocześnie patrzył jej w oczy i mówił:

— Pamiętaj, że zrobiłem to dla ciebie.

W poprzednim życiu sądziłby, że kiedy Mai poważnie kiwa głową w odpowiedzi, znaczy to, że właśnie kupił sobie odrobinę lojalności. W tym może tylko liczyć, że gdy Tajowie nagle zwrócą się przeciwko nim i postanowią wygnać wszystkich Chinoli z żółtymi kartami do pełnej rdzy pęcherzowej dżungli, Mai nie rzuci się od razu, żeby go zabić. Kupił sobie tylko odrobinę czasu. Albo i nie.

Gdy podchodzi, doktor Chan woła po mandaryńsku:

— Strasznie uparty ten pana cudzoziemski diabeł. Ciągłe tylko się rusza.

Jest żółtą kartą, tak jak on. Kolejny uchodźca, który może zarobić na życie tylko sprytem i cwanyimi przekrętami. Gdyby białe koszule odkryły, że odbiera ryż od ust tajskiemu lekarzowi... Odpycha tę myśl. Warto pomóc rodaczce, choćby na chwilę. W ramach jakiegoś zadośćuczynienia za wszystko, co się wydarzyło.

— Proszę zachować go przy życiu. — Hock Seng uśmiecha się. — On podpisuje nasze wypłaty.

— *Ting mafan* - odpowiada ze śmiechem pani doktor. — Może trochę zapomniałam, jak się macha igłą, ale dla pana podniosłabym tego brzydala z martwych.

— Jeśli jest pani taka dobra, zawołam panią, kiedy złapię cibiskożę.

Yangquizi przerywa, mówiąc po angielsku:

— Na co ona narzeka?

Hock Seng przypatruje mu się.

— Że za bardzo się pan rusza.

— Bo strasznie byle jak to robi. Powiedz jej, żeby się pośpieszyła.

— Mówi też, że miał pan dużo, dużo szczęścia. Centymetr w tę i drzazga przecięłaby tętnicę. Wtedy wykrwawiłby się pan na podłogę, tak jak reszta.

Pan Lake niespodziewanie uśmiecha się, słysząc tę informację. Jego wzrok wędruje ku rozbieranej górze mięsa.

— Drzazga. A myślałem, że to megodont mnie załatwi.

— Tak. Prawie mu się udało — mówi Hock Seng.

To by była katastrofa. Jakby inwestorzy pana Lake'a stracili serce i zrezygnowali z tej fabryki... Hock Seng krzywi się. Tym *yang quizi* manipuluje się o wiele trudniej niż panem Yatesem, mimo to, ten uparty cudzoziemski diabeł musi zostać przy życiu, chociażby po to, żeby fabryki nie zamknięto.

Irytująca jest świadomość, że kiedyś był tak blisko pana Yatesa, a teraz jest tak daleko od pana Lake'a. Przez pecha i upartego *yang guizi* musi teraz opracować nowy długoterminowy plan przetrwania i odrestaurowania swojego klanu.

— Myślę, że powinien pan uczcić swoje ocalenie — podsuwa mu. — Złożyć ofiary Kuan Yin i Budai, na szczęście.

Pan Lake uśmiecha się szeroko, wbijając w Hock Senga spojrzenie bladoniebieskich oczu. Dwa wodniste, diabelskie jeziora.

— Pewnie, kurna, że tak zrobię. — Pokazuje flaszkę mekongu, już opróżnioną do połowy. — Całą noc będę świętować.

— Może zorganizować panu dziewczyny do towarzystwa?

Twarz cudzoziemskiego diabła kamienieje. Patrzy na Hock Senga z czymś przypominającym odrazę.

— To nie należy do twoich obowiązków.

Hock Seng zachowuje pokerową twarz, ale w duchu się przeklina. Przedobrzył i ta kreatura znowu się wściekła. Pośpiesznie wykonuje przepraszające *wai*.

— Oczywiście. Nie chciałem pana urazić.

Yangguizi rozgląda się po hali. Chwilowy dobry nastrój wyparował.

— Duże są szkody?

Hock Seng wzrusza ramionami.

— Z wałem kieratu miał pan rację. Jest pęknięty.

— A główny łańcuch?

— Skontroluje się go ogniwo po ogniwie. Przy odrobinie szczęścia poszły tylko łańcuchy zdawcze.

— Mało prawdopodobne.

Cudzoziemski diabeł podaje mu butelkę whiskey. Hock Seng kręci głową, starając się ukryć obrzydzenie. Pan Lake uśmiecha

się porozumiewawczo i pociąga z butelki. Ociera usta wierzchem ręki.

Związkowi rzeźnicy znów wydają okrzyk, gdy z megodonta tryska kolejny strumień krwi. Jego głowa leży teraz pod kątem, na wpół oddzielona od reszty ciała. Cielsko stopniowo coraz bardziej przypomina zestaw oddzielnych elementów. To już nie jest zwierzę, tylko dziecięca zabawka — zbuduj sobie sam megodonta.

Hock Seng zastanawia się, czy dałoby się jakoś zmusić związek, żeby dał mu działkę ze sprzedaży czystego mięsa. Wydaje się to nieprawdopodobne, gdy się widzi, jak się tu rządzą, ale może przy renegocjacji kontraktu na energię albo kiedy przyjdą po odszkodowania.

— Weźmie pan głowę? — pyta Hock Seng. — Można z niej zrobić trofeum.

— Nie. — *Yang guizi* wygląda na urażonego.

Hock Seng stara się nie krzywić. Denerwująca jest praca z tą kreaturą. Ma nieprzewidywalne nastroje i stale jest agresywny. Jak dziecko. W jednej chwili radosne, w drugiej nadąsane. Hock Seng tłumi irytację; pan Lake tak ma, i tyle. Karma uczyniła go cudzoziemskim diabłem, a karma Hock Senga zetknęła ich ze sobą. Kiedy głodujesz, to nie krytykuj jakości ryżu U-*Tex*.

Pan Lake chyba zauważa jego minę, więc się tłumaczy.

— To nie było polowanie. To była eksterminacja. Kiedy trafiłem go tymi strzałkami, już był martwy. Nie ma w tym ani krzty sportu.

— A, oczywiście. Bardzo honorowo.

Hock Seng tłumi rozczarowanie. Gdyby cudzoziemski diabeł zażyczył sobie głowy, mógłby zastąpić resztki kłów atrapą z palmowego tworzywa i sprzedać kość słoniową doktorom z okolic Wat Boworniwet. A teraz nawet te pieniądze przepadną.

Co za marnotrawstwo. Zastanawia się, czy nie wyjaśnić mu sytuacji, powiedzieć o wartości leżącego przed nimi mięsa, kalorii i kości słoniowej, ale postanawia, że nie. Cudzoziemski diabeł nie zrozumie, a i bez tego wystarczająco szybko się wścieka.

— Cheshire’y przyszły — rzuca pan Lake.

Hock Seng zerka, gdzie pokazuje *yang guizi*. Na skraju krwawej jatki pojawiły się migotliwe kocie kształty; zwabione zapachem padliny iskierki światłocienia. *Yang guizi* krzywi się z niesmakiem, Hock Seng jednak żywi dla nich odrobinę szacunku. Są sprytne, żyją i mnożą się tam, gdzie się nimi pogardza. A upór mają niemal nadprzyrodzony. Czasem jakby wyczuwały krew, zanim zostanie przelana. Jakby potrafiły odrobinę zajrzeć w przyszłość i dokładnie widziały, gdzie pojawi się następny posiłek. Rozmigotane sylwetki podkradają się do lepkich kałuż krwi. Rzeźnik odgania jednego nogą, ale jest ich za dużo, by z nimi walczyć.

— W życiu się ich stąd nie pozbędziemy. — Pan Lake pociąga whiskey.

— Są dzieciaki, które na nie polują — odpowiada Hock Seng. — Za drobną nagrodą.

— U nas na Środkowym Zachodzie też były nagrody. — *Yang guizi* krzywi się lekceważąco.

Nasze dzieciaki mają lepszą motywację od waszych.

Nie sprzeciwia się jednak słowom cudzoziemca. I tak wypłaci nagrody. Jeśli pozwoli się kotom zostać, robotnicy zaczną plotkować, że wypadek spowodował Phii Oun, duch-psotnik, który przybiera postać cheshire’a. Diabłokoty podchodzą bliżej. Szylkretowy, rudy, czarny jak noc — wszystkie to pojawiają się, to znikają, gdy ich sierść przybiera barwę otoczenia. Unurzane w kałuży krwi barwią się na czerwony odcień.

Hock Seng słyszał, że podobno cheshire'y zostały stworzone dla jakiegoś dyrektora od kalorii — pewnie z PurCalu albo AgriGenu — w prezencie urodzinowym dla córki. Atrakcja na przyjęcie z okazji osiągnięcia przez małą księżniczkę wieku Alicji z Lewisa Carrolla.

Zaproszone dzieci wzięły sobie po zwierzaku do domu, gdzie te sparzyły się ze zwykłymi kotami i po dwudziestu latach na każdym kontynencie było pełno diabłokotów, a *Felis domesticus* zniknął z powierzchni Ziemi, wyparty przez zestaw genów, który dominował w dziewięćdziesięciu ośmiu procentach przypadków. Malezyjskie Zielone Opaski nienawidziły cheshire'ów na równi z Chińczykami, ale, o ile Hock Sengowi wiadomo, diabłokoty nadal żyją tam sobie w najlepsze.

Yang guizi krzywi się, gdy doktor Chan znów kłuje go igłą, i rzuca jej spojrzenie spode łba.

— No kończ już — mówi do niej. — Ale już.

Lekarka wykonuje ostrożne *wai*, maskując lęk.

— Znowu się poruszył — szepcze do Hock Senga. — Ten środek znieczulający strasznie słabo działa. Nie jestem przyzwyczajona.

— Proszę się nie przejmować — odpowiada Hock Seng. — Dlatego dałem mu whiskey. Proszę skończyć. Ja sobie z nim poradzę. — A do Lake'a *Xianshenga* mówi: — Już prawie skończyła.

Cudzoziemiec znów się wykrzywia, ale już jej nie grozi, a lekarka wreszcie kończy go zszywać. Hock Seng bierze ją na bok i wręcza kopertę z pieniędzmi. Dziękuje mu, składając dłonie w *wai*, lecz on kręci głową.

— Dodałem jeszcze premię. Chciałbym, żeby doręczyła pani list. — Podaje jej kolejną kopertę. — Chcę porozmawiać z szefem wieżowca, w którym pani mieszka.

— Z Kundlojebcą? — Krzywi się z niesmakiem.

— Gdyby usłyszał, jak go pani nazywa, wyróżnaby niedobitki pani rodziny.

— To ciężki gość.

— Proszę po prostu zanieść ten list. To wystarczy.

Bierze kopertę.

— Jest pan dobry dla naszej rodziny. Sąsiedzi też pana chwala. Proszę złożyć ofiary za wasze... straty.

— To i tak wszystko za mało. — Hock Seng zmusza się do uśmiechu. — W każdym razie: my, Chińczycy, musimy się trzymać razem. W Malezji mogliśmy sobie być Hokkien, Hakka, albo Piątą

Falą, ale tutaj wszyscy jesteśmy żółtymi kartami. Przykro mi, że nie mogę zrobić więcej.

— To i tak więcej, niż uczynił ktokolwiek inny. — Dziękuje mu gestem *wai*, naśladując tajskie maniery, i odchodzi.

— Żółta karta, nie? — Pan Lake patrzy za nią.

Hock Seng kiwa głową.

— Tak. Na Malakce była lekarzem. Przed Incydemtem.

Amerikanin milczy, jakby trawił tę informację.

— Była tańsza niż taj ski lekarz?

Hock Seng zerka *nayangguizi*, próbując dojść, co chce usłyszeć. Wreszcie mówi:

— Tak. Dużo tańsza. A równie dobra. Może i lepsza. Ale dużo tańsza. Nie pozwalają nam tutaj wchodzić w tajskie nisze. Więc ma bardzo niewiele pracy, poza leczeniem żółtych kart — które z kolei niewiele mogą zapłacić. Jest bardzo wdzięczna za tę pracę.

Pan Lake kiwa z namysłem głową. Hock Seng zastanawia się, co myśli. Ten człowiek to zagadka. Hock Sengowi czasem wydaje się, że *yang guizi* są za głupi, by zawojować świat raz, a co dopiero dwa razy. Udało im się podczas Ekspansji, a potem — choć kryzys energetyczny wygnał ich do siebie — powrócili,

ze swoimi firmami kalorycznymi i opatentowanym ziarnem... Muszą ich chronić nadprzyrodzone siły. Na dobrą sprawę pan Lake powinien nie żyć, zamieniony w plamę ludzkich flaków, wymieszany z trupami Banyata, Noi i tego bezimiennego durnego poganiacza z czwartego kieratu, przez którego ten potwór się wściekł. A tymczasem cudzoziemski diabeł siedzi sobie, skarży się na ukłucia maleńkiej igły i zupełnie się nie przejmuje, że w okamgnieniu zabił dziesięcotonowe zwierzę. Ci *yang guizi* to faktycznie dziwne stwory. Bardziej obce, niż podejrzewał, nawet wtedy, gdy regularnie z nimi handlował.

— Trzeba będzie znowu zapłacić tym mahutom. Przekupić ich, żeby wrócili do roboty — zauważa Hock Seng.

— Tak.

— I trzeba będzie wynająć mnichów, żeby poświęcili fabrykę. Żeby robotnicy się uspokoili. Udobruchać *phii*. - Hock Seng się waha. — To będzie sporo kosztowało. Ludzie zaczną gadać, że w fabryce mieszkają złe duchy. Że jest w złym miejscu, albo domek dla duchów jest za mały. Albo, że kiedy ją budowaliście, wycięliście drzewo, w którym mieszkały *phii*. Trzeba będzie sprowadzić wróżbitę, a może i mistrza feng shui, żeby ich wszystkich przekonać, że wszystko jest w porządku. A mahuci żądają jeszcze dodatku za ryzyko...

— Mahutów chcę wymienić — przerywa mu pan Lake. — Wszystkich.

— To niemożliwe — cedzi Hock Seng. — Związek Megodontów trzyma łapę na wszystkich kontraktach na energię w tym mieście. Z rządowego upoważnienia. Białe koszule przyznały im ten monopol. Na związek nic nie poradzimy.

— Są niekompetentni. Nie chce ich widzieć. Już nie.

Hock Seng próbuje zgadnąć, czy *farang* żartuje. Uśmiecha się z wahaniem. To Królewski Mandat. Można by równie dobrze chcieć wymienić Ministerstwo Środowiska.

— To jest myśl. — Pan Lake się śmieje. — Mógłbym się dogadać z Carlyle'em i Synami i zacząć codziennie się skarżyć na podatki i ustawę o węglowych kredytach. Przekonać Ministra Handlu,

Akkarata, żeby wziął naszą stronę. — Wbija wzrok w Hock Senga. — Ale ty nie lubisz tak działać, nie? — Jego spojrzenie nagle staje się zimne. — Lubisz cienie i targi. Załatwić sprawy po cichu.

Hock Seng przełyka ślinę. Błada skóra i niebieskie oczy diabła są zaiste przerażające. Zupełnie jak diablokot i tak samo świetnie się czuje na wrogiej ziemi.

— Byłoby nierozsądne rozdrażnianie białych koszul — mamrocze. — Gwóźdź, co wystaje, pierwszy dostaje w łeb.

— Złotokarciane gadanie.

— Może i tak. Ale ja żyję, a inni zginęli, a Ministerstwo Środowiska jest bardzo silne. Generał Pracha i jego białe koszule przetrwały każdy zamach. Nawet ten z dwunastego grudnia. Jak się chce drażnić kobrę, trzeba być przygotowanym, że ukąsi.

Pan Lake ma taką minę, jakby miał się sprzeciwić, ale tylko wzrusza ramionami.

— Ty wiesz najlepiej.

— Za to mi pan płaci.

Yangguizi wpatruje się w truchło megodonta.

— Nie powinien móc uwolnić się z uprzęży. — Pociąga kolejny łyk z butelki. — Łańcuchy były przerdzewiałe, sam sprawdzałem. Nie zapłacimy ani grosza odszkodowania. Bez dyskusji. To moje ostatnie słowo. Gdyby zabezpieczyli swoje zwierzę, nie musiałbym go zabijać.

Hock Seng pochyla głowę w milczącym geście zgody, choć głośno tego nie powie.

— *Khun*, nie będzie innej możliwości.

Pan Lake uśmiecha się zimno.

— No tak, oczywiście. Są monopolistami. — Krzywi się. — Dureń z Yatesa, że tu zainwestował.

Hock Seng czuje dreszcz niepokoju. *Yang guizi* nagle przypomina rozgniewane dziecko. A dzieci są lekkomyślne. Dzieci robią różne rzeczy, żeby zdenerwować białe koszule albo związki. A czasem po prostu zabierają zabawki i uciekają na swoje podwórko. To faktycznie niepokojąca myśl. Andersonowi Lake'owi i jego inwestorom nie wolno uciec. Jeszcze nie.

— Jakie są nasze straty na tę chwilę? — pyta pan Lake.

Hock Seng waha się, potem zbiera się w sobie przed podaniem złych informacji.

— Ze stratą megodonta i kosztami uspokajania związku? Pewnie jakieś dziewięćdziesiąt milionów bahtów?

Dobiega go okrzyk Mai, która macha na niego. Nie musi się oglądać, żeby wiedzieć, że to złe nowiny.

— Zdaje się, że pod podłogą też są uszkodzenia. Drogie w naprawie. — Przerywa na moment przed poruszeniem delikatnego tematu. — Trzeba będzie poinformować pana inwestorów, panów Gregga i Yee. Możliwe, że nie wystarczy nam gotówki na naprawy oraz instalację i wykalibrowanie nowych kadzi, kiedy tu dotrą. Będziemy potrzebować nowego finansowania.

Czeka niespokojnie, zastanawiając się, jak zareaguje *yangguizi*. Pieniądze czasami płyną przez firmę tak szybko, jakby to była woda, a jednak Hock Seng wie, że to nie będzie dobra wiadomość. Inwestorzy czasami wściekają się na kolejne wydatki. Zna pana Yatesa, kłótnie o pieniądze były na porządku dziennym. Teraz, gdy pojawił się pan Lake, inwestorzy tak bardzo nie narzekają, ale i tak wydają niesamowitą sumę pieniędzy na czyjeś marzenie. Gdyby Hock Seng prowadził tę firmę, zamknąłby ją dobry rok temu.

Jednakże pan Lake przyjmuje wiadomość, nie mrugnawszy okiem. Mówi tylko:

— Więcej pieniędzy. — Odwraca się do Hock Senga. — A kiedy zejdą z cła kadzie na glony i pożywki? — pyta. — Kiedy, ale poważnie, kiedy?

Hock Seng blednie.

— To ciężka sprawa. Bambusowa kurtyna nie rozsuwa się w jeden dzień. Ministerstwo Środowiska lubi się wtrącać.

— Mówiłeś, że zapłaciłeś, żeby białe koszule się odczepiły.

— Tak. — Hock Seng pochyla głowę. — Rozdałem wszystkie prezenty, jakie wypada rozdać.

— To czemu Banyat narzekał na zanieczyszczone kadzie? Skoro rozmnażają się w nich żywe organizmy...

Hock Seng pośpiesznie mu przerywa:

— Wszystko jest na lądowisku. Carlyle & Sons przywieźli je w zeszłym tygodniu... — Podejmuje decyzję. *Yang guizi* musi usłyszeć jakieś dobre nowiny. — Jutro dostawa przejdzie przez cło. Bambusowa kurtyna się rozejdzie i pana dostawa przyjedzie na grzbietach megodontów. — Zmusza się do uśmiechu. — Chyba że chce pan teraz wywalić wszystkich związkowców?

Diabeł kręci głową, nawet uśmiecha się lekko na ten żart i Hock Seng czuje przyływ ulgi.

— Czyli jutro. Ale na pewno?

Hock Seng bierze się w garść i pochyla głowę na zgodę, modląc się, żeby to była prawda. Cudzoziemiec nie spuszcza zeń spojrzenia błękitnych oczu.

— Wydajemy tu bardzo dużo pieniędzy. Ale jest jedna rzecz, której inwestorzy nie będą tolerować: niekompetencja. I ja też nie będę tego tolerować.

— Rozumiem.

Pan Lake kiwa głową z satysfakcją.

— No to świetnie. Wstrzymamy się z rozmową z centralą. Zadzwoń, kiedy z cła przyjdzie nowy sprzęt. Będzie trochę dobrych informacji i trochę złych. Nie chcę prosić o pieniądze, kiedy nie mogę im nic pokazać. — Znów patrzy na Hock Senga. — Bo tego byśmy nie chcieli, prawda?

Hock Seng zmusza się do skinięcia głową.

— Dokładnie jak pan mówi.

Pan Lake pociąga łyk z butelki.

— Świetnie. To teraz sprawdź, jak poważne są uszkodzenia. Jutro z rana ma być raport.

Odprawiony w ten sposób Hock Seng idzie przez halę ku czekającej przy kieracie ekipie, z nadzieją że ma rację z tą dostawą. Że naprawdę ją puszcza. Że zdarzenia przemówią same za siebie, udowadniając jego prawdomówność. Taki hazard, ale pozytywny. Zresztą, diabeł i tak nie chciałby słyszeć tylu złych informacji naraz.

Kiedy dociera do osi kieratu, Mai otrzepuje się po kolejnej wyprawie do dziury.

— I jak to wygląda? — pyta Hock Seng. Kierat jest całkowicie odłączony od linii. Potężny tekowy pał leży wyciągnięty na ziemi. Pęknięcia są wielkie i widoczne na pierwszy rzut oka. Woła w dół: — Duże szkody?!

Minutę później wypełza umazany smarem Pom.

— Strasznie ciasne te tunele — dyszy. — Do niektórych w ogóle nie wleżę. — Ociera ręką pot i brud. — Łańcuch zdawczy na pewno, a co jeszcze, nie będzie wiadomo, dopóki nie pošlemy dzieciaków, żeby sprawdziły wszystkie ogniwa. Jeśli uszkodzony jest główny łańcuch, trzeba będzie zdejmować podłogę.

Hock Seng zagląda do otworu po kieracie, wracając pamięcią do tuneli, szcurów i bojaźliwej roślinności w dżungli na południu.

— Powiemy Mai, żeby przyprowadziła kolegów.

Jeszcze raz szacuje straty. Sam był właścicielem takich budynków. Kiedyś. Magazynów pełnych towarów. A teraz, patrzcie go, chłopak na posyłki u *yang guizi*. Stary człowiek z ciałem, które zaczyna go zawodzić i klanem odchudzonym teraz do jednej głowy. Wzdycha i tłumi frustrację.

— Zanim znowu będę gadać z *farangiem*, chcę wiedzieć dokładnie, jakie są uszkodzenia. Żeby już nie było żadnych niespodzianek.

— Tak jest, *Khun*. - Pom składa ręce w *wai*.

Hock Seng idzie do biura, utykając przez pierwsze parę kroków, potem dopiero przypomina sobie, że ma nie oszczędzać nogi. Po zabieganym dniu boli go kolano, przypominając o jego własnym starciu z napędzającymi fabrykę potworami. Wbrew sobie zatrzymuje się na ostatnim stopniu i przygląda zwłokom megodonta i miejscom, gdzie zginęli robotnicy. Wspomnienia drapią go i dziobią, wirując jak czarne wrony, chcąc opanować jego głowę. Zginęło tylu znajomych. Cała rodzina. Cztery lata temu był grubą rybą. A teraz? Niczym.

Napiera na drzwi. W biurze jest cicho. Puste biurka, kosztowne pedałowe komputery, kołowa bieżnia i jej maleńki ekranik do łączności, potężne kasy pancerne. Gdy rozgląda się po nim, z cieni wyskakują, wymachując maczetami, religijni fanatycy w zielonych przepaskach na czołach, ale to tylko wspomnienia.

Zamyka drzwi za sobą, izolując się od odgłosów ćwiartowania i napraw. Zmusza się, by nie podchodzić po raz kolejny do okna, nie patrzeć na krew i trupa. Nie nurzać się we wspomnieniach krwi płynącej rynsztokami Malakki i głów Chińczyków ułożonych w przymy, jak duriany na targu.

To nie Malezja, powtarza sobie. Jesteś bezpieczny.

Ale obrazy nie ustępują. Wyraźne jak zdjęcia, jaskrawe jak fajerwerki na święto wiosny. Choć od Incydentu minęły cztery lata, nadal musi odprawiać rytuały na uspokojenie. Kiedy podle

się czuje, prawie każdy przedmiot kojarzy się z zagrożeniem. Zamyka oczy, zmusza się do głębokiego oddechu, myśli o błękitnym oceanie, o swojej flocie białych kliprów na falach... Bierze następny głęboki wdech i otwiera oczy. Biuro znów jest bezpieczne. Nic poza ustawionymi w równiutkie rzędy pustymi biurkami i zakurzonymi pedałowymi komputerami. Okienne chronią przed żarem tropikalnego słońca. Pył w powietrzu i kadzidło.

Naprzeciwko niego, głęboko w cieniu, niewyraźnie połyskują dwie firmowe kasy pancerne, żelazo i stal. Czają się tam i kpią z niego. Ma klucze do jednej, tej z podręczną gotówką. Ale druga, wielką, może otworzyć tylko pan Lake.

Tak niewiele brakuje, myśli.

W środku leżą sobie plany. Centymetry od niego. Widział je rozłożone. Próbki DNA genhakowanych glonów, ich mapy genetyczne na półprzewodnikowych infokostkach. Specyfikacja procesu hodowli i przetwarzania ich wydzielin na smar i proszek. Opis niezbędnego hartowania, żeby włos sprężyny zaabsorbował nowe pokrycie. W zasięgu ręki ma następną generację urządzeń do magazynowania energii. A to oznacza nadzieję na wskrzeszenie dla niego i jego klanu.

Yates bełkotał i pił, a Hock Seng dolewał mu *baijiu*, słuchał wynurzeń i przez ponad rok budował w nim zaufanie i zależność. I wszystko na nic. Teraz podchodzi do tego sejfu, którego nie umie otworzyć, bo Yates był na tyle głupi, że ściągnął na siebie gniew inwestorów, i zbyt niekompetentny, by zrealizować swoje marzenie.

Tu czekają na zbudowanie nowe imperia — jeśli Hock Sengowi uda się położyć rękę na tych dokumentach. Bo ma tylko niekompletne kopie z czasów, kiedy leżały sobie porzrucane na biurku Yatesa, zanim pijany bałwan kupił tę przeklętą kasę.

Teraz od planów dzieli go klucz, szyfr i żelazna ściana. Kasa pancerna jest porządna, Hock Seng zna tę markę. Sam

korzystał z takiej, kiedy był grubą rybą i miał wymagające ochrony dokumenty. To denerwujące — może najbardziej ze wszystkiego — że cudzoziemskie diabły używają sejfów tej samej firmy co on w swoim malezyjskim imperium handlowym: YingTie. Chińskie narzędzie, wygięte na potrzeby cudzoziemców. Całe dni wpatrywał się w ten sejf. Medytował nad zawartą w nim wiedzą...

Tknięty nagłą myślą, przechyla głowę.

A zamknął go pan, panie Lake? W tym zamieszaniu, może znowu zapomniał go pan zamknąć?

Serce bije mu mocniej.

Zapomniał pan?

Panu Yatesowi się zdarzało.

Próbuje opanować rosnące podniecenie. Kuśtyka do sejfu. Staje przed nim. Jego świątynka, przedmiot czci. Monolit z kutej stali, nieprzenikniony dla niczego poza cierpliwością i diamentowymi wiertłami. Codziennie siada przed nim i czuje, jak z niego drwi.

Czyżby to miało być takie proste? Czy to możliwe, że w pośpiechu pan Lake po prostu zapomniał go zamknąć?

Z wahaniem wyciąga dłoń i kładzie ją na klamce. Wstrzymuje oddech. Modli się do przodków, modli się do słońcogłowego Phra Kaneta, tajskiego boga pogromcy przeszkód, do wszystkich bogów, jakich zna. Napiera na klamkę.

Tysiąc *jinów* wagi stali opiera mu się, opór stawia każda cząsteczka.

Hock Seng wypuszcza powietrze i odstępuje, usiłując opanować rozczarowanie.

Cierpliwości. Każdy sejf ma klucz. Gdyby pan Yates nie był tak niekompetentny, gdyby jakoś nie rozwścieczył inwestorów, stanowiłby idealny klucz. A teraz musi nim zostać pan Lake.

Pan Yates, instalując tu sejf, żartował, że to dla bezpieczeństwa rodzinnych klejnotów, i śmiał się przy tym. Hock Seng zmuszał się do kiwania głową, robienia *wai* i do uśmiechów, ale jedyne o czym myślał, to jak cenne są te plany i jak głupi był, że nie kopiował ich szybciej, kiedy miał do nich dostęp.

A teraz nie ma Yatesa, a na jego miejscu siedzi nowy diabeł. Prawdziwy diabeł. Niebieskooki, złotowłosy i twardy tam, gdzie Yates był miękki. Niebezpieczna kreatura, sprawdzająca wszystko po Hock Sengu, wszystko potwornie utrudniająca, a jednak trzeba ją jakoś przekonać, żeby zdradziła tajemnice firmy. Hock Seng sznuruje usta. Cierpliwość. Trzeba być cierpliwym. Cudzoziemski diabeł popełni w końcu jakiś błąd.

— Hock Seng!

Hock Seng idzie ku drzwiom i macha na dół do pana Lake'a, potwierdzając, że usłyszał wołanie, ale zamiast od razu zejść po schodach, kieruje się do kapliczki.

Pada na twarz przed obrazem Kuan Yin i błaga, żeby zlitowała się nad nim i jego przodkami. Żeby dała mu szansę na odkupienie siebie i rodziny. Pod złotym ideogramem symbolizującym przychylność losu, zawieszonym do góry nogami, tak aby spływała ona na niego, umieszcza porcję ryżu U-*Tex* i rozkrawa czerwoną pomarańczę. Sok spływa mu po ręce — dojrzały, wolny od zanieczyszczeń i kosztowny. Dla bogów nie można kroić za cienko — lubią tłuste, nie chude. Zapala kadzidełko.

Gdy dym wije się w nieruchomym powietrzu, ponownie wypełniając biuro, Hock Seng się modli. Modli się o niezamknięcie fabryki, modli się, żeby łapówki pomogły przeprowadzić bez kłopotów nowy sprzęt przez bambusową kurtynę. Żeby cudzoziemski diabeł, pan Lake, stracił głowę i zanadto mu zaufał oraz żeby przeklęty sejf otworzył się i ujawnił mu swoje sekrety.

Hock Seng modli się o szczęście. Nawet stary Chińczyk z żółtą kartą potrzebuje szczęścia.

III

Emiko popija whiskey, ubolewa, że nie jest pijana, i czeka na sygnał od Kanniki, że zaczyna się seans poniżania. Pewna część jej jaźni wciąż się przeciw temu buntuje, ale reszta — ta, która siedzi sobie w odsłaniającym talię zakieciku i obcisłej spódnicy *pha sin*, ze szklanką whiskey w rękę — nie ma energii, żeby walczyć.

A potem przychodzi jej do głowy myśl, że może jest na odwrót, że do samozniszczenia dąży właśnie część odpowiedzialna za zachowanie złudzenia szacunku dla samej siebie. Że ciało to zbiorowisko komórek i zmanipulowanego DNA — mające własne, silniejsze, bardziej przyziemne potrzeby — jest tą odporniejszą częścią, tą wykazującą jeszcze wolę.

Czy nie dlatego siedzi tutaj, słucha stukania pałeczek i jęków *pi klangu*, gdy tancerki wyginają się w świetle robaczków świętojańskich, a mężczyźni i dziwki zachęcają je okrzykami? Czy to dlatego, że brak jej woli, żeby umrzeć? Czy dlatego, że jest zbyt uparta, by na to pozwolić.

Raleigh mówi, że wszystko dzieje się w cyklach, jak przyływ i odpływ na plażach Koh Samet, jak unoszenie się i opadanie członka mężczyzny, kiedy jest z piękną kobietą. Raleigh poklepuje dziewczyny po nagich tyłkach, śmieje się z żartów nowej fali *gaijinów* i powtarza Emiko, że cokolwiek chcą z nią zrobić, pieniądze to pieniądze i nie ma nic nowego pod słońcem. Może zresztą ma rację. Wszystko, czego żąda Raleigh, było już kiedyś od kogoś żądane. Cokolwiek wymyśla Kannika, żeby ją bolało, żeby krzyczała, nie jest naprawdę nowe. Oprócz tego, że zmusza do tych krzyków i jęków nakręcaną dziewczynę. To przynajmniej jest jakaś nowość.

No zobaczcicie! Prawie jak człowiek!

Gendo-sama mawiał kiedyś, że ona jest więcej niż człowiekiem. Po seksie gładził ją po czarnych włosach i mówił, że według niego to szkoda, że Nowi Ludzie nie cieszą się większym szacunkiem i że jej ruchy nigdy nie będą płynne. Ale w końcu, czyż nie ma idealnego wzroku, doskonałej skóry, genów odpornych na choroby i nowotwory — czemu miałyby narzekać? Przynajmniej nigdy nie posiwieją jej włosy i nie zestarzeje się tak szybko jak on, mimo przywracających młodość operacji, pigułek, smarowideł i ziół.

Gładził ją po włosach i mówił: „Jesteś piękna, mimo że jesteś Nowym Człowiekiem. Nie wstydz się tego”.

A Emiko wtulała się w jego objęcia. „Wcale się nie wstydzę”.

To jednak działo się w Kyoto, gdzie często widziało się nowych ludzi, gdzie dobrze pracowali i czasem byli nawet trochę szanowani. Nie tak jak ludzie, ale z pewnością też nie uważano ich za takie zagrożenie, jak tutaj wśród tych dzikusów, z pewnością nie za diabły, przed jakimi ostrzegają grahamici ze swych ambon, czy bezduszne stwory z piekła rodem, jak mówią o nich buddyjscy mnisi z lasu, niezdolne zyskać duszę, miejsce w cyklach ponownych narodzin czy dążenie do nirwany. Nie za obrazę boską, jak uważają Zielone Opaski.

Japończycy byli praktyczni. Starzejąca się ludność potrzebowała młodych pracowników do wszelkich prac. I co z tego, że rodzili się z probówek i dorastali w żłobkach? To żaden grzech. Japończycy byli praktyczni.

I czy nie dlatego tu tkwisz? Bo Japończycy są tak bardzo praktyczni? Choć wyglądasz jak oni, mówisz ich językiem, choć Kyoto to jedyny dom, jaki znasz, Japonką nie jesteś.

Ukrywa twarz w dłoniach. Zastanawia się, czy znajdzie klienta, czy też zostanie sama do końca wieczoru, a potem, czy właściwie wie, co by wolała.

Raleigh mówi, że nie ma nic nowego pod słońcem, ale kiedy dziś powiedziała, że jest Nowym Człowiekiem, a Nowych Ludzi wcześniej nie było, zaśmiał się, powiedział, że ma rację, że jest wyjątkowa, i kto wie, może to znaczy, że wszystko jest możliwe. A potem klepnął ją w tyłek i powiedział, że ma wejść na scenę i pokazać, jak jest wyjątkowa.

Emiko wodzi palcami po mokrych kólkach na barze. Ciepłe piwa stoją i pocą się, tworząc wilgotne pierścienie, śliskie jak dziewczyny i faceci, śliskie jak jej skóra, kiedy ją natłuści, by lśniła, by w dotyku mężczyzn była miękka jak masło. Miękka jak tylko może być skóra, albo i bardziej, bo ruchy może i ma urywane, zacinające się, stroboskopowe, ale skórę więcej niż doskonałą. Nawet swoimi ulepszonymi oczyma ledwo jest w stanie wypatrzeć pory na własnej skórze. Są takie drobne. Takie delikatne. Takie optymalne. Ale stworzone pod Japonię i klimatyzowane wnętrza bogatych ludzi, nie dla tego kraju. Tutaj jest jej za gorąco i za mało się poci.

Ciekawe, czy gdyby była innym zwierzęciem, powiedzmy, bezmyślnym włochatym cheshire'em, czy byłoby jej chłodniej. Nie dlatego, że miałaby większe i wydajniejsze pory, a jej skóra nie byłaby tak boleśnie nieprzenikalna, tylko po prostu dlatego, że nie musiałyby myśleć. Nie musiałyby mieć świadomości, że w tej duszącej, nieprzenikalnej skórze uwięził ją jakiś denerwujący naukowiec z próbkami, mieszający DNA jak confetti, który uczynił jej ciało tak gładkim, a wewnątrz tak gorącym.

Kannika chwyta ją za włosy.

Emiko traci dech od niespodziewanego ataku. Szuka pomocy, ale nie interesuje się nią żaden inny klient. Patrzą na dziewczyny na scenie. Koleżanki Emiko natomiast obsługują gości, wlewają w nich whiskey Khmer, siadają im na kolanach i przesuwają dłońmi po piersiach. Zresztą, one też za nią nie przepadają. Nawet te o dobrym sercu, *jai dee*, które trochę

przejmują się losem kogoś takiego jak nakręcanka, nie będą interweniować.

Raleigh rozmawia z innym *gaijinem* i śmieje razem z nim, lecz spojrzenie jego wiekowych oczu jest utkwione w Emiko. Czeka, co zrobi.

Kannika szarpie ją jeszcze raz.

— *Bai!*

Emiko posłusznie schodzi z barowego stołka i swoim podrygującym krokiem idzie na kolistą scenę. Wszyscy mężczyźni się śmieją i pokazują sobie japońską nakręcankę oraz jej urywany, nieregularny chód. Dziw natury wyrwany ze swojego naturalnego środowiska, od urodzenia tresowany do gięcia się w ukłonach.

Emiko próbuje nabrać dystansu do tego, co się zaraz stanie. Nauczono ją traktować to beznamiętnie. Żłobek, w którym się urodziła i uczyła, nie miał złudzeń co do zastosowań Nowych Ludzi, nawet tak wyrafinowanych jak ona. Nowi Ludzie mają służyć i nie zadawać zbędnych pytań. Zmierza ku scenie starannymi kroczkami eleganckiej kurtyzany, wystudiowanymi, umyślnymi ruchami, podkreślającymi jej piękno i niezwykłość. Ale dla tego motłochu to perły przed wieprze. Oni widzą tylko przerywane ruchy. Taki żart. Zagraniczną zabawkę. Nakręcankę.

Każą jej się rozebrać.

Kannika przyska wodą na jej natłuszczoną skórę. Emiko lśni od kropli. Twardnieją jej sutki. Nad nimi wiją się i kręcą robaczki świętojańskie, promieniając godową fosforescencją. Mężczyźni śmieją się z niej. Kannika uderza ją w udo i zmusza do ukłonu. Wali po tyłku mocno, żeby zapiekło, każe skłonić się niżej, bić pokłony tym małym ludziom, którzy mają się za awangardę jakiejś nowej Ekspansji.

Śmieją się, machają, pokazują palcami i zamawiają więcej whiskey. Raleigh szczerzy się ze swojego miejsca w rogu, czuły starszy wujek, z przyjemnością uczący nowych gości — korporacyjnych wyrobników i wyrobniczki, pijanych fantazją o międzynarodowych spekulacjach — dekadencji starego świata. Kannika gestem nakazuje jej klęknąć.

Gaijin z czarną brodą, ogorzały jak marynarz z klipra, patrzy z odległości kilkunastu centymetrów. Emiko zagląda mu w oczy. On gapi się w skupieniu, jakby badał owada pod lupą: z fascynacją, ale i wstrętem. Ma wielką ochotę warknąć na niego, zmusić, by dojrzał w niej osobę, a nie tylko taksował, jak jakiś genetyczny śmieć. A jednak kłania się i w geście pokory tłucze głową o tekowe deski, a Kannika tymczasem opowiada gościom po tajsku historię jej życia. Że kiedyś była zabawką bogatego Japończyka. A teraz należy do nich — mogą się nią pobawić, albo nawet zepsuć.

Potem łapie ją za włosy i unosi głowę szarpnięciem. Emiko traci dech, wygina ciało. Kątem oka widzi brodatego faceta wytrzeszczającego oczy na ten nagły brutalny gest, na to poniżenie. Miga jej cały tłum. Potem sufit, klateczki z robaczkami świętojańskimi. Kannika ciągnie ją dalej w tył, zginając jak wierzbę, zmuszając do wypięcia piersi, wygina ją jeszcze bardziej, każąc rozłożyć uda, żeby nie przewróciła się na bok. Dotyka głową desek sceny. Jej ciało tworzy idealny łuk. Kannika mówi coś, publiczność się śmieje. Wygięty grzbiet i szyja potwornie bołą. Czuje na sobie wzrok tłumu, jak coś fizycznego, molestującego ją. Jest stuprocentowo bezbronna.

Zalewa ją jakaś ciecz.

Próbuje się podnieść, ale Kannika przyciska ją i dalej leje piwo na jej twarz. Emiko dławi się i prycha, topi się. Wreszcie Kannika ją puszcza, Emiko prostuje się raptownie, kaszląc. Płyn pieni się na jej podbródku, leje się po szyi i piersiach, spływa strużką do krocza.

Wszyscy się śmieją. Saeng już podaje brodatemu nowe piwo, a on z uśmiechem daje mu napiwek i wszyscy rechocą, patrząc, jak przerażona Emiko wykasłuje ciecz z płuc. Jest teraz tylko głupekowaną marionetką, sprowadzoną do urywanych ruchów — trzęsinoga, trzęsilapa — bez śladu wystudiowanego wdzięku, który wpoila jej w żłobku pani Mizumi-sensei. Jej ruchom brak już elegancji i staranności; zdradzieckie cechy DNA objawiają się gwałtownie, żeby wszyscy widzieli i szydzili.

Kaszle dalej, niemal wyrzucając piwo z płuc. Jej kończyny drgają w skurczach i trzepocą, ukazując wszem wobec prawdziwą naturę Emiko. Wreszcie udaje się jej złapać głębszy oddech. Opanowuje beładne ruchy. Nieruchomieje, klęka, czeka na kolejny cios.

W Japonii była cudem. Tu jest tylko nakręcanką. Śmieją się z jej dziwnego chodu i krzywią się z niesmakiem, że w ogóle istnieje. Dla nich jest zakazanym stworzeniem. Tajowie z miłą chęcią zgnieliby ją w swoich metanowych kompostownikach. Jakby mieli do wyboru ją albo kaloriarza z AgriGenu, trudno powiedzieć, kogo skompostowaliby pierwszego. No i są tu jeszcze *gaijini*. Ciekawe, ilu z nich należy do Kościoła Grahamickiego, oddanego sprawie zniszczenia wszystkiego, czym jest, tej obrazy wobec ekologii i natury. A i tak siedzą sobie zadowoleni i napawają się jej poniżeniem.

Kannika znów ją chwyta. Rozebrała się, a w dłoniach trzyma nefrytowego penisa. Popycha ją na ziemię, przygina grzbiet.

— Trzymajcie za ręce — mówi, a mężczyźni gorliwie wyciągają dłonie i łapią ją za przeguby.

Kannika rozkłada jej nogi. Emiko krzyczy, kiedy ją bierze. Odwraca twarz, czekając na atak, lecz Kannika widzi ten unik Ściska ją jedną ręką za twarz i zmusza, żeby ją pokazała — żeby publiczność widziała efekty jej zabiegów.

Klienci poganiają ją. Zaczynają skandować. Liczyć po tajsku. *Neung! Song! Sam! Si!*

Kannika dogadza im, przyśpieszając rytm. Mężczyźni poca się, patrzą i wołają o więcej za cenę jednego biletu. Trzyma ją coraz więcej rąk, za nadgarstki i kostki, aby Kannika mogła tym swobodniej ją maltretować. Emiko wije się, jej ciało dygoce i szarpie, wykręca się, jak to u nakręcanki, na wszystkie sposoby, które tak doskonale umie wyeksponować Kannika. Widzowie śmieją się i komentują te cudaczne ruchy, urywane, szarpane, rozbłyiskowe.

Palce Kanniki dołączają do nefrytu między nogami Emiko, igrają w jej wnętrzu. Emiko zalewa wstyd. Znów usiłuje odwrócić głowę. Mężczyźni skupili się wokół, blisko, wpatrzeni. Za nimi, coraz większy tłum staje na palcach, żeby coś zobaczyć. Emiko jęczy. Kannika śmieje się, niskim, porozumiewawczym śmiechem. Mówi coś do tłumu i zwiększa tempo. Jej palce bawią się wargami sromowymi. Emiko znów jęczy, gdy zdradza ją własne ciało. Krzyczy. Wygina się w łuk. Jej ciało zachowuje się dokładnie tak jak je zaprojektowano — tak jak chcieli naukowcy i ich próbki. Nie może go opanować, choćby nie wiem jak nim gardziła. Naukowcy nie pozwolą na choćby najdrobniejsze nieposłuszeństwo. Szczytuje.

Publiczność wybucha rykiem zachwytu, zaśmiewając się z cudacznych skurczy, jakie wyciska orgazm z jej DNA. Kannika podkreśla gestami jej ruchy, jakby mówiła: „Widzicie? Popatrzcie na to zwierzę!”, a potem klęka jej nad twarzą i syczy, że jest niczym i zawsze będzie niczym i że choć raz ci sprośni Japońcy otrzymują, co im się należy.

Emiko chciałyby jej powiedzieć, że takich rzeczy nie robiłyby żaden szanujący się Japończyk. Chciałyby powiedzieć, że Kannika bawi się tylko jednorazową japońską zabawką — taką ciekawostką, świadczącą o ich pomysłowości, jak jednorazowe celulozowe uchwyty na kierownicę do rikszy — ale już to kiedyś mówiła; to tylko pogarsza sprawę. Jeśli będzie cicho, męka zaraz się skończy.

Choć jest Nowym Człowiekiem, nie ma nic nowego pod słońcem.

* * *

Kulisi z żółtymi kartami kręcą korbami wielkich wiatraków, poruszając powietrze klubu. Pot spływa im z twarzy i ścieka lśniącymi strużkami po plecach. Spalają kalorie, ledwo je zjedzą, a w klubie mimo to panuje skwar, wspomnienie popołudniowego słońca.

Emiko stoi obok wentylatora, chłodząc się w trakcie przerwy w roznoszeniu klientom napojów, licząc, że Kannika nie zauważy jej znów. Bo gdy tylko ją dostrzeże, wywleka ją na środek, by mężczyźni mogli się przyjrzeć. Każe jej chodzić krokiem tradycyjnym dla japońskiej nakręcanki, podkreślającym stylizowane ruchy jej gatunku. Każde jej się obracać, żeby natrzęsali się z niej, choć w duchu rozważają, czy nie kupić jej usług, kiedy tylko koledzy sobie pójda.

Pośrodku głównej sali mężczyźni zapraszają młode kobiety w *pha sin* i kusych żakietach na parkiet i powoli kręcą się z nimi, gdy zespół gra miksy z czasów Zapaści, piosenki, które Raleigh wygrzebał z zakamarków swojej pamięci i przetranskrybował na tradycyjne tajskie instrumenty — osobliwe, melancholijne mieszanki z przeszłości, równie egzotyczne jak jego dzieci o włosach barwy kurkumy i wielkich okrągłych oczach.

— Emiko!

Wzdryga się. To Raleigh wzywa ją gestem do gabinetu. Gdy mija bar, klienci oglądają się za jej urywanymi ruchami. Kannika unosi wzrok znad mężczyzny, z którym splatają ręce i tulą się do siebie. Uśmiecha się do przechodzącej Emiko. Kiedy przyjechała do tego kraju, powiedziano jej, że Tajowie mają trzynaście rodzajów uśmiechu. Podejrzewa, że ten u Kanniki nie wyraża niczego dobrego.

— Chodź no — powtarza niecierpliwie Raleigh. Prowadzi ją za zasłonę, a potem korytarzem przez miejsce, gdzie dziewczyny przebierają się w służbowe stroje i przez kolejne drzwi.

Ściany gabinetu zdobią pamiątki po jego trzech żywotach, poczynawszy od pożółkłych fotografii Bangkoku oświetlonego wyłącznie elektrycznością, aż po zdjęcie Raleigha w tradycyjnym stroju jakiegoś dzikiego plemienia z górzystej Północy. Zaprasza Emiko, żeby rozsiadła się na poduszce na podwyższeniu, gdzie załatwia swoje dyskretne interesy. Siedzi już tam rozparty jakiś mężczyzna, blady, wysoki człowiek o błękitnych oczach i jasnych włosach, z krwawą blizną na szyi.

Obcy wzdryga się, kiedy Emiko wchodzi do pokoju.

— Jezusie i Noe, nic mi nie mówiłeś, że to nakręcanka — mówi.

Raleigh szczyrzy zęby i siada na swojej poduszce.

— Nie wiedziałem, że jesteś grahamitą.

Mężczyzna niemal uśmiecha się, słysząc tę drwinę.

— Żeby trzymać coś tak ryzykownego... Raleigh, igrasz z rdzą pęcherzową. Jeżeli tu wpadną białe koszule, dobiorą się do ciebie.

— Płacę łapówki i Ministerstwo ma to gdzieś. Goście, którzy patrolują ten rejon, to nie żadne Tygrysy z Bangkoku. Chcą zarobić parę groszy i spokojnie spać w nocy. — Śmieje się. — Już kupowanie dla niej lodu więcej mnie kosztuje niż opłacanie Ministerstwa, żeby patrzyło przez palce.

— Lodu?

— Ma coś nie tak z porami w skórze. Przegrzewa się. — Marszczy czoło. — Gdybym wiedział, nie kupiłbym jej.

Gabinet śmierdzi opium, a tymczasem Raleigh nabija sobie kolejną fajkę. Twierdzi, że opium utrzymuje go w młodości, Emiko podejrzewa jednak, że pływa do Tokio na takie same

zabiegi odmładzające, co Gendo-sama. Raleigh podsuwa opium nad lampkę. Grzeje się i skwierczy, a on obraca kulkę na igielce, opalając smołę, aż zrobi się lepka, wtedy szybko z powrotem lepi kulkę i wciska do fajki. Fajkę podgrzewa nad lampką i zaciąga się głęboko, gdy smoła zamienia się w dym. Zamyka oczy. Na ślepo podaje fajkę blademu facetowi.

— Nie, dziękuję.

Oczy Raleigha się otwierają. Śmieje się.

— Powinieneś spróbować. To jedyny towar, którego nie dopadły choroby. Na moje szczęście. Nie wyobrażam sobie być w moim wieku na głodzie.

Mężczyzna nie odpowiada. Jego błękitne oczy patrzą badawczo na Emiko. Czuje się nieprzyjemnie, jakby ktoś ją rozkładał na pojedyncze komórki. Niezupełnie rozbiera ją wzrokiem — to ona przeżywa codziennie, codziennie czuje wzrok mężczyzn przebiegający po skórze, obściskujący ciało, pożądający i pogardliwy jednocześnie — on zaś patrzy beznamyślnie i z dystansem. Jeśli nawet czuje pożądanie, dobrze je ukrywa.

— To ona? — pyta.

Raleigh kiwa głową.

— Emiko, opowiedz panu o naszym przyjacielu z poprzedniego wieczoru.

Emiko zerka z zakłopotaniem na Raleigha. Jest prawie pewna, że nigdy wcześniej nie widziała w klubie tego jasnowłosego *gaijina*, a przynajmniej że nigdy nie uczestniczył w numerze specjalnym. Nigdy nie podawała mu whiskey z lodem. Wywraca pamięć na nice. Nie, zapamiętałaby go. Jest spalony słońcem, co widać nawet w słabym blasku świec i lampki do opium. A oczy — dziwnie blade, aż nieprzyjemnie. Pamiętałaby go.

— No dawaj — pogania ją Raleigh. — Powiedz mu, co mi powiedziałaś. O białej koszuli. O tym chłopaczku, z którym poszłaś.

Normalnie Raleigh fanatycznie szanuje dyskrecję swoich gości. Rozmawiał nawet o dobudowaniu drugich schodów, specjalnie dla klientów, żeby nikt ich nie widział, kiedy wchodzi do wieżowca Ploenchit, i przejścia podziemnego, które umożliwiłoby im wchodzenie o przecznicę dalej. A teraz chce, żeby wyjawiała aż tyle.

— Chłopaczku? — pyta, grając na zwłokę, zdenerwowana, że Raleigh tak chętnie demaskuje swojego klienta, w dodatku białą koszulę. Zerka znów na nieznanego, zastanawiając się kim on jest i jakiego haka ma na jej papa-sana.

— No mów — Raleigh macha niecierpliwie dłonią, zaciskając zęby na opiumowej fajeczce. Pochyla się nad lampką, żeby zapalić jeszcze raz.

— Był białą koszulą — zaczyna Emiko. — Przyszedł z grupą innych funkcjonariuszy...

Nowy. Koledzy go przyprowadzili. Śmiali się i namawiali go do różnych rzeczy. Wszyscy pili za darmo, bo Raleigh wie, komu nie policzyć, ich przychylność warta jest więcej niż te trunki. Młody człowiek, pijany. Śmieje się i nabija z niej przy barze. A potem potajemnie wraca, sam, bez wścibskich spojrzeń kolegów.

Blady człowiek krzywi się.

— Oni chodzą z tobą? Z takimi jak ty?

— *Hai*. - Emiko kiwa głową, nie okazując, co myśli o jego niechęci. — I białe koszule, i grahamici.

Raleigh cicho chichocze.

— Seks i hipokryzja. Nerozłączne jak kawa i śmietanka.

Obcy patrzy na niego ostro, a Emiko zastanawia się, czy staruch widzi tę odrazę w bladoniebieskich oczach, czy też jest

zbyt zaćpany opium, żeby się tym przejmować. Błada twarz pochyła się, izolując Raleigha od rozmowy.

— I co ci powiedziała ta biała koszula?

Czy to przeblask fascynacji? Czy ona go intryguje? Czy interesuje go tylko jej opowieść?

Emiko czuje, wbrew sobie, przyływ genetycznej chęci zadowolenia go, czego nie odczuwała od czasu porzucenia. Coś w tym człowieku przywodzi jej na myśl Gendo-samę. Choć błękitne, oczy *gaijina* przypominają kadzie z jakimś kwasem, a twarz ma bladą jak aktor kabuki, to wyraźnie ma klasę. Aura władzy jest aż namacalna i osobliwie krzepiąca.

Jesteś grahamitą? — zastanawia się. Wykorzystasz mnie i skompostujesz? Właściwie to wcale się tym nie przejmuję. Nie jest przystojny. Nie jest Japończykiem. Jest nikiem. A jednak te przerażające oczy trzymają ją z tą samą władzą, jaką miał nad nią Gendo-sama.

— Co chce pan wiedzieć? — szepcze.

— Ta biała koszula mówiła coś o genhakowaniu — podpowiada *gaijin*. — Pamiętasz?

— *Hai*. Tak. Zdaje się, że był bardzo dumny. Przyszedł z torbą świeżo zaprojektowanych owoców. W prezencie dla wszystkich dziewczyn.

Gaijin jest coraz bardziej zadowolony. To ją zachęca.

— I jak wyglądały te owoce?

— Chyba były czerwone. Z... nitkami. Długimi nitkami.

— Włoskami. Takimi? — Rozwiera palce na centymetr. — Grubymi?

Emiko kiwa głową.

— Tak. Dokładnie. Nazywał je *ngoh*. Wyhodowała je jego ciotka. Miała dostać jakąś nagrodę od Opiekuna Małej Królowej, Somdeta Chaoprayi, za wkład w rozwój Królestwa. Był bardzo dumny z ciotki.

— I poszedł z tobą — podsuwa mężczyzna.

— Tak. Ale później. Kiedy koledzy sobie poszli.

Błada twarz niecierpliwie kręci głową. Szczegóły romansu go nie interesują: nerwowe oczy chłopaka, jak podchodził do mama-san, jak Emiko posłano za nim w bezpiecznym odstępie, żeby nikt ich nie skojarzył.

— Co jeszcze mówił o tej ciotce? — pyta.

— Tylko że zajmuje się hakowaniem genów dla Ministerstwa.

— Nic więcej? Gdzie jest? Gdzie mają testowe uprawy? Nic w tym stylu?

— Nie.

— I to tyle? — Zirytowany *gaijin* zerka na Raleigha. — Po to tu przyjechałem?

Raleigh przytomnieje.

— *Farang* - podpowiada. — Opowiedz mu o *farangu*.

Emiko wbrew sobie okazuje dezorientację.

— Słucham? — Pamięta tego chłopaczka w białej koszuli, jak chwalił się ciotką. Że dostanie nagrodę i awans za swoje osiągnięcia, za *ngoh...* ale nic o żadnym *farangu*. - Nie rozumiem.

Raleigh odkłada fajeczkę, chmurzy się.

— Mówiłaś mi, że opowiadał o *genhakerach-farangach*.

— Nie. — Kręci głową. — Nic nie mówił o cudzoziemcach. Przykro mi.

Poblížniony *gaijin* robi wściekłą minę.

— Wiesz co, Raleigh, zawiadom mnie, jak będziesz miał coś wartego mojego czasu. — Sięga po kapelusz i wstaje powoli.

Raleigh wbija w nią wzrok.

— Mówiłaś, że był jakiś cudzoziemski *genhaker*!

— Nie... — Emiko kręci głową. — Zaraz! — Wyciąga rękę do *gaijina*. - Proszę zaczekać. *Khun*, proszę zaczekać. Już wiem, o

czym mówi Raleigh-san. — Przesuwa palcami po jego ramieniu.

Gaijin odsuwa się spod jej dotyku. Z obrzydzeniem na twarzy wychodzi poza zasięg jej rąk.

— Proszę — błaga Emiko. — Nie zrozumiałam. Chłopak nie mówił o żadnym *farangu*. Ale wymienił nazwisko... mogłoby należeć do *faranga*. — Zerka na Raleigha, szukając potwierdzenia. — O to panu chodzi? O to dziwne nazwisko? Cudzoziemskie, prawda? Nie tajskie. Nie chińskie i nie hokkien...

— Emiko, powiedz mu to, co mnie — przerywa jej Raleigh. — Tylko tyle chcę. Opowiedz mu wszystko. Ze szczegółami. Tak jak mi mówiłaś po tym spotkaniu.

Opowiada wszystko, a *gaijin* siada i podejrzliwie słucha. O nerwowości chłopca, o tym, że bał się na nią patrzeć, a potem nie mógł już oderwać wzroku. Że gadał i gadał, bo mu nie stawał. Że patrzył, jak się rozbiera. Że mówił o swojej ciotce. Że chciał zaimponować dziwce, do tego dziwce — Nowemu Człowiekowi, że jej wydawało się to bardzo dziwne i co przy tym sobie o nim myślała. I wreszcie to, co sprawia, że Raleigh uśmiecha się z satysfakcją, a błądy człowiek z blizną wytrzeszcza oczy.

— Chłopak powiedział, że ten jakiś Gi Bu Sen daje im projekty, ale najczęściej ich oszukuje. Ale jego ciotka poznała się na oszustwie. I udało jej się złamać ten *ngoh*. Gi Bu Sen prawie nic przy tym *ngoh* nie zrobił. To wszystko robota jego ciotki. — Kiwa głową. — Tak właśnie powiedział. Ten Gi Bu Sen ich oszukuje. Ale jego ciotka jest cwana.

Człowiek z blizną przygląda się jej uważnie. Zimne błękitne oczy. Skóra biała jak u trupa.

— Gi Bu Sen — mruczy. — Na pewno tak się nazywał?

— Gi Bu Sen, na pewno.

Mężczyzna kiwa z namysłem głową. Lampka do opium Raleigha skwierczy w ciszy. Daleko w dole, na ulicy, nawołuje nocny sprzedawca wody, jego głos płynie w górę przez otwarte

okiennice i siatki w oknach. Najwyraźniej wybija *gaijina* z zamyślenia. Spojrzenie bladych oczu znów skupia się na niej.

— Byłbym zainteresowany, gdyby twój przyjaciel wrócił z kolejną wizytą.

— Strasznie się potem wstydził. — Emiko dotyka policzka, gdzie pod makijażem kryje się blednący siniak. — Myślę, że nie...

— Czasem wracają — przerywa jej Raleigh. — Nawet jeśli mają poczucie winy. — Rzuca jej mroczne spojrzenie.

Emiko zmusza się do kiwnięcia głową. Chłopaczek nie wróci, ale taka myśl sprawi *gaijinowi* przyjemność. A to sprawi przyjemność Raleighowi. A Raleigh to jej pan. Powinna się zgodzić. I to z przekonaniem.

— Czasami tak. — Tylko na tyle ją stać. — Czasami wracają, nawet jeśli się wstydzą.

Gaijin przypatruje się im obojgu.

— Raleigh, może byś przyniósł jej trochę lodu?

— To nie pora na następną kolejkę. Zresztą zaraz ma występ.

— Pokryję koszty.

Raleigh ewidentnie chce zostać, ale jest na tyle bystry, żeby nie protestować. Zmusza się do uśmiechu.

— Oczywiście. Pogadajcie sobie w cztery oczy. — Wychodząc, patrzy na nią znacząco.

Emiko wie, że chce, by uwiodła tego *gaijina*. A potem słuchała co mówi i meldowała każde słowo, jak to robią wszystkie dziewczyny.

Nachyla się, pozwalając *gaijinowi* dostrzec odsłoniętą skórę. On wodzi wzrokiem po jej ciele, wzdłuż konturu uda, gdzie chowa się pod spódnicą *pha sin* i dalej, gdzie tkanina opina biodro. Odwraca wzrok. Emiko skrywa irytację. To jak, podoba mu się? To nerwowość? Odraza? Trudno powiedzieć. U

większości mężczyzn to łatwe. Na pierwszy rzut oka. Rządzą nimi proste zasady. Zastanawia się, czy Nowy Człowiek wydaje mu się obrzydliwy, czy może po prostu woli chłopców.

— Jak ci się udaje tu przetrwać? — pyta *gaijin*. — Białe koszule powinny cię dawno skompostować.

— Łapówki. Jak długo Raleigh-san będzie chciał płacić, będą przymykać oko.

— No i gdzieś musisz mieszkać, prawda? Za to też płaci Raleigh? — Kiedy Emiko kiwa głową, dodaje: — Pewnie sporo?

Wzrusza ramionami.

— Raleigh-san prowadzi rachunek moich długów.

Raleigh, jak na zawołanie, wraca z lodem. *Gaijin* milknie, czeka niecierpliwie, aż starzec postawi szklanę na niskim stoliku. Raleigh waha się, ale gdy człowiek z blizną ignoruje go, mamrocze coś w stylu „bawcie się dobrze” i wychodzi. Emiko patrzy za nim z namysłem, zastanawiając się, jakiego haka ma na niego ten człowiek. Przed nią uwodzicielsko poci się szklanka wody z lodem. Na skinienie głowy sięga po nią i wypija. Konwulsyjnie. Zanim się zorientuje, już nic nie ma. Przyciska chłodne szkło do policzka.

Człowiek z blizną patrzy.

— Czyli nie jesteś przystosowana do tropików — mówi. Nachyla się ku niej, przygląda się, wodzi wzrokiem po skórze. — To ciekawe, że projektanci zmodyfikowali ci strukturę porów.

Emiko ma ochotę usunąć się spod ciekawskiego spojrzenia, lecz się powstrzymuje. Przysuwa się bliżej.

— To po to, żeby cera wyglądała ładniej. Gładko. — Podciąga *pha sin* nad kolano, tak by ześliznęła się z uda. — Chce pan dotknąć?

Zerka na nią pytająco.

— Proszę. — Przyzwalająco kiwa głową.

Wyciąga rękę, przesuwa dłonią po skórze.

— Wspaniała — mruczy.

Emiko czuje przypływ satysfakcji, gdy łamie mu się głos. Oczy ma rozszerzone, jak dziecko, które wyrwało się spod opieki. Odchrząkuje.

— Twoja skóra aż pali — mówi.

— *Hai*. Jak pan powiedział: nie jestem zaprojektowana do tego klimatu.

Teraz bada ją cal po calu. Wodzi po niej głodnym wzrokiem, jakby mógł nasycić się nią od samego patrzenia. Raleigh będzie zadowolony.

— To się trzyma kupy — mówi. — Twój model pewnie kupują tylko elity... i każdy ma klimatyzację. — Kiwa głową, przygląda się dalej. — Dla nich to byłaby zaleta.

Unosi wzrok ku jej twarzy.

— Mishimoto? Czyli należałaś do Mishimoto? Bo na pewno nie do jakiegoś dyplomaty. Żaden rząd nie sprowadziłby tutaj nakręcanki, wiedząc jakie są poglądy religijne Pałacu... — Patrzy jej w oczy. — I Mishimoto cię tutaj porzucił, prawda?

Emiko walczy z nagłą falą wstydu. Całkiem jakby rozciął ją wzdłuż i zaczął grzebać we wnętrzościach, bezosobowo i obraźliwie, jak jakiś felczer od cibiskozy wykonujący sekcję zwłok. Ostrożnie odstawia szklanekę.

— Czy pan jest genhakerem? — pyta. — Dlatego tyle pan o mnie wie?

Wyraz twarzy zmienia mu się w sekundę, przechodząc z wielkookiej fascynacji w przebiegły uśmieszek.

— Raczej hobbystą — mówi. — Genamatorem, jeśli można tak powiedzieć.

— Naprawdę? — Pozwala mu dostrzec odrobinę pogardy, którą dlań żywi. — A przypadkiem nie pracownikiem Midwest Compact? Kimś z korporacji? — Nachyla się ku niemu. — Nie *kaloriarzem*?

Ostatnie słowo wypowiada szeptem, ale i tak osiąga efekt. Mężczyzna odskakuje. Uśmiech pozostaje na ustach, martwy, lecz oczy taksują ją teraz jak ichneumon kobreę.

— Bardzo interesujący pomysł — mówi.

Po własnym zawstydzeniu napawa się jego ostrożnym spojrzeniem. Przy odrobinie szczęścia *gaijin* ją zabije i będzie koniec. Przynajmniej sobie wtedy odpocznie.

Czeka, spodziewając się, że ją uderzy. U Nowych Ludzi nie toleruje się bezczelności. Mizumi— sensei zadbała, żeby Emiko nigdy nie okazywała ani śladu sprzeciwu. Nauczyła ją być posłuszną, giąć się w ukłonach, spełniać każdą zachciankę panów i czuć dumę z własnej służby. Choć czuje zażenowanie, kiedy *gaijin* grzebie w jej przeszłości, i wstydi się, że straciła panowanie na sobą, to wie, co powiedziałyby Mizumi-sensei: że to żadne usprawiedliwienie dla dokuczania klientowi.

Zresztą, to nie ma znaczenia. Już się stało, a Emiko czuje się w duchu na tyle martwa, że chętnie zapłaci za to każdą cenę, jaką zechce od niej zażądać.

Mężczyzna mówi jednak:

— Powiedz mi jeszcze raz o nocy z tym chłopaczkiem. — Gniew zniknął z jego oczu, zastąpiony nieugiętością, jak kiedyś u Gendo-samy — Powiedz wszystko — dodaje. — I to już. — Smaga ją rozkazującym tonem jak biczem.

Zmusza się do oporu, jednak wbudowany w nią odruch posłuszeństwa Nowych Ludzi jest zbyt silny, a zawstydzenie własnym buntem zbyt przytłaczające. On nie jest twoim panem, przypomina sobie, ale i tak na rozkazujący ton głosu niemal sika po nogach od chęci przypodobania mu się.

— Przyszedł w zeszłym tygodniu... — Wraca do szczegółów nocy z białą koszulą. Snuje barwną opowieść ku przyjemności *gaijina*, tak jak niegdyś dla Gendo-samy grała na *shamisenie*, jak pies rozpaczliwie pragnący służyć. Chciałaby powiedzieć

mu, żeby się naźarł rdzy pęcherzowej i zdechł, ale to wbrew jej naturze, dlatego mówi, a *gaijin* słucha.

Każę jej powtarzać różne rzeczy, zadaje kolejne pytania. Wraca do wątków, o których z pozoru zapomniał. Jest nieustępliwy, rozdziela jej opowieść na czworo, zmusza do wyjaśnień. W przepytywaniu jest bardzo sprawny. Gendo-sama tak przesłuchiwał swoich podwładnych, kiedy chciał się dowiedzieć, dlaczego kliper nie przyłynął w terminie. Przegryzał się przez wszystkie usprawiedliwienia jak genhakowany ryjkowiec.

W końcu *gaijin* kiwa z satysfakcją głową.

— Dobrze — mówi. — Świetnie.

Słyszając ten komplement, Emiko czuje falę przyjemności, i gardzi sobą za to. *Gaijin* dopija whiskey. Sięga do kieszeni, wyjmując rulon pieniędzy, i wstając, oddziela kilka banknotów.

— Tylko dla ciebie. Nie pokazuj ich Raleighowi. Rozliczę się z nim, zanim wyjdę.

Powinna chyba być wdzięczna, czuje się jednak wykorzystana. Wykorzystana przez tego faceta i jego pytania, jego słowa, tak samo jak przedtem przez zakłamanych grahamitów i białe koszule Ministerstwa Środowiska, pragnących przekraczać granice z biologicznym dziwadłem, śliniących się na myśl o stosunku z nieczystym stworzeniem.

Trzyma pieniądze między palcami. Tresura nakazuje być grzeczną, ale irytuje ją jego zadowolenie z własnej hojności.

— Co miałabym według pana zrobić z tymi bahtami? — pyta.

— Kupić sobie coś ładnego z biżuterii? Pójść na kolację? Jestem przedmiotem, czyjąś własnością, prawda? Należę do Raleigha.

— Rzuca mu pieniądze pod nogi. — To bez różnicy, czy jestem biedna, czy bogata. I tak pozostanę czyjąś własnością.

Mężczyzna przystaje z dłonią na przesuwanych drzwiach.

— To czemu nie uciekniesz?

— A dokąd? Moje pozwolenie importowe dawno wygasło. — Uśmiecha się gorzko. — Bez opieki Raleigh-sana i jego znajomości białe koszule wrzuciłyby mnie do kompostownika.

— A nie chcesz na północ? — pyta. — Do nakręcańców?

— Do jakich nakręcańców?

Mężczyzna uśmiecha się.

— Raleigh ci nie wspominał? O enklawach nakręcańców wysoko w górach? Uciekinierów z wojny węglowej? I wyzwolenców? — Widząc jej pusty wzrok, kontynuuje: — Są tam całe wsie, żywi je dżungla. Biedny rejon, genhakerzy wszystko tam zdziesiątkowali; to jest za Chiang Rai, po drugiej stronie Mekongu, ale nakręceni nie mają tam żadnych panów i żadnych właścicieli. Wojna węglowa toczy się dalej, ale jeśli tak nienawidzisz swojej niszy, to jest jakaś alternatywa dla Raleigha.

— To prawda? — Pochyliła się ku niemu. — Ta wioska naprawdę istnieje?

— Jak mi nie wierzysz, możesz spytać Raleigha. — Uśmiecha się. — On ją widział na własne oczy. — Urywa. — Ale w sumie to pewnie nie zechce ci o niej opowiedzieć. Mogłoby ci przyjść do głowy, żeby się zerwać ze smyczy.

— A pan mówi prawdę?

Dziwny błądy człowiek uchyla kapelusza.

— Taką samą prawdę, jak ty mnie.

Odsuwa drzwi i wymyka się, zostawiając Emiko z bijącym sercem i nagłym przyływem chęci do życia.

IV

— 500, 1000, 5000, 7500...

Ochrona Królestwa przed wszystkimi infekcjami, jakie niesie przyroda świata to jak łapanie oceanu w sieć. Pewną liczbę ryb się złapie, ale ocean zawsze przepłynie przez oka i zostanie.

— 10 000, 12 500, 15 000... 25 000...

Kapitan Jaidee Rojjanasukchai jest tego więcej niż świadom, stojąc w upalną noc pod potężnym brzuchem cudzoziemskiego sterowca. Turbowentylatorowe silniki aerostatu bzyczą i mieszają powietrze nad głowami. Ładunek leży porozrzucany, skrzynie i pudła porozbijane w drzazgi, ich zawartość jest rozsiana po całym terenie jak porozwalane przez dziecko zabawki. Wszędzie widać najrozmaitsze cenne lub zakazane przedmioty.

— 30 000, 35 000... 50 000...

Wokół rozciąga się świeżo wyremontowane miejskie lądowisko, oświetlone mocnymi metanowymi lampami na lustrzanych wieżach — ogromna, skąpana w zieleni połąć punktów cumowniczych upstrzona punktami cumujących na niebie potężnych balonów *farangów*, otoczona grubymi ścianami bambusa MegaPlon i zwojami drutu kolczastego, mającymi wyznaczać jego międzynarodową granicę.

— 60 000, 70 000... 80 000...

Królestwo Tajlandii jest pożerane żywcem. Jaidee leniwie przepatruje zostawione przez jego ludzi pobojuwisko i sprawa jest oczywista. Ocean ich pochłania. Prawie każda skrzynia zawiera coś podejrzanego. Ale w istocie te skrzynie to tylko symbol. Problem jest wszechobecny: na targu Chatachuk trwa

handel półlegalnymi kadziami chemikaliów, pod osłoną nocy popychane żerdziami łodzie płyną grupami w górę Chao Phraya, wypełnione po brzegi najnowszą generacją ananasów. Z półwyspu stale przywiewa fale pyłku niosące najnowsze genetyczne modyfikacje AgriGenu i PurCalu, cheshire'y pojawiają się i znikają między śmieciami targowisk, a jaszczurki jingjok2 pożerają jajka lelków i pawi. Chrząszcze koziorogi toczą lasy Khao Yai, a cibiskoza, rdza pęcherzowa i frędzle *fa'gan* niszczą warzywa i zbitą w gromadkę ludność Krung Thep.

Wszyscy pływają w jednym oceanie. Nośniku wszelkiego życia.

— 90... 100 000... 110... 125...

Wielkie umysły, jak Premwadee Srisati i Apichat Kunikorn, mogą się sprzeczać, jaka jest najlepsza ochrona, albo debatować nad zaletami barier sterylizujących ultrafioletem na wszystkich przejściach granicznych Królestwa, albo mądrością wyprzedzającego ataku genhakerskimi mutacjami, ale w opinii Jaideego to są idealisci. Ocean i tak przepłynie.

— 126... 127... 128... 129...

Jaidee pochyla się nad ramieniem porucznik Kanyi Chirathivat i obserwuje, jak liczy on pieniądze z łapówki. Dwóch celników stoi sztywno z boku, czekają aż ich władza zostanie im zwrócona.

— 130... 140... 150... — Głos Kanyi rytmicznie, śpiewnie skanduje liczby. Pean na cześć bogactwa, smarowania trybów, nowego biznesu w starożytnym kraju. Jej głos jest czysty i skrupulatny. Nigdy się nie myli w liczeniu.

Jaidee się uśmiecha. Nie ma jak drobny dar w geście dobrej woli.

Na kolejnym punkcie cumowniczym, dwieście metrów dalej, drą się megodonty wyciągające ładunek z brzucha sterowca i składające go na placu do kontroli celnej i przesortowania.

Turbowentylatorowe silniki dmuchają szkwałem i szarpia, stabilizując uwieszony nad głowami aerostat. Balon przechyla się i kręci. Zapyłone powietrze i odchody megodontów wirują wokół stojących w szyku białych koszul Jaideego. Kanya przytrzymuje dłonią liczone bahty. Reszta ludzi Jaideego beznamiętnie czeka, z rękoma na maczetach, smagana wiatrem.

Podmuch silników słabnie. Kanya skanduje dalej:

— 160... 170... 180...

Celnicy się pocą. Nawet w porze gorącej nie ma powodu, żeby aż tak się pocić. Jaidee się nie poci. Ale przecież to nie on był zmuszony dwukrotnie zapłacić za ochronę, która już za pierwszym razem musiała nieźle kosztować.

Jaideemu jest ich prawie żal. Biedacy nie mają pojęcia, jak mogły się zmienić podziały władzy; czy płatności idą teraz inną drogą; czy Jaidee reprezentuje jakąś nową siłę, być może wrogą; nie wiedzą, jak wysoko stoi na szczeblach biurokracji i wpływów w Ministerstwie Środowiska. I dlatego płacą. Jest zdziwiony, że w ogóle udało im się skombinować taką sumę w tak krótkim terminie. Prawie tak zdziwiony, jak oni, kiedy białe koszule wyważyły drzwi Urzędu Celnego i zabezpieczyły teren.

— Dwieście tysięcy. — Kanya podnosi na niego wzrok. — Zgadza się.

— Mówiłem ci, że zapłacą. — Jaidee szczerzy zęby.

Kanya nie odwzajemnia uśmiechu, ale Jaidee nie pozwala, żeby to zmąciło jego radość. Jest ładny, gorący wieczór, zarobili dużo pieniędzy, a w ramach dodatkowej niespodzianki widzieli, jak pocą się celnicy. Kanya zawsze ma problem z zaakceptowaniem szczęścia, gdy samo pcha się w ręce. W jakimś momencie musiała zatracić umiejętność odczuwania przyjemności. Głód na północnym wschodzie. Strata rodziców i rodzeństwa. Ciężka podróż do Krung Thep. Gdzieś po drodze zapomniała jak to jest się cieszyć. Nie bawi jej *sanuk*, frajda,

nawet taka wielka frajda, *sanuk mak*, jak upokorzenie Ministerstwa Handlu, albo świętowanie Songkran. Kiedy więc bierze od Ministerstwa Handlu dwieście tysięcy bahtów bez mrugnięcia okiem — no, chyba że tylko, by usunąć z niego pył lądowiska — i nie widać u niej ani śladu uśmiechu, Jaidee nie pozwala, by to uraziło jego uczucia. Kanya nie chwytą radości, taka już jej *kamma*.

Szkoda mu jej jednak. Nawet najbiedniejsi ludzie czasem się uśmiechają. Kanya prawie nigdy. To aż nienaturalne. Nie uśmiecha się, kiedy jest zażenowana, kiedy jest zirytowana, zła, czy zadowolona. Inni czują się niezręcznie przez ten całkowity brak umiejętności społecznych, dlatego w końcu wyładowała w jednostce Jaideego — nikt inny nie mógł z nią wytrzymać. Stanowią osobliwą parę. Jaidee, który zawsze znajdzie jakiś powód do uśmiechu, i Kanya o twarzy tak zimnej, jak wyrzeźbionej z nefrytu. Jaidee uśmiecha się znów, chcąc przekazać pani porucznik trochę otuchy.

— No to pakujemy.

— Nadużył pan swojej władzy — mruczy jeden z celników.

Jaidee, pewny siebie, wzrusza ramionami.

— Władza Ministerstwa Środowiska sięga wszędzie, gdzie zagrożone jest Królestwo Tajlandii. Taka jest wola Jej Wysokości.

Oczy celnika są zimne, choć zmusza się do przyjemnego uśmiechu.

— Pan wie, o co mi chodzi.

Jaidee szczyrzy zęby, nic sobie nie robiąc z tej wrogości.

— Proszę tak nie rozpaczać. Mogłem zażądać dwa razy tyle i też byście zapłacili.

Kanya zaczyna pakować pieniądze, a Jaidee czubkiem maczety przegarnia zawartość rozbitej skrzyni.

— Zobacz tylko, co to za ważne ładunki, co wymagają ochrony! — Przewraca zwinięte kimona. Pewnie dla żony jakiegoś japońskiego menedżera. Grzebie w bieliźnie, wartej więcej niż jego pensja. — Nie chcielibyśmy, żeby grzebał w tym jakiś brudny urzędas, prawda? — Uśmiecha się szeroko, zerka na Kanyę. — Chcesz coś z tego? To prawdziwy jedwab. Bo wiesz, Japonce wciąż mają jedwabniki.

Kanya nie podnosi wzroku znad banknotów.

— Nie mój rozmiar. Te żony menedżerów wszystkie są spasiono na genhakowanych kaloriach z handlu z AgriGenem.

— I kradniecie też? — Twarz funkcjonariusza celnego jest maską kontrolowanej wściekłości za grzecznym uśmiechem z zaciśniętymi zębami.

— Wygląda na to, że nie. — Jaidee wzrusza ramionami. — Moja pani porucznik ma lepszy gust niż Japończycy. W każdym razie odbijecie to sobie, jestem pewien. To będzie tylko drobna niedogodność.

— A co z tymi szkodami? Jak to wyjaśnicie? — Drugi celnik wskazuje dłonią zwijany parawan w stylu Sony, który leży przedarty na pół.

Jaidee przygląda się temu przedmiotowi. Przedstawia coś, co musi być XXII-wiecznym odpowiednikiem samurajskiej rodziny: menedżer Mishimoto Fluid Dynamics nadzorujący jakichś nakręcanych pracowników w polu, ale... czy każdy z nich nie ma czasem dziesięciu rąk? Jaidee wzdryga się na to dziwaczne bluźnierstwo. Stojąca na skraju pola mała rodzinka nie wydaje się zbulwersowana, ale w końcu to Japończycy: oni nawet dzieci zabawiają nakręcanymi małpkami.

Jaidee się wykrzywia.

— Na pewno znajdziecie jakieś wytłumaczenie. Może megodonty wyładunkowe się spłoszyły. — Poklepuje celników

po plecach. — Głowy do góry! Trochę wyobraźni! Potraktujcie to jak ćwiczenie na morale.

Kanya kończy pakować pieniądze. Zawiązuje płócienną torbę i zarzuca ją na ramię.

— Gotowe — mówi.

W oddali powoli obniża się kolejny sterowiec, potężne śmigła o napędzie sprężynowym zużywają ostatnie dzule, żeby ustawić potwora nad punktem cumowniczym. Z brzucha opuszczają się liny z ołowianymi balastami. Obsługa lądowiska unosi dłonie i przypina latające monstrum do swoich zaprzęgów megodontów, jakby modliła się do jakiegoś potężnego boga. Jaidee przygląda się temu z zainteresowaniem.

— W każdym razie, Dobroczyne Stowarzyszenie Emerytowanych Funkcjonariuszy Ministerstwa Środowiska będzie zadowolone. U nich zasłużyliście sobie na nagrodę, niezależnie od wszystkiego. — Unosi maczetę i odwraca się do swoich ludzi.

— Moi żołnierze! — przekrzykuje brzęczenie śmigieł sterowca i krzyki jucznych megodontów. — Mam dla was wyzwanie! — Wskazuje maczetą obniżający się sterowiec. — Dwieście tysięcy bahtów dla tego, kto pierwszy zrewiduje skrzynię z tego nowego statku! Gotowi? Tak, tego tam! Czas, start!

Celnicy w osłupieniu wytrzeszczają oczy. Coś mówią, ale ryk śmigieł aerostatu tłumi ich głosy. Protestują: *Mai tum! Mai tum! Mai tawng tum!* Nie, nie, nienienie! Wymachują na znak sprzeciwu rękoma, lecz Jaidee już pędzi przez lądowisko, wywijając maczetą i krzycząc z radości na widok nowej zdobyczy.

Za nim rozciąga się fala białych koszul. Lawirują między skrzyniami i robotnikami, przeskakują przez liny cumownicze, przeciskają się pod brzuchami megodontów. Jego ludzie. Jego

oddane dzieci. Jego synowie. Głupi czciciele ideałów i Królowej, odpowiadający na jego wezwanie, ludzie, których nie da się przekupić, ludzie, którym na sercu leży honor Ministerstwa Środowiska.

— Ten! Ten!

Przyśpieszają jak tygrysy, zostawiając za sobą trupy japońskich kontenerów, niczym pobojuwisko po przejściu tajfunu. Głosy celników cichą. Jaidee jest już daleko, czuje pod sobą radosne pompowanie nóg, przyjemność uczciwego, honorowego pościgu, biegnie szybciej, coraz szybciej, jego ludzie za nim, pokonując tę odległość adrenalinowym sprintem ducha walki, unosząc maczety i topory do schodzącej z nieba gigantycznej maszyny, górującej nad nimi i opadającej z nieba jak mający dziesięć tysięcy stóp wzrostu król demonów Tosacan. Megodont wśród megodontów, a na boku, cudzoziemskimi literami, wypisane: *CARLYLE & SONS*.

Jaidee nie uświadamia sobie okrzyku radości, jaki wyrwał mu się z ust. *Carlyle & Sons*. Ten irytujący *farang*, który tak nonszalancko gada o zmianach systemu kar za zanieczyszczanie środowiska, likwidacji kontroli kwarantannowych, usprawnianiu wszystkiego, co utrzymało Królestwo przy życiu wtedy, gdy inne kraje padły, cudzoziemiec, który tak bardzo nadszkakuje Ministrowi Handlu Akkaratowi oraz Somdetowi Chaoprayi, Opiekunowi Korony. Fantastyczna zdobycz. Jaidee skupia się na pościgu. Sięga po liny cumownicze, a jego ludzie wyprzedzają go, młodszy, szybszy i fanatycznie oddani sprawie, wszyscy wyciągają ręce, żeby zabezpieczyć swój łup.

Jednakże ten sterowiec jest sprytniejszy niż poprzedni.

Na widok lądowiska rojącego się od białych koszul, pilot przestawia turbowentylatory. Ciąg owiewa Jaideego. Śmigła wyją i przyśpieszają, gdy sterowiec marnuje gigadzule, próbując oderwać się od ziemi. Liny cumownicze podrywają

się, nawijają na kabestany, przypominając chowającą macki ośmiornicę. Pilot daje pełną moc, strumień zaśmigłowy przyciska Jaideego do ziemi.

Sterowiec się unosi.

Jaidee zbiera się z ziemi; mrużąc oczy, patrzy w gorący podmuch, a sterowiec kurczy się i znika w czeluściach nocy. Ciekawe, czy znikającego potwora ostrzegła wieża kontrolna Urzędu Celnego, czy pilot był po prostu na tyle bystry, żeby zrozumieć, że kontrola białych koszul nie będzie korzystna dla jego mocodawców.

Jaidee się krzywi. Richard Carlyle. Stanowczo za duży cwaniak. Ciągłe spotyka się z Akkaratem, ciągle na imprezach dobroczynnych dla ofiar cibiskozy szasta pieniędzmi, nieustannie gada o zaletach wolnego handlu. Takich *farangów*, którzy wrócili na brzegi Królestwa jak meduzy po zakwicie sinic, są tuziny, ale Carlyle jest najgłośniejszy. I jego uśmiechnięta twarz najbardziej Jaideego drażni.

Prostuje się i otrzepuje białe konopne płótno munduru. To nie ma znaczenia: ten sterowiec jeszcze wróci. *Farangów* nie da się odpędzić, tak jak nie odpędzisz wdzierającego się na plażę oceanu. Łąd i woda muszą na siebie zachodzić. Ci ludzie, w krwiobiegu których płyną zyski, nie mają wyboru, muszą tu włączyć niezależnie od konsekwencji, a on musi stawiać im czoło.

Taka *kamma*.

Jaidee powoli wraca do porozbijanej zawartości skontrolowanych skrzyń, ociera pot z twarzy, dyszy po męczącym biegu. Kiwa na swoich ludzi, żeby kontynuowali pracę.

— Tutaj ! Te otwórzcie! Każda skrzynia ma być sprawdzona!

Celnicy czekają na niego. Kiedy podchodzą, właśnie dźga czubkiem maczety zawartość kolejnej rozbitej skrzyni. Istne psy. Nie da się ich pozbyć, dopóki się ich nie nakarmi. Jeden

usiłuje przeszkodzić Jaideemu w rozbijaniu maczetą kolejnej skrzyni.

— Zapłaciliśmy! Złożymy skargę. Będzie dochodzenie! To międzynarodowy teren!

Jaidee się wykrzywia.

— Jeszcze tu jesteście?

— Zapłaciliśmy wam dobrze za ochronę!

— Bardziej niż dobrze. — Jaidee przepycha się między nimi. — Ale nie jestem tu po to, żeby o tym dyskutować. To wasza *damma*, protestować. A moja, bronić naszych granic. Jeśli to znaczy, że muszę się wderzeć na wasz „międzynarodowy teren”, by ratować kraj, to tak zrobię. — Robi zamach maczetą i z trzaskiem pęka kolejna skrzynia. Drewno WeatherAll pryska na wszystkie strony.

— Przekroczył pan swoje uprawnienia!

— Prawdopodobnie. Ale musicie przysłać kogoś z Ministerstwa Handlu, żeby sam mi to powiedział. Kogoś o wiele ważniejszego niż wy. — Z namysłem kręci maczetą. — Chyba że chcecie teraz podyskutować z moimi ludźmi?

Dwójka celników się kuli. Jaideemu wydaje się, że widzi mignięcie uśmiechu na ustach Kanyi. Ogląda się, zaskoczony, lecz twarz pani porucznik jest już maską zimnego profesjonalizmu. Przyjemnie widzieć, jak się uśmiecha. Jaidee zastanawia się, czy może coś jeszcze zrobić, żeby zachęcić swoją srogą podwładną do kolejnego błysku zębów.

Jednakże celnicy — to przykre — przemysłili sytuację; cofają się spod jego maczety.

— Niech pan sobie nie myśli, że może nas bezkarnie obrażać.

— Oczywiście, że nie. — Jaidee jeszcze raz zamierza się na skrzynię, rozbijając ją do końca. — Ale i tak doceniam waszą dobrowolną wpłatę. — Podnosi na nich wzrok. — Jak będziecie

składać skargę, powiedzcie koniecznie, że to ja to zrobiłem, Jaidee Rojjanasukchai. — Znow się uśmiecha. — I nie zapomnijcie dodać, że naprawdę próbowaliście przekupić Tygrysa z Bangkoku.

Jego ludzie wokół zaśmiewają się z tego żartu. Celnicy cofają się, zaskoczeni tą informacją — wreszcie im świta z jakim przeciwnikiem mają do czynienia.

Jaidee się rozgląda. Wszędzie walają się balsowe drzazgi ze skrzyń. Są skonstruowane tak, żeby były mocne i nic nie ważyły, ta kratka doskonale utrzymuje ładunek w środku — dopóki ktoś nie potraktuje jej maczetą.

Robota idzie szybko. Wyciągają towary ze skrzyń i układają w równe rzędy. Celnicy wiszą nad nimi, zapamiętując nazwiska białych koszul, aż ktoś z jego ludzi wreszcie unosi maczetę i ich przegania. Ta scena kojarzy się Jaideemu z bijącymi się o padlinę zwierzętami. Jego ludzie opychają się flakami z dalekich krain, a padlinożercy podchodzą o krok i cofają się, jak kruki, cheshire'y i psy czekające na swoją kolej, żeby dopaść trupa. Ta myśl trochę go przygnębia.

Celnicy trzymają się teraz z dala, czekają.

Jaidee obchodzi ułożone w rzędzie towary. Kanya trzyma się krok za nim.

— Co my tu mamy, pani porucznik? — pyta Jaidee.

— Mieszanki agarowe. Pożywki. Jakieś kadzie hodowlane. Cynamon PurCal. Nasiona papai, nieznane na oko. Nowa iteracja U-Teksu, która pewnie sterylizuje wszystkie odmiany ryżu, jakie wejdą jej w drogę. — Wzrusza ramionami. — Mniej więcej tak, jak się spodziewaliśmy.

Jaidee zrywa wieko z pojemnika i zagląda do środka. Sprawdza adres. Firma w dzielnicy przemysłowej *farangów*. Próbuje wypowiedzieć cudzoziemskie głoski, ale po chwili się poddaje. Próbuje sobie przypomnieć, czy widział wcześniej to

logo, ale chyba nie. Grzebie w materiałach w środku; są tam worki jakiegoś białkowego proszku.

— Czyli nic specjalnie interesującego. Żadnych nowych wersji rdzy pęcherzowej, które wyskakują ze skrzynek z AgriGenu czy PurCalu.

— Nie.

— Szkoda, że nie udało się złapać tego ostatniego sterowca. Szybko się zwinął. Miło byłoby przeszukać ładunek *Khun Carlyle'a*.

Kanya wzrusza ramionami.

— Wróć.

— Zawsze wracają. Jak psy do trupa.

Jaidee wiezie wzrokiem za spojrzeniem Kanyi, ku przyglądającym się z bezpiecznej odległości celnikom. Smuci go, że oboje tak podobnie patrzą na świat. Czy on ma wpływ na Kanyę? Czy może ona na niego? Kiedyś miał o wiele więcej frajdy z tej pracy. Ale też i robota była wtedy bardziej klarowna. Nie jest przyzwyczajony do przemierzania szarych krajobrazów, po których spaceruje Kanya. Ale przynajmniej ma z tego większą przyjemność niż ona.

Zadumę przerywa przybycie jednego z jego ludzi. Idzie ku niemu Somchai, nonszalancko kołysząc maczetą. Jest szybki, ma tyle lat co Jaidee, ale zahartował się, kiedy przez Północ przeszła rdza pęcherzowa, trzeci raz w jednym sezonie uprawnym. Porządny żołnierz i lojalny. I inteligentny.

— Ktoś nas obserwuje — mruczy Somchai, podchodząc blisko do Jaideego i Kanyi.

— Gdzie?

Somchai delikatnie pokazuje podbródkiem. Jaidee przesuwając wzrokiem po rozgardiaszu lądowiska. Kanya obok niego sztywnieje. Somchai kiwa głową.

— Czyli go widzisz?

— *Kha.* - Kiwa głową.

Jaidee w końcu dostrzega tego człowieka, stojącego w sporej odległości, obserwującego i białe koszule, i celników. Ma na sobie prosty pomarańczowy sarong i fioletową lnianą koszulę, jak robotnik, ale niczego nie dźwiga. Nic nie robi. I wygląda na dobrze odżywnego. Nie ma sterczących żeber i zapadniętych policzków jak większość wyrobników. Patrzy, opierając się nonszalancko o hak cumowniczy.

— Z Handlu? — pyta Jaidee.

— Z wojska — domyśla się Kanya. — Wygląda na pewnego siebie.

Nieznajomy odwraca się. Jakby poczuł wzrok Jaideego. Ich spojrzenia stykają się na moment.

— Cholera. — Somchai marszczy brwi. — Zobaczył nas.

Razem z Kanyą i Jaideem zaczynają otwarcie mu się przyglądać. Facet spokojnie s pluwa strugą czerwonego betelu, odwraca się i oddala spacerowym krokiem, znikając w rozgardiaszu rozładowywanych towarów.

— Gonić go? Przesłuchać? — pyta Somchai.

Jaidee wyciąga szyję, próbując jeszcze raz go dojrzeć. Nieznajomy jednak rozpląnął się w zamieszaniu.

— Kanya, jak myślisz?

— Może by już nie drażnić dzisiaj kolejnej kobry, co?

Jaidee się uśmiecha.

— Przemówił głos rozsądku i powściągliwości.

Somchai kiwa głową.

— Handel i tak będzie wściekły.

— Miejmy nadzieję. — Jaidee poleca gestem wrócić Somchaiowi do kontroli.

Kiedy patrzą, jak się oddala, Kanya mówi:

— Może tym razem przesadziliśmy.

— To znaczy, ja przesadziłem. — Jaidee szczyrzy zęby. — Co, denerwujesz się?

— Ja się nie denerwuję. — Jej wzrok wraca do punktu, w którym zniknął obserwator. — Ale tu pływają większe ryby niż my, *Khun Jaidee*. Łądowiska... — Kanya nie kończy. Po chwili, starając się dobierać słowa, mówi: — To było agresywny posunięcie.

— Czy ty na pewno się nie boisz? — drażni się z nią.

— Nie! — Staje jak wryta, opanowuje się.

Jaidee w głębi serca podziwia jej zdolność do kontrolowania tego, co mówi. Sam nigdy nie był tak rozważny w słowach i czynach. Zawsze był z tych, co szarżują jak megodont, a potem próbują prostować stratowany ryż. *Jai rawn*, nie *jaiyen*. Serce gorące, nie chłodne. Natomiast ona...

— To chyba nie było najlepsze miej sce na atak — mówi Kanya.

— Nie bądź taką pesymistką. Łądowiska są najlepsze ze wszystkiego. Te dwa robaki, tam, wykaszły z siebie dwieście tysięcy bahtów, bez specjalnych trudności. To za duża suma, żeby mogła pochodzić z czegokolwiek uczciwego. — Uśmiecha się szeroko. — Dawno powinienem tu przyjść i dać lekcję tym dwóm *heeya*. To lepsze niż pływać po rzece sprężynową łódeczką i aresztować gówniarzy za drobny genhakowany szmugiel. To przynajmniej uczciwa robota.

— Ale Handel wmiesza się w to na pewno. Prawo mówi, że to ich teren.

— Dowolne rozsądne prawo nie pozwoliłoby importować żadnej z tych rzeczy. — Jaidee macha lekceważąco ręką. — Prawa są pogmatwane. Wchodzą w drogę sprawiedliwości.

— Sprawiedliwość zawsze przegrywa, kiedy wchodzi Handel.

— Oboje dobrze o tym wiemy. W każdym razie, chodzi o moją głowę. Tobie nic się nie stanie. Nie mogłaś mnie powstrzymać, nawet gdybyś wiedziała, dokąd dzisiaj jedziemy.

— Ale ja bym nie... — zaczyna Kanya.

— Nie przejmuj się tym. Najwyższy czas, żeby Handel i jego ukochany *farang* poczuli jakieś ukłucie. Byli już zbyt pewni siebie, należało im się przypomnienie, że od czasu do czasu trzeba wykonać *khrab* przed naszym prawem. — Jaidee urywa, ponownie rozgląda się po pobojowisku. — Naprawdę nie ma nic z czarnej listy?

Kanya wzrusza ramionami.

— Tylko ten ryż. Cała reszta na papierze jest nieszkodliwa. Żadnych gatunków rozplodowych ani zakonserwowanego materiału genetycznego.

— Ale?

— Wiele z tych rzeczy będzie użyte w innym celu. Pożywki nie mają żadnego uczciwego zastosowania. — Kanya wraca do przygnębionej miny. — To co? Mamy to wszystko spakować z powrotem?

Jaidee krzywi się, po chwili kręci głową.

— Nie. Spalić.

— Słucham?

— Spalić. Oboje wiemy, co się tu odbywa. Niech firmy ubezpieczeniowe *farangów* mają za co płacić. Niech się nauczą, że ich działalność tutaj może kosztować. — Jaidee szczerzy zęby. — Spalić wszystko. Do ostatniej skrzyni.

I gdy skrzynie transportowe skwierczą w ogniu, a nasączające WeatherAll oleje rozlewają się, płoną i strzelają iskrami w powietrze, jak idące do nieba modlitwy, Jaidee ma drugi raz satysfakcję, widząc uśmiech Kanyi.

* * *

Kiedy Jaidee wraca do domu, jest prawie rano. Dźwięk *dzi dzi dzi* jaszczurek jingjok punktuje terkot cykad i wysokie pojękiwanie komarów. Zsuwa buty i idzie po stopniach, tek poskrzypuje, gdy pnie się do swojego domu na palach, czując pod stopami gładkie drewno, miękkie i wypolerowane dotykiem skóry.

Otwiera siatkowe drzwi i wślizguje się do środka, zamykając je szybko za sobą. Są blisko *khlongu*, ledwo parę metrów, a woda jest słonawa i gęsta. Aż roi się od komarów.

W środku pali się jedna świeca, oświetlająca Chayę, śpiącą na niskiej sofie, czekającą. Uśmiecha się czule i przekrada do łazienki, żeby się szybko rozebrać i połać ramiona wodą. Stara się wykąpać szybko i cicho, ale woda rozchlapuje się hałaśliwie po deskach. Nabiera jej raz jeszcze, polewa sobie plecy. Nawet w środku nocy powietrze jest na tyle ciepłe, że chłód wody mu nie przeszkadza. W porze gorącej wszystko jest ulgą.

Gdy wychodzi z łazienki owinięty w talii sarongiem, Chaya już nie śpi, patrzy na niego z troską.

— Strasznie późno — mówi. — Denerwowałam się.

Jaidee się uśmiecha.

— Powinnaś wiedzieć, że nie trzeba się o mnie denerwować. Jestem tygrysem. — Przytula się do niej, całuje ją delikatnie.

Chaya odpycha go.

— Nie wierz we wszystko, co wypisują gazety. Tygrys. — Krzywi się. — Śmierdzisz dymem.

— Dopiero co się kąpałem.

— Włosy ci śmierdzą.

Jaidee kołysze się na piętach.

— To była bardzo dobra noc.

Chaya uśmiecha się w ciemności, błyska białymi zębami, mahoniowa skóra łagodnie połyskuje pośród czerni.

— Zadałeś cios w imieniu naszej Królowej?

— Zadałem cios Handlowi.

— O. — Chanya się wzdryga.

— Kiedyś się cieszyłaś, że przeze mnie wściekają się ważni ludzie. — Dotyka jej ramienia.

Odsuwa się od niego i wstaje, zaczyna poprawiać poduszki. Jej ruchy są urywane, gniewne.

— To było dawno. Teraz boję się o ciebie.

— Nie trzeba. — Jaidee schodzi jej z drogi, kiedy kończy słać sofę. — Dziwię się, że chce ci się czekać. Na twoim miejscu spałbym smacznie i miał wspaniałe sny. Wszyscy już darowali sobie kontrolowanie mnie. Teraz jestem dla nich tylko kolejnym kosztem. Jestem zbyt popularny wśród ludzi, żeby dało się coś ze mną zrobić. Nasyłają szpiegów, żeby mnie obserwowali, ale już nie próbują mnie powstrzymać.

— Bohater dla ludu i cierń w boku Ministerstwa Handlu. Wolałabym mieć Ministra Akkarata za przyjaciela i lud za wroga. Czułabym się bezpieczniej.

— Nie myślałaś tak, kiedy za mnie wychodziłaś. Imponowało ci, że jestem wojownikiem. Że tyle razy zwyciężyłem na stadionie Lumphini. Pamiętasz?

Nie odpowiada. Zaczyna znów przekładać poduszki, nie chce się odwrócić. Jaidee wzdycha i kładzie jej dłoń na ramieniu, przyciąga ją, żeby spojrzeć jej w oczy.

— A w ogóle, czemu teraz to wyciągasz? Co, nie wróciłem? Cały i zdrowy?

— Jak cię postrzelili, nie byłeś taki zdrowy.

— To już przeszłość.

— Tylko dlatego że trafiłeś za biurko, a generał Pracha wypłacił odszkodowanie. — Unosi rękę, pokazuje miejsce po brakujących palcach. — Nie gadaj mi, że jesteś bezpieczny. Byłam tam. Wiem, co oni potrafią.

Jaidee się krzywi.

— Przecież i tak nie jesteśmy bezpieczni. Jak nie Handel, to rdza pęcherzowa, cibiskoza, albo coś jeszcze gorszego. Nie żyjemy w doskonałym świecie. To już nie jest Ekspansja.

Otwiera usta, żeby coś odpowiedzieć, potem zamyka je i się odwraca. Jaidee czeka aż się opanuje. Gdy odwraca się znów, emocje ma już pod kontrolą.

— No tak. Masz rację. Nikt z nas nie jest bezpieczny. Ale modlić się można.

— Modlitwy niewiele dają. Mogłabyś równie dobrze pójść na rynek Ta Prachai i kupić amulet.

— Przecież kupiłam. Z Phra Seubem. Ale go nie nosisz.

— Bo to zabobon. To, co się ze mną stanie, to moja *kamma*. I nie zmieni tego żaden magiczny amulet.

— Ale przecież nie zaszkodzi. — Waha się. — Jeśli go będziesz nosić, ja będę się lepiej czuła.

— Dobrze. Jeśli to ci pomoże, będę nosić twojego Phra Seuba.

Z sypialni echem niesie się jakiś odgłos, mokry kaszel. Jaidee sztywnieje. Chaya przesuwa się, ogląda przez ramię.

— Surat.

— Byłaś z nim u Ratany?

— To nie jest robota dla niej, badać chore dzieci. Ma ważniejsze sprawy. Zajmuje się prawdziwymi genhakami.

— Byłaś czy nie?

Chaya wzdycha.

— Mówi, że to nie jest nowa odmiana. Że nie ma się czym przejmować.

Jaidee stara się nie okazać ulgi.

— To dobrze.

Dziecko znów kaszle. Jaideemu przypomina się zmarły Num. Zwalcza smutek.

Chaya dotyka jego podbródka, odwraca jego uwagę. Uśmiecha się do niego.

— No to od czego tak śmierdzisz dymem, mój szlachetny rycerzu, obrońco Krung Thep? Czemu jesteś taki z siebie zadowolony?

— Będzie jutro w szeptankach. — Jaidee się uśmiecha.

— Boję się o ciebie. Naprawdę.

— To dlatego że masz dobre serce. Ale nie potrzeba. Już przestali otwarcie się na mnie zamierzać. Ostatnim razem słabo to wyszło. Historia za bardzo się spodobała wszystkim gazetom i szeptankom. I nasza ukochana Królowa też wyraziła poparcie dla moich działań. Będą się trzymać na dystans. Bo przynajmniej Jej Wysokość nadal trochę szanują.

— Miałeś szczęście, że w ogóle pozwolono jej o tobie usłyszeć.

— Nawet ten *heeya* Opiekun nie jest w stanie jej oślepić.

Chaya sztywnieje.

— Jaidee, daj spokój. Nie tak głośno. Somdet Chaopraya ma wszędzie uszy.

— Widzisz, do czego doszło? Opiekun Korony nic tylko medytuje, jak by tu opanować wewnętrzne pokoje Wielkiego Pałacu. Minister Handlu knuje z *farangami*, jak by tu zniszczyć nasze prawo o handlu i kwarantannie. A tymczasem my wszyscy staramy się nie mówić zbyt głośno. Cieszę się, że pojechaliśmy dziś na to lądowisko. Trzeba było zobaczyć, ile pieniędzy zgarniają ci celnicy, nic nie robiąc. Stoją sobie z boku i wszystko przepuszczają. Można by postawić przed nimi następną mutację cibiskozy w fiolkach, a oni tylko wyciągnęliby łapy po forszę. Czasem myślę sobie, że żyjemy ponownie w ostatnich dniach Królestwa Ayutthaya.

— Nie bądź melodramatyczny.

— Historia się powtarza. O ocalenie Ayutthayi też nikomu nie chciało się walczyć.

— A kim w takim razie jesteś ty? Jakimś ponownie wcielonym wieśniakiem z Bang Rajan? Powstrzymującym falę *farangów*? Walczącym do ostatniej kropli krwi? Coś w tym stylu?

— Oni przynajmniej walczyli! A kim byś wolała być? Chłopami, którzy przez miesiąc bronili się przed birmańską armią, czy Ministrami Królestwa, którzy uciekli i pozwolili splądrować stolicę? — Krzywi się. — Gdybym był sprytny, wyprawiałbym się na lądowiska co wieczór i dał Akkaratowi i *farangom* prawdziwą lekcję. Pokazał im, że komuś jeszcze chce się walczyć o Krung Thep.

Spodziewa się, że Chaya znów będzie chciała go uciszyć, ostudzić jego gorąckrweste gadanie, ona jednak milczy. W końcu pyta:

— Czy ty myślisz, że my zawsze odradzamy się tutaj, w tym miejscu? Musimy tu wracać i znowu borykać się z tym wszystkim, obojętne, co by się działo?

— Nie wiem — odpowiada Jaidee. — To pytanie w stylu Kanyi.

— Strasznie ponura baba. Powinnam jej też dać amulet. Żeby choć raz się uśmiechnęła.

— No, jest trochę dziwna.

— Myślałam, że Ratana się jej oświadczy.

Jaidee milczy, wyobrażając sobie Kanyę z piękną Rataną, z jej maską do oddychania i podziemnym życiem w tajnych laboratoriach Ministerstwa.

— Nie grzebię w jej prywatnym życiu.

— Gdyby miała faceta, więcej by się uśmiechała.

— Jeśli nie uszczęśliwił jej ktoś taki jak Ratana, to chyba nikt nie ma szans. Zresztą, gdyby miała faceta, to on przez cały

dzień byłby zazdrosny o wszystkich mężczyzn, którymi ona dowodzi u nas w jednostce. Same przystojniaki...

Nachyla się, żeby ją pocałować, lecz Chaya usuwa się pośpiesznie.

— Bueee. Śmierdzisz też whiskey.

— Whiskey i dymem. Jak prawdziwy mężczyzna.

— Idź spać. Obudzisz Niwata i Surata. I mamę.

Jaidee przyciąga ją do siebie, przysuwa usta do jej ucha.

— Nie pogniewałaby się na jeszcze jednego wnuka.

Chaya odpycha go ze śmiechem.

— Ale jak ją obudzisz, to się pogniewa.

Przesuwa dłońmi po jej biodrach.

— Będę bardzo cicho.

Odpycha jego ręce, ale niezbyt stanowczo. Łapie ją za dłoń. Wymacuje kikuty brakujących palców, pieści ich brzeg. Nagle oboje znowu poważnieją. Chaya oddycha urywanie.

— Wszyscy tak wiele potraciliśmy. Nie mogę stracić i ciebie.

— Nie stracisz. Jestem tygrysem. I głupi też nie jestem.

Przytula go.

— Mam nadzieję. Naprawdę mam nadzieję.

Ciepłe ciało przywiera do niego. Czuje jej oddech, miarowy, pełen obawy. Cofa się i patrzy nań poważnie, ciemnymi, pełnymi troski oczyma.

— Nic mi nie będzie — powtarza Jaidee.

Chaya kiwa głową, ale chyba nie słucha. Za to przygląda mu się uważnie, wodzi wzrokiem po jego czole, uśmiechu, bliznach i krostach. Chwila ciągnie się w nieskończoność, te ciemne oczy, uroczyste, uczące się go na pamięć. W końcu kiwa głową, jakby usłuchawszy jakiegoś wewnętrznego głosu. Zatraskanie znika. Uśmiecha się, przyciąga go, przyciska usta do jego ucha.

— Jesteś tygrysem — szepcze, intonując te słowa jak wróżka; jej ciało rozluźnia się, tuli do niego, przywiera.

Ogarnia go fala ulgi, że wreszcie są razem.

Obejmuje ją mocniej.

— Brakowało mi ciebie — szepcze.

— Chodź ze mną. — Wymyka się i bierze go za rękę. Prowadzi do łóżka. Rozchyła warstwy moskitier i wślizguje się do namiotu z gazy. Szeleszczą spadające ubrania. Kobieta-cień przyzywa go ze środka.

— Ciągłe pachniesz dymem — mówi.

Jaidee rozchyła siatki.

— I whiskey. Nie zapomnij o whiskey.

V

Słońce wyziera zza krawędzi Ziemi, oświetlając Bangkok. Unosi się nad wałącymi się wieżami dawnej Ekspansji i pokrytymi złotem *chedi* miejskich świątyń, spowijając je światłem i ciepłem. Rozpala ostre, strome dachy Wielkiego Pałacu, gdzie w klauzurze wśród Opiekunów mieszka Mała Królowa, rozplómienia filigranowe dekoracje świątyni Lak Mueang, gdzie mnisi przez całą dobę non stop modlą się za miejskie falochrony i wały. Ciepły jak krew ocean rozbłyskuje błękitnymi lusterkami fal, a płonące słońce pnie się coraz wyżej.

Trafia na balkon szóstego piętra należący do Andersona Lake'a i wlewa się do jego mieszkania. W gorącym powiewie szeleszczą pnącza jaśminu. Anderson unosi głowę, mrużąc oczy od blasku. Na bladej skórze lśnią krople potu. Miasto za balustradą zaczyna przypominać roztopione morze, błyszczące złotem w miejscach, gdzie iglice i szkło odbijają pełną moc słońca.

Siedzi nagi w upale, na podłodze, otoczony rozłożonymi książkami — adasami roślin i zwierząt, notatkami z podróży, rozłożoną na tekowym parkiecie całą historią Półwyspu Indochińskiego. Zapleśniałe, kruszące się tomy. Kartki papieru. Na wpół podarte dzienniki. Ekshumowane wspomnienia z czasów, gdy dziesiątki tysięcy roślin sypały w powietrze pyłkiem i nasionami. Pracował całą noc, ale ledwo pamięta ile odmian przestudiował. Jego myśli wędrują natomiast ku odsłoniętej skórze — spódnicy *pha sin* zsuwającej się z nóg dziewczyny, wspomnieniu pawich oczek na opalizującej

fioletowej tkaninie, zjeżdżających z rozsuniętych gładkich, długich ud.

Daleko na horyzoncie stoją wysokie, oświetlone od tyłu wieżowce Ploenchit. Trzy palce cienia sterczące w niebo pośród żółtej, wilgotnej mgiełki. W dziennym świetle wyglądają jak jedne z wielu slumsów z czasów Ekspansji, nic nie zdradza pulsującego w środku nałogu.

Nakręcana dziewczyna.

Jego palce na jej skórze. Jej poważne ciemne oczy, kiedy mówi: „Może pan dotknąć”.

Anderson wciąga z drzeniem powietrze, odganiając wspomnienia. Ta kobieta jest przeciwieństwem inwazyjnych pasożytów, z którymi walczy co dnia. Cieplarnianym kwiatkiem porzuconym w świecie zbyt brutalnym dla jej delikatnych genów. To nieprawdopodobne, że przetrwała tak długo. Nie w tym klimacie. Nie wśród tych ludzi. Może właśnie ta bezbronność tak go poruszyła, ta udawana, nieistniejąca siła. Walka o pozory dumy, kiedy zadziera się spódnicę na każdy rozkaz Raleigha.

I dlatego powiedziałaś jej o tych wioskach? Bo było ci jej żal? Nie dlatego, że miała skórę gładką w dotyku jak mango? Nie dlatego, że kiedy jej dotknąłeś, aż zaparło ci dech?

Krzywi się i ponownie skupia na otwartych książkach, zmuszając się do zajęcia prawdziwym problemem, pytaniem, które sprowadziło go tutaj z drugiego końca świata, kliprem i sterowcem: Gi Bu Sen. Nakręcanka powiedziała: „Gi Bu Sen”.

Anderson wertuje książki i papiery, znajduje zdjęcie. Gruby facet siedzi razem z innymi naukowcami ze Środkowego Zachodu na sponsorowanej przez AgriGen konferencji poświęconej mutacjom rdzy pęcherzowej. Znudzony, nie patrzy w kamerę, widać mu fałdy na szyi.

Dalej jesteś taki gruby? — zastanawia się Anderson. Tajowie karmią cię tak dobrze jak my?

Były tylko trzy możliwości: Bowman, Gibbons i Chaudhuri. Bowman, który zniknął tuż przed tym, jak załamał się monopol SoyPro. Chaudhuri, który wysiadł ze sterowca i rozplynał się w Indyjskich Koloniach; został porwany przez PurCal, uciekł albo nie żyje. I Gibbons. Gi Bu Sen. Najinteligentniejszy z nich trzech i ten, którego uznali za najmniej prawdopodobnego kandydata. Bo przecież zginął. Dzieci wydobyły ze zgliszczy domu jego zwęglone ciało... a potem go skremowały, zanim firma zdążyła zrobić sekcję. Ale zginął. A kiedy dzieci przesłuchano, na wykrywaczach kłamstw i na odpowiednich środkach, zeznawały tylko, że ojciec zawsze upierał się, że mają mu nie robić sekcji, bo nie może znieść myśli, że ktoś będzie rozcinał jego trupa i pompował w niego konserwanty. Jednakże DNA pasowało. To był on. Wszyscy byli tego pewni.

Mimo to, można mieć wątpliwości, kiedy dysponuje się tylko paroma genetycznymi strzępkami rzekomych zwłok najlepszego genhakera na świecie.

Anderson wertuje kolejne dokumenty, szukając stenogramów z ostatnich dni kaloriarza, spisanych z podsłuchów, które mieli w laboratoriach. Nic. Nic nie sugeruje takich planów. A potem już nie żył. I musieli uwierzyć, że to prawda.

Patrząc od tej strony, ten *ngoh* nawet pasuje. I psiankowate. Gibbons zawsze uwielbiał przechwalać się swoimi osiągnięciami. Egotysta. Każdy współpracownik tak o nim mówił. Z rozkoszą zabawiłby się pełnym wachlarzem możliwości całkowitego banku nasion. Wskrzesałby cały rodzaj roślin, a potem na deser coś z miejscowej tradycji. *Ngoh*. Anderson zakłada, że to tutejszy owoc. Ale kto wie? Może to jakiś nowy wytwór? Coś, co w stu procentach powstało w umyśle Gibbonsa, jak Ewa z żebra Adama.

Leniwie wertuje książki i notatki. Ani słowa o *ngoh*. Dysponuje tylko tajskim słowem i osobliwym wyglądem owocu. Nie wie nawet czy „ngoh” to tradycyjna nazwa tego czerwono—zielonego produktu, czy jest po prostu wymyślona. Liczył, że może Raleigh będzie coś pamiętał, ale on jest stary i upalony opium — może i znał *angricką* nazwę tego owocu, lecz teraz już jej nie pamięta. Zresztą, jednoznacznego tłumaczenia jeszcze nie ma. Upłynie miesiąc, zanim Des Moines będzie mogło zbadać próbki. I nawet wtedy nie jest pewne, czy będą mieli *ngoh* w swoich katalogach. Jeśli jest wystarczająco zmodyfikowany, może nie dać się szybko odnaleźć pasującego wzorca DNA.

Jedno jest pewne: *ngoh* to nowość. Rok temu żaden z inwentaryzujących agentów nie wspomniał o niczym podobnym w swoich raportach z ekosystemu. Pojawił się w ciągu roku. Jakby gleba Królestwa po prostu nagle postanowiła odrodzić przeszłość i rzucić ją na targowiska Bangkoku.

Kartkuje kolejną książkę, szuka. Odkąd przybył, kompletował sobie bibliotekę, wgląd w historię Miasta Bóstw, tomy pochodzące sprzed wojen kalorycznych i epidemii, sprzed Zapaści.

Grzebał wszędzie, od sklepów ze starociami, po ruiny wieżowców Ekspansji. Większość papieru z tamtych lat spłonęła, albo zgniła od tropikalnej wilgoci, lecz i tak udało mu się znaleźć skarbnice pełne wiedzy — rodziny, które za bardzo ceniły swoje książki, żeby przeznaczyć je na podpałkę. Ta nagromadzona mądrość piętrzy się teraz wzdłuż jego ścian, tom za tomem obrzeżonej pleśniowymi frędzlami informacji. Przygnębia go. Przypomina mu Yatesa, jego rozpaczliwą żądę ekshumowania i reanimowania trupa przeszłości.

— Tylko pomyśl! — krakał Yates. — Nowa Ekspansja! Sterowce, nowa generacja skrętnych sprężyn, pasaty...

Yates też miał swoje książki. Zakurzone tomiszczą ukradzione z bibliotek i szkół biznesu Ameryki Północnej, zlekceważona wiedza z przeszłości — ostrożne splądrowanie Biblioteki Aleksandryjskiej, które przeszło bez echa, bo wszyscy wiedzieli, że globalny handel padł.

Gdy przyjechał Anderson, książki wypełniły już biura Springlife i piętrzyły się w stosach wokół biurka Yatesa: *Praktyka globalnego zarządzania*, *Handel międzykulturowy*, *Azjatycki umysł*, *Małe tygrysy Azji*, *Łańcuch dostaw i logistyka*, *Podstawy tajskiego*, *Nowa globalna gospodarka*, *Problematyka kursów walut w zarządzaniu łańcuchem dostaw*, *Tajowie stawiają na biznes*, *Międzynarodowa konkurencja i jej regulacja*. Wszystko, od góry do dołu, poświęcone historii dawnej Ekspansji.

W chwili ostatecznej desperacji Yates wskazał na nie i powiedział: „Możemy to wszystko mieć z powrotem! Wszystko!”. Po czym rozplakał się, a Andersonowi w końcu zrobiło się go żal. Poświęcił życie na coś, co nigdy się nie wydarzy.

Przegląda następną książkę, przypatrując się po kolei przedwiecznym fotografiom. Papryczki. Całe piramidy, ułożone przed dawno nieżyjącym fotografem. Papryczki. Bakłażany. Pomidory. Znowu te wspaniałe psiankowate. Gdyby nie one, centrala nie wysłałaby tutaj Andersona i Yates może miałby szansę.

Sięga po paczkę skrętów Singha, zapala jednego i rozsiada się wygodnie, kontemplując kłęby starożytnego dymu. Zabawne, że Tajowie, mimo głodu, znaleźli czas i energię, by wskrzesić uzależnienie od nikotyny. Chyba ludzka natura naprawdę nigdy się nie zmienia.

Słońce pali go, zalewa blaskiem. Przez wilgoć i mgiełkę palonego obornika ledwo widać w oddali dzielnicę przemysłową, jej regularnie rozstawione budowle tak różne od

plątaniny dachów i połączi rdzy starego miasta. A za fabrykami majaczy krawędź nadmorskiego wału z systemem potężnych śluz, umożliwiających wypuszczanie statków na morze. Nadchodzi zmiana. Powrót do prawdziwie globalnego handlu. Do okrążających świat linii dostaw. To wszystko wraca, choć powoli dociera do ludzi. Yates kochał sprężyny, ale idea powrotu historii spodobałaby mu się jeszcze bardziej.

— Tutaj nie jesteś żadnym AgriGenowcem, rozumiesz? Po prostu jeszcze jednym podejrzanym *farangiem-biznesmenem*, próbującym się dorobić, razem z poszukiwaczami nefrytu i marynarzami z kliprów. To nie Indie, gdzie możesz sobie chodzić, błyskać AgriGenowską blachą z kłosami i rekwirować, co ci się tylko spodoba. Tajowie tak łatwo nie ustępują. Jak się dowiedzą, kim jesteś, posiekają cię na kawałki i odesłają do domu w charakterze mielonki.

— Wylatujesz najbliższym sterowcem — powiedział Anderson. — Ciesz się, że centrala w ogóle się na to zgodziła.

Wtedy Yates wyciągnął sprężynowy pistolet.

Anderson zaciąga się z irytacją papierosem. Dociera do niego upał. Sprężynowy wentylator pod sufitem stanął. Nakręcacz, który ma przychodzić codziennie o czwartej, najwyraźniej władował do niego za mało dzuli. Marszczy czoło, wstaje, żeby opuścić rolety. Budynek jest nowy, zaprojektowany według tej nowej termiki, ma umożliwiać swobodną cyrkulację chłodnego powietrza od ziemi w górę, ale bezpośredni blask równikowego słońca i tak jest nie do wytrzymania.

Siada w cieniu i wraca do książek. Przewraca strony. Wertuje pozółkłe tomy i popękane grzbiety. Kruszący się papier zmaltretowany przez wilgoć i czas. Otwiera kolejną z nich. Zaciska w wargach papierosa, mruży oczy od dymu i zamiera.

Ngoh.

Całe stosy. Drobne czerwone owoce z dziwnymi zielonymi włoskami leżą przed nim, drwią z niego na zdjęciu *faranga*

targującego się o cenę z jakimś przedwiecznym tajskim chłopem. Wokół pędzą rozmazane, jaskrawe, opalane ropą taksówki, ale tuż na skraju z fotografii szyderczo uśmiecha się ogromna stożkowata pryzma *ngoh*.

Anderson napatrzył się w życiu na tyle starych zdjęć, że mało które go rusza. Zwykle potrafi nie zwracać uwagi na głupią pewność siebie przeszłości — to marnotrawstwo, tę arogancję, to absurdalne bogactwo — ale coś tutaj go irytuje: zwisające z *faranga* fałdy tłuszczu, ta zdumiewająca obfitość kalorii, w oczywisty sposób wynikająca z barwności i atrakcyjności targu, na którym można kupić trzydzieści rodzajów owoców: mangustany, ananasy, kokosy, oczywiście... ale pomarańczy teraz nie ma. Ani tych... tych... pitai, ani pomelo, ani tych żółtych... hmm... cytryn. Ani trochę. Część tych gatunków po prostu przepadła.

Jednakże ludzie na zdjęciu nie mają o tym pojęcia. Ci zmarli nie wiedzą, że stoją przed historycznym skarbem, że zamieszkują Raj z grahamickiej Biblii, gdzie po prawicy Boga zasiadają czyste dusze. Gdzie pod uważnym okiem Noego i świętego Franciszka rozkwitają wszystkie smaki świata, gdzie nikt nie cierpi głodu.

Anderson czyta podpis. Te otłuszczone, zadowolone z siebie bałwany nie mają pojęcia, że stoją przed genetyczną kopalnią złota. Autorowi książki nie chciało się nawet wymienić nazwy „ngoh”. Po prostu kolejny owoc płodnej natury, niedoceniany, bo tyle ich było.

Przez chwilę żałuje, że nie może wywlec z fotografii tego grubego *faranga* i tajskiego rolnika, prosto w terażniejszość, żeby móc bezpośrednio wyładować na nich swoją wściekłość, a potem wyrzucić ich przez balkon, tak jak oni wyrzucali owoc, który był choć odrobinę obity.

Kartkuje dalej, ale innych zdjęć nie znajduje, ani wzmianek o dostępnych wtedy owocach. W ożywieniu wstaje i wraca na

balkon. Wychodzi prosto w słoneczny żar i spogląda na miasto. Z dołu niosą się echem wołania sprzedawców wody i krzyki megodontów. Po mieście rozchodzi się falą brzdąkanie rowerowych dzwonek. W południe wszystko właściwie stanie, w oczekiwaniu, aż zacznie zachodzić słońce.

Gdzieś w tym mieście genhaker zawzięcie bawi się podstawowymi cegiełkami życia. Przekonstruowuje dawno wymarłe DNA tak, by pasowało do postekspansyjnych okoliczności, żeby przeżyło napaści rdzy pęcherzowej, japońskiego genhakowanego ryjkowca i cibiskozy.

Gi Bu Sen. Nakręcanka była pewna tego nazwiska. To musi być Gibbons.

Anderson opiera się o balustradę i mruży oczy od żaru, lustrując chaos miasta. Gdzieś tam musi się ukrywać Gibbons. Gdzieś tam pracuje nad swoim kolejnym triumfem. I gdziekolwiek to jest, bank nasion musi być gdzieś w pobliżu.

VI

Problem z trzymaniem pieniędzy w banku jest taki, że w okamgnieniu może się to na tobie zemścić: co twoje, staje się ich, twoja krwawica, pot, trud i sprzedana część życia należy odtąd do obcych. Tym problemem — problemem banku — gryzie się nieustannie umysł Hock Senga, jakby wiercił w nim genhakowany ryjkowiec, którego nie da się wydłubać i rozgnieść na maź i odłamki zewnętrznego szkieletu.

Jeśli przedstawić to jako czas — czas poświęcony na zarabianie pieniędzy, które potem trzyma bank — bank może mieć na własność ponad połowę człowieka. No, przynajmniej jedną trzecią, jeśli jest się leniwym Tajem. A człowiek pozbawiony jednej trzeciej życia właściwie wcale nie ma życia.

Której jednej trzeciej można go pozbawić? Od piersi do czubka łysiejącej czaszki? Od pasa do żółknących paznokci u nóg? Dwóch nóg i ręki? Dwóch rąk i głowy? Po odcięciu jednej czwartej można mieć nadzieję na przeżycie, ale jedna trzecia byłaby już nie do zniesienia.

Na tym właśnie polega problem z bankiem. Jak tylko włożysz mu pieniądze do paszczy, okazuje się, że tygrys trzyma cię zębami za głowę. Jedna trzecia, połowa, czy tylko głowa, cała w starczych plamach, równie dobrze mogłoby to być wszystko.

Ale skoro do banku nie można mieć zaufania, to do czego mieć? Do byle jakiego zamka na drzwiach? Do starannie wydrążonego siennika? Do obruszonych gontów, podważonych, owiniętych liśćmi bananowca? Do nacięcia w bambusowej belce slumsowej chaty, kryjącego sprytne wydrążenie, gdzie można wsuwać grube rulony banknotów?

Hock Seng grzebie w bambusie.

Człowiek, który wynajął mu ten pokój, nazwał go mieszkaniem i w pewnym sensie miał rację. Ma cztery ściany, a nie tylko zasłony z płacht kokosowego polimeru. Ma na tyłach maleńkie podwóreczko, gdzie stoi latryna, którą współdzielili — razem ze ścianami — z sześcioma innymi chałupkami. Jak na uchodźcę z żółtą kartą, to nie mieszkanie, lecz wręcz rezydencja. Jednakże zewsząd przez cały czas słyszy pojękującą, narzekającą masę ludzi.

Ściany z WeatherAll to istny luksus, mimo że nie sięgają do samej ziemi, mimo że widać pod nimi jutowe sandały sąsiadów, mimo że śmierdzą olejem, którym je nasycono, żeby nie gnęły w równikowej wilgoci. Są jednak konieczne, choćby po to, żeby Hock Seng miał gdzie trzymać pieniądze — lepsze niż dno beczki na deszczówkę, w paczuszce z trzech warstw psiej skóry, z nadzieją że po sześciu miesiącach moczenia jest jeszcze wodoodporna.

Hock Seng przerywa pracę, nasłuchuje.

Szelesty dochodzą z sąsiedniego pokoju, ale nic nie wskazuje na to, by ktoś podsłuchiwał jego mysie kopanie nory. Wraca do pracy, obluzowuje zakamuflowaną bambusową deseczkę na złączeniach, starannie zachowując na później trociny.

Nie ma nic pewnego — taka jest pierwsza lekcja. Cudzoziemskie diabły *yangguizi* nauczyły się tego podczas Zapaści, kiedy koniec ropy kazał im w popłochu wrócić do domów. Sam nauczył się tego na Malakce. Nie ma nic pewnego, nie ma nic bezpiecznego. Bogaty staje się biedny. Hałaśliwy klan Chińczyków, grubych i zadowolonych na święto wiosny, dobrze odkarmionych paskami wieprzowiny, *nasi goreng* i kurczakiem po hajnańsku staje się jednym zasuszonym uchodźcą z żółtą kartą. Nic nie jest wieczne. Buddyści tyle przynajmniej rozumieją.

Hock Seng uśmiecha się bez radości i dalej ukradkiem grzebie, idąc wzdłuż górnego konturu deseczki, wydłubując kolejne trociny. Żyje teraz w istnym luksusie, ma połataną moskitierę i mały palniczek, w którym dwa razy dziennie może palić zielonym metanem, o ile zechce zapłacić starszemu bratu miejscowego *pi lien* za nielegalne podłączenie do oświetleniowych rur gazowych. Ma swój komplet glinianych naczyń na deszczówkę stojących na maleńkim podwórku, to już zdumiewający komfort, chroniony honorem i uczciwością sąsiadów, strasznych biedaków, którzy wiedzą, że są granice, których przekroczyć nie wolno, że każda nędza i rozpusta ma granice, ma też beczkę na deszczówkę, pełną zielonego szlamu komarzych jaj; można mieć pewność, że nikt nigdy niczego z niej nie ukradnie, nawet jeśli zamordują go pod samymi drzwiami, albo żonę sąsiada zgwałci jakiś *nak leng*, któremu się spodoba.

Hock Seng podważa maleńki fragment bambusowej belki, wstrzymując oddech, starając się, żeby nie zaskrzypiało. Zamieszkał tutaj ze względu na odsłonięte belki i gonty niskiego, ciemnego stropu. Dla zakamarków, zakątków i różnych możliwości. Mieszkańcy slumsu wokół budzą się, stękają, klną i palą papierosy, a on poci się z wysiłku otwierania kryjówki. To głupie, trzymać tu tyle pieniędzy. A jeśli slums się spali? Jeśli WeatherAll zapali się od przewróconej świecy jakiegoś durnia? Jeśli przyjdą bandy i spróbują go tu uwięzić?

Hock Seng przerywa, ociera pot z czoła. Wariuję. Nikt tu po mnie nie przyjdzie. Zielone Opaski są po drugiej stronie granicy, w Malesji i armia Królestwa nie pozwoli im tu wejść.

A nawet gdyby, mają do przejścia cały archipelag, więc zdążę się przygotować na ich przybycie. Całe dni jazdy sprężynowym pociągiem, nawet jeśli wojsko Królowej nie wysadzi torów. Jeśli użyją do ataku węgla, to i tak ze

dwadzieścia cztery godziny. A inaczej, całe tygodnie marszu. Mnóstwo czasu. Jestem bezpieczny.

Trzęsącą się dłonią wyciąga deseczkę z wnęki, ukazując puste wnętrze bambusa. Jego rura jest wodoszczelna, tak stworzyła ją natura. Wsuwa do środka chudą dłoń, szuka czegoś po omacku.

Przez chwilę myśli, że ktoś to zabrał, okradł go pod jego nieobecność, ale potem palce dotykają papieru i wyławiają ze schowka jeden rulon banknotów za drugim.

W sąsiednim pokoju Sunan i Mali dyskutują z jej wujkiem, który chce, żeby przemycili do kraju ananasy z cibi 11.s.8, przewieźli je łódką z wyspy Koh Angrit, będącej stacją kwarantanny dla *farangów*. Szybki zarobek, jeśli ktoś się zgodzi zaryzykować sprowadzanie do kraju zakazanego produktu monopolistów kalorycznych.

Hock Seng słucha ich szeptów, wtykając pieniądze do koperty, potem chowa ją pod koszulę. W innych ścianach ma jeszcze pełno diamentów, bahtów i nefrytu, ale i tak boli go wynoszenie stąd tych pieniędzy. To wbrew jego instynktowi zbieracza.

Wciska bambusową płytkę na miejsce. Spluwa, miesza ślinę z drobnymi trocinami i zalepia tą mieszanką widoczne szwy. Odchyła się na piętach i przygląda słupowi. Prawie nie widać. Gdyby nie wiedział, że trzeba odliczyć cztery sęki od dołu, nie miałby pojęcia gdzie szukać i czego.

Problem z bankami polega na tym, że nie można im ufać. Problem z sekretnymi schowkami polega na tym, że trudno je zabezpieczyć. Problem z pokojem w slumsach: kiedy go tu nie ma, każdy może sobie zabrać pieniądze. Potrzeba mu innych schowków, bezpiecznych kryjówek na skombinowane opium, kamienie i forszę. Bezpiecznych kryjówek dla wszystkiego. Także dla niego, a na to warto wydać dowolną sumę pieniędzy.

Wszystko przemija. Tak mówi Budda, a Hock Seng, który za młodu nie wierzył w karmę i prawdy dharmy, ani nie

przejmował się nimi, w podeszłym wieku zaczął rozumieć religię swego dziadka i jej bolesne mądrości. Cierpienie jest mu pisane. Źródłem cierpienia jest przywiązanie do wartości materialnych. Nie potrafi jednak powstrzymać się od gromadzenia, planowania, przygotowywania sobie ratunku w tym życiu, które tak kiepsko mu wyszło.

Czym zgrzeszyłem, żeby zasłużyć sobie na ten gorzki los? Żeby widzieć, jak czerwone maczety ścinają mój klan? Jak palą moje budynki i topią moje klipry? Zamyka oczy, odpychając wspomnienia. Żal to cierpienie.

Nabiera powietrza i wstaje sztywno na nogi, lustruje pokój, sprawdzając, czy wszystko jest na swoim miejscu, potem odwraca się i otwiera drzwi — drewno zgrzyta o ziemię — i wychodzi na ciasny korytarz, główną arterię komunikacyjną slumsów. Zamyka drzwi na kawałek rzemyka. Supelek, nic więcej. Już mu się tutaj włamywali i włamią się jeszcze nie raz. Bierze to pod uwagę. Porządny zamek zwróciłby niepożądaną uwagę, a rzemykowe zamknięcie dla ubogich nie kusi nikogo.

Droga ze slumsów Yaowarat jest pełna cieni i kucających pod ścianami sylwetek. Skwar pory suchej spada na niego — jest tak silny, że ledwo da się oddychać, mimo majaczącej w mroku bliskości wałów Chao Phraya. Od upału nie ma ucieczki. Gdyby morze przerwało wały, całe slumsy zalałaby chłodna woda, ale na razie Hock Seng musi się pocić i kuśtykać przez labirynt ciasnych korytarzy, ocierając się o wygrzebane na złomowisku blaszane ściany.

Przeskakuje przez otwarte rynsztoki pełne gówna. Balansuje na deskach, przemyka obok kobiet pocących się nad parującymi garnkami ze szklistym makaronem ryżowym U-*Tex* i śmierdzącymi, suszonymi na słońcu rybami. Przy paru wózkach sprzedawców jedzenia, tych, co przekupili albo białe koszule, albo slumsowego *pi lien*, palą się małe ognie z

obornika, wypełniając uliczki gęstym dławiącym dymem i zapachem smażonych w oleju papryczek.

Przeciska się, ostrożnie stawiając nogi, wzdłuż pozamykanych na trzy spusty rowerów. Spod brezentowych ścian wystają ubrania, kociołki do gotowania, śmieci, wkraczając na publiczną przestrzeń. Ściany szemrzą życiem mieszkańców: ktoś kaszle, ostatnie stadium wody w płucach; kobieta narzeka na syna uzależnionego od wina ryżowego *lao-lao*; dziewczynka grozi, że uderzy braciszka. Namiotowe slumsy to nie miejsce na prywatność, ściany dają jednak pewną iluzję. To i tak z pewnością lepsze niż obozy przejściowe dla żółtych kart w wieżowcach Ekspansji. Namiotowe slumsy to luksus. W dodatku ma w nich ochronę — wokół pełno rodowitych Tajów.

Lepiej niż na Malajach. Tutaj, jeśli się nie odezwie i nie zdradzi obcym akcentem, można go wziąć za tubylca.

Mimo to, tęskni za krajem, gdzie byli z rodziną obcy, a jednak udało im się wykuć sobie życie. Tęskni za wykładanymi marmurem korytarzami i kolumnami z czerwonej laki w rodzinnym domu, rozbrzmiewającym głosami dzieci, wnuków i służących. Tęskni za kurczakiem po hajnańsku, *laksa asam*, dobrym, słodkim *kopi* i *roti canai*.

Tęskni za swoją flotą kliprów i ich załogami (Czyż nie zatrudniał beżowych? Nawet jako kapitanów?), pływającymi na statkach ze stoczni Mishimoto na drugi koniec świata, nawet aż do Europy, wywożącymi odporne na genhakowanego ryjkowca odmiany herbaty i przywożącymi kosztowne koniaki, niewidziane tutaj od czasów Ekspansji. A wieczorami wracał do żon, delektował się jedzeniem i denerwował co najwyżej tym, że syn się nie przykłada do nauki, albo czy córka znajdzie sobie dobrą partię.

Jakiż był głupi i ślepy. Miał się za morskogo kupca, a nie miał pojęcia o zmienności przyływów i odpływów.

Spod brezentowej kłapy wychodzi mała dziewczynka. Uśmiecha się do niego — jest za mała, żeby poznać w nim cudzoziemca, zbyt niewinna, żeby się tym przejmować. Żyje, płonie zwinną witalnością, której może jej tylko pozazdrościć każda obolała kość starego człowieka. Uśmiecha się do niego.

Mogłaby być jego córką.

* * *

Noc na Malajach była czarna i lepka, dżunglę wypełniał skrzekot nocnych ptaków oraz pulsowanie i szmer głosów owadów. Przed nimi chlupotały ciemne wody portu. On i Czwarta Córka, ten beznadziejny wypłosz, ale jedyne dziecko, jakie udało mu się ocalić, ukrywali się wśród pomostów i kołyszących się łodzi, a kiedy ciemność zapadła do końca, poprowadził ją nad wodę, tam gdzie fale rytmicznie wpływały na piasek, a gwiazdy na niebie były jak złote igiełki na tle czerni.

— Tata, patrz, złoto — szepnęła.

Był czas, kiedy mówił jej, że każda gwiazda to okruch złota, który będzie mogła sobie wziąć, bo jest Chinką, i ciężko pracując, szanując przodków i tradycję, odniesie sukces. A teraz znaleźli się pod przetykanym złotym pyłem płaszczem nieba; Droga Mleczna rozciągała się nad nimi jak wielki szal, usiana gwiazdami tak gęsto, że gdyby byli wyżsi, wyciągnęliby ręce i spłynęłyby im po ramionach.

Tyle złota i wszystko poza ich zasięgiem.

Wśród podskakujących na falach łodzi rybackich i małych sprężynówek wypatrywał wiosłową łódź i wyruszył nią na głębszą wodę, kierując się w stronę zatoki, płynąc z prądem, jak czarny okruch na zmiennym lustrze oceanu.

Wolałby pochmurną noc, ale przynajmniej była bezksiężycowa. Wiosłował i wiosłował, a wokół wynurzały się z wody morskie karpie, przetaczając się na bok, błyskając

bladymi brzuchami, skonstruowanymi przez ludzi z jego klanu, żeby wyżywić głodujący kraj. Ciągnął za wiosła, a karpie otaczały ich, ukazując wydęte brzuchy, upasione na krwi i chrząstce własnych twórców.

A później łódeczka zatrzymała się równolegle do obiektu jego poszukiwań, kotwiczącego na głębokiej wodzie trimaranu. Tu nocowała wodna rodzina Hafizów. Wspiął się na pokład i po cichu przekradł między nich. Patrzył, jak śpią sobie spokojnie, bo chroni ich religia. Bezpieczni, żywi, jemu zaś nie zostało już nic.

Od wiosłowania bolały go barki i ręce. Bóle starego człowieka. Miękkiego człowieka.

Wkradł się między nich, szukając znajomej twarzy, za stary na tę bezsensowną partyzantkę, lecz niezdolny się poddać. Jeszcze może przeżyje. Może przeżyje jedyna córka. Choć to dziewczynka. Nie uczyni nic dla swoich przodków, ale przynajmniej jest z jego klanu. Łańcuszek DNA, być może do uratowania. Wreszcie odnalazł poszukiwane ciało, pochylił się i dotknął go delikatnie, zakrywając mężczyźnie usta.

— Przyjacielu — szepnął.

Człowiek, obudziwszy się, wytrzeszczył oczy.

— *Encik* Tan? — Prawie zasalutował, choć leżał półnagi, na wznak. A potem, jakby uświadamiając sobie zmianę ich fortun, dłoń opadła i zwrócił się do Hock Senga tak, jak nigdy dotąd nie śmiał: — Hock Seng? To pan żyje?

— Ta bezużyteczna para ust — moja córka i ja musimy się dostać na północ. Musisz mi pomóc.

Hafiz usiadł, trąc oczy. Zerknął ukradkiem na śpiącą resztę klanu. Szepnął:

— Gdybym im pana wydał, dostałbym niezłą nagrodę. Szeft Trzech Bogactw. Byłbym bogaty.

— Kiedy pracowałeś dla mnie, też nie klepałeś biedy.

— Pana głowa jest warta więcej niż wszystkie stopy czaszek na ulicach Penangu. I dalej byłbym bezpieczny.

Hock Seng miał już coś odpowiedzieć w złości, Hafiz uniósł jednak dłoń, uciszając go. Podprowadził Hock Senga na skraj pokładu, do relingu. Nachylił się, niemal przytknął mu usta do ucha.

— Pan wie, jakie niebezpieczeństwo na nas ściąga? Niektórzy z mojej rodziny noszą teraz zielone opaski. Nawet moi synowie! Tu nie jest bezpiecznie.

— Myślisz, że tego nie wiem?

Hafiz miał na tyle kultury, żeby odwrócić wzrok w zakłopotaniu.

— Nie mogę panu pomóc.

Hock Seng się skrzywił.

— Tak mi się odpłacasz za moją dobroć? Nie byłem gościem na twoim weselu? Nie obdarowałem ciebie i Rany jak należy? Nie świętowałem z tobą przez dziesięć dni? Nie opłaciłem czesnego za Mohammeda w K.L.*?

— Zrobił pan to wszystko i jeszcze więcej. Jestem wielkim pana dłużnikiem. — Skłonił głowę. — Ale nie jesteśmy już tym narodem, co kiedyś. Wszędzie jest pełno Zielonych Opasek, a ci, którzy kochali żółtą zarazę, zasługują tylko na cierpienie. Za pana głowę kupiłbym bezpieczeństwo dla swojej rodziny. Przykro mi. Taka jest prawda. Właściwie już powinienem się na pana rzucić.

— Mam diamenty, nefryt.

Hafiz westchnął i odwrócił się, ukazując szerokie, muskularne plecy.

— Biorę je i zaraz mnie kusi, żeby sięgnąć także po pana życie. Bo skoro mowa o pieniądzach, pana głowa i tak jest cenniejsza niż to wszystko. Lepiej nie mówmy o pieniężnych pokusach.

— Czyli to nasz koniec?

Hafiz odwrócił się z powrotem do Hock Senga, patrząc nań błagalnie.

— Jutro przekazuję im pana kliper *Gwiazda zaranna* i ostatecznie się pana wyrzekam. Gdybym był sprytny, wydałbym też pana. Teraz podejrzani są wszyscy, którzy pomagali chińskiej zarazie. Wszyscy, którzy dorabiali się na chińskim przemyśle i korzystali z waszej hojności, są w nowej Malezji znienawidzeni. Ten kraj nie jest już taki jak kiedyś. Ludzie są głodni. I źli. Nazywają nas piratami kalorycznymi, paskarzami i żółtymi pieskami. Nic tego nie zahamuje. Wasza krew już jest przelana, teraz muszą zdecydować, co zrobić z nami. Nie mogę dla pana narażać życia własnej rodziny.

— Możesz popłynąć z nami na północ.

Hafiz westchnął.

— Zielone Opaski już patrolują wybrzeża, szukają uciekinierów. Ich sieć jest szeroka i głęboka. A kogo złapią, mordują.

— Jesteśmy sprytni. Sprytniejsi od nich. Prześlizgniemy się.

— Nie, nie da rady.

— Skąd wiesz?

Hafiz odwrócił wzrok, zakłopotany.

— Synowie mi się chwalą.

Rozgoryczony Hock Seng zmarszczył czoło i chwycił wnuczkę za rękę.

— Bardzo mi przykro. Będę niósł tę hańbę do śmierci — powiedział Hafiz. Nagle odwrócił się i pobiegł do kambuza. Wrócił ze zdrowymi papajami i mango. Workiem U-Teksu. Cibi-melonem z PurCalu. — Proszę to wziąć. Przepraszam, że nie mogę zrobić nic więcej. Przepraszam. Muszę myśleć o własnym życiu. — I z tymi słowami kazał mu zejść z pokładu.

Miesiąc później Hock Seng samotnie przedostał się przez granicę, czółgając się po rojącej się od pijawek dżungli, po tym jak szmuglerzy ludzi, węzogłowi, zdradzili go i porzucili.

Słyszał później, że ci, którzy pomagali żółtym, ginęli masowo — spędzani z wysokich brzegów do morza, płynęli prosto na ostre skały wybrzeża, a unoszące się na wodzie niedobitki dobijano strzałami. Zastanawia się czasami, czy Hafiz był wśród nich, czy też ofiara z ostatniego niezatopionego klipra Trzech Bogactw wystarczyła, żeby uratować jego rodzinę. Czy synowie, Zielone Opaski, wstawili się za nim, czy też przyglądali się zimno, jak ojciec odpokutowuje swoje niezliczone grzechy.

* * *

— Dziadku? Dobrze się dziadek czuje? — Dziewczynka delikatnie dotyka jego nadgarstka, przyglądając mu się wielkimi czarnymi oczyma. — Poprosić mamę o trochę gotowanej wody?

Hock Seng zaczyna coś mówić, potem po prostu kiwa głową i się odwraca. Jeżeli się odezwie, od razu pozna w nim uchodźcę. Lepiej nie ujawniać, że żyje wśród nich, na łasce białych koszul i Pana Łajna oraz paru podrobionych pieczętek na żółtej karcie. Dziewczynka jednego dnia się uśmiecha, a drugiego kamieniem rozwała głowę niemowlęciu. Taka jest prawda i tylko taka. Można sobie myśleć, że istnieje lojalność, zaufanie, czy życzliwość, ale to wszystko diabłokoty. W końcu zawsze rozwiewają się nieuchwytnie jak dym.

Kolejne dziesięć minut krętych przejść podprowadza go niemal pod nadmorski wał, gdzie slumsowe rudery obrastają jak pąkle mury wielkiego, szacownego projektu, który opracował król Rama XII, żeby ratować swoje miasto. Znajduje Chana Śmieszka obok wózka z *jok*, nad dymiącą miską kleiku z ryżu U-*Tex* z drobinkami niezidentyfikowanego mięsa.

W poprzednim życiu Chan Śmieszek był nadzorcą plantacji, gdzie nacinano pnie kauczukowców i zbierano lateks. Miał pod sobą sto pięćdziesiąt osób. W tym życiu jego smykałka organizacyjna znalazła sobie nową niszę: zatrudnia robotników do rozładowywania megodontów i kliprów na nabrzeżach i kotwicowiskach sterowców — tam gdzie Tajowie są zbyt leniwi, zbyt tępi albo zbyt wolni, lub też da się przekupić kogoś wysoko postawionego, by pozwolił żółtym kartom zarobić na swój ryż. A czasem robi też inne rzeczy. Przerzuca opium i *yaba* z amfetaminą z rzeki do samych wieźowców Pana Łajna. Szmugluje AgriGenowskie SoyPro z Koh Angrit, przez blokady Ministerstwa Środowiska.

Nie ma ucha i czterech zębów, ale to nie przeszkadza mu się uśmiechać. Siedzi wyszczerzony jak głupek, pokazując szczyrby w uzębieniu, a jego spojrzenie przez cały czas omiata przechodzących pieszych. Hock Seng siada naprzeciwko, pojawia się przed nim druga miska parującego *jok*; jedzą ryżowy kleik, popijając go kawą, niemal tak dobrą, jak ta, którą pili na południu, i przez cały czas obaj przyglądają się ludziom wokół, wodzą wzrokiem za kobietą nakładającą jedzenie, mężczyznami siedzącymi przy sąsiednich stolikach w zaułku, ludźmi dojeżdżającymi do pracy na rowerach. W końcu obaj mają żółte karty. To ich druga natura — tak jak u cheshire'ów polowanie na ptaki.

— Jesteś gotowy? — pyta Chan Śmieszek.

— Jeszcze chwilę. Nie chcę, żeby zauważono twoich ludzi.

— Nic się nie bój. My już prawie chodzimy jak Tajowie. — Szczyrby niekompletne uzębienie. — Asymilujemy się.

— Znasz Kundlojebcę?

Chan Śmieszek kiwa zdecydowanie głową, uśmiech znika.

— A Sukrit zna mnie. Będę za wałem, od strony wsi. Niewidoczny. Mam ze sobą Ah Pinga i Petera Siew, będą obserwować.

— To świetnie. — Hock Seng kończy swój *jok* i płaci także za jedzenie Chana. Mając w pobliżu jego i jego ludzi, czuje się trochę lepiej. Ale ryzyko jest i tak. Jeżeli sprawa pójdzie źle, Chan będzie za daleko, żeby cokolwiek zrobić, co najwyżej się potem zemści. A jeśli się dobrze zastanowić, Hock Seng nie ma pewności, czy zapłacił mu aż tak dobrze.

Chan Śmieszek oddała się spacerowym krokiem, wślizgując się między brezentowe budowle. Hock Seng idzie przez zastały żar ku stromej, nierównej ścieżce pnącej się wzdłuż wału. Wspina się ponad slumsy, przy każdym kroku boli go kolano. W końcu dociera na wysoki i szeroki szczyt umocnienia broniącego miasta przed przyływami.

Po zastałym smrodzie slumsów, owiewająca go, szarpiąca za ubranie morska bryza przynosi ulgę. Jasnoniebieski ocean lśni jak lustro. Na promenadzie stoją też inni ludzie, oddychają świeżym powietrzem. W oddali na skraju wału siedzi jedna z węglowych pomp króla Ramy XII, jak ogromna ropucha. Na metalowej skórze widać symbol kraba Korakota. Z kominów miarowo bucha para i dym.

Gdzieś głęboko pod ziemią, macki zainstalowanych z mocy geniuszu króla pomp wyciągają się we wszystkie strony i wysysają spod miasta wodę, żeby nie utonęło. Nawet w porze suchej stale pracuje ich siedem, bronią Bangkoku przed utonięciem. W porze deszczowej pracuje wszystkie dwanaście znaków zodiaku, pod siekącym deszczem, kiedy ludzie płyną popychanymi żerdzią łódeczkami po głównych ulicach, przemoknięci do nitki i wdzięczni, że monsun nie nawalił, a wały wciąż się trzymają.

Schodzi na drugą stronę, na nabrzeże. Chłop na łódce pełnej kokosów podaje mu jednego, odcinając zielony czubek, żeby Hock Seng mógł się napić. Daleko przed nim z fal sterczą zatopione budynki Thonburi. Po wodzie suną łodzie, sieci rybackie i klipry. Hock Seng robi głęboki wdech, wciąga

głęboko do płuc zapach soli, ryby i wodorostów. Zapach życia oceanu.

Przepełnia japoński klipper, kadłub z tworzywa z oleju palmowego i wysokie, białe żagle jak skrzydła mewy. Płaty wodolotu jeszcze schowane pod powierzchnią — kiedy odpłynę dalej, wystrzeli ze sprężynowego działa latawcowe żagle i wyskoczy z wody jak ryba.

Hock Seng wspomina, jak stał na pokładzie swojego pierwszego klipra, pod pełnymi żaglami, tnącego ocean jak kamień rzucony przez puszczające kaczki dziecko. Cięli fale, a piana wdzierała się na pokład, opryskując ich. Odwrócił się wtedy do swojej żony numer jeden i powiedział jej, że wszystko jest możliwe, że przyszłość należy do nich.

Przysiada nad brzegiem i wypija resztę mleczka z zielonego kokosa. Obserwuje go mały żebrak. Hock Seng przyzywa go gestem. Lubi nagradzać tych bystrzejszych, tych, którzy mają dość cierpliwości, by poczekać i zobaczyć, co zrobi ze skorupą. Podaje ją chłopcu. Ten przyjmuje ją z gestem *wai* i rozbija o spojone zaprawą kamienie u szczytu wału. Potem kuca i odłamkiem muszli wyskrobuje ze środka mazisty miąższ. Jest głodny.

Wreszcie pojawia się Kundlojebca. Naprawdę nazywa się Sukrit Kamsing, ale Hock Seng rzadko słyszy to nazwisko z ust żółtych kart. Za dużo nagromadzonej żółci, za długa historia. Zawsze Kundlojebca — to miano ocieka nienawiścią i strachem. Krępy facet, pełen kalorii i mięśni. Przystosowany do swojej pracy jak megodont do zamiany kalorii na dzule. Na jego dłoniach i ramionach połyskują blade blizny. Szparki w miejscu, gdzie kiedyś miał nos, łypią na Hock Senga — dwie ciemne pionowe szczeliny nadające mu wygląd świni.

Żółte karty spierają się czasami, czy Kundlojebca za długo hodował *fa'gan*, pozwalając jego kalafiorowatej bulwie wrosnąć zbyt głęboko w ciało, tak że lekarze nie mieli innego wyjścia niż

ratować mu życie amputacją, czy też Pan Łajna po prostu obciął mu nos za karę.

Kundlojebca przysiadła obok Hock Senga. Twarde spojrzenie czarnych oczu.

— Przyszła do mnie ta twoja doktor Chan. Z listem.

Hock Seng kiwa głową.

— Chcę się spotkać z twoim szefem.

Kundlojebca parska śmiechem.

— Połamałem jej palce i zerznąłem do nieprzytomności za to, że mnie obudziła.

Hock Seng zachowuje kamienną twarz. Może kłamie. A może mówi prawdę. Nie sposób się dowiedzieć. To w każdym razie próba. Chce sprawdzić, czy Hock Seng się wzdrygnie. Czy będzie chciał się targować. Być może doktor Chan faktycznie nie żyje. Kolejne brzemie na jego duszy, kiedy się wreszcie zreinkarnuje.

— Myślę, że twojego szefa zainteresuje ta propozycja — mówi.

Kundlojebca drapie w roztargnieniu szparkę nozdrza.

— Czemu nie przyszedłeś do mnie do firmy?

— Lubię świeże powietrze.

— Masz tu jakichś ludzi? Żółte karty? Myślisz, że zapewnią ci bezpieczeństwo?

Hock Seng wzrusza ramionami. Patrzy na statki i ich żagle. Na zapraszający go szeroki świat.

— Chcę zaproponować twojemu szefowi wspólny interes. Kolosalne zyski.

— Gadaj, co to takiego.

Hock Seng kręci głową.

— Nie, muszę porozmawiać z nim osobiście. W cztery oczy.

— On nie gada z żółtymi kartami. Może po prostu rzuci cię na pożarcie tym *plaa* z czerwonymi płetwami. Jak Zielone

Opaski waszych na południu.

— Wiesz, kim jestem.

— Wiem kim byłeś, według twojego listu. — Kundlojebca drapie brzeg nosowych szczelin, przypatruje się Hock Sengowi. — Tutaj jesteś jedną z wielu żółtych kart.

Hock Seng się nie odzywa. Podaje Kundlojebcy konopny worek z pieniędzmi. Ten patrzy na niego podejrzliwie.

— Co tam jest?

— Prezent. Zobacz sobie.

Kundlojebca jest ciekawy. Ale i ostrożny. Dobrze wiedzieć. Nie jest z tych, co wsadzają rękę do worka i znajdują tam skorpiona. On rozsznurowuje worek i wywraca go. Wypadają rulony banknotów, toczą się między muszlami po piasku. Kundlojebca wytrzeszcza oczy. Hock Seng powstrzymuje się od uśmiechu.

— Powiedz Panu Łajna, że Tan Hock Seng, właściciel firmy handlowej Trzy Bogactwa ma dla niego propozycję. Przekaż mój list, a sam też nieźle na tym wyjdiesz.

Kundlojebca się uśmiecha.

— A może po prostu wezmę sobie tę forszę, potem moi ludzie będą cię tłukli, aż zeznasz, gdzie trzymasz całą swoją paranoiczną, żółtokarcianą kasę.

Hock Seng zachowuje kamienną twarz.

— Wiem, że są tu ludzie Chana Śmieszka — mówi Kundlojebca. — Się z nim policzę za tę obrazę.

Hock Seng ze zdziwieniem zauważa, że nie czuje lęku. Żyje w strachu przed wszystkim, ale w jego nocnych koszmarach nie pojawia się taki oprychowaty *pi lien* jak Kundlojebca. W końcu jest człowiekiem interesu. Nie białą koszulą, napompowaną narodową dumą albo spragnioną odrobiny posłuchu. Kundlojebca robi wszystko za pieniądze. Pracuje dla pieniędzy. Stanowią z Hock Sengiem dwa różne elementy organizmu

gospodarczego, ale fundamentalnie są braćmi. Hock Seng uśmiecha się, nabierając pewności siebie.

— To jest tylko dla ciebie, za fatygę. Moja oferta przyniesie dużo więcej. Dla wszystkich. — Wyciąga dwa ostatnie przedmioty. Jeden to list. — Daj go swojemu szefowi, nie otwieraj. — Drugi podaje mu do ręki: małe pudełeczko ze znajomą uniwersalną osią i uchwytem, obudową z brudnożółtego palmowego tworzywa.

Kundlojebca bierze ten przedmiot, obraca go.

— Sprężyna? — Krzywi się. — O co chodzi?

Hock Seng się uśmiecha.

— Jak przeczyta list, będzie wiedział. — Wstaje i odwraca się, nie czekając na odpowiedź, z każdą chwilą czując się coraz mocniejszy i bardziej pewny siebie, najbardziej od czasu, gdy przyszły Zielone Opaski, puściły z dymem jego magazyny i posłały klipry na dno oceanu. W tym momencie czuje się jak mężczyzna. Idzie prosto, zapominając, że utyka.

Nie wiadomo, czy ludzie Kundlojebcy nie będą go śledzić, dlatego idzie powoli, wiedząc, że otaczają go zarówno oni, jak i ludzie Chana Śmieszka, pierścień obserwacyjny płynnie sunący za nim, kiedy przeciska się przez zaułki w głąb slumsów, aż w końcu spotyka Chana. Czeka na niego z uśmiechem.

— Puścili cię — mówi.

Hock Seng wyciąga kolejny zwitek pieniędzy.

— Dobrze się spisałeś. Ale wiedział, że to twoi ludzie. — Wręcza Chanowi rulon bahtów. — Zapłać mu za to.

Chan Śmieszek uśmiecha się do góry pieniędzy.

— To dwa razy za dużo. Nawet Kundlojebca korzysta z nas, kiedy nie chce mu się ryzykować z przemytem SoyPro z Koh Angrit.

— Weź i tak.

Chan Śmieszek wzrusza ramionami i pakuje forszę do kieszeni.

— Bardzo to miło z twojej strony. Kiedy są zamknięte lądowiska, przyda się każdy baht.

Hock Seng już odchodził, ale na ostatnie słowa zawraca.

— Co mówiłeś o lądowiskach?

— Są zamknięte. Wczoraj wieczorem białe koszule zrobiły nalot. Wszystko pozamykane na cztery spusty.

— A co się stało?

— Słyszałem, że wszystko spalili. Puścili z dymem.

Hock Seng nie zadaje dalszych pytań. Odwraca się i biegnie, najszybciej jak pozwalają mu stare kości. I przez całą drogę przeklina siebie. Przeklina, że jest głupkiem i nie wyczuł pisma nosem, że pozwolił sobie zapomnieć o czystym przetrwaniu, chcąc koniecznie zrobić coś więcej, być o krok dalej.

Za każdym razem, gdy planuje przyszłość, nie udaje mu się to. Zawsze, gdy wychodzi naprzód, świat wali się i go przygniata.

Na Thanon Sukhumvit, w słonecznym skwarze, znajduje sprzedawcę gazet. Grzebie w nich i napędzanych korbką brukowych szeptankach, wertuje strony obwieszczające szczęśliwe numery w grach i nazwiska przewidywanych mistrzów *muay thai*.

Otwiera je jedną po drugiej, z każdą kolejną coraz bardziej rozgorączkowany.

Wszystkie mają na pierwszej stronie uśmiechniętą twarz Jaideego Rojjanasukchaia, nieprzekupnego Tygrysa z Bangkoku.

* Kuala Lumpur (przyp. tłum.).

VII

— Zobacz! Jestem sławny!

Jaidee przysuwa stronę szeptanki ze zdjęciem do własnej twarzy i szczerzy się do Kanyi. Gdy ta nie reaguje, odkłada ją z powrotem na stojak, pomiędzy inne własne fotografie.

— No, masz rację. Nie jest zbyt wierne. Musieli dać komuś w łapę i wyciągnąć je z naszego archiwum. — Wzdycha tęsknie. — Ale młody wtedy byłem.

Kanya i tym razem nie reaguje, wpatruje się tylko ponuro w wodę *khlongu*. Przez cały dzień uganiaли się za łódkami szmuglującymi plony PurCalu i AgriGenu w górę rzeki, przemierzając ujście tam i z powrotem. Jaidee jeszcze jest cały rozdygotany z radości.

Łupem dnia był klipser kotwiczący kawałek za portem. Rzekomo indyjski statek handlowy przyplływający na północ z Bali, okazał się wypełniony po brzegi odpornymi na cibiskożę ananasami. Przyjemnie było słuchać, jak komendant portu i kapitan statku jękają się w tłumaczeniach, a tymczasem białe koszule Jaideego polewają cały ładunek ługiem, czyniąc go jałowym i niejadalnym. Cały zysk z przemytu diabli wzięli.

Kartkuje inne powieszony na wystawie gazety, znajduje kolejną własną fotografię. Tym razem z czasów, gdy uprawiał wyczynowo *muay thai*, roześmiany po walce na stadionie Lumpini. „The Bangkok Morning Post”.

— To się spodoba moim dzieciakom.

Otwiera gazetę i przegląda artykuł. Minister Handlu Akkarat zapluwa się z wściekłości. W wypowiedziach Handlu Jaidee jest wandal. Aż dziwne, że nie nazywają go po prostu zdrajcą

albo terrorystą. Fakt, że się tak miarkują, jest dlań dowodem, jak są bezsilni.

Jaidee nie może się powstrzymać: uśmiecha się znad gazety do Kanyi.

— Naprawdę im dopiekliliśmy.

Kanya znów nie odpowiada.

Jest sposób, by nie zwracać uwagi na jej złe humory. Gdy ją poznał, prawie uznał ją za głupią, przez to że jej twarz pozostawała tak obojętna, odporna na wszelkie żarty, jakby brakowało jej jakiegoś narządu — zmysłu, który, tak jak nos rejestruje zapachy, oko widoki, pozwala człowiekowi wyczuć *sanuk*, kiedy ma go przed sobą.

— Trzeba wracać do Ministerstwa — mówi ona i odwraca się ku rzece, rozglądając się za czymś, co mogłoby ich podwieźć.

Jaidee płaci sprzedawcy szeptanek, a przed nimi pojawia się rzeczna taksówka.

Kanya macha na nią, taksówka podpływa, koło zamachowe świszcze od nagromadzonej energii, fale pluszczą o nabrzeże *khlongu*, kiedy dociera tu jej kilwater. Połowę wyporności stanowią ogromne sprężyny. Na zadaszonym dziobie tłoczą się zamożni biznesmeni, Chińczycy z Chaozhou — jak wiezione na rzeź kaczki.

Kanya i Jaidee wskakują na pokład i stają na wąskim pomoście na zewnątrz kajuty. Dziewczynka sprzedająca bilety nie zwraca uwagi na ich białe mundury, więc oni nie zwracają uwagi na nią. Właśnie sprzedaje trzydziestobahtowy bilet jakiemuś facetowi, który wsiadł razem z nimi. Gdy łódź odbija od nabrzeża i przyśpiesza, Jaidee chwyta się liny bezpieczeństwa. Wiatr gładzi go po twarzy, suną wzdłuż *khlongu*, kierując się do serca miasta. Łódź porusza się szybko, lawirując między małymi wiosłowymi łódeczkami i długoogonowymi łodziami. Mijają kwartały niszczących domów, sklepy, w słońcu wiszą kolorowe *pha sin*, bluzki i

sarongi. Kobiety myją długie czarne włosy w brunatnej wodzie kanału. Łódka gwałtownie zwalnia.

Kanya patrzy przed dziób.

— Co jest?

Przed nimi leży przewrócone drzewo. Tarasuje prawie cały kanał. Powstał zator, łodzie próbują przeciskać się bokiem.

— Drzewo *bo* - mówi Jaidee. Rozgląda się za punktami orientacyjnymi. — Trzeba będzie wezwać mnichów.

Nikt inny go nie tknie. I mimo niedoboru drewna, nikt także go nie spożytkuje. To przyniosłoby pecha. Łódź stoi w miejscu, podczas gdy cały rzeczny ruch próbuje przecisnąć się przez wąski przesmyk obok drzewa.

Jaidee cmoka niecierpliwie, po czym woła:

— Z drogi, przyjaciele! Ministerstwo Środowiska! Z drogi! — I macha swoim identyfikatorem.

Na widok blachy i białego munduru łodzie się rozstępują. Pilot taksówki rzuca Jaideemu wdzięczne spojrzenie. Łódź szarpie, przeciska się między innymi.

Gdy lawirują między nagimi gałęziami, wszyscy pasażerowie pozdrawiają przewrócone drzewo głębokimi *wai*, składając ręce i dotykając nimi czoł.

Jaidee także robi *wai*, a potem wyciąga rękę i przesuwa palcami po sitkowatym drewnie. Pełno na nim maleńkich dziurek. Gdyby zdjąć korę, byłoby widać siateczkę rowków — przyczynę śmierci drzewa. Drzewo *bo*. Święte drzewo, pod którym Budda osiągnął oświecenie. A jednak nie udało się go uratować. Mimo wielu starań nie przetrwała ani jedna odmiana figowca. Koziorogi okazały się dla nich nie do pokonania. Kiedy zawiedli naukowcy, w ostatnim akcie desperacji modlono się do Phra Seuba Nakhasathiena, ale nawet męczennik ich nie uratował.

— Nie dało się uratować wszystkiego — mruczy Kanya, jakby czytała mu w myślach.

— Nie dało się uratować niczego. — Palce Jaideego ślizgają się po rowkach będących dziełem chrząszczy koziorogów. — *Farangowie* mają tyle na sumieniu, a Akkarat dalej chce mieć z nimi układy.

— Ale nie z AgriGenem.

Jaidee uśmiecha się gorzko i zabiera dłoń z przewróconego drzewa.

— No, z nimi nie. Ale z innymi takimi. Z genhakerami. Kaloriarzami. Nawet z PurCalem, kiedy głód daje się we znaki. Bo inaczej, po co byśmy pozwalali im siedzieć na Koh Angrit? Na wypadek, gdyby byli potrzebni. Gdyby coś nie wyszło i trzeba było zebrać o ich ryż, pszenicę i soję.

— Teraz mamy własnych genhakerów.

— Dzięki zapobiegliwości Jego Wysokości Ramy XII.

— I Chaoprayi Gi Bu Sena.

— Też mi Chaopraya. — Jaidee się krzywi. — Taki zły człowiek jak on nie zasługuje na ten szacowny tytuł.

Kanya wzrusza ramionami, ale nie chwyta przynęty. Drzewo *bo* jest już za nimi. Wysiadają przy moście Srinakharin. Jaideego wabi zapach stoisk z jedzeniem. Gestem nakazuje Kanyi iść za sobą w wąski *soi*.

— Somchai mówi, że gdzieś tu jest świetny wózek z *som tam*. Podobno mają dobre, zdrowe papaje.

— Nie jestem głodna — odpowiada Kanya.

— Dlatego zawsze masz taki kiepski humor.

— Jaidee... — zaczyna Kanya i urywa.

Jaidee zerka na nią, dostrzega niepokój na twarzy.

— Co jest? No powiedz.

— Denerwuję się tym lądowiskiem.

— Oj przestań.

Przed nimi wzdłuż ścian zaułka tłoczą się wózki z jedzeniem i stoliki. Pośrodku zbitych ze skrzynek blatów stoją równiutko miseczki z *nam plaa prik*.

— Widzisz? Somchai miał rację. — Znajduje wózek z sałatkami, przepatruje przyprawy i owoce, zaczyna zamawiać dla nich obojga.

Kanya podchodzi i staje obok — chmura stężonego ponurego nastroju.

— Dwieście tysięcy bahtów to duża strata dla Akkarata — szepcze, gdy Jaidee prosi sprzedawczynię *som tam*, żeby dodała jeszcze chili.

Jaidee kiwa głową z namysłem, kobieta zaś miesza z przyprawami paseczki zielonej papai.

— To prawda. Nie miałem pojęcia, że ciągną stamtąd taką kasę.

Wystarczyłoby, żeby sfinansować nowe genhakerskie laboratorium, albo wysłać pięćset białych koszul na kontrolę do hodowli tilapii w Thonburi... Kręci głową. I to tylko z jednego nalotu. Niesamowite.

Tak bywa: już wydaje mu się, że rozumie, jak działa ten świat, ale od czasu do czasu zdejmuje pokrywkę z jakiegoś nieznanego fragmentu boskiego miasta i z zaskoczeniem patrzy na rozbiegające się we wszystkie strony karaluchy. Coś nowego.

Przechodzi do kolejnego wózka, wyładowanego tacami wieprzowiny z dużą ilością chili i pędami bambusa RedStar. Smażone zmijogłowe *plaa*, panierowane, chrupkie, wyłowione dzisiaj z rzeki Chao Phraya. Zamawia więcej jedzenia. Dość dla nich dwojga i piwo Sato do popicia. Sadowi się przy wolnym stoliku, czeka, aż podadzą.

Bujając się na bambusowym stołku, po służbie, z żołądkiem ogrzanym ryżowym piwem, nie może nie uśmiechać się do

swojej ponurej podwładnej.

Kanya, jak zawsze, pozostaje sobą, nawet posadzona przed świetnym jedzeniem:

— *Khun Bhirombhakdi* skarżył się na ciebie w centrali — mówi. — Mówił, że pójdzie do generała Prachy i każe ci wyrwać te uśmiechnięte usta.

Jaidee pakuje papryczki do ust.

— Nie boję się go.

— Kotwicowiska to jego teren. Rewir, gdzie on kasuje za ochronę.

— Najpierw denerwujesz się *Handlem*, a teraz *Bhirombhakdim*. Ten dziad boi się własnego cienia. Każe żonie próbować wszystkiego, co je, żeby mieć pewność, że nie dostanie rdzy pęcherzowej. — Kręci głową. — Nie bądź taka skrzywiona. Powinnaś się więcej uśmiechać. Proszę, napij się. — Nalewa swojej pani porucznik więcej Sato. — Kiedyś nazywaliśmy nasz kraj Krainą Uśmiechów. — Demonstruje jeden z nich. — A ty siedzisz smutna jakbyś najadła się cytryn.

— Może wtedy było więcej powodów do uśmiechu.

— Pewnie i prawda. — Jaidee odstawia Sato na stolik, z którego sterczą drzazgi, i patrzy na nie z namysłem. — Musieliśmy zrobić w naszych poprzednich życiach coś strasznego, żeby zasłużyć na te obecne. Tylko takie wytłumaczenie przychodzi mi do głowy.

Kanya wzdycha.

— Czasem widuję ducha mojej babki, jak łązi po *chedi* koło mojego domu. Kiedyś mi powiedziała, że nie zreinkarnuje się, dopóki nie stworzymy dla niej lepszego świata.

— Kolejny*phii* z czasów Zapaści? Ale jak cię znalazła? Czy ona nie jest z narodu Isaan?

— Znalazła mnie i tak. — Kanya wzrusza ramionami. — Jest ze mnie bardzo niezadowolona.

— My też nie będziemy zadowoleni.

Jaidee też widywał te *phii*, czasem szły ulicą, czasem siedziały na drzewie. Wszędzie ich teraz pełno. Niezliczone mrowie. Widywał je na cmentarzach i opierające się o pnie przeżartych przez robaki drzew *ho*, a wszystkie patrzyły na niego ze złością.

Każde medium nic tylko powtarza, że *phii* wariują z frustracji, że nie mogą się zreinkarnować, więc włóczą się po świecie, jak wielki tłum ludzi na dworcu Hualamphong, liczących na pociąg, który zawiezie ich nad morze. Wszystkie czekają na reinkarnację i nie mogą się wcielić, bo żaden nie zasłużył na cierpienie, jakie oferuje obecny świat.

Mnisi, jak Ajahn Suthem, mówią, że to bzdury. On sprzedaje amulety odstraszające *phii* i mówi, że to tylko wygłodniałe duchy, powstałe z nienaturalnej śmierci na skutek zjedzenia warzyw skażonych rdzą. Każdy może pójść do jego kapliczki i dać na ofiarę, albo do świątyni Erawan, i złożyć ofiarę Brahmie — może zapłacić tancerkom, żeby przez chwilę potańczyły — i kupić sobie nadzieję, że duchy będą mogły w spokoju podróżować do kolejnego wcielenia. Co do takich rzeczy można jeszcze mieć jakąś nadzieję.

Ale duchów i tak jest pełno. Wszyscy tak mówią. To ofiary AgriGenu, PurCalu i tym podobnych.

— Z tą babką, to nie brałbym tego do siebie — mówi Jaidee. — Podczas pełni widziałem pełno *phii*, nawet na ulicach koło Ministerstwa Środowiska. Były ich dziesiątki. — Uśmiecha się smutno. — Chyba nic się na to nie poradzi. Jak pomyślę, że Niwat i Surat mają dorastać w czymś takim... — Nabiera powietrza, opanowując emocje, nie chcąc zdradzić się z nimi przed Kanyą. Pociąga łyk piwa. — W każdym razie, walka była dobra. Szkoda, że nie możemy złapać jakichś grubych ryb z

AgriGenu czy PurCala i przydusić ich trochę. Może dać do spróbowania rdzę pęcherzową AG134.s. Wtedy moje życie

byłoby spełnione. Mógłbym umrzeć szczęśliwy.

— Pewnie też nie mógłbyś się wcielić — zauważa Kanya. — Jesteś zbyt dobry, żeby znów wylądować w tym piekle.

— Jak mi się poszczęści, odrodzę się w Des Moines i wysadzę im te genetyczne laboratoria.

— Jak się poszczęści.

Jaidee unosi wzrok, słysząc ton jej głosu.

— Co cię gryzie? Czemu jesteś taka smutna? Na pewno odrodzimy się w jakimś ładnym miejscu. Oboje. Pomyśl, jak sobie zasłużyliśmy choćby wczoraj w nocy. Myślałem, że ci *heeya* z Celnego zesrają się, kiedy spaliliśmy im cały towar.

Kanya robi kwaśną minę.

— Pewnie nigdy nie spotkali białej koszuli, która nie brała w łapę.

I tak oto błyskawicznie zabija jego dobry humor. Nic dziwnego, że w Ministerstwie nikt jej nie lubi.

— No, to akurat prawda. Teraz wszyscy biorą. Kiedyś tak nie było. Ludzie zapominają o najgorszych czasach. Już nie boją się tak jak kiedyś.

— A ty włazisz kobrze do paszczy z tym Handlem — dodaje Kanya. — Po zamachu z dwunastego grudnia, wygląda na to, że generał Pracha i Akkarat tylko krążą wokół siebie i czekają na pretekst, żeby znów uderzyć. Jeszcze się ze sobą nie policzyli, a ty robisz coś, co znowu rozeźli Akkarata. Burzysz równowagę.

— Taka już moja uroda, za bardzo jestem *jai rawn*. Chaya też na to narzeka. Po to właśnie mam ciebie. Ale Akkaratem bym się nie przejmował. Trochę popluje, potem mu przejdzie. Zachwycony nie będzie, ale generał Pracha ma zbyt dużo sojuszników w wojsku, żeby pokusić się o kolejny zamach. Teraz, kiedy premier Surawong nie żyje, Akkaratowi już niewiele zostało. Jest w izolacji. Bez wsparcia czołgów i

megodontów może i jest bogaty, ale jest papierowym tygrysem. To dla niego świetna lekcja.

— Jest groźny.

Jaidee patrzy na nią poważnie.

— Tak jak kobra. Albo megodont. Albo cibiskoza. Zawszą nic tylko niebezpieczeństwa. Akkarat... — Wzrusza ramionami.

— Zresztą, co się stało, to się nie odstanie. Po co się teraz przejmować? *Mai pen rai*. Nieważne.

— Ale i tak powinieneś uważać.

— Myślisz o tym facecie na lądowisku? Tym, którego wypatrzył Somchai? Przestraszył cię?

— Nie. — Kanya wzrusza ramionami.

— To dziwne. Bo mnie tak. — Przypatruje się Kanyi, oceniając, ile powinien powiedzieć, ile wiedzy o otaczającym świecie wyjawić. — Bo ja mam bardzo złe przeczucia.

— Naprawdę? — Kanya wygląda na zdenerwowaną. — Przestraszyłeś się? Jednego głupiego faceta?

Jaidee kręci głową.

— Nie aż tak, żeby uciec i schować się Chayi pod spódnicę, ale tego gościa już kiedyś widziałem.

— Nic nie mówiłeś.

— Bo z początku nie byłem pewny. Teraz jestem. On chyba pracuje dla Handlu. — Przerzywa, obserwuje jej reakcję. — Chyba znowu na mnie polują. Może zastanawiają się nad kolejnym zamachem. A co ty o tym myślisz?

— Nie śmieliby cię tknąć. Jej Wysokość wstawiała się za tobą.

Jaidee dotyka szyi, gdzie na śniadej skórze wciąż widać jaśniejszą kreskę blizny po strzale ze sprężynowca.

— Nawet po tym, co im zrobiłem na lądowisku?

— Przydzielę ci ochronę.

Jaidee śmieje się z jej zaciekleści, choć jednocześnie jest mu miło.

— Dobra dziewczyna z ciebie, ale byłbym głupi, chodząc z ochroniarzem. Wszyscy by się dowiedzieli, że można mnie zastraszyć. To niegodne Tygrysa. Proszę, jedz. — Nakłada jej na talerz większą porcję zmijogłowej ryby *plaa*.

— Już się najadłam.

— Nie bądź taka skromna. Jedz.

— Powinieneś mieć ochronę. Proszę.

— Ty będziesz mnie pilnować. Tobie mogę zaufać. To wystarczy aż nadto.

Kanya się wzdryga. Jaidee uśmiecha się w duchu, widząc jej zakłopotanie. Oj, Kanya, myśli. Każdy staje w życiu przed jakimś wyborem. Ja swojego już dokonałem. Ale ty masz własną *kammę*.

— No, zjedz jeszcze trochę, taka chuda jesteś — mówi łagodnym tonem. — Jak masz sobie znaleźć przyjaciela, skoro z ciebie sama skóra i kości?

— Jakoś ostatnio nie jem za dużo. — Kanya odsuwa talerz.

— Ludzie wszędzie głodują, a ty nie możesz jeść.

Kanya marszczy czoło i nabiera łyżką kawałek ryby.

Jaidee kręci głową. Odkłada swój widelec i łyżkę.

— Co z tobą? Jesteś jeszcze bardziej ponura niż zawsze. Jakby któryś z twoich braci dopiero co wyładował w urnie. Co cię gryzie?

— Nic. Naprawdę. Po prostu nie jestem głodna.

— Pani porucznik, proszę mówić. Tylko szczerze. To rozkaz. Świetny z ciebie oficer. Ale nie mogę znieść już twojej smutnej miny. Nie chcę, żeby ktoś z moich ludzi chodził z taką miną, nawet ci od Isaana.

Kanya się krzywi. Jaidee patrzy, jak pani porucznik rozważa, co powiedzieć. Zastanawia się, czy sam kiedykolwiek był

równie taktowny, jak ta młoda kobieta. Wątpliwe. On zawsze był obcesowy i zbyt łatwo się wściekał. Nie to co Kanya, surowa Kanya, przez cały czas *jai yen*. Zero *sanuk*, ale *jai yen* z pewnością.

Czeka, myśląc, że wreszcie usłyszysz jej historię, całą boleśnie ludzką historię, lecz gdy Kanya wreszcie znajduje słowa, zaskakują go. Mówi prawie szeptem. Jest tak zażenowana, że ledwo jest w stanie się wypowiedzieć.

— Niektórzy twoi ludzie narzekają, że bierzesz za mało darów dobrej woli.

— Co? — Jaidee prostuje się i patrzy na nią. — Nie robimy takich rzeczy. Jesteśmy inni niż reszta. I szcycimy się tym.

Kanya natychmiast kiwa głową.

— A gazety i szeptanki uwielbiają cię za to. I społeczeństwo.

— Ale?

Powraca żałosna mina.

— Ale awansów już nie dostajesz, a twoi lojalni ludzie nic nie zyskują na tym, że są pod tobą, i podupada im morale.

— Ale zobacz tylko, jakie osiągnięcia! — Jaidee poklepuje stojący między nogami worek pieniędzy skonfiskowany z klipra. — Wszyscy wiedzą, że, jak będą w potrzebie, dostaną pomoc. Wystarczy dla wszystkich potrzebujących, aż nadto.

Kanya wbija wzrok w stół i mruczy:

— Niektórzy mówią, że wolisz sam zgarniać te pieniądze.

— Co? — Jaidee wytrzeszcza oczy. — Też tak myślisz?

— Oczywiście, że nie.

Jaidee kręci głową.

— Jasne, że ty nie. Dobra z ciebie dziewczyna. Masz wielkie zasługi. — Uśmiecha się do pani porucznik, nagle ogarnięty ogromnym współczuciem dla tej młodej kobiety, która przysła, zagłodzona, do swojego idola, niegdysiejszego mistrza *muay thai*, tak bardzo pragnąc go naśladować.

— Robię co mogę, żeby zwalczać te plotki, ale... Kadeci mówią że służyć u kapitana Jaideego to jak głodować i żywić się robakami *akah*. Tylko harujesz i harujesz i robisz się coraz chudszy. To świetni ludzie, ale i tak się wstydzą, że mają stare mundury a ich koledzy nowe, eleganckie. Kiedy jadą po dwóch na jednym rowerze, a koledzy na nakręcanych skuterach.

— Pamiętam czas, kiedy wszyscy kochali białe koszule. — Jaidee wzdycha.

— Ale każdy musi jeść.

Jaidee ponownie wzdycha. Wyciąga worek spomiędzy nóg i popycha go do Kanyi.

— Weź te pieniądze. Rozdziel wszystkim po równo. Za wczorajszą odwagę i ciężką pracę.

— Na pewno? — Patrzy na niego zaskoczona.

Jaidee wzrusza ramionami i uśmiecha się, maskując rozczarowanie — świadomość, że to najlepsze wyjście, napawa go bezbrzeżnym smutkiem.

— A czemu nie? W końcu to dobre chłopaki, sama powiedziałaś. Pokazali *farangom* i Ministerstwu Handlu, gdzie raki zimują. Świetnie się spisali.

Kanya składa ręce i kłania się w pełnym szacunku *wai*, pochylając nisko głowę i dotykając dłońmi czoła.

— Oj, przestań już. — Jaidee dolewa jej Sato, opróżniając butelkę. — *Mai pen rai*. Nieważne. To są drobiazgi. Jutro trzeba będzie stawać do nowej bitwy. A do tego trzeba mieć oddanych ludzi. Jak mamy pokonać wszystkie PurCale i AgriGeny świata, jeśli nie nakarmimy własnych przyjaciół?

VIII

— Straciłem trzydzieści tysięcy.

— Ja pięćdziesiąt — mruczy Otto. Lucy Nguyen patrzy w sufit.

— Sto osiemdziesiąt pięć? Albo sześć?

— Czteryście. — Quoile Napier odstawia na niski stolik szklanę z ciepłym Sato. — Czteryście tysięcy niebieszczaków kosztował mnie ten cholerny sterowiec Carlyle'a.

Wszyscy milkną w osłupieniu.

— Jezus Maria. — Lucy prostuje się, otępiała od wypitego wczesnym popołudniem alkoholu. — Co ty tam szmuglowałeś, odporne na cibiskożę nasiona?

Rozmówcy rozsiadają się na werandzie knajpy „U Francisa Drake'a”, cała piątka, razem, „Falanga *Farangów*”, jak ochrzciła ich Lucy. Spoglądają na zewnątrz, w piec hutniczy pory suchej i upijają się do nieprzytomności.

Anderson siedzi wśród nich, jednym uchem słuchając bełkotliwych narzekań i zastanawiając się nad kwestią pochodzenia *ngoh*. Ma między nogami kolejną torbę z tymi owocami i dręczy go myśl, że rozwiązanie zagadki jest tuż-tuż, tylko jemu brakuje bystrości, żeby ją rozgryźć. Popija ciepłą khmerską whiskey i rozmyśla.

Ngoh. Ewidentnie odporny na rdzę pęcherzową i cibiskożę, nawet przy bezpośredniej ekspozycji. Na pewno nie daje się także nippońskiemu genhakowanemu ryjkowcowi i wiedniakowi, bo inaczej w ogóle by nie wyrósł. Owoc doskonały. Owoc dostępu do innego materiału genetycznego,

niż mają do dyspozycji genhakerzy AgriGenu i pozostałych firm kalorycznych.

Gdzieś w tym kraju kryje się bank nasion. Tysiące, a może i setki tysięcy starannie zakonserwowanych nasion, skarbiec biologicznej różnorodności. Nieskończone łańcuchy DNA, i każdy z nich ma własne potencjalne zastosowanie. A Tajowie czerpią z tej kopalni złota rozwiązania najtrudniejszych problemów własnego przetrwania. Gdyby Des Moines miało dostęp do tajskiego banku nasion, mogliby zanalizować kod genetyczny sprzed pokoleń i dzięki temu pokonać poprzednie mutacje epidemii. Życ odrobinę dłużej.

Anderson wierci się na fotelu, tłumiąc złość, ocierając pot z czoła. Jest tak blisko. Odrodziły się psiankowate, a teraz ten *ngoh*. I gdzieś w Azji Południowowschodniej Gibbons lata sobie na wolności. Gdyby nie ta nielegalna nakręcanka, nawet nie miałby o tym pojęcia. Królestwo wyjątkowo sprawnie chroni swoje interesy. Gdyby udało się ustalić lokalizację tego banku, można by nawet zrobić nalot... Ale od czasów Finlandii wszyscy się nauczyli.

Poza werandą nie drgnie nic, co ma choć odrobinę inteligencji. Po szyi Lucy spływają kuszące krople potu, wsiąkając w jej bluzkę, gdy narzeka na wojnę węglową z Wietnamem. Kiedy wojsko strzela do wszystkiego, co się rusza, nie da się poszukiwać nefrytu. Bokobrody Quoił'e'a są pozlepiane. Powietrze ani drgnie.

Na ulicy rikszarze kulą się jeden przy drugim w małych plamkach cienia. Spod nagiej, napiętej skóry sterczą kości i stawy, jak u zbyt mocno obciążonych skórą szkieletów. O tej porze z cienia podniosą się tylko na wezwanie, a i to tylko za podwójną opłatą.

Cała prowizoryczna konstrukcja baru jest przyczepiona do zewnętrznej ściany zrujnowanego wieżowca w stylu Ekspansji. Ręcznie malowany szyld opiera się o jeden z prowadzących na werandę stopni. Niechlujnie nabazgrane słowa: „U Francisa

Drake'a". W porównaniu z otaczającym go obrazem zniszczenia i ruiny, pojawił się stosunkowo niedawno — namalowała go garstkafarangów zdecydowanych ponazywać swoje otoczenie. Durnie odpowiedzialni za tę nazwę dawno rozplynęli się w głębi kraju. Pochłonęła ich dżungla atakowana kolejnymi wersjami rdzy pęcherzowej lub płatanina frontów wojen o węgiel i nefryt. Szyld jednak został: albo bawi właściciela, który wziął sobie od niego przezwisko, albo nikt nie ma energii, żeby go zamalować. Na razie łuszczy się z gorąca.

Niezależnie od swojej proveniencji, Drake ma idealną lokalizację, pomiędzy śluzami dla statków a fabrykami. Jego waląca się buda znajduje się dokładnie naprzeciwko hotelu Victory, Falanga *Farangów* może się więc zapijać do upadłego i jednocześnie obserwować, czy fale nie wyrzuciły jakichś nowych cudzoziemców.

Są jeszcze inne, gorsze speluny dla marynarzy, którym uda się przejść przez Cło, kwarantannę i łaźnie, ale to tutaj, pomiędzy wykrochmalonymi, białymi obrusami Victory po jednej stronie i bambusową rudera Drake'a po drugiej, lądują w końcu wszyscy obcokrajowcy osiadający w Bangkoku na dłużej.

— To co tam wiozłeś? — pyta jeszcze raz Lucy, namawiając Quoile'a, żeby wytłumaczył swoje straty.

Quoile nachyla się i ścisza głos, skłaniając wszystkich, by się podnieśli.

— Szafran. Z Indii.

Chwila ciszy, wreszcie Cobb parska śmiechem.

— Idealny lotniczy produkt. Szkoda, że ja na to nie wpadłem.

— W sam raz do sterowca. Mało waży. I jest bardziej dochodowy niż opium — mówi Quoile. — Królestwu nie udało się jeszcze złamać jego kodu, a wszyscy politycy i generałowie chcą go mieć w kuchni. Jak się któremuś uda, jego reputacja

rośnie kolosalnie. Miałem solidne zamówienia. Miałem być bogaty. Niesamowicie bogaty.

— I co, bankrutujesz?

— Możliwe, że nie. Negocjuję ze Sri Ganesha Insurance, może część mi pokryją. — Quoile wzrusza ramionami. — No, z osiemdziesiąt procent. Ale wszystkie te łapówki, żeby to tutaj przerzucić? Wziątki dla celników? — Krzywi się. — To poszło w stu procentach. No, ale sam może jakoś się wywinę. Właściwie to miałem szczęście. Ładunek ma ubezpieczenie tylko dlatego, że jeszcze był w sterowcu Carlyle'a. Trzeba by wypić za tego cholernego pilota, że utopił się w oceanie. Gdyby go rozładowali, a białe koszule spaliłyby wszystko na ziemi, to byłby czysty żywy przemyt. Wtedy wylądowałbym na ulicy, razem z obrośniętymi *fa' gan* żebrakami i żółtymi kartami.

Otto marszczy czoło.

— To chyba jedyna dobra rzecz jaką można powiedzieć o Carlyle'u. Gdyby nie pchał paluchów do polityki, nic takiego by się nie stało.

— Nie wiadomo. — Quoile wzrusza ramionami.

— Wiadomo na sto procent — wtrąca się Lucy. — Połowę energii poświęca na skarżenie się na białe koszule, a drugą na podlizywanie się Akkaratowi. To sygnał od generała Pracha do Carlyle'a i Ministerstwa Handlu. A my to gołębie pocztowe.

— Gołębie pocztowe wymarły.

— A my to co? Generał Pracha z przyjemnością wsadzi nas wszystkich do więzienia Khlong Prem, jeśli uzna, że w ten sposób da coś do zrozumienia Akkaratowi. — Przenosi wzrok na Andersona. — A ty, Lake, coś strasznie cicho siedzisz. Nic nie straciłeś? Nic w ogóle?

Anderson wzdryga się.

— Materiały do produkcji. Części zamienne do linii. Pewnie ze sto pięćdziesiąt tysięcy niebieskich. Mój sekretarz jeszcze

szacuje szkody. — Zerka na Quoile'a. — Mój towar był już na ziemi. Zero ubezpieczenia.

Wspomnienie rozmowy z Hock Sengiem jest nadal świeże. Najpierw szedł w zaparte, skarżąc się na niekompetencję na lądowisku, po czym w końcu przyznał, że wszystko przepadło, a w ogóle to nie wypłacił wszystkich należnych łapówek. Obrzydliwie to wyglądało, niemal histerycznie: stary bał się, że straci pracę, a Anderson wpędzał go coraz dalej w ten lęk, naciskając, wyzywając, krzycząc, aż się kulił — chciał dać mu w ten sposób nauczkę. Mimo to, nadal zastanawia się, czy nauzka dotarła, czy też Hock Seng znowu będzie kombinować. Dawno wyrzuciłby starego dziada z powrotem do wieżowca dla żółtych kart, gdyby nie to, że dzięki niemu ma dużo więcej czasu na ważniejsze sprawy.

— Mówiłam ci, że to idiotyczne miejsce na fabrykę — mówi Lucy.

— Ale Japończycy jakoś działają.

— Tylko dlatego, że mają specjalne układy z Pałacem.

— Chińczykom z Chaozhou też nieźle idzie.

— Oni są tu od pokoleń. — Lucy się krzywi. — Praktycznie są Tajami. Nam bliżej do żółtych kart niż Chaozhou, jeśli już chcesz porównywać. Bystry *farang* wie, że nie ma co się za bardzo tu przywiązywać. Tutaj ziemia cały czas chodzi. Bardzo łatwo stracić wszystko w jakiejś rozpadlinie. Albo podczas kolejnego zamachu.

— Każdy musi grać kartami, jakie dostał. — Anderson wzrusza ramionami. — Zresztą, to Yates wybrał lokalizację.

— Yatesowi też mówiłam, że to idiotyzm.

Anderson wspomina Yatesa, oczy rozpalone wizją nowej globalnej gospodarki.

— Może nie idiotyzm, ale na pewno idealizm. — Dopija drinka. Nigdzie nie widać właściciela baru. Macha na kelnerów,

którzy nie zwracają nań uwagi. Przynajmniej jeden z nich śpi na stojąco.

— A nie boisz się, że cię stąd odwołają, jak Yatesa? — pyta Lucy.

Anderson wzrusza ramionami.

— To by nie było takie najgorsze. Cholernie tu gorąco. — Dotyka spalonego nosa. — Ja raczej jestem z tych północnych typów.

Nguyen i Quoile, obaj ciemnoskórzy, śmieją się, a Otto tylko ponuro kiwa głową — łuszcząca się skóra na nosie stanowi świadectwo, że i on nie przystosował się do palącego równikowego słońca.

Lucy wyciąga fajeczkę, a przed rozłożeniem przyborów i nieodłącznej kulki opium na stole odgania kilka much. Muchy odchodzą, nie chce im się latać. Nawet one są oszołomione upałem. W zaułku, koło gruzowiska po starym wieżowcu, dzieciaki bawią się przy pompie z wodą. Lucy przygląda im się, nabijając fajkę.

— Jezus, chciałabym znowu być dzieckiem.

Wszyscy jakby stracili zapał do rozmowy. Anderson wyciąga spomiędzy stóp torbę *ngoh*. Wyjmuje jednego, obiera. Wyłuskuje ze środka przejrzysty miąższ i ciska włochatą łupinę na stół. Pakuje miąższ do ust.

Otto przechyla głowę.

— Co ty tam masz?

Anderson sięga do torby, rozdaje owoce.

— Nawet nie wiem. Tajowie mówią na nie *ngoh*.

Lucy przestaje ubijać fajkę.

— Widziałam je. Wszędzie ich pełno. Nie mają rdzy?

Anderson kręci głową.

— Jak na razie nie. Baba, co je sprzedawała, powiedziała, że są zdrowe. Miała zaświadczenia.

Wszyscy parszają śmiechem, Anderson zbywa ich cynizmem wzruszeniem ramion.

— Poleżały przez tydzień i nic. Są zdrowsze niż U-*Tex*.

Reszta idzie za jego przykładem i zjada swoje owoce. Wytrzeszczają oczy. Pojawiają się uśmiechy. Anderson otwiera torbę szeroko i stawia ją na stole.

— Śmiało, ja już swoje zjadłem.

Wszyscy grzebią w torbie. Pośrodku stołu rośnie stos skórek. Quoile przeżuwa *ngoh* z namysłem.

— Trochę przypominają mi liczi.

— Tak? — Anderson opanowuje ciekawość. — Nie słyszałem o czymś takim.

— No pewnie. Kiedyś piłem napój, trochę podobnie smakował. Jak ostatnio byłem w Indiach, w Kolkacie. Przedstawiciel handlowy z PurCala zabrał mnie do jakiejś swojej restauracji, kiedy zastanawiałem się, czy wchodzić w import szafranu.

— I myślisz, że to jest to... liczy?

— Możliwe. Mówili „liczi” na ten napój. Może to w ogóle nie jest nazwa owocu.

— Jeśli to produkt PurCala, to nie wiem, skąd miałby się tutaj wziąć — mówi Lucy. — Powinien odbywać kwarantannę na Koh Angrit, a tymczasem Ministerstwo Środowiska wymyślałoby sto sposobów na jego opodatkowanie. — Wypluwa pestkę na dłoń i ciska ją przez balkon na ulicę. — A ich jest wszędzie pełno. Muszą być tutejsze. — Sięga do torby po kolejnego *ngoh*. — Ale wiesz, kto mógłby coś wiedzieć... — Prostuje się i woła w głąb ciemnego baru: — Hagg! Jesteś tam? Śpisz?

Na dźwięk tego nazwiska reszta porusza się i prostuje, jak przyłapanie przez surowego rodzica dzieci. Anderson opanowuje drżenie.

— Nie trzeba było tego robić — mruczy.

— Myślałem, że on nie żyje. — Otto się krzywi.

— To nie wiecie, że rdza pęcherzowa nic nie robi wybranym?

Wszyscy powstrzymują śmiech, gdy z ciemności wyłania się postać. Twarz Haggga jest zaczerwieniona i pokryta kropelkami potu. Z namaszczeniem lustruje wzrokiem Falangę.

— Cześć wszystkim. — Kiwa głową Lucy. — Czyli dalej handlujesz z tymi typami, tak?

— Jakoś trzeba wiązać koniec z końcem. — Lucy wskazuje brodą krzesło. — Nie stój tak. Siadaj, napij się z nami. Opowiedz, co u ciebie słychać.

Zapala opiumową fajeczkę, zaciąga się, a Hagg przysuwa sobie krzesło i zwała się na nie ciężko.

Jest solidnym, dobrze odżywionym facetem. Anderson nie po raz pierwszy myśli, że to ciekawe: grahamickim księżom, wszystkim co do jednego, brzuszyska zawsze wylewają się z zajmowanej niszy. Macha na kelnera, wszyscy są zdumieni, kiedy ten niemal natychmiast pojawia się przy jego łokciu i stawia na stoliku szklaneczkę whiskey.

— Lodu nie ma — mówi.

— No nie ma. Pewnie, że bez lodu. — Hagg kręci głową. — I tak bym nie chciał marnować tych kalorii.

Hagg bierze szklanę, opróżnia ją w sekundę i zamawia kolejną.

— Jak dobrze wrócić ze wsi — mówi. — Człowiek zaczyna tęsknić za przyjemnościami cywilizacji. — Przepija do nich drugą szklanę i ją także wychyla duszkiem.

— A daleko byłeś? — pyta Lucy przez zęby, w których ścisną fajkę. Oczy ma już trochę szkliste od opiumowej smoły.

— Pod dawną granicą z Birmą. Przełęcz Trzech Pagód. — Patrzy na nich kwaśno, jakby wszyscy byli winni grzechów, nad którymi tam pracował. — Badałem rozprzestrzenianie się kozioroga.

— Mówią, że nie jest tam zbyt bezpiecznie — odzywa się Otto. — A kto tam robi za *jao pora*?

— Gość nazywa się Chanarong. I nie robił żadnych problemów. O wiele łatwiej się z nim pracowało niż z Panem Łajna czy jakimiś drobniejszymi *jao porami* tu z miasta. Nie wszyscy ojcowie chrzestni mają w głowie tylko zyski i władzę. — Odwraca znacząco głowę. — Dla tych, co nie chcą obrabować Królestwa z węgla, nefrytu czy opium, prowincja jest dość bezpieczna. W każdym razie, Phra Kritipong zaprosił mnie do swojego klasztoru. Żeby obserwować zmiany zachowań kozioroga. — Kręci głową. — Szkody są potworne. Całe lasy bez jednego liścia. Kudzu i nic poza tym. Wszystkie korony padły, wszędzie wałają się drzewa.

Otto wygląda na zaciekawionego.

— Coś z tego drewna byłoby do uratowania?

Lucy rzuca mu spojrzenie pełne niesmaku.

— To kozioróg, kretynie. Tutaj nikt nawet by na to nie spojrział.

— Mówisz, że klasztor cię zaprosił? — pyta Anderson. — Mimo że jesteś grahamitą?

— Phra Kritipong jest na tyle oświecony, żeby wiedzieć, że ani Jezus Chrystus, ani Nauka o Niszach nie zasługują na wyklęcie. Wartości buddyjskie i grahamickie mają sporą część wspólną. Noe i męczennik Phra Seub to postaci, które się bardzo uzupełniają.

Anderson powstrzymuje śmiech.

— Gdyby ten twój mnich zobaczył, co robią grahamici u siebie w domu, pewnie zmieniłby zdanie.

Hagg robi urażoną minę.

— Ja nie nawołuję z ambony do palenia pól. Jestem naukowcem.

— Nie chciałem cię obrazić. — Anderson wyciąga *ngoh*, podaje Haggowi. — To pewnie cię zainteresuje. Dopiero co wypatrzyłem to na targu.

Zaskoczony Hagg przygląda się owocowi.

— Na którym targu?

— Wszędzie są — podsuwa Lucy.

— Pojawiły się, kiedy ciebie nie było — dodaje Anderson. — Spróbuj, nie są złe.

Hagg bierze owoc, ogląda go uważnie.

— Niesamowite.

— Wiesz, co to takiego? — pyta Otto.

Anderson obiera sobie kolejny z nich, ale nawet przez tę chwilę słucha bardzo uważnie. Sam nigdy nie zadałby tego pytania bezpośrednio, ale chętnie pozwoli im wykonać robotę za siebie.

— Quoile mówił, że to „liczy” — odzywa się Lucy. — To prawda?

— Nie, to nie liczi. Na sto procent. — Hagg obraca *ngoh* w dłoni. — Wygląda jak coś, co stare książki nazywają „rambutan”. — Zastanawia się. — Ale jeśli dobrze pamiętam, one są jakoś tam spokrewnione.

— Ram-bhutan? — Anderson zachowuje beznamiętny i życzliwy wyraz twarzy. — Śmieszne słowo. Tajowie mówią na nie *ngoh*.

Hagg zjada owoc, wypłuwa na dłoń pestkę. Patrzy na wielkie, mokre od śliny nasiono.

— Ciekawe, czyby wykiełkowało.

— Wsadź do doniczki i sprawdź.

Hagg rzuca mu gniewne spojrzenie.

— Jak nie pochodzi z firmy kalorycznej, to na pewno wykiełkuje. Tajowie nie robią bezpłodnych odmian.

Anderson się śmieje.

— A firmy kaloryczne chyba nie robią tropikalnych owoców.

— Ananasy robią.

— No tak. Zapomniałem. Skąd ty się tak znasz na owocach?
— pyta Anderson.

— Studiowałem biosystemy i ekologię na Nowym Uniwersytecie Alabamskim.

— To ta wasza grahamicka uczelnia, tak? Myślałem, że uczą tam tylko jak dobrze podpalić pole.

Reszta aż sapie, słysząc tę prowokację, lecz Hagg tylko patrzy nań zimno.

— Nie drażnij się ze mną. Ja nie jestem z tych. Jeśli kiedykolwiek mamy odbudować Raj, potrzebna będzie wiedza ze wszystkich stuleci. Zanim tu przyjechałem, przez rok studiowałem

Przedzapaściowe Ekosystemy Azji Południowowschodniej. — Wyciąga rękę po następny owoc. — Musi to nieźle drażnić firmy kaloryczne.

Lucy też wymacuje kolejnego *ngoh*.

— Myślicie, że można by wyładować nimi kliper i wysłać w drugą stronę? Rozumiecie, jak kaloriarze, tylko odwrotnie? Ludzie zapłaciliby za nie kupę kasy, założę się. Nowy smak i w ogóle. Sprzedawać go jako towar luksusowy.

Otto kręci głową.

— Najpierw trzeba by ich przekonać, że to coś nie ma rdzy pęcherzowej, bo wystraszą się czerwonej skórki.

— Lepiej nie iść tą drogą — rzuca Hagg.

— Ale kaloriarze to robią — zauważa Lucy. — Wysyłają nasiona i żywność, dokąd zechcą. Działają globalnie. Czemu by nie pójść w ich ślady?

— Bo to wbrew Naukom o Niszach — zauważa łagodnie Hagg. — Firmy kaloryczne już mają godne miejsce w piekle. Nie ma powodu, żebyście się palili, by do nich dołączyć.

Anderson parska śmiechem.

— No zaraz, Hagg, nie możesz być przeciwny odrobinie przedsiębiorczości. Coś jest w tym, co mówi Lucy. Moglibyśmy nawet umieścić na skrzynkach twoją gębę. — Wykonuje grahamicki gest błogosławieństwa. — No wiecie, zatwierdzone przez Kościół i w ogóle. Bezpieczne jak SoyPro. — Szczerzy zęby. — Co o tym myślicie.

— Nigdy nie wzięłbym udziału w czymś tak bluźnierczym. — Hagg się chmurzy. — Żywność powinna zostać tam, skąd pochodzi, a nie podróżować dla zysku na drugi koniec świata. Już raz poszliśmy tą drogą i to skończyło się katastrofą.

— Znowu te Nauki o Niszach. — Anderson obiera następny owoc. — Grahamicy ortodoksi muszą gdzieś mieć jakąś niszę z forszą. Grubi są ci wasi kardynałowie.

— Nauki mówią prawdę, nawet jeśli stado czasem zbłądzi. — Hagg gwałtownie wstaje. — Dziękuję wam za towarzystwo. — Patrzy wilkiem na Andersona, ale zanim odejdzie, sięga na stół po jeszcze jeden owoc.

Gdy znika, wszyscy się rozluźniają.

— Jezu, Lucy, po cholere go wołałaś? — pyta Otto. — Ciarki mi chodzą, jak go widzę. Odszedłem z Compact, bo miałem dość grahamickich klechów zaglądających mi przez ramię. A ty musisz takiego wołać do stołu?

Quoile ponuro kiwa głową.

— Słyszałem, że we wspólnej ambasadzie jest jeszcze jeden ksiądz.

— Są wszędzie. Jak robaki. — Lucy macha do nich. — Rzućcie mi jeszcze jednego.

Wracają do uczy. Anderson obserwuje ich, ciekaw, czy te bywałe w świecie istoty będą mieć jeszcze jakieś pomysły co do pochodzenia owocu. Rambutan to i tak interesująca opcja. Dzień, mimo zniszczonych kadzi z glonami i pożywek, wychodzi

jednak na plus — jest lepiej niż się spodziewał. Rambutan. Słowo, które można przekazać do Des Moines i naukowców. Trop wiodący ku pochodzeniu tego tajemniczego botanicznego okazu. Muszą być jakieś historyczne zapisy. Trzeba by wrócić do książek i zobaczyć, czy coś będzie...

— Patrzcie, kto idzie — mruczy Quoile.

Wszyscy się odwracają. Po schodach wchodzi Richard Carlyle w idealnie odprasowanym lnianym garniturze. Docierając do cienia, zdejmuje kapelusz i wachluje się nim.

— Nie mogę, kurwa, na niego patrzeć — szepcze Lucy. Zapala kolejną fajkę, zaciąga się głęboko.

— Co on taki uśmiechnięty? — pyta Otto.

— A cholera go wie. Stracił właśnie sterowiec, nie?

Carlyle przystaje w cieniu, rozgląda się po klientach, kiwa wszystkim głową.

— Ale gorąco! — woła.

Otto czerwienieje na twarzy, wbija weń morderczy wzrok i szepcze:

— Gdyby nie jego politykowanie, byłbym dziś od chuja bogaty.

— Nie dramatyzuj. — Anderson wkłada do ust kolejnego *ngoh*. — Lucy, daj mu pyknąć z fajki. Nie chciałbym, żeby sir Francis wywalił nas na ten upał, jak się pobijemy.

Lucy ma wzrok szklisty od opium, ale macha cybuchem w stronę Ottona. Anderson sięga po fajkę i podaje Ottonowi, po czym wstaje i unosi pustą szklanę.

— Dla kogoś coś jeszcze?

Kręcą głowami.

Carlyle uśmiecha się, podchodząc do baru.

— Daliście coś temu biednemu Ottonowi?

Anderson ogląda się.

— Lucy nie pali byle czego. Raczej nie będzie w stanie wstać, a bić się z kimś to już w ogóle.

— Diabelska trucizna.

Anderson unosi pustą szklanę.

— Tak, i alkohol też. — Zagląda za krawędź baru. — Cholera, gdzie jest sir Francis?

— Myślałem, że wy mi odpowiecie na to pytanie.

— Chyba nie — odpowiada Anderson. — Dużo straciłeś?

— No, trochę.

— Poważnie? Nie wyglądasz, jakbyś się przejmował. — Anderson wskazuje resztę Falangi. — Wszyscy sikają w gacie i mendzą, że wtrącasz się w politykę, podlizujesz Akkaratowi i Ministerstwu Handlu. A ty szczerzysz się od ucha do ucha. Zupełnie jak Taj.

Carlyle wzrusza ramionami. Z zaplecza wyłania się sir Francis, elegancko ubrany, starannie uczesany. Carlyle zamawia whiskey, Anderson unosi swoją pustą szklanę.

— Nie ma lodu — mówi sir Francis. — Goście od mułków chcą więcej forsy za obsługę pompy.

— To im zapłacić.

Sir Francis kręci głową, biorąc szklanę od Andersona.

— Jak zaczniesz się targować, kiedy trzymają cię za jajca, to zaraz cię znowu za nie złapią. A nie mogę dać w łapę Ministerstwu Środowiska, żeby mieć dostęp do węgla, jak wy, *farangowie*.

Odwraca się, wyciąga butelkę khmerskiej whiskey, nalewa idealną pięćdziesiątkę. Anderson zastanawia się, czy któraś z plotek o nim jest prawdziwa.

Otto, bełkoczący teraz bezładnie o „pieldoronych serowcach”, twierdzi, że sir Francis jest byłym *chaoprągą*, wysokim doradcą królowej, który wypadł z łask po przegranej rozgrywce o władzę. Jest to równie dobra teoria, jak ta, że jest

emerytowanym służącym Pana Łajna, albo khmerskim księciem, wygnanym i żyjącym tu incognito, odkąd Królestwo Tajów rozrosło się i wchłonęło Wschód. Wszyscy zgadzają się, że musiał być kimś o wysokiej randze — tylko tak da się wytłumaczyć jego pogardę wobec klientów.

— Proszę zapłacić — mówi, stawiając szklaneczki na blacie.

Carlyle parska śmiechem.

— Przecież wiesz, że jesteśmy wypłacalni.

Sir Francis kręci głową.

— Obaj straciliście dużo na lądowisku. Wszyscy to wiedzą. Proszę zapłacić.

Carlyle i Anderson wysupłują monety.

— Myślałem, że mamy trochę lepszy układ — narzeka Anderson.

— Polityka. — Sir Francis się uśmiecha. — Może jutro jeszcze przyjdziecie, a może zmiecie was stąd jak morze plastik z czasów Ekspansji. Wszystkie szeptania na każdym rogu apelują, żeby mianować kapitana Jaideego *chaopraya*, doradcą Korony. Jeśli awansuje, to wszyscy *farangowie*... - Wykonuje dłonią zamaszty gest. — Won. — Wzrusza ramionami. — Stacje radiowe generała Prachy nazywają go tygrysem i bohaterem, a związki studentów krzyczą, żeby zamknąć Ministerstwo Handlu i dać pod władzę białych koszul. Ministerstwo Handlu straciło twarz. A *farangowie* i Handel to jedno, jak *farangowie* i pchły.

— To miłe.

Sir Francis wzrusza ramionami.

— Naprawdę śmierdzisz.

Carlyle się chmurzy.

— Wszyscy tu śmierdzą. Jest, kurna, pora gorąca.

— W Handlu musi kipieć, po takiej stracie twarzy — wtrąca się Anderson. Pociąga łyk ciepłej whiskey i wykrzywia usta.

Zanim tu przyjechał, lubił trunki o temperaturze pokojowej.

Sir Francis liczy monety i wkłada do pudełka na drobne.

— Minister Akkarat dalej się uśmiecha, ale Japończycy chcą odszkodowań za straty, a białe koszule w życiu ich nie wypłacą. Więc albo Akkarat zapłaci za to, co narobił Tygrys z Bangkoku, albo straci twarz także wobec Japończyków.

— Myślisz, że oni wyjadą?

Sir Francis krzywi się z niesmakiem.

— Japończycy są jak kaloriarze, nic tylko szukają, którędy by wejść. Nigdy nie wyjadą. — Przechodzi na drugi koniec baru, znowu zostawiając ich samych.

Anderson wyciąga *ngoh* i podaje Carlyle'owi.

Carlyle bierze owoc i badawczo przysuwa do oczu.

— Co to, kurna, jest?

— *Ngoh*.

— Kojarzy mi się z karaluchem. Z ciebie to pieprzony eksperymentator, trzeba ci przyznać. — Oddaje *ngoh* Andersonowi i starannie wyciera dłoń o spodnie.

— Co, boisz się? — drwi Anderson.

— Moja żona też lubiła jeść nowości. Nie potrafiła się powstrzymać. Uwielbiała nowe smaki. Nie mogła się oprzeć spróbowaniu czegoś nowego. — Carlyle wzrusza ramionami. — Ja sobie poczekam z tydzień i zobaczę, czy nie zaczniesz płuć krwią.

Rozpierają się z powrotem na stołkach, patrzą na kurz i skwar wokół połyskującego białą hotelu Victory. W zaułku, pod gruzami starego wieżowca, jakaś kobieta rozłożyła gary z praniem. Inna starannie myje się pod przywierającym do ciała sarongiem. Po ziemi biegają nagie dzieci, przeskakują przez kawałki popękane go betonu, wylanego ponad sto lat temu, w czasach Ekspansji. W głębi ulicy wznosi się powstrzymujący morze wał.

— No to ile straciłeś? — pyta wreszcie Carlyle.

— Dużo. Przez ciebie.

Carlyle nie odpowiada na kuksańca. Kończy whiskey i machnięciem zamawia kolejną.

— Naprawdę nie ma lodu? — pyta sir Francis. — Czy to dlatego, że myślisz, że jutro nas tu nie będzie?

— Zapytaj cie mnie jutro.

— Jak przyjdę jutro, to będziesz miał lód? — pyta Carlyle.

Sir Francis błyska zębami.

— Zależy ile będziecie płacić za mułki i megodonty do rozładunku. Wszyscy tylko gadają, jak dorabiają się na spalaniu kalorii dla *farangów*... i dlatego sir Francis nie ma lodu.

— Ale jeśli sobie pójdziemy, to nie masz klientów. Nawet gdybyś miał cały lód na świecie.

— No tak to będzie. — Sir Francis wzrusza ramionami.

Carlyle marszczy się za plecami Taja.

— Związki megodontów, białe koszule, sir Francis. Gdzie się odwrócisz, ktoś wyciąga rękę.

— Koszta prowadzenia działalności — mówi Anderson. — Kiedy tu wchodziłeś, uśmiechałeś się tak, że pomyślałem, że w ogóle nic nie straciłeś.

Carlyle bierze nową szklanę whiskey.

— Po prostu spodobaliście mi się na tej werandzie, z minami, jakby psy wam wyzdychały na cibiskożę. Może i ponieśliśmy trochę strat, ale nikt nie siedzi w Khlong Prem zakuty w kajdany. Nie ma powodu, żeby się nie uśmiechać. — Nachyla się. — To nie koniec tej historii. Do końca jeszcze daleko. Akkarat ma jeszcze parę kart w rękawie.

— Jeśli przyciśniesz białe koszule odpowiednio mocno, to zawsze ugryzą — ostrzega Anderson. — Narobiliście sporo szumu z Akkaratem, tą gadką o zmianie ceł i kwot na zanieczyszczenia. I o nakręcańcach. A teraz mój asystent mówi

mi to samo, co sir Francis przed chwilą: wszystkie tajskie gazety nazywają naszego przyjaciela Jaideego Tygrysem. I wychwalają go.

— Twój asystent? To znaczy, ten paranoiczny pajak z żółtą kartą, którego hodujesz w biurze? — Carlyle się śmieje. — To jest właśnie wasz problem. Siedzicie sobie, narzekacie, mendzicie, a ja tymczasem zmieniam reguły gry. Wszyscy myślicie jak za czasów Zapaści.

— To nie ja straciłem sterowiec.

— Koszty prowadzenia działalności.

— Chyba strata jednej piątej twojej floty to coś więcej niż tylko koszt.

Carlyle pochyła się ku niemu, ścisza głos.

— Daj spokój, Anderson. W tej sprzeczce z białymi koszulami chodzi zupełnie o coś innego. Parę osób tylko czekało, aż posuną się za daleko. — Robi pauzę, sprawdza, czy został zrozumiany. — Niektórzy z nas nawet pracowali nad tym. Dopiero co rozmawiałem z samym Akkaratem i zapewniam cię, że to wszystko jeszcze nam wyjdzie na dobre.

Anderson omal nie parska śmiechem, ale Carlyle grozi mu palcem.

— Dobra, kręć sobie głowę, ale jeszcze nim skończę, będziecie całować mnie w dupę za nowe taryfy celne, a na waszych kontaktach wylądują odszkodowania.

— Białe koszule nigdy nie płacą odszkodowań. Ani za spaloną farmę, ani za skonfiskowany towar. Nigdy.

Carlyle wzrusza ramionami i stwierdza, spoglądając z werandy na zewnątrz:

— Będzie monsun.

— E tam. — Anderson kwaśno patrzy na upalny dzień. — Już o dwa miesiące się spóźnił.

— A ja ci mówię, przyjdzie. Może nie w tym miesiącu, może nie w następnym, ale przyjdzie.

— I co z tego?

— Ministerstwo Środowiska czeka na części zamienne do pomp przeciwpowodziowych. Kluczowe części. Do siedmiu pomp... I jak myślisz, gdzie są teraz te części?

— No, oświeć mnie.

— Po drugiej stronie Oceanu Indyjskiego. — Carlyle niespodziewanie błyska zębami jak rekin. — W pewnym hangarze w Kolkacie, który przypadkiem należy do mnie.

Z baru jakby uciekło powietrze. Anderson rozgląda się, czy nikogo nie ma w pobliżu.

— Matko boska, ty ciężki idioto. Poważnie?

Teraz wszystko zaczyna się trzymać kupy. Przechwałki Carlyle'a, jego pewność siebie. Zawsze miał pirackie upodobanie do ryzyka. Tylko że u niego trudno odróżnić, co jest przechwałką, a co prawdą. Może mówi, że ma posłuch u Akkarata, a naprawdę rozmawia tylko z jego sekretarzami. Gadanie. Ale to...

Zaczyna coś mówić, gdy dostrzega podchodzącego sir Francisca, i odwraca się, krzywiąc twarz. Oczy Carlyle'a błyskają psotnie. Sir Francis stawia koło jego dłoni nową whiskey, Andersonowi jednak odechciało się pić. Gdy tylko sir Francis wychodzi, nachyla się z powrotem.

— Czyli masz miasto za zakładnika?

— Białe koszule chyba zapomniały, że potrzebują cudzoziemców. Jesteśmy w trakcie nowej Ekspansji i każdy sznurek łączy się z innymi sznurkami, a oni dalej myślą jak w czasach Zapaści. Nie dostrzegają, jak bardzo są już uzależnieni od *farangów*. W tej chwili są już tylko pionkami na szachownicy. Nie mają pojęcia, kto nimi porusza, i nie powstrzymają nas, choćby stawali na głowie.

Wychyla kolejną whiskey, krzywi się i z hukiem odstawia szklanekę na blat.

— Powinniśmy wszyscy posłać kwiaty temu draniowi Jaideemu w białej koszuli. Świetnie się spisał. Jak padnie połowa tych pomp... Tajowie mają jedną fajną cechę w interesach: są naprawdę bardzo wrażliwi. Nawet nie będą musiał im grozić. Sami do wszystkiego dojdą i odpowiednio pozałatwiają sprawy.

— Niezły hazard.

— Jak wszystko, nie? — Carlyle posyła mu cyniczny uśmiech.
— Może jutro wszyscy umrzemy na nową wersję rdzy pęcherzowej. A może będziemy najbogatszymi ludźmi w Królestwie. Wszystko to hazard. Tajowie grają na poważnie. Więc my też powinniśmy.

— Ja bym po prostu przyłożył ci sprężynowiec do głowy i przehandlował twój mózg za te pompy.

— I o to chodzi! — Carlyle się śmieje. — Teraz myślisz jak Taj. Ale przed tym też się zabezpieczyłem.

— Co? Przez Ministerstwo Handlu? — Anderson się krzywi.
— Akkarat nie ma kim cię ochronić.

— Ma aż nadto. Ma generałów.

— Chyba się upiłeś. Całym wojskiem rządzą kumple generała Prachy. Białe koszule nie rządzą całym krajem tylko dlatego, że stary król interweniował, kiedy Pracha miał ostatecznie zmiażdżyć Akkarata.

— Czasy się zmieniają. Masę ludzi złością białe koszule Prachy i jego wziętki. Ludzie chcą zmian.

— Co, chodzi ci po głowie rewolucja?

— Czy to rewolucja, jeśli prosi o nią Pałac? — Carlyle nonszalancko sięga za bar po butelkę whiskey i nalewa. Odwraca ją do góry dnem; w środku jest nie więcej niż pół

pięćdziesiątki. Unosi brew. — Aha, teraz już trochę uważasz. — Wskazuje szklaneczkę Andersona. — Pijesz czy nie?

— Jak daleko to sięga?

— Wchodzisz w to?

— A czemu akurat mnie proponujesz?

— Musisz pytać? — Carlyle wzrusza ramionami. — Kiedy Yates budował twoją fabrykę, zapłacił Związkowi Megodontów za dzule trzy razy tyle, co dotychczas. Szastał pieniędzmi na wszystkie strony. Trudno nie zauważyć takiego finansowania.

Pokazuje głową pozostałych cudzoziemców, apatycznie pogrywających w pokera i czekających, aż upała trochę zelżeje, żeby można się było zabrać za biznes, za dziwki, albo po prostu biernie przeżyć do jutra.

— Reszta to gówniarzeria. Poprzebierana za dorosłych. Ty to co innego.

— Myślisz, że jesteśmy bogaci.

— Oj, weź się nie zgrywaj. Wożę sterowcami twoje zaopatrzenie. — Carlyle patrzy na niego badawczo. — Wiem skąd przychodzi — zerka znacząco — zanim dotrze do Kolkaty.

— No i? — Anderson udaje nonszalancję.

— Strasznie dużo jest z Des Moines.

— Myślisz, że warto ze mną gadać, bo mam inwestorów ze Środkowego Zachodu? Inwestorów szuka się tam, gdzie jest kasa, nie? Może to jakaś bogata wdowa chce sobie poeksperymentować ze sprężynami. Dopatrujesz się Bóg wie czego w takich drobiazgach.

— O, naprawdę? — Carlyle rozgląda się po barze i przysuwa bliżej. — Mówi się o tobie.

— Ciekawe. A co?

— Mówi się, że strasznie interesujesz się nasionami. — Patrzy znacząco na łupinę *ngoh* pomiędzy nimi. — Wszyscy

interesujemy się teraz genami, takie czasy, ale tylko ty płacisz za informacje.

Tylko ty rozpytujesz się o białe koszule i genhakerów.

— Gadałeś z Raleighem. — Anderson uśmiecha się zimno.

Carlyle pochyla głowę.

— Jeśli to cię pocieszy, ciężko było. Wcale nie chciał o tobie rozmawiać. W ogóle.

— Powinien lepiej się zastanowić.

— Beze mnie nie dostanie swoich kuracji odmładzających. — Carlyle wzrusza ramionami. — Mamy w Japonii przedstawicieli handlowych. Ty nie zaproponowałeś mu kolejnych dziesięciu lat przyjemnego życia.

Anderson zmusza się do parsknięcia śmiechem.

— Pewnie, że nie.

Uśmiecha się, ale w środku się gotuje. Będzie trzeba coś zrobić z Raleighem. A teraz może także Carlyle'em. Nie uważał ostatnio. Patrzy na *ngoh* z niesmakiem. Wymachiwał wszystkim przed oczyma ostatnim obiektem swojego zainteresowania. Nawet grahamitom, a teraz jeszcze temu. Strasznie łatwo poczuć się wygodnie. Zapomnieć, ile rzeczy może cię zdemaskować. A wtedy, któregoś dnia, w barze, ktoś wymierza ci policzek.

— Jakbym tylko miał możliwość pogadania z pewnymi osobami. Omówienia pewnych propozycji... — Carlyle nie kończy. Piwne oczy wypatrują w twarzy Andersona oznak zgody. — Nie obchodzi mnie, dla której konkretnie firmy pracujesz. Jeśli dobrze rozumiem twoje interesy, może się okazać, że nasze cele są w pewnym stopniu zbieżne.

Anderson bębni z namysłem palcami o kontuar. Czy gdyby Carlyle nagle zniknął, ktoś by się tym zainteresował? Można by to nawet zwalić na nadgorliwe białe koszule...

— Myślisz, że jest szansa? — pyta.

— Tajowie nie pierwszy raz wymienialiby rząd siłą. Hotel Victory nie istniałby, gdyby premier Surawong nie stracił głowy i rezydencji w zamachu z dwunastego grudnia. W ich historii pełno jest takich zmian rządów.

— Trochę się obawiam, że jak gadasz ze mną, to gadasz też z innymi. Może za dużo tych innych.

— Z kim jeszcze miałbym gadać? — Carlyle wskazuje brodą resztę Falangi *Farangów*. — Są nikim. Nawet mi przez myśl nie przeszło. Natomiast twoi... — Urywa, ważąc słowa, po czym nachyla się ku niemu. — Posłuchaj: Akkarat ma trochę doświadczenia w takich sprawach. Białe koszule narobiły sobie sporo wrogów. I nie tylko wśród *farangów*. Nasza sprawa musi tylko nabrać trochę rozmachu. — Pociąga odrobinę whiskey, przez moment ją smakuje, potem odstawia szklanekę. — Jeśli to się uda, skutki będą dla nas całkiem pomyślne. — Patrzy Andersonowi w oczy. — Całkiem pomyślne dla ciebie. Dla twoich przyjaciół ze Środkowego Zachodu.

— A ty co będziesz z tego miał?

— Obrót, oczywiście. — Uśmiecha się szeroko. — Jeśli Tajowie się otwierają, zamiast siedzieć w tym absurdalnym przykurczu, moja firma się rozrasta. Interes się kręci. Nie wydaje mi się, żeby twoi byli zadowoleni, że kwitną w nieskończoność na Koh Angrit i błagają, żeby móc opchnąć Królestwu parę ton U-Teksu czy SoyPro, kiedy zdarzy się nieurodzaj. Mógłbyś mieć tu swobodny handel, a nie gnić na kwarantannie. Myślę, że to brzmi atrakcyjnie. Ja na pewno na tym skorzystam.

Anderson przygląda się Carlyle'owi, próbuje zdecydować, w jakim stopniu mu zaufać. Przez dwa lata razem pili, od czasu do czasu chodzili na dziwki, dopinali kontrakty na dostawy jednym uściskiem dłoni, ale w sumie niewiele o nim wie. W centrali mają jakąś teczkę, ale cienką. Duma. Bank nasion jest tu gdzieś i czeka. Gdyby mieć tu trochę bardziej uległy rząd...

— A którzy generałowie stoją za tobą?

Carlyle parska śmiechem.

— Gdybym ci powiedział, uznałbyś tylko, że jestem głupkiem i chlapię na lewo i prawo.

Mocny w gębie i nic poza tym, decyduje Anderson. Trzeba się zatroszczyć, żeby niebawem dyskretnie zniknął, zanim całkowicie go zdemaskuje.

— Brzmi interesująco. Może trzeba się spotkać i porozmawiać trochę więcej o naszych wspólnych celach.

Carlyle otwiera usta do odpowiedzi, potem się waha. Taksuje Andersona wzrokiem.

— No nie. Nie wierzysz mi. — Wzrusza ramionami. — Skoro tak, to dobra. Poczekaj tylko. Myślę, że za dwa dni będziesz bardziej przekonany. Wtedy porozmawiamy. — Patrzy na Andersona znacząco. — I to w miejscu, które ja wybiorę. — Dopija whiskey.

— A po co czekać? Co niby ma się w tym czasie zmienić?

Carlyle nasadza kapelusz na głowę i szczyrzy zęby.

Wszystko, mój drogi *farangu*. Wszystko.

IX

Emiko budzi się w popołudniowym upale. Przeciąga się, płytko oddychając w piekarniku własnej pryczy.

Jest dla nakręcaneek miejsce na świecie. Aż mrowi ją od tej świadomości. Jest po co żyć.

Przyciska dłoń do desek WeatherAll oddzielających jej pryczę od tej na górze. Dotyka sęków. Myśli o tym, kiedy ostatni raz czuła się tak zadowolona. Wspomina Japonię i luksusy, jakimi obdarzał ją Gendo-sama: własne mieszkanie; klimatyzacja, wiejąca chłodem w wilgotne letnie dni; rybki *dangan*, świecące i zmieniające kolor jak kameleony, opalizujące i ubarwione zależnie od szybkości; wolne rybki — niebieskie; szybkie — czerwone. Lubiła niegdyś stukać w szybę akwarium i patrzeć jak rozmazują się w czerwone smugi na tle ciemnej wody, w pełnej krasie swojej nakręcanej natury.

Ona wtedy też tak jaskrawo świeciła. Dobrze ją skonstruowano. Dobrze wyszkolono. Wiedziała, jak ma się zachować jako dziewczyna do łóżka, sekretarka, tłumaczka i obserwatorka. Usługi te świadczyła swojemu panu tak doskonale, że dbał o nią, rozpieszczał i wypuszczał pod jasnoblękitny łuk nieba. Tak była zaszczycona.

Patrzą na nią sęki WeatherAll, jedyna ozdoba na przepierzeniu dzielącym ją od pryczy na górze i chroniącym przed spadającymi z góry śmieciami sąsiadów. Drewno cuchnie olejem lnianym, mdlącym w ciasnocie klitki. W Japonii przepisy zabraniały używać takiego drewna w pomieszczeniach dla ludzi. Tutaj, w wieżowcach-slumsach, nikt się tym nie przejmuje.

Płuca ją pałą. Oddycha płytko, nasłuchując parskania i chrapania innych ludzi. Z pryczy nad nią nie dochodzi żaden dźwięk. Puenthai jeszcze nie wrócił, bo inaczej już by była zmalretowana, skopana, albo zerżnięta. Nieczęsto udaje się jej przeżyć cały dzień bez takich udręk. Puenthaia nie ma jeszcze w domu. Może umarł? Kiedy ostatni raz go widziała, ten frędzel *fa'gan* na jego szyi był zdecydowanie wystarczająco gruby.

Wypełza ze swojej klitki i prostuje się w wąskim przesmyku między pryczami a drzwiami. Znów się przeciąga, potem po omacku szuka swojej butelki z wodą, poźółkłej i cienkiej ze starości. Pije ciepłą jak krew wodę. Przetyka konwulsyjnie, ubolewa, że nie ma lodu.

Dwa biegi schodów wyżej potrzaskane drzwi ustępują pod jej naciskiem. Emiko wysuwa się na dach. Zalewa ją słońce i ciepło. Nawet w kłujących promieniach jest chłodniej niż w jej klitce.

Bryza szeleści porozwieszanymi wszędzie wokół schnącymi *pha sin* i spodniami. Słońce opada, rozświetlając wierzchołki *watów* i *chedi*. Połyskuje woda w *khlongach* i Chao Phraya. Sprężynowe łódeczki i kliprytrimarany ślizgają się po czerwonym lustrze.

Od północnej strony horyzont przesłania pomarańczowa mgiełka palonego łąjna i wilgoci, ale gdzieś tam, jeśli wierzyć bladokóremu *farangowi*, mieszkają nakręceni ludzie. Gdzieś za armiami wojującymi o węgiel, nefryt i opium czeka na nią jej własne plemię. Nigdy nie była Japonką, zawsze tylko nakręcanką. A teraz czeka na nią jej prawdziwy klan, jeśli tylko uda się jej do nich przedostać.

Patrzy na północ jeszcze chwilę, tęsknie, po czym podchodzi do zostawionego poprzedniego wieczoru wiadra. Na górnych piętrach nie ma wody, ciśnienie jest za słabe, a Emiko nie może ryzykować mycia się przy publicznej pompie — więc co noc

taszczy na górę wiadro z wodą i zostawia je tutaj czekające na następny dzień.

Kąpie się pod osłoną otwartego nieba i zachodzącego słońca. To rytualna ablucja, staranne oczyszczenie. Wiadro wody, kasek mydła. Kuca obok wiadra i czerpakiem polewa się ciepłą wodą. Zabieg jest precyzyjny, zaaranżowany dokładnie jak jo-no-mai*, każdy ruch wyreżyserowany, obrzęd ku czci niedostatku wody.

Polewa czerpakiem głowę. Woda spływa jej po twarzy, piersiach, żebrach, udach, ścieka na gorący beton. Kolejny czerpak zwilża czarne włosy, płynie wzdłuż kręgosłupa, wije się wokół pośladków. Jeszcze jeden, pokrywa skórę jak rtęć. Teraz mydło, wtarte we włosy i skórę, zmywające upokorzenia ostatniego wieczoru. Aż cała będzie pokryta bladą warstwą mydlin. I znowu wiadro i czerpak, spłukuje się równie starannie jak na początku.

Woda zabiera mydło i brud, a nawet trochę wstydu. Nie byłaby czysta, nawet myjąc się przez tysiąc lat, ale jest zbyt zmęczona, by się tym przejmować, a poza tym przyzwyczała się do życia z niezmywalnym piętnem. Pot, alkohol, wilgotna sól nasienia i upokorzenia, to da się zmyć. I wystarczy. Jest zbyt zmęczona, żeby szorować dokładniej. Przegrzana i zmęczona, jak zawsze.

Pod koniec mycia stwierdza z zadowoleniem, że w wiadrze została odrobina wody. Nabiera ją czerpakiem i wypija duszkiem. A potem, w niepohamowanym geście marnotrawstwa wylewa sobie resztę z wiadra na głowę, rozkosznym, oczyszczającym strumieniem. Pomiedzy dotykem wody na skórze a chlupotem, kiedy spływa na posadzkę, przez moment czuje się czysta.

* * *

Próbuje wtopić się w dzienną uliczną krzątanicę. Mizumi-sensei nauczyła ją specyficznego chodu, akcentującego i upiększającego jej szarpane ruchy. Jeśli jednak postępuje ostrożnie, walcząc z własną naturą i tresurą — jeśli ma na sobie *pha sin* i nie macha rękami — prawie się nie wyróżnia.

Wzdłuż chodnika zasiadają szwaczki za pedałowymi maszynami, czekając na wieczornych klientów. Sprzedawcy przekąsek ustawiają resztki towarów w eleganckie stosiki, w oczekiwaniu na ostatnich kupujących. Nocne stragany z jedzeniem rozstawiają na ulicach bambusowe stołeczki i stoliki: to rytualne wtargnięcie na teren jezdni obwieszcza w tropikalnym mieście koniec dnia i początek życia.

Emiko stara się nie gapić; już dawno nie ryzykowała wychodzenia na ulicę w dzień. Gdy Raleigh załatwił j ej tę klitkę, dał ściśle instrukcj e. Nie mógł j ej trzymać w samym Ploenchit — nawet dziwki, alfonsi i narkomani stawiają pewne granice — zakwaterował ją więc w slumsach, gdzie łapówki były niższe, a sąsiedzi mniej wybrzydzeni. Instrukcje były jasne: wychodź tylko w nocy, trzymaj się w cieniu, idź prosto do klubu i wracaj prosto do domu. Cokolwiek ponadto i marne szanse, że przeżyjesz.

Kiedy idzie przez zalany słońcem tłum, jeżą jej się włoski na karku. Większość tych ludzi ma ją gdzieś. Zaletą dnia jest to, że ludzie są zbyt zaganiani, żeby przejmować się takim stworzeniem jak ona, nawet jeśli zauważają jej dziwne ruchy. W środku nocy, w migotliwym zielonym świetle metanu, oczu jest mniej, ale te, co są, nie mają nic lepszego do roboty, są naćpane *yabq* lub *laolao*, mają czas i możliwości, żeby ją ścigać.

Kobieta sprzedająca zatwierdzone przez Ministerstwo Środowiska plasterki papai na patyku przygląda się jej podejrzliwie. Emiko siłą woli powstrzymuje panikę. Idzie ulicą drobnymi kroczkami, przekonując siebie, że wygląda na

ekscentryczkę, a nie genetycznie modyfikowaną istotę. Serce wali jej o żebra.

Za szybko. Wolniej, masz czas. Mniej, niżbyś chciała, ale wystarczy, żeby się rozpytać. Powoli. Cierpliwie. Nie zdradzaj się. Nie przegrzej się.

Wnętrza dłoni ma mokre od potu — to jedyna część ciała, którą w ogóle kiedykolwiek odczuwa chłód. Rozstawia je jak wachlarze, chłonąc ulgę. Przystaje przy miejskiej pompie, żeby polać wodą skórę i się napić, zadowolona, że Nowi Ludzie nie boją się zakażeń bakteryjnych. Jej ciało jest dla nich niegościnnie. Chociaż jedna zaleta.

Gdyby nie była Nowym Człowiekiem, poszłaby po prostu na dworzec Hualamphong, kupiła bilet na sprężynowy pociąg, pojechała nim aż do pustkowi Chiang Mai i dalej poszła dżunglą. Nie byłoby problemu. A tak, musi uważać. Dróg na pewno pilnują. Jakikolwiek szlak prowadzący na północny wschód, do Mekongu, będzie się roić od wojska przerzucanego między wschodnim frontem a stolicą. Nowy Człowiek ściągnie na siebie uwagę, zwłaszcza że ich wojskowe modele czasami walczą po stronie Wietnamu.

Jest jednak inny sposób. Z czasów Gendo-samy pamięta, że sporą część ładunków wozi się w Królestwie rzekami.

Skręca z Thanon Mongkur w stronę wałów i portu i staje jak wryta. Białe koszule. Kuli się przy ścianie, gdy mija ją dwóch funkcjonariuszy. Nawet na nią nie spojrzą — jeśli się nie rusza, wtapia się w tło — ale i tak, gdy tylko nikną jej z oczu, ma ochotę natychmiast pędzić z powrotem do swojego wieżowca. Tam większość białych koszul jest przekupiona. A ci... Wzdryga się.

Wreszcie wznoszą się nad nią magazyny *gaijinów* i biura handlowe, nowo wybudowana dzielnica biznesu. Wchodzi na wał. Ze szczytu widzi rozpościerający się przed nią ocean, pełen rozładowywanych kliprów, taszczących ładunki dokerów i

kulisów, mahutów nakłaniających megodonty do ciężkiej pracy przy ściągnięciu ze statków palet i ładowaniu ich na wielkie platformy z kołami z laotańskiego kauczuku, wiozące towary do magazynów. Wszystko tutaj przypomina jej o poprzednim życiu.

Kreska na horyzoncie zdradza Koh Angrit, strefę kwarantanny, gdzie cudzoziemscy handlowcy i dyrektorzy z firm rolniczych siedzą sobie na górach kalorii, czekając cierpliwie, aż za barierami handlowymi Królestwa nastąpi nieurodzaj albo wybuchnie zaraza. Gendo-sama zawiózł ją kiedyś na tę pływającą wyspę złożoną z bambusowych tratw i magazynów. Stał na delikatnie falującym pokładzie i kazał jej tłumaczyć, gdy z niezachwianą pewnością siebie reklamował cudzoziemcom nowe udoskonalenia w technice żaglowej, przyspieszające transport patentowanego SoyPro we wszystkie strony świata.

Emiko wzdycha i pochyła się, przechodząc pod zwisającymi pasmami *saisin* na szczycie wału. Święte sznureczki rozchodzą się wzdłuż niego w obie strony, znikając w oddali. Codziennie mnisi z innej świątyni błogosławią je, dodając wsparcie duchowe do fizycznej obrony przed zakusami żarłocznego morza.

W poprzednim życiu, kiedy Gendo-sama zapewniał jej wszystkie zezwolenia i luksusy, pozwalające na bezkarne poruszanie się po mieście, Emiko miała okazję obejrzeć coroczną ceremonię poświęcania wałów, pomp i łączących je *saisin*. Gdy na zgromadzony licznie tłum spadły pierwsze krople monsunu, przyglądała się, jak Jej Wysokość Mała Królowa pociąga za dźwignię uruchamiającą boskie pompy. Jej filigranową sylwetkę przytłaczał ogrom stworzonej przez przodków maszyny. Mnisi śpiewali i przeciągali nowe *saisin* od miejskiej kolumny, serca Krung Thep, do wszystkich dwunastu napędzanych węglem pomp, rozstawionych w pierścień wokół

miasta, a potem wszyscy modlili się za przetrwanie kruchej stolicy.

Teraz, w porze suchej, *saisin* wyglądają na postrzępione, a większość pomp milczy. Pływające pomosty i cumujące do nich barki oraz łódeczki łagodnie podskakują w czerwonym świetle.

Emiko wchodzi pomiędzy ludzi, zerka w ich twarze, liczy, że wypatrzy kogoś sympatycznego. Patrzy, jak przechodzą, nieruchomiejąc, żeby się nie zdradzić. W końcu bierze się w garść. Woła do przechodzącego robotnika:

— *Kathorh kha!* Przepraszam, *Khun*. Nie wie pan, gdzie można dostać bilety na prom na północ?

Człowiek jest cały zapocony i zapyłony od pracy, ale uśmiecha się życzliwie.

— Jak daleko na północ?

Rzuca nazwą miasta, niezbyt pewna, czy w ogóle leży w opisywanej przez *gaijina* okolicy.

— Phitsanulok?

Mężczyzna robi dziwną minę.

— Tak daleko, za *Ayutthaya*, nic nie jeździ. Rzeki są za płytkie. Ludzie dostają się na północ na mułkach, i to tyle. Może jakieś nakręcane łódeczki. No i ta wojna... — Wzrusza ramionami. — Jeśli chcesz jechać na północ, to drogi jeszcze jakiś czas będą suche.

Emiko ukrywa rozczarowanie i dziękuje starannym *wai*. Czyli rzeką się nie da. Drogą albo wcale. Gdyby mogła popłynąć rzeką, miałyby też czym się chłodzić. A drogą... wyobraża sobie tę trasę przez zwrotnikowy letni upał. Może trzeba zaczekać na porę deszczową? Przyjdzie monsun, temperatury spadną, a woda się podniesie...

Wraca wzdłuż wału i idzie przez dzielnicę slumsów, zamieszkiwaną przez portowe rodziny i urlopowanych marynarzy po kwarantannie. Czyli łądem. Po co w ogóle poszła

pytać. Gdyby udało jej się pojechać sprężynowym pociągiem... ale tam trzeba mieć zezwolenie. Masę zezwoleń, żeby w ogóle wsiąść. Gdyby kogoś przekupić, ukryć się... Krzywi twarz. Wszystkie drogi prowadzą do Raleigha. Trzeba będzie z nim pogadać. Wybłagać u starego kruka coś, czego nie ma powodu jej dawać.

Jakiś człowiek ze smokiem wytatuowanym na brzuchu i piłką do *takraw* na ramionach, ogląda się za nią, kiedy przechodzi.

— Trzęsiłapa — mruczy.

Emiko nie zwalnia, nie odwraca się, ale skóra jej cierpnie.

Facet idzie za nią.

— Trzęsiłapa — powtarza.

Ogląda się. Mężczyzna patrzy na nią złowrogo. Emiko zauważa z przerażeniem, że brakuje mu dłoni. Wyciąga kikut i dźga ją w ramię. Emiko podskakuje urywanym ruchem, zdradzając się. Mężczyzna uśmiecha się, pokazując czarne od betelu zęby.

Emiko skręca w *soi*, chcąc zejść mu z oczu. On jednak znowu woła:

— Trzęsiłapa!

Wskakuje w kolejny wąski, kręty przesmyk, przyśpiesza kroku. Jej ciało zaczyna się nagrzewać. Na dłonie występuje pot. Oddycha szybko, próbując pozbyć się ciepła. Mężczyzna goni ją. Nie woła, ale słyhać jego kroki. Skręca jeszcze raz. Przed nią rozpierzchają się *cheshire'y*, połyskujące jak karaluchy mignięcia światła. Gdyby tak mogła wyparować, jak one, rozplynać się na tle ściany i poczekać, aż przejdzie.

— Gdzie lecis, nakręcanko?! — krzyczy facet. — Ja tylko ci się przyjrę.

Gdyby była jeszcze z Gendo-samą, stawiałaby mu czoło. Stanęłaby, pewna siebie, chroniona zezwoleniami importowymi, zaświadczeniami i konsularnymi papierami oraz potworną

groźbą zemsty właściciela. Czyjaś własność, to prawda, ale szanowana. Wtedy mogłaby poprosić o ochronę nawet białą koszulę, nawet policję. Mając te pieczętki i paszport, nie była wykroczeniem przeciwko niszy i naturze, ale cennym, wartościowym przedmiotem.

Zaułek wychodzi na kolejną ulicę, pełną cudzoziemskich magazynów i firm handlowych, lecz u samego wylotu mężczyzna łapie ją za ramię. Już jest gorąca. Cała czerwona od narastającej paniki. Gapi się tęsknie na ulicę, ale nie widzi nic poza halami, sypkimi towarami i paroma *gaijinami*, którzy jej nie pomogą. Spotkanie grahamitów to ostatnia rzecz, jakiej by pragnęła.

Mężczyzna wciąga ją z powrotem do zaułka.

— A ty dokąd, nakręcanko?

Oczy ma błyszczące. Coś żuje — laseczkę z amfetaminą. *Yaba*. Używają ich kulisi, żeby móc dalej pracować, spalać kalorie, których nie mają. Gdy chwyta ją za przegub, iskrzy mu w oczach. Wciąga ją w zaułek, z dala od ludzi. Jest zbyt przegrzana, żeby biec. Zresztą nie ma gdzie, nawet gdyby mogła.

— Pod ścianę — mówi. — Nie. — Odwraca ją. — Nie patrz na mnie.

— Proszę.

W zdrowej ręce pojawia się lśniący nóż.

— Morda w kubeł. Stój tak.

Mówi to takim tonem, że mimo buntujących się w niej instynktów słucha go.

— Proszę. Puść mnie — szepcze.

— Walczyłem z takimi jak ty. W dżungli, na północy. Wszędzie byli nakręcańcy. Żołnierze trzęsiłapy.

— Ja nie jestem taka — szepcze. — Nie wojskowa.

— Były japońskie, tak samo jak ty. Przez takich jak ty straciłem rękę. I masę dobrych kolegów. — Pokazuje jej kikut bez dłoni, przyciska do jej policzka.

— Proszę. Puść mnie. — Przywiera do jego krocza. — Zrobię wszystko.

— Mam się zadać z czymś tak nieczystym? — Popycha ją mocno na ścianę, zmusza do krzyku. — Z takim zwierzęciem? — Robi pauzę. — Na kolana.

Na ulicy klekoczą na bruku rowerowe riksze. Ludzie wołają do siebie, pytają się nawzajem o cenę konopnego sznura i czy ktoś wie, kiedy będzie walka *muay thai* na Lumpini. Nóż znów zahacza o jej szyję, czubkiem namierza puls.

— Moi koledzy wszyscy zginęli w dżungli, przez japońskie nakręcanki.

Emiko przełyka ślinę i powtarza cicho:

— Nie jestem woj skowa.

Mężczyzna parska śmiechem.

— Pewnie, że nie. Jesteś do czegoś innego. Jak te diabły, które trzymają w stoczni za rzeką. Nasi głodują, a takie stworzenia jak ty wyżerają im ryż.

Ostrze napiera na szyję. Zabije ją. Jest pewna. Pełno w nim nienawiści, a ona jest tylko śmieciem. Facet jest naćpany, wściekły, niebezpieczny, a ona jest niczym. Nawet Gendo-sama by jej przed tym nie ochronił. Przełyka raz jeszcze, czując wbijające się w grdykę ostrze.

To tak masz zginąć? Do tego cię stworzono? Żebyś się wykrwawiła jak świnia?

Błyska iskra wściekłości, antidotum na rozpacz.

Nawet nie spróbujesz się uratować? Co, ci naukowcy zrobili cię aż tak głupią, że przez myśl ci nie przejdzie, by walczyć o życie?

Emiko zamyka oczy i modli się do bodhisattwy Mizuko Jizo, a potem na wszelki wypadek także do ducha cheshireów, *bakeneko*. Zaczerpuje tchu i z całej siły uderza ręką w trzonek noża. Ostrze prześlizguje się po szyi, zostawiając krwawy ślad.

— *Arai wa?!* - krzyczy mężczyzna.

Emiko odpycha go i robi unik przed zamachem noża. Puszczając się pędem w stronę ulicy, słyszy za plecami chrząknięcie i łomot. Nie ogląda się. Nurkuje między ludzi, nie dbając o to, że się zdradza, niepomna, że w biegu przegrzeje się i umrze. Biegnie, pragnąc tylko uciec przed ścigającym ją demonem. Przegrzeje się, ale nie zginie biernie, jak prowadzona na rzeź świnia.

Pędzi ulicą, lawirując między przyzmami durianów i przeskakując przez zwoje konopnych lin. Ten samobójczy bieg i tak nie ma sensu, ale ona się nie zatrzyma. Odpycha *gaijina* targującego się nad jutowymi workami ryżu U-*Tex*. On aż podskakuje, krzycząc z przerażenia, kiedy go mija.

Cały ruch uliczny wokół jakby zwolnił do złotego tempa. Emiko przeciska się przez bambusowe rusztowanie jakiejś budowy. Zadziwiająco łatwo jej przychodzi to bieganie. Ludzie wokół łażą jak zanurzeni w miodzie. Tylko ona się porusza. Oglądając się za siebie, widzi, że prześladowca został daleko w tyle. Jest zadziwiająco wolny. Zdumiewające, że w ogóle się go bała. Śmieje się z absurdu tego spowolnionego świata...

Zderza się z robotnikiem i pada, przewracając i jego.

— *Arai tva!* Patrz, gdzie leziesz! — krzyczy mężczyzna.

Emiko zmusza się do wstania na kolana, dłonie ma zdrętwiałe i poobcierane. Próbuje wstać, lecz świat chwieje się i rozmazuje. Pada. Podnosi się raz jeszcze, jak pijana, obezwładniana przez rozpalony piec w środku. Świat przechyla się i wiruje, ale udaje jej się ustać. Opiera się o wygrzaną słońcem ścianę, a facet, na którego wpadła, krzyczy na nią.

Jego gniew spływa po niej, jest bez znaczenia. Atakuje ją ciemność i żar. Przegrzewa się.

Na ulicy, w kłębowisku zaprzęzonych w mułki wózków i rowerów, dostrzega twarz *gaijina*. Wymrukuje z oczu zapadającą ciemność, robi chwiejny krok do przodu. Czy zwarowała? Czy to igra z nią duch *bakeneko*? Chwyta się ramienia człowieka, który na nią krzyczy, wpatruje w pojazdy, szukając potwierdzenia tego, co wyhalucynował gotujący się mózg. Budowlaniec coś wykrzykuje i usuwa się spod jej dotyku, lecz ona ledwo to zauważa.

Twarz znów jej mignęła. To ten *gaijin*, blady, z blizną, od Raleigha. Ten, co mówił jej, że powinna uciec na północ. Jego riksza ukazuje się na moment, potem znika za megodontem. I znów jest, po drugiej stronie, patrzy w jej stronę. Ich oczy się spotykają. Ten sam, co wtedy. Jest tego pewna.

— Łapać ją. To trzęsilapa! Nie dajcie jej uciec!

Prześladowca, wykrzykując i wymachując nożem, gramoli się przez bambusowe rusztowanie. Emiko zdumiewa się, że jest aż tak wolny, o wiele wolniejszy, niż się spodziewała. Patrzy nań ze zdziwieniem. Może na wojnie coś mu się stało w nogi? Ale nie, krok ma równy, to wszystko wokół niej jest takie wolne, ludzie, pojazdy. Dziwne. Surrealistycznie powolne.

Robotnik łapie ją. Emiko pozwala się szarpać, czekając, czy wśród pojazdów jeszcze raz mignie jej *gaijin*. Może jej się przywidział?

Jest! Widzi go znów. Strząsa ręce robotnika i rzuca się na jezdnię. Resztką energii przemyka pod brzuchem megodonta, omal się nie zderzając z wielkimi jak słupy nogami, i już jest po drugiej stronie, goni za rikszą *gaijina*, wyciąga ręce jak zebaczka...

Patrzy na nią zimno i beznamiętnie. Emiko potyka się i chwyta rikszy, żeby odzyskać równowagę, wiedząc, że ją odepchnie. Jest tylko nakręcanką. Głupia była. Głupia była,

licząc, że dostrzeże w niej człowieka, kobietę, coś więcej niż zwykłego śmiecia.

Gaijin mocno łapie ją za rękę i wciąga do środka. Krzyczy na riksarza, że ma jechać, jechać: *gan cui chi che, kuai kuai kuai!* – natychmiast! Pluje słowami w trzech różnych językach. Riksza przyśpiesza, ale powoli.

Napastnik wskakuje na riksę. Tnie ją w ramię. Emiko patrzy, jak jej krew tryska na siedzenie, widzi kropelki jak zawisające w świetle słonecznym klejnoty. Mężczyzna znowu unosi nóż. Emiko próbuje podnieść rękę, bronić się, walczyć, ale jest zbyt zmęczona. Bezwładna z wyczerpania i gorąca. Człowiek znów tnie, z wrzaskiem.

Emiko przygląda się, jak ostrze opada, ruchem wolnym jak lany zimą miód. Tak wolno. Tak daleko. Ciało pęka. Wszystko zamazuje się z gorąca i zmęczenia. Traci przytomność. Nóż znów spada.

Nagle *gaijin* wdziera się pomiędzy nich. W jego dłoni połyskuje sprężynowy pistolet. Emiko patrzy, nieco zaintrygowana tym, że nosi przy sobie broń, lecz walka między *gaijinem* a nałogowcem *yaba* jest tak odległa i tak maleńka. Tak ciemno... Pochłania ją żar.

* Jo-no-mai (jap.) — bardzo powolny i dystyngowany taniec, często otwierający spektakl teatru no (przyp. tłum.).

X

Nakręcanka w ogóle się nie broni. Krzyczy, ale prawie nie drgnie, kiedy kęsa ją nóż.

— *Bai!* - woła Anderson do Lao Gu. — *Kuai kuai kuai!*

Odpycha napastnika, riksza wyrywa się naprzód. Taj niezdarnie dźga go nożem, a potem znów atakuje nakręcankę, tnie ją. Ona nie robi nic. Tryska krew. Anderson wyszarpuje spod koszuli sprężynowy pistolet i wciska napastnikowi w twarz. Tamten wytrzeszcza oczy.

Odskakuje od rikszy i biegnie, szukając osłony. Anderson śledzi go lufą, zastanawiając się, czy wpakować mu dysk w głowę, czy pozwolić uciec, lecz facet znika za zaprzężonym w megodonta furgonem, pozbawiając go możliwości podjęcia decyzji.

— Cholera. — Rozgląda się po ulicy, upewniając się, że gość naprawdę uciekł, potem wpycha pistolet pod koszulę. Odwraca się do leżącej bezwładnie dziewczyny. — Jesteś bezpieczna.

Nakręcanka leży nieruchomo, ubranie ma pocięte, w nieładzie, oczy zamknięte, oddycha szybko. Gdy przyciska dłoń do przekrwionego czoła, dziewczyna kuli się i trzepocze powiekami. Jej skóra w dotyku aż parzy. Czarne oczy spoglądają apatycznie.

— Proszę — mruczy.

Promieniuje niesamowitym żarem. Umiera. Anderson rozpina jej żakiet, usiłuje ją schłodzić. Wypala się, przegrzała się wskutek biegu i kiepskiego projektu genetycznego. To nonsens, że ktoś zrobił jej coś takiego, tak ją upośledził.

Krzyczy przez ramię:

— Lao Gu! Na wały!

Lao Gu ogląda się, nie rozumiejąc.

— *Shui!* Woda! *Nam!* Ocean, kurna! — Ręką pokazuje ścianę wału. — Szybko! *Kuai, kuai, kuai!*

Lao Gu kiwa energicznie głową. Staje na pedałach i przyspiesza, przepychając się przez zakrzepły korek, miotając ostrzeżenia i przekleństwa na stojących mu na drodze pieszych i zwierzęta pociągowe. Anderson wachluje nakręcankę kapeluszem.

U podnóża wału Anderson przerzuca sobie nakręcankę przez ramię i taszczy po nierównych schodach. Z boku wiją się strzegące wałów *nagi*, ich smukłe, falujące, węzowe ciała prowadzą go na górę. Patrzą obojętnie, jak pnie się na górę. Pot spływa mu do oczu. Nakręcanka jest gorąca jak piec.

Wchodzi na szczyt. Czerwone słońce błyska mu w twarz, obrysowując kontury zatopionego Thonburi w oddali. Jest prawie tak gorące, jak ciało zwisające mu z ramienia. Schodzi, potykając się, na drugą stronę wału i wrzuca dziewczynę do morza, obryzgując się słoną wodą.

Tonie jak kamień. Anderson łapie powietrze i rzuca się za nią. Ty bałwanie. Ty durny bałwanie. Chwyta bezwładne ramię i wyciąga ją spod powierzchni. Trzyma tak, żeby twarz była nad wodą, starając się znów jej nie podtopić. Czarne włosy rozpościerają się po falach jak sieć. Dziewczyna faluje w jego uchwycie. Lao Gu podchodzi, potracając go. Anderson kiwa na niego.

— No chodź. Łap ją.

Lao Gu waha się.

— Jasna cholera, no trzymaj ją. *Zhua ta.*

Lao Gu niechętnie wsuwa dłonie pod pachy Emiko. Anderson dotyka jej szyi, sprawdza puls. Czy jej mózg już się zagotował? Może próbuje reanimować warzywo.

Puls nakręcania pędzi jak u kolibra, z szybkością niespotykaną u stworzenia tej wielkości. Anderson pochyla się, nasłuchuje oddechu.

Jej oczy otwierają się nagle. Odskakuje. Nakręcanka szarpie się. Lao Gu ją puszcza. Dziewczyna znika pod wodą.

— Nie! — Anderson rzuca się za nią.

Wynurza się znowu, miotając się, kaszląc i wyciągając ku niemu ręce. Chwyta go dłonią za dłoń, Anderson wciąga ją na brzeg. Jej ubranie wije się jak splątane wodorosty, czarne włosy lśnią jak jedwab. Patrzy na Andersona ciemnymi oczyma. Skórę ma nagle błogo chłodną.

* * *

— Dlaczego pan mi pomógł?

Na ulicach migoczą metanowe latarnie, zalewając miasto eterycznymi odcieniami zieleni. Zapadła ciemność, syczą w niej słupy latarni. Wilgoć połyskuje na bruku, na betonie, lśni na twarzach ludzi pochylających się nad świecami na nocnych targowiskach.

Nakręcanka powtarza:

— Dlaczego?

Anderson wzrusza ramionami, zadowolony, że ciemność skrywa jego minę. Nie wie co odpowiedzieć. Jeśli napastnik doniesie gdzieś o *farangu* i nakręcance, ktoś się zainteresuje, zwróci na niego uwagę białych koszul. Głupio zaryzykował, zważywszy, jak bardzo jest już odsłonięty. Bardzo łatwo go opisać, od miejsca, gdzie ją znalazł, niedaleko do sir Francisa, a stamtąd do bardziej niewygodnych pytań.

Uspokaja własną paranoję. Jest gorszy niż Hock Seng. Ten *nok leng* ewidentnie był zaćpany *yabą*. Nie poleci do białych koszul. Zaszyje się gdzieś i będzie lizał rany.

Ale to i tak było głupie.

Kiedy zemdląa w rikszy, był pewien, że zaraz umrze, i nawet trochę się z tego cieszył. Czuł ulgę, że w ten sposób uda mu się cofnąć chwilę, w której ją rozpoznał i wbrew wszelkim szkoleniom powiązał jej los ze swoim.

Zerka na nią. Jej skóra już nie pali jak rozżarzony piec. Oslania swoją skromność strzępami pociętego ubrania. Żałosne, jak taka istota, będąca w stu procentach czyjąś własnością, potrafi zachować skromność.

— Dlaczego? — pyta znowu.

Ponownie wzrusza ramionami.

— Trzeba ci było pomóc.

— Nakręcankom się nie pomaga. — Jej głos brzmi płasko. — To głupie z pana strony. — Odgarnia z twarzy wilgotne włosy. Surrealistyczny, szarpany ruch, rozkręcającej się genetycznej sprężyny. Spod podartej bluzki prześwituje skóra, łagodna obietnica piersi. Jaka byłaby w dotyku? Jej skóra lśni, gładka i zachęcająca. Zauważa, że się na nią gapi.

— Chce pan mnie wykorzystać?

— Nie. — Odwraca głowę, zażenowany. — To nie jest konieczne.

— Z panem nie będę walczyć — mówi.

Anderson czuje nagłą odrazę do tej uległości w jej głosie. Innym razem, w innym czasie, może spróbowałby z ciekawości. Bez zastanowienia. Ale fakt, że ona tak niewiele się po nim spodziewa, napełnia go niesmakiem. Zmusza się do uśmiechu.

— Nie. Dziękuję.

Kiwa głową. Znow patrzy na wilgotną noc i zielony blask latarń. Trudno powiedzieć: jest wdzięczna, zdziwiona, a może jego decyzja jest dla niej bez znaczenia. Maską może i na moment spadła, kiedy była przerażona gorącem, kiedy czuła ulgę ucieczki, lecz teraz jej myśli znow są zamknięte na cztery spusty.

— Mam cię gdzieś zawieźć?

Wzrusza ramionami.

— Do Raleigha. Tylko on chce mnie trzymać.

— Ale przecież nie był pierwszy, prawda? Nie zawsze byłaś...

— Urywa. Nie ma na to oględnego słowa, a patrząc jej w oczy, nie ma ochoty nazywać jej zabawką.

Zerka nań i z powrotem wpatruje się w mijane miasto. Gazowe latarnie zalewają ulice kałużami fosforycznego blasku, rozdzielanymi głębokimi wąwozami mroku. Przejeżdżają pod lampą, Anderson widzi przez moment w półmroku jej twarz, pokrytą warstewką wilgoci, zamyśloną. Potem znów znika w ciemności.

— Nie, nie zawsze tak było. Nie... — Milknie, myśli. — Pracowałam w Mishimoto, miałam... — wzrusza ramionami — ...właściciela. To był właściciel firmy. Należałam do niego. Gen... mój pan załatwił tymczasowe pozwolenie na sprowadzenie mnie do Królestwa. Na dziewięćdziesiąt dni. Pałac przedłużał zgodę przez wzgląd na przyjaźń z Japonią. Byłam jego osobistą asystentką: tłumaczką, sekretarką i... osobą do towarzystwa. — Kolejne wzruszenie ramionami, które wyczuwa. — Ale powrót do Japonii drogo kosztuje. Bilet na sterowiec dla Nowego Człowieka kosztuje tyle samo, co dla was. Mój pan zdecydował, że bardziej mu się opłaca zostawić sekretarkę w Bangkoku. Kiedy skończyła mu się delegacja, stwierdził, że w Osace kupi sobie nowszy model.

— Jezusie i Noe.

— Na lądowisku dostałam odprawę i odjechał. Odleciał.

— I stąd Raleigh? — pyta.

— Żaden Taj nie weźmie Nowego Człowieka na sekretarkę czy tłumaczkę. W Japonii, tak. Dość często. Za mało rodzi się dzieci, za dużo potrzeba rąk do pracy. A tutaj... — Kręci głową. — Rynek kalorii jest kontrolowany. Wszyscy są zazdrośni o swój

U-*Tex*. Każdy broni swojego ryżu. A *Raleigh* się tym nie przejmuje. Lubi... nowe rzeczy.

Ogarnia ich tłusta i lepka chmura zapachu smażonych ryb. Nocne targowisko, pełne ludzi jedzących kolację przy świecach, pochylonych nad makaronami, ośmiorniczkami na patykach i talerzami *laap*. *Anderson* tłumi chęć podniesienia przeciwdeszczowego daszka i zasunięcia zasłonek — ukrycia swojej towarzyszki przed ludzkim wzrokiem. Pod wokami jaskrawo płonie charakterystyczny zielony, opodatkowany przez Ministerstwo Środowiska metan. Ledwo oświetla pot połyskujący na śniadych twarzach ludzi. Pod ich stopami krążą *cheshire'y*, czatując na rzucone ochłapy albo okazję do kradzieży.

Cień *cheshire'a* przepływa przez ciemność, zmuszając *Lao Gu* do skrętu. Cicho przeklina w swoim języku. *Emiko* parska śmiechem i klaszcze w dłonie z zachwytem. *Lao Gu* odwraca się i łypie na nią.

— Lubisz *cheshire'y*? — pyta.

Emiko patrzy nań zaskoczona.

— Pan nie?

— W domu nie nadążamy z zabijaniem ich — odpowiada. — Nawet *grahamici* płacą niebieszczakami za każdą skórkę. To chyba jedyna ich działalność, z jaką się zgadzam.

— Mmm, tak... — *Emiko* marszczy w namyśle brwi. — Chyba trochę za dobrze zrobione, jak na ten świat. Teraz naturalny ptak ma niewielkie szanse. — Uśmiecha się nieznacznie. — Proszę pomyśleć, co by było, jakby najpierw zrobili *Nowych Ludzi*.

To figlarność w jej oczach? Czy melancholia?

— Co by było, według ciebie? — pyta *Anderson*.

Emiko unika jego wzroku, patrzy natomiast na krążące między klientami koty.

— Genhakerzy za dużo się na cheshire'ach nauczyli.

Nie mówi nic więcej, lecz Anderson domyśla się, co ma na myśli. Gdyby jej gatunek powstał pierwszy, zanim genhakerzy się nauczyli, nie uczyniliby jej bezpłodną. Nie miałyby tych demaskatorskich nakręcanych ruchów, przez które tak rzuca się w oczy. Mogłoby skonstruować ją równie dobrze jak militarne nakręcańce, walczące teraz w Wietnamie — groźne i nieustraszone. Bez nauczki, jaką stanowiły cheshire'y, nowa, lepsza wersja, jaką jest Emiko, mogłaby całkowicie wyprzeć z powierzchni Ziemi ludzką rasę. A tak, jest genetyczną ślepą uliczką. Skazana na tylko jeden cykl życia, tak samo jak SoyPro i pszenica TotalNutrient.

Kolejny cień kota przemyka przez ulicę, migocząc i ciemniejąc na tle mroku. Technologiczny hołd dla Lewisa Carrola, parę przejazdów kliprami oraz sterowcami i nagle znika cała klasa zwierząt, nieprzystosowana do walki z niewidzialnym zagrożeniem.

— Zauważylibyśmy ten błąd.

— Tak. Oczywiście. Ale może nie dość szybko. — Emiko raptownie zmienia temat. Wskazuje brodą świątynię na tle nocnego nieba. — Bardzo ładna, prawda? Podobają się panu ich świątynie?

Anderson zastanawia się, czy zmieniła temat, żeby uniknąć konfliktu i kłótni, czy może naprawdę się boi, że uda mu się obalić jej fantazję. Przypatruje się strzelistym *chedi* i *botom* świątyni.

— O wiele ładniejsza niż to, co budują u nas grahamici.

— Grahamici. — Emiko się krzywi. — Tak się przejmują niszą i naturą. Tacy skupieni na swojej Arce Noego, chociaż powódź była już dawno.

Anderson myśli o Haggu, spoconym i udręczonym spustoszeniem dokonanym przez koziorogi.

— Gdyby mogli, uwiązałoby każdego do jego kontynentu.

— Myślę, że to niemożliwe. Ludzie lubią ekspansję. Lubią wypełniać nowe nisze.

Złoty azur świątyni lekko lśni w świetle księżyca. Świat naprawdę znowu się kurczy. Parę przelotów sterowcem, rejsów kliprem i Anderson zastuka obcasami w bruk ciemnej ulicy po drugiej stronie globu. Niesamowite. W czasach jego dziadków nie dawało się nawet dojeżdżać z dawnego przedmieścia do centrum miasta. Dziadkowie zwykli opowiadać historie o wyprawach na takie opuszczone przedmieścia, szabrowaniu całych rozległych dzielnic, zniszczonych przez naftową Zapaść. Dla nich dziesięć mil było wielką podróżą, a teraz patrzcie na niego...

U wylotu zaułka przed nimi materializują się dwa białe mundury.

Emiko blednie i przysuwa się do niego.

— Proszę mnie objąć.

Anderson próbuje ją odepchnąć, ale ona trzyma się mocno. Białe koszule zatrzymały się, patrzą, jak się zbliżają. Nakręcanka przywiera doń jeszcze bardziej. Anderson walczy z chęcią wyskoczenia z rikszy i ucieczki. To ostatnie, czego mu trzeba. Emiko szepcze:

— Teraz jestem wykroczeniem przeciwko kwarantannie, jak nipponi genhakowany ryjkowiec. Jeśli zobaczą, jak się ruszam, domyślą się. Skompostują mnie. — Przytula się bardziej. — Przepraszam. Proszę. — Błaga go wzrokiem.

W nagłym przypiływie litości obejmuje ją, otulając ochroną, jaką może dać kaloriarz nielegalnemu japońskiemu śmieciowi. Ludzie z Ministerstwa uśmiechają się i coś do nich wołają. Anderson odpowiada uśmiechem i kiwa głową, choć skóra mu cierpnie. Białe koszule nie spuszczają z nich wzroku. Jeden uśmiecha się i mówi coś do drugiego, kręcąc zawieszoną na

nadgarstku pałąką. Emiko mimo woli dygoce mu u boku, na twarzy ma wymuszoną maskę uśmiechu. Anderson przyciąga ją bliżej.

Nie proście o łapówkę. Nie tym razem. Proszę.

Przechodzą.

Za ich plecami zaczynają się śmiać, albo z *faranga* i przytulonej do niego dziewczyny, albo z czegoś zupełnie innego, co zresztą nie ma znaczenia, bo właśnie się od nich oddalają i znów są z Emiko bezpieczni.

Odsuwa się, cała rozdygotana.

— Dziękuję — szepcze. — Głupio z mojej strony, że wyszłam. Nieostroźnie. — Odgarnia włosy z twarzy i ogląda się. Faceci z Ministerstwa szybko nikną w oddali. Zaciska pięści. — Głupia dziewczyno — mruży. — Nie jesteś cheshire'em, który znika, jeśli zechce. — Kręci głową, zła, powtarzając sobie: — Głupia. Głupia. Głupia.

Anderson patrzy zafascynowany. Emiko jest przystosowana do innego świata, nie tego brutalnego i upalnego miasta. Ono ją w końcu pożre. To oczywiste.

Uświadamia sobie jego spojrzenie. Posyła mu lekki, melancholijny uśmiech.

— Nic nie trwa wiecznie, prawda?

— Nic. — Aż ściska go w gardle.

Patrzą na siebie nawzajem. Jej bluzka znów się rozchyliła, ukazuje zarys szyi, krągłość piersi. Nie stara się zakryć, patrzy tylko na niego poważnie. To specjalnie? Chce go zachęcić? A może taka jej natura? Może nie potrafi się powstrzymać. Ten zestaw odruchów ma tak zakorzeniony w DNA jak cheshire podstępne zasadzki na ptaki. Anderson przysuwa się ku niej, niepewny.

Emiko nie cofa się, wychodzi mu naprzeciw. Usta ma miękkie. Anderson wodzi dłonią po jej biodrze, rozchyła bluzkę

jeszcze bardziej i wsuwa pod nią rękę. Emiko wzdycha i przywiera doń jeszcze mocniej, rozchylając usta na jego spotkanie. Chce tego? Czy tylko jest posłuszna? Czy w ogóle potrafi odmówić? Przyciska się do niego piersiami. Przesuwa dłońmi po ciele. Anderson się trzęsie. Dygoce jak szesnastolatek. Czy naukowcy wbudowali w jej DNA jakieś feromony? Jej ciało oszałamia.

Zapominając o ulicy, o Lao Gu, o wszystkim, przyciąga ją do siebie, nakrywając pierś ręką, dotykając tej idealnej skóry.

Serce nakręcanki pędzi mu pod dłoń jak serce kolibra.

XI

Jaidee żywi pewien szacunek do Chińczyków z Chaozhou. Mają duże, dobrze zarządzane fabryki. Zapuścili korzenie w Królestwie wiele pokoleń temu i są w pełni lojalni wobec Jej Wysokości Małej Królowej. Zupełnie niepodobni do tych żalonych chińskich uchodźców, których fala przyszła z Malajów, i liczą tu na pomoc, choć w tamtym kraju całkowicie wyalienowali tubylców. Gdyby malajscy Chińczycy byli choć w połowie tak bystrzy jak Chaozhou, dawno nawróciliby się na islam i wplekli w tkanę tamtego społeczeństwa.

A tymczasem Chińczycy z Malakki, Penangu i Zachodniego Wybrzeża zachowywali arogancką odrębność i myśleli, że nie dotknie ich rosnąca fala fundamentalizmu. No i teraz przychodzą zebrać do Królestwa, licząc, że pomogą im kuzyni z Chaozhou, choć zabrakło im bystrości, by samemu się o siebie zatroszczyć.

Chaozhou są inteligentni, a malajscy Chińczycy — głupi. Są w zasadzie Tajami. Mówią po tajsku, przyjmują tajskie imiona. Może gdzieś w przeszłości mają chińskie korzenie, lecz obecnie są Tajami. I są lojalni. Jak się nad tym zastanowić, nawet o jego własnym narodzie nie do końca da się to powiedzieć, a już na pewno nie o Akkaracie i jemu podobnych z Ministerstwa Handlu.

I dlatego odczuwa współczucie, kiedy biznesmen Chaozhou w długiej białej koszuli, luźnych bawełnianych spodniach i sandałach chodzi przed nim tam i z powrotem po hali, skarżąc się, że zamknięto mu fabrykę, bo przekroczył jakąś węglową rację, a przecież zapłacił każdej białej koszuli, która tu do niego

przyszła, więc Jaidee nie ma prawa — nie ma prawa! — zamykać mu całej fabryki.

Jaidee czuje sympatię nawet, kiedy nazywa go żółwym jajem — choć to denerwujące, kiedy się wie, jak obraźliwe jest to po chińsku. Jest jednak tolerancyjny wobec wybuchów emocji biznesmena. Taka już chińska natura, gorąca krew. Są skłonni do wybuchów, na jakie nie pozwoliliby sobie żaden Taj.

Dlatego tak w ogóle to czuje sympatię.

Trudno mu ją jednak odczuwać, kiedy ktoś dźga go palcem w pierś, przeklinając przy tym — więc teraz siedzi temu facetowi na piersi, przyciskając czarną pałkę do jego szyi — i wyjaśniając zawłości szacunku należnego białej koszuli.

— Chyba pomylił mnie pan z kimś innym z Ministerstwa — zauważa. Mężczyzna gulgocze i próbuje się uwolnić, ale nie pozwala mu miażdżąca gardło pałka. Jaidee przygląda mu się uważnie.

— Rozumie pan oczywiście, że mamy racjonowanie węgla, bo nasze miasto znajduje się poniżej poziomu wody. Wasz przydział został zużyty wiele miesięcy temu. Ghghaha.

Jaidee zastanawia się na odpowiedzią. Kręci ze smutkiem głową.

— Nie. Obawiam się, że nie możemy tego kontynuować. Król Rama XII postanowił, co popiera teraz Jej Wysokość Mała Królowa, że nie porzucimy Krung Thep na pastwę podnoszącego się morza. Nie uciekniemy z Miasta Bóstw jak ci tchórze z Ayutthayi przed Birmańczykami. A ocean to nie jakaś armia. Raz ustąpimy wodzie i już nigdy jej stąd nie wypędzimy. — Patrzy na pocącego się Chińczyka. — Dlatego każdy musi robić swoje. Musimy wszyscy walczyć ramie w ramie, jak wieśniacy z Bang Rajan, żeby wygonić tego najeźdźcę z naszych ulic. Nie uważa pan?

— Ghhghghghhhh...

— Właśnie. — Jaidee się uśmiecha. — Cieszę się, że do czegoś dochodzimy.

Ktoś odchrząkuje.

Jaidee unosi wzrok, powstrzymując złość.

— Tak?

Młody szeregowiec w nowym białym mundurze stoi w postawie pełnej szacunku i czeka.

— *Khun* Jaidee... — Składa dłonie w *wai*, przytyka je do czoła. Stoi tak przez chwilę. — Bardzo przepraszam, że przeszkadzam.

— Słucham?

— *Chao Khun* generał Pracha wzywa pana do siebie.

— Jestem zajęty — odpowiada Jaidee. — Nasz przyjaciel wreszcie wydaje się skłonny do spokojnego porozumienia i należytego zachowania. — Uśmiecha się miło do leżącego biznesmena.

Chłopak dodaje:

— Miałem panu przekazać... żeby... żeby...

— No dalej.

— Miałem przekazać, że... przepraszam... ma pan zabierać swoją... przepraszam... żądną sławy dupę do Ministerstwa, natychmiast, albo i szybciej. — Krzywi się, wypowiadając te słowa. — Jeśli nie ma pan roweru, ma pan wziąć mój.

— Rozumiem. No więc dobrze. — Jaidee krzywi się i schodzi z biznesmena. Kiwa na Kanyę. — Pani porucznik? Może pani przemówi do rozsądku naszemu przyjacielowi?

Kanya robi zdziwioną minę.

— Coś nie tak?

— Wygląda na to, że Pracha w końcu chce się na mnie wyżyć.

— Iść z tobą? — Kanya zerka na biznesmena. — Ten płaz może poczekać do jutra.

Jaidee szczerzy zęby, widząc jej obawy.

— Nie obawiaj się o mnie. Skończ sprawy tutaj. Jak wrócisz, poinformuję cię, czy zsyłają nas na południe, żebyśmy do końca życia pilnowali żółtych kart w obozach internowania.

Gdy kierują się ku drzwiom, właściciel fabryki zdobywa się na odwagę:

— Zapłacisz mi za to głową, *heeya!*

Odgłos trafiającej w cel pałki Kanyi i skowyt to ostatnie, co słyszy Jaidee, wychodząc.

Na zewnątrz pali słońce. Spocił się już wcześniej, pracując nad biznesmenem, a lejący się z nieba żar tylko pogarsza sprawę. Staje w cieniu palmy kokosowej, czeka, aż posłaniec przyprowadzi rower.

Chłopak przypatruje się z troską jego spoczonej twarzy.

— Chce pan odpocząć?

Jaidee parska śmiechem.

— Nie przejmuj się. Po prostu się starzeję. Ten *heeya* sprawił trochę problemów, a ja nie jestem już tak waleczny jak kiedyś. W chłodnej porze bym się tak nie spocił.

— Ale wygrał pan dużo walk.

— Parę. Kiedy trenowałem, było goręcej niż dzisiaj.

— Pana porucznik mogłaby się tym zająć — mówi młodzik. — Nie musi pan tak ciężko pracować.

Jaidee ociera czoło i kręci głową.

— I co by sobie pomyśleli moi ludzie? Że zrobiłem się leniwy.

Chłopakowi aż zapiera dech.

— Nikt by tak o panu nie pomyślał! W życiu!

— Kiedy zostaniesz kapitanem, zrozumiesz. — Jaidee uśmiecha się pobłaźliwie. — Ludzie są lojalni, kiedy stoisz na czele. Nie pozwolę sobie na to, żeby ktoś z moich ludzi tracił czas na nakręcanie dla mnie wiatraka albo wachlowanie mnie liściem, tylko dla mojej wygody, jak ci *heeya* z Ministerstwa

Handlu. Ja dowodzę, ale wszyscy jesteście braćmi. Obiecaj mi, że jak zostaniesz kapitanem, będziesz postępować tak samo.

Oczy chłopca rozbłyskują. Znów robi *wai*.

— Tak, *Khun*. Nie zapomnę. Dziękuję!

— Dobry chłopak. — Jaidee przerzuca nogę przez ramę roweru. — Kiedy porucznik Kanya skończy, podrzuci cię z powrotem na naszym tandemie.

Włącza się do ruchu. W porze gorącej, bezdeszczowej, na słońce wystawiają się nieliczni, tylko niespełna rozumu, albo mocno zmotywowani, ale w zadaszonych podcieniach i zaułkach kryją się całe targowiska pełne warzyw, przyborów kuchennych i ubrań.

Przy Thanon Na Phralan Jaidee odrywa dłonie od kierownicy i składa je w *wai* przed mijaną świątynią z miej ską kolumną, szepcząc modlitwę o bezpieczeństwo duchowego centrum Bangkoku. Właśnie tutaj król Rama XII obwieścił, że nie porzuci miasta na pastwę podnoszącego się morza. Teraz na ulicę przesączają się głosy mnichów modlących się o przetrwanie miasta. Jaidee trzykrotnie unosi ręce do czoła, wśród rzeki czyniących to samo innych jadących.

Piętnaście minut później pojawia się Ministerstwo Środowiska, szereg budynków o spadzistych dachach z czerwonej dachówki, wyglądających zza gąszczy bambusów, teku i drzew deszczowych. Granicy Ministerstwa strzegą wysokie białe mury, wizerunki Garudy i Singhi, upstrzone śladami dawnych deszczy, obrośnięte paprocią i mchem.

Jaidee widywał ten kompleks z powietrza — był jednym z wybrańców, którzy znaleźli się na pokładzie sterowca, kiedy Ministerstwem rządził jeszcze Chaiyanuchit i białe koszule miały absolutną władzę, gdyż pustoszące świat plagi szkodników niszczyły zbiory z niesamowitą szybkością. Nikt nie wiedział, czy w ogóle cokolwiek przetrwa.

Chaiyanuchit pamiętał początek plag. Niewielu mogło to o sobie powiedzieć. A Jaidee, jako młody rekrut, miał szczęście pracować w jego biurze, roznosić raporty.

Chaiyanuchit wiedział, o co toczy się gra i co trzeba zrobić. Nie zawahał się, gdy należało zamknąć granice, odizolować Ministerstwa, zrównać z ziemią Phuket i Chiang Mai. Gdy w dżungli na północy eksplodowały wykwyty, palił, palił i palił, a kiedy wybrał się w niebo na sterowcu Jego Królewskiej Mości, Jaidee miał szczęście polecieć razem z nim.

Wtedy dopiero zaczęli robić porządek. AgriGen, PurCal i reszta przywozili odporne na choroby nasiona i domagali się słonej zapłaty, genhakerzy-patrioci już pracowali nad złamaniem kodu genetycznego ich produktów, walcząc o wyżywienie Królestwa, a Birma, Wietnam i Khmerowie — padali. AgriGen i im podobni grozili embargiem za naruszenie własności intelektualnej, lecz Królestwo Tajlandii wciąż żyło. Wbrew wszystkiemu. Inni padli pod butem firm kalorycznych, a Królestwo trzymało się mocno.

„Embargo!”. Chaiyanuchit się śmiał. „Embargo, tego nam właśnie trzeba! W ogóle nie życzymy sobie kontaktu z ich światem zewnętrznym”.

I tak wzniosły się mury — te, których nie stworzyła zapaść naftowa, te, których nie zbudowano podczas wojny domowej i do ochrony przed głodującymi uchodźcami — szczelny zestaw barier chroniących Królestwo przed zawieruchami świata zewnętrznego.

Jako młody rekrut Jaidee zdumiewał się, że w Ministerstwie Środowiska wciąż wrze jak w ulu. Białe koszule wybiegały z gabinetów na ulicę, usiłując zapanować nad tysiącami zagrożeń. W żadnym innym resorcie nie czuło się tego pośpiechu. Szkodniki na nikogo nie czekały. Jeden genhakowany ryjkowiec znaleziony w peryferyjnym rejonie oznaczał, że czas reakcji liczy się w godzinach — białe koszule

pędziły przez kraj sprężynowym pociągiem, prosto do epicentrum.

A zakres kompetencji Ministerstwa rósł z każdym dniem. Szkodniki były zaledwie najnowszym z zagrożeń dla przetrwania Królestwa. Pierwszy był podnoszący się poziom morza, potrzeba budowy wałów i tam. Potem nadzór nad umowami energetycznymi i obiegiem kredytów na zanieczyszczenia i naruszanie przepisów klimatycznych. Białe koszule przejęły licencjonowanie pozyskiwania i produkcji metanu. Później — monitorowanie zdrowia ryb hodowlanych i akumulacji toksyn w tym ostatnim bastionie niezależności kalorycznej Królestwa (mieli szczęście, że firmy kaloryczne rozumowały jak lądowe szczury i tylko od niechcienia atakowały zasoby rybne). I jeszcze śledzenie stanu zdrowia ludzi, nowych wirusów i bakterii — H7V9; cibiskozy 111.b, c, d; frędzli *fa'gan*; gorzkich omułek i ich wirusowych mutacji, które tak łatwo przeskakiwały ze słonej wody na suchy ląd; rdzy pęcherzowej... Obowiązkom Ministerstwa nie było końca.

Jaidee mija kobietę sprzedającą banany. Nie może się powstrzymać, żeby nie zeskoczyć z roweru i nie kupić jednego. To nowa odmiana z ministerialnego Ośrodka Szybkiego Prototypowania. Szybko rośnie, odporny na roztocza *makmak*, których maleńkie czarne jajeczka niszczą kwiaty bananów, zanim zdążą zaowocować. Obiera go i zjada łapczywie, popychając rower, żałując, że nie ma czasu na zjedzenie czegoś porządniejszego. Skórkę porzuca pod cielskiem drzewa deszczowego.

Każde życie produkuje odpady. Sam akt życia generuje koszty, zagrożenia środowiska, zagadnienia pozbywania się odpadów i dlatego Ministerstwo znalazło się w centrum wszelkiego życia, zarządzając i nadzorując śmieci przeciętnego człowieka oraz kontrolując wykroczenia popełniane przez

chciwych i krótkowzrocznych, tych, którzy chcą się szybko dorobić, kładąc na szali życie innych ludzi.

Symbolem Ministerstwa jest oko żółwia, symbolizujące długą perspektywę — świadomość, że wszystko, co przychodzi tanio lub szybko, ma ukryte koszty. Inni może i ochrzcili ich Żółwim Ministerstwem, a Chińczycy z Chaozhou zaczęli wyzywać białe koszule od żółwich jaj, bo nie wolno im produkować tylu nakręcanych skuterów, ile by chcieli — niech sobie przezywają na zdrowie. Ministerstwo Środowiska zapewniło Królestwu przetrwanie, Jaidee może tylko podziwiać jego osiągnięcia z przeszłości.

Tym niemniej, kiedy zsiada z roweru przed bramą resortu, jakiś mężczyzna patrzy nań spode łba, a kobieta odwraca wzrok. Nawet przed samą siedzibą — a może zwłaszcza tutaj — ludzie, których chroni, odwracają się od niego.

Jaidee krzywi się i przeprowadza rower między strażnikami.

W kompleksie wciąż panuje krzątania jak w ulu, ale jest całkiem inna niż wtedy, gdy przyszedł tu pierwszy raz. Ściany pokrywa pleśń, elewacja gmachu pęka pod ciężarem pnączy. Stary figowiec opiera się o ścianę budynku, gnije, przypomina o ich klęskach. Leży tak od dziesięciu lat i butwieje. Nic nadzwyczajnego, pośród wszystkich gatunków, które wymarły. Unosi się tu atmosfera ruiny, klimat dżungli, pragnącej odzyskać teren wycięty z niej wiele lat temu. Gdyby pnączy nie usuwano ze ścieżek, Ministerstwo zniknęłoby całkowicie. W poprzedniej epoce, kiedy było bohaterem ludu, wszystko to wyglądało inaczej. Wtedy ludzie klękali przed funkcjonariuszami Ministerstwa w trzykrotnym geście *khrab*, jakby byli mnichami. Białe mundury budziły szacunek i podziw. A teraz Jaidee widzi, jak przechodnie się kulą, kiedy ich mija. Kulą się i uciekają.

Jestem gnębicielem, myśli gorzko. Niczym więcej — chodzę pomiędzy wodnymi bawołami i choć ciągle usiłuję pędzić je po

dobroci, wciąż muszę uciekać się do bicia strachu. Całe Ministerstwo działa tak samo — przynajmniej ci, którzy wciąż są świadomi czyhających zagrożeń, którzy wciąż wierzą w śnieżnobiałą linię ochrony, którą należy zachować.

Jestem gnębicielem.

Wzdycha i parkuje rower przed gmachem administracji, rozpaczliwie wymagającym pobielenia, na które nie wystarcza kurczącego się budżetu. Przygląda się mu, zastanawia się, czy Ministerstwo przeżywa kryzys, bo przeliczyło się z siłami, czy też wskutek nadzwyczajnego sukcesu. Ludzie przestali bać się zewnętrznego świata. Budżet Środowiska maleje co roku, a Handlu rośnie.

Siada na krzesło przed gabinetem generała. Oficerowie białych koszul przechodzą korytarzem, starannie nie zwracając na niego uwagi. Fakt, że czeka przed gabinetem Prachy, napędza go pewną dozą satysfakcji. Nieczęsto wzywają go do kogoś tak wysokiego rangą. Musiał zrobić coś słusznego. Choć raz. Młody człowiek podchodzi do niego z wahaniem. Robi *wai*.

— *Khun* Jaidee?

Na skinienie głowy uśmiecha się promiennie. Ma krótko przystrzyżone włosy, a jego brwi to ledwo cienie — niedawno wyszedł z klasztoru.

— *Khun*, miałem nadzieję, że to pan. — Waha się, potem wyciąga kartę.

Jest namalowana w stylu dawnego królestwa Sukhothai i przedstawia młodego człowieka podczas walki *muay thai*, z zakrwawioną twarzą, powalającego przeciwnika na ring. Rysy ma stylizowane, lecz Jaidee nie może powstrzymać się od uśmiechu.

— Skąd to masz?

— Byłem na tej walce, *Khun*. U mnie we wsi. O, taki byłem. — Unosi dłoń do pasa. — Albo i mniejszy. — Śmieje się

nieśmiało. — Dzięki panu zapragnąłem być bokserem. Kiedy Dithakar rzucił pana na deski, kiedy wszędzie była pana krew, myślałem, że to koniec. Nie wierzyłem, że będzie pan na tyle silny, żeby go pokonać. Miał takie mięśnie...

— Pamiętam. Niezła walka.

Młody uśmiecha się.

— Tak, *Khun*. Fantastyczna. Wtedy pomyślałem, że też chcę być bokserem.

— No i patrzcie państwo.

Chłopak przesuwa dłonią po króciutkich włosach.

— No tak. Walka jest trudniejsza niż myślałem... ale... Mogę prosić o autograf? Na tej karcie? Proszę. Chciałbym ją dać w prezencie ojcu. Ciągle zachwyca się pana walkami.

Jaidee z uśmiechem podpisuje.

— Dithakar nie był najsprytniejszym bokserem, ale był silny. Chciałbym, żeby wszystkie moje walki były takie czyste...

— Kapitan Jaidee — przerywa mu ktoś. — Kiedy kapitan już skończy ze swoimi fanami...

Młodzieniec robi *wai* i znika. Jaidee patrzy, jak biegnie, i myśli, że może nie całe nowe pokolenie jest nic niewarte. Może... Jaidee odwraca się i staje twarzą w twarz z generałem.

— To jeszcze dzieciak.

Pracha patrzy nań wilkiem. Jaidee uśmiecha się od ucha do ucha.

— No i to nie moja wina, że byłem dobrym bokserem. Przez tyle lat Ministerstwo było moim mecenasem. Wydaje mi się, panie generale, że dzięki mnie pozyskaliście sporo pieniędzy i rekrutów.

— Przestań z tym „panem generałem”. Za długo się znamy. Wchodź.

— Tak jest, panie generale.

Pracha krzywi się i machnięciem ręki zapędza Jaideego do gabinetu.

— Wlazł!

Zamyka drzwi i zasiada za potężnym mahoniowym biurkiem. Nad jego głową korbowy wentylator leniwie mieli powietrze. Gabinet jest wielki, ma pootwierane okna za okiennicami wpuszczającymi światło, ale nie bezpośrednio słońce. Szczeliny między listwami wyglądają na zaniedbany teren Ministerstwa. Na jednej ze ścian wiszą różne obrazy i zdjęcia, w tym zdjęcie Prachy wśród innych ministerialnych elewów, kolejne — z Chaiyanuchitem, założycielem współczesnego Ministerstwa. Jeszcze jedno przedstawia Jej Wysokość Małą Królową, maleńką i przerażająco bezbronną na tronie. W rogu stoi maleńka kapliczka z Buddą, Phra Pikanetem i Seubem Nakhasatienem, spowita w dym kadzidelka i wianuszki aksamitków.

Jaidee robi *wai* przed kapliczką, po czym ląduje w rattanowym krześle naprzeciwko Prachy.

— Skąd masz to klasowe zdjęcie?

Co? — Pracha ogląda się. — A, to. Jacy młodzi byliśmy, prawda? Znalazłem w rzeczach matki. Kto by pomyślał, że staruszka będzie taka sentymentalna.

— Miło popatrzeć.

— Przegiąłeś na tym lądowisku.

Jaidee wraca wzrokiem do Prachy. Po całym biurku walają się arkusze szeptanek, szeleszcząc w podmuchu korbowego wentylatora: *Thai Rath*. *Kom ChadLuek*. *Phuchatkan Rai Wan*. Wiele z nich ma na okładce zdjęcie Jaideego.

— Gazety tak nie piszą.

Pracha się marszczy. Wrzuca gazety do pojemnika na kompost.

— Gazety uwielbiają bohaterów. To im nakręca sprzedaż. Nie wierz tym, którzy nazywają cię tygrysem, walczącym z *farangami*. *Farangowie* to klucz do naszej przyszłości.

Jaidee wskazuje brodą portret swojego mentora Chaiyanuchita wiszący pod wizerunkiem Królowej.

— On raczej by się nie zgodził.

— Czasy się zmieniają, stary druhu. Polują na twoją głowę.

— I ty im ją wydasz?

Pracha wzdycha.

— Jaidee, za dobrze się znamy. Wiem, że masz waleczną duszę. I gorącą krew. — Unosi dłoń, powstrzymując sprzeciw. — Tak, dobre serce, jak wskazuje twoje imię, ale jednak *jai rawn*. Ani krzty *jai yen*. Uwielbiasz konflikty. Stąd wiem, że jak przykróczę ci smycz, będziesz walczył. I będziesz walczył, jeśli cię ukarzę.

— To daj mi wykonywać moją pracę. Taki narwaniec jak ja to tylko zysk dla Ministerstwa.

— Twoja akcja oburzyła parę osób. I to nie tylko głupich *farangów*. Dzisiaj nie wszyscy, którzy wożą towary sterowcami, to *farangowie*. Nasze interesy sięgają daleko i szeroko. Tajskie interesy.

Jaidee wbija wzrok w blat biurka.

— Nie wiedziałem, że Ministerstwo Środowiska kontroluje ładunki tylko wtedy, gdy to komuś pasuje.

— Próbuję przemówić ci do rozsądku. Mam pełne ręce różnych tygrysów: rdza pęcherzowa, ryjkowiec, wojna o węgiel, szpicle z Ministerstwa Handlu, żółte karty, limity cieplarniane, epidemie *fa'gan*... A ty przyprawiasz mi jeszcze jednego.

— Kto to? — Jaidee unosi wzrok.

— To znaczy?

— No, kto jest tak wściekły, że aż lejesz w gacie? Prosisz mnie, żebym przestał walczyć? Handel, tak? Ktoś z

Ministerstwa Handlu trzyma cię za jajca.

Pracha nie odzywa się przez moment.

— Nie wiem, kto to jest. I lepiej, żebyś i ty nie wiedział. Nie wiedząc, nie jesteś w stanie z nim walczyć. — Przesuwa po biurku kartkę. — Ktoś mi to dzisiaj włożył pod drzwi. — Wbija wzrok w Jaideego, tak by nie mógł się odwrócić. — Tu, w moim biurze. W naszej siedzibie, rozumiesz? Jesteśmy kompletnie zinfiltrowani.

Jaidee odwraca kartkę.

Niwat i Surat to dobre chłopaki. Mają cztery i sześć lat. Mali, ale już walczą. Niwat przyszedł kiedyś do domu z krwawiącym nosem, płonącymi oczyma i powiedział Jaideemu, że walczył honorowo i strasznie go pobili, ale jeszcze poćwicz i następnym razem pokaże temu *heeyi*.

Chayę doprowadza to do rozpaczy. Oskarża Jaideego, że wbija im do głów nieprawdziwe idee. Surat chodzi za Niwatem i zagrzewa go, mówi mu, że jest niepokonany. Że jest tygrysem. Najlepszym z najlepszych. Że będzie rządzić w Krung Thep i przyniesie im wszystkim chwałę. Surat ma się za trenera i powtarza Niwatowi, żeby następnym razem walił mocniej. Niwat nie boi się dostać. Niczego się nie boi. Ma cztery lata.

Właśnie w takich chwilach Jaideemu pęka serce. Sam na ringu *muay thai* bał się tylko raz. Ale w pracy — już wiele razy. Strach jest częścią jego życia. Częścią Ministerstwa. Co innego oprócz strachu byłoby w stanie pozamykać granice, palić miasta, zabić pięćdziesiąt tysięcy kur i pogrzebać je hurtowo pod warstwą ziemi, grubo posypane ługiem? Kiedy zaatakował wirus Thonburi, on i jego ludzie nosili niechroniące przed niczym maseczki z papieru ryżowego i łopatami wrzucali ptasie truchła do masowych grobów, a strachy krążyły wokół nich jak *phii*. Czy ten wirus naprawdę zdołał w tak krótkim czasie dotrzeć tak daleko? Jak bardzo się jeszcze rozprzestrzeni? Czy jeszcze przyspieszy? Czy to jest właśnie wirus, który

ostatecznie ich wykończy? Potem on i jego ludzie przechodzili trzydziestodniową kwarantannę, podczas której czekali, aż umrą, a ich jedynym towarzyszem był właśnie strach. Jaidee pracuje w ministerstwie, które nie jest w stanie stawić czoła wszystkim napotkanym zagrożeniom; boi się przez cały czas.

To nie walki się boi; i nie śmierci; boi się oczekiwania oraz niepewności i pęka mu serce, bo wie, że Niwat nie ma pojęcia o przeczekiwaniu zagrożeń i o tym, że takich zagrożeń jest wokół pełno. Z tyloma rzeczami da się walczyć tylko oczekiwaniem. Jaidee jest człowiekiem czynu. Walczył na ringu. Nosił szczęśliwe amulety Seuba pobłogosławione przez samego Ajahna Nopadona z Białej Świątyni i szedł dalej. Uzbrojony tylko w czarną pałkę sam jeden tłumił zamieszki *nam* w Katchanaburi, po prostu wchodząc w tłum.

Jednakże najważniejsze z bitew polegają na oczekiwaniu: kiedy ojciec i matka poddali się cibiskozie i wykaszleli płuca przez zęby; kiedy jego siostra i siostra Chayi patrzyły, jak ich ręce puchną i pękają od kalafiorowatych narośli *fa'gan*, dopóki Ministerstwo nie wykradło Chińczykom genetycznej mapy i nie wytworzyło częściowo pomagającego lekarstwa. Codziennie modlili się do Buddy, praktykowali brak przywiązania do rzeczy doczesnych i liczyli, że siostronom uda się odrodzić w lepszym świecie niż ten, który zmienił im palce w kijki i przeżarł stawy. Modlili się. I czekali.

Pęka mu serce dlatego że Niwat nie zna strachu, a Surat go w tym ćwiczy. Pęka mu serce, bo nie może się zmusić, by interweniować, i przeklina się za to. Dlaczego ma niszczyć dziecięce złudzenie niezwykłości? Dlaczego akurat on? Nienawidzi tej roli.

Pozwala natomiast swoim synom mocować się ze sobą. Ryczy wtedy: „Oooo, dzieci tygrysa! Jakie to drapieżne! Aż za bardzo!”. A oni cieszą się, śmieją, mocują z nim; pozwala im wygrać i pokazuje sztuczki, jakich nauczył się od czasów ringu,

numery, jakie musi znać każdy bokser z ulicy, gdzie żaden zestaw ruchów nie jest zrytualizowany, gdzie nawet mistrz musi nauczyć się paru rzeczy. Uczy ich, jak się bić, bo tylko to potrafi. A poza tym, na oczekiwanie i tak nie umiały ich przygotować.

Takie myśli krążą mu po głowie, kiedy odwraca kartkę u Prachy — jego serce zapada się do środka, jak waląca się kamienna budowla, jakby całe jego wnętrze spadało na dno studni, ciągnąc za sobą wszystkie wnętrzności, zostawiając ciało pustym.

Chaya.

Zgięta pod ścianą, z zawiązanymi oczyma, rękoma związanymi za plecami, a nogami z przodu. Na ścianie napisano „Wyrazy szacunku dla Ministerstwa Środowiska”, brązowymi literami — to na pewno krew. Na policzku ma siniaka. Jest ubrana w tę samą niebieską spódnicę *pha sin*, w której robiła mu rano na śniadanie *gaeng kiew tuan* i ze śmiechem wyprawiała do pracy.

Gapi się tępo w to zdjęcie.

Jego synowie to wojownicy, ale takiej wojny nie znają. On sam nie wie, jak się w niej walczy. Z pozbawionym twarzy wrogiem, który wyciąga rękę i chwyta go za gardło, przesuwa po szczęce szponem demona i szepcze: „Mogę cię zranić”, w ogóle nie pokazując twarzy, nie występując otwarcie do walki.

Z początku głos więźnie mu w gardle. Wreszcie udaje mu się wykrztusić:

— Ona żyje?

Pracha wzdycha.

— Nie wiemy.

— Kto to zrobił?

— Nie wiem.

— Musisz wiedzieć!

— Gdybyśmy wiedzieli, to już by była bezpieczna! — Pracha gniewnie pociera twarz, potem patrzy nań wilkiem. — Dostaliśmy na ciebie tyle skarg, z tyłu stron, że po prostu nie wiadomo! To może być ktokolwiek!

Jaideego ogarnia nowy lęk.

— A co z moimi synami? — Zrywa się na równe nogi. — Muszę...

— Siadaj ! — Pracha wyciąga ręce nad biurkiem i łapie go. — Wysłaliśmy ludzi do szkoły. Twoich ludzi. Lojalnych tylko wobec ciebie. Tylko im mogliśmy zaufać. Nic się im nie stało. Już jadą do Ministerstwa. Musisz zachować zimną krew i działać rozważnie. Nie chcesz, żeby to się rozniosło. Nie chcemy, żeby ktokolwiek robił nerwowe ruchy. Chcemy, żeby Chaya wróciła do nas cała i zdrowa. Zrobimy za dużo szumu i ktoś na pewno straci twarz, a wtedy przyniosą ją tutaj w krwawych kawałkach.

Jaidee wciąż gapi się na leżącą na biurku fotografię. Wstaje i zaczyna chodzić tam i z powrotem.

— To na pewno Handel. — Przypomina sobie wieczór na lądowisku, tamtego człowieka, obserwującego jego i jego białe koszule z drugiej strony pola. Nonszalancki. Pogardliwy. Splunął strumieniem betelu jak krwią i rozplynał się w ciemności. — To był Handel.

Albo *farangowie*, albo Pan Łajna — nigdy nie podobało mu się, że nie chcesz ustawiać walk. Albo jakiś inny boss, jakiś *jaopor*, który stracił na przemyście.

— Nikt z nich nie zniżyłby się do czegoś takiego. To musiał być Handel. Jeden ich człowiek...

— Przestań! — Pracha wali pięścią w biurko. — Każdy bardzo chętnie zniżyłby się do czegoś takiego! Narobiłeś sobie masę wrogów, bardzo szybko. Nawet *chaopraya* z Pałacu był u mnie ze skargą. To mógł być ktokolwiek.

— I winisz mnie za to?

Pracha wzdycha.

— To już nic nie da. Stało się. Narobiłeś sobie wrogów, a ja ci na to pozwoliłem. — Chowa twarz w dłoniach. — Musisz publicznie przeprosić. Zrobić coś, co ich udobrucha.

— Nie zrobię tego.

Nie? — Pracha śmieje się gorzko. — Schowaj tę durną dumę do kieszeni. — Dźga palcem zdjęcie Chayi. — Jak myślisz, jaki będzie ich następny ruch? Takich *heeya* nie było u nas od czasów Ekspansji. Pieniądz dowolnym kosztem. Bogactwo za każdą cenę. — Krzywi się. — Teraz może jeszcze uda się ją wyciągnąć. Ale jeśli będziesz dalej robił swoje? — Kręci głową. — Na pewno ją zabiją. To zwierzęta. Publicznie przeprosisz za swoją akcję na lądowisku i zostaniesz zdegradowany. Przeniesiemy cię, pewnie na południe, będziesz zajmować się żółtymi kartami i obozami internowania. — Wzdycha i ponownie wbija wzrok w zdjęcie. — Jeśli będziemy bardzo, bardzo ostrożni i bardzo, bardzo się nam poszczęści, może Chaya wróci. Nie patrz tak na mnie. Gdybyś był na ringu do *muay thai*, postawiłbym na ciebie wszystko do ostatniego bahta. Ale to jest zupełnie inna walka. — Pracha nachyla się ku niemu, prawie błaga. — Proszę. Zrób, co mówię. Pokłoń się przed tymi wiatrami.

XII

Skąd Hock Seng miał wiedzieć, że zamkną to *tamade* lądowisko? Skąd miał wiedzieć, że przez Tygrysa z Bangkoku wszystkie jego łapówki pójdą na marne?

Krzywi się na wspomnienie rozmowy z panem Lake'em. Płaszczona się przed tym bladym potworem, jakby był jakimś bogiem, bicia pokłonów, kiedy ta kreatura wrzeszczała, przeklinała i zasypywała go gazetami, które wszystkie miały na pierwszej stronie Jaideego Rojjanasukchaia. Tygrysa z Bangkoku, klątwę samą w sobie, równie groźną jak jeden z tych tajskich demonów.

— *Khun...* - Hock Seng próbował protestować, ale pan Lake nie dopuszczał go do głosu.

— Powiedziałeś mi, że wszystko jest załatwione! — krzyczał. — Daj mi choć jeden powód, żeby cię nie wywalić na zbity pysk!

Hock Seng kulił się pod atakami, powstrzymując się przed kontratakami. Próbował być rozsądny.

— *Khun*, wszyscy stracili towary. To zasługa Carlyle'a & Sons. Pan Carlyle jest zbyt blisko z Ministrem Handlu Akkaratem. I ciągle drażni białe koszule. Ciągle je obraża...

— Nie zmieniaj tematu! Kadzie na glony miały zejść z cła w zeszłym tygodniu. Powiedziałeś mi, że wypłaciłeś łapówki. A teraz się dowiaduję, że zatrzymałeś te pieniądze. To nie Carlyle, to ty. To twoja wina.

— *Khun*, to był Tygrys z Bangkoku. To jak klęska żywiołowa. Trzęsienie ziemi, tsunami. Nie może mnie pan winić, że nie wiedziałem...

— Dość mam tych kłamstw. Myślisz, że jak jestem *farangiem*, to jestem głupi? Że nie widzę, jak kombinujesz w księgach? Jak manipulujesz, kłamiesz i kręcisz...

— Ja nie kłamię...

— Dość mam twoich usprawiedliwień! Są gówno warte, gówno mnie obchodzi, co gadasz. Mam gdzieś, co myślisz, co czujesz, co mówisz. Obchodzą mnie tylko wyniki. W ciągu miesiąca linia ma zejść do sześćdziesięciu procent braków, albo wracasz do wieżowców dla złotych kart. Taki masz wybór. Masz miesiąc. Potem kopa w dupę i szukam innego menedżera.

— *Khun...*

— Zrozumiałeś?

Rozgoryczony Hock Seng wbił wzrok w podłogę, ciesząc się, że ta kreatura nie widzi jego miny.

— Oczywiście, *LakeXiansheng*, rozumiem. Będzie jak pan zdecydował.

Nawet nie skończył mówić, gdy cudzoziemski diabeł wybiegł z biura, zostawiając go samego.

Obelga tak dotkliwa, że Hock Seng zastanawiał się przez chwilę, czy nie połączyć sejfów kwasem i po prostu nie ukraść planów. Rozwścieczony, dotarł już do szaf z chemikaliami, zanim powstrzymał go zdrowy rozsądek.

Gdyby coś złego stało się w fabryce, albo włamano się do sejfu, podejrzewania padłyby przede wszystkim na niego. A jeśli chce sobie jakoś ułożyć życie w tym nowym kraju, nie może mieć tak uszarganego imienia. Białym koszulom niewiele trzeba, żeby zabrać złotą kartę. Żeby wyrzucić zebrzącego Chińczyka za granicę, prosto w łapy fundamentalistów. Musi być cierpliwy. Jeszcze jeden dzień przeżyć w tej *tamade* fabryce.

Zatem po prostu pogania robotników, zarządza naprawy, które pochłaniają kolejne sumy pieniędzy, wykorzystuje nawet

swoje, starannie zdefraudowane zasoby, żeby posmarować parę rąk — wszystko po to, żeby pan Lake nie eskalował żądań, żeby ten *tamade* cudzoziemski diabeł nie zniszczył go. Robią próbne rozruchy, demontują stare łańcuchy, przeczesują miasto w poszukiwaniu teku, który można by zaadaptować na kierat.

Poleca Chanowi Śmieszkowi rozpowiedzieć wśród żółtych kart, że jest nagroda za każdą informację o starej budowli z czasów Ekspansji, która ma jeszcze jakieś warte odzyskania elementy konstrukcji. Wszystko, co tylko umożliwiłoby uruchomienie linii na pełną moc, zanim na miasto spadnie monsun i uniemożliwi transportowanie teku rzeką.

Zaciska zęby we frustracji. Wszystko było tak blisko. A teraz jego przetrwanie zależy od jakiejś linii, która nigdy nie działała, i ludzi, którym nigdy się nic nie udawało. Jest tego tyle, że Hock Seng znajduje się już blisko próby drobnego własnego szantażu. Gotów jest prawie powiedzieć temu *tamade* diabłu, że dzięki meldunkom Lao Gu wie co nieco o nadprogramowych zajęciach pana Lake'a. Że wie dokładnie, jakie miejsca odwiedzał, że bywał w bibliotekach i domach starych tajskich rodów. Że fascynują go nasiona.

No i jeszcze ta najdziwniejsza, niesamowita sprawa. Informacja, z którą Lao Gu popędził do Hock Senga, gdy tylko ją otrzymał. Nakręcanka. Nielegalny genetyczny śmieć. Dziewczyzna, za którą pan Lake ugania się, jakby upajało go to przekroczenie granic. Lao Gu szepcze, że pan Lake sprowadza tę istotę do swojego łóżka. I to nie raz. I tęskni za tym.

Niesamowite. Obrzydliwe.

Przydatne.

Ale raczej jako ostatnia deska ratunku, kiedy pan Lake naprawdę próbuje wywalić go z fabryki. Lepiej niech Lao dalej śledzi, nasłuchuje i zbiera kolejne informacje. Gdy po raz pierwszy go do tego wynajmował, chodziło właśnie o takie okoliczności. Nie wolno mu marnować tego środka nacisku

tylko dlatego, że jest teraz zły. Dlatego, choć czuje się, jakby ciśnięto go twarzą o podłogę, skacze jak mała, aby uszczęśliwić cudzoziemskiego diabła.

Wykrzywia twarz, idąc za Kitem ku kolejnym kłopotom. Problemy. Ciągłe tylko problemy.

Wokół niosą się echem odgłosy napraw. Połowa głównego napędu została wypruta spod podłogi i wymieniona. Dziewięciu buddyjskich mnichów rytmicznie wyśpiewuje po drugiej stronie hali, rozciągając wszędzie ten ichni święty sznurek, zwany *saisin*, i upraszając zamieszkujące fabrykę duchy — połowa to zapewne *phii* czasów Zapaści, wściekłe, że Tajowie w ogóle pracują dla *farangów* — błagając je, by pozwoliły jej działać dalej. Hock Seng krzywi się na widok mnichów i na myśl o kosztach, jakie generują.

— Co to za nowy problem? — pyta, gdy przeciskają się między gilotynami i przechodzą w kucki pod linią.

— Tutaj, *Khun*. Zaraz pokażę — odpowiada Kit.

Ciepły, słony smrodek glonów gęstnieje, wilgotny odór wiszący ciężko w powietrzu. Kit wskazuje stojące w wilgotnych szeregach kadzie z glonami, trzy tuziny otwartych zbiorników hodowlanych. Powierzchnię wody pokrywa gruby zielony kożuch mnożących się glonów. Pracownica przesuwając sieć po powierzchni kadzi, zbierając tę szumowinę. Potem rozsmarowuje ją po sicie wielkości człowieka i podnosi ją na konopnych linach pod sufit hali, gdzie wiszą już setki podobnych sit.

— Chodzi o te zbiorniki — mówi Kit. — Są zakażone.

— Tak? — Hock Seng przygląda się im, kryjąc niesmak. — A w czym problem?

W najzdrowszych kadziach kożuch ma z piętnaście centymetrów grubości, jest puszysty i jaskrawozielony jak chlorofil. Emanuje intensywnym zapachem morskiej wody i

życia. Woda ścieka po ściankach przejrzystych zbiorników, cienkimi strużkami, które moczą podłogę, a wyparowując, pozostawiają solne wykwity. Nitki wciąż żywych glonów spływają drenami do zardzewiałych żelaznych kratek i znikają w ciemności.

DNA świni i coś jeszcze... chyba len, myśli Hock Seng. Według pana Yatesa, len był w tych glonach kluczowy. Dlatego produkowały tak użyteczną szumowinę. Jednakże Hock Sengowi zawsze podobało się, że jest tam białko świni. Świnie przynoszą szczęście. I te glony też powinny. A jednak mimo swego potencjału nie przyniosły nic poza kłopotami.

Kit uśmiecha się nerwowo, pokazując Hock Sengowi, że w paru kadziach spadła produkcja glonów, szumowina jest przebarwiona i cuchnie rybami — bardziej przypomina pastę krewetkową niż bujnie zielony produkt zbiorników będących w lepszym stanie.

— Banyat mówił, że nie powinniśmy tego używać. Że trzeba by poczekać, aż przyjdą nowe.

Hock Seng śmieje się ironicznie i kręci głową.

— Nie będzie żadnych nowych. Tygrys z Bangkoku pali wszystko, co tylko się pojawi na lądowisku. Musimy sobie radzić z tym, co mamy.

— Ale to jest zakażone. To potencjalny wektor. Problem może się przenieść na pozostałe kadzie.

— Jesteś pewien?

— Banyat mówił...

— Banyat wlaź pod megodonta. A jeśli ta linia zaraz nie ruszy, *farang* wywali nas wszystkich i będziemy głodować.

— Ale...

— Myślisz, że na twoje miejsce nie przyleci pięćdziesięciu Tajów? I tysiąc złotych kart?

Kit zamyka usta. Hock Seng ponuro kiwa głową.

— Linia ma chodzić.

— Jeśli białe koszule przyjdą na kontrolę, zobaczą, że kadzie są brudne. — Kit przesuwając palcem po szarej pianie na brzegu jednego ze zbiorników. — Tego nie powinno być. Glony powinny być o wiele jaśniejsze. I nie bulgocą.

Hock Seng przygląda się kadziom.

— Jeśli nie puścimy linii, wszyscy będziemy głodować. — Chce coś dodać, ale do hali wbiega mała Mai.

— *Khun*. Jakiś człowiek do pana.

Hock Seng patrzy na nią zniecierpliwiony.

— Ktoś z informacją o nowym kieracie? Może ukradł tekowy słup z jakiejś świątyni, co?

Mai otwiera i zamyka usta, zdumiona tym bluźnierstwem, lecz Hock Seng nie dba o to.

— Jeśli nie ma osi do kieratu, nie mam dla niego czasu. — Odwraca się z powrotem do Kita. — Może opróżnić kadzie i je umyć?

Kit wzrusza ramionami.

— *Khun*, można spróbować, ale Banyat mówił, że jeśli nie będziemy mieli nowych pożywek, to nie da się zacząć od nowa; będziemy musieli użyć poprzednich kultur i problemy zapewne wrócą.

— Nie da się ich jakoś przesiać? Odfiltrować, czy coś?

— Ani kadzi, ani tych kultur nie da się dokładnie oczyścić. W końcu i tak będą wektorem, który zakazi nam resztę zbiorników.

— W końcu? Tylko o to chodzi? Że „w końcu”? — Hock Seng patrzy nań spode łba. — Mam gdzieś, co będzie „w końcu”. Interesuje mnie ten miesiąc. Jeśli nie zaczniemy produkcji, nie ma co się martwić o jakieś tam „w końcu”. Ty wrócisz do Thonburi, będziesz grzebał w kurzych flakach i liczył na to, że nie zdechniesz na grypę, a ja wrócę do wieżowca dla żółtych

kart. Jutrem się nie przejmujemy. Przejmujemy się tym, czy dzisiaj pan Lake nie wykopie nas wszystkich na ulicę. Trochę wyobraźni. Wymyśl coś, żeby te *tamade* glony zaczęły się rozmnażać.

Nie pierwszy raz przeklina fakt, że pracuje z Tajami. Oni po prostu nie mają tego ducha przedsiębiorczości, jaki wnoszą do pracy Chińczycy.

— *Khun?*

To Mai, ciągle tu czeka. Kuli się pod jego spojrzeniem.

— Ten człowiek mówi, że to pana ostatnia szansa.

— Ostatnia szansa? Dawać mi tego *heeyę!*

Hock Seng rusza ku głównej hali, odpychając kurtyny wykończalni. A tam, gdzie megodonty napierają na drągi kieratów, przepalając pieniądze, których nie mają, staje jak wryty, wycierając dłonie z glonowych wydzielin, czując się jak przerażony głupek.

Pośrodku fabryki stoi sobie Kundlojebca, jak cibiskoza w Święto Wiosny, i przygląda się szumiącej i klekocącej próbnie uruchomionej linii Kontroli Jakości. Stary Gnat, Ma Końska Morda i Kundlojebca. Stoją tak pewni siebie. Kundlojebca, ze swoimi frędzlami *fa'gan* i bez nosa, oraz jego bandyckie pachołki, twardzi *nak leng*, którzy nie znają litości dla żółtych kart i nie boją się policji.

To tylko ślepy traf, że pan Lake siedzi na górze z nosem w księgach, i drugi — że mała Mai przysłała do niego, nie do cudzoziemskiego diabła. Ma truchta naprzód, prowadząc go ku przyszłości.

Hock Seng gestem wskazuje Kundlojebcy, żeby dołączył do niego w miejscu niewidocznym z okien biura, lecz ten, niech go szlag, ani drgnie. Przypatruje się warkoczącej linii i człapiącym megodontom.

— Imponujące — mówi. — To tutaj robicie te niesamowite sprężyny?

Hock Seng łąpie nań i gestem wygania go z fabryki.

— Nie powinniśmy tutaj rozmawiać.

Kundlojebca ignoruje go. Patrzy na biuro, na okna obserwacyjne. Wręcz wbija w nie wzrok.

— Tam pracujesz? Na górze?

— Już niedługo, jeśli zobaczy was jeden taki *farang*. — Hock Seng zmusza się do grzecznego uśmiechu. — Proszę. Lepiej wyjdźmy, wasza obecność budzi wiele wątpliwości.

Kundlojebca przez długą chwilę się nie rusza — stoi ze wzrokiem utkwionym w oknach biura. Hock Seng ma nieprzyjemne poczucie, że ten człowiek widzi przez ściany, że widzi stojący tam ogromny stalowy sejf i szczelnie zamknięte w środku tajemnice.

— Proszę — mruczy. — Już i tak robotnicy będą o tym gadać bez końca.

Gangster raptownie odwraca się, kiwając na swoich ludzi. Hock Seng, pędząc za nimi, powstrzymuje westchnienie ulgi.

— Ktoś chce się z tobą widzieć — mówi Kundlojebca, wskazując zewnętrzną bramę.

Pan Łajna. Akurat teraz. Hock Seng zerka na okno obserwacyjne. Pan Lake będzie zły, jeśli teraz gdzieś pójdzie.

— Tak. Oczywiście. — Hock Seng wskazuje biuro. — Muszę tylko poskładać papiery.

— Natychmiast — odpowiada Kundlojebca. — Jemu nie każe się czekać. — Machnięciem poleca Hock Sengowi iść za nimi. — Teraz albo nigdy.

Hock Seng waha się, rozdarty, potem macha na Mai. Ta podbiega, gdy Kundlojebca prowadzi wszystkich do bramy. Hock Seng pochyla się i szepcze:

— Powiedz *Khun* Andersonowi, że szybko nie wrócę... że mam pomysł, gdzie znaleźć drewno na nowy kierat. — Kiwa energicznie głową. — Tak. Tak mu powiedz. Kierat.

Mai kiwa głową i już ma odbiec, lecz Hock Seng ją przytrzymuje, przyciąga do siebie:

— Pamiętaj, żeby mówić wolno i prostymi słowami. Nie chcę, żeby *farang* coś źle zrozumiał i wywalił mnie na ulicę. Bo jak ja polecę, polecisz i ty. Pamiętaj o tym.

Mai szczyrzy zęby.

— *Mai pen rai*. Będzie się cieszył, że pan tak ciężko pracuje. — Biegnie z powrotem w głąb fabryki.

Kundlojebca uśmiecha się przez ramię.

— A myślałem, że jesteś tylko królem żółtych kart. A ty masz na posyłki i małą śliczną Tajkę. Nieźle jak na Króla Żółtych Kart.

Hock Seng marszczy czoło.

— Król żółtych kart to mało imponujący tytuł.

— Tak jak Pan Łajna — odpowiada tamten. — Słowa sporo ukrywają. — Rozgląda się po terenie. — Nigdy nie byłem w fabryce *farangów* - mówi. — Robi wrażenie. Kupa forsy.

Hock Seng zmusza się do uśmiechu.

— *Farangowie* wydają tyle, że to się w głowie nie mieści.

Od spojrzeń robotników mrowi go kark. Ciekawe, ilu z nich kojarzy Kundlojebcę.

Przynajmniej raz cieszy się, że w fabryce nie ma oprócz niego żadnego Chińczyka z żółtą kartą. Oni od razu poznaliby, z kim on robi interesy. Hock Seng powstrzymuje irytację i strach przed demaskacją. To jasne, że Kundlojebca chciał wytrącić go z równowagi. To element targów.

Jesteś Tan Hock Seng, szef Nowych Trzech Kliprów. Nie pozwalaj wytrącać się z równowagi taktycznymi sztuczkami.

Powtarza tę mantrę na pewno siebie, dopóki nie dotrą do zewnętrznej bramy. Tam Hock Seng znów staje jak wryty. Kundlojebca śmieje się, otwierając mu drzwi:

— Co jest? Samochodu nie widziałeś?

Hock Seng powstrzymuje chęć spoliczkowania go za arogancję i głupotę.

— Co za dureń — mruczy. — Nie masz pojęcia, jak to zwraca na mnie uwagę? Nie wiesz, że ludzie będą gadać, że przed fabryką był zaparkowany taki luksus?

Gramoli się do środka. Kundlojebca wchodzi za nim, nadal wyszczerzony. Potem tłoczy się reszta jego ludzi. Stary Gnat woła coś do szofera. Silnik maszyny startuje z pomrukiem. Auto rusza.

— To węglowy diesel? — pyta Hock Seng, mimo woli szepcząc.

Kundlojebca uśmiecha się.

— Szef tyle robi dla węglowych kwot... — Wzrusza ramionami. — To tylko drobna ekstrawagancja.

— Ale ile to musi... — Hock Seng nie kończy. Niewyobrażalny koszt przyspieszenia tego stalowego potwora. Niewiarygodne marnotrawstwo. Świadczenie monopolu utrzymywanych przez Pana Łajna. Hock Sengowi nawet u szczytu malajskiego bogactwa nie przysłaby do głowy taka rozrzutność.

Dygoce, mimo że w aucie jest gorąco. Machina ma w sobie jakąś starożytną solidność, jest taka ciężka i masywna, jakby mogła służyć za czołg. Całkiem jakby zamknięto go w którymś sejfie w SpringLife, odciętego od świata zewnętrznego. Ogarnia go klaustrofobia.

Kundlojebca śmieje się, gdy Hock Seng próbuje okiełznać emocje.

— Mam nadzieję, że nie zmarnujesz jego czasu — mówi.

Hock Seng zmusza się do spojrzenia mu w oczy.

— Ty chyba wolałbyś, żeby mi nie wyszło.

— Prawda. Gdybym miał coś do gadania, wszyscy byście wyzdychali po tamtej stronie granicy.

Samochód przyspiesza, wciskając Hock Senga w skórzane siedzenie.

Za oknami przesuwa się Krung Thep, kompletnie odeń oderwany: ciżba zalanych słońcem ciał, zakurzone zwierzęta pociągowe i rowery jak ławice ryb. Wszystkie oczy zwracają się ku przejeżdżającemu samochodowi. Usta rozdziawiają się i ich właściciele milkną, inni krzyczą i pokazują sobie auto.

Prędkość maszyny jest przerażająca.

* * *

Żółte karty tłoczą się wokół wejść do wieżowca, Chińczycy i Chinki z Malezji, usiłujący wykrzesać z siebie nadzieję, czekający na pojawienie się jakiejś pracy, choć ta perspektywa już zbladła w wieczornym upale. Ale i tak starają się wyglądać energicznie, pokazać, że ich kościste kończyny dysponują jeszcze kaloriami, które można zużyć, jeśli ktoś tylko zechce za nie zapłacić.

Gdy przyjeżdża auto Pana Łajna, wszyscy wytrzeszczają oczy. A kiedy otwierają się drzwi, padają na kolana jedną falą, wykonując pokorny *khrah*: trzykrotne ukłony dla dobroczyńcy, który daje im schronienie, jedyne go człowieka w całym Krung Thep, który z własnej woli wziął sobie ich ciężar na barki, który zapewnia im nieco bezpieczeństwa przed czerwonymi maczetami Malajów i czarnymi pałkami białych koszul.

Spojrzenie Hock Senga prześlizguje się po grzbietach żółtych kart — zastanawia się, czy kogoś z nich zna; przez chwilę jest nawet zdziwiony, że sam nie pada na twarz w unizonym *khrah*.

Kundlojebca prowadzi go w mrok wieżowca. Z górnych pięter dobiega tuptanie szczurów i odór gęsto upakowanych spoconych ciał. Przy dwóch ziejących wejściach do szybów wind otwiera zmatowiałą mosiężną rurę głosową i krzyczy do niej, obcesowo i władczo. Czeka ją, patrząc na siebie: Kundlojebca znudzony, Hock Seng starannie maskujący niepokój. U góry coś grzechocze, szcękają przekładnie, metal drapie o kamień. Opuszcza się winda.

Kundlojebca szarpie bramkę i wchodzi. Kobieta sterująca windą puszcza hamulec i woła przez rurę głosową, po czym zatraskuje bramkę. Kundlojebca uśmiecha się zza kraty.

— Zaczekaj tutaj, żółta karto. — I winda uwozi go w ciemność.

Minutę później, drugim szybem zjeżdżają ludzie służący za balast. Gramolą się z platformy i pędzą stadem ku schodom. Jeden zauważa Hock Senga. Mylnie interpretuje jego spojrzenie.

— Nie ma już miejsc. Mają komplet obsługi.

Hock Seng kręci głową.

— Tak. Jasne — mruczy, lecz oni już znikają na schodach; klapiąc sandałami, pędzą pod niebo, żeby balast mógł znów opaść.

W miejscu, gdzie stoi, tropikalny blask słońca jest dalekim prostokątem, przesłoniętym ciżbą uchodźców. Gapią się na ulicę, bo nie mają nic do roboty i nie mają dokąd pójść. Parę żółtych kart wałęsa się korytarzami. Płaczą dzieci, ich głosiki odbijają się echem od gorącego betonu. Gdzieś z góry niosą się pomruki spółkującej pary. Ludzie pieprzą się w korytarzach jak zwierzęta, na widoku, bo dawno musieli zrezygnować z prywatności. Wszystko to jest znajome. Niesamowite, że kiedyś sam mieszkał w tym budynku, smażył się w tej samej zagrodzie.

Mijają minuty. Może Pan Łajna zmienił zdanie? Kundlojebca powinien już wrócić. Kątem oka chwyta ruch i wzdryga się, ale to tylko cień.

Czasem śni mu się, że Zielone Opaski zamieniły się w cheshire'y, że potrafią znikać i pojawiać się tam, gdzie się ich nie spodziewa — kiedy polewa sobie głowę wodą przy kąpieli, kiedy je ryż z miski albo kuca nad latryną... po prostu zjawiają się, rozmigotani, łapią go i wystawiają na ulicy jego głowę na kiju dla nauki, jak to zrobili z jego Nefrytowym Kwiatem i starszą siostrą Pierwszej Żony. I z jego synami...

Grzechocze winda. Po chwili zjeżdża Kundlojebca. Kobieta z windy gdzieś zniknęła, Kundlojebca sam trzyma hamulec.

— Świetnie. Nie uciekłeś.

— Nie boję się tego miej sca.

Kundlojebca rzuca mu taksujące spojrzenie.

— A, pewnie, że nie. Mieszkałeś tu, co? — Wychodzi i macha ręką w ciemności. W miejscu, gdzie Hock Seng dostrzegł cienie, materializują się ochroniarze. Powstrzymuje się od jęku, ale Kundlojebca i tak zauważa mimowolny skurcz. Uśmiecha się. — Obszukać go.

Ręce oklepują go po żebrach, zjeżdżają po nogach, dźgają w genitalia. Gdy ochroniarze kończą, Kundlojebca gestem zaprasza go do windy. Szacuje ciężar pasażerów i krzyczy w rurę głosową.

Z wysoka dobiega tupot ludzi pakujących się do klatki balastowej. I już się wznoszą, jadą przez kręgi piekła. Upał narasta. Głęboko w sercu budowli, wystawionej na pełną moc tropikalnego słońca, jest istny piec.

Hock Seng wspomina, jak sypiał na tych klatkach schodowych, z trudem łapiąc każdy oddech w ciżbie śmierdzących i wiercących się rodaków-uchodźców. Pamięta, jak żołądek przyrastał mu do kręgosłupa. Wtem przypomina

sobie gorącą, żywą krew na własnych dłoniach. Rodaka, żółtą kartę, wyciągającą do niego ręce, błagającą o pomoc nawet wtedy, gdy już wbijał jej w gardło ostrze stłuczonej butelki po whiskey.

Zamyka oczy, odpycha to wspomnienie od siebie.

Głodowałeś. Nie było innego wyjścia.

Ale ciężko mu przekonać siebie samego.

Wznoszą się dalej. Pieści go powiew. Powietrze robi się chłodniejsze. Zapach hibiskusa i cytrusów.

Błyska otwarty hall — cała promenada, otwarta na powietrze, wypielęgnowane ogrody, szerokie tarasy obrzeżone limonkowymi drzewkami. Hock Seng zachodzi w głowę, ile wody muszą wnieść ludzie na tę wysokość. Ile trzeba wydatkować kalorii i co to za człowiek, który ma do dyspozycji taką potęgę. Przerazające i ekscytujące zarazem. Jest blisko. Bardzo blisko.

Docierają na szczyt wieżowca. Przed nimi rozpościera się zalane słońcem miasto. Złote iglice Wielkiego Pałacu, gdzie na tronie zasiada Mała Królowa, a za sznurki pociąga Somdet Chaopraya, *chedi* świątyni Mongkut na wzgórzu, jedyna budowla, która przetrwa, jeśli puszcza wały. Zrujnowane, walące się wieże dawnej Ekspansji. A wszędzie wokół morze.

— Niezły widok, co, żółta karto?

Na rozległym dachu wzniesiono białą altankę. Szeleści delikatnie od słonej bryzy. W jej cieniu siedzi rozwalony w rattanowym fotelu Pan Łajna. Jest gruby. Kogoś tak grubego Hock Seng nie widział od czasu, kiedy Pearl Koh zawojował w Malezji rynek odpornego na rdzę pęczersową duriana. Może nie aż tak gruby jak Ah Deng, który miał w Penangu stragan ze słodyczami, ale i tak porządnie tłusty, zważywszy ogólny niedobór kalorii.

Hock Seng podchodzi powoli, składa dłonie w *wai*, opuszcza głowę, przytykając podbródek do piersi i unosząc złożone ręce niemal nad głowę w pełnym szacunku pokłonie.

Grubas patrzy nań.

— Chcesz ze mną pohandlować?

Hock Sengowi głos więźnie w gardle. Kiwa głową. Mężczyzna cierpliwie czeka. Służący przynosi i podaje mu zimną, słodką kawę. Pan Łajna próbuje.

— Chcesz pić? — pyta.

Hock Seng jest na tyle przytomny, by pokręcić głową. Pan Łajna wzrusza ramionami. Upija kolejny łyk. Nie odzywa się. Podchodzi czterech służących w białych garniturach, niosąc zasłany białym obrusem stół. Ustawiają go przed nim. Pan Łajna kiwa na Hock Senga.

— No dalej, nie bądź taki kulturalny. Zjedz coś. Napij się.

Podstawiają mu krzesło. Pan Łajna częstuje go grubym makaronem ryżowym U-*Tex*, sałatką z krabów i zielonej papai, *laab mu*, *gaeng gai* i gotowanym ryżem U-*Tex*. A do tego talerzem papai w plasterkach.

— Nie bój się. Kurczak to najnowszy genhak, a papaja jest świeżo zebrana, z mojej plantacji na wschodzie. Od dwóch sezonów nie widzieliśmy ani śladu rdzy pęcherzowej.

— Jak...?

— Palimy każde drzewo z objawami choroby i wszystkie w pobliżu. A strefę buforową rozszerzyliśmy do pięciu kilometrów. Do tego sterylizacja ultrafioletem i chyba wystarcza.

— Aha.

Pan Łajna wskazuje brodą małą sprężynę na stole.

— To ma być gigadzul?

Hock Seng kiwa głową.

— I masz takie na sprzedaż?

Hock Seng kręci głową.

— Metodę ich produkcji.

— A czemu myślisz, że ja to kupię?

Hock Seng wzrusza ramionami, siłą woli powstrzymując zdenerwowanie. Kiedyś takie targi przychodziły mu łatwo. Jak druga natura. Wtedy jednak nie był zdesperowany.

— Jeśli nie pan, znajdą się inni.

Pan Łajna kiwa głową. Dopija kawę. Służący mu jej dolewa.

— A czemu przychodzisz do mnie?

— Bo pan jest bogaty.

Pan Łajna wybucha śmiechem. Omal nie opluwa się kawą. Brzuch mu podskakuje, ciało się trzęsie. Służący zamierają, obserwują. Gdy w końcu opanowuje śmiech, ociera usta i kręci głową.

— Dobra odpowiedź, przyznam. — Uśmiech znika. — Ale jestem też niebezpieczny.

Hock Seng maskuje nerwowość i mówi wprost:

— Kiedy reszta Królestwa nas odtrąciła, pan nas przyjął. Nawet nasi rodacy, tajscy Chińczycy, nie byli tak hojni. Jej Królewska Mość okazała miłosierdzie, pozwalając nam przejść granicę, ale to pan zapewnił nam bezpieczne schronienie.

Pan Łajna wzrusza ramionami.

— Te wieżowce i tak stały puste.

— Ale tylko pan okazał współczucie. Cały kraj pełen dobrych buddystów, a tylko pan dał nam schronienie, zamiast wypędzać z powrotem za granicę. Gdyby nie pan, dawno bym nie żył.

Pan Łajna przypatruje mu się przez dłuższą chwilę.

— Doradcy mówili mi, że to głupota. Że to skonfliktuje mnie z białymi koszulami. Poróżni z generałem Prachą. A może i zagrazi zbytowi na mój metan.

Hock Seng kiwa głową.

— Tylko pan miał takie wpływy, żeby móc zaryzykować.

— Co chcesz w zamian za ten cud techniki?

Hock Seng bierze się w garść.

— Statek.

Pan Łajna unosi zaskoczony głowę.

— Nie pieniądze? Nefryt? Opium?

Hock Seng kręci głową.

— Statek. Szybki kliper. Na projekcie Mishimoto. Zarejestrowany, z koncesją na przewóz ładunków między Królestwem a całym Morzem Południowochińskim. Pod protektoratem Jej Królewskiej Mości... — Odczekuje jedno uderzenie serca. — I pana.

— O. Cwana żółta karta. — Pan Łajna się uśmiecha. — A ja sobie pomyślałem, że to naprawdę z wdzięczności.

Hock Seng wzrusza ramionami.

— Tylko pan ma tutaj takie wpływy, żeby uzyskać takie zezwolenia i gwarancje.

— To znaczy, tylko ja mogę w pełni zalegalizować człowieka z żółtą kartą. Tylko ja zdołam przekonać białe koszule, żeby pozwoliły na rozwój żółtokarcianej potęgi transportowej.

Hock Seng dodaje bez zmrużenia okiem:

— Pana związek zapewnia miastu światło. Nikt nie może się z panem równać wpływami.

Pan Łajna nieoczekiwanie gramoli się z fotela, wstaje.

— Tak. Tak właśnie. — Odwraca się i człapie przez patio na skraj tarasu, z rękoma za plecami, patrzy na miasto w dole. — Tak. Chyba mam parę sznurków, za które dałoby się pociągnąć. Wpłynąć na paru ministrów. — Odwraca się. — Dużo chcesz.

— W zamian daję jeszcze więcej.

— A co, jeśli sprzedajesz to nie tylko mnie?

Hock Seng kręci głową.

— Niepotrzebna mi flota. Chcę jeden statek.

— Tan Hock Seng, który próbuje odbudować w Królestwie swoje imperium handlowe. — Pan Łajna odwraca się

gwałtownie. — Może już to komuś sprzedałeś.

— Mogę tylko przysiąc, że nie.

— A przysięgniesz na swoich przodków? Na duchy twojej rodziny, które włączą się głodne po Malezji?

Hock Seng wierci się z zakłopotaniem.

— Przysięgnę.

— Chcę zobaczyć tę technologię.

Hock Seng unosi wzrok z zaskoczeniem.

— Jeszcze nie kazał jej pan nakręcić?

— To może teraz mi pokażesz?

Hock Seng się uśmiecha.

— Ach, boi się pan, że to jakaś pułapka. Bomba z ostrzami, czy coś takiego? — Śmieje się. — Ja nie gram w takie gry. Przychodzę tylko w interesach. — Rozgląda się. — Ma pan kogoś do nakręcania? Przekonajmy się, ile dżuli tam wejdzie. Nakręcimy i zobaczymy. Ale trzeba z nią ostrożnie. Nie jest taka odporna, jak normalna sprężyna, bo naprężenia są dużo większe. Nie wolno jej upuścić. — Wskazuje służącego. — Ty, podłącz tę sprężynę do swojego rowerka, zobaczymy, ile dżuli się w niej zmieści.

Służący ma niepewną minę. Pan Łajna kiwa na zgodę. Morska bryza szeleści w podniebnym ogrodzie, gdy młody człowiek nasadza sprężynę na oś i sadowi się na rowerze do nakręcania.

Hock Senga nagle opanowuje nowy lęk. Upewniał się u Banyata, że bierze na pewno jedną z dobrych sprężyn, że przeszła kontrolę jakości, w przeciwieństwie do tych, które zawsze pękały, gdy tylko zaczynało się je nakręcać. Banyat zapewnił go, że ma je zawsze brać z konkretnego składu. Mimo to, teraz, gdy służący opiera nogi na pedałach, ogarniają go wątpliwości. Jeśli źle wybrał, jeśli Banyat się mylił... a teraz nie

żyje, stratował go rozjuszony megodont. Nie można się było jeszcze raz upewnić. Był już pewien... a jednak...

Służący napiera na pedały. Hock Seng wstrzymuje oddech. Na czoło chłopaczka występuje pot, patrzy na nich zaskoczony oporem. Zmienia przerzutkę. Pedały zaczynają się kręcić, najpierw powoli, potem coraz szybciej. Nabierając rozpędu, z powrotem zmniejsza przełożenie, wciskając do sprężyny coraz więcej energii.

Pan Łajna przygląda się temu z namysłem.

— Znałem jednego człowieka, który pracował w twojej fabryce sprężyn. Parę lat temu. Nie dzielił się bogactwem tak jak ty. Nie dbał o względy swoich braci z żółtymi kartami... Zdaje się, że białe koszule zabiły go dla zegarka. Pobiły do krwi, obrabowały na środku ulicy, bo kręcił się po godzinie policyjnej.

Hock Seng wzrusza ramionami, tłumiąc wspomnienie leżącego na bruku człowieka, ludzkiego wraka, złamanego, błagającego o pomoc...

Pana Łajna patrzy nań uważnie.

— A teraz ty tam pracujesz. Trochę niezwykły zbieg okoliczności.

Hock Seng milczy.

— Kundlojebca powinien bardziej uważać. Jesteś niebezpieczny.

Hock Seng kreci głową.

— Ja tylko chcę się od nowa ustawić.

Służący pedałuje dalej, pompując w sprężynę kolejne dzule, wciskając w maleńkie pudełko kolejne porcje energii. Pan Łajna patrzy, starając się ukryć zdumienie, bo nakręcanie trwa i trwa, a zmieściło się tam już więcej energii, niż byłaby w stanie pomieścić dowolna sprężyna tej wielkości.

— Jednemu człowiekowi nakręcenie tego zajmie całą noc — dodaje Hock Seng. — Trzeba by zaprząć do tego megodonta.

— Jak to działa?

— Mamy taki nowy roztwór smarujący i on pozwala napiąć sprężynę znacznie bardziej, bez ryzyka pęknięcia albo zakleszczenia.

Człowiek dalej pompuje energię do sprężyny. Wokół zaczynają gromadzić się służący i ochroniarze, wszyscy patrzą z podziwem, jak mozoli się nad małym pudełeczkiem.

— Niesamowite — mruczy Pan Łajna.

— Jeśli zaprzęgnięcie megodonta czy mułka, zamiana kalorii na dżule będzie niemal bezstratna — mówi Hock Seng.

Pan Łajna przypatruje się sprężynie. Uśmiecha się.

— Sprawdzimy twoją sprężynę. Jeśli będzie pracować tak samo dobrze, jak się nakręcać, dostaniesz swój statek. Przynies tylko specyfikacje i projekty. Z takimi ludźmi można robić interesy. — Kiwa na służącego, każe przynieść alkohol. — Teraz toast. Za nowego partnera biznesowego.

Hock Seng czuje falę ulgi. Alkohol krąży mu w żyłach, po raz pierwszy od czasu, gdy stał z zakrwawionymi dłońmi w ciemnej uliczce, gdy człowiek błagał go o litość i nie otrzymał jej. Jest zadowolony.

XIII

Jaidee wspomina, jak spotkał Chayę. Właśnie skończył któraś z wczesnych serii walk *muay thai*; nie pamięta nawet, z kim się wtedy bił, pamięta natomiast, jak schodził z ringu, jak ludzie mu gratulowali, jak wszyscy mówili, że porusza się lepiej niż sam Nai Khanom Tom. Tego wieczoru pił *laolao*, a potem włóczył się po ulicach z roześmianymi kumplami. Pijani, próbowali bez sensu kopać piłkę do *takraw*, nabuzowani zwycięstwem i samym życiem.

I oto Chaya: zamykała sklep rodziców, podnosiła i podpierała osłaniające witrynę drewniane podesty, na których sprzedawali aksamitki i świeżo zrekonstruowane jaśminy do składania w świątyniach. Gdy uśmiechnął się do niej, rzuciła mu i jego kolegom pełne niechęci spojrzenie. Jaidee natomiast poczuł jakby ukłucie czegoś znajomego — jakby poznali się w przeszłym życiu i wreszcie spotkali ponownie, przeznaczeni sobie kochankowie.

Gapił się na nią oszołomiony — zauważyli to koledzy, Suttipong, Jaiporn i reszta, wszyscy zginęli, kiedy wybuchła epidemia siniego grzebienia i wszyscy pojechali na wieś ją tamować, wszyscy zginęli... lecz on pamięta, jak przyłapali go na wpatrywaniu się w nią, nagle ogłupiałego od zauroczenia, i jak sobie z niego drwili. Chaya spojrzała nań z wystudiowaną wzdrganą i sprawiła, że odszedł.

Nigdy nie miał problemu z brakiem zainteresowania ze strony dziewczyn, którym imponowało albo mistrzostwo *muay thai*, albo biały mundur. Chaya jednak przejrzała go na wylot i odtrąciła.

Miesiąc zbierał się na odwagę, żeby do niej wrócić. Za pierwszym razem ubrał się ładnie, kupił parę wotów do kapliczek, odebrał resztę i oszedł bez słowa. Przez parę tygodni wpadał, teraz już trochę zagadywał, próbował nawiązać kontakt. Najpierw myślał, że rozpoznała w nim pijanego głupka, który próbuje naprawić, co nabroił, z czasem jednak zrozumiał, że nie skojarzyła i że bezczelny pijak z ulicy został całkowicie zapomniany.

Nigdy nie powiedział jej, w jakich okolicznościach widzieli się pierwszy raz, nawet po ślubie. Byłoby to zbyt upokarzające, przyznać, jakim go wtedy widziała. Powiedzieć, że tamten głupek to ten sam człowiek, którego teraz kocha.

A teraz przygotowuje się do czegoś jeszcze gorszego. Pod okiem Niwata i Surata wkłada biały galowy mundur. Mają uroczyście miny, on zaś gotuje się do własnego poniżenia. Klęka przed nimi.

— Obojętne, co dzisiaj zobaczycie, nie zawstydzcie się.

Kiwają z namaszczeniem głowami, ale wie, że nie pojmują. Są za mali, żeby zrozumieć tę presję i tę konieczność. Przytula ich, a potem wychodzi na oślepiające słońce.

Kanya czeka na niego w rowerowej rikszy, w oczach ma współczucie, mimo że jest zbyt kulturalna, żeby powiedzieć, co jej leży na sercu.

Jadą przez ulice, milcząc. Przed nimi pojawia się Ministerstwo, przejeżdżają przez bramę. Służący, rikszarze i woźnice blokują drogi wjazdowe, czekając na powrót swoich panów i klientów. Czyli publiczność już przyjechała.

Ich riksza przeciska się pod świątynię. Wat Phra Seuba wzniesiono na terenie Ministerstwa w hołdzie dla męczennika zróżnicowania biologicznego. Tu białe koszule składają swoje przysięgi, tu oficjalnie mianuje się ich strażnikami Królestwa, zanim jeszcze otrzymają swój pierwszy stopień. Tu się ich poświęca i tutaj...

Jaidee wzdryga się i prawie zrywa na równe nogi ze złości. Na schodach świątyni roi się od *farangów*. Cudzoziemcy w Ministerstwie. Kupcy, właściciele fabryk, Japończycy, spalone słońcem, śmierdzące kreatury szturmują najświętsze sanktuarium Ministerstwa.

— *Jai yen yen* - mruczy Kanya. — To wszystko robota Akkarata. Jego część jakiegoś układu.

Jaidee nie potrafi ukryć obrzydzenia. Co gorsza, Akkarat stoi obok Somdeta Chaoprayi, coś do niego mówi, pewnie opowiada jakiś żart. Ta dwójka zanadto się ze sobą skumała. Jaidee odwraca wzrok i widzi patrzącego ze szczytu świątynnych schodów generała Prachę, o twarzy bez wyrazu. Wokół niego, do świątyni wlewają się bracia i siostry, z którymi Jaidee wspólnie pracował i razem walczył. Jest i Bhirombhakdi, szeroko uśmiechnięty, zadowolony z zemsty za swoje stracone dochody.

Ludzie zauważają obecność Jaideego. Zapada cisza.

— *Jai yen yen* - szepcze znowu Kanya, a potem już wchodzi na górę.

Złote posągi Buddy i Phra Seuba w błogim spokoju patrzą z góry na gromadzący się tłum. Parawany na ścianach świątyni przedstawiają sceny upadku Starego Królestwa: *farangów* wypuszczających swoje plagi na ziemię, zwierzęta i rośliny, ginące, gdy rozpadają się ich łańcuchy pokarmowe; Jego Wysokość Króla Ramę XII zbierającego ostatnie siły, z Hanumanem i jego małpimi wojownikami u boku. Wizerunki Kruta i Kirimukhy i armii półludzi *kala*, walczących z podnoszącym się morzem i plagami. Jaidee omiata spojrzeniem parawany, wspomina, jak dumny był podczas własnego pasowania.

Jest całkowity zakaz wnoszenia do Ministerstwa aparatów fotograficznych, ale pacykarze ze wszystkich szeptanek przynieśli swoje ołówki. Jaidee zdejmuje buty i wchodzi, a za

nim szakale śliniący się na wieść o powaleniu swojego odwiecznego wroga. Obok Akkarata klęka Somdet Chaopraya.

Jaidee wbija wzrok w mianowanego Opiekuna Królowej, zachodząc w głowę, jak ktoś tak boski jak ostatni król mógł dać się tak oszukać, żeby mianować takiego człowieka Protektorem Jej Wysokości Małej Królowej. Ani krzty w nim dobra. Jaidee wzdryga się na samą myśl o Królowej tak blisko kogoś równie znanego ze swojej mrocznej duszy...

Wstrzymuje oddech. Obok Akkarata klęczy facet z ładowiska. Pociągła, szczurza twarz, uważny i butny.

— Spokojnie. — Mruczy Kanya, prowadząc go naprzód. — To wszystko dla Chayi.

Jaidee hamuje wściekłość na widok tego człowieka. Nachyla się ku Kanyi.

— To on ją porwał. Ten z ładowiska. Stoi tam, przy samym Akkaracie.

Kanya przypatruje się twarzom.

— Nawet jeśli to prawda, i tak trzeba to zrobić. To jedyne wyjście.

— Wierzysz w to?

Kanya taktownie pochyla głowę.

— Przykro mi strasznie, Jaidee. Szkoda, że...

— Nieważne, Kanya. — Wskazuje brodą mężczyznę i Akkarata. — Zapamiętaj tylko tych dwóch. Pamiętaj, że dla władzy nie zawahają się przed niczym. — Patrzy na nią. — Będziesz pamiętać?

— Będę.

— Przysięgasz na Phra Seuba?

Jest na tyle taktowna, że robi zażenowaną minę, ale potem kiwa głową.

— Gdybym mogła pokłonić ci się trzy razy, zrobiłabym to.

Wydaje mu się, że na odchodnym widzi łzy w jej oczach. Tłum cichnie, gdy Somdet Chaopraya wstaje i robi krok naprzód, by obserwować przebieg wydarzeń. Czterech mnichów zaczyna śpiewać. Przy weselszych okazjach bywa ich siedmiu albo i dziewięciu — kiedy uświęcają ślub albo błogosławią kamień węgielny pod nowy budynek. A dziś mają posługę podczas degradacji.

Minister Akkarat i generał Pracha stają przed zgromadzonymi ludźmi. Salę wypełnia zapach kadzidła i śpiew mnichów, mamrotanie w języku pali, przypominające zgromadzonym, że wszystko przemija, że przemijanie uszanował nawet zrozpaczony Phra Seub, mimo współczucia dla świata przyrody.

Śpiew mnichów cichnie. Somdet Chaopraya gestem nakazuje im obu podejść. Zrobić *khrab* i okazać pokorę. Beznamiętnie przygląda się, jak dwaj odwieczni wrogowie okazują szacunek temu, co ich łączy: Koronie i Pałacowi.

Somdet Chaopraya, wysoki i dobrze odżywiony, góruje nad nimi oboma. Twarz ma zaciętą. Krążą różne plotki, o jego upodobaniach, o jego mrocznej duszy, niemniej to on został namaszczony, by opiekować się Jej Wysokością Małą Królową do czasu koronacji. Nie pochodzi z rodziny królewskiej, zresztą nie mógłby — to przerażające, że Królowa musi żyć pod jego wpływem. Gdyby nie to, że jego los jest tak ściśle związany z jej losem, zapewne by... Jaidee tłumi tę niemal bluźnierczą myśl, gdy zbliżają się Pracha i Akkarat.

Jaidee klęka. Ołówki pacykarzy skrobią gorączkowo, kiedy wykonuje *khrab* przed Akkaratem. Akkarat uśmiecha się z satysfakcją, Jaidee powstrzymuje chęć, by się na niego rzucić. Jeszcze mi za to zapłacisz. Ostrożnie wstaje.

Akkarat pochyla się nad nim.

— Świetna robota, kapitanie. Prawie uwierzyłem, że jest wam przykro.

Jaidee zachowuje kamienną twarz, odwraca się do ludzi, do rysowników — serce mu się ściska, gdy widzi, że są tam również jego synowie. Przeprowadzono ich, by na własne oczy obejrżeli upokorzenie ojca.

— Nadużyłem swojej władzy. — Wędruje wzrokiem w stronę generała Prachy, przyglądającego się chłodno ze skraju podwyższenia. — Zhańbiłem swojego mentora, generała Prachę i dobre imię Ministerstwa Środowiska. Przez całe moje życie Ministerstwo było dla mnie domem. Wstyd mi, że samolubnie nadużyłem jego władzy dla prywatnych korzyści. Że sprowadziłem na manowce swoich podwładnych i przełożonych. Że byłem moralnym bankrutem. — Waha się. Patrzą na niego Niwat i Surat, trzymający za rękę babkę, matkę Chayi. Wszyscy widzą, jak się poniża. — Błagam o wybaczenie. Błagam o możliwość naprawienia krzywd.

Idzie ku niemu generał Pracha. Jaidee raz jeszcze pada na kolana w *khrab* posłuszeństwa. Generał ignoruje go, przechodzi tuż obok jego twarzy w pokłonie, stawiając stopy o parę cali od jego głowy. Przemawia do zgromadzonych.

— Niezależny sąd śledczy ustalił, że kapitan Jaidee jest winny korupcji, przyjmowania łapówek i nadużywania władzy. Postanowiono także, że nie może dalej służyć w Ministerstwie. Zostanie mnichem i przez dziewięć lat będzie czynił pokutę. Jego majątek zostanie skonfiskowany. Opiekę nad jego synami sprawować będzie Ministerstwo, ale pamięć o ich nazwisku zostanie wymazana. — Patrzy z góry na Jaideego. — Jeśli Budda zmiłuje się nad tobą, zrozumiesz w końcu, że ściągnąłeś to na siebie przez własną dumę i chciwość. Jeśli nie osiągniesz zrozumienia w tym życiu, żywimy nadzieję, że poprawę umożliwi ci twoje kolejne wcielenie. — Odwraca się, zostawia Jaideego trwającego w pokłonie.

Przemawia Akkarat:

— Przyjmujemy przeprosiny Ministerstwa Środowiska za niedopatrzenia generała Prachy. Cieszymy się na perspektywę lepszej współpracy w przyszłości. Teraz, gdy temu wężowi wyrwano zęby.

Somdet Chaopraya nakazuje gestem dwóm rządowym potęgom okazanie sobie wzajemnego szacunku. Jaidee pozostaje w ukłonie. Tłum wzdycha. A potem ludzie zaczynają wychodzić, żeby opowiedzieć innym, co widzieli.

Dopiero po odejściu Chaoprayi para mnichów mówi Jaideemu, żeby wstał. Mają poważne miny, ogolone głowy, a ich szafranowe szaty są stare i wyblakłe. Pokazują mu, gdzie go teraz zabiorą. Już należy do nich. Dziewięć lat pokuty, za robienie tego, co do niego należało. Podchodzi doń Akkarat.

— No cóż, *Khun* Jaidee. Wygląda na to, że wreszcie odkryłeś granice. Szkoda, że nie usłuchałeś ostrzeżeń. Niepotrzebne byłoby to wszystko.

Jaidee zmusza się do gestu *wai*.

— Ma pan, co pan chciał — mruczy. — Teraz proszę uwolnić Chayę.

— Obawiam się, że nie wiem, o czym mówisz.

Jaidee szuka jego wzroku, wypatruje w nim oznak kłamstwa, ale nie jest pewien.

To ty jesteś moim wrogiem? Czy ktoś inny? Czy ona już nie żyje? A może żyje, siedzi w celi u któregoś z twoich kumpli, jako bezimienny więzień? Żyje czy nie żyje?

Tłumi obawy.

— Proszę ją uwolnić, albo znajdę pana i zabiję jak mangusta kobrę.

Akkarat ani drgnie.

— Jaidee, uważaj z groźbami. Bardzo bym nie chciał, żebyś stracił coś jeszcze. — Jego wzrok wędruje ku Niwatowi i Suratowi.

Jaidee czuje dreszcz.

— Wara od moich dzieci.

— Twoich dzieci? — Akkarat się śmieje. — Ty już nie masz dzieci. Nie masz nic. Twoje szczęście, że masz generała Prachę za przyjaciela. Gdybym to ja był na jego miejscu, wygoniłbym ich na ulicę, żeby zebrali o zakążone rdzą resztki. To by była prawdziwa nauczka.

XIV

Zmiażdżenie Tygrysa z Bangkoku powinno być bardziej satysfakcjonujące. Tymczasem, szczerze mówiąc, bez ściągawki z nazwiskami wszystkich zamieszanych w to postaci, ceremonia wyglądała jak wszystkie inne niezrozumiałe tajskie obrzędy religijne i państwowe. A sama degradacja tego człowieka odbyła się zaskakująco szybko.

Dwadzieścia minut po wprowadzeniu do świątyni Ministerstwa, Anderson już przygląda się w milczeniu, jak wychwalany Jaidee Rojjanasukchai wykonuje *khrab* poniżenia przed Ministrem Handlu Akkaratem. Złote posągi Buddy i Seuba Nakhasathiena połyskują lekko, kibicując tej uroczystej chwili. Żaden z uczestników ceremonii nie okazuje emocji. Nawet u Akkarata nie widać choćby śladu triumfu. Jeszcze parę minut i mnisi kończą swoje mamrotanie i wszyscy udają się do wyjścia.

I tyle.

Teraz dłuży mu się oczekiwanie przed słupem świątynnym — czeka, aż ktoś wyprowadzi go z terenu Ministerstwa. Wycierpiawszy niesamowitą liczbę kontroli bezpieczeństwa i rewizji, by tu wejść, zaczął fantazjować, że może wpadnie mu w oko jakaś użyteczna informacja wywiadowcza, może nawet zorientuje się, gdzie ukryli swój wspianały bank nasion. Głupie to było i dobrze o tym wiedział, ale po czwartym przeszukaniu już prawie przekonał sam siebie, że zaraz wpadnie na Gibbonsa we własnej osobie, pewnie jeszcze tulącego w dłoniach, jak dumny ojciec, świeżo skonstruowanego *ngoh*.

Zamiast niego napotkał kordony ponurych białych koszul, a rowerowa riksza zawiozła go prosto pod schody świątyni, gdzie

kazano mu zdjąć buty i stać bosy pod bacznyim wzrokiem strażników, dopóki nie wprowadzono go do środka razem z resztą publiczności.

Gąszcz drzew deszczowych wokół świątyni nie pozwala dojrzeć w zasadzie niczego. Organizowane przez AgriGen „przypadkowe” przeloty sterowcem pozwoliły mu zebrać więcej informacji o kompleksie Ministerstwa, niż ma teraz, stojąc w samym jego sercu.

— Widzę, że oddali ci buty.

Spacerowym krokiem zbliża się wyszczerzony Carlyle.

— Te kontrole tak wyglądały — mówi Anderson — że myślałem, że zamkną mnie na kwarantannę.

— Oni po prostu nie lubią twojego cudzoziemskiego zapachu. — Carlyle wyciąga papierosa, częstuje także Andersona. Zapalają, pod uważnym spojrzeniem strażników w białych koszulach. — Podobała się ceremonia? — pyta.

— Myślałem, że będzie większe zadęcie. Nie potrzeba było. Wszyscy wiedzą, co to oznacza. Generał Pracha stracił twarz. — Carlyle kręci głową. — Przez sekundę myślałem, że jak tylko uniosę głowę, zobaczę, jak ta figura ichniego Phra Seuba rozpada się na pół ze wstydu. Czuje się, że Królestwo się zmienia. To jest w powietrzu.

Anderson myśli o paru budynkach, które mu mignęły, kiedy wieziono go do świątyni. Wszystkie się sypały. Pełne zacieków, obrośnięte pnączami. Jeśli upadek Tygrysa nie wystarcza za dowód, dobrym świadectwem są także poprzewracane drzewa i zaniedbany teren.

— Pewnie jesteś bardzo dumny z tego, co osiągnąłeś.

Carlyle zaciąga się papierosem, powoli wydychając dym.

— Powiem tylko, że ten krok jest satysfakcjonujący.

— Na nich wrażenie zrobiłeś. — Anderson wskazuje brodą Falangę *Farangów*, którzy wyglądają, jakby już napili się za

pieniądze z odszkodowań. Lucy próbuje przekonać Ottona, żeby zaśpiewał Hymn Pacyfiku pod srogim spojrzeniem białych koszul. Kupiec zauważa Carlyle'a i rzuca się ku nim. Z ust śmierdzi mu *laolao*.

— Napity jesteś, czy co? — pyta Carlyle.

— Jak cholera. — Otto uśmiecha się z rozmarzeniem. — Musiałem wszystko wypić przy bramie. Palanty nie dały mi niczego wnieść na imprezę. I opium Lucy też zabrali.

Uwiesza się ramienia Carlyle'a.

— Miałeś rację, stary draniu. Sto procent. Patrzcie tylko na miny tych wszystkich białych koszul. Jakby cały dzień żarli gorzkie melony! — Wymacuje dłoń Carlyle'a, usiłuje ją uścisnąć. — Niech mnie szlag, dobrze widzieć, że ktoś im utarł nosa. Im i tym cholernym „darem dobrej woli”. Dobrze zrobiłeś, Carlyle. Bardzo dobrze. — Uśmiecha się niewyraźnie. — Dzięki tobie będę bogaty. Bogaty!

— Śmieje się i znów obłapia rękę Carlyle'a. — Bardzo dobrze — mówi, gdy udaje mu się ją chwycić.

— Bardzo dobrze.

Lucy krzyczy, żeby wracał.

— Mamy riksę, ty pijaku!

Otto zatacza się z powrotem i przy pomocy Lucy usiłuje wgramolić się do rikszy. Białe koszule patrzą na nich chłodnym wzrokiem. Kobieta w mundurze oficera przygląda im się beznamiętnie ze szczytu schodów.

Anderson patrzy na nią.

— Według ciebie, co ona sobie myśli? — pyta, wskazując ją brodą. — Stado pijanych *farangów* wałęsa się po jej terenie? Co ona widzi?

Carlyle zaciąga się papierosem i powoli wypuszcza strużkę dymu.

— To początek nowej ery.

— Powrót do przeszłości — mruczy Anderson.

— Słucham?

— Nic, nic. — Anderson kręci głową. — Yates tak mówił. Mamy optymalny moment. Świat znowu się kurczy.

Lucy i Ottonowi w końcu udaje się wsiąść do rikszy. Odjeżdżają, a Otto głośno błogosławi szlachetnym białym koszulom, na odszkodowaniach których tak się wzbogacił. Carlyle unosi brew, nie wypowiadając na głos pytania. Anderson zaciąga się papierosem, zastanawiając się nad kryjącymi się pod pytaniem rozgałęzieniami różnych możliwości.

— Chciałbym porozmawiać bezpośrednio z Akkaratem.

Carlyle prycha.

— Dzieci chcą różnych rzeczy.

— To gra nie dla dzieci.

— Myślisz, że owiniesz go sobie wokół palca? Zmienisz w poczciwego, pokornego zarządcę, jak w Indiach?

Anderson rzuca mu zimne spojrzenie.

— Bardziej jak w Birmie. — Uśmiecha się, widząc szok na twarzy Carlyle'a. — Nic się nie bój. W branży obalania państw już nie robimy. Teraz interesuje nas tylko wolny rynek. Z pewnością udałoby się przynajmniej współpracować przy realizacji tego wspólnego celu. Ale potrzebuję spotkania.

— Jaki ostrożny. — Carlyle rzuca niedopałek na ziemię i zdeptuje go butem. — Myślałem, że trochę bardziej awanturniczy z ciebie duch.

— Nie szukam tutaj przygód. Podobnie jak ci wszyscy pijacy... — Urywa, oszołomiony.

W tłumie jest Emiko, stoi razem z japońską delegacją. W gąszczu biznesmenów i polityków zebranych wokół Akkarata, rozgadanych i roześmianych, miga mu jej charakterystyczny ruch.

— Jezu! — Carlyle traci dech. — Nakręcanka? Tutaj w Ministerstwie?

Anderson usiłuje coś powiedzieć, ale gardło mu nie działa.

Nie, pomylił się. To nie Emiko. Ruchy ma takie same, ale nie ta dziewczyna. Ta jest bogato ubrana, wokół szyi lśni złoto. Nieco inne rysy. Unosi dłoń, szarpanym ruchem, odgarnia jedwabiste włosy za ucho. Podobna, ale nie taka sama.

Serce Andersona zaczyna bić na nowo.

Nakręcanka uśmiecha się wdzięcznie, słuchając opowiadanej przez Akkarata historii. Odwraca się, żeby przedstawić człowieka, którego Anderson zna z wywiadowczych zdjęć jako dyrektora generalnego Mishimoto. Jej pan mówi coś do niej, ona pochyla głowę, a potem biegnie do rikszy, swoim osobliwym, pełnym gracji krokiem.

Bardzo podobna do Emiko. Taka wystylizowana, taka wystudiowana. Wszystko w tej nakręcance kojarzy mu się z tą drugą, o wiele bardziej zdesperowaną dziewczyną. Przełyka ślinę, wspominając Emiko we własnym łóżku, drobną i samotną. Głodną informacji o wioskach nakręcańców. Jak tam jest? Kto tam mieszka? Naprawdę nie mają panów? Desperacko chwytająca się każdej nadziei. Krańcowo różna od tej tutaj, skrzęcej się blaskiem, przemykającej wdzięcznie między białymi koszulami i politykami.

— Nie wydaje mi się, żeby wpuścili ją do świątyni — mówi w końcu Anderson. — Tak daleko by się nie posunęli. Białe koszule na pewno kazały jej poczekać na zewnątrz.

— Ale muszą się gotować. — Carlyle przechyla głowę, patrząc na japońską delegację. — A wiesz, Raleigh też ma taką u siebie. Występuje u niego na zapleczu w charakterze dziwowiska.

Anderson przełyka ślinę.

— Tak? Nie słyszałem.

— Poważnie. Pieprzy się ze wszystkimi. Powinieneś to zobaczyć. Naprawdę przegięte. — Carlyle śmieje się basowo. — O, zobacz, zwrócili uwagę. Opiekun Królowej chyba jest szokowany.

Somdet Chaopraya gapi się na nakręcankę oczyma wytrzeszczonymi jak u krowy uderzonej w bok głowy przed zabiciem. Anderson marszczy czoło, mimo woli też wstrząśnięty.

— Chyba nie zaryzykowałby swojego stanowiska. Nie z nakręcanką.

— A kto wie? On nie ma za dobrej reputacji. Z tego co wiem, stary rozpustnik. Za starego króla lepiej się zachowywał. Kontrolował się. Ale teraz... — Carlyle wskazuje brodą nakręcankę. — Nie zdziwiłbym się, gdyby Japończycy zrobili mu taki prezent na rzecz dobrych stosunków. Somdetowi Chaoprayi się nie odmawia.

— Kolejne łapówki.

— Cały czas. Ale Somdetowi Chaoprayi opłaca się coś dać. Z tego co słyszałem, przejął w pałacu większość funkcji. Skupia ogromną władzę. A to by nam dało spore bezpieczeństwo, kiedy przydarzy się kolejny zamach — zauważa Carlyle. — Wszyscy wyglądają tak spokojnie, ale pod pokrywką się gotuje. Pracha i Akkarat nie mogą tak dalej. Krążą jeden wokół drugiego od zamachu z dwunastego grudnia... Odpowiednio nacisnąć i możemy zdecydować, kto będzie górą.

— Drogo to wyj dzie.

— Nie dla twojej firmy. Trochę złota i nefrytu. Trochę opium. — Ścisza głos. — Jak na wasze standardy, to nawet może być tanio.

— Wystarczy tej reklamy. Spotkam się z Akkaratem czy nie? Carlyle klepie Andersona w plecy i parska śmiechem.

— Boże, jak ja lubię pracować *zfarangami*. Przynajmniej są bezpośredni. Nic się nie bój. To jest już umówione.

Podchodzi do japońskiej delegacji i pozdrawia Akkarata. Ten patrzy na Andersona bystrym, taksującym spojrzeniem. Anderson składa dłonie w *wai*. Akkarat, jak przystało na kogoś o tej randzie, nieznacznie kiwa głową.

* * *

Przed bramą Ministerstwa Środowiska, Anderson przywołuje Lao Gu, żeby wrócić do fabryki. Wtem po jego obu stronach pojawia się dwóch Tajów.

— Proszę z nami, *Khun*.

Biorą Andersona pod łokcie i prowadzą ulicą. Przez chwilę myśli, że złapały go białe koszule, potem jednak dostrzega limuzynę z węglowym dieslem. Popychany do środka, walczy z własną paranoją.

Gdyby chcieli cię zabić, mogliby zaczekać na sto lepszych okazji.

Drzwi się zatraskują. Naprzeciwko niego siedzi Minister Handlu Akkarat.

— *Khun* Anderson. — Uśmiecha się. — Dziękuję, że przyszedł pan do mnie.

Anderson rozgląda się po aucie — ciekawe, czy dałoby się z niego uciec i czy zamki są sterowane centralnie. Najgorsza jest zawsze chwila ujawnienia, kiedy zbyt dużo ludzi nagle wie zbyt dużo. Tak się stało w Finlandii: Peters i Ley, z pętłami na szyi, kopiący nogami powietrze, wysoko nad zgromadzonym tłumem.

— *Khun* Richard powiedział, że ma pan dla mnie ofertę — podsuwa Akkarat.

Anderson się waha.

— Rozumiem, że mamy wspólny interes.

— Nie. — Akkarat kręci głową. — Wasi ludzie przez ostatnie pięćset lat próbowali zniszczyć mój naród. Nie mamy nic wspólnego.

Anderson uśmiecha się niepewnie.

— Oczywiście, na pewne sprawy mamy różne poglądy.

Samochód zaczyna się toczyć. Akkarat mówi:

— To nie jest kwestia perspektywy. Odkąd wylądowali u nas pierwsi misjonarze, cały czas chcieliście nas zniszczyć. Podczas Ekspansji próbowaliście nas po kawałku opanować. Odciąć naszemu państwu nogi i ręce. Najgorszego uniknęliśmy tylko dzięki mądrości i przywództwu naszego Króla. Jednakże wy nie dawaliście za wygraną. Za Zapaści, wasza wychwalana globalna gospodarka sprawiła, że borykaliśmy się z głodem i nadmierną specjalizacją. — Patrzy znacząco na Andersona. — A potem przyszły wasze plagi kaloryczne. Prawie udało się wam pozbawić nas ryżu.

— Nie wiedziałem, że Minister Handlu jest zwolennikiem teorii spiskowych.

— Z której firmy pan jest? — Akkarat mu się przypatruje. — AgriGen? PurCal? Total Nutrient Holdings?

Anderson rozkłada ręce.

— Rozumiem, że może pan potrzebować wsparcia w zorganizowaniu bardziej stabilnego rządu. Mogę zapewnić odpowiednie zasoby, o ile tylko dojdziemy do porozumienia.

— A czego pan chce w zamian?

Anderson patrzy mu poważnie w oczy.

— Dostępu do waszego banku nasion.

Akkarat się odsuwa.

— To niemożliwe.

Samochód skręca i przyśpiesza aleją Thanona Ramy XII. Przepływające obrazy Bangkoku zaczynają się rozmazywać — eskorta Akkarata toruje im drogę.

— Nie na własność. — Anderson uspokajająco wyciąga dłoń.
— Chcemy tylko pobrać próbki.

— Dzięki bankowi nasion jesteście niezależni od takich jak wy. Kiedy świat spustoszyła rdza pęcherzowa i ryjkowiec, tylko bank nasion pozwolił nam opanować najgorsze plagi, a i tak nasi ludzie masowo ginęli. Indie, Birma i Wietnam poddały się wam, a my przetrwaliśmy. I teraz przychodzicie i prosicie o naszą najlepszą broń. — Akkarat parska śmiechem. — Może i chciałbym, żeby generałowi Prasze ogolić brwi i włosy i wsadzić go, w hańbie, do jakiegoś klasztoru w dżungli, ale przynajmniej w tej sprawie byśmy się zgodzili. Nie wolno dać żadnemu *farangowi* dotknąć naszego serca. Możecie odciąć naszemu krajowi rękę albo nogę, ale nie głowę, a już na pewno nie wyciąć serce.

— Potrzebujemy nowego materiału genetycznego — mówi Anderson. — Skończyły nam się opcje, a szkodniki dalej mutują. Nie ma problemu, żeby podzielić się potem wynikami tych badań. A nawet zyskami.

— Na pewno to samo proponowaliście Finom.

Anderson pochyła się ku niemu.

— W Finlandii wydarzyła się tragedia, i to nie tylko dla nas. Jeśli świat ma mieć co jeść, musimy wyprzedzać cibiskożę, rdzę pęcherzową i nipponńskiego genhakowanego ryjkowca. To jedyny sposób.

— Mówisz mi teraz, że uzależniliście świat od swoich opatentowanych ziaren i nasion, z przyjemnością wszystkich zniewoliliście, i teraz wreszcie zdaliście sobie sprawę, że prowadzicie nas wszystkich do piekła.

— Tak lubią mówić grahamici. — Anderson wzrusza ramionami. — W rzeczywistości ryjkowce i rdza nie oglądają się na nic. A tylko my mamy potencjał naukowy, żeby wyprowadzić nas z tego chaosu. Liczymy, że gdzieś w waszym banku nasion znajdziemy klucz.

— A jeśli nie?

— To wtedy wszystko jedno, kto będzie rządzić Królestwem. Wszyscy będziemy kaszleć krwią po następnej mutacji cibiskozy.

— To niemożliwe. Bank nasion kontroluje Ministerstwo Środowiska.

— Miałem wrażenie, że omawiamy zmianę rządów.

Akkarat marszczy brwi.

— Chcecie próbki, i tylko tyle? Dacie broń, sprzęt, pieniądze i tylko tyle chcecie?

Anderson kiwa głową.

— I jeszcze jedno. Jednego człowieka. Gibbonsa. — Obserwuje reakcję Akkarata.

— Gibbonsa? — Akkarat wzrusza ramionami. — Nie znam.

— *Farang*. Człowiek od nas. Chcemy go z powrotem. Narusza naszą własność intelektualną.

— O, to na pewno bardzo was martwi. — Akkarat się śmieje. — Bardzo interesujące, spotkać bezpośrednio kogoś z was. Oczywiście, wszyscy gadamy, że kaloriarze czają się na Koh Angrit, jak demony *czyphiiprasue*, i knują, jak opanować Królestwo, ale pan... — Przygląda mu się. — Gdybym zechciał, mógłbym pana skazać na rozdarcie przez megodonty, a potem rzucić kaniom i wronom. I nikt nie kiwnąłby palcem. Dawniej, jeśli po ulicy rozniosła się choćby pogłoska, że wśród nas są kaloriarze, od razu wybuchały protesty i zamieszki. A pan siedzi tu ze mną. Taki pewny siebie.

— Czasy się zmieniają.

— Ale nie aż tak, jak pan mówi. To odwaga czy zwykła głupota?

— Mógłbym zadać panu to samo pytanie — ripostuje Anderson. — Nie każdy dźga białe koszule w oko i liczy, że ujdzie mu to na sucho.

Akkarat się uśmiecha.

Gdyby przyszedł pan z tą ofertą, pieniędzy i sprzętu, tydzień temu, byłbym bardzo wdzięczny. — Wzrusza ramionami. — A w tym tygodniu, w świetle ostatnich okoliczności i sukcesów, rozważę pana propozycję. — Stuka w szybkę do szofera, żeby się zatrzymał. — Ma pan szczęście, że jestem w dobrym humorze. W każdym innym kazałbym rozerwać kaloriarza na krwawe strzępy i cieszył się z tego. — Wskazuje Andersonowi drzwi. — Rozważę pana propozycję.

XV

Nowi Ludzie mają swoje miejsce.

Ta nadzieja chodzi Emiko po głowie każdego dnia, w każdej minucie i każdej sekundzie. Wspomnienie *gaijina* Andersona i jego przekonania, że to miejsce naprawdę istnieje. Dłonie na jej ciele, w ciemności, poważny wyraz oczu, gdy kiwał głową i potwierdzał.

Teraz co wieczór gapi się na Raleigha i zastanawia, co ten człowiek wie i czy odważy się go zapytać, co widział tam na północy. O drogę w bezpieczne miejsce. Trzy razy próbowała i trzy razy zawiódł ją głos — pytanie pozostało niezadane. Co noc wraca do domu, wyczerpana zadawanymi przez Kannikę torturami i zapada w sen, śniąc o miejscu, gdzie Nowi Ludzie mieszkają bezpiecznie, bez protektorów i panów.

Wspomina Mizumi-sensei w swoim studiu *kaizen*, gdzie uczyła klęczących przed nią w kimonach, pilnie słuchających młodych Nowych Ludzi.

- Kim jesteś?
- Nowym Człowiekiem.
- Co przynosi ci zaszczyt?
- Zaszczyt przynosi mi służba.
- Kogo czcisz i szanujesz?
- Szanuję swojego pana.

Mizumi-sensei nie żałowała różgi, groźna mimo stu lat na karku. Była wczesnym Nowym Człowiekiem, na jej skórze niemal nie zaznaczył się wiek. Kto wie, ilu młodych Nowych przepędziła w życiu przez swoje studio? Mizumi-sensei, zawsze czujna, zawsze gotowa do pouczenia. Brutalna w gniewie, a

jednak karząca sprawiedliwie. I ta ciągła nauka, wiara, że jeśli będą dobrze służyć swojemu panu, osiągną najwyższą doskonałość.

Mizumi-sensei uczyła ich o bodhisattwie Mizuko Jizo, który współczuje nawet Nowym Ludziom i który po śmierci schowa ich w rękawie i przemyci z piekła genetycznie zmodyfikowanych zabawek do prawdziwego cyklu życia. Służba to ich obowiązek, służba to dla nich zaszczyt, a nagroda przyjdzie w kolejnym życiu, kiedy staną się w pełni ludźmi. Służba przyniesie największą nagrodę.

Jakże nienawidziła Mizumi-sensei, kiedy porzucił ją Gendo-sama.

Jednakże teraz serce bije jej żywiej na myśl o nowym opiekunie: mądrym człowieku, przewodniku, który zawiedzie ją do innego świata, który da jej to, czego nie chciał dać Gendo—sama.

Jeszcze jeden, który cię okłamie? I zdradzi?

Tłumi tę myśl. To ta druga Emiko tak myśli. Ta przyziemna część jaźni, jakby nie była niczym więcej niż cheshire, chciała się tylko nażreć i rozplenić, zupełnie nie przejmując się własną niszą. To myśl niestosowna dla Nowego Człowieka.

Mizumi-sensei uczyła, że natura Nowego Człowieka składa się z dwóch części. Zła połówka, miotana zwierzęcymi pragnieniami pochodzącymi z ich genów, z tych dodatków i modyfikacji, które uczyniły ich tym, czym są. I dla równowagi, jaźń cywilizowana, znająca różnicę między niszą a zwierzęcymi popędami. Znająca swoje miejsce w państwowej i ludzkiej hierarchii, doceniająca dar ze strony pana, jakim jest utrzymanie. Ciemna i jasna strona. *In-Yo*. Dwie strony monety, dwie strony duszy. Mizumi-sensei pomogła im uzyskać własne dusze. Przygotowała ich na zaszczyt służby.

Szczerze mówiąc, dopiero złe potraktowanie przez Gendo-samą sprawiło, że tak źle o nim myśli. Był słabym człowiekiem.

A może, gwoli uczciwości, nie starała się jak należy. Nie służyła mu ze wszystkich sił. Taka jest smutna prawda. Odrobina wstydu, którą musi znieść, nawet teraz, gdy usiłuje żyć bez kochającej dłoni opiekuna. Ale może ten dziwny *gaijin*... może... Dziś wieczorem nie dopuści do swoich myśli tego cynicznego zwierzęcia; dziś pozwoli sobie na marzenia.

Emiko wykrada się ze swojego wieżowca na dwór. Jest wieczór, Bangkok stygnie. Zabarwione zielono ulice przenika świąteczny nastrój, w wokach bulgocą wieczorne makarony, proste dania dla rolników z targu przed powrotem na noc do domów. Emiko wędruje po nocnym targu, jednym okiem wypatrując białych koszul, drugim kolacji.

Znajduje sprzedawcę grillowanych kalmarów, kupuje jednego w sosie chili. Światło świec i cienie zapewniają jej coś w rodzaju osłony. *Pha sin* kryje ruchy nóg. Wystarczy przejmować się rękami, ale jeśli jest powolna, ostrożna, i trzyma je ciasno przy sobie, jej ruchy da się wziąć za zwykłą niezdarność.

Kupuje od baby z córką zawiniątko z liści bananowca z grudką smażonego *padh seeu* z ryżu U— Tex. Kobieta smaży ten makaron na niebieskim metanie, nielegalnym, ale od biedy możliwym do zdobycia. Emiko siada przy zaimprovizowanej ladzie i opycha się jedzeniem, usta palą ją od przypraw. Ludzie popatrują na nią dziwnie, paru krzywi się z niesmakiem, ale nic nie robią. Niektórzy nawet znają ją z widzenia. Reszta zaś ma dość problemów, by nie wplątywać się jeszcze w sprawy nakręcanek i białych koszul. Dość osobliwa przewaga. Białe koszule są tak powszechnie pogardzane, że ludziom nie chce się zwracać ich uwagi, jeśli nie jest to absolutnie konieczne. Wkłada makaron do ust i znowu myśli o słowach tego *gaijina*.

Nowi Ludzie mają swoje miejsce.

Próbuje sobie to wyobrazić. Wioska pełna ludzi o zdradzieckich szarpanych ruchach i gładkiej skórze. Jakże

pragnie tam być.

Czuje także coś zupełnie przeciwnego. To nie strach. Coś, czego się w życiu nie spodziewała.

Odrazę?

Nie, to zbyt mocne słowo. Raczej lekki niesmak, że tak wielu jej pobratymców haniebnie porzuciło swoje obowiązki. I mieszkają razem z sobie podobnymi, nie uświetnia ich obecność kogoś w rodzaju Gendo-samy. Cała wioska Nowych Ludzi i nikogo, komu mogliby służyć.

Emiko kręci energicznie głową. A co jej przyniosła służba? Takich ludzi, jak Raleigh. I Kannika.

A jednak... całe plemię Nowych Ludzi, żyjące gromadnie w dżungli? Jak by to było, obejmować ramionami dwuipółmetrowego robotnika? Tak miałyby wyglądać jej ukochany? Albo któryś z tych wielorękich potworów z fabryk Gendo-samy, dziesięć rąk jak u hinduskiego boga i śliniąca się gęba, pragnąca tylko jedzenia i miejsca na złożenie tych rąk? Jak w ogóle taki stwór jest w stanie przedostać się na północ? Czemu siedzą właśnie tam, w dżungli?

Tłumi w sobie odrazę. Na pewno nie będzie gorzej niż z Kanniką. Zniewolono ją, kazano źle myśleć o Nowych Ludziach, choć sama do nich należy. Wystarczy logicznie pomyśleć: żaden Nowy Człowiek nie będzie gorszy niż wczorajszy klient, który ją zerznął i napluł na nią, zanim wyszedł. Na pewno z gładkoscórym Nowym Człowiekiem nie może być gorzej.

Ale jak się będzie tam żyło? Trzeba będzie jeść karaluchy, mrówki i wszystko co przetrwało atak kozioroga?

Raleigh umie przetrwać. A ty?

Miesza makaron dziesięciocentymetrowymi pałeczkami z bambusa RedStar. Jak to będzie nie służyć nikomu? Odważy się na to? Myśl jest oszałamiająca, niemal kręci się od niej w głowie. Co będzie robić, pozbawiona pana? Zostanie rolnikiem?

Może będzie uprawiać opium na wzgórzach? Palić srebrną fajeczkę i czernić sobie zęby — słyszała, że robią tak kobiety z tamtejszych plemion? Śmieje się sama do siebie. Da się w ogóle to sobie wyobrazić?

Zatopiona w myślach, omal nie przegapia czegoś ważnego. Tylko traf — przypadkowe poruszenie mężczyzny przy stoliku naprzeciwko, jego spłoszone spojrzenie i nagle pochylona głowa, wzrok wbity w jedzenie — to ją ratuje. Zamiera.

Zamilkło całe nocne targowisko.

I wtedy za jej plecami pojawiają się, jak wygłodniałe duchy, mężczyźni w bieli, rzucają parę słów w swojej szybkiej, śpiewnej mowie do kobiety przy woku. Ona zaczyna uwijać się służalczo. Emiko dygoce przed nimi, z makaronem na pałeczkach zawieszonym między talerzem i ustami, szczupłe ramię drży z napięcia. Chciałaby odłożyć pałeczki, ale nie ma jak tego zrobić. Jeśli się poruszy, zauważą ją, więc siedzi jak skamieniała, a oni gadają za jej plecami, pochylając się w oczekiwaniu na jedzenie:

— ...i w końcu przegiął. Słyszałem, że Bhirombhakdi darł się na całe biuro, że zapłaci mu głową. Głowa Jaideego na talerzu, bo posunął się za daleko!

— Swoim ludziom dał za ten nalot po pięć tysięcy bahtów. Na łebka.

— I dużo im teraz z tego przyjdzie, jak go zdegradowali.

— No, ale wiesz, pięć tysięcy, nic dziwnego, że Bhirombhakdi ział ogniem. Musiał stracić z pół miliona.

— A Jaidee po prostu wpadł tam jak szarżujący megodont. Stary pewnie pomyślał, że to byk Torapee, przymierzający racice do śladów swojego ojca^{*}. I chce go załatwić.

— Już nie.

Emiko dygoce, gdy ją poszturchują. To koniec. Zaraz upuści pałeczki i zobaczą, że jest nakręcanką, mimo że dotąd tego nie

dostrzegli, choć tłoczą się wokół, choć potrącają ją z męską pewnością siebie, choć dłoń jednej z białych koszul dotyka jej szyi, jakby przyciśnięta do niej w tłoku. Nagle przestanie być niewidzialna. Ukaże się przed nimi w pełnej krasie — Nowy Człowiek mający tylko nieważne dokumenty i importowe licencje, który zaraz zostanie skompostowany, zrecyklowany równie szybko jak obornik i celuloza, przez swoje zdradzieckie szarpane ruchy, które naznaczają go równie wyraźnie, jakby był pomalowany wydzieliną świetlików.

— Ale nie myślałem, że kiedykolwiek zobaczę, jak robi *khrab* przed Akkaratem. Kiepsko. Wszyscy tracimy przez to twarz.

Milczą przez chwilę. Potem jeden z nich mówi:

— Ej, ciotunia. Twój metan ma nie taki kolor.

Kobieta uśmiecha się niewyraźnie. Uśmiech jej córki także znamionuje niepewność.

— W tamtym tygodniu złożyliśmy dar na rzecz Ministerstwa — mówi. Facet, trzymający rękę na karku Emiko odzywa się, gładząc ją machinalnie. Ona stara się nie drżeć pod jego dotykiem.

— To chyba coś źle nam powiedzieli.

Uśmiech kobiety rzednie.

— Może ja coś źle pamiętam.

— Z przyjemnością sprawdzę stan pani rachunków.

— Po co ten kłopot. Zaraz, już, wyślę córkę. A tymczasem, może poczęstujecie się rybą? Nie płacą wam tyle, żebyście mogli porządnie się najeść. — Zdejmuje z grilla dwie duże tilapie i podaje je białym koszulom.

— To bardzo miło, ciotuniu. Jestem głodny. — Białe koszule ściskają w dłoniach owinięte liśćmi bananowca *plaa*, odwracają się i kontynuują przechadzkę po nocnym targu, najwyraźniej nieświadomi paniki, jaką sieją wokół.

Uśmiech sprzedawczyni natychmiast znika. Odwraca się do córki, wciska jej w dłonie banknoty.

— Idź do tej budki policyjnej, ale gadaj i dawaj pieniądze tylko sierżantowi Siripornowi. Nie chcę tych dwóch widzieć na oczy.

Emiko czuje, że szyja pali ją od dotyku białej koszuli. Mało brakowało. Bardzo mało. Dziwne, że zdarza jej się zapominać, że jest ścigana. Czasem sama się oszukuje, zaczyna myśleć, że jest prawie człowiekiem. Unosi do ust ostatni kęs makaronu. Nie może już czekać. Musi się zmierzyć z Raleighem.

* * *

— Chcę stąd wyjechać.

Raleigh odwraca się na stołku barowym, ze skonsternowaną miną.

— Naprawdę, Emiko? — Uśmiecha się. — Masz nowego pana, tak?

Obok nich przechodzą inne dziewczyny, roześmiane i rozgadane, pozdrawiają *wai* ducha budynku, kilka także składa drobne ofiary, w nadziei że trafią na grzecznego klienta albo bogatego protektora.

Emiko kręci głową.

— Nowego pana nie. Chcę jechać na północ. Do wiosek, gdzie mieszkają Nowi Ludzie.

— Kto ci o tym powiedział?

— Czyli są, tak? — Poznaje po jego minie, że tak. Serce zaczyna jej bić mocniej. To nie tylko plotka. — Istnieją — stwierdza bardziej stanowczo.

Raleigh rzuca jej badawcze spojrzenie.

— Niewykluczone. — Kiwa na Daenga, barmana, żeby nalał kolejnego drinka. — Ale muszę cię ostrzec, że w dżungli ciężko się żyje. Jeśli zbiory się nie udadzą, trzeba jeść robaki, żeby

przeżyć. Nie ma też za bardzo na co polować, po tym jak rdza pęcherzowa i nipponński ryjkowiec ze wszystkim się rozprawiły. — Wzrusza ramionami. — Może parę ptaków. — Ponownie na nią patrzy. — Powinnaś się trzymać bliżej wody. Tam się będziesz przegrzewać. Uwierz mi. Tam się bardzo ciężko żyje. Jeśli naprawdę chcesz sobie stąd pójść, powinnaś poszukać sobie nowego pana.

— Dzisiaj o mało co nie złapały mnie białe koszule. Jeśli tu zostanę, zginę.

— Płacę im, żeby cię nie złapały.

— Ale byłam na nocnym targu...

— Co, do cholery, robiłaś na nocnym targu? Chcesz coś zjeść, to przychodzisz tutaj! — warczy Raleigh.

— Przepraszam, Raleigh-san. Muszę wyjechać. Pan ma znajomości. Może pan mi załatwić pozwolenia na przejazd. Żebym mogła przejść przez posterunki.

Przed Raleighem pojawia się drink. Upija łyk. Jest jak stara wrona, nic tylko śmierć i rozkład na tym stołku barowym, patrzy, jak jego dziwki przychodzą na nocną zmianę. Patrzy na nią z ledwo skrywanym obrzydzeniem, jakby była przylepionym do buta psim gównem. Znów pije.

— Droga na północ jest ciężka. I od cholery kosztuje.

— Mogę zarobić na swój przejazd.

Raleigh nie odpowiada. Barman kończy polerować bar. Razem z pomocnikiem wyciągają skrzynkę lodu od producenta luksusowych towarów *Jai Yen, Nam Yen*. Chłodne Serce, Chłodna Woda.

Raleigh nadstawia szklanę, Daeng wrzuca mu z brzękiem parę kostek. Wyciągnięte z izolowanej skrzynki, zaczynają topić się w ciepłe. Emiko obserwuje, jak rozpływają się w cieczy. Daeng polewa je wodą. Emiko się gotuje. Otwarte okna klubu w ogóle nie łapią wiatru, a o tej wczesnej godzinie żar w środku

jest nie do zniesienia. A żółte karty do nakręcania wiatraków też jeszcze nie przyszły. Ściany i podłoga klubu promieniują ciepłem ze wszystkich stron. Raleigh upija łyk chłodnej wody.

Emiko przygląda się, rozpalona, żałując, że nie potrafi się pocić.

— *Khun* Raleigh. Proszę. Tak mi przykro... Proszę... — waha się — ...trochę zimnej wody.

Raleigh popija swoją wodę i patrzy na pojawiające się kolejne dziewczyny.

— Utrzymanie nakręcanki cholernie dużo kosztuje.

Emiko uśmiecha się zażenowana, licząc, że go udobrucha. W końcu Raleigh robi rozdrażnioną minę.

— No dobra. — Kiwa na Daenga.

Staje przed nią szklanka wody z lodem. Emiko stara się nie rzucić do niej. Przytyka ją do twarzy i karku, niemal sapiąc z ulgi. Pije i znów przyciska szkło do ciała, ściskając je jak talizman.

— Dziękuję.

— Dlaczego w ogóle miałbym ci pomagać wyjechać z miasta?

— Jeżeli zostanę, to zginę.

— Słabo na tobie wychodzę. Nie trzeba cię było brać. A dawanie w łapę, żebyś mogła pojechać sobie na północ, to już w ogóle mi się nie opłaca.

— Proszę. Co tylko trzeba. Zapłacę. Zrobię. Proszę mnie wykorzystać.

Parska śmiechem.

— Mam prawdziwe dziewczyny. — Uśmiech znika. — Emiko, problem polega na tym, że nie możesz mi nic dać. Przepijasz pieniądze, które zarabiasz co wieczór. Łapówki kosztują, lód dla ciebie też kosztuje. Gdybym był podły, po prostu wywaliłbym

cię na ulicę, żeby cię skompostowały białe koszule. Słaby jest z ciebie zysk.

— Proszę.

— Nie denerwuj mnie. Idź, przygotuj się do roboty. Jak przyjdą klienci, masz już nie być w cywilnych ciuchach.

Jego słowa brzmią stanowczo i władczo. Emiko odruchowo zaczyna się kłaniać i poddawać jego woli. Przerzywa to. Nie jesteś psem, napomina się. Nie jesteś sługą. To służba sprawiła, że pozostawiono cię wśród demonów w mieście bogów. Jeśli będziesz się zachowywać jak sługa, zginiesz jak pies.

Prostuje się.

— Przykro mi, Raleigh-san, ale muszę jechać na północ. Niedługo. Ile to będzie kosztowało? Zarobię tyle.

— Jesteś, kurna, jak jakiś cheshire. — Raleigh nagle wstaje. — Uparcie wracasz do czegoś, co już umarło.

Emiko się kuli. Raleigh, choć stary, jest jednak *gaijinem*, urodzonym i wykarmionym przed Zapaścią. Góruje nad nią. Cofa się kolejny krok, przestraszona. Raleigh uśmiecha się ponuro.

— No właśnie, musisz znać swoje miejsce. Chcesz na północ, nie ma sprawy. Ale wtedy, kiedy ja będę gotowy i na to pozwolę. I dopiero, kiedy zarobisz na każdego bahta łapówek dla białych koszul.

— Ile to będzie?

Twarz mu czerwienieje.

— Więcej, niż zarobiłaś do tej pory!

Odskakuje, lecz Raleigh ją chwyta. Przyciąga blisko. Jego głos jest niski, chrapliwy, zionący whiskey.

— Kiedyś, dawno, komuś się przydawałaś, więc rozumiem, że taka nakręcanka jak ty może się czasem zapomnieć. Ale nie oszukujmy się. Jesteś moją własnością.

Koścista dłoń maca jej pierś, chwyta za sutek i wykręca. Emiko skomli z bólu i wędnie mu pod ręką. Bładymi oczyma obserwuje ją jak wąż.

— Należysz do mnie od stóp do głów — mruczy. — Jeśli jutro będę mieć ochotę cię skompostować, to już cię nie ma. I nikogo to nie obejdzie. W Japonii może nakręcanka to coś wartościowego. Tutaj to śmieć. — Znów ściska. Emiko z dygotem łapie oddech, usiłując ustać na nogach. Raleigh się uśmiecha. — Jesteś moją własnością. Pamiętaj o tym. — Wraca do swojej whiskey. — Powiem ci, kiedy zarobiłaś na podróż na północ — dodaje. — Ale zapracujesz na to, i to porządnie. I nie będziesz wybrzydzać, jak dotąd. Jeśli ktoś cię zechce, idziesz z nim i robisz mu dobrze, tak dobrze, żeby chciał wrócić i jeszcze raz z tobą pójść. Mam masę dziewczyn proponujących normalny seks. Jeśli chcesz jechać na północ, to lepiej zaproponuj klientom coś więcej.

Wielkimi haustami dopija drinka i z hukiem stawia szklanke na blacie, każąc Daengowi dolać.

No, a teraz koniec dąsów i do roboty.

* W tajskiej mitologii byk Torapee przymierzał racię do śladów ojca, by wiedzieć, kiedy będzie na tyle duży, żeby móc go zabić. Stąd mianem Torapee określa się niewdzięczne dzieci (przyp. tłum.).

XVI

Hock Seng patrzy wilkiem na stojący naprzeciw niego przysadzisty sejf. Jest wczesny ranek, siedzi w biurze SpringLife i zanim przyjdzie pan Anderson, powinien zająć się kombinowaniem w księgach, ale jego uwagę zaprzęta tylko sejf. Drwi z niego, stojąc w kącie, spowity dymem ofiar, które nic a nic nie pomogły go otworzyć.

Od zajścia na lądowisku sejf jest stale zamknięty, a jeszcze ten diabeł Lake ciągle patrzy mu przez ramię, pyta o stany kont, wszędzie wściubia nos i się dopytuje. A Pan Łajna czeka. Hock Seng widział się z nim już trzy razy. Był cierpliwy, Hock Seng wyczuwa jednak rosnącą irytację, a może i chęć wzięcia spraw we własne ręce. Jego pięć minut się kończy.

Wpisuje pośpiesznie liczby do księgi głównej, kamuflując pieniądze, które zagarnął przy okazji zakupu prowizorycznego kieratu. Czy ma się po prostu włamać? W fabryce są przemysłowe odczynniki, które przeżarłyby stal w parę godzin. Czy to lepsze niż kazać Panu Łajna czekać, ryzykując, że szef wszystkich szefów sam się za to zabierze? Rozważa opcje. Każda jest obciążona ryzykiem, od którego cierpnie mu skóra. Jeśli sejf zostanie zniszczony, jego twarz znajdzie się na wszystkich słupach, a teraz jest nie najlepszy czas, żeby zostawać wrogiem cudzoziemskich diabłów. Akkarat rośnie w siłę, więc *farangowie* też. Każdy dzień przynosi nowe poniżenia białych koszul. Tygrys z Bangkoku jest teraz mnichem z ogoloną głową, pozbawionym rodziny i majątku.

A gdyby tak w ogóle pozbyć się pana Lakea? Jakiś anonimowy nóż pod żebro, kiedy będzie sobie szedł ulicą? To łatwe rozwiązanie. I nawet niedrogie. Chan Śmieszek chętnie

zrobi to za piętnaście bahtów i cudzoziemski diabeł nie będzie więcej się Hock Sengowi naprzykrzać.

Podskakuje, słysząc pukanie do drzwi. Prostuje się i wsuwa pod blat świeżo sfalszowaną księgę.

— Tak?

To Mai, ta szczupła dziewczynka z produkcji. Stoi w progu. Hock Seng rozluźnia się nieco, gdy składa ręce w *wai*.

— *Khun*, mamy problem.

Hock Seng ściiera szmatką atrament z palców.

— Tak? Co się stało?

Dziewczynka przebiega wzrokiem po pokoju.

— Lepiej może pan sam zejdzie.

Aż cuchnie od niej strachem. Hock Sengowi jeżą się włosy na karku. To jeszcze prawie dziecko. Przyzwyczajony ją traktował. Zarobiła nawet premię, czołgając się ciasnymi tunelami napędu, sprawdzając ogniwa łańcucha, kiedy przywracali fabrykę do stanu użyteczności... a jednak coś w jej zachowaniu kojarzy mu się z Malajami, którzy kiedyś zwrócili się przeciwko nim. Kiedy jego pracownicy, zawsze lojalni i pełni szacunku, nagle przestali patrzeć mu w oczy. Gdyby był sprytny, dostrzegłby, że wiatr się zmienia. Zauważył, że dni malajskich Chińczyków są policzone. Że nawet głowa człowieka o jego statusie — rozdającego pieniądze na cele dobroczynne i dbającego o dzieci robotników jak o swoje własne — ma trafić na pryzmę w rynsztoku.

I teraz ma tu Mai, która też wygląda niewyraźnie. Czy to tak po niego przyjdą? Podstępem? Wyślą na przynętę niegroźną dziewczynkę? Czy to koniec żółtych kart, czy może Pan Łajna wykonuje swój ruch? Hock Seng z udawaną nonszalancją rozpiera się w fotelu, obserwując ją.

— Jak masz mi coś do powiedzenia — mruczy — to mów tu i teraz.

Waha się. Strach widać na pierwszy rzut oka.

— *Farang* jest gdzieś tutaj?

Hock Seng zerka na zegar na ścianie. Szósta.

— Przyjdzie dopiero za godzinę albo dwie. Tak wcześnie nie wstaje.

— Proszę, niech pan pójdzie ze mną.

Czyli tak to ma być. Kiwa głową.

— No dobrze.

Wstaje i podchodzi do niej. Taka śliczna dziewczynka. Jasne, że wysłaliby ładną. Wygląda tak niegroźnie. Drapie się po plecach, unosząc luźny rąbek koszuli i wyciąga nóż. Podchodząc, trzyma go za sobą. Czeka do ostatniej chwili...

Chwyta ją za włosy i przyciąga do siebie. Przyciska nóż do gardła.

— Kto cię przysłał? Pan Łajna? Białe koszule? Kto?

Łapie oddech, niezdolna się uwolnić bez podcięcia sobie gardła.

— Nikt!

— Myślisz, że jestem idiotą? — Mocniej napiera na nóż, przecinając skórę. — Kto?

— Nikt! Przysięgam! — Mai trzęsie się ze strachu, lecz Hock Seng jej nie puszcza.

— Coś chciałabyś powiedzieć? Jest jakaś tajemnica? Gadaj, i to już!

Sapie pod naciskiem ostrza na skórę.

— Nie! *Khun!* Przysięgam! Żadna tajemnica! Ale... ale...

— No co?

Obwisa mu bezwładnie w rękach.

— Białe koszule — szepcze. — Jeśli białe koszule się dowiedzą...

— Ja nie jestem białą koszulą.

— Chodzi o Kita. Jest chory. I Srumuang. Jeden i drugi. Proszę. Nie wiem, co robić. Nie chcę stracić pracy. Nie wiem, co mam robić. Niech pan nie mówi *farangowi*. Wszyscy wiedzą, że on zamknie fabrykę. Proszę. Moja rodzina bez tego... Proszę. Proszę. — Teraz już szłocha, zwiesza mu się w rękach, błaga go jak zbawcę, zapomniawszy o nożu.

Hock Seng krzywi się i zabiera nóż. Nagle czuje się stary. Tak to jest: żyć w ciągłym strachu. Podejrzewać trzynastolatki, myśleć, że dziewczynki o buziach córek knują, jak go zabić. Niedobrze mu. Nie potrafi spojrzeć jej w oczy.

— Trzeba było tak od razu — mruczy gburowato. — Głupia. Z takimi rzeczami nie ma się co kryć. — Unosi koszulę i wsuwa nóż do pochwy. — Pokaż mi tych kolegów.

Mai ostrożnie ociera łyzy. Nie ma mu za złe. Jest elastyczna, jak to bywa u młodych ludzi. Kryzys minął, teraz posłusznie wyprowadza Hock Senga z biura.

Do hali zaczynają schodzić się robotnicy. Wielkie wrota otwierają się z grzechotem, do wielkiego pomieszczenia wpada słońce. W snopach światła wirują drobinki kurzu i łajna. Mai prowadzi go przez obróbkę końcową, wzbijając stopami błądy pył — prosto do sali z linią cięcia.

Wiszące nad ich głowami sita z glonami, schnąc, napęniają salę morskim odorem. Mai idzie pomiędzy prasami tnącymi i, kucając, przechodzi pod linią. Po drugiej stronie stoją w milczących szeregach kadzie z glonami, pełne soli i życia. Ponad połowa wykazuje objawy słabej produkcji. Glony ledwo pokrywają powierzchnię, choć po nocnej przerwie w pozyskiwaniu powinny mieć z dziesięć centymetrów grubości.

— Tutaj — szepcze Mai i pokazuje.

Kit i Srimuang leżą oparci o ścianę. Spoglądają mętным wzrokiem na Hock Senga. Ten klęka obok, ale ich nie dotyka.

— Jedli to samo?

— Raczej nie. Nie przyjaźnią się.

— To nie będzie cibiskoza? Rdza pęcherzowa? Nie. — Kręci głową. — Głupi stary. Nic z tych rzeczy. Nie ma krwi na ustach.

Kit jęczy, próbuje usiąść. Hock Seng odsuwa się, walczy z odruchem wytarcia rąk o koszulę. Drugi, Srimuang, wygląda jeszcze gorzej.

— A ten za co odpowiadał?

Mai się waha.

— Chyba karmił glony. Sypał do zbiorników tę karmę dla ryb.

Hock Seng czuje, że skóra mu cierpnie. Dwa trupy. Obok kadzi, w których własnoręcznie puścił pełną parą produkcję, w imieniu pana Andersona, poganiając wszystkich, żeby zadowolić szefa. To przypadek? Wzdryga się, patrząc na halę z nowej perspektywy. Nadmiar cieczy z kadzi, rozchłapanej po podłodze, spływa do kratek ściekowych. Girlandy glonów ozdabiają wilgotne powierzchnie, karmiąc się resztkami pożywki. Wszędzie wektory infekcji, jeśli coś jest z tymi kadziami nie tak.

Odruchowo zaczyna wycierać dłonie, nagle przestaje, a po skórze znów przechodzą mu ciarki. Szary pył z wykończalni oblepia mu ręce w miejscu, gdzie rozsuwał kurtyny, przechodząc przez nie. Jest otoczony przez potencjalne wektory. Pod stropem wiszą sita do suszenia, całe rzędy wypełniają półmrok hali, szereg za szeregiem, wszystkie wymazane czerniejącą szumowiną. Z jednego skapuje kropla wody. Rozbryzguje się na podłodze koło jego butów. A dzięki niej uświadamia sobie obecność nowego dźwięku. Gdy fabryka była pełna ludzi, nigdy go nie słyszał, lecz teraz, w porannej ciszy, dobiega ze wszystkich stron: delikatny szmer deszczu kropel spadających z zawieszonych sit.

Hock Seng zatrzymuje się raptownie, czując narastającą panikę.

Nie bądź głupi. Nie wiesz, czy to od glonów. Śmierć ma wiele twarzy. To właściwie może być dowolna choroba.

W ciszy słychać dziwnie nierównomierny oddech Kita, jak sapanie miecha, gdy jego pierś unosi się i opada.

— Myśli pan, że to pandemia? — pyta Mai.

Hock Seng łypie na nią spode łba.

— Nawet nie wymawiaj tych słów! Chcesz ściągnąć na nas demony? Białe koszule? Jeśli to się rozniesie, zamkną fabrykę. Będziemy głodować jak żółte karty.

— Ale...

Na zewnątrz, w hali głównej, niosą się echem jakieś głosy.

— Cicho, dziecko. — Hock Seng ucisza ją gestem, myśląc gorączkowo. Śledztwo białych koszul byłoby katastrofą. W sam raz pretekstem, jakiego potrzebowałby cudzoziemski diabeł pan Lake, żeby zamknąć całą tę budę i go zwolnić. Odesłać do wieżowców, żeby znów głodował. Żeby zginął, choć już zaszedł tak daleko, choć już był tak blisko.

Z innych stron także dochodzą poranne powitania. Stęka megodont. Z grzechotem otwiera się brama. Ruszają główne koła zamachowe — to ktoś próbnie uruchamia linię.

— Co mamy robić? — pyta Mai.

Hock Seng rozgląda się po kadziach i maszynach. Po wciąż pustej hali.

— Tylko ty wiesz, że zachorowali?

Mai kiwa głową.

— Znalazłam ich, kiedy przyszłam.

— Na pewno? Nikomu o nich nie mówiłaś, kiedy mnie szukałaś? Nie było tu nikogo więcej? Nikt z tobą nie przyszedł i nie postanowił wziąć wolnego na dzisiaj, kiedy ich zobaczył?

Mai kręci głową.

— Nie. Sama przyjechałam. Jeden farmer podwiózł mnie puchówką przez *khlongi*, prawie pod samo miasto. Jak z nim płynę, zawsze jestem pierwsza.

Hock Seng zerka na dwóch chorych, potem na dziewczynkę. Czwooro ludzi. Czwooro. Krzywi się na samą myśl. Taka pechowa liczba, czwórka. Sz. Cztery. Sz. Śmierć. Już lepsza jest trójka albo dwójka...

Albo jedynka. Idealna liczba dla tajemnicy. Dłoń Hock Senga podświadomie wędruje do noża. Zastanawia się nad dziewczyną. Komplikacja. Ale mniejsza niż liczba cztery.

Jej długie włosy są upięte w staranny kok, żeby się nie wkręciły w maszyny. Szyję ma odsłoniętą. Oczy ufne. Hock Seng odwraca wzrok, przypatrując się raz jeszcze ciałom, przeliczając feralne liczby. Cztery, cztery, cztery. Śmierć. Jeden — lepsze. Najlepsze. Bierze głęboki oddech i podejmuje decyzję. Wyciąga rękę do dziewczynki.

— Chodź tutaj.

Mai się waha. Patrzy na nią wilkiem, kiwa, żeby podeszła.

— Chcesz mieć tę pracę, nie?

Powoli kiwa głową.

— No to chodź. Tych dwóch musi trafić do szpitala, prawda? Tu im nie pomożemy. A dwóch chorych obok kadzi z glonami nie przysłuży się nam za dobrze. Jeżeli chcemy dalej mieć co jeść.

Zabierz ich stąd i spotkajmy się przy bocznym wejściu. Nie przez główną halę. Bokiem. Przeciągnij ich pod linią i tym serwisowym wejściem. Bokiem, rozumiesz?

Mai kiwa niepewnie głową. Hock Seng klaszcze w dłonie, poganiając ją.

— Szybko! Szybko! Możesz ich wlec, jeśli będzie potrzeba!

— Wskazuje ciała. — Zaraz przyjdą ludzie. Już jedna osoba to

za dużo, żeby dochować tajemnicy, a nas jest tu czworo. Niech będzie chociaż dwoje. Wszystko lepsze niż cztery. Śmierć.

Mai wzdycha z przestrachem, potem mruży oczy w determinacji. Kuca i zaczyna mocować się z ciałem Kita. Hock Seng czeka, upewnia się, że daje radę, potem przechodzi na drugą stronę.

W głównej hali robotnicy jeszcze pakują obiady do szafek i się śmieją. Nikt się nie śpieszy. Tajowie to lenie. Gdyby to były chińskie żółte karty, dawno by pracowali i wszystko by przepadło. Hock Seng choć raz cieszy się, że pracuje z Tajami. Dzięki temu ma jeszcze trochę czasu. Wymyka się bocznymi drzwiami.

Zaułek jest pusty, wąski, osłonięty wysokimi ścianami fabryk. Hock Seng podbiega do Phosri Street — kłębowisko przekąsek śniadaniowych, parujących makaronów i obdartych dzieciaków. Między tym wszystkim miga mu pedałowia riksza.

— *Wei!* - woła. — *Samloh! Samloh!* Czekaj ! — Niestety, rikszarz jest za daleko.

Kuśtyka do skrzyżowania, oszczędzając chore kolano, dostrzega kolejną rikszę. Macha na rikszarza. Mężczyzna ogląda się, sprawdza, czy ma konkurencję, a potem skręca i leniwie pedałuje w stronę Hock Senga, wykorzystując nieznaczną pochyłość ulicy.

— Szybciej ! — krzyczy Hock Seng. — *Kuai yidian*, ty kundlojebco!

Rikszarz nie zwraca uwagi na obelgę.

— *Khun*, pan wołał?

Hock Seng wsiada i pokazuje zaułek.

— Tam mam dla ciebie pasażerów, jeśli tylko się pośpieszysz.

Rikszarz stęka i kieruje się w wąską uliczkę. Nieśpiesznie cyka wolnobieg. Hock Seng zgrzyta zębami.

— Zapłacę podwójnie. Tylko szybko! Szybko! — Pogania go gestem.

Facet naciska pedały odrobinę mocniej, ale i tak pełznie niczym megodont. Przed nimi pojawia się Mai. Hock Seng przez chwilę niepokoi się, że okaże się głupia i wyciągnie ciała przed dotarciem rikszarza, lecz Kita nigdzie nie widać. Dopiero kiedy podjeżdża riksha, Mai nurkuje do środka i wywleka na zewnątrz pierwszego nieprzytomnego robotnika.

Rikszarz płoszy się na widok ciała, ale Hock Seng nachyla mu się nad ramieniem i syczy:

— Zapłacę potrójnie. — Chwyta Kita i pakuje go na siedzenie, nim facet zdąży zaprotestować.

Mai z powrotem znika w środku.

Rikszarz przygląda się Kitowi.

— Co mu jest?

— Pijany — mówi Hock Seng. — On i jeszcze kolega. Jak szef ich złapie, wywali od razu.

— Nie wygląda na pijanego.

— Mylisz się.

— Nie. Wygląda mi na...

Hock Seng wbija weń wzrok.

— Białe koszule złapią cię w sieć tak samo jak mnie. Siedzi ci na siedzeniu, w zasięgu twojego oddechu.

Facet wytrzeszcza oczy. Cofa się. Hock Seng kiwa głową, cały czas patrząc mu w oczy.

— Teraz już za późno na skargi. Ja twierdzę, że są pijani. Jak wrócisz, zapłacę ci potrójnie. Pojawia się Mai z drugim robotnikiem, Hock Seng pomaga wtaszczyć go na siedzenie. Potem

pakuje Mai do rikszy razem z nimi.

— Do szpitala — mówi. Potem nachyla się bliżej. — Dwa różne szpitale, jasne?

Mai kiwa energicznie głową.

— Świetnie. Mądra dziewczynka. — Hock Seng odstępuje. — No to jazda! Ruszaj się!

Rikszarz rusza, pedałuując znacznie szybciej niż przedtem. Hock Seng patrzy, jak odjeżdżają, głowy trzech pasażerów i rikszarza, kołyszące się i podskakujące, gdy koła rikszy stukają po bruku. Krzywi się. Znowu czwórka. Ewidentnie feralna liczba. Uspokaja swoją paranoję, zastanawia się, czy w ogóle jest teraz zdolny do strategicznego planowania. Staruch, który podskakuje na widok każdego cienia.

Może lepiej byłoby nakarmić Mai, Kitem i Srimuangiem czerwonoopłetwe *plaa* w mętnych wodach rzeki Chao Phraya? Czyż nie byłby bezpieczniejszy, gdyby byli tylko zbiorowiskiem anonimowych szczątków podskakujących sobie pomiędzy kłębiącymi się wygłodniałymi karpiami? Cztery. Sz. Śmierć.

Skóra mu cierpnie na taką bliskość choroby. Nieświadomie trze dłonie o spodnie. Trzeba się będzie wykąpać. Wyszorować chlorowym wybielaczem i liczyć, że to pomoże. Rikszarz wiozący zarażony ładunek skręca, znikając mu z oczu. Hock Seng idzie z powrotem do środka, do hali, gdzie linie terkocą w testowych przebiegach, a głosy nawołują się nawzajem w porannym powitaniu.

Niech to będzie przypadek, modli się. Niech to nie będzie ta linia.

XVII

Ile to bezsennych nocy? Jedna? Dziesięć? Tysiąc? Jaidee już nie pamięta. Były księżycy na jawie, słońca we śnie, a on cały czas liczy, liczby wirują mu, miarowo narastające, odliczające dni i stracone nadzieje. Próżne ofiary przebłagalne. Wróżbitów i ich przepowiednie. Generałów i ich obietnice.

Jutro. Za trzy dni to już na pewno. Są jakieś oznaki łagodnienia, szepcze się o losach tej kobiety.

Cierpliwość.

Jai yen.

Chłodne serce.

Nic.

W gazetach przeprosiny i kolejne upokorzenia. Samokrytyka napisana jego własną ręką. Kolejne fałszywe przyznanie się do winy, do chciwości i korupcji. Dwieście tysięcy bahtów, których nie jest w stanie spłacić. Wstępniaki i potępiające artykuły w szeptankach. Rozsiewane przez wrogów pogłoski, że wydawał kradzione pieniądze na dziwki, na prywatny zapas ryżu U-Text na wypadek głodu, że chował je na własny użytek. Tygrys okazał się tylko kolejną skorumpowaną białą koszulą.

Są wymierzane grzywny. Konfiskowane resztki jego majątku. Palony rodzinny dom, jak stos pogrzebowy, teściowa lamentuje, a synowie, już pozbawieni jego nazwiska, patrzą apatycznie.

Postanowiono, że pokuty nie odbędzie w pobliskim klasztorze. Wypędzi się go do lasów Phra Kritipong, gdzie całą ziemię spustoszył kozioróg, a przez granicę przywiewa z Birmy kolejne wersje rdzy pęcherzowej. Wygnany na jałową ziemię, żeby medytować nad swoją *kammą*. Goli mu się brwi i głowę na

łyso. Jeśli przypadkiem wróci z pokuty żywy, czeka go dożywotnie pilnowanie żółtych kart w obozach internowania na południu; najgorsza praca, dla najniższych rangą białych koszul.

A o Chayi nadal żadnych wiadomości.

Żyje? Umarła? Handel to zrobił? Czy ktoś inny? Jakiś *jao por*, rozwścieczony zuchwałością Jaideego? Może ktoś z Ministerstwa Środowiska? Bhirombhakdi, zły za nieprzestrzeganie protokołu? A planowali porwanie czy morderstwo? Czy zginęła, próbując się uwolnić? Czy nadal siedzi w tej betonowej celi ze zdjęcia, gdzieś w mieście, pocąc się w opuszczonym wieżowcu, czekając, aż ją uratuje? Czy jej trupem karmią się teraz cheshire'y w jakimś zaułku? Czy pływa w wodzie Chao Phraya, jako pokarm dla Boddhi Karpi wersja 2.3, które tak świetnie udało się wyhodować Ministerstwu? Nie ma nic oprócz pytań. Krzyczy do studni, ale nie odpowiada mu żadne echo.

I tak oto siedzi w pustej mnisiej *kuti* na terenie świątyni Wat Bowonniwet, czekając, aż klasztor Phra Kritiponga zgodzi się przyjąć go na resocjalizację. Jest ubrany w białą szatę nowicjusza. Nigdy nie awansuje do pomarańczowej. W życiu. Nie jest mnichem. Odbywa specjalną pokutę. Śledzi wzrokiem rdzawe plamy od wilgoci na ścianie, wykwitły pleśni i zgnilizny.

Na ścianie namalowany jest święty figowiec *bo*, pod nim siedzi szukający oświecenia Budda.

Cierpienie. Wszystko jest cierpieniem. Jaidee gapi się na święty figowiec. Jeszcze jeden relikwiarz przeszłości. Ministerstwu udało się z trudem ocalić kilka, nieliczne, które nie padły pod ciężarem mnożących się w środku koziorogów i nie poszły na podpałkę. Larwy chrząszczy ryły pod korą i mnożyły się w splełanych pniach drzewa, aż eksplodowały spod niej, lecąc we wszystkie strony, ku następnym ofiarom i następnym...

Wszystko przemija. Nawet święte drzewo *bo* nie trwa wiecznie.

Jaidee dotyka brwi, obmacując blade półksiężycy nad oczyma, gdzie kiedyś miał włosy. Jeszcze nie przyzwyczał się, że wszystko mu zgolili. Wszystko się zmienia. Patrzy na drzewo *bo* i Budkę.

Spałem. Przez cały czas spałem i niczego nie rozumiałem.

Lecz teraz, gdy wpatruje się w to drzewo, coś się zmienia.

Nic nie trwa wiecznie. *Kuti* to cela. Cela to więzienie. Siedzi w więzieniu, a ci, co zabrali Chayę, żyją, piją, bawią się z dziwkami i się śmieją. Nic nie jest trwałe. To podstawowa nauka Buddy. Ani kariera, ani urząd, ani żona, ani drzewo... Wszystko jest zmianą; zmiana to jedyna prawda.

Wyciąga rękę do malowidła, wodzi palcami po łuszczącej się farbie i zastanawia się, czy malarz użył jako modelu prawdziwego drzewa *bo*, czy miał szczęście żyć, kiedy jeszcze istniały, czy też oparł się na fotografii. Skopiował kopię.

Czy za tysiąc lat będą w ogóle wiedzieć, że istniały *bo*? Czy prawnuki Niwata i Surata będą wiedzieć, że istniały też inne gatunki figowców, które także wyginęły? Czy będą mieć świadomość, że było mnóstwo najrozmaitszych rodzajów drzew? Nie tylko tek Gatesa i genhakowany bananowiec PurCalu, lecz wiele, wiele innych?

Zrozumieją, że nie byliśmy dość szybcy i dość sprytni, by uratować je wszystkie? Że musieliśmy dokonać wyboru?

Grahamici wygłaszający kazania na ulicach Bangkoku cały czas gadają o swoim Piśmie Świętym i jego historiach o zbawieniu. O boddhisattwie Noem, który uratował wszystkie zwierzęta, drzewa i kwiaty, zabierając je na swoją wielką bambusową tratwę i pomógł im pokonać wodę, spiętrzywszy na tratwie wszystkie szczątki niszczonego świata, a sam wpatrywał ład. Ale teraz nie ma boddhisattwy Noego. Jest

tylko Phra Seub, który boleje nad stratami, ale niewiele może zrobić, żeby je powstrzymać, i mali Buddowie z błota w Ministerstwie Środowiska, którzy czystym trafem powstrzymują wzbierającą wodę.

Drzewo *bo* się rozmazuje. Jaidee ma policzki mokre od łez. Patrzy jednak na nie i na Buddę w medytacyjnej pozycji. Kto by pomyślał, że firmy kaloryczne zaatakują figowce? Kto by pomyślał, że wyginą i drzewa *bo*? *Farangowie* nie szanują niczego oprócz pieniędzy. Ociera łyzy. Głupotą jest myśleć, że cokolwiek będzie trwało wiecznie. Może przeminie i sam buddyizm.

Wstaje, owija się białą szatą nowicjusza. Pozdrowia *wai* łuszcząc się farbę Buddy pod drzewem, które zniknęło.

Na zewnątrz jasno świeci księżyc. Pali się kilka latarń na zielony metan, ledwo oświetlając ścieżki prowadzące pomiędzy zrekonstruowanymi drzewami tekowymi do bram klasztoru. Głupotą jest trzymać się rzeczy, których nie da się już odzyskać. Wszystko umiera. Chaya już dla niego umarła. Na tym polega zmiana.

Bram nikt nie pilnuje. Zakładają, że będzie posłuszny. Że będzie zebrał i błagał o jakąkolwiek nadzieję na powrót Chayi. Że pozwoli się złamać. W gruncie rzeczy, na jego losie już nikomu nie zależy. Spełnił swój cel. Zadał cios generałowi Prasze, sprawił, że całe Ministerstwo straciło twarz. Zostanie czy ucieknie, co za różnica?

Wychodzi na nocne ulice Miasta Bóstw i kieruje się na południe, ku rzece, ku Wielkiemu Pałacowi i połyskującym światłom miasta. Ku wałom, które nie pozwalają miastu utonąć pod klątwą *farangów*.

Przed nim wznosi się Świątynia ze Słupem Miasta ze lśniącym dachem. Podobizny Buddy rozmigotane ofiarnymi światełkami, spowite dymem słodkich kadzideł. To właśnie tu Rama XII obwieścił, że Krung Thep nie zostanie opuszczone.

Nie upadnie pod presją *farangów*, jak wiele stuleci temu Ayutthaya pod birmańskim najazdem.

Na tle skandowania dziewięciuset dziewięćdziesięciu dziewięciu odzianych w szafran mnichów Król oświadczył, że miasto zostanie uratowane i od tej chwili powierza jego los Ministerstwu Środowiska. Czyni ich odpowiedzialnymi za wybudowanie potężnych wałów i basenów pływowych chroniących miasto przed nagłymi monsunowymi powodziami i atakami tajfunów. Krung Thep się nie podda.

Jaidee idzie dalej, słuchając miarowego skandowania mnichów, którzy modlą się w każdą minutę dnia, wzywając potęgę duchów na pomoc Bangkokowi. Bywały chwile, że sam klękał na chłodnym marmurze świątyni, padał na twarz przed Słupem Miasta, błagając o pomoc Króla, duchów i wszystkich form życia i sił, jakie tylko zamieszkiwały miasto, zanim wyruszy robić, co do niego należy. Słup Miasta był dlań talizmanem. Napełniał go wiarą.

A dziś przechodzi obok w białej szacie i nawet się nie obejrzy.

Wszystko przemija.

Wędruje dalej ulicami, wchodzi w zatłoczoną dzielnicę przy *khlongu* Charoen. Woda cichutko chlupocze. O tej porze nocy nikt nie pływa po jej ciemnej powierzchni. Przed nim, na jednym z osłoniętych ganków migocze świeca. Podkrada się bliżej.

— Kanya!

Jego dawna porucznik odwraca się zaskoczona. Opanowuje się, ale Jaidee zauważa szok na swój widok: zapomniany człowiek bez jednego włosa na głowie, i bez brwi, szczerzący się do niej wściekle pod schodami do jej własnego domu. Zdejmuje sandały i wspina się po schodkach, biały jak duch. Wie, jak teraz wygląda — rozsuwając przepierzenie i wchodząc do środka, mimo woli dostrzega humor tej sytuacji.

— Myślałam, że już pojechałeś do dżungli — mówi Kanya.

Jaidee sadowi się obok niej, poprawiając szatę. Gapi się na śmierdzącą wodę *khlongu*. W płynnym księżycowym srebrze odbijają się gałęzie mangowca.

— Nie od razu znajdzie się klasztor, który chciałby się zbrukać kimś takim jak ja. Nawet Phra Kritipong dwa razy się zastanowi, kiedy chodzi o wroga Handlu.

Kanya się krzywi.

— Wszyscy tylko mówią, jak to oni idą w górę. Akkarat otwarcie mówi o pozwoleniu na import nakręcańców.

Jaidee się wzdryga.

— O tym nie słyszałem. *Parufarangów*, tak, ale...

— Z całym szacunkiem dla Królowej, ale nakręcańcy się nie buntują. — Kanya wbija kciuk w twardą skórę mangustanu. Oddziera fioletową skórę, w ciemności niemal czarną. — Torapee, który przymierza racicę do śladów ojca.

Jaidee wzrusza ramionami.

— Wszystko się zmienia.

Kanya wydyma usta.

— Jak walczyć z takimi pieniędzmi? Pieniądze to cała ich siła. Kto by tam pamiętał o swoich przełożonych? Kto by tam pamiętał o swoich zobowiązaniach, kiedy pieniądze nadchodzą wielką spienioną falą i napierają jak ocean na wały? — Znów ta skrzywiona mina. — Nie walczymy z wielką wodą. Walczymy z pieniędzmi.

— Pieniądze są atrakcyjne.

Teraz robi kwaśną minę.

— Nie dla ciebie. Ty byłeś mnichem, zanim jeszcze zesłali cię do *kuti*.

— Może dlatego taki kiepski ze mnie nowicjusz.

— Nie powinieneś siedzieć teraz w swojej *kuti*?

Jaidee szczyrzy zęby.

— Czuję się strasznie ograniczony.

Kanya nieruchomieje, patrzy ostro na Jaideego.

— To nie pokutujesz?

— Jestem wojownikiem, nie mnichem. — Wzrusza ramionami. — Siedzenie w *kuti* i medytowanie nic nie da. Dałem się zmylić co do tego. Bo pogubiłem się po stracie Chayi.

— Ona wróci, jestem pewna.

Jaidee uśmiecha się smutno do swojej podopiecznej, pełnej nadziei i wiary. Zadziwiająco, że ta kobieta, która tak mało się uśmiecha i widzi świat pełen melancholii, w tym przypadku — jednym jedynym — może wierzyć, że sprawy przybiorą pomyślny obrót.

— Nie. Nie wróci.

— Na pewno wróci!

Jaidee kręci głową.

— Zawsze myślałem, że to ty tu jesteś sceptyczką.

Kanya ma zbolałą minę.

Na wszystkie sposoby dałeś znać, że się poddajesz. Straciłeś twarz do końca. Muszą jąpuścić!

— Nie puszczą. Ona pewnie od dawna nie żyje. A ja chwyciłem się tej nadziei, bo strasznie ją kochałem.

— Nie wiesz, czy nie żyje. Może dalej ją gdzieś trzymają?

— Sama zauważyłaś, że straciłem już twarz. Gdyby to miała być nauczka, Chaya już by wróciła. To musiał być inny przekaz, niż nam się wydawało. — Jaidee kontempluje nieruchome wody *khlongu*. — Mam do ciebie prośbę.

— Co tylko zechcesz.

— Pożycz mi pistolet sprężynowy.

Kanya wytrzeszcza oczy.

— *Khun...*

— Nie bój się, oddam. Nie musisz iść ze mną. Potrzebna mi tylko dobra broń.

— Ja...

Jaidee się uśmiecha.

— Nic się nie bój. Nic mi się nie stanie. A nie ma powodu rujnować kariery dwóch osób.

— Idziesz zemścić się na Handlu.

— Akkarat musi zrozumieć, że Tygrys jeszcze ma zęby.

— Nawet nie wiesz, czy to Handel ją porwał.

— A kto inny? — Jaidee wzrusza ramionami. — Wielu wrogów sobie narobiłem, ale sprowadzają się do jednego. — Uśmiecha się. — Jest Handel i jestem ja. Głupi byłem, że dałem sobie wcisnąć, że jest inaczej.

— Idę z tobą.

— Nie. Zostajesz. Będziesz mieć na oku Niwata i Surata. Tylko o to proszę, pani porucznik.

— Proszę, nie rób tego. Pójdę błagać Prachę, pójdę nawet do...

Jaidee przerywa jej, zanim wymówi to plugawe imię. Był czas, kiedy dałby jej stracić twarz, pozwoliliby, żeby przeprosiny rozlały się kaskadami jak podczas monsunu, ale teraz już nie.

— Nic innego mi nie trzeba — mówi. — To wystarczy. Pójdę do Handlu i odpłacę im się. To *kamma*. Nie było mi pisane, by zachować Chayę na zawsze, ani jej mnie. Ale wydaje mi się, że pewne rzeczy da się zrobić, jeśli tylko ściśle trzymać się *kammy*. Każdy ma jakieś obowiązki. Wobec przełożonych, wobec podwładnych. — Wzrusza ramionami. — Miałem takie życie, miałem inne. Byłem chłopcem, mistrzem *muay thai*, ojcem i białą koszulą. — Zerka na fałdy białej szaty. — A nawet mnichem. — Uśmiecha się. — O mnie się nie bój. Muszę przejść jeszcze parę etapów, zanim skończę z tym życiem i pójdę spotkać się z Chayą. — Jego głos twardnieje. — Muszę pozalać sprawę i nie spocznię, dopóki tego nie zrobię.

Kanya spogląda nań udręczonym wzrokiem.

— Nie możesz iść sam.
Nie. Wezmę Somchaia.

* * *

Handel — to bezkarne Ministerstwo, to, które tak łatwo sobie z niego zadrwiło, ukradło mu żonę, zostawiając ziejącą ranę wielkości duriana.

Chaya.

Jaidee przypatruje się gmachowi. W obliczu tyłu jaskrawych świateł czuje się jak dzikus z dżungli, jak szaman z pogórza gapiący się na szturm armii megodontów. Na moment traci poczucie misji.

Trzeba by zobaczyć chłopców, myśli. Powinienem pójść do domu.

Mimo to, siedzi w ciemności, obserwując światła Ministerstwa Handlu, które wypala swoją kwotę węglową, jakby nigdy nie było Zapaści, jakby wokół nie było powstrzymujących ocean wałów.

Gdzieś w środku siedzi sobie człowiek i knuje. Człowiek, który wieki temu obserwował go ze skrajów lądowiska. Który splunął betelem i odszedł spacerowym krokiem, jakby Jaidee był zaledwie przeznaczonym do zgniecenia karaluchem. Który siedział koło Akkarata i w milczeniu obserwował jego upadek. On doprowadzi go na miejsce spoczynku Chayi. Ten człowiek jest kluczem. Gdzieś za tymi oświeconymi oknami.

Jaidee kryje się z powrotem w cieniu. Obaj z Somchaiem noszą ciemne cywilne ubrania, pozbawione wszelkich oznak, by lepiej wtapiać się w noc. Somchai jest szybki. Jeden z najlepszych. Bardzo groźny w zwarcu i cichy. Radzi sobie też z zamkami i, podobnie jak Jaidee, ma motywację.

Przypatruje się gmaszysku z poważną miną, prawie jak Kanya, kiedy się dobrze przyjrzeć. Wygląda na to, że wszyscy

powoli przejmują jej zachowanie. Taka robota. Jaidee zastanawia się, czy Tajowie naprawdę uśmiechali się kiedyś tak, jak mówią legendy. Za każdym razem, kiedy słyszał śmiech swoich synów, myślał sobie, że gdzieś w lesie rozkwitł przepiękny storczyk.

— Tanio się sprzedają — mruczy Somchai.

Jaidee kiwa energicznie głową.

— Pamiętam, jak Handel był tylko takim drobnym departamentem pod Rolnictwem, a teraz patrzcie no.

— To musisz być starszy, niż myślałem. Handel zawsze był duży.

— Nie. Taki departamencik. Zupełnie niepoważny. — Jaidee wskazuje nowy gmach z nowoczesną wentylacją konwekcyjną, z markizami i portykami. — To jest nowy świat, jeszcze raz od nowa.

Na balustradę wskakują dwa cheshire'y, żeby się myć. Jakby z nich szydziły. To znikają, to się pojawiają, nie dbają o to, że ktoś je zobaczy. Jaidee wyciąga sprężynowiec i celuje.

— To właśnie przyniósł nam Handel. Powinni mieć cheshire'a w herbie.

— Nie, czekaj.

Ogląda się na Somchaia.

— To nie szkodzi na karmę. One nie mają duszy.

— Krwawią jak każde inne zwierzę.

— To samo można powiedzieć o koziorogach.

Somchai pochyla głowę, ale nie odzywa się więcej. Jaidee marszczy czoło i chowa pistolet do kabury. Strata amunicji. Zdechną te, to przyjdą kolejne.

— Kiedyś chodziłem w patrolach, które truły cheshire'y — mówi w końcu Somchai.

— To też jesteś starszy, niż myślałem.

Somchai wzrusza ramionami.

— Miałem wtedy rodzinę.

— Nie wiedziałem.

— Cibiskoza 118.Aa. Szybko poszło.

— Pamiętam. Mój ojciec też na to umarł. Podła iteracja.

Somchai kiwa głową.

— Tęsknię za nimi. Mam nadzieję, że dobrze się odrodzili.

— Na pewno.

— Tylko nadzieja pozostaje. Dla nich poszedłem do klasztoru. Przez rok pokutowałem. Modliłem się. Składałem mnóstwo ofiar. Tylko nadzieja — powtarza.

Cheshire'y znów miauczą, a Somchai się im przypatruje.

— Zabiłem ich tysiące. Tysiące. W życiu zabiłem sześciu ludzi i nie było mi ich szkoda, a tysiąc cheshire'ów i nigdy się przy tym dobrze nie czułem. — Drapie się za uchem, po zaleczonym wykwieciafa'gan. - Czasem się zastanawiam, czy ta cibiskoza to nie była karmiczna zapłata za te wszystkie cheshire'y.

— To niemożliwe. One nie są naturalne.

— Rozmnażają się. Jedzą. Żyją. Oddychają. — Uśmiecha się.
— Mruczą, kiedy się je głaszcz.

Jaidee robi zbrzydzoną minę.

— Naprawdę. Dotykałem ich. Są prawdziwe. Tak jak ty i ja.

— To puste naczynia. Bez duszy w środku.

— Może i najstraszniejsze z tych japońskich potworów są w jakiś sposób żywe. Obawiam się, że Noi, Chart, Malee i Prem mogli się odrodzić jako nakręcańcy. Nie wszyscy są na tyle dobrzy, żeby zostać *phii* na czas Zapaści. Może niektórzy zostają nakręcańcami w japońskich fabrykach i tylko pracują, pracują, pracują, wiesz? W porównaniu z dawnymi czasami zostało tak mało ludzi, to gdzie poszły wszystkie te dusze? Może do Japończyków? Do nakręcańców?

Jaidee ukrywa zakłopotanie, jakie wywołuje w nim ta rozmowa.

— To niemożliwe.

— Może. Ale i tak nie mogę już polować na cheshire'y.

— No to zapolujmy na ludzi.

Po drugiej stronie ulicy otwierają się drzwi, wychodzi przez nie pracownik Ministerstwa. Jaidee już pędzi za nim sprintem przez ulicę. Obiekt podchodzi do stojaka z rowerami i pochyla się, żeby odpiąć koło. Pałka Jaideego wysuwa się zza paska. Człowiek unosi głowę, sapie ze zdumienia, a Jaidee już go dopada, zamierzając się pałką. Zdąży podnieść rękę. Jaidee odtrąca ją na bok i już jest wewnątrz gardy. Wali go pałką po głowie.

Dobiega Somchai.

— Szybki jesteś jak na swój wiek.

Jaidee się uśmiecha.

— Łap za nogi.

Taszcą ciało na drugą stronę, ukrywają w kałuży cienia pomiędzy metanowymi latarniami. Jaidee przeszukuje kieszenie. Pobrzękuje klucze. Szczerzy zęby, unosi łup. Szybko wiąże ofiarę, knebluje i zawiązuje jej oczy. Jeden cheshire podkrada się blisko, przygląda — mieniący się kształt, pręgowane futro, cień, kamień.

— Zjedzą go cheshire'y? — zastanawia się Somchai.

— Gdybyś się tym przejmował, to pozwoliłbyś mi je pozabijać.

Somchai rozważa te słowa, ale się nie odzywa. Jaidee kończy wiązać człowieka.

— Idziemy.

Przebiegają na drugą stronę ulicy i podkradają się do drzwi. Klucz od razu pasuje, są w środku.

W zalanych elektrycznym światłem pomieszczeniach Jaidee zwalcza chęć znalezienia wyłączników i pogrążenia całego Ministerstwa w ciemności.

— Głupota, żeby tak kazać wszystkim pracować do późna. Wypalać tyle węgla.

Somchai wzrusza ramionami.

— Nasz człowiek może tu być, nawet teraz.

— Jeśli ma szczęście, to go nie ma. — A jednak on też o tym pomyślał. Ciekawe, czy będzie w stanie się opanować, kiedy spotka mordercę Chayi. I czy powinien.

Prześlizgują się kolejnymi oświetlonymi korytarzami. Kręci się tu parę osób, ale nikt nie zwraca uwagi, kiedy przechodzą. Obaj idą pewnym krokiem, wyglądają na ludzi, którym się ustępuje. Jaidee pozdrawia mijanych ludzi szybkim skinieniem głowy. W końcu znajduje poszukiwany dział kadr. Przystają przed szklanymi drzwiami. Jaidee unosi pałkę.

— Szkło — zauważa Somchai.

— A co, spróbujesz?

Somchai przygląda się zamkowi, wyjmuje parę wytrychów, zabiera się do dłubania w zamku, manipulowania bębenkami. Jaidee stoi obok, niecierpliwiąc się. Korytarz jest zalany światłem.

Somchai dalej grzebie w zamku.

— E tam, daj spokój. — Jaidee zamierza się pałką. — Odsuń się.

Wybijanie szyby trwa moment; dźwięk niesie się echem i cichnie. Czekają na odgłos kroków, ale nic nie słyszą. Obaj wślizgują się do środka i zaczynają grzebać w szafkach. W końcu Jaidee znajduje teczki pracowników i następuje długi proces przyglądania się kiepskim zdjęciom, odkładania tych, które wyglądają znajomo, przesiewania, sortowania.

— Znał mnie — mruczy. — Patrzył prosto na mnie.

— Ciebie wszyscy znają — zauważa Somchai. — Jesteś sławny.

Jaidee się krzywi.

— Myślisz, że był na lądowisku, żeby coś zabrać? Czy po prostu przyszedł na kontrolę?

— Może chcieli coś z ładunku Carlyle'a. Albo z tego drugiego sterowca, który przerwał podejście i spadł w Okupowanej Lannie. Tysiąc różnych możliwości, nie?

— Mam! — Jaidee pokazuje zdjęcie. — To ten.

— Pewien jesteś? Jak dla mnie, tamten miał chudsza twarz.

— Jestem pewien.

Somchai marszczy czoło, zaglądając do teczki przez ramię Jaideego.

— Niski stopień. Nikt ważny. Żadnej władzy.

Jaidee kręci głową.

— Nie. Ma władzę. Widziałem, jak na mnie patrzył. Był obecny, kiedy mnie degradowali. — Marszczy czoło. — Nie ma adresu. Tylko „Krung Thep”.

Z zewnątrz dochodzi szuranie butów. W rozbitych drzwiach staje dwóch ludzi z wyciągniętymi sprężynowcami.

— Stać!

Jaidee chowa teczkę za plecami.

— Słucham? Jakiś problem?

Strażnicy wchodzi do środka, rozglądają się po pokoju.

— Coście za jedni?

Jaidee zerka na Somchaia.

— Zdaje się, mówiłeś, że jestem sławny?

Somchai wzrusza ramionami.

— Nie każdy lubi *muay thai*.

— Ale zakłady robią wszyscy. Na pewno przynajmniej obstawiali moje walki.

Strażnicy się zbliżają. Każą Jaideemu i Somchaiowi klęknąć. Gdy podchodzą, by ich obezwładnić, Jaidee atakuje łokciem. Trafia jednego z nich w brzuch. Obraca się i poprawia kolanem w głowę. Drugi strażnik wypuszcza strumień dysków, po czym Somchai uderza go w szyję. Pada, upuszczając pistolet; ze zmiażdżonej tchawicy dobiega bulgot. Jaidee łapie ocalałego strażnika, przyciąga go do siebie.

— Znasz tego człowieka? — Pokazuje zdjęcie.

Strażnik wytrzeszcza oczy i kręci głową, próbuje odczołgać się ku pistoletowi. Jaidee odkopuje go poza jego zasięg, potem kopie go w żebra.

— Gadaj, co o nim wiesz. Jest od was, od Akkarata.

Strażnik kręci głową.

— Nie!

Jaidee kopie go w twarz, raniąc do krwi. Mężczyzna skomli, Jaidee kuca obok niego.

— Gadaj, albo skończysz jak on.

Obaj zerkają na pierwszego, dławiącego się własną zmiażdżoną tchawicą.

— Gadaj — mówi Jaidee.

— Nie ma potrzeby.

Przy drzwiach stoi mężczyzna ze zdjęcia.

Przed nim, przez drzwi wbiegają strażnicy. Jaidee wyciąga pistolet, lecz oni strzelają pierwsii, dyski wbijają mu się w trzymającą broń rękę. Upuszcza pistolet. Leje się krew. Odwraca się, żeby pobiec do okna, lecz strażnicy go łapią, wywracając się na mokrym marmurze. Wszyscy padają, tworząc kłębowisko kończyn. Gdzieś daleko Jaidee słyszy krzyki Somchaia. Wykręcają mu ręce do tyłu. Spinają zatraskowymi rattanowymi kajdankami.

— Obwiążcie mu to! — rozkazuje ten człowiek. — Nie chcę, żeby się wykrwawił na śmierć.

Jaidee zerka w dół. Z ramienia płynie strumieniem krew. Strażnicy tamują krwawienie. Kręci mu się w głowie — nie jest pewien, czy to od utraty krwi, czy nagłego pragnienia zabicia wroga. Szarpnięciem stawiają go na nogi. Dołącza Somchai, krew cieknie mu z nosa, jedno oko ma zamknięte. Zęby czerwone. Za nim na podłodze leży nieruchomo dwóch strażników.

Mężczyzna przygląda się im obu. Jaidee odwzajemnia spojrzenie, nie odwraca wzroku.

— Kapitan Jaidee. Zdaje się, miałeś zostać mnichem.

Jaidee próbuje wzruszyć ramionami.

— W *kuti* miałem strasznie ciemno. Pomyślałem, że tutaj odbędę swoją pokutę.

Mężczyzna uśmiecha się lekko.

— Da się zrobić. — Kiwa na swoich ludzi. — Zabrać ich na górę.

Wyciągają ich obu z pokoju, wloką korytarzem. Docierają do windy. Prawdziwej, elektrycznej windy, ze świecącymi przyciskami i scenami z eposu Ramakin na ścianach. Każdy guzik to mała twarzyczka demona, a wokół krawędzi wymalowano cycate kobiety grające na *saw duang* i *jaka*. Drzwi się zasuwają.

— Jak się nazywasz? — pyta Jaidee.

Człowiek wzrusza ramionami.

— To nieistotne.

— Jesteś przydupasem Akkarata.

Nie odpowiada.

Drzwi się otwierają. Wychodzą na dach. Piętnaście pięter nad ziemią. Strażnicy popychają Jaideego i Somchaia na krawędź dachu.

— Jeszcze dalej — mówi mężczyzna. — Tu zaczekajcie. Na samym brzegu, żeby was było widać. Mierzą do Jaideego ze

sprężynowców i każą mu iść dalej, aż on i Somchai stają na samej krawędzi, skąd widać słaby poblask metanowych latarni w dole. Jaidee ocenia wysokość.

Czyli tak to jest stać oko w oko ze śmiercią. Gapi się w otchłań. Ulica jest daleko w dole. Powietrze czeka na niego.

— Co zrobiliście z Chaya?! — woła do mężczyzny.

— To dlatego tu przyszedłeś? Bo nie oddaliśmy jej na czas?

Jaidee czuje dreszcz nadziei. Czy to możliwe, żeby się mylił?

— Ze mną zróbcie, co chcecie. Ale ją puśćcie.

Mężczyzna jakby się zawahał. Czy to poczucie winy? Jaidee nie umie powiedzieć. Za daleko stoi. Czyli Chaya nie żyje, na pewno?

— Puśćcie ją i tyle. Ze mną zróbcie, co chcecie.

Mężczyzna nic nie mówi.

Jaidee zastanawia się, czy cokolwiek mógł rozegrać inaczej. Wchodzenie tutaj było czystą brawurą. Ale przecież ona i tak już przepadła. A ten facet żadną obietnicą, żadną drwiną nie zasugerował, że Chaya nadal żyje. Czy głupio zrobił?

— Ona żyje czy nie? — pyta.

Mężczyzna uśmiecha się nieznacznie.

— To musi boleć, że nie wiesz.

— Wypuśćcie ją.

— Jaidee, to nic osobistego. Gdyby był jakiś inny sposób... — Facet wzrusza ramionami.

Czyli ona nie żyje. Jaidee jest już pewien. To wszystko było zaplanowane. Nie trzeba było dawać się Prasze przekonać, że jest inaczej. Trzeba było uderzyć natychmiast, całą siłą swoich ludzi, dać Handlowi odczuć, jak smakuje zemsta. Odwraca się do Somchaia.

— Przykro mi z powodu tego wszystkiego.

Somchai wzrusza ramionami.

— Zawsze byłeś tygrysem. Taka twoja natura. Wiedziałem o tym, kiedy z tobą szedłem.

— Ale, Somchai, jeśli tu zginiemy...

Somchai się uśmiecha.

— To wrócisz jako cheshire.

Zaskoczony Jaidee nie potrafi powstrzymać parsknięcia śmiechem. Ten gulgocący odgłos jest całkiem przyjemny. Stwierdza, że nie może przestać. Śmiech wypełnia go, unosi w powietrze. Nawet strażnicy zaczynają się śmiać. Zerka na coraz szerszy uśmiech kolegi i radość jeszcze się podwaja.

Za nimi rozbrzmiewają kroki.

— Jakie rozbawione towarzystwo. Kupa śmiechu, jak na dwóch złodziejasków.

Jaidee ledwo może się opanować. Zapiera mu dech.

— To jakaś pomyłka. My tutaj pracujemy.

— Chyba nie. Odwracać się.

Jaidee się odwraca. Przed nim stoi Minister Handlu, Akkarat we własnej osobie. A po jego bokach... dobry humor ulatuje z Jaideego jak wodór ze sterowca. Po bokach stoi ochrona. Czarne Pantery. Elitarna królewska jednostka — trzeba się cieszyć szczególnymi względami Pałacu, żeby mieć takich na smyczy. Czuje mróz w sercu. W Ministerstwie Środowiska nikt nie ma takiej ochrony. Nawet sam generał Pracha.

Akkarat uśmiecha się lekko, widząc ten szok. Taksuje ich obu wzrokiem, jakby oglądał tilapie na targu, ale Jaidee nie przejmuje się tym. Wbija wzrok w bezimiennego człowieka z tyłu. Tego niepozornego. Tego... Nagle części układanki składają się w całość.

— Ty nie jesteś z Handlu — mruczy. — Jesteś z Pałacu.

Mężczyzna wzrusza ramionami.

— Co, kapitanie Jaidee, teraz trochę zabrakło odwagi? — odzywa się Akkarat.

— No widzisz, mówiłem, że jesteś sławny — mruczy Somchai.

Jaidee omal nie wybucha znowu śmiechem, choć wnioski z tego nowego spostrzeżenia są mocno bulwersujące.

— Naprawdę masz poparcie Pałacu?

— Handel idzie w górę. Somdet Chaopraya jest zwolennikiem polityki otwarcia.

Jaidee ocenia odległość między nimi. Za daleko.

— Jestem zdziwiony, że taki *heeya* jak ty odważył się podejść tak blisko do własnej brudnej roboty.

— Nie przegapiłbym czegoś takiego. — Akkarat się uśmiecha. — Dość kosztowny był z ciebie problem.

— I co, sam nas tam zepchniesz? — drwi Jaidee. — Splamisz sobie *kammę* moją śmiercią, *heeyo?* - Wskazuje brodą ludzi wokół. — Czy zrzucisz tę winę na swoich ludzi? Żeby w następnym życiu zostali karaluchami, żeby ich rozgniatano dziesięć tysięcy razy, zanim odrodzą się jako coś przyzwoitego? Krew na rękach za zabójstwo z zimną krwią. I wszystko dla zysku?

Przyboczni wiercą się nerwowo i zerkają po sobie. Akkarat patrzy nań wilkiem.

— To ty odrodzisz się jako karaluch.

— No to chodź. — Jaidee szczyrzy zęby. — Pokaż, że jesteś mężczyzną. Zepchnij bezbronnego człowieka.

Akkarat się waha.

— Co, jesteś papierowym tygrysem? — drwi Jaidee. — No dawaj. Pośpiesz się. Kręci mi się w głowie, jak tak stoję na samym brzegu.

Akkarat przypatruje mu się.

— Przesadziłeś, biała koszulo. Tym razem przesadziłeś.

Jaidee robi obrót. Unosi kolano, wali Ministra Handlu w żebra. Wszyscy zaczynają krzyczeć. Jaidee skacze jeszcze raz, ruchy ma płynne, jak kiedyś na stadionie. Jakby nigdy nie wyszedł z Lumpini. Nigdy nie przestał słyszeć tłumu kibiców i wrzasków hazardzistów. Kolanem miażdży nogę Ministra Handlu.

Pałą go stawy, nieprzyzwyczajone do takiego wyginania, ale nawet ze związanymi z tyłu rękami potrafi nadal machać kolanem jak mistrz. Kopie jeszcze raz. Minister Handlu stęka i zatacza się nad krawędź dachu.

Jaidee unosi stopę, by posłać Akkarata w przepaść, lecz plecy eksplodują mu bólem. Potyka się. W powietrze tryska krew. Rozdzierają go dyski ze sprężynowców. Gubi rytm. Leci ku niemu krawędź dachu. Kątem oka dostrzega, że Czarne Pantery łapią swojego szefa, odciągają go w bezpieczne miejsce.

Kopie jeszcze raz, licząc na łut szczęścia, ale w powietrzu słyszy świst kolejnych dysków, szmer rozkręcających się sprężyn plujących pociskami w jego ciało. Ukłucia bólu są gorące i głębokie. Uderza w skraj dachu. Pada na kolana. Próbuje jeszcze wstać, lecz teraz rozlega się jeden ciągły świst strzałów — strzelają już wszyscy; uszy wypełnia mu wysoki jęk uwalnianej energii. Nogi go nie słuchają. Akkarat ociera krew z twarzy. Somchai szarpie się z inną dwójką Panter.

Jaidee nawet nie czuje pchnięcia posyłającego go w przepaść.

Spada krócej, niż się spodziewał.

XVIII

Plotka roznosi się jak ogień po martwych drzewach regionu Isaan. Tygrys nie żyje. Handel ewidentnie rośnie w siłę. Hock Seng czuje ciarki, gdy w mieście zaczynają się napięcia. Facet sprzedający mu gazetę nie uśmiecha się. Dwójka białych koszul na patrolu patrzy spode łba na każdego przechodnia. Sprzedawcy warzyw nagle zaczęli rozglądać się ukradkiem na boki, jakby handlowali kontrabandą.

Tygrys nie żyje, podobno został też zhańbiony, choć zdaje się, że nikt nie zna konkretów. Naprawdę pozbawiono go męskości? Naprawdę zatknięto głowę przed Ministerstwem Środowiska jako ostrzeżenie dla białych koszul?

Wszystko to sprawia, że Hock Seng ma ochotę zabrać pieniądze i uciekać, lecz projekty w sejfie trzymają go przy biurku. Takich tendencji nie wyczuwał od czasów Incydentu.

Wstaje i podchodzi do okiennic. Wygląda na ulicę. Wraca do pedałowego komputera. Minutę później podchodzi do okna wychodzącego na halę, przygląda się pracującym na linii Tajom. Zupełnie jakby powietrze naelektryzowało się od błyskawic. Nadchodzi burza, trąby wodne i wielkie fale.

Niebezpieczeństwa poza fabryką i niebezpieczeństwa w środku. W połowie zmiany znów przychodzi smutno przygarbiona Mai. Kolejny chory robotnik pojechał do trzeciego szpitala, tym razem był to Sukhunwit. Na dole, wśród systemów napędowych fabryki, czai się coś groźnego, co dosięga ich wszystkich.

Skóra mu cierpnie, gdy pomyśli o warzącej się w tych kadziach zarazie. Trzech to za dużo na zbieg okoliczności. Jest

trzech, to będzie i więcej, chyba że zgłosi ten problem. Ale jeśli cokolwiek zgłosi, białe koszule spalą fabrykę do samej ziemi, projekty sprężyn pana Andersona pojedą z powrotem za ocean i wszystko przypadnie.

Słyszysz pukanie do drzwi.

— *Lai*.

Do biura wślizguje się Mai, wygląda na przerażoną i nieszczęśliwą. Czarne włosy ma rozczochrane. Ciemne oczy rozglądają się po pomieszczeniu, wypatrują śladów *faranga*.

— Poszedł na obiad — podpowiada Hock Seng. — Zawiozłaś Viyadę?

Mai kiwa głową.

— Nikt nie widział, jak ją podrzucam.

— Świetnie. To już coś.

Mai z nieszczęśliwą miną robi potwierdzające *wai*.

— Tak? Co jest?

— Wszędzie kręcą się białe koszule. Pełno ich. Na każdym skrzyżowaniu, przez całą drogę do szpitala.

— Zatrzymali cię? Wypytywali?

— Nie. Ale strasznie ich dużo. Więcej niż zwykle. I wyglądają na złych.

— Chodzi o Tygrysa i Handel. I tyle. Na pewno nie o nas. O nas nie wiedzą.

Kiwa z powątpiewaniem głową, ale nie wychodzi.

— Ciężko tu teraz pracować — mówi. — Zbyt niebezpiecznie. Bo choroba. — Jąka się, w końcu dodaje: — Przepraszam. Jeśli umrę... Przepraszam.

Hock Seng kiwa ze współczuciem głową.

— Oczywiście. Jeżeli będziesz chora, na nic się swoim nie zdasz.

W głębi serca zastanawia się, gdzie właściwie ona znajdzie bezpieczne miejsce. W nocy wciąż budzą go koszmary z

wieżowców-slumsów dla żółtych kart, trzęsie się wtedy i jest wdzięczny losowi za to, co ma. Wieżowce mają swoje własne choroby, bieda zabija swoich ludzi. Krzywi się, zastanawia, jak właściwie sam ma zrównoważyć lęk przed nieznaną chorobą ze stabilnością pracy.

Nie, ta praca wcale nie jest stabilna. Właśnie przez takie myślenie za późno wyjechał z Malajów. Bo nie chciał sam przed sobą przyznać, że ten kliper już tonie, i opuścić go, kiedy jeszcze miał głowę nad wodą. Mai jest bystra, a on tępy. Kiwa energicznie głową.

— Tak. Oczywiście. Powinnaś iść. Jesteś młoda. Jesteś Tajką. Coś sobie znajdziesz. — Zmusza się do uśmiechu. — Coś dobrego.

Mai się waha.

— Tak? — pyta on.

— Myślałam, że może dostanę ostatnią wypłatę.

— Oczywiście. — Hock Seng podchodzi do sejfu na drobną gotówkę, otwiera go, sięga do środka i wyciąga garść czerwonych papierków. W napadzie lekkomyślnej hojności, którego sam nie rozumie, wręcza jej cały ten plik. — Proszę. Weź.

Mai aż sapie, oszołomiona kwotą.

— *Khun*. Dziękuję. — Robi *wai*. - Dziękuję.

— Nie ma za co. Schowaj je dobrze. I uważaj...

Z hali dobiega krzyk, potem kolejne krzyki. Hock Seng czuje przyływ paniki. Linia staje. Rozlega się spóźniony dzwon na zatrzymanie.

Hock Seng biegnie do drzwi, wygląda na linie. Płoi macha ręką ku bramie. Inni schodzą ze stanowisk, także biegną ku bramie. Hock Seng wyciąga szyję, wypatrując przyczyny.

— Co się dzieje? — pyta Mai.

— Nie widzę. — Odwraca się i pędzi do okiennic, otwiera je szarpnięciem. Całą ulicę wypełniają maszerujące w równych szeregach białe koszule. Zaczepuje tchu. — Białe koszule.

— Idą do nas?

Hock Seng nie odpowiada. Ogląda się przez ramię na sejf. Gdyby było jeszcze trochę czasu... Nie. Głupi jest. Już raz w Malezji czekał za długo; drugi raz nie popełni tego samego błędu. Idzie do sejfu z drobną gotówką, wygarnia wszystkie pozostałe pieniądze. Wkłada je do torby.

— Przyszli przez tych chorych? — pyta Mai.

Hock Seng kręci głową.

— To nieważne. Chodź tutaj. — Podchodzi do kolejnego okna i otwiera okiennice, odsłaniając lśniący od słońca dach fabryki.

Mai zerka na gorące dachówki.

— Co to?

— Droga ucieczki. Żółte karty zawsze są gotowe na najgorsze. — Uśmiecha się, podsadzając ją. — No bo wiesz, jesteśmy paranoikami.

XIX

— Rozmawiając z Akkaratem, podkreśliłeś, że ta oferta jest ważna tylko przez jakiś czas? — pyta Anderson.

— Na co ty w ogóle narzekasz? — Carlyle przepija do Andersona szklanką ciepłego piwa ryżowego. — Nie kazał cię rozedrzeć megodontami.

— Mogę mu dać zasoby. A w zamian wcale dużo nie chcemy. Nie według standardów z przeszłości.

— Sprawy rozwijają się tak, jak chce. Może on nie uważa, że jesteś mu potrzebny. Nie teraz, kiedy białe koszule kłaniają się w pas i kłócą między sobą. Takich wpływów nie miał od czasu klęski z dwunastego grudnia.

Anderson robi gniewną minę. Sięga po szklankę, potem odstawia ją z powrotem. Ma dość ciepłego alkoholu. Jego mózg i tak jest otępiały i mętny od upalnego dnia, a jeszcze to Sato. Zaczyna już podejrzewać, że sir Francis chce pozbyć się *farangów* ze swojego lokalu, stopniowo zniechęcając ich pustymi obietnicami i ciepłą whiskey — „przykro mi bardzo, dziś nie ma lodu”. Garstka pozostałych klientów przy barze wygląda na tak samo nieprzytomnych od upału.

— Trzeba było się przyłączyć, jak pierwszy raz proponowałem — zauważa Carlyle. — Teraz byś się tak nie kisił.

— Kiedy pierwszy raz proponowałeś, byłeś tylko samochwałą, który właśnie stracił cały sterowiec.

Carlyle się śmieje.

— No, trochę nie pomyślałeś perspektywicznie, co?

Anderson nie reaguje na docinki. Pewnie, to denerwujące, że Akkarat tak łatwo odtrącił jego ofertę wsparcia, ale w istocie Anderson nie bardzo może się teraz skupić na pracy. Jego myśli i czas zaprzęta Emiko. Co wieczór znajduje ją w Ploenchit, monopolizuje, obsypuje bahtami. Nawet przy chciwości Raleigha towarzystwo nakręcanki jest tanie. Za parę godzin zajdzie słońce i ona znów będzie podrygiwać na scenie. Gdy pierwszy raz oglądał jej występ, zauważyła go i wbiła weń wzrok, błagając, by uratował ją przed tym, co się zaraz wydarzy.

— Moje ciało nie należy do mnie — powiedziała beznamiętnym głosem, kiedy zapytał o te występy. — Ci ludzie, którzy mnie zaprojektowali, każą mi robić rzeczy, nad którymi nie panuję. Jakbym miała w środku ich ręce. Jak pacynka. — Zaciśnięte pięści podświadomie rozwierają się i zamykają, ale głos ma nadal przygaszony. — Każą mi być posłuszną, pod każdym względem.

Po czym uśmiechnęła się pięknie i wplynęła mu w ramiona, jakby nigdy ani trochę się nie skarżyła.

Jest zwierzęciem. Służalcza jak pies. A jednak, kiedy uważa, żeby nie wydawać jej poleceń, zostawić między nimi otwartą przestrzeń, ukazuje się inna wersja nakręcanki. Przepiękna i rzadka jak żywe drzewo *bo*. Jej dusza, wydostająca się z dławiących więzów przekonstrowanego DNA.

Ciekawe, czy gdyby była prawdziwą osobą, bardziej by się oburzał, że jest tak maltretowana. Osobliwa sprawa, być z wyprodukowaną osobą, stworzoną i wytresowaną, żeby służyć. Sama przyznaje, że jej dusza walczy sama ze sobą. Że nie do końca wie, które jej elementy są własne, a które genetycznie przeszczepione. Czy ta gorliwość służenia pochodzi z odcinków psiego DNA, wskutek których zawsze myśli, że reszta ludzi przewyższa ją pozycją w stadzie? Czy po prostu to wyszkolenie, o którym wspominała?

W myśli Andersona wkracza odgłos maszerujących buciorów. Carlyle prostuje się z obwisłej pozycji, wyciąga szyję, chcąc dojrzeć zamieszanie. Anderson odwraca się i omal nie wywraca piwa.

Ulicę wypełniają białe mundury. Piesi, rowery i wózki z jedzeniem rozpierzchają się na boki, gorączkowo przywierając do ścian ruin i fabryk, ustępując miejsca siłom Ministerstwa Środowiska. Anderson wyciąga szyję. Jak okiem sięgnąć, sprężynowe karabiny, czarne pałki, lśniące białe mundury. Maszerujący naprzód niekończący się smok determinacji. Stanowcza twarz państwa, które nigdy nie dało się podbić.

— Jezusie i Noe — mruczy Carlyle.

Anderson przypatruje się uważnie.

— Sporo tych białych koszul.

Na jakiś nieznany sygnał dwie białe koszule odłączają się od grupy i wchodzą do sir Francisca. Z ledwie skrywanym obrzydzeniem przyglądają się rozwalonym w upale *farangom*.

Sir Francis, zwykle nonszalancki i roztargniony, przybiega natychmiast i wita ich głębokim *wai*.

Anderson wskazuje podbródkiem drzwi.

— Trzeba lecieć, nie?

Carlyle ponuro kiwa głową.

— Ale żeby się za bardzo nie rzucać w oczy.

— Na to trochę za późno. Myślisz, że ciebie szukają?

Carlyle ma spiętą minę.

— Właściwie miałem nadzieję, że raczej ciebie.

Sir Francis kończy rozmawiać z białymi koszulami. Odwraca się i woła do klientów:

— Bardzo mi przykro! Jest zamknięte! Wszystko zamknięte. Macie natychmiast wyjść.

Anderson i Carlyle wstają chwiejnie.

— Nie trzeba mi było tyle pić — mamrocze Carlyle.

Człapią na zewnątrz razem z resztą bywalców. Wszyscy stają w oślepiającym blasku, mrugają głupkowato, a przed nimi przelewają się kolejne szeregi białych koszul. Powietrze wypełnia tupot butów. Odbija się echem od ścian. Rezonuje zapowiedzią przemocy.

Anderson nachyla się do ucha Carlyle'a.

— To chyba nie jest jakaś kolejna manipulacja Akkarata, co? Nic w rodzaju twojego sterowca?

Carlyle nie odpowiada, ale ponury wyraz twarzy mówi Andersonowi wszystko, co chce wiedzieć. Ulicę wypełniają setki białych koszul i cały czas przychodzą kolejne. Rzeka mundurów nie ma końca.

— Musieli ściągnąć posiłki z prowincji. Nie ma mowy, żeby tyłu ich pracowało w mieście.

— To pierwsza linia w Ministerstwie, goście od podpalania — mówi Carlyle. — Kiedy cibiskoza albo ptasia grypa wydadzą się spod kontroli. — Chce coś pokazać, ale opuszcza dłoń, by nie zwracać na siebie uwagi. Pokazuje głowę. — Widzisz te naszywki? Tygrys i pochodnia? To batalion samobójców. Tygrys z Bangkoku u nich zaczynał.

Anderson kiwa ponuro głową. Co innego narzekać na białe koszule, żartować z ich głupoty i pazerności na łapówki, a co innego widzieć, jak maszerują w śnieżnobiałych szeregach. Od tupotu buciorów drży ziemia. Unosi się pył. Ulicą niesie się pogłos; jest ich coraz więcej i więcej. Anderson czuje niemal niepokonane pragnienie ucieczki. To drapieźniki. A on jest ofiarą. Ciekawe, czy Peters i Lei zostali w Finlandii przynajmniej tak ostrzeżeni, zanim wszystko trafił szlag.

— Masz jakąś broń? — pyta Carlyle'a.

Ten kręci głową.

— Więcej z tego kłopotu niż pożytku.

Anderson rozgląda się za Lao Gu.

— Wcięło mojego riksarza.

— Cholerne żółte karty. — Carlyle się śmieje. — Zawsze wyczują pismo nosem. Założę się, że w całym tym mieście nie ma ani jednej żółtej karty, która by się teraz gdzieś nie schowała.

Anderson chwyta go za łokieć.

— Idziemy. Staraj się nie zwracać na siebie uwagi.

— Gdzie idziemy?

— Wyczuć pismo nosem. Zobaczyć, co się dzieje.

Prowadzi go boczną uliczką, kierując się do głównego transportowego *khlongu*, kanału prowadzącego ku morzu. Prawie od razu natrafiają na kordon białych koszul. Pilnujący unoszą sprężynowe karabiny i odganiają ich stamtąd.

— Chyba zabezpieczają całą tę dzielnicę — mówi Anderson. — Śluzy. I fabryki.

— Kwarantanna?

— Gdyby przyszli palić, mieliby maski.

— Czyli to zamach stanu? Kolejny dwunasty grudnia?

Anderson zerka na Carlyle'a.

— Trochę wcześniej w stosunku do planu, nie?

Carlyle przypatruje się białym koszulom.

— Może jednak generał Pracha wyprzedza nas o krok.

Anderson ciągnie go w przeciwną stronę.

— Chodź. Idziemy do mojej fabryki. Może Hock Seng będzie coś wiedział.

Wzdłuż całej ulicy białe koszule biegają i popędzają sklepikarzy, żeby zamykali. Już ostatni z nich kończą zasłaniać wejścia do sklepów deskami. Przymaszerowuje kolejna kompania białych koszul.

Anderson i Carlyle docierają do fabryki SpringLife w samą porę, by zobaczyć wyprowadzane przez główną bramę megodonty. Anderson łapie jednego z poganiaczy. Ma hut

zatrzymuje swoje zwierzę i patrzy na Andersona, podczas gdy megodont parska i przestępuje niecierpliwie z nogi na nogę. Robotnicy strumieniem obchodzą przeszkodę z obu stron.

— Gdzie jest Hock Seng? — pyta Anderson. — Wasz kierownik z żółtą kartą. Gdzie?

Człowiek kręci głową. Wybiegają kolejni robotnicy.

— Przychodziły tu białe koszule? — pyta.

Mężczyzna odpowiada coś, za szybko, by Anderson zrozumiał. Carlyle tłumaczy:

— Mówi, że białe koszule przyszły się zemścić. Odzyskać twarz.

Mężczyzna macha kategorycznie dłonią i Anderson schodzi mu z drogi.

Należąca do Chaozhou fabryka po drugiej stronie ulicy także ewakuuje robotników. Pozamykane są już wszystkie sklepy. Wózki z jedzeniem zostały pochowane albo pośpiesznie odstawione gdzieś daleko. Zamknięte są wszystkie drzwi. Paru Tajów wygląda przez okna z piętér, ale na ulicy znajdują się tylko rozbiegający się robotnicy i maszerujące białe koszule. Przebiegają ostatni robotnicy SpringLife; żaden z nich, uciekając, nie patrzy na Lake'a ani Carlyle'a.

— Z każdą minutą coraz gorzej — mruczy Carlyle. Twarz zbladła mu pod tropikalną opalenizną.

Zza rogu wyłania się kolejna fala białych koszul, w szeregach po sześciu, jak wąż wyciągający się na całą długość ulicy.

Na widok pozamykanych sklepów Anderson dostaje gęsiej skórki. Jakby przygotowywali się do tajfunu.

— Róbmy to, co tubylcy, i chodźmy do środka. — Chwyta się ciężkich żelaznych wrót i pcha. — Pomóż.

Dopiero we dwóch są w stanie zamknąć bramę i zablokować ją sztabami. Anderson zamyka zasuwę i dysząc, opiera się o rozgrzaną blachę. Carlyle przygląda się sztabom.

— Jesteśmy bezpieczni? Czy znaleźliśmy się w pułapce?

— Jeszcze nie siedzimy w więzieniu Khlong Prem. Możemy więc przyjąć, że na razie wygrywamy.

Jednakże w głębi duszy nie jest tego pewien. Zbyt wiele tu zmiennych — zaczyna się denerwować. Przypomina mu się Missouri, gdzie kiedyś grahamici wywołali zamieszki. Były napięcia, jakieś niewielkie wiece, a potem wszystko eksplodowało i zaczęli palić uprawy. Nikt nie przewidział wybuchu przemocy. Żaden oficer wywiadowczy nie dostrzegł gotującego się pod powierzchnią kotła.

Anderson wylądował wtedy na szczycie elewatora, dusił się dymem z buchających płomieniami pól MegaPlonu, co jakiś czas strzelał do uczestników rozruchów ze sprężynowej strzelby, którą udało mu się odebrać powolnemu ochroniarzowi, i bez przerwy zastanawiał się, jak to możliwe, że nikt nie dostrzegł, że coś takiego się kroi. Przez tę ślepotę stracili przetwórnię. I teraz to samo. Nagły wybuch i niespodziewana świadomość, że świat, jakim go rozumie, nie przypomina tego, w którym rzeczywiście mieszka.

Czy to Pracha? Sięga po absolutną władzę? Albo Akkarat robi kolejne zamieszanie? Czy po prostu nowa epidemia? To może być cokolwiek. Patrząc na przelewające się szeregi białych koszul, niemal czuje smród dymu palących się spichlerzy i MegaPlonu.

Gestem zagania Carlyle'a do fabryki.

— Znajdziemy Hock Senga. Kto jak kto, ale on na pewno będzie coś wiedział.

Biuro na górze jest puste. Kadzidło Hock Senga tli się, snując szare jedwabiste smużki dymu. Na biurku rozrzucone papiery, szeleszczące w delikatnym powiewie nakręcanych wiatraków.

Carlyle śmieje się, basowo i cynicznie.

— Co, wcięło ci asystenta?

— Na to wygląda.

Sejf na drobną gotówkę jest otwarty. Anderson zerka na półki. Zginęło co najmniej trzydzieści tysięcy bahtów.

— Cholera. Skurczybyk mnie okradł.

Carlyle popycha okiennicę, ukazując ciągnącą się przez całą długość hali połać dachówek.

— Zobacz no.

Anderson marszczy brwi.

— Ciągle tu grzebał przy zasuwach. Myślałem, że boi się, że ktoś tędy wejdzie.

— A tymczasem sam tędy zwiął. — Carlyle się śmieje. — Trzeba go było wywalić przy pierwszej okazji.

Z zewnątrz echo niesie tupot kolejnych buciorów — jedyny odgłos dochodzący teraz z ulicy.

— Przewidujący był, punkt dla niego.

— Wiesz, co mówią Tajowie? Jak widzisz, że żółta karta biegnie, wypatruj za nią megodonta.

Anderson ostatni raz rozgląda się po biurze, potem wychyla się przez okno.

— Chodź. Zobaczymy, gdzie poszedł mój asystent.

— Poważnie?

— Skoro on nie chciał spotykać białych koszul, to my też nie. I wyraźnie miał jakiś plan. — Podciąga się na parapet i gramoli na słońce.

Dachówki parzą w ręce. Prostuje się, potrząsa nimi. Czuje się, jakby stał na patelni. Rozgląda się po dachu, oddychając płytko powietrzem rozżarzonym jak wielki piec. Po drugiej stronie dachu zaprasza fabryka Chaozhou. Anderson podchodzi kilka kroków, po czym odwraca się i woła:

— Tak. Chyba tam poszedł!

Carlyle wyłazi na dach. Pot lśni mu na twarzy i przesącza się przez koszulę. Idą po czerwonych dachówkach przez gotujące się powietrze. Stają na krawędzi dachu, mając pod sobą zaułek, oddzielony zakrętem od alei Thanon Phosri. Po drugiej stronie przepaści wisi prowadząca na ziemię drabina.

— Niech mnie szlag.

Obaj gapią się na uliczkę trzy piętra pod nimi.

— Ten stary Chinol to przeskoczył? — pyta Carlyle.

— Na to wygląda. A potem zszedł po drabinie. — Anderson wychyla się za krawędź. — Wysoko. — Nie może się powstrzymać od ponurego uśmiechu na myśl o pomysłowości Hock Senga. — Stary cwaniak.

— Długi skok.

— Nie taki straszny. Zresztą, skoro Hock Seng...

Nie kończy zdania. Carlyle pędzi obok, przeskakuje nad uliczką. Ląduje ciężko, przetacza się po dachu. Po chwili wstaje wyszczerzony i macha na Andersona.

Anderson chmurzy się, bierze rozbieg i także skacze. Przy lądowaniu aż grzechoczą mu zęby. Kiedy wstaje, Carlyle już znika z dachu, schodzi po drabinie. Anderson idzie za nim, oszczędzając posiniaczone kolano. Gdy ląduje obok Carlyle'a, ten rozgląda się po uliczce.

— W tamtą stronę wychodzi na Thanon Posri, gdzie urzędują nasi przyjaciele — mówi Carlyle. — Tam nie chcemy.

— Hock Seng jest paranoikiem — odpowiada Anderson. — Musiał mieć opracowaną jakąś drogę. I na pewno nie głównymi ulicami. — Rusza w przeciwnym kierunku. Prawie natychmiast ukazują się szczelina między ścianami dwóch fabryk.

Carlyle kiwa z podziwem głową.

— No nieźle.

Wciskają się w wąski przesmyk, pokonują tak ponad sto metrów, wreszcie docierają do drzwi z zardzewiałej blachy.

Odpychają zaimprovizowaną bramę; staruszka unosi wzrok znad beli mokrych ubrań. Wychodzą na coś w rodzaju podwórka. Wszędzie wisi pranie, promienie słońca tworzą tęczę, przeciskając się przez wilgotne tkaniny. Staruszka kiwa na nich, pokazując, że mają przejść koło niej.

Chwilę później wychodzą na maleńką *soi*, która z kolei zamienia się w ciąg labiryntowych zaułków, wijących się przez prowizoryczne slumsy, gdzie mieszkają kulisi pracujący na śluzach, transportujący na statki towary z fabryk. Kolejne mikrouliczki, robotnicy zgarbieni nad makaronem i smażoną rybą. Budy zbite z WeatherAll. Pot, półmrok pod przewieszonymi daszkami. Gryzący dym przypalanych papryczek zmusza do kaszlu i zakrycia ust. Pełzną dalej przez upał.

— Gdzie my, kurna, jesteśmy? — mruczy Carlyle. — Kompletnie mi się pokręciło.

— A czy to ważne?

Mijają leżące, nieprzytomne od upału psy i cheshire'y usadowione na kupach odpadków. Pot spływa Andersonowi po twarzy. Dawno wypocił popołudniowy alkohol. Kolejne ciemne zaułki, wąskie przejścia, zakręty i wygibasy, przeciskanie się między rowerami, blachą ze złomu i folią z kokosowego polimeru.

Zaułek otwiera się na ulicę. Wychodzą pod diamentowy blask. Anderson bierze haust stosunkowo świeżego powietrza, ucieszony, że skończył się klaustrofobiczny labirynt. Ulica nie jest duża, ale coś po niej jeździ.

— Skądś znam to miejsce — mówi Carlyle. — Tu gdzieś jest jakiś sprzedawca kawy, do którego lubi chodzić jeden mój pracownik.

— I przynajmniej nie ma białych koszul.

— Muszę się dostać do hotelu Victory — mówi Carlyle. — Mam tam forszę w sejfie.

— A ile warta jest twój a głowa?

Carlyle się krzywi.

— Hm. Może i masz rację. Ale przynajmniej muszę się skontaktować z Akkaratem. Dowiedzieć się, o co chodzi. Ustalić kolejny ruch.

— Zniknął i Hock Seng, i Lao Gu — mówi Anderson. — Na razie zachowujemy się jak żółte karty i gdzieś się przyczajmy. Może pojedziemy rikszą do *khlongu* Sukhumvita i potem łódką do mnie. Z dala od wszystkich fabryk i firm. I z dala od cholernych białych koszul.

Macha na rikszarza i po chwili gramolą się do pojazdu. Nawet nie chce mu się targować.

Z dala od białych koszul może się wreszcie rozluźnić. Niemal głupio mu za wcześniejszy strach. Może mogli po prostu przejść ulicą i nikt by ich nie zatrzymywał? Nie trzeba było ganiać po dachach. Może... Kręci głową, sfrustrowany. Za mało informacji.

Hock Seng nie czekał. Zgarnął forszę i zwiął. Anderson znów zastanawia się nad starannie zaplanowaną drogą ucieczki. I ten skok... Nie może się powstrzymać od parsknięcia śmiechem.

— Z czego się tak cieszysz?

— A z niczego. Z Hock Senga. Wszystko rozpracował. Wszystko zaplanował. Pojawiają się kłopoty i fiuuuu, już jest za oknem.

Carlyle szczyrzy zęby.

— Też nie wiedziałem, że pracuje u ciebie geriatryczny ninja.

— Myślałem... — Anderson nie kończy.

Ruch uliczny zwalnia. Daleko w przodzie miga mu coś białego. Wstaje, żeby się lepiej przyjrzeć.

— Cholera.

Ruch blokuje wykrochmalona biel mundurów Ministerstwa Środowiska. Obok niego podnosi się Carlyle.

— Kontrola?

— Wygląda na to, że chodzi nie tylko o fabryki. — Anderson ogląda się za siebie, wypatruje odwrotu, ale za nimi spiętrzają się kolejni piesi i rowerzyści, blokując drogę.

— I co, uciekamy? — pyta Carlyle.

Anderson rozgląda się po tłumie. Rikszarz obok staje na pedałach, przygląda się, po czym siada na siodełku i niecierpliwie dzwoni dzwonkiem. Ich rikszarz przyłącza się do dzwonienia.

— Chyba nikt się tym nie przejmuje.

Wzdłuż ulicy, Tajowie targują się nad przyzmami śmierdzących durianów, koszykami trawy cytrynowej i bulgocącymi wiadrami z rybami. Też nie wyglądają na przejętych.

— Co, idziemy na bezczelnego? — pyta Carlyle.

— Skąd mam, kurna, wiedzieć? To jakiś pokaz siły Prachy?

— Mówiłem ci: Pracha już nie ma zębów.

— Nie wygląda na to.

Wyciąga szyję, próbując dostrzec, co tamuje ruch. Z tego co widzi, ktoś chyba kłóci się z białymi koszulami, wymachując rękoma. Taj, ciemna, mahoniowa cera, błysk złotych pierścieni na kciukach. Anderson wytęża słuch, ale słowa giną wśród niecierpliwych dzwonek coraz większej liczby rowerzystów.

Tajowie chyba uważają, że to nic więcej niż tylko irytujący uliczny korek. Nikt się nie boi, po prostu się niecierpliwią. Dzwonią i pobrzękują kolejne dzwonki, otaczając go muzyką.

— O... kur... wa — mamrocze Carlyle.

Białe koszule ściągają kłóćącego się faceta z roweru. Padając, trzepocze rękami. W słońcu błyskają pierścienie na

kciukach, po czym znika w kłębowisku białych koszul. Hebanowe pałki unoszą się i opadają. Bryzga z nich połyskująca krew.

Ulicę wypełnia skowyt, jak psi.

Wszyscy rowerzyści natychmiast przestają dzwonić. Ulica cichnie, każdy odwraca się, żeby zobaczyć, co się dzieje. W ciszy doskonale słycać błagalne jęki katowanego człowieka. Wokół wierci się i sapie setka ciał. Ludzie zerkają na boki, zdenerwowani, jak stado kopytnych, które nagle odkryło wśród siebie drapieznika.

Tępe uderzenia pałek rozlegają się nadal.

W końcu jęki człowieka cichną. Białe koszule się prostują. Jeden z funkcjonariuszy się odwraca i wznawia ruch — niecierpliwym, rzeczowym gestem, jakby poganiał ludzi, którzy zatrzymali się, żeby pogapić się na kwiaty podczas święta. Rowerzyści z wahaniem ruszają. Ulica się odkorkowuje. Anderson opada na siedzenie.

— Jezus.

Rikszarz staje na pedałach. Ruszają. Carlyle ma twarz spiętą z niepokojem. Zerka to w lewo, to w prawo.

— Ostatnia szansa, żeby uciec.

Anderson nie może oderwać oczu od zbliżających się białych koszul.

— Będziemy się rzucać w oczy, jeśli zaczniemy zwiewać.

— Jesteśmy, kurwa, *farangami*. I tak rzucają się w oczy.

Piesi i rowerzyści przesuwają się o krok, przeciskają obok zwężenia, mijają zmasakrowane ciała.

Wokół niego stoi szóstka białych koszul. Z głowy człowieka płynie krew. Wokół czerwonych strużek już brzęczą oblepione skrzydełka much, toną w nagłej obfitości kalorii. Na uboczu siedzi czujny cheshire, oddzielony od krzepnącej kałuży płotem

z białych mundurowych nogawek. Wszystkie są ochlapane krwią, pochłonęły czerwone pocałunki energii kinetycznej.

Anderson przygląda się tej scenie. Carlyle odchrząkuje nerwowo.

Jedna z białych koszul unosi wzrok na ten odgłos, ich spojrzenia spotykają się. Anderson nie wie, ile czasu tak się na siebie gapią, ale nienawiść w oczach funkcjonariusza z pewnością nie jest urojona. Biała koszula unosi wyzywająco brew. Poklepuje się pałką po nogawce, zostawiając krwawą smugę.

Kolejny cios pałki, biała koszula szarpie głową w bok, wskazując, że Anderson powinien odwrócić wzrok.

XX

Śmierć to tylko etap. Tymczasowość. Faza przejściowa przed kolejnym życiem. Kanya wyobraża sobie, że jeśli pomedytuje nad tą ideą wystarczająco długo, w końcu ją sobie przyswoi — naprawdę jednak Jaidee nie żyje, nigdy się już nie spotkają i mimo wszystkiego, czym zapracował sobie na kolejne życie, mimo kadzideł i modlitw Kanyi, Jaideego już nigdy nie będzie, nigdy nie spotka żony, a jego dwaj waleczni synowie wszędzie będą widzieć tylko stratę i cierpienie.

Cierpienie. Ból to jedyna prawda. Ale maluchy niech się śmieją, niech mają wygody — choć to pragnienie chuchania na własne dziecko przywiązuje rodzica do karmicznego koła, to co z tego? Dziecko należy rozpieszczać. Tak sobie właśnie myśli, jadąc rowerem przez miasto do Ministerstwa i schroniska, gdzie umieszczono potomków Jaideego: dzieciom należy pobbłażać.

Ulice patrolują białe koszule. Są tu tysiące jej kolegów — blokują dostęp do klejnotów koronnych Handlu i ledwo opanowują wściekłość, którą czują wszyscy w Ministerstwie.

Upadek Tygrysa. Zamordowanie ojca ich wszystkich. Upadek świętego za życia.

To boli, jakby na nowo stracili Seuba Nakhasathiena. Ministerstwo Środowiska go opłakuje, a miasto będzie go opłakiwać razem z nimi. A jeśli wszystko pójdzie według planu generała Prachy, w żałobie znajdzie się także Handel i Akkarat. Handel w końcu przeciągnął strunę. Nawet Bhirombhakdi mówi, że za tę zniewagę ktoś musi zapłacić.

Przy bramie Ministerstwa okazuje przepustki i wchodzi do kompleksu. Jedzie po wyłożonych ceglami ścieżkach między drzewami tekowymi i bananowcami, do kwater. Rodzina Jaideego zawsze mieszkała skromnie. Tak skromnie, jak skromny był on sam. Teraz niedobitki tej rodziny muszą gnieździć się w czymś nieskończenie mniejszym. Gorzki koniec wielkiego człowieka. Zasługiwał na coś lepszego niż te zapleśniałe betonowe koszary.

Dom Kanyi jest dużo większy niż dom Jaideego, a przecież mieszka sama. Opiera rower o ścianę i patrzy na koszary. Jeden z kilku opuszczonych przez Ministerstwo budynków. Przed wejściem kępa chwastów i połamana huśtawka. Niedaleko zarośnięte boisko do *sepak takraw* dla pracowników Ministerstwa. O tej porze nikt nie gra, siatka luźno zwisa w upale.

Kanya staje przed sypiącym się budynkiem, obserwuje bawiące się dzieci. Nie ma tu synów Jaideego. Surat i Niwat zapewne siedzą w domu, pewnie już przygotowują pogrzeb, wołają mnichów, żeby śpiewali i pomogli jego duszy pomyślnie przejść do kolejnego wcielenia. Nabiera powietrza. Naprawdę nieprzyjemne zadanie.

Dlaczego ja? — zastanawia się. Czemu ja? Czemu to ja musiałam pracować z bodhisattwą? Czemu zostałam wybrana?

Zawsze podejrzewała, że Jaidee wiedział o dodatkowej łapówce, jaką wzięła dla siebie i swoich ludzi. Ale to cały Jaidee — czysty, nieskazitelny Jaidee. Wykonywał swoją robotę, bo szczerze w nią wierzył. Nie to co Kanya. Cyniczna Kanya. Gniewna Kanya. Nie jak inni, którzy szli do tej pracy, bo zapowiadały się dobre zarobki, a i dziewczyny zwracały uwagę na faceta w galowej bieli, faceta, który do tego miał prawo pozamykać im stragany z *pad thai*.

Jaidee walczył jak tygrys, a zginął jak złodziej. Poćwiartowany, wypatroszony, rzucony psom, cheshire'om i

wronom tak, że niewiele z niego zostało. Jaidee, z członkiem w ustach i zakrwawioną twarzą, dostarczony w paczce na teren Ministerstwa. Jak wypowiedzenie wojny — gdyby tylko Ministerstwo miało pewność, kto jest wrogiem. Wszyscy szepczą, że to Handel, ale tylko Kanya wie na pewno. Informacje o ostatniej misji Jaideego zachowała dla siebie.

Aż pali ją ta hańba. Rusza po schodach. Serce dudni jej w piersi. Czemu ten przeklęty, honorowy Jaidee musiał wścibiać nos w sprawy Handlu? I nie słuchał ostrzeżeń? Teraz ona musi odwiedzać jego synów. Mówić chłopaczkom-wojownikom, że ojciec świetnie walczył i miał czyste serce. A teraz proszę mi wydać jego sprzęt. Dziękuję bardzo. W końcu jest on własnością Ministerstwa.

Puka do drzwi. Schodzi z powrotem po schodkach, żeby zdążyli się ogarnąć. Drzwi otwiera jeden z chłopaków, chyba Surat, wita ją głębokim *wai* i woła do środka:

— To Starsza Siostra Kanya!

Zaraz w drzwiach pojawia się teściowa Jaideego. Kanya robi *wai*, starsza pani jeszcze głębsze, po czym ją wpuszcza.

— Przepraszam, że was niepokoję.

— Żaden kłopot. — Ma czerwone oczy. Dwaj chłopcy patrzą na nią poważnie. Wszyscy niepewnie trzymają się razem. Staruszka mówi w końcu: — Pewnie będzie pani chciała zabrać jego rzeczy.

Kanya jest tak zażenowana, że nie jest w stanie odpowiedzieć, ale kiwa głową. Teściowa prowadzi ją do środka, do sypialni. Ogólny bałagan świadczy o jej rozpaczy. Chłopcy patrzą. Staruszka wskazuje wciśnięte w róg małe biurczko, karton z jego rzeczami. Akta, które czytał Jaidee.

— To wszystko? — pyta Kanya.

Teściowa wzrusza ramionami.

— Tyle zachował po spaleniu domu. Nie ruszyłam tego. Przyniósł to tutaj, zanim poszedł na wojnę.

Kanya maskuje uśmiechem zakłopotanie.

— *Kha*. Tak. Przepraszam. Oczywiście.

— Dlaczego oni mu to zrobili. Co, za mało im było?

Kanya wzrusza bezradnie ramionami.

— Nie wiem.

— Pani ich znajdzie? Zemści się na nich?

Waha się. Niwat i Surat patrzą na nią poważnie. Wesołość całkiem się ulotniła. Nie mają nic. Kanya pochyla głowę, robi *wai*.

— Znajdę ich. Przysięgam. Choćbym miała szukać całe życie.

— Musi pani brać j ego rzeczy?

Kanya uśmiecha się niepewnie.

— Taki regulamin. Powinnam przyjść wcześniej. Ale... — Urywa bezradnie. — Liczyliśmy, że wiatr się odwróci. Że przywrócą go do pracy. Jeśli są tam jakieś prywatne rzeczy albo notatki, oddam je. Ale sprzęt jest mi potrzebny.

— Oczywiście. Jest cenny.

Kanya kiwa głową. Klęka przed skrzynką z WeatherAll zawierającą papiery i sprzęt. Niechlujnie przemieszane teczki, papiery, koperty i wyposażenie Ministerstwa. Zapasowy magazynek dysków do sprężynowca. Pałka. Zapadkowe kajdanki. Akta. Wszystko rzucone na kupę.

Kanya wyobraża sobie Jaideego pakującego to pudło — Chaya już przepadła, zaraz przepadnie też wszystko inne. Nic dziwnego, że nie chciało mu się robić tego starannie. Przegląda rzeczy. Znajduje zdjęcie Jaideego z czasów kadetów, stojącego obok Prachy, obaj młodzi i pewni siebie. Wyjmuje je w zamyśleniu, kładzie na biurku.

Unosi wzrok. Staruszka wyszła z pokoju, ale Niwat i Surat wciąż stoją i wpatrują się w nią jak dwie wrony. Podaje im

zdjęcie. Po dłuższej chwili Niwat wyciąga rękę i bierze je, pokazuje bratu.

Kanya szybko przepatruje resztę skrzynki. Wszystko inne chyba jest własnością Ministerstwa. Czuje niewyraźną ulgę: to znaczy, że nie będzie musiała tu wracać. Jej uwagę zwraca małe tekowe pudełeczko. Otwiera je. Połyskują w nim liczne medale z mistrzostw *muay thai*. Wręcza je milczącym chłopcom. Pochylają się nad dowodami triumfów ojca, ona zaś kończy przeglądać papiery.

— Tu coś jest — mówi Niwat. Pokazuje kopertę. — To też dla nas?

— Było z tymi medalami? — Kanya wzrusza ramionami, dalej przeglądając zawartość skrzynki. — Co tam jest?

— Zdjęcia.

Kanya unosi wzrok w zaskoczeniu.

— Pokażcie.

Kanya wertuje fotografie. To chyba zdjęcia podejrzanych, którymi interesował się Jaidee. Na wielu jest Akkarat. [L_farangowie](#). Mnóstwo *farangów*. Uśmiechnięci mężczyźni i kobiety otaczają Ministra jak głodne jego krwi duchy. Akkarat uśmiecha się wraz z nimi, zadowolony. Kanya kartkuje kolejne zdjęcia. Tych ludzi nie zna. Pewnie jacyś *farangowie*--handlarze. Tu jakiś gruby, upasiony na zagranicznych kaloriach, szuka, komu by tu się podlizać w otwierającym się na nowo Królestwie, gdzie Handel rośnie w siłę. I kolejny, ten Carlyle, co stracił sterowiec. Kanya się uśmiecha. No, to musiało boleć. Odkłada to zdjęcie i oszołomiona traci dech.

— Co jest? — pyta Niwat. — Coś nie tak?

— Nic — wykrztusza Kanya. — Nic takiego.

Zdjęcie jej samej, pijącej z Akkaratem na jego imprezowej łodzi. Długi obiektyw, kiepski obraz, ale to ewidentnie ona. Jaidee wiedział.

Wpatruje się w zdjęcie przez dłuższy czas, zmuszając się do oddychania. Patrzy na zdjęcie. Medytuje nad *kammą* i obowiązkiem, a synowie Jaideego patrzą na nią poważnie. Medytuje nad swoim przełożonym, który nigdy nie wspomniał o tym zdjęciu. Medytuje nad tym, co może wiedzieć człowiek o pozycji Jaideego, czego nie ujawnia, ile mogą go kosztować takie tajemnice. Przypatruje się z namysłem zdjęciu. Wreszcie wkłada je do kieszeni. Resztę pakuje z powrotem do koperty.

— To jakaś wskazówka?

Kanya kiwa poważnie głową. Chłopcy też potakują. Nie zadają więcej pytań. Grzeczne chłopaki.

Starannie przepatruje resztę pokoju, szukając innych dowodów, które mogła przegapić, lecz nic nie znajduje. W końcu pochyła się, by wziąć pudło ze sprzętem i papierami. Jest ciężkie, ale nie ciąży jej aż tak bardzo, jak fotografia tkwiąca teraz w kieszeni na piersi, jak zwinięta w kłębek kobra.

Na dworze, na świeżym powietrzu, zmusza się do głębokiego oddechu. Nos ma pełen odoru wstydu. Nie potrafi obejrzeć się na stojących w drzwiach chłopców. Sieroty, które płacą za niezłomną waleczność ojca. Cierpią, bo ojciec trafił na godnego siebie przeciwnika. Zamiast wywracać wózki z makaronami i przetrząsać nocne targowiska, wybrał sobie prawdziwego wroga, nieubłaganego i nieustępliwego. Kanya zamyka oczy.

Próbowałam ci powiedzieć. Nie trzeba było tam iść. Próbowałam.

Przypina skrzynkę z rzeczami do bagażnika roweru i pedałuje przez teren Ministerstwa. Docierając do głównego biurowca, już dochodzi do siebie.

Generał Pracha stoi w cieniu bananowca i pali papierosa Golden Leaf. Jest zaskoczona, że potrafi spojrzeć mu w oczy. Podchodzi, składa dłonie w *wai*.

General kiwa głową w odpowiedzi na powitanie.

— Masz jego rzeczy?

Kanya również kiwa głową.

— I widziałaś się z jego synami.

Znów skiniecie głowy.

Marszczy brwi.

— Nasrali nam na próg. Zostawili na progu jego ciało. To nie powinno być możliwe, a jednak rzucili nam rękawicę na naszym terenie, w naszym Ministerstwie. — Zdeptuje papierosa. — Teraz ty będziesz dowodzić, Kanya. Oddaję ci ludzi Jaideego. Pani kapitan: niech się poleje krew Handlu. Musimy odzyskać twarz.

XXI

Emiko patrzy na północ, stojąc nad przepaścią na szczycie walącego się wieżowca.

Robi tak codziennie, odkąd Raleigh potwierdził, że kraina nakręcańców istnieje. A nawet odkąd Anderson-sama zasugerował, że coś takiego jest możliwe. Nie umie się powstrzymać. Nawet leżąc w ramionach Andersona-samy, nawet gdy czasami zabiera ją na dłużej, płacąc za nią z góry za kilka dni, nie potrafi nie marzyć o tym miejscu, gdzie nie ma panów.

Północ.

Oddycha głęboko, chłonąc zapachy morza, palonego nawozu i kwiatów pnących storczyków. Daleko w dole szeroka delta rzeki Chao Phraya chlupocze o wały i tamy Bangkoku. Za nią, Thonburi radzi sobie z wodą jak może, na bambusowych tratwach i w domach na palach. Z wody sterczą *prang* Świętyni Świtu, otoczone gruzami zatopionego miasta.

Północ.

Z dołu dobiegają krzyki, wyrywając ją z rozmarzenia. Przetłumaczenie tych odgłosów zajmuje jej mózgowi chwilę: przełącza się z japońskiego na tajski i hałasy stają się słowami. A słowa krzykami.

— Cicho!

— *Mai ao!* Nie! Nie nienienie!

— Na ziemię! *Map lohng dieow nee!* Twarzą w dół!

— Proszę proszę proszę!

— Na ziemię!

Przechyla głowę, nasłuchuje głośniejszej wymiany zdań. Ma dobry słuch, to coś, czym obdarzyli ją naukowcy, dając to oprócz gładkiej skóry i psiego posłuszeństwa. Słucha. Kolejne wrzaski. Tupot stóp. Cierpnie jej skóra na karku. Nie ma na sobie nic, poza skąpymi majtkami i sznurkowym stanikiem. Reszta ubrania jest na dole, czeka, aż przebierze się w cywilne ciuchy.

Dobiegają następne krzyki. Ktoś wyje z bólu. Pierwotnego, zwierzęcego bólu.

Białe koszule. Nalot. Czuje przypływ adrenaliny. Musi zejść z dachu, zanim przyjdą. Odwraca się i biegnie do schodów, ale na klatce staje jak wryta. Na dole rozbrzmiewa tupot nóg.

— Pluton trzy. Czysto!

— Skrzydło! Czysto?

— Zabezpieczone!

Zatrząskuje drzwi i przyciska się do nich plecami. Jest w pułapce. Już ich pełno na klatce schodowej. Miota się po dachu, szukając innej drogi ucieczki.

— Sprawdzić dach!

Puszcza się sprintem na skraj dachu. Dziesięć metrów poniżej z wieżowca wystaje najwyższy balkon. W czasach, kiedy były tu luksusowe apartamenty, należał do tego na ostatnim piętrze. Czując zawroty głowy, wpatruje się w maleńki balkonik. Pod nim nie ma już nic, przepaść aż po ulicę i wypełniających ją ludzi, którzy wyglądają jak czarne przedziorki.

Poryw wiatru spycha ją ku krawędzi. Chwieje się, ledwo łapie równowagę. Jakby duchy powietrza chciały ją zabić. Gapi się w dół na balkonik. Nie. To niemożliwe.

Odwraca się i biegnie z powrotem do drzwi, rozglądając się za czymś, żeby je podeprzeć. Dach zaścielają odłamki cegieł i dachówek oraz rozwieszane na sznurach pranie, ale nic...

dostrzega kawałek kija od miotły. Pędzi po niego, klinuje nim ramę drzwi.

Zawiasy są tak przerdzewiałe, że wyginają się nawet przy takim nacisku. Opiera kij jeszcze mocniej, krzywiąc się. Drewno WeatherAll miotły będzie bardziej wytrzymałe niż ta blacha.

Miota się, szukając następnego rozwiązania. Już gotuje się od biegania tam i z powrotem jak szczur w pułapce. Słońce to wielka czerwona, tonąca za horyzontem kula. RzUCA długie cienie na popękana powierzchnię dachu. Emiko w panice kręci się w kółko. Jej wzrok pada na pranie na sznurach. Może po nich dałoby się opuścić? Podbiega, próbuje uwolnić jeden z końców, ale jest mocny i dobrze zawiązany. Nie chce puścić. Szarpie jeszcze raz.

Drzwi z tyłu dygocą. Ktoś po drugiej stronie rzuca przekleństwo.

— Otwierać!

Ktoś uderza w nie ciałem, drzwi podskakują we framudze, ktoś próbuje je wyważyć.

Nagle słyszy w głowie głos Gendo-samy, mówiący, że jest idealna. Optymalna. Zachwycająca. Krzywi się, słysząc tego starego drania i szarpiąc jednocześnie za sznur, nienawidząc go, tego starego lisa, który kochał ją i porzucił. Sznur wrzyna się w dłoń, ale ona go nie puszcza. Gendo— sama. Ten zdrajca. Umrze tu, bo jest optymalna, ale nie na tyle optymalna, żeby zasłużyć na bilet powrotny.

Przegrzewam się.

Optymalna.

Z tyłu kolejne rąbnięcie. Drzwi pękają. Rezygnuje ze sznura. Znow obraca się w kółko, rozpaczliwie poszukując rozwiązania. Nic, tylko gruz i otwarta przestrzeń. Równie dobrze mogłaby stać na wysokości tysiąca mil. Optymalnie wysoko.

Zawias rozpada się, pryskając metalowymi odłamkami. Drzwi obwisają. Ostatni raz oglądając się na nie, Emiko znów pędzi na krawędź budynku, wciąż licząc na jakieś rozwiązanie. Sposób na zejście w dół.

Zatrzymuje się na krawędzi, mieląc rękami. Przepaść ziele. Wieje wiatr. Nic. Żadnego uchwytu. Żadnego sposobu, by zejść. Ogląda się na sznury z praniem. Gdyby tylko...

Drzwi wylatują z zawiasów. Wpadają dwie białe koszule, potykają się, wymachują sprężynowymi pistoletami. Dostrzegają ją i rzucają się naprzód.

— Ej ! Chodź tutaj !

Wygląda za krawędź. Ludzie w dole są jak punkciki, balkon — maleńki jak koperta na list.

— Stać! *Yootdieow nee!* Stój!

Białe koszule gonią ku niej — pełnym pędem — a jednak nagle wydają się dziwnie powolni. Powolni jak miód lany w chłodny dzień.

Emiko patrzy na nich zdziwiona. Są w połowie drogi, ale poruszają się tak niesamowicie wolno, jakby biegli przez kleik ryżowy. Każdy ruch ciągnie się bez końca. Tacy powolni. Jak ten człowiek, który gonił ją uliczkami i chciał pchnąć nożem. Tacy powolni...

Emiko się uśmiecha. Optymalna. Wchodzi na parapet.

Białe koszule znów otwierają usta do krzyku. Unoszą sprężynowce, mierzą do niej. Emiko patrzy, jak nakierowują się na nią szczeliny luf. Mimochodem zastanawia się, czy to czasem nie ona jest tą powolną. Czy nawet sama siła ciężkości nie będzie zbyt powolna.

Porywy wiatru szarpia ją, zachęcają. Ciągną ją powietrzne duchy, zwiewają na oczy czarną siatkę włosów. Odgarnia je na bok. Spokojnie uśmiecha się do białych koszul — ciągle biegnących, ciągle mierzących ze sprężynowców — i robi krok

w pustą przestrzeń. Białe koszule wytrzeszczają oczy. Broń połyskuje czerwono, plując w jej kierunku dyskami. Jeden, dwa, trzy... — liczy je w locie — cztery, pięć...

Ciążenie ciągnie ją w dół. Znikają białe koszule i ich pociski. Zderza się z balkonem. Dostaje kolanami w brodę. Wykręca się kostka, metal skrzypi. Przetacza się, uderza w balustradę, która rozpryskuje się, odpada. Emiko stacza się w powietrze. Spadając, chwytą się ułamanej miedzianej poręczy. Nieruchomieje, zwisając nad otchłanią.

Puste powietrze zieleje ze wszystkich stron, zachęcając do upadku. Dmie gorący wiatr. Szarpie. Emiko, dysząc, podciąga się na przechylny balkon. Całe jej ciało jest rozdygotane, poobijane, a jednak wszystkie kończyny nadal działają. Niczego sobie nie złamała. Optymalna. Zarzuca nogę na balkon i winduje się na platformę. Trzeszczy metal. Balkon obwisa pod jej ciężarem, puszczają przedpotopowe śruby. Gotuje się. Chciałaby paść. Puścić się, zsunąć z niepewnego oparcia i spaść w otwartą przepaść...

Krzyki z góry.

Unosi wzrok. Białe koszule wyglądają zza krawędzi, celują do niej ze sprężynowców. Dyski sypią się jak srebrny deszcz. Rykoszetują, przecinają jej skórę, iskrzą o metal. Strach dodaje jej sił. Rzuca się ku bezpieczeństwu szklanych balkonowych drzwi. Optymalna. Drzwi się rozbijają. Szkło kaleczy jej dłonie. Obsypana skrzącymi się odłamkami przelatuje na drugą stronę, już jest w mieszkaniu, pędzi szybko, tak szybko, że aż się rozmazuje. Gapią się na nią ludzie, wstrząśnięci, niesamowicie powolni...

Jak zamrożeni.

Emiko z hukiem wyskakuje na korytarz przez kolejne drzwi. Otaczają ją białe koszule. Nurkuje między nimi, zaskoczone krzyki niosą się za nią bezbarwnym echem. W dół schodami. W

dół, w dół, w dół schodów, białe koszule daleko z tyłu. Krzyki z wysoka.

Krew jej płonie. Schody palą. Potyka się. Opiera o ścianę. Nawet rozgrzany beton jest lepszy niż jej skóra. Zaczynają się zawroty głowy, ale, zataczając się, idzie dalej. Mężczyźni krzyczą z góry, gonią ją. Buty tupią na schodach.

W kółko, w kółko, cały czas w dół. Przepycha się przez tamujące drogę grupki ludzi na schodach, wciska się między spłoszonych nalotem mieszkańców. Prawie majaczy od żaru, którym

płonie jej wewnątrz.

Na jej skórze pojawiają się maleńkie kropelki potu, przeciskające się przez nonsensownie zaprojektowane pory, ale w tym upale i wilgoci nie chłodzą jej nic a nic. Nigdy wcześniej nie czuła wilgoci na skórze. Zawsze była taka sucha...

Ociera się o człowieka, który uskakuje, przestraszony rozpaloną skórą. Przegrzewa się. Nie uda jej się wtopić w ten tłum. Jej kończyny poruszają się jak migodiwa animacja na kartowanej książeczce dla dzieci, szybko, szybko, szybko, ale urywanie. Wszyscy się gapią.

Schodzi z klatki schodowej, przeciska się przez jakieś drzwi, idzie korytarzem, opiera się o ścianę, dyszy ciężko. Rozpalona wewnętrznym ogniem ledwo jest w stanie utrzymać rozwarte powieki.

Skoczyłam, myśli.

Skoczyłam.

Adrenalina i szok. Koktajl-horror, upojne amfetaminowe pobudzenie. Trzęsie się. Podrygi nakręcanki. Gotuje się. Słabo jej z gorąca. Przyciska się do ściany, próbując wchłonąć jej zimno.

Trzeba mi wody. Lodu.

Usiłuje opanować oddech, nasłuchiwać, ustalić, z której strony przychodzą eksterminatorzy, ale umysł ma oszołomiony i mętny. Jak daleko zeszła w dół? Ile pięter?

Ruszaj się. Idź dalej.

Nie rusza się. Zwala się na podłogę.

Podłoga jest chłodna. Powietrze chrapliwie wchodzi i wychodzi z płuc. Podarł się stanik. Ma krew na ramionach i dłoniach, w miejscach gdzie zderzyła się z szybą. Rozkłada się szeroko, rozpościera palce, przyciska dłonie do kafelków, próbuje absorbować chłód posadzki. Zamyka oczy.

Wstawaj!

Nie da rady. Próbuje opanować walące serce i słuchać, co mówią prześladowcy, ale ledwo jest w stanie oddychać. Taka gorąca, a podłoga taka chłodna.

Ręce ją chwytają. Głosy coś wykrzykują, ręce puszczaają. Łapią znowu. I nagle widzi wokół pełno białych koszul, ciągną ją po schodach, jest wdzięczna, cieszy się, że przynajmniej wloką ją na dół, na błogie, wieczorne powietrze, choć cały czas wrzeszczą na nią i ją biją.

Ich słowa spływają po niej. Nic nie rozumie. Wszystko to tylko dźwięki, półmrok i nieprzytomny upał. Nie mówią po japońsku, co za prymitywy. Żaden z nich nie jest optymalny...

Chlusta na nią woda. Dławi się, dusi. Kolejny potop, ma wodę w ustach, w nosie, tonie.

Potrząsają nią. Wrzeszczą jej w twarz. Policzkują. Wypytyują. Żądają odpowiedzi.

Łapią za włosy i wciskają głowę do wiadra z wodą, próbują ją podtopić, ukarać, zabić, tymczasem ona potrafi tylko myśleć „dziękuję dziękuję dziękuję”, bo jakiś naukowiec uczynił ją optymalną i już za minutkę ta chuchrowata nakręcanka schłodzi się z powrotem.

XXII

Wszędzie pełno białych koszul: sprawdzają przepustki, łążą po targowiskach z żywnością, konfiskują metan. Przejście przez miasto zajęło Hock Sengowi całe godziny. Krążą plotki, że wszyscy malezyjscy Chińczycy zostali internowani w wieżowcach dla złotych kart. Że mają ich wywieźć na południe, z powrotem za granicę, rzucić na pastwę Zielonych Opasek. Hock Seng, przekradając się zaułkami ku swojej forsie i kamieniom, nasłuchuje każdego szeptu, a przed siebie wysyła na zwiady Mai, Tajkę, wykorzystując do tropienia jej miejscowy akcent.

Zapada noc, a oni są jeszcze daleko od celu. Ciężą mu ukradzione ze SpringLife pieniądze. Momentami boi się, że Mai nagle zwróci się przeciwko niemu i zadenuncjuje go białym koszulom, żeby położyć na nich łapę. W innych chwilach myśli o niej jak o własnej córce i ubolewa, że nie może jej ochronić przed wszystkim, co się wydarzy.

Wariuję, myśli. Żeby wziąć jakąś głupią Tajkę za swoją córkę.

A jednak ufa tej drobnej dziewczusce, córce hodowców ryb, która okazała się tak posłuszna, gdy miał jeszcze resztki władzy; teraz, kiedy jest już tylko celem, modli się, by nie zwróciła się nagle przeciw niemu.

Zapada zupełna ciemność.

— Czemu pan się tak boi? — pyta Mai.

Hock Seng wzrusza ramionami. Ona nie rozumie — nie jest w stanie rozumieć — wirujących wokół skomplikowanych

układów. Dla niej to zabawa. Pewnie, trochę straszna, ale jednak zabawa.

— Tak samo było na Malajach, kiedy brązowi ludzie zwrócili się przeciw żółtym. W jednym momencie wszystko się zmieniło. Przyszli religijni fanatycy, z zielonymi opaskami na głowach i z maczetami... — Wzrusza ramionami. — Im będziemy ostrożniejsi, tym lepiej.

Wygląda z ukrycia na ulicę i chowa się z powrotem. Biała koszula rozlepia kolejny afisz z czarno obramowaną podobizną Tygrysa z Bangkoku. Jaidee Rojjanasukchai. Jak szybko wypadł z łask, a potem jak ptak wzleciał ku świętości. Hock Seng krzywi się. Lekcja polityki.

Biała koszula idzie dalej. Hock Seng znów rozgląda się po ulicy. Zaczynają pokazywać się ludzie, zachęcenі stosunkowo chłodnym wieczorem. Idą przez wilgotny mrok — zrobić zakupy, coś zjeść, znaleźć ulubiony wózek z *som tam*. Białe koszule lśnią zielenią w blasku zalegalizowanego metanu. Chodzą grupami, polują jak szakale, wypatrując rannych ofiar. Przed sklepami i domami pojawiły się małe ołtarzyki na cześć Jaideego. Jego zdjęcia, okolone migocącymi świeczkami i ozdobione aksamitkami, wyrażają solidarność i błagają o obronę przed gniewem białych koszul.

Eter wypełniają rzucane przez Radio Tajlandia oskarżenia. Generał Pracha mówi o potrzebie ochrony Królestwa przed tymi — starannie bezimiennymi — którzy chcą je obalić. Dobiegający z nakręcanych odbiorników blaszany głos przebija się przez ludzki gwar. Sprzedawcy, gospodynie domowe. Żebracy i dzieciaki. Od zieleni lamp skóra połyskuje, jak pomalowana od święta. Niestety, między szelestem sarongów i *pha sin*, pobrzękiwaniem poganiaczy megodontów w czerwieni i złocie, zawsze znajdują się białe koszule, twardym wzrokiem wypatrujące okazji, by dać upust swojej wściekłości.

— No idź. — Hock Seng popycha Mai naprzód. — Zobacz, czy jest bezpiecznie.

Mai wraca minutę później, przywołuje go gestem i znowu idą, lawirując wśród tłumów. Nagła cisza ostrzega ich, że zbliżają się nowe białe koszule, ze strachu milkną chichoty kochanków, dzieci się rozbiegają. Kiedy przechodzą, głowy opuszczają się nisko. Hock Seng i Mai idą przez nocny targ. On wodzi wzrokiem po świecach, smażących się makaronach, rozmigotanych cheshire'ach.

Przed nimi rozlega się krzyk. Mai pędzi naprzód, sprawdzając, co to. Wraca chwilę później, ciągnie go za rękę.

— *Khun*, szybko. Są zajęci.

Prześlizgują się wzdłuż gromady białych koszul i ich ofiar.

Stara kobieta leży koło swojego wózka, z córką u boku, ściska roztrzaskane kolano. Zebrał się tłum — córka usiłuje unieść matkę do pionu.

Wokół walają się porozbijane słoje z produktami. Odłamki błyszczą wśród sosu chili, kiełków fasoli, limonek, jak diamenty w zielonym metanowym świede. Białe koszule grzebią w produktach końcami pałek.

— No, ciotunia, gdzieś tu masz jeszcze pieniądze? Myślałaś, że przekupisz białe koszule, ale dałaś dużo za mało, żeby palić nieopodatkowanym metanem.

— Czemu to robicie? ! — krzyczy córka. — Co my wam zrobiliśmy? !

Biała koszula patrzy na nią zimno.

— Nie doceniałyście nas. — Pałka znów spada na kolano jej matki.

Kobieta wrzeszczy, córka się kuli.

Biała koszula woła do swoich ludzi:

— Butlę dajcie tam do pozostałych! Zostały jeszcze trzy ulice. — Odwraca się do milczącego tłumu.

Hock Seng zamiera, gdy wzrok oficera prześlizguje się po nim.

Nie biegnij. Nie panikuj. Dopóki się nie odzywasz, znikniesz w tłumie.

Oficer uśmiecha się do gapiów.

— Powiedzcie znajomym, co żeście widzieli. Nas nie karmi się odpadkami, jak psy. Jesteśmy tygrysami. Macie się nas bać.

Po czym unosi pałkę i tłum się rozpierzcha. Hock Seng i Mai razem z nim.

Przecnicę dalej Hock Seng opiera się o ścianę, dysząc, zmęczony ucieczką. Miasto spotworniało. Teraz groźna jest każda ulica.

W głębi zaułka radio na korbkę trzeszczy kolejnymi informacjami. Zamknięte są nabrzeża i fabryki. Wstęp na linię brzegową tylko za przepustką.

Hock Seng powstrzymuje wzdrygnięcie. Znowu to samo. Wznoszą się mury, a on tkwi w środku miasta, jak szczur w pułapce. Walczy z paniką. Planował to. Ma plany awaryjne. Ale najpierw musi dotrzeć do domu.

Bangkok to nie Malakka. Tym razem się przygotowałeś.

W końcu zaczynają otaczać ich znajome rudery i zapachy slumsów Yaowarat. Przekradają się ciasnymi przejściami. Mijają ludzi, którzy go nie znają. Zwalcza kolejną falę lęku. Jeśli białe koszule wpłynęły jakoś na bossów slumsów, może mu grozić niebezpieczeństwo. Odpycha od siebie tę myśl, otwiera drzwi swojej szopy, wpuszcza Mai do środka.

— Dobrze się spisałaś. — Grzebie w torbie, wręcza jej zwitek kradzionych pieniędzy. — Jak chcesz jeszcze, przyjdź do mnie jutro.

Mai wytrzeszcza oczy, widząc bogactwo, którym tak nonszalancko ją obdarował.

Gdyby był cwany, udusiłby ją, minimalizując ryzyko, że zwróci się przeciw niemu dla reszty jego oszczędności. Odpycha tę myśl. Była lojalna. A on musi komuś zaufać. A poza tym jest Tajką, co się przydaje, gdy nagle żółte karty okazują się równie zbędne jak cheshire'y.

Bierze pieniądze, wpycha je do kieszeni.

— Dasz radę stąd? — pyta Hock Seng.

Mai szczerzy zęby.

— Nie jestem żółtą kartą. Nie mam się czego bać.

Hock Seng zmusza się do uśmiechu, myśląc, że ona nie ma pojęcia, że mało kto przejmie się oddzielaniem ziarna od plew, kiedy wszyscy chcą tylko spalić pole.

XXIII

— Szlag by trafił tego Prachę i jego białe koszule!

Carlyle wali pięścią w balustradę. Jest nieogolony i nieumyty. Nie był w Victory od tygodnia, wskutek blokady dzielnicy *farangów*. Na jego ubraniu zaczynają być widoczne ślady tropikalnego zużycia.

— Zablokowali lądowiska, zablokowali śluzy. Zakazali wstępu na nabrzeża. — Odwraca się i wchodzi do środka. Nalewa sobie whisky. — Pierdolone białe koszule.

Anderson nie może powstrzymać uśmiechu, widząc jego złość.

— A mówiłem, żeby nie szturchać kobry.

Carlyle patrzy spode łba.

— Ale to nie ja. Ktoś w Handlu miał świetny pomysł i przegiął. Pierdolony Jaidee — wścieka się. — Powinni mieć trochę rozumu.

— Akkarat to zrobił?

— Taki durny nie jest.

— Zresztą, to wszystko jedno. — Anderson przepija do niego ciepłą szkocką. — Blokada trwa już tydzień, a białe koszule dopiero się rozgrzewają.

Carlyle łypie nań groźnie.

— Co się tak cieszysz. Twoje interesy też obrywają.

Anderson popija whisky.

— Szczerze, to niespecjalnie się przejmuję. Fabryka była przydatna. Teraz już nie jest. — Nachyla się ku niemu. — Teraz, to chciałbym wiedzieć, czy Akkarat naprawdę tak dobrze, jak

mówiłeś, przygotował sobie grunt. — Kiwa głową w stronę miasta. — Bo wygląda na to, że trochę wyżej sra, niż dupę ma.

— I myślisz, że to takie śmieszne?

— Myślę, że jeśli jest w izolacji, potrzebuje przyjaciół. Chciałbym, żebyś jeszcze raz wyciągnął do niego rękę. Zaproponował rzeczywiste wsparcie podczas tego kryzysu.

— A masz jakąś lepszą ofertę niż tamta, po której chciał cię rzucić pod megodonta?

— Cena jest taka sama. I dostaje to samo. — Anderson znów upija łyk. — Ale może teraz już będzie chciał usłuchać głosu rozsądku.

Carlyle wpatruje się w zielony blask metanowych latarni. Krzywi się.

— Każdy dzień to dla mnie konkretne straty.

— Myślałem, że dzięki tym pompom masz jakieś przełożenie.

— Przestań się nabijać — warczy Carlyle. — Tym palantom nawet nie da się zagrozić. Nie przyjmują posłańców.

Anderson uśmiecha się nieznacznie.

— No, a ja nie mam ochoty czekać do monsunu, aż białe koszule się uspokoją. Ustaw spotkanie z Akkaratem. Możemy mu zapewnić pomoc, jakiej tylko sobie zażyczy.

— Myślisz, że co, popłyniesz sobie na Koh Angrit i przyprowadzisz stamtąd rewolucję? Kogo weźmiesz? Paru urzędasów i kapitanów statków? Może jakiegoś młodszego przedstawiciela handlowego, który siedzi tam, zapija się przez cały dzień i liczy, że w Królestwie przydarzy się głód i zdejmą embargo? Faktycznie, groźnie brzmi.

Anderson się uśmiecha.

— Jak przyjdziemy, przyjdziemy z Birmy. I nikt nie zauważy, dopóki nie będzie za późno. — Patrzy Carlyle'owi w oczy, dopóki ten nie odwróci wzroku.

— Takie same warunki? — pyta Carlyle. — Nic nie chcesz zmienić?

— Dostęp do tajskiego banku nasion i człowiek nazwiskiem Gibbons. To wszystko.

— A co w zamian?

— Czego trzeba Akkaratowi? Forsy na łapówki? Złota? Diamentów? Nefrytu? Oddziałów szturmowych.

— Jezus. Ty poważnie z tą Birmą.

Anderson wskazuje szklanką noc wokół.

— Tu jestem zdemaskowany. Albo przechodzę nad tym do porządku i robię kolejny krok, albo mogę się pakować i wracać z podwiniętym ogonem do Des Moines. Bądźmy szczerzy. AgriGen zawsze grał o wysokie stawki. Odkąd tylko Vincent Hu i Chitra D’Allessa założyli tę firmę. Nie boimy się zamieszania.

— Jak w Finlandii.

— Tym razem liczę na lepszy zwrot z inwestycji.

— Jezu. No dobra. Umówię spotkanie. Ale jak to się skończy, masz o mnie pamiętać.

— AgriGen zawsze pamięta o swoich przyjaciółach.

W zamyśleniu odprowadza Carlyle’a do drzwi i zamyka je za nim. To interesujące, jakie rzeczy ujawnia kryzys u ludzi. Carlyle zawsze był taki arogancki i pewny siebie, a teraz dręczy go świadomość, że rzuca się w oczy, jakby był pomalowany na niebiesko. Że białe koszule mogłyby w każdej chwili zacząć *farangów* internować, albo i rozstrzeliwać, i nikt by po nich nie płakał. Jego pewność siebie spadła jak zużyta maska z filtrem.

Wychodzi na balkon i gapi się w ciemność, daleko na ocean, na wyspę Koh Angrit i siły, które tak cierpliwie czekają na samym skraju Królestwa.

Już prawie czas.

XXIV

Kanya siedzi na pobjowisku po akcji odwetowej białych koszul i popija kawę. W przeciwnym narożniku knajpki z makaronami paru innych klientów słucha z ponurymi minami korbkowego radia. Trwa mecz *muay thai*. Kanya monopolizuje ławeczkę dla klientów i nie zwraca na nich uwagi. Nikt nie odważy się usiąść obok.

Kiedys może zaryzykowałiby przyłączenie się, ale teraz, kiedy białe koszule pokazały zęby, siedzi sama. Jej ludzie już poszli dalej, plądrować wszystko jak szakale, niszczyć dawne historie i złe sojusze, zaczynać na nowo.

Pot spływa po twarzy właściciela nachylającego się nad parującymi garnkami z ryżowym makaronem. Krople wody na jego twarzy, lśniące błękitno w świetle nielegalnego płomienia. Nie patrzy na Kanyę, zapewne żałuje dnia, w którym postanowił kupić gaz na czarnym rynku.

Metaliczny skrzekot radia i cichutkie krzyki publiczności na stadionie Lumphini konkurują z bulgotem woka z zupą *sen mi*. Żaden ze słuchaczy na nią nie spojrzy.

Kanya popija kawę i uśmiecha się ponuro. Przemoc to rozumieją. A łagodną twarz Ministerstwa ignorowali albo z niej drwili. Na tę obecną — wymachującą pałką i sprężynowcami, gotowymi, by przeciąć człowieka na pół — reagują inaczej.

Ile rozwalila już takich nielegalnych palników? Dokładnie takich jak ten? Palników, których właściciela, sprzedającego kawę albo makaron, nie było stać na opodatkowany, legalny tajski metan? Pewnie całe setki. Metan jest drogi. Łapówki są tańsze. I wszyscy chętnie godzili się na ryzyko, że handlarzom z

czarnego rynku brakuje dodatków barwiących płomień na bezpieczną zieleń.

Jak łatwo nas było przekupić.

Kanya wyciąga papierosa i zapala go od zdradliwie błękitnego płomienia pod wokiem. Właściciel nie powstrzymuje jej, zachowuje się, jakby nie istniała — ta fikcja jest wygodna dla nich obojga. Nie jest białą koszulą siedzącą przy nielegalnym palniku; on zaś nie jest żółtą kartą, którą powinna wsadzić do wieżowców, żeby się pociła i zdychała wśród swoich rodaków.

Zaciąga się w zamyśleniu dymem. Zna jego uczucia, choć facet nie okazuje strachu. Pamięta, jak białe koszule przyszły do jej wioski. Zasypały stawy rybne ciotki ługiem i solą, a zabity drób zrzuciły na kupę i podpaliły.

Masz szczęście, żółta karto. Kiedy do nas przyszły białe koszule, w ogóle ich nie obchodziło, czy coś ocaleje. Przyszły z pochodniami, paliły i paliły. Teraz nawet ty jesteś lepiej traktowany niż my wtedy.

Wspomnienie o tych osmolonych, bladych postaciach, z oczyma demonów za ochronnymi maskami, sprawia, że i teraz ma ochotę się skulić. Przyszli w nocy. Bez ostrzeżenia. Sąsiedzi i kuzyni uciekli przed pochodniami, nago, z wrzaskiem. Za ich plecami domy na palach buchnęły płomieniem, bambus i liście palmowe, spowite pomarańczowymi kłębami ożyły pośród ciemności. Wokół wirował popiół, parząc skórę, zmuszając wszystkich do kaszlu i wymiotów. Wciąż ma blizny po tym pożarze, blade plamy na skórze w miejscach, gdzie na jej chudych, dziecięcych ramionkach wylądowały gorące i lepkie, palące się płyty palmowej kory. Jakże nienawidziła wtedy białych koszul. Zbiła się w gromadkę ze swoimi kuzynami i z nabożnym lękiem i przerażeniem patrzyła, jak Ministerstwo Środowiska zrównuje z ziemią ich wieś. Nienawidziła ich wtedy z całego serca.

A teraz dowodzi własnymi oddziałami, które robią to samo. Jaideemu spodobałaby się ta ironia losu.

Okrzyki strachu unoszą się w oddali jak dym, czarne i tłuste, jakby paliły się szopy farmerów. Kanya pociąga nosem. Coś w rodzaju nostalgii. Dym jest taki sam. Zaciąga się raz jeszcze papierosem, wydycha dym. Czy tylko jej ludzie za bardzo się nie rozpędzili? Ogień w tych slumsach, zbudowanych z WeatherAll, mógłby być problemem. Tłuszcze, które chronią to drewno przed gniciem, łatwo zapalają się od gorąca. Zaciąga się znowu. I tak nic już się z tym nie da zrobić. Może to tylko jakiś oficer podpala nielegalnie zebrane odpadki. Sięga po kawę i przypatruje się siniakowi na policzku obsługującego ją człowieka.

Gdyby Ministerstwo Środowiska miało coś do powiedzenia, wszyscy ci uchodźcy z żółtymi kartami siedzieliby po tamtej stronie granicy. To problem Malezji. Wewnętrzny problem innego, suwerennego państwa. A nie Królestwa. Lecz Jej Wysokość Mała Królowa jest w odróżnieniu od Kanyi miłosierna i współczująca.

Gasi papierosa. Dobry tytoń, Gold Leaf, miejscowa konstrukcja, lepsza niż wszystko inne w Królestwie. Wyciąga kolejnego z paczki, zrobionej z celofanu z prosa, zapala go od błękitnego płomienia.

Żółta karta zachowuje uprzejmą minę, gdy Kanya gestem nakazuje mu dolać więcej słodkiej kawy. Radio trzeszczy stadionowymi okrzykami, skupieni wokół niego mężczyźni także pokrzykują, na chwilę zapominając, że obok siedzi biała koszula.

Kroki są niemal bezgłośnie, zgrane z okrzykami kibiców, ale wyraz twarzy żółtej karty zdradza przybysza. Kanya nie unosi głowy. Gestem zaprasza stojącego obok, by usiadł.

— Albo mnie zabij, albo siadaj — mówi.

Basowy chichot. Człowiek siada.

Narong ma na sobie luźną, czarną koszulę ze stójką i szare spodnie. Schludne ubranie. Mógłby pracować jako urzędnik. Nie pasują oczy: są zbyt czujne. I ciało: zbyt rozluźnione. Ma w sobie jakąś nonszalancką pewność siebie, która z trudnością wpasowuje się w takie ubranie. Niektórzy ludzie po prostu są zbyt mocni, żeby móc udawać niskich rangą. Właśnie przez to rzucił się w oczy na lądowisku. Kanya tłumi złość, czeka.

— Podoba ci się ten jedwab, co? — dotyka koszuli. — Japoński. Nadal mają jedwabniki.

Kanya wzrusza ramionami.

— Nic mi się w tobie nie podoba.

Uśmiecha się na te słowa.

— Oj tam, Kanya. Awansowałaś na kapitana i ani trochę uśmiechu. Kiwa na żółtą kartę, żeby nalała kawę. Patrzą, jak esencjonalny, brązowy płyn leje się do szklanki. Żółta karta stawia przed Kanyą miseczkę z zupą — kulki rybne, trawa cytrynowa, bulion z kurczaka. Zaczyna wyławiać z niej makaron U-Text. Narong siedzi cicho, cierpliwie.

— Prosiłaś o to spotkanie — mówi w końcu.

— Czy ty zabiłaś Chayę?

Narong się prostuje.

— Zawsze brakowało ci manier. Tyle lat w mieście, tyle pieniędzy ci daliśmy, a ty dalej mogłabyś uchodzić za hodowcę ryb znad Mekongu.

Kanya patrzy nań zimno. Ten człowiek naprawdę ją przeraża. Ale nie okaże tego. W radiu za nią kolejny wybuch radości.

— Jesteś taki sam jak Pracha. Wszyscy jesteście obrzydliwi — mówi.

— Nie myślałaś tak, kiedy po ciebie przyszliśmy, po malutką i bezbronną dziewczynkę i zaprosiliśmy cię do Bangkoku. Nie myślałaś tak, kiedy przez tyle lat pomagaliśmy twojej ciotce.

Ani wtedy, gdy daliśmy ci okazję do uderzenia w generała Prachę i białe koszule.

— Są granice. Chaya nic nie zrobiła.

Narong siedzi nieruchomo jak pająk, obserwując ją. W końcu się odzywa:

— Jaidee przegiął. Nawet ty go ostrzegałaś. Uważaj, żeby i ciebie nie połknęła kobra.

Kanya już ma się odezwać, zamyka jednak usta. Zaczyna raz jeszcze, kontrolując głos.

— Co, zrobicie mi to samo, co Jaideemu?

— Kanya, jak długo się znamy? — Narong się uśmiecha. — Ile już czasu opiekujemy się twoją rodziną? Jesteś dla nas jak ukochana córka. — Przesuwa ku niej grubą kopertę. — Ja nie potrafiłbym ci nic zrobić — dodaje. — My nie jesteśmy jak Pracha... A jak tam departament po śmierci Tygrysa?

— Rozejrzyj się tylko. — Kanya wskazuje brodą w stronę odgłosów konfliktu. — Generał jest wściekły. Jaidee był dla niego prawie jak brat.

— Słyszałem, że chce wziąć się za samo Ministerstwo. Może nawet je spalić.

— Oczywiście, że chce zabrać się za Handel. Bez was mielibyśmy o połowę mniej problemów.

Narong wzrusza ramionami. Koperta leży między nimi. Równie dobrze mogłoby tam leżeć serce Jaideego. Zwrot z jej poczynionej lata temu inwestycji w zemstę.

Przepraszam, Jaidee. Próbowałam cię ostrzec.

Bierze kopertę, wyciąga z niej pieniądze i pod okiem Naronga wtyka do kieszeni w pasie. Nawet jego uśmiechy mają ostre, tnące krawędzie. Włosy ma schludnie zaczesane do tyłu. Jest jednocześnie całkiem nieruchomy i niesamowicie przerażający.

„Czyli z takimi ludźmi się zadajesz”, mruczy głos w jej głowie.

Kanya, słysząc go, aż podskakuje. Brzmi jak Jaidee. Ma jego cechy charakterystyczne, jego humor i nieugiętość. Oskarżenie, ale i sugestia śmiechu. Jaidee nigdy nie stracił poczucia *sanuk*.

Nie jestem taka jak ty, myśli Kanya.

Znów ten uśmiech i chichot. „Wiedziałem o tym”.

Skoro tak, to czemu mnie po prostu nie zabiłeś?

Głos milczy. Za nimi dalej trzeszczy mecz *muay thai*. Charoen i Sakda. Dobrzy bokserzy. Ale albo Charoen się mocno poprawił, albo Sakdzie zapłacono za przegraną. Kanya przegra zakłady. Na kilometr widać, że walka jest ustawiona. Może Pan Łajna się nią zainteresował? Robi zirytowaną minę.

— Co, kiepsko idzie mecz? — pyta Narong.

— Zawsze stawiam na nie tego, co trzeba.

Narong się śmieje.

— Dlatego przydaje się mieć informacje z wyprzedzeniem. — Wręcza jej kartkę papieru.

Kanya zerka na nazwiska na liście.

— To przyjaciele Prachy. Niektórzy to generałowie. Chroni ich jak kobra Budę.

Narong szczerzy zęby.

— I właśnie dlatego będą zaskoczeni, kiedy nagle zwróci się przeciw nim. Zaatakuję. Żeby zabolalo. Żeby zapamiętali, że nie igra się z Ministerstwem Środowiska. Że Ministerstwo wszystkie wykroczenia traktuje tak samo. Nikogo nie będzie już faworyzować. Żadnych przyjaźni i gładkich transakcji. Pokaże im, że nowe Ministerstwo Środowiska jest nieugięte.

— Próbujesz wbić klin między Prachę i jego sojuszników? Żeby się na niego wściekli?

Narong wzrusza ramionami. Nic nie mówi. Kanya dojada makaron. Wygląda na to, że więcej

poleceń nie będzie, więc wstaje.

— Muszę iść. Nie mogę dać się moim ludziom zobaczyć z tobą.

Narong kiwa głową, odprowadzając ją. Kanya wymyka się z kawiarni, za nią lecą nowe jęki rozczarowania kibiców, bo w radiu Sakda znów ulega niewidzianej dotąd u Charoena zajadłości.

Na rogu ulicy, pod zielonym światłem metanu, Kanya poprawia mundur. Na bluzie ma nieregularną plamę, pamiątkę po sianym dziś zniszczeniu. Marszczy brwi z niesmakiem. Trze ją. Jeszcze raz wyciąga listę, którą dostała od Naronga, zapamiętuje nazwiska.

Ci mężczyźni i kobiety to najbliżsi przyjaciele generała Prachy. A teraz ich wykroczenia będą ścigane równie zaciekle, jak żółte karty w swoich wieżowcach. Równie zawzięcie, jak kiedyś generał Pracha prześladował maleńką wioseczkę na północnym wschodzie, pozostawiając za sobą głodujące rodziny i płonące domy.

Ciężka sprawa. Ale przynajmniej sprawiedliwa.

Kanya mnie kartkę w dłoni. Tak wygląda ten świat, myśli. Oko za oko, dopóki wszyscy nie będziemy martwi, a cheshire'y nie będą chłeptać naszej krwi.

Zastanawia się, czy w przeszłości naprawdę było lepiej, czy rzeczywiście istniał ów złoty wiek, napędzany ropą i techniką. Czasy, kiedy rozwiązanie każdego problemu nie rodziło następnego. Chciałaby przekląć tych *farangów*, którzy wcześniej tu przyjechali. Tych kaloriarzy z ich polowymi laboratoriami i starannie wyhodowanymi odmianami zbóż, które nakarmią świat. I zmodyfikowanymi zwierzętami, które pracują o wiele wydajniej i zjadają mniej kalorii. Tych AgriGenów i PurCali, które twierdziły, że chętnie nakarmią świat, wyeksportują swoje opatentowane ziarno, a potem zawsze znalazły pretekst do zwłoki.

Oj, Jaidee, myśli. Przepraszam. Strasznie cię przepraszam. Za wszystko, co zrobiłam tobie i twojej rodzinie. Nie chciałam ci zrobić nic złego. Gdybym wiedziała, ile będzie kosztować odpłata za chciwość Prachy, w życiu nie przyjechałabym do Krung Thep.

Zamiast iść za swoimi ludźmi, kieruje się do świątyni. Jest mała, to raczej uliczna kapliczka, z zaledwie paroma mnichami. Mały chłopiec klęczy razem z babcią przed lśniąca podobizną Buddy, poza nimi nie ma nikogo. Kanya kupuje od sprzedawcy przy wejściu parę kadzidełek i wchodzi do środka. Zapala je i klęka, przytyka płonące laseczki do czoła, unosi je trzy razy na cześć Trzech Klejnotów: *buddy, dammy, sangi*. Modli się.

Ile zła wyrządziła? Ile złej *kammy* musi odkupić? Co było ważniejsze? Uszanować Akkarata i jego obietnicę zrównoważenia szal? Czy raczej jej przybranego ojca, Jaideego?

Jakiś człowiek przychodzi do twojej wsi i obiecuje pełny żołądek, życie w mieście, pieniądze na leczenie kaszlu ciotki i whiskey dla wujka. I nawet nie interesuje go twoje ciało. Czego chcesz więcej? Trzeba czegoś jeszcze, żeby kupić sobie jej lojalność? Każdy potrzebuje mecenasa.

Obyś w następnym życiu miał lepszych przyjaciół, wierny wojownik.

Och, Jaidee, przepraszam cię.

Obym przez milion lat wędrowała jako duch, aby temu zadośćuczynić.

A ty, obyś odrodził się w lepszym miejscu niż to.

Wstaje, pozdrawia Budde ostatnim *wai* i wychodzi ze świątyni. Na schodach patrzy w gwiazdy. Ciekawe, jak to jest, że jej *kamma* tak ją zniszczyła. Zamyka oczy, powstrzymując łzy.

W oddali jakiś budynek bucha płomieniem. Nad tą dzielnicą pracuje ponad stu jej ludzi, dają wszystkim odczuć, jak boli

nieprzestrzeganie prawa. Przepisy świetnie wyglądają na papierze, ale są bardzo bolesne, kiedy nie da się ich zmiękczyć przekupstwem. Ludzie o tym pozapominali. Nagle czuje zmęczenie. Odwraca się od pobojuwiska. Na dzisiaj ma już na rękach dość krwi i sadzy. Jej ludzie wiedzą, co robić. Zresztą, do domu niedaleko.

* * *

— Pani kapitan?

Kanya otwiera oczy na przesączający się do domu brzask. Przez chwilę jest zbyt nieprzytomna, by pamiętać coś z teraźniejszości, swój stopień...

— Pani kapitan? ! — woła ktoś przez zasłonięte siatką okno.

Kanya zwleka się z łóżka.

— Słucham? — odpowiada przez drzwi.

— Wzywają panią do Ministerstwa.

Kanya otwiera drzwi i bierze od posłańca kopertę, łamie pieczęć.

— Z Departamentu Kwarantanny — mówi zaskoczona.

Mężczyzna kiwa głową.

— Jest takie zadanie, do którego Jaidee zgłosił się kiedyś i... Wszyscy są zajęci, więc generał Pracha poprosił... — Waha się.

Kanya kiwa głową.

— Tak. Oczywiście.

Skóra jej cierpnie, bo przypomina sobie opowieści Jaideego o walce z pierwszymi odmianami cibiskozy. Jak pracował z sercem w gardle, ramię w ramię ze swymi ludźmi, a wszyscy tylko zastanawiali się, kto umrze przed końcem tygodnia. Wszyscy przerażeni groźbą choroby, spoceni, palili całe wsie: domy, waty, posagi Buddy, wszystko szło z dymem, mnisi śpiewali i przywoływali duchy na pomoc, a wokół na ziemi leżeli umierający ludzie, duszący się płynami zalewającymi

pękające płuca. Departament Kwarantanny. Czyta wiadomość. Kiwa stanowczo głową, zerkając na chłopaka.

— Tak. Rozumiem.

— Chce pani przekazać jakąś odpowiedź?

— Nie. — Kładzie kopertę na stoliku, jak zaczajonego skorpiona. — To wszystko.

Posłaniec saltuje i zbiega po stopniach do roweru. Kanya zamyka drzwi, zamyślona. Ta koperta sugeruje jakieś straszne rzeczy. Może taka jej *kamma*. Za karę.

Po chwili jest już w drodze do Ministerstwa, pedałuje przez zadrzewione ulice, przecina kanały, zjeżdża w dół arteriami mającymi po pięć pasów dla spalających ropę samochodów, którymi teraz są pędzone stada megodontów.

W Departamencie Kwarantanny musi przejść drugą kontrolę bezpieczeństwa, żeby móc wejść do środka.

Niestrudzenie buczą komputery i wentylatory. Cały budynek niemal wibruje od zużywanej przez siebie energii. Ten biurowiec pochłania trzy czwarte kwoty węglowej całego Ministerstwa — jest mózgiem Departamentu Kwarantanny, który szacuje i prognozuje zmiany w architekturze genetycznej — zmiany wymagające interwencji.

Za szybami, na serwerach mrugają zielone i czerwone diody, wypalając energię, zatapiając Krung Thep, choć jednocześnie je ratują. Idzie korytarzami, mijając szereg pomieszczeń, w których naukowcy analizują modele genetyczne na wielkich, jasnych monitorach. Kanya wyobraża sobie, że czuje, jak powietrze płonie od takiej ilości przepalanej energii, węgla spalanego, by ten jeden budynek mógł pracować.

Krążą opowieści o inwazjach, które były konieczne, by powstał Departament Kwarantanny. O dziwacznych sojuszach, które zapewniły im punkt zaczepienia w genetycznych technologiach. O sprowadzanych za potworne pieniądze

farangach, zagranicznych ekspertach przekazujących wirusy swojej wiedzy, sprzedających Królestwu kryminalne, drastyczne genhakerskie pomysły, wiedzę niezbędną Tajom do przetrwania, do względnego bezpieczeństwa w obliczu epidemii.

Niektórzy z nich są teraz sławni i liczą się w ludowej pamięci, jak Ajahn Chanh, Chart Korbjitti i Seub Nakhasathien. Niektórzy stali się wręcz boddhisattwami, miłosiernymi duchami oddanymi sprawie uratowania Królestwa przed zagładą.

Przechodzi przez dziedziniec. W roku stoi kapliczka poświęcona duchom, mieszcząca miniaturowe posążki Laljiego Nauczyciela, przypominającego małego, pomarszczonego *sadhu* oraz AgriGenowskiej świętej Sary. Święte bliźniaki. Mężczyzna i kobieta, kaloryczny bandyta i genhakerka. Złodziej i budownicza. Pali się tylko parę laseczek kadzidła, stoi zwyczajowy talerz ze śniadaniem i wisi parę girland z aksamitków, jak zawsze. Kiedy plagi atakują, a naukowcy pośpiesznie usiłują znaleźć rozwiązanie, to miejsce aż kipi od modlitw.

My nawet modlimy się do *farangów*, myśli Kanya. O cudzoziemskie antidotum na cudzoziemskie plagi.

„Korzystaj z każdego narzędzia, jakie wpadnie ci w ręce. Traktuj je jak swoje”, mawiał kiedyś Jaidee, tłumacząc, dlaczego zadają się z najgorszymi typami. Dlaczego korumpują, kradną i finansują potwory w rodzaju Gi Bu Sena.

„Maczecie jest wszystko jedno, kto ją trzyma i kto ją zrobił. Bierzesz ją i tnie. Weź i *farangów*, jeśli mają być narzędziem w twoich rękach. A jeśli narzędzie zwraca się przeciwko tobie, przetapiasz je. Masz przynajmniej surowy metal”.

Korzystaj z każdego narzędzia. Jaidee, zawsze praktyczny.

Ale to boli. Biją się i żebrzą o każdy strzęp zagranicznej wiedzy, żeby przetrwać, żywią się resztkami, jak cheshire'y.

Tyle wiedzy jest zamknięte na amerykańskim Środkowym Zachodzie. Gdy na świecie pojawia się jakiś obiecujący genetyk, wszyscy kuszą go, zastraszają i przekupują, żeby pracował wśród najlepszych w Des Moines lub Changshy. Żeby przeciwstawić się PurCalowi, AgriGenowi czy RedStarowi, potrzeba dobrego naukowca. A jeśli nawet znajdzie się taki, który może się mierzyć z kaloriarzami, to co ma mu do zaproponowania Królestwo? Nawet najlepsze tutejsze komputery są całe generacje do tyłu za firmami kalorycznymi.

Odpycha od siebie tę myśl. Żyjemy. Żyjemy, choć upadły całe państwa i królestwa. Choć Malezja to mordercza dżungla. Choć Kowloon jest pod wodą. Choć Chiny są podzielone, Wietnam upadł, a Birma to nic tylko głód. Nie ma już amerykańskiego imperium. Unia Europejczyków rozpadła się i podzieliła. A my przetrwaliśmy, nawet rośniemy. Królestwo żyje. Dziękujemy Buddzie, że wyciąga do nas miłosierną dłoń, a nasza Królowa ma duże zasługi w ściąganiu tych przerażających cudzoziemskich narzędzi, bez których bylibyśmy kompletnie bezbronni.

Dociera do ostatniej kontroli. Znów sprawdzają jej papiery. Rozsuwają się drzwi, zapraszają ją do elektrycznej windy. Czuje zasysane powietrze — podciśnienie, drzwi się zamykają.

Kanya spada w głąb ziemi, jakby leciała do piekła. Myśli o zaludniających tę straszną instytucję wygłodniałych duchach. Duchach umarłych, którzy poświęcili życie, by okiełznać trzęsące światem demony. Czuje gęsią skórkę.

W dół.

I w dół.

Drzwi windy rozsuwają się. Biały korytarz, Śluza. Zdjąć ubranie. Pod gęsty od chloru prysznic. Wyjść po drugiej stronie.

Chłopak podsuwa jej laboratoryjny kitel, porównuje dokumenty z listą. Informuje ją, że nie będzie musiała

przechodzić drugiej procedury bezpieczeństwa, i rusza kolejnymi korytarzami.

Tutaj naukowcy mają udręczone miny ludzi świadomych, że są obłączeni. Wiedzą, że za kilkoma parami drzwi czyhają na nich wszystkie apokaliptyczne plagi. Gdy myśli o tym, wilgotnieją jej trzewia. To była siła Jaideego. Wierzył w swoje przeszłe i przyszłe życia. A Kanya? Kilkanaście razy odrodzi się, żeby umrzeć na cibiskożę, zanim będzie jej wolno pójść dalej. Taka *kamma*.

— Trzeba było się nad tym zastanowić, zanim mnie im wydałaś — mówi Jaidee.

Kanya potyka się, słysząc ten głos. Jaidee idzie kilka kroków za nią. Kanya traci dech i przyciska się plecami do ściany. Jaidee przekrzywia głowę, przygląda się jej. Kanya nie może oddychać. Czy po prostu udusi ją tutaj, mszcząc się za zdradę?

Jej przewodnik przystaje.

— Źle się pani czuje? — pyta.

Jaidee zniknął.

Serce Kanyi wali jak młotem. Poci się. Gdyby była gdzieś głębiej w strefie niebezpiecznej, musiałaby poprosić o zamknięcie na kwarantannie, błagać, żeby jej stąd nie wypuszczali, żeby uwierzyli, że złapała jakąś bakterię albo wirusa i niebawem umrze.

— Ja... — jąka się, przypominając sobie krew na schodach siedziby generała Prachy. Poćwiartowane ciało Jaideego, starannie przygotowana drastyczna przesyłka. Okropna śmierć.

— Mam wezwać lekarza?

Kanya próbuje opanować oddech. Nawiedza ją Jaidee. Chodzi za nią jego *phii*. Usiłuje okiełznać strach.

— Nic mi nie jest. — Kiwa na przewodnika. — Idźmy. Niech to się skończy.

Minutę później przewodnik staje przed drzwiami i wskazuje Kanyi, że ma wejść. Gdy otwiera drzwi, Ratana unosi wzrok nad dokumentów. Uśmiecha się lekko w blasku monitora.

Tutaj wszystkie komputery mają wielkie ekrany. Niektóre to modele sprzed pięćdziesięciu lat, zużywające więcej energii niż pięć nowych. Ale działają, a w zamian są pieczołowicie konserwowane. Niemniej, na myśl o ilości przepalanej tutaj energii Kanyi aż miękną kolana. Niemal widzi podnoszący się od tego poziom oceanu. To przerażające, stać obok czegoś takiego.

— Dzięki, że przyszedł — mówi Ratana.

— Oczywiście, że przyszedłem.

Ani słowem nie wspomina o wcześniejszych schadzках. O wspólnej historii, zakończonej fiaskiem. Nie mówi, że Kanya nie powinna bawić się w *tom* i *dee* z ludźmi, których w końcu zdradzi. Za dużo hipokryzji, nawet dla Kanyi. Lecz Ratana i tak jest piękna. Kanya wspomina, jak śmiała się razem z nią, jak pływały łódką po Chao Phraya i patrzyły na świecące wokół papierowe trawki podczas święta Loi Krathong. Wspomina, jak leżały razem, przytulone, fale chlupotały, a wokół migotały tysiące maleńkich świeczek, płynące po wodzie prośby i modlitwy całego miasta.

Ratana gestem każe jej podejść. Pokazuje jej zestaw zdjęć na monitorze. Zauważa dystynkcje kapitana na jej białym kołnierzu.

— Tak mi szkoda Jaideego. Był... dobry.

Kanya krzywi się, próbując pozbyć się wspomnienia o jego *phii* w korytarzu.

— Lepszy niż mówisz. — Przygląda się świecącym na ekranie zwłokom. — Co z nimi?

— Dwóch ludzi. Z dwóch różnych szpitali.

— I?

— Coś mieli. Coś groźnego. Wygląda jak wariant rdzy pęcherzowej.

— No i? Zjedli coś zakażonego. Umarli. Co z tego?

Ratana kręci głową.

— Byli żywicielami tego czegoś. Nosicielami. Nigdy nie widziałam, żeby coś takiego pasożytowało na ssakach.

Kanya przygląda się szpitalnym zapisom.

— Co to za ludzie?

— Nie wiemy.

— Rodzina ich nie odwiedzała? Nikt nie widział, jak przyszli? Nic nie mówili?

— Jeden, kiedy go przyjmowano, był półprzytomny. Drugi już głęboko w śpiączce z powodu rdzy.

— Pewna jesteś, że po prostu nie najedli się zakażonych owoców?

Ratana wzrusza ramionami. Skórę ma gładką i bladą od podziemnego życia. Nie to, co Kanya, opalona jak wieśniaczka od patroli pod ostrym słońcem. Zdecydowanie wybrałaby pracę nad ziemią, a nie tutaj, w ciemności. Z nich dwóch to Ratana jest odważna. Kanya wie na pewno. Zastanawia się, jakie demony własnej duszy sprawiły, że pracuje w tym piekielnym miejscu. Gdy były ze sobą, Ratana nigdy nie mówiła o przeszłości. O swoich stratach. Ale musi jakieś mieć. Muszą istnieć, jak skały pod falami i przybrzeżną pianą. Zawsze są jakieś skały.

— Nie, oczywiście, że nie jestem pewna. Nie na sto procent.

— Na pięćdziesiąt?

Jeszcze raz wzrusza z zakłopotaniem ramionami, wraca do papierów.

— Wiesz, że nie umiem tego powiedzieć. Ale ten wirus jest inny, układ białek w próbkach jest pozmieniany, sugeruje nową odmianę. Analiza tkanki nie pasuje do standardowej sygnatury

rdzy pęcherzowej. Wykazuje podobieństwo do wariantów, jakie spotykaliśmy kiedyś. Warianty AgriGenu i TotalNutrient, AG134.s i TN249.x.d. Do obu jest mocno podobna...

— Co tam?

— Tylko że ona była w płucach.

— Czyli to cibiskoza.

— Nie. Rdza pęcherzowa. — Ratana patrzy na Kanye. — Teraz rozumiesz problem?

— I nie wiadomo nic o ich historii, podróżach? Przyjechali z zagranicy? Może kliprem? Może z Birmy? Z południowych Chin? Nie są czasem z tej samej wsi?

Ratana wzrusza ramionami.

— O żadnym nic nie wiemy. Łączy ich tylko choroba. Kiedyś mieliśmy demograficzną bazę danych z zapisami DNA, genealogią, informacją o miejscu pracy i zamieszkania, ale wyłączono ją, żeby badania wyprzedzające miały więcej mocy do dyspozycji. — Wzrusza ramionami. — Zresztą i tak mało komu chciało się rejestrować, więc nie miało to sensu.

— Czyli nie mamy nic. Jakies inne przypadki?

— Nie.

— To znaczy, jak dotąd.

— To nie zależy ode mnie. Wyłapaliśmy to tylko dzięki zaostrzeniu polityki. Szpitale meldują o wszystkim, o wiele więcej niż normalnie, żeby pokazać, że są posłuszne. Przypadkiem zgłoszono akurat to, a ja to zauważyłam wśród tych wszystkich raportów. Potrzebna nam pomoc Gi Bu Sena.

Kanyi cierpnie skóra.

— Jaidee nie żyje. Gi Bu Sen nie będzie chciał nam teraz pomóc.

— Zdarzało się, że coś go zainteresowało. Coś spoza jego własnych badań. W tym wypadku są szanse. — Patrzy na Kanye

z nadzieją. — Chodziłaś tam z Jaideem. Widziałaś, jak go przekonuje.

Może tobą też się zainteresuje?

— Wątpię.

— Popatrz na to. — Ratana wertuje medyczne wykresy. — Wszystko wskazuje na sztucznego wirusa. Modyfikacje DNA, które nie wyglądają na takie, jakie mogą się przydarzyć w naturze. Rdza pęcherzowa nie ma powodu, żeby przeskakiwać z królestwa roślin do zwierząt. Nic jej do tego nie zmusza, a przeskok nie jest łatwy. A to coś się znacznie różni. Trochę tak jakbyśmy patrzyli w jej przyszłość. Jak będzie wyglądać po dziesięciu tysiącach odrodzeń. Prawdziwa zagadka. I bardzo niepokojąca.

— Jeśli masz rację, to wszyscy już nie żyjemy. Trzeba złożyć meldunek generałowi Prasze. Powiadomić Pałac.

— Cicho — błaga Ratana. Wyciąga rękę, łapie Kanyę za rękaw. Twarz ma zbolaną. — Przecież mogę się mylić.

— Ale się nie mylisz.

— Nie wiem, czy to potrafi dokonać przeskoku i jak szybko. Chcę, żebyś poszła do Gi Bu Sena. On będzie wiedział.

Kanya się krzywi.

— No dobra. Spróbuję. Ale tymczasem roześlij po szpitalach i ulicznych ambulatoriach polecenie, żeby wypatrywały takich objawów. Sporządź listę. Wszyscy i tak są przestraszeni naszą zaostrzoną polityką, więc nie będzie podejrzane to, że żądamy nowych informacji. Pomyślą, że to po prostu apel o czujność. Przynajmniej czegoś się dowiemy.

— Jeśli się nie mylę, będą zamieszki.

— Albo i gorsze rzeczy. — Kanya odwraca się do drzwi. Czuje mdłości. — Jak skończysz testy i będziesz miała dla niego gotowe dane, spotkam się z tym diabłem. — Robi zniesmaczoną minę. — Dostaniesz potwierdzenie.

— Kanya?

Odwraca się.

— Tak mi przykro, że Jaidee... — mówi Ratana. — Wiem, że byliście blisko.

— Był Tygrysem.

Otwiera drzwi, zostawiając Ratanę w jej mateczniku demonów. Cała budowla poświęcona przetrwaniu Królestwa, wypalająca kilowaty energii dniem i nocą, i wszystko to guzik warte.

XXV

Anderson-sama pojawia się bez uprzedzenia, siada obok niej na stołku barowym, zamawia dla niej wodę z lodem, a dla siebie whiskey. Nie uśmiecha się do niej, w zasadzie jej nie zauważa, Emiko czuje jednak falę wdzięczności.

Przez ostatnie kilka dni ukrywała się w barze, czekając tylko, kiedy białe koszule postanowią ją skompostować. Jej życie wisi teraz na tolerancji i astronomicznych łapówkach — po tym, jak Raleigh na nią patrzy, widzi, że niechętnie ją wypuści ze swych rąk. Za dużo w nią zainwestował, żeby pozwolić jej odejść.

Potem jednak pojawia się Anderson-sama i przez chwilę czuje się bezpieczna, jakby znów znalazła się w ramionach Gendo-samy. Wie, że to efekt tresury, ale nie może nic na to poradzić. Uśmiecha się, gdy widzi go koło siebie, oświetlonego fosforescencją robaczków świętojańskich, jego rysy twarzy *gaijina* tak niezwykle wśród morza Tajów i garstki świadomych jej istnienia Japończyków.

Tak jak jest przyjęte, nie wita się z nią, lecz wstaje, podchodzi do Raleigha i już wiadomo, że kiedy tylko skończy się występ, będzie dziś spać w bezpiecznym miejscu. Po raz pierwszy od zaostrenia polityki nie będzie się bać białych koszul.

Jest zaskoczona, gdy Raleigh podchodzi do niej od razu.

— Zdaje się, że coś ci się udało. *Farang* chce cię wykupić już teraz.

— Czyli dziś nie występuję?

Raleigh wzrusza ramionami.

— Zapłacił.

Emiko czuje przyływ ulgi. Spieszy się przygotować i już przekrada się w dół schodami. Raleigh załatwił, że białe koszule przychodzą na naloty o określonych porach, co pozwala jej poruszać się po Ploenchit, jak chce. Mimo to, i tak jest ostrożna. Zanim ustalili się rozkład jazdy, trzy razy przyszli wcześniej. Nim wypracowano nowe zawieszenie broni, paru właściciele lokali splunęło krwią. Ale nie Raleigh. Ma chyba jakąś nadprzyrodzoną wiedzę o działaniu organów ścigania i biurokracji.

Przed wieżowcem czeka Anderson w rikszy, pachnie whiskey i tytoniem, twarz ma szorstką od wieczornego zarostu. Przytula się do niego.

— Liczyłam, że po mnie przyjdiesz.

— Przepraszam, że tyle to trwało. Trochę mi się posypały sprawy.

— Tęskniłam za tobą. — Ze zdziwieniem uświadamia sobie, że to prawda.

Ostrożnie lawirują w wieczornym ruchu, mijając człapiące ciemne megodonty, rozmigotane cheshire'y, płonące świece i śpiące rodziny. Przejeżdżają obok umundurowanych w białe koszule patroli, ale funkcjonariusze są zajęci kontrolą przy straganie z warzywami. Nad nimi migają zielono gazowe latarnie.

— Nic ci się nie stało? — Anderson wskazuje brodą białe koszule. — Ministerstwo robi naloty?

— Na początku było bardzo źle. Ale teraz się uspokoiło.

Podczas pierwszych nalotów w budynku wybuchła panika — białe koszule wzięły szturmem schody, wywlekając burdelmamuśki, odcinając pirackie podłączenia metanu, wymachując pałkami. Ladyboy* krzyczały, właściciele lokali pędem biegli po więcej gotówki, a potem padali pod pałkami,

gdy nie udawało im się ich przekupić. Emiko kuliała się, nieruchoma jak posąg, między innymi dziewczynami, a białe koszule biegały po barze, wskazując kolejne problemy, grożąc, że pobiją je wszystkie tak, że nie będą w stanie nic zarobić. Nie było w nich ani śladu dobrego humoru, tylko wściekłość spowodowana śmiercią Tygrysa, tylko żądza dania nauczki każdemu, kto kiedykolwiek śmiał się z ich zarządzeń.

Przerażenie. Prawie zsikała się ze strachu, znieruchomiła między dziewczynami, pewna, że Kannika wypchnie ją naprzód i zdemaskuje, że skorzysta z tej chwili, by się jej pozbyć.

Raleigh kłaniał się w pas im wszystkim, odgrywając farsę przed tymi, co regularnie przychodzili doń po łapówki — niektórzy nawet patrzyli jej wprost w oczy — Suttipong, Addilek i Thanachai, doskonale zorientowani, kim jest i co tu robi, bo przecież nawet jej próbowali. Gapili się, próbując zdecydować, czy mają ją „wykryć”. Każdy odgrywał swoją rolę, Emiko tylko czekała, aż Kannika przerwie tę maskaradę i każe wszystkim spojrzeć na nakręcankę, stanowiącą dotąd tak lukratywne źródło łapówek.

Wzdryga się na to wspomnienie.

— Teraz się uspokoilo — powtarza.

Anderson-sama kiwa głową.

Riksza staje przed jego budynkiem. Wysiada pierwszy, upewnia się, czy nie kręcą się białe koszule, potem prowadzi ją do środka. Dwóch ochroniarzy skrupulatnie nie zwraca na nią uwagi. Wychodząc, da im napiwek, żeby na pewno o niej zapomnieli. Może i się nią brzydzą, ale będą grać jak trzeba, jeśli będzie uprzejma i jeśli zapłaci. Przy obecnej brutalności białych koszul, trzeba im będzie dać trochę więcej. Da się zrobić.

Wchodzą z Andersonem do windy, windziarka ze starannie beznamiętną twarzą wykrzykuje szacowany ciężar pasażerów.

W jego mieszkaniu, bezpieczni, padają sobie w ramiona. Emiko ze zdziwieniem uświadamia sobie, jak się cieszy, że mu się podoba, że dotyka dłońmi jej skóry, że chce jej dotykać. Zapomniała już, jak to jest, wyglądać prawie jak człowiek, i prawie cieszyć się szacunkiem. W Japonii nikt nie wstydził się patrzeć na nią pożądliwie. Tutaj codziennie czuje się jak zwierzę.

Co za ulga, być kochaną, choćby tylko za swoje ciało.

Jego dłonie prześlizgują się po piersiach, po brzuchu, wkradają się między nogi, wciskają głębiej. Czuje ulgę, widząc, że wchodzi gładko, że zobaczy, że sprawia jej przyjemność. Przyciska się do niego, ich usta odnajdują się nawzajem, na moment całkiem zapomina, że ludzie nazywają ją „nakręcanką” i „trzęsilapą”. Przez chwilę czuje się stuprocentową kobietą i zatracą się w tym dotyku. Rozpływa się pod dotykiem skóry Andersona-samy. W bezpieczeństwie, jakie zapewnia rozkosz i poczucie spełnianego obowiązku.

Niestety, po zbliżeniu depresja powraca.

Anderson-sama, pamiętając o jej wysiłku, przynosi jej zimną wodę. Kładzie się obok, nagi, uważając, żeby nie dotykać, nie oddawać jej jeszcze dodatkowego ciepła.

— O co chodzi? — pyta.

Emiko wzrusza ramionami, próbuje zmienić się w uśmiechniętego Nowego Człowieka.

— Nic takiego. Nic, co by się dało zmienić. — Wyrażanie własnych potrzeb jest dla niej prawie niemożliwe. Całkiem wbrew naturze. Dostałaby za coś takiego od Mizumi-sensei.

Anderson-sama przygląda się jej, wzrok ma zadziwiająco łagodny, jak na człowieka o ciele tak pociętym bliznami. Potrafi je skatalogować. Każda kryje tajemnicę jakiegoś gwałtu na jego bladej skórze. Te wypukłe na piersi mogą pochodzić od strzałów ze sprężynowców. Ta na ramieniu, być może od

maczety. Te na plecach wyglądają jak ślady chłosty, prawie na pewno. Jedyna, której jest pewna, to ta na szyi, z jego fabryki.

Wyciąga rękę, dotyka jej delikatnie.

— Coś nie tak?

Emiko odsuwa się od niego. Ledwo może mówić z zażenowania.

— Białe koszule... oni nigdy nie dadzą mi wyjechać. A Raleigh-san dopiero co wręczył kolejne łapówki, żeby mnie zatrzymać. Chyba nigdy mnie nie puści.

Anderson-sama nie reaguje. Emiko słyszy jego oddech, powolny, równomierny, ale nic poza tym. Płonie ze wstydu.

Głupia, zachłanna nakręcanka. Powinnaś być wdzięczna za to, co ci daje.

Milczenie się przedłuża. Wreszcie Anderson-sama pyta:

— Jesteś pewna, że Raleigh nie da się przekonać? W końcu to człowiek interesu.

Emiko przysłuchuje się jego oddechowi. Czy to jest propozycja, że ją wykupi? Gdyby był Japończykiem, tak właśnie wyglądałaby starannie zawołowana oferta. Ale u Andersona-samy — trudno powiedzieć.

— Nie wiem. Raleigh-san lubi pieniądze. Ale chyba także lubi patrzeć, jak mnie męczy.

Czeka, z napięciem wypatrując choćby sugestii, co on o tym myśli. Anderson-sama nie pyta o

dalsze informacje. Zostawia aluzję w powietrzu. Czuje jednak jego ciało, blisko niej, czuje ciepło jego skóry. Czy dalej słucha? Gdyby był cywilizowany, ten brak odpowiedzi odebrałaby jak policzek. Ale *gaijini* nie są tacy subtelni.

Emiko bierze się w garść. Naciska jeszcze raz, niemal dusząc się ze wstydu przełamuje imperatywy swoich genów i szkoleń. Całą siłą woli powstrzymuje się, by nie skulić się jak pies, próbuj e j jeszcze raz.

— Teraz mieszkam w barze. Raleigh-san daje w łapę, żeby białe koszule tam nie przychodziły. Teraz musi dawać potrójnie, trochę dla innych lokali i trochę dla białych koszul, żeby mogła

zostać. Nie wiem, ile czasu tam przetrwam. Moja nisza chyba się kurczy.

— A czy... — Anderson-sama się waha. Potem kończy: — Mogłabyś zostać u mnie.

Serce jej staje.

— Raleigh-san chyba by mnie znalazł.

— Są sposoby na takich ludzi jak Raleigh.

— Możesz mnie od niego uwolnić?

— Wątpię, żeby miał taką sumę, żeby cię wykupić.

Jej serce łamie się, gdy Anderson mówi:

— Przy takich napięciach jak teraz nie mogę go sprowokować, po prostu cię zabierając. Nie w sytuacji, kiedy po prostu może przysłać tu na polowanie białe koszule. To zbyt ryzykowne. Ale chyba mogę załatwić, żebyś przynajmniej tu spała. Może będzie mu to odpowiadało, to zmniejszy jego ryzyko.

— Ale czy to nie będzie dla ciebie problemem? Białe koszule *farangów* też nie lubią. Sam jesteś bardzo zagrożony. — Pomóż mi stąd uciec. Pomóż znaleźć wsie Nowych Ludzi. Pomóż. Proszę. — Gdybym mogła wykupić się od Raleigha... mogłabym ruszyć na północ.

Anderson-sama pociąga ją lekko za ramię. Emiko pozwala się przyciągnąć z powrotem do niego.

— Liczysz na zbyt mało — mówi. Dłonią obrysowuje kontur jej brzucha. Machinalnie. W zamyśleniu. — Niedługo może się zmienić wiele rzeczy. Może nawet dla nakręcańców. — Rzuca jej lekki, konfidenjonalny uśmiezek. — Białe koszule i ich przepisy nie są wieczne.

Ona błaga o przeżycie, a on mówi o jakichś mrzonkach.

Emiko stara się nie okazać rozczarowania. Powinnaś być wdzięczna, zachłanna dziewczyno. Za to, co masz. Rozgoryczenie zostaje jednak w głosie:

— Jestem nakręcanką. Nic się nie zmieni. Zawsze będziemy pogardzane.

Anderson-sama parska śmiechem, przytula ją mocniej.

— Nie bądź taka pewna. — Muska ustami jej ucho i szepcze konspiracyjnie: — Jeśli pomodlisz się do tego waszego bogacheshire'a, *bakeneko*, może przyniesie ci coś więcej niż wioskę w dżungli. Przy odrobinie szczęścia dostaniesz całe miasto.

Emiko odsuwa się, patrzy nań smutno.

— Rozumiem, że nie jesteś w stanie zmienić mojego losu. Ale nie powinieneś tak sobie ze mnie żartować.

Anderson-sama znów tylko się śmieje.

* Ladyboy, katoey, katoey - termin określający tajskich transseksualistów o żeńskiej powierzchowności, przedstawiających się jako kobiety (przyp. tłum.).

XXVI

Hock Seng czai się w zaułku tuż obok dzielnicy zagranicznych fabryk. Jest noc, ale i tak wszędzie pełno białych koszul. Wszędzie, gdzie pójdzie, natrafia na kordony mundurów. Przy kejach stoją odizolowane klipry, czekające na pozwolenie na rozładunek. W dzielnicy przemysłowej funkcjonariusze Ministerstwa stoją na każdym rogu, broniąc dostępu robotnikom, sprzedawcom, i nawet właścicielom. Wpuszczają tylko garstkę ludzi, tych, którzy okażą kartę stałego zamieszkania. Tutejszych.

Hock Sengowi, który może się wylegitymować tylko żółtą kartą, przejście przez miasto z unikaniem posterunków zajęło pół wieczoru. Brakuje mu Mai. Dzięki jej młodym oczom i uszom czuł się bezpieczny. Teraz musi czaić się razem z cheshire'ami w śmierdzącym moczem zaułku, patrzeć, jak białe koszule sprawdzają dokumenty kolejnego przechodnia, i kląć, że jest odcięty od fabryki SpringLife. Trzeba było mieć trochę odwagi i po prostu włamać się do sejfu, dopóki była okazja. Trzeba było postawić wszystko na jedną kartę. A teraz jest za późno. Teraz każdy cal miasta należy do białych koszul, a żółte karty są ich ulubionym celem. Lubią sprawdzać pałki na ich czaszkach, dawać im nauczkę. Hock Seng jest pewien, że gdyby nie znajomości Pana Łajna, już wyrznęliby tych mieszkających w wieżowcach. Ministerstwo Środowiska patrzy na żółte karty tak samo, jak na inne gatunki szkodników i epidemii, z którymi walczy. Gdyby to od nich zależało, białe koszule pozabijałyby wszystkich Chińczyków z żółtymi kartami, a potem padły w pozie *khrab* przed Małą Królową, przeprasząc ją. Ale dopiero po fakcie.

Młoda kobieta okazuje przepustkę i przechodzi przez kordon. Znika w głębi ulicy, głęboko w dzielnicy fabryk. Wszystko jest tak kusząco blisko, a jednak poza zasięgiem.

Patrząc obiektywnie, może i dobrze, że fabryka jest zamknięta. Bezpieczniej dla wszystkich. Gdyby tak mu nie zależało na zawartości sejfu, mógłby po prostu zameldować o zachorowaniach przy linii i mieć całą *tamade* sprawę z głowy. Jednakże, mimo całej tej zarazy, zagnieżdżonej w wyziewach kadzi z glonami, wciąż kuszą go plany i dane techniczne.

Sfrustrowany Hock Seng omal nie rwie sobie włosów z głowy.

Wbija wzrok w posterunek, zaklinając białe koszule, żeby sobie poszły, albo przynajmniej spojrzwały w inną stronę. Modli się, błaga boginię Kuan Yin i grubego, złotego Budai o odrobinę szczęścia. Mając te projekty i wsparcie Pana Łajna, tak wiele mógłby zdziałać. Tyle przyszłości. Tyle życia. Znów mógłby zadbać o przodków. A może i żona? Może syn, który poniesie dalej jego nazwisko. Może...

Przechodzi patrol. Hock Seng wsuwa się głębiej w cień. Kojarzy mu się z czasami, gdy Zielone

Opaski zaczęły patrolować w nocy ulice. Wyglądały par trzymających się za ręce, okazujących zepsucie.

Powiedział wówczas swoim dzieciom, żeby uważały, żeby zrozumiały, że fale konserwatyzmu przychodzą i odchodzą, i co z tego, że nie mogą żyć tak swobodnie i otwarcie, jak ich rodzice? Czyż nie mają pełnych brzuchów, rodziny, przyjaciół, których lubią? A za wysokimi murami ich osiedli to nieważne, co myślą sobie Zielone Opaski.

Jeszcze jeden patrol. Hock Seng zawraca i wślizguje się z powrotem w uliczkę. Nie ma sposobu, żeby przekraść się do przemysłowej dzielnicy. Białe koszule są zdeterminowane, żeby zablokować Handel i zaszkodzić *farangom*. Krzywi się i rusza w długą i krętą drogę przez *soi* ku swojemu slumsowi.

Skorumpowane było całe Ministerstwo, ale nie Jaidee. Przynajmniej jeśli mówi się o nim prawdę. Nawet „Sawatdee Krung Thep!”, szeptanka, która najbardziej go uwielbiała, a potem w okresie niełaski doszczętnie go potępiła, drukowała teraz stronę za stroną pochwał narodowego bohatera. Kapitan Jaidee był zbyt kochany, by pokroić go na kawałki, potraktować jak flaki wrzucane do kompostowników na metan. Ktoś musi ponieść karę.

A jeśli odpowiada za to Handel, to trzeba ukarać Handel. Stąd pozamykane fabryki, lądowiska, drogi i porty, a Hock Seng nie może precyzyjnie się do środka. Nie zarezerwuje sobie miejsca na kliprze, nie popłynie w górę rzeki do zrujnowanej Ayutthayi, nie ucieknie sterowcem do Kolkaty czy Japonii.

Przedostaje się na nabrzeża i oczywiście tam też są białe koszule, oraz małe grupki dokerów, siedzących na ziemi, bezrobotnych z powodu blokady. Przepiękny klipser stoi zakotwiczony sto metrów od brzegu, kołysząc się łagodnie na wodzie. Piękny jak niegdysiejsze jego statki. Najnowsza generacja, przestawne kadłuby i podwodne płyty, tworzywo z oleju palmowego, skrzydłowe żagle. Szybki. I może przewieźć dużo ładunku. Stoi sobie i połyskuje. A Hock Seng stoi na nabrzeżu i się gapi. Równie dobrze mógłby kotwiczyć w Indiach.

Zauważa wózek z jedzeniem, straganiarz smaży w głębokim woku tilapie. Hock Seng bierze się w garść. Musi zadać to pytanie, choć ujawni przez to, że jest żółtą kartą. Bez informacji jest ślepy. Białe koszule są na drugim końcu nabrzeża, więc nawet jeśli ich zawoła, będzie mieć czas na ucieczkę.

Podsuwa się bliżej.

— Pasażerowie mogą jakoś przejść? — mruczy. Przekrzywiając głowę, wskazuje klipser. — Na ten statek?

— Nie ma przejścia dla nikogo — szepcze sprzedawca.

— Nawet dla jednej osoby?

Sprzedawca marszczy brwi, pokazuje brodą innych pasażerów w cieniu, siedzących na ziemi, palących, grających w karty. Gromadzą się wokół korbkowego radia jednego ze sklepikarzy.

— Ci tu siedzą cały tydzień. Będzie trzeba poczekać, żółta karto. Tak jak wszyscy.

Hock Seng tłumi chęć skulenia się, po tym jak został rozpoznany. Zmusza się do udawania, że wszyscy są równi, do tworzenia fikcji w nadziei, że dostrzeże w nim człowieka, a nie jakiegoś cheshire'a-szkodnika.

— A słyszał pan coś może o małych łodziach, gdzieś dalej od miasta? Za pieniądze?

Sprzedawca ryb kręci głową.

— Nikt nigdzie nie popłynie. Złapali już dwie grupy pasażerów, które chciały przepłynąć na ląd ze statków. Białe koszule nie puszczają do nich nawet łodzi z zaopatrzeniem. My się tu zakładamy, czy najpierw ustąpią białe koszule, czy kapitan podniesie kotwicę.

— Ile za ile? — pyta Hock Seng.

— Dam jedenaście do jednego, że najpierw kliper odpłynie.

Hock Seng się krzywi.

— Chyba nie zaryzykuję.

— No to dwadzieścia do jednego.

Rozmowę chyba podsłuchiwało parę innych osób. Śmieją się dyskretnie.

— Nie zakładaj się, dopóki ci nie da z pięćdziesiąt do jednego — rzuca jeden. — Białe koszule się nie ugną. Nie tym razem. Nie po śmierci Tygrysa.

Hock Seng zmusza się do śmiechu razem z nimi. Wyciąga papierosa, zapala go, resztą częstuje innych. Mały dar dobrej woli dla tych Tajów, za chwilę braterstwa. Gdyby nie był żółtą

kartą, spróbowałyby poczęstować i białe koszule, ale w taki wieczór jak dziś otrzymałyby za to tylko cios pałą w czaszkę. Nie jest zainteresowany oglądaniem kawałków swojej głowy na bruku, więc tylko pali i przygląda się blokadzie.

Mija czas.

Ręce mu się trzęsą od samej idei zamkniętego miasta. Ale przecież nie chodzi o żółte karty, powtarza sobie. To nie przez nas. Trudno mu jednak uwierzyć, że pętla się nie zaciska. Może i chodzi o Handel, ale w mieście jest za dużo żółtych kart, a kiedy handel stanie na długo, nawet ci życzliwi ludzie zauważą brak pracy. Wtedy zaczną pić, a później pomyślą o żółtych kartach w wieżowcach.

Tygrys nie żyje. Spogląda z każdego słupa. Jego twarz wisi na każdym budynku. Trzy podobizny Jaideego w postawie do walki gapią się nawet teraz ze ściany magazynu. Hock Seng pali papierosa i patrzy na tę twarz spode łba. Ludowy bohater. Człowiek, którego nie dało się kupić, który patrzył z góry na Ministrów, zagraniczne firmy i drobnych biznesmenów. Którego było stać nawet na walkę z własnym Ministerstwem. Kiedy stał się zbyt kłopotliwy, odesłano go do roboty papierkowej, a gdy zaczął robić jeszcze większe problemy, wyładował z powrotem na patrolach. Człowiek, który śmiał się z gróźb śmierci i przeżył trzy zamachy, zanim padł podczas czwartego.

Hock Seng się krzywi. Ostatnio ta czwórka ciągle chodzi mu po głowie. Tygrys z Bangkoku miał tylko cztery szanse. A ile zużył już on sam? Przygląda się nabrzeżom, gromadom ludzi, niemogącym dostać się na swoje statki. Wyostrzonymi zmysłami uchodźcy czuje w powietrzu niebezpieczeństwo, ostrzejsze niż morski wiatr, który targa kliprem, zwiastując tajfun.

Tygrys nie żyje. Malowane oczy Jaideego wpatrują się w Hock Senga, który ma nagłe, przerażające przecucie, że Tygrys jednak żyje. Żyje i poluje.

Odwraca się od plakatu, jak od zarażonego rdzą duriana. Czuje w kościach, że czas uciekać. To równie pewne jak to, że jego klan zginął i leży pod malezyjską ziemią. Pora schować się przed polującymi nocą tygrysami. Zanurkować w pełną pijawek dżunglę, żywić się karaluchami i pełzać w potokach błota podczas pory deszczowej. Wszystko jedno, dokąd pójdzie. Ważne jest tylko to, żeby uciec w porę. Hock Seng zerka na kotwiczący kliper. Czas podjąć trudną decyzję. Czas postawić krzyżyk na fabryce SpringLife i jej projektach. Im później, tym gorzej. Trzeba wydać trochę pieniędzy. Zatrzaszczyć się o przetrwanie.

Bo tratwa już tonie.

XXVII

Gdy Anderson wychodzi z budynku, Carlyle już czeka niespokojnie w rikszy. Biega wzrokiem to w lewo, to w prawo, nerwowo inwentaryzując ciemność wokół. Ma w sobie coś z rozdygotanej ostrożności królika.

— Jakiś zdenerwowany jesteś — zauważa Anderson, kiedy wsiada.

Carlyle się krzywi.

— Białe koszule dopiero co zajęły Victory. Wszystko skonfiskowały.

Anderson zerka w górę na swoje mieszkanie, rad, że nieszczęsny stary Yates postanowił osiąść tak daleko od reszty *farangów*.

— Dużo straciłeś?

— Gotówkę z sejfu. Parę list klientów, których nie trzymałem w biurze. — Carlyle wykrzykuje do rikszarza polecenia po tajsku. — Lepiej miej tym ludziom coś do zaproponowania.

— Akkarat wie, co oferuję.

Riksza toczy się przez wilgotną noc. Rozpierzchają się cheshire'y. Carlyle ogląda się, czy nikt za nimi nie jedzie.

— Oficjalnie nikt nie zaczął ścigać *farangów*, ale wszyscy wiedzą, że jesteśmy następni na liście. Nie mam pewności, ile jeszcze czasu utrzymamy się w tym kraju.

— Popatrz na to optymistycznie. Jeśli wezmą się za *farangów*, kolej na Akkarata przyjdzie zaraz po nich.

Lawirują, przemierzając zaciemnione miasto. Przed nimi materializuje się posterunek. Carlyle ociera czoło. Poci się jak świnia. Białe koszule machają na ich rikszę, rikszarz zwalnia.

Anderson czuje ukłucie zdenerwowania.

— Jesteś pewien, że to zadziała?

Carlyle znów ociera czoło.

— Za chwilę się okaże.

Riksza turla się rozpędem, zatrzymuje, otaczają ich białe koszule. Carlyle mówi coś szybko. Wręcza im jakąś kartkę. Białe koszule naradzają się przez moment, a potem składają ręce w uniżone *wai* i machają, żeby jechać dalej.

— Niech mnie szlag.

Carlyle śmieje się z wyraźną ulgą w głosie.

— Odpowiednia pieczętka na świstku papieru czyni cuda.

— Zdumiewające, że Akkarat ma jeszcze jakieś wpływy.

Carlyle kręci głową.

— Akkarat by tego nie załatwił.

Gdy zbliżają się do nadmorskiej grobli, budynki zmieniają się w slumsy. Riksza zygzakuje między kawałami betonu, które spadły ze szczytów starego hotelu z czasów Ekspansji. Anderson sądzi, że dawno temu musiał być piękny. Nad nim tarasowo wznoszą się obrysowane światłem księżycy piętra. Teraz poobrastały je slumsowe szopy, a w oknach połyskują jak zęby ostatnie odłamki szyb. Riksza zwalnia i przystaje u podnóża wału. Dwa rzeźbione węże, *nagi*, strzegą wiodących na górę schodów. Patrzą, jak Carlyle płaci rikszarzowi.

— Chodź.

Carlyle prowadzi Andersona schodami, sunąc dłońią po łuskach *nagi*. Ze szczytu wału otwiera się widok na miasto. W oddali lśni Wielki Pałac. Wysokie mury osłaniają wewnętrzne dziedzińce, gdzie przebywa Mała Królowa ze swoim dworem, ale złote iglice *chedi* sterczą w niebo, połyskując delikatnie w księżycowym blasku.

— No, nie grzeb się. — Carlyle szarpie Anderson za rękaw.

Anderson waha się, rozgląda po nadbrzeżnym mroku pod nimi.

— Gdzie te białe koszule? Powinno ich być tu pełno.

— Nic się nie bój. Tutaj nie mają władzy. — Śmieje się i pochyła, przechodząc pod rozwieszonymi na szczycie wału girlandami *saisin*. — No chodź. — Gramoli się w dół po zrujnowanym wale, kierując się w stronę szemrzących fal.

Anderson się waha, nadal rozgląda po otwartej przestrzeni, w końcu idzie za nim.

Gdy docierają do brzegu, w mroku materializuje się sprężynowa łódka, podpływa ku nim. Anderson omal nie rzuca się do ucieczki, myśląc, że to patrol białych koszul, lecz Carlyle szepcze:

— To swoi.

Brodzą po płyciźnie, wchodzą na pokład. Łódka ostro zawraca i oddala się od brzegu. Księżyc przykrywa fale srebrną kołdrą. Jedyne dźwięki na tej łodzi to chlupot fal o kadłub i szczękanie rozkręcających się sprężyn. Przed nim majaczy barka, ciemna poza kilkoma diodowymi światłami pozycyjnymi.

Łódź obija się o jej kadłub. Chwilę później za burtę opuszcza się sznurowa drabinka. Gramolą się w ciemność. Gdy wchodzą na górę, marynarze witają ich pełnym szacunku *wai*. Gdy prowadzą ich pod pokład, Carlyle gestem nakazuje Andersonowi milczenie. Na końcu korytarza dwóch strażników pilnuje drzwi. Wołają coś do środka, anonsując przybycie *farangów*, drzwi otwierają się, ukazując grupę ludzi przy wielkim stole jadalnym. Wszyscy śmieją się i piją.

Jednym z nich jest Akkarat. W innym Anderson rozpoznaje admirała, który nęka statki kaloryczne płynące na Koh Angrit. Jeszcze jeden to chyba generał z południa. W rogu stoi mężczyzna w czarnym wojskowym mundurze, obserwuje wszystko czujnie. Kolejny...

Anderson traci dech.

— No już, okazuj szacunek — szepcze Carlyle.

Sam pada na kolana w pozie *khrah*. Anderson klęka najszybciej, jak potrafi. Somdet Chaopraya przygląda się obojętnie ich uniżoności. Akkarat śmieje się, patrząc, jak się płaszczą. Obchodzi stół i każe im wstać.

— W tym gronie nie trzeba aż tak oficjalnie — mówi z uśmiechem. — Chodźcie. Siadajcie. Tu wszyscy jesteśmy przyjaciółmi.

— To prawda. — Somdet Chaopraya uśmiecha się i unosi kieliszek. — Siadajcie. Napijcie się.

Anderson znów robi *wai*, najgłębiej jak potrafi. Hock Seng twierdzi, że Somdet Chaopraya zabił więcej ludzi, niż Ministerstwo Środowiska wyrznęło kur. Zanim mianowano go Opiekunem Małej Królowej, był generałem, a o jego brutalnych kampaniach na wschodzie opowiada się legendy. Spekuluje się nawet, że gdyby nie pewien wypadek przy pracy w jego linii genealogicznej, byłby w stanie sam zostać królem. A tak tylko czai się za tronem i wszyscy padają przed nim w *khrah*.

Serce mu wali. Jeśli zmianę rządu popiera Somdet Chaopraya, wszystko jest możliwe. Po latach poszukiwań i fińskim fiasku są w końcu blisko banku nasion. A więc także rozwiązania zagadki psiankowatych, tego *ngoh* i tysiąca innych genetycznych zagwozdek. Ten człowiek o srogich oczach, przepijający do niego z uśmiechem, który może być życzliwy albo drapieżny, stanowi klucz do wszystkiego.

Kelner podaje Andersonowi i Carlyle'owi wino. Przyłączają się do reszty gości za stołem.

— Właśnie rozmawialiśmy o wojnie węglowej — mówi Akkarat. — Wietnamczycy chwilowo poddali nam Phnom Penh.

— Czyli dobre nowiny.

Rozmowa się toczy, lecz Anderson słucha tylko jednym uchem. Ukradkiem cały czas obserwuje Somdeta Chaoprayę. Ostatni raz widział tego człowieka przed świątynią Phra Seuba w Ministerstwie Środowiska, kiedy obaj wytrzeszczali oczy na nakręcankę wśród japońskiej delegacji. Widziany z bliska wydaje się o wiele starszy niż na rozwieszonych w mieście portretach, przedstawiających go jako lojalnego obrońcę Małej Królowej. Twarz ma czerwoną od alkoholu, a oczy zapadnięte od rozpusty, której podobno tak lubi się oddawać. Hock Seng twierdzi, że jego reputacja wojskowego brutalą ma odzwierciedlenie w jego życiu prywatnym, i choć Tajowie padają w *khrab* przed jego obrazem, nie kochają go tak jak Małej Królowej. Teraz, gdy Somdet Chaopraya unosi wzrok, pochwycając jego spojrzenie, Andersonowi wydaje się, że chyba wie dlaczego.

Spotykał już takich dyrektorów z firm kalorycznych. Ludzi pijanych władzą i wpływami, możliwością przywołania do porządku całych państw groźbą embarga na SoyPro. Twardy, brutalny gość. Anderson zastanawia się, czy Mała Królowa w ogóle osiągnie pełnię władzy, stale mając przy sobie kogoś takiego. Mało prawdopodobne.

Rozmowa wokół stołu starannie omija przyczynę tego nocnego *rendez-vous*. Mówi się o żniwach na północy, o problemie z Mekongiem, teraz, gdy Chińczycy zbudowali w jego górze kolejne tamy. O przygotowywanych przez Mishimoto do produkcji nowych modelach kliprów.

— Czterdzieści węzłów przy pomyślnych wiatrach! — Carlyle radośnie wali pięścią w stół. — Płaty wodolotu i tysiąc pięćset ton ładunku. Kupię takich całą flotę!

Akkarat się śmieje.

— Ja myślałem, że przyszłością jest transport powietrzny. Sterowce o dużej nośności.

— Przy tych kliprach? Ja bym działał na dwa fronty. W czasach Ekspansji mieliśmy różne opcje transportowe. Morze i powietrze. Nie widzę powodu, żeby i teraz nie było tak samo.

— Teraz wszystkim chodzi po głowach nowa Ekspansja. — Uśmiech Akkarata znika. Zerka na Somdeta Chaoprayę, który ledwo zauważalnie kiwa głową. Minister Handlu ciągnie, mówiąc bezpośrednio do Andersona: — Pewne siły w Królestwie są przeciwne temu postępowi. To element nieoświecony, oczywiście, ale dość niedogodnie uparty.

— Jeśli prosi pan o pomoc — odzywa się Anderson — w dalszym ciągu z przyjemnością jej udzielimy.

Kolejna pauza. Spojrzenie Akkarata znów wędruje ku Somdetowi Chaoprayi. Odchrząkuje.

— W dalszym ciągu mamy pewne obawy co do natury waszej pomocy. Wasza historia nie budzi zaufania.

— Coś jakby wchodzić do łóżka z całym gniazdem skorpionów — podsuwa Somdet Chaopraya.

Anderson uśmiecha się nieznacznie.

— Wygląda na to, że już jesteście otoczeni sporą liczbą takich gniazd. Jeśli pozwolicie, możemy usunąć niektóre z nich. Skorzystają na tym obie strony.

— Cena, której żądacie, jest zbyt wysoka — odpowiada Akkarat.

Anderson stara się, by jego głos brzmiał beznamiętnie.

— Prosimy wyłącznie o dostęp, nic ponadto.

— I jeszcze tego człowieka, tego Gibbonsa.

— Czyli coś o nim wiecie? — Anderson pochyła się ku nim. — Wiecie, gdzie on jest?

Wszyscy przy stole milkną. Akkarat raz jeszcze zerka na Somdeta Chaoprayę. Mężczyzna wzrusza ramionami, ale dla Andersona to wystarczająca odpowiedź. Gibbons jest tutaj.

Gdzieś w tym kraju. Zapewne w mieście. Na pewno właśnie projektuje triumfalnego następcę *ngoh*.

— Nie prosimy o cały kraj — mówi. — Królestwo Tajlandii to coś innego niż Birma czy Indie. Ma własną, niepodległą przeszłość. Szanujemy to w całej rozciągłości.

Twarze zgromadzonych mężczyzn kamienieją.

Anderson przeklina siebie. Głupek. Przemawiasz do ich lęków. Zmienia front.

— Otwierają się znaczne możliwości. Na współpracy skorzystają obie strony. Moi ludzie są gotowi udzielić Królestwu znaczącego wsparcia, jeśli dojdziemy do porozumienia. Pomóc przy sporach granicznych i zapewnić bezpieczeństwo kaloryczne, jakim nie cieszyliście się od czasów Ekspansji. Wszystko to może być wasze. To oferta korzystna dla nas wszystkich.

Anderson urywa. Generał kiwa głową. Admirał marszczy brwi. Akkarat i Somdet Chaopraya mają twarze bez wyrazu. Nie potrafi z nich nic wyczytać.

— Panowie pozwolą — mówi Akkarat.

To nie prośba. Ochrona wskazuje, że Anderson i Carlyle mają wyjść. Chwilę później są już na korytarzu, otoczeni przez czwórkę ochroniarzy.

Carlyle wbija wzrok w podłogę.

— Nie wyglądają na przekonanych. Masz jakiś pomysł, dlaczego nie chcą ci zaufać?

— Mam broń i pieniądze na łapówki, gotowe do przerzucenia. Jeśli są w stanie nawiązać kontakt z generałami Prachy, mogę ich kupić i wyposażyć. Gdzie tu jakiegokolwiek ryzyko? — Anderson kręci z irytacją głową. — Powinni rzucić się na tę okazję. To najkorzystniejsza oferta, jaką w życiu złożyłem.

— To nie chodzi o ofertę. Chodzi o ciebie. Ciebie, AgriGen i całą waszą pieprzoną przeszłość. Jeśli ci zaufają, dojdzie do tego. Jeśli nie... — Carlyle wzrusza ramionami.

Drzwi otwierają się i zostają zaproszeni z powrotem. Akkarat mówi:

— Bardzo dziękuję panom za poświęcony czas. Z pewnością rozważymy waszą propozycję.

Carlyle garbi się, jakby po tej grzecznej odmowie uszło zeń powietrze. Somdet Chaopraya uśmiecha się lekko przy przekazywaniu tej informacji. Może cieszy go wymierzanie *farangom* policzka? W kajucie padają kolejne kulturalne słowa, lecz Anderson prawie ich nie słyszy. Odmówili. Znalazł się tak blisko, że prawie poczuł smak *ngoh*, a oni stawiają kolejne bariery. Trzeba znaleźć jakiś sposób na ponowne otwarcie dyskusji. Wbijają wzrok w Somdeta Chaoprayę. Potrzeba jakiejś dźwigni. Czegoś, co przełamie impas...

Niemal śmieje się w głos. Elementy składają się w całość. Carlyle wciąż coś mamrocze, rozczarowany, lecz Anderson już się uśmiecha, składa dłonie w *wai*, szukając otwarcia. Jakiegoś sposobu, by podtrzymać dialog.

— Panowie, całkowicie rozumiem wasze obawy. Nie zapracowaliśmy wystarczająco na wasze zaufanie. Może wobec tego zastanowimy się nad czymś innym. Takie przedsięwzięcie w imię przyjaźni. Coś za niższą stawkę.

Admirał się krzywi.

— Nie chcemy niczego z waszej ręki.

— Proszę się dobrze zastanowić. Składamy tę propozycję w dobrej wierze. A propos tego drugiego projektu, jeśli zmienicie zdanie co do naszej pomocy, możecie na nią liczyć, obojętne, czy nastąpi to za tydzień, za rok, czy za dziesięć lat.

— Piękna mowa — mówi Akkarat. Uśmiecha się, choć rzuca admirałowi ostre spojrzenie. — Bez urazy, panowie. Proszę,

przynajmniej się z nami ostatni raz napijcie. Pofatygowaliście się dla nas tak daleko, nie ma powodu, abyśmy nie rozstawali się jako przyjaciele.

Czyli jesteśmy w grze. Anderson czuje przyływ ulgi.

— Z ust mi pan to wyjął.

Zaraz znów leje się alkohol. Carlyle obiecuje, że kiedy tylko zdejmą embargo, z przyjemnością przywiezie z Indii ładunek szafranu, a Akkarat opowiada kawał o białej koszuli, która usiłuje wziąć trzy łapówki z trzech różnych wózków z jedzeniem, ale cały czas nie może się ich doliczyć. Anderson natomiast przez cały czas obserwuje Somdeta Chaoprayę, czekając na jakieś odsłonięcie.

Kiedy tamten w końcu podchodzi do okna, żeby popatrzeć na wodę, Anderson idzie za nim.

— Szkoda, że pana oferta nie została przyjęta — mówi tamten.

Anderson wzrusza ramionami.

— Cieszę się, że zachowałem życie. Parę lat temu za samą próbę spotkania z panem rzucilibyście mnie pod megodonty.

Somdet Chaopraya parska śmiechem.

— Taki jest pan pewien, że puścimy was wolno?

— Dość pewien. Ryzyko nie jest aż tak duże — odpowiada Anderson. — I pan, i Akkarat jesteście honorowymi ludźmi, nawet jeśli nie w każdej sprawie się zgadzamy. Nie wydaje mi się, żeby ten zakład był aż tak ryzykowny.

— Nie? Połowa ludzi w tej sali zasugerowała, że najmądrzejszym ruchem będzie rzucenie pana karpim. — Milknie, wbija twarde spojrzenie zapadniętych oczu w Andersona. — I bardzo mało brakowało.

Anderson zmusza się do uśmiechu.

— Rozumiem, że nie zgadzał się pan z admirałem?

— Nie dzisiaj.

Robi *wai*.

— Zatem jestem wdzięczny.

— Proszę mi jeszcze nie dziękować. Mogę jeszcze postanowić pana zabić. Pan i panu podobni macie bardzo złą reputację.

— A może pozwoli mi pan chociaż potargować się o swoje życie? — pyta kpiącym tonem Anderson.

Somdet Chaopraya wzrusza ramionami.

— Na nic się to panu nie zda. Z rzeczy, które mogę panu zabrać, pana życie jest najciekawsze.

— Czyli musiałbym zaproponować coś jedyne w swoim rodzaju.

Pusty wzrok Chaoprayi wraca do Andersona.

— To niemożliwe.

— Oczywiście, że możliwe. Mogę pokazać panu coś, czego pan nigdy nie widział. Nawet jeszcze dziś. Coś nadzwyczajnego. Dla osób o mocnych nerwach, ale niesamowite i jedyne w swoim rodzaju. Czy wtedy nie rzuci mnie pan karpion?

Somdet Chaopraya posyła mu gniewne spojrzenie.

— Niczego takiego pan nie wymyśli. Wszystko już widziałem.

— To może się załóżymy?

— Dalej chce pan grać, *farangu*? — Somdet Chaopraya się śmieje. — Nie za dużo ryzyka jak na jedną noc?

— Wcale nie. Po prostu staram się załatwić, żebym wszystkie kończyny miał w jednym kawałku. To już wcale nie jest ryzyko, zważywszy, ile tracę w przeciwnym wypadku. — Patrzy tamtemu w oczy. — Ale ten zakład chętnie podejmę. A pan?

Somdet Chaopraya rzuca mu groźne spojrzenie. Woła do reszty:

— Nasz kaloriarz lubi hazard! Mówi, że pokaże mi coś, czego w życiu nie widziałem. Co wy na to?

Wszyscy się śmieją.

— Szanse ma pan bardzo niewielkie — dodaje Somdet Chaopraya.

— A ja uważam, że to dobry zakład. I postawię spore pieniądze.

— Pieniądze? Myślałem, że mówimy o pana życiu.

— To może plany mojej fabryki sprężyn?

— Jeśli zechcę, to je sobie sam wezmę. — Somdet Chaopraya pstryka z irytacją palcami. — O tak, i już są moje.

— No dobrze. — Anderson się krzywi. Wszystko albo nic. — A gdybym zaproponował panu i pana Królestwu następną iterację ryżu U-*Tex* produkcji mojej firmy? Czy to byłby dobry zakład? I nie tylko ryż, ale nasiona, zanim zostaną wyjąłowane. Będziecie mogli je wysiewać w kółko, dopóki będzie odporny na rdzę pęcherzową. Moje życie na pewno nie jest warte więcej niż to.

W kajucie zapada cisza. Somdet Chaopraya przypatruje mu się.

— A druga strona ryzyka? Co będzie pan chciał, jeśli pan wygra?

— Chciałbym wejść w ten polityczny projekt, o którym rozmawialiśmy wcześniej. Dokładnie na takich warunkach, jak już mówiłem. Wszyscy wiemy, że są niezwykle korzystne dla pana i dla Królestwa.

Somdet Chaopraya mruży oczy.

— Jest pan uparty, co? I mam wierzyć, że nie wycofa się pan z tego ryżu U-*Tex* jeśli pan przegra?

Anderson uśmiecha się i kiwa na Carlyle'a.

— Zakładam, że jeśli się nie wywiążemy, będzie pan chciał rozedrzyć mnie i pana Carlyle'a megodontami. Czy to wystarczy?

Carlyle śmieje się, w jego głosie pobrzmiwa histeria.

— Co to za zakład?

Anderson nie spuszcza wzroku z Somdeta Chaoprayi.

— Tylko on się liczy. Jestem najzupełniej pewien, że ekscelencja wypełni swoją część, jeśli uda mi się pana zaskoczyć. Na dowód tego zaufania oddajemy się w pana ręce. To bardzo rozsądny zakład. Obaj jesteście honorowymi ludźmi.

Somdet Chaopraya się uśmiecha.

— Przyjmuję zakład. — Śmieje się, klepie Andersona po plecach. — No, zadziw mnie, *farangu*. I powodzenia. Bo z przyjemnością popatrzyłbym, jak tratują pana megodonty.

* * *

Stanowią dziwne towarzystwo, kiedy jadą przez miasto. Świta Somdeta Chaoprayi zapewnia im przejście przez wszystkie posterunki, a w mroku niosą się echem okrzyki białych koszul, osłupiałych, gdy zdają sobie sprawę, kogo usiłowały zatrzymać.

Carlyle ociera czoło chusteczką.

— Jezus, kompletny świr z ciebie. W życiu nie trzeba było ciebie im przedstawiać.

Teraz, gdy zakład jest przyjęty, a ryzyko już określone, Anderson właściwie zgodziłby się z nim. Ta oferta ryżu U-*Tex* jest istotnie ryzykowna. Nawet jeśli jego przełożeni poprą tę grę, goście od finansów będą z nią walczyć. Jeden stracony kaloriarz jest nieskończenie łatwiejszy do zastąpienia niż jeden z głównych gatunków nasion. Jeśli Tajowie złączą ten ryż eksportować, zyski ucierpią na całe lata.

— Wszystko w porządku — mruczy. — Zaufaj mi.

— Zaufać ci? — Carlyle'owi trzęsą się ręce. — Zaufać ci, kiedy przez ciebie trafię pod megodonta? — Rozgląda się wokół. — Powiniennem po prostu zwiać.

— Nawet nie próbuj. Somdet Chaopraya dał im konkretne instrukcje. Jeśli coś nam teraz strzeli do głowy.. — Wskazuje

głową ludzi jadących rikszą tuż za nimi. — Zabiją cię, jeśli tylko spróbujesz uciec.

Parę minut później pojawiają się przed nimi znajome wieżowce.

— Ploenchit? — pyta Carlyle. — Jezusie i Noe, naprawdę chcesz tu wprowadzić Somdeta Chaoprayera?

— Spokojnie. To ty mi podsunąłeś ten pomysł.

Anderson wysiada z rikszy. Somdet Chaopraya i jego ludzie kłębią się przed wejściem. Chaopraya rzuca mu pełne politowania spojrzenie.

— Tylko na tyle pana stać? Panienki? Seks? — Kręci głową.

— Proszę tak szybko nie decydować. — Anderson pokazuje, że mają wejść do środka. — Proszę. Przepraszam, że musimy wchodzić schodami. Warunki nie odpowiadają pana randze, ale zapewniam, że przeżycia będą tego warte.

Somdet Chaopraya wzrusza ramionami i pozwala Andersonowi się prowadzić. Ochroniarze tłoczą się wokół, zdenerwowani ciasnotą i ciemnością. Ćpuny i dziwki na schodach, widząc Chaoprayera, padają w pełne paniki *khrab*. Wieść o ich przybyciu niesie się po wieżowcu. Ochrona biegnie przed nimi, sprawdzając mrok.

Drzwi klubu Soil się otwierają. Dziewczyny padają na kolana. Somdet Chaopraya rozgląda się wokół z obrzydzeniem.

— *Tofarangowie* chodzą w takie miejsca?

— Tak jak mówiłem, nie jest tu za elegancko i bardzo za to przepraszam. — Anderson zaprasza go głębiej. — Tędy. — Przechodzi przez salę i odsuwa kotarę, ukazując wewnętrzną scenę.

Emiko leży na podeście, Kannika klęczy nad nią. Wokół tłoczą się mężczyźni, a ona eksponuje charakterystyczne ruchy nakręcanki. Jej ciało podryguje i podskakuje w świetle

robaczków świętojańskich. Somdet Chaopraya staje jak wryty i wytrzeszcza oczy.

— Myślałem, że tylko Japońce je mają — szepcze.

XXVIII

— Znaleźliśmy jeszcze jednego.

Kanya się wzdryga. To Pai, stoi w jej drzwiach. Kanya trze twarz. Siedziała przy biurku, próbowała napisać kolejny raport, czekając na informację od Ratany. A teraz po wierzchu jej dłoni spływa ślina, a wszędzie jest pełno kleksów z pióra. Zasnęła. I śnił jej się Jaidee, który po prostu siedział i natrzęsał się z jej usprawiedliwień.

— Spałaś? — pyta Pai.

Kanya pociera twarz.

— A która godzina?

— Druga od świtu. Słońce już trochę jest na niebie.

Pai czeka cierpliwie, aż Kanya dojdzie do siebie; dziobaty facet, który powinien być jej przełożonym, ale ona go wyprzedziła. Jest ze starej gwardii, czcił Jaideego i wszystko, co robił, pamięta także czasy, kiedy Ministerstwo było wielbione, a nie wyśmiewane, jak teraz. Porządny człowiek. Kanya wie o wszystkich jego łapówkach. Może i jest skorumpowany, Kanya wie jednak, że kto coś ma, ten się z tym nie chce rozstać, więc mu ufa.

— Znaleźliśmy jeszcze jednego — powtarza.

Kanya się prostuje.

— Kto jeszcze wie?

Pai kręci głową.

— Powiadomiłeś Rataną?

Kiwa głową.

— Nie był oznaczony jako podejrzany zgon. Trochę trwało, zanim go znaleźliśmy. To jakby szukać srebrnej płotki na polu

ryżowym.

— Nawet nie był oznaczony? — Kanya nabiera powietrza i wypuszcza je z pełnym irytacji sykiem. — Oni wszyscy są niekompetentni. Nikt nie pamięta, jak to się zawsze zaczyna. Za szybko zapominają.

Pai kiwa głową, słuchając narzekań przełożonej. Wżery i dzioby na jego twarzy łypią na nią. Taki robak-pasożyt. Kanya nie pamięta, czy ma to od genhakowanego ryjkowca, czy od jakiejś odmiany bakterii *phii*.

— Czyli jest dwóch, tak?

— Trzech — odpowiada Kanya. — Nazwisko? Ma jakieś nazwisko?

Pai kręci głową.

— Ktoś był ostrożny.

— Teraz masz rozejrzeć się po dzielnicach i zobaczyć, czy nikt nie zgłosił zaginięcia kogoś z rodziny. Zaginęły trzy osoby. I niech zrobią zdjęcia.

Pai wzrusza ramionami.

— Masz lepszy pomysł?

— Może medycyna sądowa znajdzie coś, co ich łączy? — podsuwa.

— No, świetnie. To też zrób. A gdzie Ratana?

— Posłała ciało do dołów. Prosi, żebyś się z nią spotkała.

Kanya się krzywi.

— Oczywiście. — Składa papiery i zostawia Pai z jego bezskutecznymi poszukiwaniami.

Wychodząc z budynku, zastanawia się, co zrobiłby w tej sytuacji Jaidee. Jemu łatwo przychodziło natchnienie. Stawał na środku drogi, uderzony nagłym olśnieniem, i już ruszali, pędzili przez miasto w poszukiwaniu źródła zarazy, a Jaidee nieodmiennie miał rację. Kanyi jest aż niedobrze, kiedy myśli, że teraz Królestwo musi polegać na niej.

Jestem kupiona, myśli. Kupiona i opłacona.

Gdy pierwszy raz przybyła do Ministerstwa jako wtyczka Akkarata, z zaskoczeniem odkryła, że drobne przywileje funkcjonariusza Ministerstwa wystarczają aż nadto. Cotygodniowa wziętka od ulicznych straganów, które palą czymś innym niż drogi metan z legalnych źródeł. Przyjemność spędzenia nocnego patrolu na głębokim śnie. Łatwo się tu żyło. Nawet pod Jaideem było łatwo. A teraz wskutek pecha musi pracować, ma ważne zadanie, a ona już od tak dawna ma dwóch panów, że nie pamięta, który z nich powinien dominować.

Ciebie, Jaidee, powinien zastąpić ktoś inny. Ktoś wart tego miana. Królestwo upada, bo nie jesteśmy dość mocni. Nie dość mamy cnót, nie kroczymy ścieżką o ośmiu częściach i dlatego znów atakują nas choroby.

I to ona musi stawić im czoło, jak Phra Seub — ale nie dysponując jego siłą ani kompasem moralnym.

Kanya idzie przez dziedzińce, kiwa głową innym białym koszulom, marszczy czoło. Jaidee, co miałeś w swojej *kammie*, co sprawiło, że jestem twoim zastępcą? Przez co twoje dzieło życia trafiło w moje kapryśne dłonie? Co to za żart losu? Czy to był Phii Oun, zły duch-cheshire, pragnący, by na świecie było więcej padliny i flaków? Pragnący zobaczyć wysokie zwały trupów?

Przed nią ludzie w maskach filtrujących stają na baczność, gdy zauważają, że otwiera bramę prowadzącą na teren krematorium. Jej też wydano maskę, ale zostawiła ją wiszącą na szyi. Oficer traci autorytet, jeśli okazuje strach, zresztą doskonale wie, że ta maska jej nie uratuje. Już bardziej ufa amuletowi z Phra Seubem.

Przed nią rozciąga się połać gołej czerwonej ziemi, w której wryto potężne doły, utwardzone, by nie przesączały się do nich wody gruntowe. Mokra kraina, a tak praży się w słońcu.

Sucha pora nie chce się skończyć. Czy w tym roku w ogóle będzie monsun? Uratuje ich czy zatopi? Niektórzy hazardziści zakładają się tylko o to — stawka za przyście monsunu zmienia się codziennie. Jednakże przy tak zmienionym klimacie nawet modelujące pogodę komputery Ministerstwa nie są w stanie co roku tego przewidzieć.

Ratana stoi na krawędzi dołu. Z palących się w wykopie ciał snuje się tłusty dym. Po niebie krąży parę kruków i sępów. Na teren przedostał się jakiś pies, skrada się pod murem, szukając odpadków.

— A ten j ak tu wlaź? — pyta Kanya.

Ratana unosi wzrok, dostrzega psa.

— Natura zawsze znajdzie sposób — zauważa tępo. — Jeśli zostawimy pokarm, to po niego przyjdzie.

— Znalazłaś kolejnego trupa?

— Te same objawy. — Ratana jest przygarbiona.

U ich stóp trzaska płomień. Nisko przelatuje sęp. Oficer w mundurze strzela z działa, huk przegania skrzeczącego ptaka. Dalej krąży. Ratana zamyka na moment oczy. Ich kąciki zapowiadają strugę łez. Kręci głową, biorąc się w garść. Kanya patrzy ze smutkiem — ciekawe, czy któraś z nich przeżyje tę najnowszą epidemię.

— Trzeba wszystkich ostrzec — mówi Ratana. — Zawiadomić generała Prachę. I Pałac.

— Teraz już j esteś pewna?

Ratana wzdycha.

— Był w innym szpitalu. Na drugim końcu miasta. W ulicznym ambulatorium. Myśleli, że to przedawkowanie *yaby*. Pai znalazł ich przypadkiem. Przypadkowo zagadał z kimś, jadąc do Miłosierdzia Bangkoku, żeby szukać dowodów.

— Przypadkiem. — Kanya kręci głową. — Tego mi nie powiedział. Ile ich może już być? Sto? Tysiąc?

— Nie wiem. Jedyne pozytyw jest taki, że na razie nic nie wskazuje na to, że zarażają.

— Na razie.

— Musisz iść i poprosić Gi Bu Sena o radę. Tylko on będzie wiedział, z jakim potworem się tu mierzymy. To jego dzieci wracają, żeby nas nękać. On je rozpozna. Kazałam przygotować dla niego próbki. Z trzech już się zorientuje.

— Nie ma innego sposobu?

— Jedyne inne wyjście to ogłosić w mieście kwarantannę, a wtedy wybuchną zamieszki i nie będzie już czego ratować.

* * *

Pola ryżowe ciągną się we wszystkie strony, szmaragdowozielone, jaskrawe i intensywne pod tropikalnym słońcem. Kanya tkwiła w syfie Krung Thep tak długo, że teraz z ulgą widzi, że na świecie jeszcze coś rośnie. Przywraca jej to nadzieję. Nadzieję, że źdźbła ryżu nie zwiędną i nie szzerwienięją od jakiegoś nowego wariantu rdzy pęcherzowej. Że z Birmy nie przywieje jakiegoś przekonstruowanego zarodnika, który puści tu korzenie. Zalane wodą pola urodzą ryż, zapory wytrzymają, a pompy Jego Wysokości Ramy XII będą dalej pompować wodę.

Wytatuowani rolnicy pozdrawiają ją grzecznymi *wai*. Znaki na ich ramionach mówią, że większość już odrobiła tegoroczną pańszczyznę. Paru innych jest naznaczonych na początek pory deszczowej, kiedy będą musieli przyjechać do miasta i umacniać wały przed powodzią. Kanya też ma takie tatuaże, z czasów, kiedy mieszkała na wsi, zanim agenci Akkarata obarczyli ją zadaniem wrycia się w samo serce Ministerstwa Środowiska.

Po godzinie miarowego pedałowania drogami na groblach, materializuje się ośrodek. Najpierw druty. Potem strażnicy z psami. Później mury z tłuczonym szkłem, drutem kolczastym i

wysokimi bambusowymi szpikulcami. Kanya trzyma się drogi, unikając rozpiętych wszędzie ostrych linek. Formalnie jest to po prostu dom bogatego człowieka, usytuowany na sztucznym wzgórzu z betonu i gruzu po wieżowcach z czasów Ekspansji.

Zważywszy, jakie straty poniósł kraj w ostatnim stuleciu, poświęcenie tylu ludzkich wysiłków na coś takiego wydaje się idiotyzmem — kiedy wały wymagają napraw, pola zasiania, a wojny walki. A tu komuś zachciało się zbudować wzgórze. Azyl bogacza. Pierwotnie należał do Ramy XII i oficjalnie jest nadal własnością Pałacu. Z wysokości przelatującego sterowca nie widać tam nic ciekawego. Taka tam willa. Kaprys kogoś z królewskiej rodziny. A jednak mur to mur, fosa z tygrysami to fosa z tygrysami, a strażnicy z psami pilną tak wchodzących, jak i wychodzących.

Kanya okazuje strażnikom papiery, a mastiffy warczą i szarpią się na łańcuchach. Są większe niż jakikolwiek naturalny pies. Nakręcańce. Głodne, groźne i świetnie zbudowane do swojej pracy. Ważą dwa razy więcej od niej, same mięśnie i zęby. Wcielony w życie koszmar z wyobraźni Gi Bu Sena.

Strażnicy dekodują szyfry, używając korbkowych deszyfratorów. Noszą czarne mundury przybocznej gwardii Królowej, a w swojej skuteczności i powadze są przerażający. W końcu gestem każą jej przejść przed wyszczerzonymi zębami swoich bestii. Kanya pedałuje ku bramie, skóra jej cierpnie na myśl, że nie potrafi jechać tak szybko, jak te psy biegają.

Przy bramie kolejna grupa strażników sprawdza przepustki, zanim wpuści ją na wykafelkowany taras z błękitnym klejnotem basenu pośrodku.

Trzy ladyboy chichoczą i się uśmiechają. Wylegują się w cieniu bananowca. Kanya odpowiada uśmiechem. Są ładne. A jeśli do tego kochają *faranga*, są tylko głupie.

— Jestem Kip — mówi jedna z nich. — Lekarz go teraz masuje. — Kiwa głową ku błękitnej wodzie. — Może pani

zaczekać przy basenie.

Intensywnie pachnie tu oceanem. Kanya podchodzi do skraju tarasu. Pod nią chlupią i zwijają się fale, szorując biały piasek plaży. Owiewa ją morska bryza, czysta, świeża i zaskakująco optymistyczna po klaustrofobicznym smrodzie Bangkoku za jego falochronami.

Bierze głęboki wdech, rozkoszując się solą i wiatrem. Obok przelatuje motyl i siada na balustradzie tarasu. Składa roziskrzony skrzydełka. Rozkłada je powoli. Składa i rozkłada na przemian, jaskrawy, kobaltowo-złoto-czarny.

Kanya przypatruje mu się, uderzona jego pięknem, krzykliwym świadectwem istnienia innego świata. Ciekawe, jakie to pragnienia kazały mu przylecieć do tej rezydencji — obcego wtrętu, więzienia dziwnego *faranga*. Ze wszystkich pięknych rzeczy, oto taka, której nie da się zakwestionować. Przyroda sobie przy niej zaszalała.

Kanya pochyla się, patrzy, jak motyl przywiera do poręczy. Nieuważna dłoń mogłaby się o niego otrzeć i rozgnieść na pył, i nikt by nawet nie zauważył zniszczenia.

Ostrożnie wyciąga palec. Motyl płoszy się, a potem pozwala zamknąć się w dłoni. Przyleciał z daleka. Na pewno jest zmęczony. Tak jak ona. Przebył całe kontynenty. Pokonał stepy i szmaragdowe dżungle, żeby wylądować tutaj, między hibiskusem a brukowymi kamieniami, żeby Kanya mogła potrzymać go w dłoni i podziwiać jego urodę. Taka długa droga.

Kanya zaciska roztrzępotane stworzenie w pięści. Otwiera dłoń, wysypuje pył na kafelki. Kawalki skrzydeł, zmiażdżony tułów. Skonstruowany, żeby zapylać — prawdopodobnie przywiało go z jakiegoś laboratorium PurCalu.

Nakręcańce nie mają dusz. Ale są piękne.

Za jej plecami rozlega się plusk. Kip ma na sobie kostium kąpielowy. Migocze pod wodą, wynurza się, odrzucając w tył

długie czarne włosy i uśmiechając się, po czym odwraca się i płynie jeszcze raz. Kanya patrzy na pełen gracji kraul, błękitny kostium i brązowe ciało. Ładna dziewczyna. Przyjemnie popatrzeć na takie stworzenie.

W końcu na brzeg basenu przytacza się i demon. Wygląda o wiele gorzej niż ostatnim razem. Blizny od *fa' gan* znaczą całą szyję i sięgają do ucha. Oportunistyczna infekcja, którą zwalczył, choć lekarz mu tego nie wróżył. Siedzi na wózku inwalidzkim, popycha go asystent. Cienki koc przykrywa nogi jak patyki.

Zatem jego choroba naprawdę się rozwija. Przez długi czas myślała, że to mit, teraz widzi na własne oczy. Jest brzydki. Przeraza swoją chorobą i swoim płomiennym zaangażowaniem. Kanya się wzdryga. Ucieszy się, kiedy ten demon wreszcie przejdzie do następnego życia. Stanie się trupem, którego można będzie spalić na kwarantannie. A do tego czasu jest nadzieja, że dzięki lekom nikogo nie zaraża. Drażliwy, włochaty staruch o krzaczastych brwiach, grubym nosie, grubych gumiastych wargach, które na widok Kanyi rozwierają się w uśmiechu hieny.

— O. Pani dyrektor więzienia.

— Nie za bardzo.

Gibson zerka na pływającą Kip.

— Samo to, że dajecie mi piękne dziewczyny o ładnych ustach, nie znaczy, że nie siedzę w więzieniu. — Unosi wzrok. — No, Kanya, długo cię nie widziałem. A gdzie twój prawy pan i władca? Mój ulubiony strażnik? Gdzie nasz waleczny kapitan Jaidee? Z podwładnymi nie rozmawiam... — Urywa, przygląda się dystynkcjom na jej kołnierzu. Mruży oczy. — A, no tak. — Odchyła się, obserwuje Kanyę. — To była tylko kwestia czasu, zanim ktoś się go pozbędzie. Gratuluję awansu, pani kapitan.

Kanya opanowuje się. Podczas poprzednich wizyt to Jaidee zawsze paktował z diabłem. Szli do jakichś gabinetów w

środku, zostawiając Kanyę ze stworzeniami, jakich akurat doktor zażyczył sobie do towarzystwa. A kiedy wracał, nieodmiennie milczał, szczelnie sznurując usta.

Jednego razu, gdy opuszczali ośrodek, omal się nie odezwał, omal nie zdradził, co mu się kotłuje w głowie. Otworzył usta i powiedział:

— Ale... — I ten protest pozostał nieukształtowany, martwy natychmiast po opuszczeniu ust.

Kanya miała wrażenie, że Jaidee dalej toczy w myślach jakąś rozmowę, jakąś słowną utarczkę, odbijającą się tam i z powrotem, jak w grze *takraw*. Wojna na słowa, latające i rykoszetujące, a głowa Jaideego jest polem bitwy. Przy innej okazji wyszedł po prostu nachmurzony, ze słowami:

— Jest zbyt niebezpieczny, żeby go trzymać.

Kanya odpowiedziała, nie wiedząc o co chodzi:

— Ale przecież już nie pracuje dla AgriGenu.

Jaidee spojrział na nią zaskoczony, dopiero wtedy uświadamiając sobie, że powiedział coś na głos.

Doktor był chodzącą legendą. Demonem, którym można by straszyć dzieci. Gdy Kanya pierwszy raz go zobaczyła, spodziewała się, że będzie zakuty w kajdany, a nie rozwalony z zadowoleniem w fotelu, wysysający wnętrze z papai z Koh Angrit, szczęśliwy i uśmiechnięty, z oblepionym sokiem podbródkiem.

Nigdy nie była pewna, czy to poczucie winy, czy jakaś inna siła zagnała doktora do Królestwa. Czy była to nadchodząca śmierć i powab ladyboyów. Czy wyjechał, bo znienawidzili go koledzy. Doktor nie miał wyrzutów sumienia. Nie przejmował się zasianym na świecie zniszczeniem. Mówił w żartach o udaremnieniu prac Ravaity i Domingo. O spowodowaniu fiaska dziesięcioletnich trudów doktora Michaela Pinga.

Przez patio przekrada się cheshire, wyrrywając ją z zamyślenia. Wskakuje doktorowi na kolana. Kanya cofa się z obrzydzeniem, gdy zaczyna drapać zwierzę za uszami. Cheshire rozplywa się, nogi i tułów zmieniają odcień, przybierając barwę okrywającego starca koca.

Doktor się uśmiecha.

— Pani kapitan, proszę się tak kurczowo nie trzymać tego co naturalne. Proszę zobaczyć.

Pochyla się i zaczyna gruchać. Rozmigotany cheshire wygina się ku jego twarzy, miaucząc.

Szylkretowe futro połyskuje. Nieśmiało liże go po brodzie.

— Żarłoczna bestyjka — mówi. — I dobrze. Jeśli będzie dość żarłoczny, zastąpi nas w stu procentach, chyba że zaprojektujemy lepszego drapieżnika. Coś, co z kolei będzie się nimi żywić.

— Zrobiliśmy taką analizę — mówi Kanya. — Łańcuch pokarmowy potrafi tylko rozlecieć się jeszcze bardziej. Kolejny superdrapieżnik nie naprawi szkód, które już zostały wyrządzone.

Gibbons prycha.

— Ekosystem się rozleciał, kiedy człowiek pierwszy raz przepłynął morze. Kiedy pierwszy raz rozpaliliśmy ogień na rozległej afrykańskiej sawannie. Potem tylko przyspieszaliśmy to zjawisko. Łańcuch pokarmowy, o którym mówisz, to nostalgia i nic poza tym. Natura. — Krzywi się z niesmakiem. — Natura to my. Całe to nasze majsterkowanie to natura, każde nasze biologiczne dążenie. Jesteśmy czym jesteśmy, a świat należy do nas. Jesteśmy jego bogami. A jedyny problem to to, że nie chcecie wypuścić na świat całego swojego potencjału.

— Jak AgriGen? Jak U-Texas? Jak RedStar MegaPlon? — Kanya kręci głową. — Ilu ludzi zginęło, żeby ujawnił się ich

potencjał? Wasi mistrzowie–kaloriarze pokazali, co się dzieje. Umierają ludzie.

— Każdy kiedyś umrze. — Doktor macha lekceważąco dłonią. — Ale wy umrzecie zaraz, bo tak trzymacie się przeszłości. Wszyscy powinniśmy już być nakręcańcami. Łatwiej zrobić człowieka odpornego na rdzę pęcherzową niż chronić przed nią jego aktualną wersję. Jedno pokolenie i moglibyśmy już być przystosowani do nowego środowiska. Już wasze dzieci by na tym korzystały. Ale wy uparcie nie chcecie się przystosować. Trzymacie się zębami i pazurami jakiejś idei ludzkości, która ewoluowała w zgodzie z naturą przez całe tysiąclecia, a teraz sami, paradoksalnie, nie chcecie dotrzymać naturze kroku. Nasze środowisko to teraz rdza pęcherzowa. Cibiskoza. Genhakowany ryjkowiec. Cheshire’y. One się przystosowały. Możesz sobie dyskutować, ile chcesz — naturalnie czy nie. Środowisko się zmieniło. Jeśli chcemy pozostać na szczycie łańcucha pokarmowego, musimy ewoluować. Albo, jeśli nie chcemy, spotka nas ten sam los co dinozaury i *Felis domesticus*. Ewolucja albo śmierć. To od zawsze podstawowe prawo natury, a wy, białe koszule, chcecie stawić czoło nieuniknionej zmianie. — Pochyliła się ku niej. — Czasem mam ochotę wami potrząsnąć. Gdybyście tylko mi pozwolili, mógłbym zostać waszym bogiem i przystosować was do rajy, który stoi przed nami otworem.

— Jestem buddystką.

— Tak, wszyscy wiemy, że nakręcańcy nie mają dusz. — Gibbons się szczerzy. — Więc się nie odradzają. No to będą musieli znaleźć sobie do obrony jakichś innych bogów. Swoich własnych, żeby mieć się do kogo modlić za umarłych. — Uśmiech się poszerza. — Może to ja nim zostanę, i twoje nakręcane dzieci będą się modlić do mnie o zbawienie? — Błysk oczu. — Przyznam, przydałoby mi się paru wyznawców więcej. Jaidee był taki sam jak ty. Nic, tylko wątpliwości. Nie tak

strasznie, jak grahamici, ale dla boga to i tak niespecjalnie zadowolające.

Kanya się krzywi.

— Jak umrzesz, spalimy cię na popiół i zasypimy chlorem i ługiem i nikt nie będzie o tobie pamiętał.

Doktor wzrusza ramionami.

— Każdy bóg musi cierpieć. — Odchyła się w fotelu, uśmiecha chytrze. — To co, teraz chciałabyś mnie spalić na stosie? A może padniesz przede mną na twarz i jeszcze raz oddasz cześć mojej inteligencji?

Kanya tłumi w sobie obrzydzenie tym człowiekiem. Wyciąga i podaje mu pakiet papierów. Doktor je bierze, ale nic więcej nie robi. Nie otwiera. Nawet na nie nie spojrzy.

— I?

— Tam jest wszystko — mówi.

— Jeszcze nie uklęknął. Zdecydowanie więcej szacunku dla ojca. Jak dla miejskiej kolumny.

— Mój ojciec nie żyje.

— A Bangkok zatonie. To nie znaczy, że nie masz okazać szacunku.

Kanya zwalcza chęć wyciągnięcia pałki i przyłożenia temu człowiekowi.

Gibbons uśmiecha się, widząc jej opór.

— Czyli co, najpierw musimy sobie trochę pogadać? Jaidee lubił sobie porozmawiać. Nie? Widzę po twojej minie, że mną gardzisz. Masz mnie pewnie za jakiegoś mordercę? Zabójcę dzieci? Nie będziesz się z kimś takim łącać chlebem?

— Ty jesteś mordercą.

— Ale waszym mordercą. Waszym narzędziem. Czyli ty kim jesteś? — Patrzy na nią z rozbawieniem.

Kanya ma wrażenie, że doktor delikatnie dobiera się wzrokiem do jej wnętrzości, podnosi i ogląda po kolei każdy

organ: płuca, żołądek, wątroba, serce...

Gibbons uśmiecha się nieznacznie.

— Chciałabyś, żeby mnie trafił szlag. — Błada, plamista twarz rozciąga się w szerszy uśmiech, oczy są płonące, obłąkane. — Jeśli mnie tak nienawidzisz, to mnie zastrzel. — Gdy Kanya nie reaguje, z niesmakiem unosi ręce do góry. — Ja pierdolę, czemu wy wszyscy jesteście tacy nieśmiali! Tylko jedna Kip jest coś warta. — Wędruje wzrokiem ku pływającej dziewczynie, przez moment przygląda się zahipnotyzowany. — No dalej, zabij mnie. Z przyjemnością umrę. Żyję tylko dlatego, że utrzymujecie mnie przy życiu.

— Już niedługo.

Doktor zerka na sparaliżowane nogi, parska śmiechem.

— No, niedługo. I co wy potem pocniecie, kiedy AgriGen i inni przypuszczą kolejny atak? Kiedy z Birmy przylecą zarodniki? Albo przyplyną morzem z Indii? Pomrzecie z głodu jak Hindusi? Ciała wam pogniją, jak Birmańczykom? Wasze państwo tylko dzięki mnie i mojemu psującemu się mózgowi wyprzedza plagi o jeden krok. — Wskazuje na swoje nogi. — Chcecie zgnić razem ze mną? — Odkrywa koc, pokazuje rany i stupy na rybio bladych nogach, ziemistych od niedokrwienia, pokrytych ropiejącymi pręgami. — Chcecie tak umierać?

Kanya odwraca wzrok.

— Zasłużyłeś na to. To twoja *kamma*. Będziesz mieć bolesną śmierć.

— Karma? Powiedziałaś „karma”? — Nachyla się ku niej, wywalając język. — A co to za karma, która wiąże los całego kraju ze mną i moim gnijącym, chorym ciałem? Co to za karma, która zmusza cię, żebyś utrzymywała mnie przy życiu? Akurat mnie? — Znów szczyrzy zęby. — Sporo myślałem o tej waszej karmie. Może to właśnie wasza duma, ta wasza pycha każe wam wyjadać mi nasiona z ręki. A może jesteście moją drogą

do oświecenia i zbawienia. Kto wie? Może odrodzę się po prawicy Buddy dzięki dobrym uczynom, jakie dla was spełniam.

— Nie tak to działa.

— Nieważne. Dajcie mi tylko kolejną Kip, żebym miał się z kim pieprzyć. Albo inną chorą, zagubioną duszę. Albo nakręcankę. Wszystko mi jedno. Jakie mięso rzucicie, takie wezmę. Tylko mnie nie męczcie. Dość już przejmowania się waszym zgniłym krajem.

Ciska papiery do basenu. Rozsypują się po wodzie. Kanya sapie z przerażenia i chce się rzucić za nimi. Opanowuje się jednak i cofa. Nie da się Gibbonsowi złapać na przynętę. Typowe dla kaloriarzy: ciągle manipulują, ciągle sprawdzają. Zmusza się do odwrócenia wzroku od powoli nasiąkających wodą pergaminów i spojrzenia na niego.

Gibbons się uśmiecha.

— No to jak? Płyniesz po nie czy nie? — Kiwa na Kip. — Moja mała nimfa ci pomoże. Miło będzie popatrzeć, jak dwie nimfy baraszkują sobie razem.

Kanya kręci głową.

— Sam je wyciągnij.

— Uwielbiam, kiedy przychodzą do mnie takie prawe osoby jak ty. Kobieta o zdecydowanych poglądach. — Pochyla się ku niej, mrużąc oczy. — Ktoś, kto ma kwalifikacje, żeby osądzać moją pracę.

— Byłeś mordercą.

— Dzięki mnie moja działka poszła do przodu. Co zrobili z wynikami, to nie moja sprawa. Masz pistolet sprężynowy. To nie wina producenta, że prawdopodobnie jesteś niestabilna. Że w każdej chwili możesz zabić nie tę osobę co trzeba. Ja zbudowałem narzędzia do produkcji życia. Jeśli ludzie użyją ich do niecnych celów, to ich karma, nie moja.

— AgriGen dobrze ci płacił, żebyś tak myślał.

— AgriGen dobrze mi płacił, bo się na mnie dorabiał. Ale przemyślenia zostawiłem sobie. — Przygląda się Kanyi. — Wyglądasz na osobę, która ma czyste sumienie. Taki uczciwy funkcjonariusz Ministerstwa. Czysty jak jego mundur. Jak wysterylizowany. — Pochyla się ku niej. — A powiedz mi, bierzesz łąpówki?

Kanya otwiera usta do riposty, ale zawodzą ją słowa. Niemal czuje podpływającego ku niej Jaideego. Nasłuchującego. Skóra jej cierpnie. Powstrzymuje się od obejrzenia się przez ramię.

— Pewnie, że tak. — Gibbons się uśmiecha. — Wszyscy u was są tacy sami. Korupcja od góry do dołu.

Ręka Kanyi wędruje do pistoletu. Doktor patrzy na nią z uśmiechem.

— Co? Grozisz, że mnie zastrzelisz? Ode mnie też chcesz łąpówkę? Może mam ci wylizać cipkę? Albo zaproponować moją nie-całkiem-dziewczynę? — Patrzy na nią srogo. — Moje pieniądze już sobie wzięłaś. Życie i tak mam już krótkie i pełne bólu. Czego chcesz jeszcze? Czemu nie zabrać mi dziewczyny?

Kip patrzy wyczekująco z basenu, odbijając się w podskokach od dna. Jej ciało opalizuje pod przejrzystymi zmarszczkami na powierzchni wody. Kanya odwraca wzrok. Doktor się śmieje.

— Przepraszam, Kip. Nie mamy co dać jej w łąpę. — Bębni palcami o poręcz krzesła. — To może młodego chłopaczka? Jest tu uroczy dwunastolatek, obsługuje kuchnię. Chętnie się przedstawi. Przyjemność białej koszuli jest zawsze najważniejsza.

Kanya łypie nań spode łba.

— Mogłabym połamać ci kości.

— No to dawaj. Ale szybko. Potrzebuję pretekstu, żeby ci nie pomóc.

— Dlaczego przez tyle czasu pomagałeś AgriGenowi?

Oczy doktora się zwięzają.

— Z tego samego powodu, z jakiego ty ganiasz jak pies na rozkaz swoich panów. Bo płacili mi w monecie, na której najbardziej mi zależało.

Cios niesie się echem po wodzie. Ochrona rzuca się, lecz Kanya już się cofa, otrzepując piekącą rękę, uspokajając ich gestem.

— Dobra. Wszystko w porządku.

Przystają, niepewni wobec kogo być lojalnym. Doktor dotyka rozbitej wargi, uważnie przygląda się krwi. Unosi głowę.

— Aha, tu cię boli... Ile siebie już zdążyłaś sprzedać? — Uśmiecha się, pokazując krew między zębami. — Czyli jesteś w zмовie z AgriGenem, tak? — Patrzy jej w oczy. — Przyszłaś mnie zabić? Pozbyć się ciernia w ich boku? — Przypatruje się uważnie, wdziera ciekawskim, byстрым spojrzeniem w głąb duszy. — To tylko kwestia czasu. Muszą wiedzieć, że tu jestem. Że jestem wasz. Beze mnie Królestwo nie radziłoby sobie tak dobrze przez tyle lat. Bez mojej pomocy nie wyhodowały psiankowatych i *ngoh*. Wiadomo, że mnie tropią. Czy ty jesteś tym myśliwym?

Moim przeznaczeniem?

Kanya patrzy wilkiem.

— Gdzie tam. Jeszcze z tobą nie skończyliśmy.

— No, jasne, że nie. Ale to się nigdy nie skończy. Taka już natura tych naszych stworzeń i zarazków. To nie są tępe maszyny, które pozwalają, by nimi sterować. Mają własne potrzeby i pragnienia. Własne ewolucyjne wymagania. Muszą mutować i się przystosowywać. Dlatego nigdy ze mną nie skończycie, a kiedy odejdę, co zrobicie? Wypuściliśmy na świat demony, a wasze mury są tylko tak dobre, jak mój umysł. Natura zmieniła się w coś całkiem nowego. Teraz jest

naprawdę nasza. A jeśli zeżrą nas nasze własne wytwory, czyż nie będzie to przysłowiowa ręka sprawiedliwości?

— *Kamma* - mruczy Kanya.

— Dokładnie. — Gibbon rozpiera się z uśmiechem na wózku.

— Kip? Powyciągaj te kartki. Zobaczymy, co da się z tego odcyfrować. — W zamyśleniu bębni palcami po bezwładnych nogach. Zerka drwiąco na Kanyę. — Przekonamy się, ile dzieli od śmierci to wasze bezcenne Królestwo.

Kip pod pływa, zbiera kartki, przyciąga je do siebie, falujące, wyjmując je z basenu.

— Masz szczęście, że lubię tę Kip. Jakby mi się nie spodobała, dałbym wam szczenąć lata temu. — Kiwa na strażników. — Na rowerze pani kapitan pewnie są próbki. Znieście je do laboratorium.

Kip wreszcie wychodzi z basenu i kładzie stos ociekających wodą papierów na kolanach doktora. Ten macha ręką, Kip zaczyna popychać go ku drzwiom willi. Doktor gestem zaprasza Kanyę za sobą.

— No chodź. To nie zajmie długo.

* * *

Doktor mruży oczy nad jednym ze szkielek.

— Zdumiewające, że myślicie, że to obojętna mutacja.

— Bo tylko trzy przypadki.

Doktor unosi wzrok.

— Na razie. — Uśmiecha się. — Życie jedzie algorytmem. Dwa daje cztery, a cztery dziesięć tysięcy i mamy epidemię. Może ona już jest w całej populacji, tylko my nie zauważyliśmy. Może tak wygląda końcowe stadium. Śmiertelne bez żadnych objawów, jak u nieszczęsnej Kip.

Kanya zerka na Kip, a ta odwzajemnia się łagodnym uśmiechem. Na jej skórze nic nie widać. Na całym ciele nic nie

ma. To nie jest żadna z chorób doktora. A jednak... Odruchowo odsuwa się o krok.

Doktor się szczerzy.

— Coś taka przestraszona? Też chorujesz na to samo. W końcu życie jest nieuchronnie śmiertelne. — Wpatruje się w mikroskop. — To nie jest jakiś niezależny genhaker. To coś innego. Nie rdza pęcherzowa. Żadnych oznak z AgriGenu. — Nagle wykrzywia się w obrzydzeniu. — Mnie to w ogóle nie interesuje. To durna pomyłka jakiegoś bałwana. W ogóle niegodna mojego umysłu.

— To chyba dobrze?

— Przypadkowa epidemia potrafi równie dobrze zabić.

— Jest sposób, żeby to zatrzymać?

Doktor podnosi kawałek chleba. Pokrywa go zielonkawa pleśń. Przypatruje się jej.

— Tyle rzeczy, które rosną, jest dla nas korzystnych. A tyle groźnych. — Podaje kawałek Kanyi. — Spróbuj.

Kanya się wzdryga. Gibbon uśmiecha się od ucha do ucha i odgryza kawałek. Podaje jej resztę.

— No, uwierz mi.

Kanya kręci głową, powstrzymując się od powtarzania zabobonnych modlitw do Phra Seuba, o szczęście i czystość. Wyobraża sobie wielebnego świętego siedzącego w pozycji lotosu, zmusza się, by nie reagować na drwiny doktora, dotyka amuletów.

Doktor odgryza kolejny kęs. Uśmiecha się, okruszki sypią się po brodzie.

— Jeśli ugryziesz, gwarantuję, że dam ci odpowiedź.

— Nie wezmę nic z twojej ręki.

— Już brałaś. Wszystkie zastrzyki, które dostałaś jako dziecko. Wszystkie szczepienia i wzmocnienia odporności przez całe życie. — Wyciąga chleb. — To jest po prostu trochę

bardziej bezpośrednio. Zobacysz, będziesz zadowolona, że się przełamałaś.

— A tamto, co to j est? — Kanya pokazuj e mikroskop. — Trzeba to dalej badać?

— Tamto? — Gibbons kręci głową. — Nic ciekawego. Głupia mutacja. Typowa. W laboratorium ciągle je widywaliśmy. Śmieć.

— To czemu my jej wcześniej nie widzieliśmy.

Gibbons robi zniecierpliwioną minę.

— Bo nie hodujecie śmierci tak jak my. Nie majstrujecie przy podstawowych cegiełkach natury. — Oczy starca na moment rozbłyskują zainteresowaniem, pasją. Energią szkodnika i drapieżnika. — Nie masz pojęcia, jakie rzeczy udało się nam stworzyć w laboratoriach. To coś jest niegodne mojego czasu. Liczyłem, że przyniesiesz mi coś trudnego. Coś roboty doktora Pinga i Raymonda. Albo Mahmouda Sonthalii. To by było wyzwanie. — Z jego oczu na moment znika cynizm. Wchodzi w trans. — O. To są godni przeciwnicy.

Jesteśmy dla niego zabawką.

Kanya doznaje olśnienia. Całkowicie rozumie doktora. Potężny umysł. Człowiek, który w swojej branży osiągnął szczyty. Zawistny, oddany rywalizacji. Stwierdził, że konkurencja jest zbyt słaba, więc zmienił strony — przeszedł do Królestwa Tajlandii, żeby zapewnić sobie dalszą stymulację. Intelktualne ćwiczenie. Coś, jakby Jaidee postanowił wejść na ring *muay thai* ze związanymi z tyłu rękoma, by sprawdzić, czy uda mu się wygrać samymi kopnięciami.

Jesteśmy w rękach kapryśnego boga. Gra po naszej stronie tylko dla rozrywki, a jeśli nie zaangażujemy wystarczająco jego umysłu, zamknie oczy i uśnie.

Przerażająca myśl. Jedynym jego celem jest współzawodnictwo, taka partia szachów, ewolucji, rozgrywana

na globalną skalę. Pompowanie ego — jeden olbrzym odpierający ataki tuzinów innych, tłukący ich w locie i roześmiany. Jednakże każdy olbrzym zostaje kiedyś pokonany — i co ma wtedy uczynić Królestwo? Kanya czuje, jak oblewa ją zimny pot, kiedy o tym myśli.

Gibbons przygląda się jej.

— Masz do mnie jeszcze jakieś pytania?

Kanya otrząsa się z lęku.

— Jesteś pewien? Już wiesz, co mamy zrobić? Spojrzałeś i już wiesz?

Doktor wzrusza ramionami.

— Jeśli mi nie wierzysz, idź sobie i zastosuj wasze standardowe środki. Prosto do śmierci według podręcznika. Albo po prostu spalcie do zera całą dzielnicę przemysłową, wtedy wykorzeniecie problem. O, to jest tępe narzędzie w sam raz dla was, białych koszul. Ministerstwo Środowiska zawsze takie lubiło. — Macha ręką. — Na razie ten śmieć nie ma nawet jakiejś szczególnej przeżywalności. Jasne, mutuje szybko, ale jest delikatny, a człowiek nie jest dla niego idealnym nosicielem. Musi zostać wtarty w błonę śluzową, w nosie, w oczach, w odbycie, gdzieś blisko krwi i życia. Gdzieś, gdzie może się rozmnożyć.

— Czyli jesteśmy bezpieczni. Nic gorszego niż zapalenie wątroby czy *fa' gan*.

— Ale o wiele bardziej skłonne do mutacji. — Znów patrzy na Kanyę. — Powinnaś wiedzieć jeszcze jedno. Ta fabryka musi mieć jakieś kadzie z pożywkami. Coś do hodowli jakichś biologicznych produktów. Fabryka MegaPlonu. Albo AgriGenu. Albo producent nakręcańców. Coś w tym stylu.

Kanya zerka na mastiffy.

— Nakręcańce to przenoszą?

On wyciąga rękę i drwiąco poklepuje psa.

— Nakręcany ssak albo ptak, jak najbardziej. Szukałbym jakichś wanien, kadzi, łaźni. Gdyby to była Japonia, pierwszy przyszedłby mi na myśl żłobek dla nakręcańców, ale pierwotnym źródłem może być dowolny wytwórca produktów biologicznych.

— Jakich nakręcańców?

Gibbons sapie z rozdrażnieniem.

— Nie chodzi o to, jakich. Chodzi o ekspozycję. Jeśli byli hodowani w zakażonych kadziach, mogą być nosicielami. I druga rzecz: jeśli się temu czemuś pozwoli mutować, niedługo przejdzie na wszystkich ludzi. Wtedy będzie już wszystko jedno, jakie było pierwotne źródło.

— Ile mamy czasu?

Gibbons wzrusza ramionami.

— To nie jest rozpad uranu albo prędkość klipra. To nieprzewidywalne. Wystarczy te stwory dobrze nakarmić, a nauczą się żarłoczności. Pohodować w wilgotnym mieście, gdzie jest gęsto od ludzi, a pięknie się rozwiną. Sama zdecyduj, jak bardzo powinniście się bać.

Kanya odwraca się z niesmakiem i rusza do drzwi.

Gibbons woła za nią:

— Powodzenia! Chętnie się dowiem, który z waszych licznych wrogów pierwszy was zabije.

Kanya puszcza szyderstwo mimo uszu i wychodzi na świeże, czyste powietrze.

Podchodzi do niej wycierająca włosy Kip.

— Pomógł ci doktor?

— Dał mi, co potrzeba.

Kip śmieje się, delikatnie, swiergotliwie.

— Kiedyś też tak myślałam. Ale stwierdziłam, że za pierwszym razem nigdy wszystkiego nie mówi. Zawsze coś zostawia. Coś ważnego. Bo lubi towarzystwo. — Dotyka

ramienia Kanyi, ta musi powstrzymać się od wzdrygnięcia. Kip widzi ten ruch, ale tylko uśmiecha się łagodnie. — Polubił cię. Będzie chciał, żebyś jeszcze przychodziła. Kanya dygoce.

— No to się rozczaruje.

Kip patrzy na nią wielkimi, wilgotnymi oczyma.

— Mam nadzieję, że szybko nie umrzesz. Ja też cię polubiłam.

Kiedy Kanya odjeżdża z ośrodka, dostrzega Jaideego. Stoi na brzegu oceanu, patrzy na fale. Jakby wyczuwając jej wzrok, odwraca się i uśmiecha, potem rozplywa w nicość. Jeszcze jeden duch, który nie ma dokąd pójść. Ciekawe, czy Jaideemu w ogóle uda się zreinkarnować, może czeka na wcielenie w coś, co nie boi się plag, jakieś jeszcze niewynalezione stworzenie. Może jedyną nadzieją na powtórne odrodzenie jest dla niego pusta skorupa ciała jakiegoś nakręcańca.

Tłamsi tę złowrogą myśl. Ma nadzieję, że Jaidee odrodzi się w jakimś niebie, gdzie nigdy nie będzie nakręcańców i rdzy pęcherzowej, gdzie, nawet jeśli nigdy nie osiągnie *nibbany*, nawet jeśli nie dopełni życia jako mnich, nawet jeśli nie osiągnie statusu buddy, to przynajmniej nie będzie musiał patrzeć, jak świat, którego tak pilnie bronił, jest obdzierany z ciała przez tłum zaślinionych nowych sukcesów natury, tych nakręcańców, od których roi się wokoło.

Jaidee nie żyje. Ale może to najlepsze, co mogło go spotkać. Może i ona byłaby szczęśliwsza, gdyby włożyła do ust lufę sprężynowca i pociągnęła za spust. Może gdyby nie miała dużego domu i zapisanej w *kammie* zdrady...

Kanya kręci głową. To pewne: musi dalej wykonywać tu swoje obowiązki. Jej dusza i tak na pewno wróci na ten świat, w najlepszym razie jako człowiek, w najgorszym jako coś innego, pies czy karaluch. Jakikolwiek chaos zostawi za sobą, bez wątpienia zetknie się z nim jeszcze wiele razy. Zdradziła, więc ma to zagwarantowane. Musi toczyć tę wojnę, aż oczyści swoją

kammę. Ucieczka przez samobójstwo — i w przyszłości trafia na jeszcze coś gorszego. Dla takich jak ona nie ma ucieczki.

XXIX

Pomimo godziny policyjnej i białych koszul, Anderson-sama jest nieomal lekkomyślny w swoich względach. Całkiem jakby coś nadrabiał. Jednakże, kiedy Emiko powtarza swoje obawy co do Raleigha, tylko uśmiecha się porozumiewawczo i mówi jej, że ma się nie martwić. Wszystko płynie.

— Nadchodzą moi ludzie — mówi. — Niedługo wszystko się zmieni. Nie będzie już białych koszul.

— To brzmi pięknie.

— I będzie pięknie — odpowiada. — Na parę dni wyjadę, pozałatwiać sprawy. A kiedy wrócę, wszystko się zmieni.

I znika, na odchodnym pouczając ją, że ma nie zmieniać swoich nawyków i nic nie mówić Raleighowi. Zostawia jej klucz do swojego mieszkania.

I tak oto Emiko budzi się wieczorem na czystym prześcieradle, z kręcącym się powoli nad głową korbowym wiatrakiem. Ledwo pamięta, kiedy ostatni raz spała bez bólu i strachu. Ta myśl jest niemal oszałamiająca. W pokojach panuje półmrok, rozświetlony tylko migocącymi jak świetliki ulicznymi gazowymi latarniami.

Jest głodna. Jak wilk. Znajduje kuchnię Andersona-samy, szpera w hermetycznych pojemnikach, szukając przekąsek, krakersów, ciastek, herbatników, wszystko jedno czego. Warzyw nie ma, ale jest ryż, soja, sos rybny, grzeje więc wodę na palniku, zachwycając się, że buda z metanem nie była pod kluczem. Ledwo pamięta, że kiedyś takie rzeczy były dla niej oczywiste. Że Gendo-sama trzymał ją w dwa razy bardziej luksusowych warunkach, na najwyższym piętrze

apartamentowca w Kyoto, z widokiem na świątynię Toji i powolne ruchy doglądających jej mnichów w czarnych szatach.

Ta odległa przeszłość jest dla niej jak sen. Jesienne niebo, przejrzyste, zapierający dech błękit. Wspomina, jak z przyjemnością patrzyła na Nowe Dzieci ze żłobka, karmiące kaczkę albo uczące się ceremonii parzenia herbaty, z całkowitym, nieodwołalnym skupieniem.

Wspomina własną edukację...

Mrozi ją myśl o tym, że została wyszkolona do doskonałości, do wiecznej służby panu. Przypomina sobie, że Gendo-sama wziął ją i obsypywał czułościami, a potem wyrzucił jak łupinę tamaryndowca. To nie przypadek.

Jej oczy zwięzają się, gdy patrzy na garnek i wrzącą wodę, na ryż, który tak idealnie odmierzyła na oko, bez miarki, po prostu nabierając go miską, wiedząc dokładnie ile go potrzeba. Potem nieświadomie ułożyła go w idealną warstewkę, jakby to był żwirowy ogródek, jakby miała w nim sięść w *zazen* i medytować, jakby miała grabić go, grabić i grabić małą miseczką do ryżu, do końca życia.

Zamierza się. Miska z ryżem rozpryskuje się, odłamki lecą we wszystkie strony, garnek z wodą frunie, lśnią w powietrzu parzące kropelki.

Emiko stoi pośrodku cyklonu, patrzy, jak rozbryzgują się krople, widzi ziarna ryżu, zawieszane w powietrzu, jak zatrzymane w czasie, jakby ryż i woda też były nakręcankami, zatrzymującymi się w locie, tak jak ona zatrzymuje się co chwila w swoich urywanych ruchach, dziwnych i surrealistycznych w oczach zwykłych ludzi. W oczach ludzi, którym tak rozpaczliwie pragnie służyć.

I patrz, co ci przyniosła ta służba.

Garnek uderza w ścianę. Ryż rozsypuje się na marmurze. Wszystko zalewa woda. Dziś wieczorem dowie się, gdzie leży ta

wioska Nowych Ludzi. Miejsce, w którym żyją jej pobratymcy i nie mają panów. Gdzie Nowi Ludzie służą tylko samym sobie. Anderson-sama może sobie mówić, że nadchodzą jego ludzie, ale przecież on zawsze będzie naturalsem, a ona Nowym Człowiekiem, i zawsze będzie chciała mu służyć.

Powstrzymuje pragnienie posprzątania ryżu, poukładania wszystkiego, żeby Anderson-sama zastał porządek, kiedy wróci. Zmusza się do wbicia wzroku w bałagan i przekonania samej siebie, że nie jest już niewolnicą. Jeśli on zechce zmieszczyć ryż z podłogi, do takich brudnych robót są inni. Ona jest do czegoś innego. Jest czymś innym. Jest optymalna na swój sposób. Może kiedyś była sokołem na uwięzi, ale Gendo-sama zrobił coś, za co może być mu wdzięczna. Przeciął jej pęta. Może swobodnie fruwać.

* * *

Przekradanie się przez ciemność przychodzi niemal za łatwo. Emiko płynie przez tłum, nowa szminka na ustach, cienie na powiekach, lśniąca srebrna koła w uszach.

Jest Nowym Człowiekiem i idzie przez tłum tak gładko, że nie mają pojęcia o jej obecności. Śmieje się z nich. Śmieje się i przenika między nimi. W jej naturze nakręcania czai się coś samobójczego. Chowa się na widoku. Nie czai się. Los chroni ją bezpiecznie w swoich dłoniach.

Prześlizguje się przez tłum, ludzie odskakują zdumieni obecnością nakręcania pomiędzy nimi, osłupieni, że grzeszna maszynka ma czelność brukać te chodniki, jakby ich kraj był choć w połowie tak czysty, jak wyspy, z których ją wyrzucono. Marszczy nos. Nawet ścieki z Japonii nie byłyby warte tego śmierdzącego, hałaśliwego kraju. Oni po prostu nie rozumieją, że ich zaszczyca. Śmieje się do siebie, a kiedy się za nią oglądają, zdaje sobie sprawę, że roześmiała się w głos.

Przed nią białe koszule. Migają pomiędzy leżącymi powoli megodontami i taczkami. Emiko przystaje przy balustradzie mostka nad *khlongiem*, wbija wzrok w wodę, czeka, aż niebezpieczeństwo przejdzie. Widzi swoje odbicie w kanale, podświetlone od tyłu zielonym blaskiem wszystkich latarní dookoła. Czuje, że mogłaby wtopić się w tę wodę, jeśli tylko wystarczająco długo będzie się w nią wpatrywać. Zostać wodną panną. Czyż nie należy do pływającego świata? Czy nie zasługuje, by popłynąć po wodzie i powoli tonąć? Odpycha od siebie tę myśl. To dawna Emiko. Ta, która nigdy nie nauczyłaby się latać.

Podchodzi do niej jakiś mężczyzna, opiera się o balustradę. Emiko nie unosi wzroku, patrzy na jego odbicie w wodzie.

— Lubię patrzeć, jak dzieci ganiają się łódkami po kanałach — mówi tamten.

Kiwa nieznacznie głową, nie ufając sobie na tyle, żeby się odezwać.

— A ty widzisz coś w tej wodzie? Patrzysz na nią tyle czasu...

Kręci głową. Jego biały mundur ma zielonkawy odcień. Jest tak blisko, że mógłby wyciągnąć rękę i jej dotknąć. Ciekawe, jak wyglądałyby te sympatyczne oczy, gdyby dotknął dłońmi jej rozpalonej jak piec skóry.

— Nie musisz się mnie bać — mówi. — To tylko mundur. Nie zrobiłaś nic złego.

— Nie — szepcze. — Nie boj ę się.

— To dobrze. Taka ładna dziewczyna nie powinna się bać... Masz dziwny akcent. Kiedy cię zobaczyłem, pomyślałem, że jesteś z Chaozhou...

Emiko kręci nieznacznie głową. Szarpnięcie.

— Niestety, nie. Z Japonii.

— Z którejś fabryki?

Wzrusza ramionami. Jego wzrok wwierca się w nią. Zmusza głowę do obrotu — powoli, powoli, płynnie, płynnie, ani jednego podrygu, ani szarpnięcia — i patrzy mu w oczy, odpowiada na jego spojrzenie. Starszy, niż myślała. Chyba w średnim wieku. Albo i nie. Może jest młody, tylko wymęczony złem, jakie wyrządza na co dzień. Powstrzymuje chęć współczucia mu, walczy z genetycznym przymusem służenia, nawet temu człowiekowi, który najchętniej by ją poćwiartował. Powoli, powoli, wraca oczyma ku wodzie.

— Jak się nazywasz?

Waha się.

— Emiko.

— Ładnie. To coś znaczy?

Kręci głową.

— Nic ważnego.

— Taka piękna kobieta i taka skromna.

— Nie. Wcale. Jestem brzydka... — Urywa, widząc, że mężczyzna wytrzeszcza oczy. Uświadamia sobie, że się zapomniała. Zdradziła się ruchami.

Mężczyzna gapi się szeroko otwartymi oczyma. Emiko cofa się, całkiem zapomniawszy o odgrywaniu człowieka. Jego spojrzenie twardnieje.

— Trzęsłapa — sapie.

Emiko uśmiecha się ze skrępowaniem.

— Pomyłka. Naprawdę.

— Pokaż mi swoje pozwolenie na import.

Uśmiecha się.

— Oczywiście. Gdzieś tu je mam. Oczywiście. — Cofa się dalej, stroboskopowe ruchy obwieszczają wszem wobec o wadach w jej DNA.

Mężczyzna wyciąga po nią rękę, ona jednak wymyka mu się z uchwytu, szybko się okręca i już pędzi, wtapiając się w tłum,

podczas gdy on wykrzykuje:

— Zatrzymać ją! Łapać! Sprawa Ministerstwa! Łapać nakręcankę!

Cała istota jej duszy krzyczy, że ma się zatrzymać, usłuchać jego rozkazów. Może tylko biec dalej, dalej od ciosów, jakie wymierzała Mizumi-sensei, kiedy śmiała jej nie usłuchać, dalej od pełnego dezaprobaty żądła jej języka, gdy odważyła się sprzeciwić czyjejś woli.

Płonie ze wstydu, gdy niosą się za nią echem jej rozkazy, lecz potem połyka ją tłum, wszędzie słychać tupot stad megodontów, a prześladowca jest o wiele za wolny, by odkryć, w którym zaułku Emiko dochodzi do siebie.

* * *

Unikanie białych koszul zajmuje więcej czasu, ale jednocześnie jest grą. Emiko umie już w nią grać. Jeśli jest szybka, ostrożna i zaplanuje przerwy między sprintami, potrafi łatwo ich unikać. Pędząc, zachwyca się ruchami własnego ciała, ich oszałamiającą płynnością, jakby wreszcie była w zgodzie ze swoją naturą. Jakby cała tresura i chłosta Mizumi-sensei miała na celu ukrycie przed nią tej umiejętności.

W końcu dociera do Ploenchit i wspina się na górę. Raleigh, jak zawsze, czeka przy barze, zniecierpliwiony. Unosi wzrok.

— Spóźniłaś się. Potrącę ci za to.

Emiko zmusza się, żeby nie czuć się winną, choć przeprasza.

— Przepraszam, Raleigh-san.

— Szybko, przebieraj się. Dzisiaj masz ważnych gości. Grube ryby i zaraz tu będą.

— Chciałam zapytać cię o tę wioskę.

— Jaką wioskę?

Zachowuje uprzejmą minę. Kłamał? To od początku było kłamstwo?

— Miejsce, gdzie mieszkają Nowi Ludzie.

— Ciągłe cię to męczy? — Kręci głową. — Mówiłem ci. Zarób na siebie, a ja załatwię, że się tam dostaniesz, jeśli tego właśnie chcesz. — Macha ręką ku garderobie. — Idź, przebieraj się.

Emiko zaczyna znów naciskać, potem po prostu kiwa głową. Później. Kiedy będzie pijany. Kiedy będzie miększy, wyciągnie od niego tę informację.

W garderobie Kannika już naciąga na siebie sceniczne ciuchy. Krzywi się na widok Emiko, ale nic nie mówi, kiedy ta przebiera się i przynosi sobie pierwszą szklanekę lodu tego wieczoru. Pije ostrożnie, napawając się chłodem i poczuciem komfortu, które wygrywa nawet z upałem wieżowca. Za przesłoniętymi sznurami oknami jarzy się miasto. Z wysoka jest piękne. Myśli, że nawet podobałoby się jej w takim mieście, bez naturalnych ludzi. Upija jeszcze łyk wody.

Ostrzegawczy szmer zdumienia. Kobiety padają na kolana, przyciskając czoła do podłogi w pozie *khrah*. Emiko razem z nimi. Wrócił ten człowiek. Ten srogi. Ten, co kiedyś przyszedł z Andersonem. Wypatruje obecności Andersona-samy, licząc, że tym razem też się pojawi, ale na próżno. Somdet Chaopraya i jego koledzy przychodzą już pijani, z wypiekami na twarzach.

Raleigh pędzi ku nim i prowadzi ich do salki dla VIP-ów.

Kannika podkrada się do niej.

— Kończ tę wodę, trzęsiłapo. Robota czeka.

Emiko tłumi chęć odpysknięcia. Teraz to byłoby szaleństwo. Patrzy jednak na Kannikę i myśli, że kiedy pozna położenie wioski, będzie miała okazję odplacić tej kobiecie za wszystkie zadawane cierpienia.

W sali dla VIP-ów jest tłoczno. Są tu okna na zewnątrz, ale po zamknięciu drzwi prawie nie ma przewiewu. A występ tutaj jest o wiele gorszy niż na scenie. Tam zadawane przez Kannikę męki są powtarzalne. Tutaj natomiast oprowadza ją po sali,

przedstawiając mężczyznom po kolei, namawiając, żeby pomacali, poczuli żar jej skóry, powtarzając słowa w stylu:

— Podoba się? Widzicie, że to brudna dziwka? To poczekajcie. Dzisiaj zobaczycie jak bardzo.

Ważny gość, jego ochrona i koledzy śmieją się wszyscy, żartują, gapią się na nią, szczypią w tyłek i ciągną za piersi, przesuwają palcami między jej udami, wszyscy nieco podenerwowani nowością tej rozrywki.

Kannika wskazuje na stół.

— Włóż.

Emiko niezręcznie wchodzi na lśniący czarny blat. Kannika powarkuje na nią, każe chodzić, kłaniać się. Dygotać tam i z powrotem na swój nakręcankowy sposób, gdy wokół leje się alkohol, przychodzą kolejne dziewczęta, siadają z klientami, śmieją się, żartują, z Emiko cały czas na widoku, a potem, co nieuchronne, Kannika zabiera się za nią.

Rozpłaszcza ją na stole. Mężczyźni gromadzą się wokół, gdy zaczyna ją maltretować. Powoli, stopniowo, zaczyna od zabawy sutkami, potem wsuwa jej między nogi jadeitowego fallusa, budząc reakcje, które ma wbudowane i których nie może opanować, obojętne, jak bardzo by z nimi walczyła.

Mężczyźni kibicują upokorzeniom Emiko, zachęcają do dalszych tortur. Kannika, zarumieniona z podniecenia, zaczyna je wymyślać. Kuca nad twarzą Emiko. Rozsuwa pośladki i każe Emiko wsunąć język do środka. Mężczyźni zaśmiewają się, kiedy spełnia polecenie, a Kannika opowiada:

— Tak, dobrze, teraz czuję jej język. — A potem: — Dobrze ci, brudna nakręcanko, z językiem w tym miejscu? — Do mężczyzn: — Dobrze jej, dobrze. Wszystkie te brudne nakręcanki to lubią.

Znów śmiech.

— Jeszcze, dziwko. Jeszcze.

Po czym napiera na nią, dławi, każe jej zdwoić wysiłki, poniża ją coraz bardziej, zmusza, żeby się bardziej postarała, żeby ją zadowolić. Ręka Kanniki dołącza do języka Emiko, bawi się, rozkoszuje jej posłuszeństwem.

Słyszy, jak znowu się odzywa:

— Chcecie ją sobie obejrzeć? No to już.

Dłonie na udach Emiko, rozchylają je, tak by leżała całkiem odsłonięta. Palce gmerają w jej fałdach, penetrują ją. Kannika się śmieje.

— Chcecie ją zerznąć? Posunąć nakręcankę? Proszę bardzo. Dajcie mi jej nogi. — Zaciska dłonie na kostkach Emiko, unosi je, unieruchamiając.

— Nie — szepcze Emiko, lecz Kannika jest nieubłagana. Szeroko rozkłada jej nogi.

— No, bądź dobrą trzęsiłapką. — Kannika raz jeszcze rozsiada się na twarzy Emiko, opowiadając publiczności o jej poniżeniu. — Łyka wszystko, co się jej wsadzi do ust — mówi. Panowie znów się śmieją. A potem siada na jej twarzy i Emiko nie widzi już nic, słyszy tylko, jak Kannika nazywa ją kurwą, suką i brudną nakręcanką. Nie lepszą niż wibrator...

A potem zapada cisza.

Emiko próbuje się poruszyć, lecz Kannika trzyma ją w uścisku, odcięta od świata.

— Nie ruszaj się — mówi. A potem: — Nie. Weźcie to.

Emiko czuje, jak mężczyźni łapią ją za ramiona, przyciskają. Palce szturchają ją, wdzierają się do środka, coraz głębiej.

— Posmarujcie go — szepcze Kannika, z ekscytacją w głosie. Zaciska dłonie na kostkach Emiko.

Czuje wilgoć w odbycie, śliskość, a potem nacisk, zimny nacisk. Jęczy w proteście. Nacisk na moment ustaje, potem jednak Kannika mówi:

— Tacy z was mężczyźni? No, zerznijcie ją! Widzicie, jak podskakuje? Patrzcie na jej nogi i ręce, kiedy napieracie! Niech zatańczy dla was swój trzęsilapi taniec.

Nacisk powraca, mężczyźni trzymają ją mocniej, nie może wstać, a ten zimny przedmiot znów wciska jej się do tyłka, penetruje ją, rozdziera, wypełnia. Emiko krzyczy.

Kannika się śmieje.

— Tak jest, nakręcanko, tak jest. Zarób na swoją michę. Wstaniesz, kiedy ja dojdę.

I Emiko znów liże, chłepce i ślini się jak pies, desperacko, a butelka od szampana penetruje ją jeszcze raz, wysuwa się i znów wciska głęboko. Pali.

Wszyscy się śmieją.

— Patrzcie, jak się rusza!

Łzy napływają jej do oczu. Kannika każe jej starać się bardziej, a sokół, o ile w Emiko był kiedykolwiek jakiś sokół, o ile w ogóle istniał jakiś sokół, jest martwy, zwisa na pętach. Nie było mu pisane żyć, lecieć, uciec. Miał tylko słuchać. Emiko raz jeszcze uczy się, gdzie jej miejsce.

Przez całą noc Kannika uczy ją cnoty posłuszeństwa. Emiko błaga o litość, o przerwanie gwałtu, błagalnie służy, robi wszystko, żeby móc przeżyć choćby moment dłużej, a Kannika śmieje się, śmieje i śmieje.

* * *

Kiedy Kannika z nią kończy, jest późno. Emiko siedzi pod ścianą, wyczerpana i załamana. Po jej policzkach spłynął tusz. W środku jest martwa. Lepiej być martwą niż nakręcanką, myśli. Przygląda się tępo człowiekowi, który zaczyna myć podłogę. Na drugim końcu baru Raleigh popija swoją whiskey i się śmieje.

Człowiek z mopem zbliża się powoli. Emiko zastanawia się, czy spróbuje zmyć ją razem z pozostałym brudem. Czy weźmie ją i rzuci na kupę śmieci, dla ludzi Pana Łajna. Będzie tak sobie leżeć, aż ją skompostują... wyrzuconą, jak powinien ją wyrzucić Gendo-sama. Jest śmieciem. Teraz to rozumie. Sprzątaczo miata ją mopem.

— Dlaczego mnie nie wyrzucisz? — jęczy.

Mężczyzna patrzy na nią niepewnie, potem skupia wzrok na pracy. Wyciera dalej. Emiko powtarza te słowa.

— Odpowiedz mi! — krzyczy. — Dlaczego mnie nie wyrzucisz? — Głos niesie się echem po pustej sali.

Raleigh unosi wzrok, marszczy brwi. Emiko zdaje sobie sprawę, że mówiła po japońsku. Mówi to samo po tajsku:

— Wyrzuć mnie, wyrzuć na śmieci! Jestem śmieciem, więc mnie posprzątaj !

Sprzątaczo wzdryga się i cofa, uśmiecha niepewnie.

Podchodzi Raleigh. Klęka koło niej.

— Emiko. Wstawaj. Straszysz mi personel.

Emiko krzywi się.

— Mam to gdzieś.

— Myślę, że nie. — Kiwa głową ku drzwiom do oddzielnej sali, gdzie tamci mężczyźni wciąż siedzą, piją i opowiadają sobie o seansie z nią. — Mam dla ciebie premię. Ci goście dają niezłe napiwki.

Emiko unosi wzrok.

— Kannika też dostaje napiwek?

Raleigh przygląda się jej.

— Nie twoja sprawa.

— Dali jej potrójnie? A ty mi dasz pięćdziesiąt bahtów?

Oczy mu się zwiężają.

— Przestań.

— Bo co? Bo wsadzisz Emiko do kompostownika? Oddasz białym koszulom?

— Nie przeginaj. Nie chcesz, żebym się wkurwił. — Wstaje. — Jak przestaniesz się nad sobą użalać, przyjdź po forszę.

Emiko przygląda się tępo, jak Raleigh człapie z powrotem do stołka barowego, zamawia kolejnego drinka. Ogląda się na nią, mówi coś do Daenga, który uśmiecha się służbiście i nalewa wody z lodem. Raleigh pokazuje jej szklanekę. Stawia ją na kupce fioletowych bahtów. Wraca do drinka, jakby nie zwracał uwagi na jej wzrok.

Co robią z nakręcankami, które się psują? Nigdy nie słyszała, żeby jakaś umarła. Czasem umierał starszy klient. Ale nakręcanka żyła dalej. Jej koleżanki żyły. Żyły dłużej. Nigdy o to nie zapytała Mizumi-sensei. Emiko kuśtyka do baru, potyka się. Opiera się o kontuar. Wypija lodowatą wodę. Raleigh podsuwa jej pieniądze.

Dopija wodę z lodem. Połyka kostki. Czuje rozchodzący się po ciele chłód.

— Rozpytywałeś się?

— O co? — Raleigh stawia pasjansa na barze.

— O północ.

Spogląda na nią, potem rozkłada kolejny szereg kart. Przez sekundę milczy.

— Ciężka sprawa. Tego nie załatwi się w jeden dzień.

— Rozpytywałeś się w ogóle?

Wbij a w nią wzrok.

— No. Pytałem. Dopóki białe koszule są wkurwione po masakrze Jaideego, nikt nigdzie nie jeździ. Powiem ci, jak sytuacja się zmieni.

— Chcę jechać na północ.

— Już mi mówiłaś. Zarób na to, a będziesz mogła.

— Zarabiam dużo. Chcę jechać teraz.

Dłoń Raleigha jest szybka, lecz ona jest w stanie przewidzieć jej ruch. Szybka dla niego, nie dla niej. Przygląda się, jak sunie ku jej twarzy, z czymś w rodzaju służalczej wdzięczności, jaką czuła niegdyś, gdy Gendo-sama zabierał ją na kolację do eleganckiej restauracji. Policzek piecze, a potem drętwieje, opuchnięty. Dotyka go palcami, napawając się bólem.

Raleigh patrzy na nią zimno.

— Pojedziesz, jak to będzie mi, kurna, pasowało.

Emiko pochyła lekko głowę, pozwalając, by zasłużona nauczka dotarła.

— Czyli mi nie pomożesz, prawda?

Raleigh wzrusza ramionami, wraca do kart.

— A to miejsce w ogóle istnieje? — pyta Emiko.

Raleigh ogląda się na nią.

— Pewnie. Jeśli to ci sprawia przyjemność, jest coś takiego. Ale jak będziesz mnie ciągle tym męczyć, to nie ma. A teraz zejść mi z oczu.

Sokół zwisa martwy. Nie żyje. Materiał na kompost. Pokarm dla miasta, padlina na metan do lamp gazowych. Emiko wbija wzrok w Raleigha. Sokół leży martwy.

A potem przychodzi jej do głowy myśl, że są rzeczy gorsze od śmierci. Są rzeczy, których nie da się znieść.

Jej pięść jest bardzo szybka, gardło Raleigh-sana bardzo miękkie.

Stary człowiek przewraca się, unosi dłoń do szyi, ma zszokowane, wytrzeszczone oczy. Wszystko w zwolnionym tempie: Daeng odwraca się na dźwięk przewalonego z łoskotem stołka; Raleigh rozciąga się na podłodze, porusza ustami, próbuje łapać powietrze; sprzątacze upuszczają mopa; Noi i Saeng, na drugim końcu baru, ze swoimi facetami, którzy przyszli odprowadzić je do domów, wszyscy się odwracają, słysząc hałas, i wszyscy robią to bardzo powoli.

Zanim Raleigh na dobre upadnie, Emiko już biegnie przez salę ku pokojowi dla VIP-ów, do człowieka, który zadał jej największy ból. Tego, który teraz siedzi, śmieje się z kolegami i w ogóle nie myśli o bólu, jaki potrafi zadać.

Z hukiem otwiera drzwi. Unoszą się zaskoczone głowy. Odwracają się, rozdziawiając usta do krzyku. Ochroniarze sięgają po sprężynowce, ale wszyscy poruszają się zbyt wolno.

Bo żaden nie jest Nowym Człowiekiem.

XXX

Pai podczołguje się do Kanyi, gapi na leżącą w dole wieś.

— To jest to?

Kanya kiwa głową i ogląda się na resztę oddziału, który rozciągnął się, żeby obstawić inne podejścia do farm krewetek, gdzie hoduje się odporne na gorzkowodną zarazę krewetki na targi rybne Krung Thep.

Wszystkie domy stoją na bambusowych tratwach, które leżą teraz na ziemi, ale kiedy nadchodzi powódź, unoszą się na wodzie, a woda i muł zalewają im pola i stawy. Dawno temu, zanim przyszedł generał Pracha, rodzina Kanyi mieszkała nad Mekongiem na czymś podobnym.

— Dobry trop — szepcze.

Ratana niemal doznała ekstazy. Ślad, wskazówka: rybie pasożyty, roztocze znalezione między palcami nóg trzeciego trupa. A skoro rybie roztocze, to farmy krewetek, a skoro farmy krewetek, to tylko te, z których ktoś mógłby szukać pracy w Bangkoku. Zatem takie, którym wyzdychała hodowla. I to właśnie zaprowadziło ją pod to pływające osiedle w Thonburi z całym oddziałem na brzegu wału, gotowym do ataku w ciemności.

W dole, w bambusowych domach migocze kilka świec. Szczeka pies. Wszyscy noszą kombinezony bezpieczeństwa. Ratana upierała się, że ryzyko przeskoku jest znikome, ale jednak o nim wspomniała. Kanya słyszy przy uchu bzyczenie komara. Odgania go otwartą dłonią i zaciąga szczelnie kaptur kombinezonu. Teraz zaczyna się naprawdę pocić.

Nad stawami rybnymi niesie się czyjś śmiech. Rodzina, zgromadzona razem w ciepłej chaty. Nawet teraz, w tych ciężkich warunkach, ludzie potrafią się śmiać. Ale nie Kanya. Chyba coś ma w środku zepsute.

Jaidee twierdził, że Królestwo to szczęśliwy kraj, powtarzał tę starą historię o Krainie Uśmiechów. Kanya jednak nie przypomina sobie, by kiedykolwiek widywała tak szerokie uśmiechy, jak na muzealnych zdjęciach z czasów sprzed Zapaści. Czasem zastanawia się, czy ci ludzie na fotografiach udawali, czy Galeria Państwowa została zbudowana, by ją przygnębiać, a może naprawdę były czasy, gdy ludzie uśmiechali się tak z sercem, tak bez lęku.

Naciąga maskę na twarz.

— Niech wchodzi.

Pai kiwa na ludzi, którzy zaczynają schodzić z wałów ku wiosce, otaczając ją, jak to się zawsze robi przed paleniem.

Kiedy przyszli do jej własnej wioski, białe koszule pojawiły się między chatami w niecałą minutę, z syczącymi, iskrzącymi flarami w dłoniach. Tutaj, to co innego. Żadnych wrzasków przez megafony. Żaden oficer nie brodzi w wodzie po kostki, wyciągając ludzi z domów, gdy bambus i WeatherAll już buchają żywopomarańczowym płomieniem.

Generał Pracha chce to załatwić po cichu. Podpisując kwity na kwarantannę, powiedział:

— Jaidee zrobiłby z tego wyjątkową sytuację, ale nie mamy zasobów, żeby drażnić gniazdo handlowych żmij i jednocześnie zajmować się tym. Mogliby nawet wykorzystać to przeciw nam. Załatw to po cichu.

— Jasne. Po cichu.

Pies zaczyna wściekle ujadać. Kiedy podchodzą, dołączają do niego inne. Paru miejscowych wychodzi na werandy,

spogląda w ciemność. Zauważają błysk bieli. Krzykami ostrzegają rodziny, a białe koszule Kanyi puszcza ją się biegiem.

Jaidee klęka koło niej, obserwując całą akcję.

— Pracha tak o mnie gada, jakbym był jakimś megodontem, który traktuje uprawy ryżowe — mówi.

Kanya nie zwraca nań uwagi, ale Jaidee nie milknie.

— Trzeba go było widzieć, kiedy obaj byliśmy kadetami. Jak szliśmy w teren, sikał w majtki ze strachu.

Kanya mierzy go wzrokiem.

— Przestań. To, że nie żyjesz, nie pozwala ci obrzucać go obelgami.

Diodowe trzęsilampki jej ludzi rozbłyskują, oświecając wioskę smutnym światłem. Rodziny biegają wkoło jak kury, usiłując chować jedzenie i inwentarz. Ktoś próbuje przebiec przez kordon, rozbryzguje z chlupotem wodę, nurkuje w stawie i płynie na drugą stronę, gdzie... pojawia się dalsza część sieci Kanyi. Mężczyzna zaczyna płynąć w miejscu pośrodku mulistego dołu z krewetkami. Jest w pułapce.

Jaidee pyta:

— Jak w ogóle możesz nazywać go swoim dowódcą, skoro oboje wiemy, wobec kogo naprawdę jesteś lojalna?

— Cicho bądź.

— Ciężko być takim koniem, który nosi dwóch jeźdźców? A obaj jeżdżą na tobie jak...

— Zamknij się!

Pai podskakuje.

— Co jest?

— Przepraszam. — Kanya kręci głową. — Zamyśliłam się.

Pai kiwa głową w stronę mieszkańców.

— Chyba są na ciebie gotowi.

Kanya zrywa się na nogi. Schodzą wszyscy — Pai, ona i Jaidee, nieproszony, ale zadowolony z siebie. Ma zdjęcie

zmarłego, czarno-biały świstek wywołany w laboratorium niezdarnymi czarnymi paluchami. Pokazuje ją farmerom w świetle trzęsilampki, przynosząc snop światła z fotografii na ich oczy, próbując przyłapać w nich błysk rozpoznania.

U niektórych ludzi biały mundur otwiera drzwi, ale w przypadku hodowców ryb to zawsze problem. Zna ich dobrze, potrafi odczytać odciski na ich rękach, po smrodzie stawów rozpoznaje sukcesy i klęski. Widzi siebie ich oczyma i wie, że równie dobrze mogłaby być funkcjonariuszem z firmy kalorycznej, szukającym śladów genhakowanych produktów. Maskarada jednak trwa dalej, wszyscy kręcą głowami, Kanya oświeda ich latarką. Jeden po drugim odwracają wzrok.

W końcu znajduje jakiegoś mężczyznę, pokazuje mu zdjęcie.

— Znasz go? Rodzina go nie szuka?

Mężczyzna patrzy na fotografię, potem na mundur Kanyi.

— On nie ma żadnej rodziny.

Kanya podskakuje, zaskoczona.

— Znasz go? Co to za jeden?

— To on nie żyje?

— A co, wygląda na żywego?

Oboje przyglądają się bezkrwistemu zdjęciu, zniszczonej twarzy.

— Mówiłem mu, że są na świecie lepsze rzeczy niż robota w fabryce. Ale nie słuchał.

— Mówisz, że pracował w mieście?

— No tak.

— A wiesz, gdzie?

Kręci głową.

— A gdzie mieszkał?

Facet wskazuje na czarny cień chaty na palach. Kanya kiwa na swoich ludzi.

— Otoczyć ten dom.

Naciąga maskę i wchodzi, omiatając wszystko snopem latarki. Ponuro tu. Pusto, dziwnie i nieswojo. W świetle wiruje pył. Świadomość, że mieszkaniiec tego domu nie żyje, budzi w niej złe przeczucia. Tu może być jego duch. Gdzieś tu może czaić się wygłodniały duch, zły, że ciągle tkwi w tym świecie, że zachorował. Że może został zamordowany. Przepatruje nieliczne osobiste przedmioty zmarłego, obchodzi chatę. Nic. Wychodzi z powrotem na dwór. W oddali wznosi się miasto w zielonej aureoli — tam udał się ten człowiek, gdy nie mógł się utrzymać z hodowli ryb. Wraca do świadka.

— Na pewno nie wiesz, gdzie pracował?

Mężczyzna kręci głową.

— Nic? Żadnej nazwy? Wszystko jedno co. — Stara się nie okazać desperacji.

Człowiek kręci głową. Odwraca się, sfrustrowana i wpatruje w ciemną wieś. Ówierkają cykady. Miarowo potrzaskują koziorogi. Przyszli tam gdzie trzeba. Są tak blisko. Ale gdzie jest ta fabryka? Gi Bu Sen miał rację. Trzeba po prostu spalić całą dzielnicę przemysłową. Dawniej, kiedy białe koszule były silne, nie miałyby z tym żadnego problemu.

— Aha, teraz chcesz palić? — drwi Jaidee obok niej. — Teraz rozumiesz mój punkt widzenia? Ignoruje szyderstwo. Niedaleko siedzi dziewczynka, która intensywnie się jej przygląda. Gdy

Kanya przyłapuje ją na tym, odwraca wzrok. Kanya dotyka ramienia Paia.

— Tamta.

— Ta mała? — Jest zdziwiony.

Kanya już ruszyła, zbliża się do niej. Dziewczynka ma taką minę, jakby zamierzała uciec. Kanya kuca w przyzwoitej odległości. Przyzywa ją gestem.

— Ty. Jak się nazywasz?

Dziewczynka jest w wyraźnej rozterce. Chce uciec, ale Kanya niezaprzeczalnie tu teraz rządzi.

— No, chodź do mnie. Powiedz, jak się nazywasz. — Zaprasza ją jeszcze raz i tym razem dziewczynka ośmiela się podejść trochę bliżej.

— Mai — szepcze.

Kanya pokazuje zdjęcie.

— Wiesz, gdzie pracował ten pan, prawda?

Mai kręci głową, ale Kanya wie, że kłamie. Dzieci fatalnie kłamią. Z Kanyą było tak samo. Gdy białe koszule wypytywały ją, gdzie rodzina schowała narybek karpia, powiedziała im, że na południu, a oni, z cwanyimi uśmieszkami dorosłych, od razu poszli na północ.

Podaje dziewczynce fotografię.

— Rozumiesz, że to bardzo niebezpieczne, prawda?

Dziewczynka waha się.

— Spalicie wioskę?

Kanya próbuje opanować rozlewający się na twarzy rumieniec.

— Ale skąd. — Uśmiecha się raz jeszcze, przemawia uspokajająco. — Nie bój się. Ja wiem, jak to jest. Też mieszkałam w takiej wiosce. Wiem, jak jest ciężko. Ale musisz mi pomóc ustalić, skąd wzięła się ta choroba, inaczej umrze jeszcze więcej ludzi.

— Mam nie mówić.

— To ładnie słuchać poleceń starszych... Ale wszyscy musimy także być lojalni wobec Jej Wysokości, a jej zależy, by cały kraj był bezpieczny. Królowa chciałaby, żebyś nam pomogła.

Mai waha się, a potem mówi:

— Jeszcze trzech pracowało w fabryce.

Kanya nachyla się ku niej, próbuje ukryć nagłe zainteresowanie.

— W której fabryce?

Mai się waha, Kanya przybliżyła się jeszcze bardziej.

— Jak ci się zdaje, *iluphii* pomyśli, że to przez ciebie, jeśli pozwolisz im umrzeć, zanim dopełni się ich *kamma*?

Mai dalej się waha.

Pai mówi:

— Połamiemy jej parę palców, to wszystko powie.

Dziewczynka robi przerażoną minę. Kanya wyciąga jednak rękę, uspokajająco.

— Nie bój się. Nic ci nie zrobi. To tygrys, ale trzymam go na smyczy. Proszę. Pomóż nam uratować miasto. Możesz jeszcze uratować Krung Thep.

Mai odwraca wzrok ku pełgającej za wodą łunie Bangkoku.

— Fabryka jest zamknięta. Wyście ją zamknęli.

— O, to bardzo dobrze. Ale musimy zadbać, żeby ta choroba się nie rozniosła. Jak się nazywa ta fabryka?

Wykrztusza odpowiedź wbrew sobie:

— SpringLife.

Kanya marszczy brwi, próbując skojarzyć tę nazwę.

— Fabryka sprężyn? Jakiegoś Chaozhou?

Mai kręci głową.

— *Faranga*. Bardzo bogatego *faranga*.

Kanya siada obok niej.

— Mów dalej.

XXXI

Anderson znajduje Emiko skuloną pod swoimi drzwiami i spokojnie zapowiadająca się noc w jednej chwili staje się niepewna.

Przez ostatnie kilka dni gorączkowo pracował nad przygotowaniem inwazji, a wszystko bardzo utrudniał mu fakt, że nigdy nie spodziewał się, że zostanie odcięty od własnej fabryki. Przez swoje pożałowania godne planowanie musiał zmarnować parę dni na przekradanie się bezpiecznie do zakładu SpringLife, tak aby uniknąć złapania przez ogromną liczbę patroli rozciągających kordon wokół całej dzielnicy przemysłowej. Gdyby nie odkrył drogi ucieczki Hock Senga, pewnie dalej czaiłby się w zaułkach i ubolewał, że nie ma jak tam wejść.

A tak, wśliznął się do środka między okiennicami, z pocernioną twarzą i kotwiczką przerzuconą przez ramię, z całego serca dziękując stukniętemu staruchowi, który zaledwie parę dni temu ukradł z firmy całą kasę na wypłaty.

W fabryce śmierdziało. Glony w kadziach całkiem zgniły, ale cieszył się chociaż, że nic się w tym półmroku nie porusza. Gdyby białe koszule postawiły w środku jakichś strażników... Zasłaniając usta dłonią, przekradł się do głównej hali i poszedł dalej wzdłuż linii. Zapach zgnilizny i odchodów megodontów zgęstniał.

W cieniu sit z glonami, pod masywem linii tnącej, przyjrzał się podłodze. Tak blisko kadzi z glonami smród był przeraźliwy, jakby zdechła tu i rozłożyła się krowa. Ostatni etap optymistycznego planu Yatesa na nową energetyczną przyszłość.

Anderson klęknął, odgarnął wyschnięte pasma glonów znad jednej z krutek ściekowych. Pomacał wzdłuż brzegów, szukając uchwytu. Podniósł ją. Żeliwna kratka zgrzytnęła. Jak najciszej odsunął ją na bok i z brzękiem położył na betonie. Położył się płasko na podłodze, błagając, żeby nie spłoszyć węża albo skorpiona, i wsunął rękę do otworu. Palce drapały ciemność, poszukując. Wyciągnęły się głębiej w wilgotny mrok.

Przez chwilę bał się, że się odczepiło i spłynęło ze ściekami do kanałów, a potem do pomp kanalizacyjnych króla Ramy, potem jednak palce dotknęły nieprzemakalnego brezentu. Odczepił go od ściany rury, wyciągnął, uśmiechnął się. Książka szyfrowa. Na sytuacje awaryjne, których nigdy się na serio nie spodziewał.

W ciemnym biurze wykręcił parę numerów, postawił na nogi operatorów w Birmie i Indiach. Wysłał sekretarzy biegiem po arkusze kodów nieużywane od czasów Finlandii.

Dwa dni później stał już na pływającej wyspie Koh Angrit, w kwaterze AgriGenu, dogrywając ostatnie szczegóły z dowódcami grup uderzeniowych. Uzbrojenie miało przyjechać na dniach, grupy się kompletowały. A pieniądze już przerzucono — złoto i nefryt, mające pomóc generałom zmienić front i zwrócić się przeciwko dotychczasowemu sojusznikowi — generałowi Prasze.

Teraz, po zakończeniu wszystkich przygotowań, wraca do miasta i zastaje pod swoimi drzwiami skuloną Emiko, w opłakanym stanie, całą we krwi. Gdy tylko go widzi, rzuca mu się w ramiona ze szlochem.

— Co ty tu robisz? — szepcze on. Przyciskając ją do siebie, otwiera drzwi i wpycha ją do środka. Jej skóra pali w dotyku. Wszędzie krew. Porozcinana twarz i ręce. Pośpiesznie zamyka drzwi. — Co się z tobą stało? — Odciąga ją od siebie, próbuje obejrzeć. Jest jak krwawy piec, ale zadraśnięcia na twarzy i

ramionach nie tłumaczą pokrywającego całe ciało lepkiego skrzepu. — Czyja to krew?

Emiko kręci głową. Znowu zaczyna płakać.

— Chodź, umyjesz się.

Prowadzi ją do wanny, odkręca prysznic z chłodną wodą, spryskuje ją. Emiko dygocze, rozglądając się wokół rozpalonymi, przerażonymi oczyma. Wygląda na w półobłąkaną. Próbuje zdjąć jej kusy żakiecik, żeby się pozbyć zakrwawionych ubrań, lecz Emiko wykrzywia twarz we wściekłości.

— Nie! — Tnie go paznokciami.

Anderson odskakuje, dotykając policzka.

— Cholera! — Wytrzeszcza oczy w szoku. Jezus, szybka była. Boli go. Unosi rękę do oczu, widzi krew. — Co się z tobą, kurna, porobiło!

Z jej oczu znika paniczne, zwierzęce rozbieganie. Patrzy nań tępo, a potem jakby dochodziła do siebie, wracała do ludzkiej postaci.

— Przepraszam — szepcze. — Strasznie cię przepraszam. — Opada, zwija się w kulkę pod wodą. — Bardzo, bardzo przepraszam. — Przeskakuje na japoński.

Anderson kuca obok, ubranie też mu przemaka od prysznicza.

— Nic się nie bój — mówi łagodnie. — Może zdejmij te ciuchy? Znajdę ci coś innego. Dobrze? Dasz radę?

Kiwa tępo głową. Ściąga żakiecik. Odwija *pha sin*. Kuli się naga w chłodnej wodzie. Zostawia ją pod prysznicem. Bierze zakrwawione rzeczy, zawija je w prześcieradło i znosi po schodach, na zewnątrz, w mrok. Wszędzie jest pełno ludzi. Nie zwraca na nich uwagi, idzie szybko w cień, niosąc ubranie, aż dociera do *khlongu*. Ciska krwawy zwitek do wody, gdzie ryby żmijogłowe i boddhi— karpie pożrą je z obsesyjną

determinacją. Woda gotuje się i chlupoce, gdy rzucają się, czując zapach krwi.

Kiedy wraca, widzi, że Emiko zdążyła wyjść spod prysznic; czarne włosy oblepiają jej twarz, małe przerażone zwierzątko. Anderson idzie do apteczki. Polewa jej skaleczenia spirytusem, przeciera lekami przeciwwirusowymi. Nie krzyczy. Paznokcie ma połamane, w strasznym stanie. Na całym ciele wykwitają siniaki. Mimo to, jak na tyle krwi, ile miała na sobie, kiedy przyszła, wydaje się niemal cudownie nieuszkodzona.

— Co się stało? — pyta łagodnie Anderson.

Przytula się do niego.

— Jestem sama — szepcze. — Nie ma żadnego miejsca dla Nowych Ludzi. — Trzęsie się coraz mocniej.

Przyciąga ją do siebie, czując przez skórę płomienny żar.

— To nic. Niedługo wszystko się zmieni. Wszystko będzie inaczej.

Emiko kręci głową.

— Nie. Nie wydaje mi się.

Chwilę później już śpi, miarowo oddychając. Nieprzytomne ciało wreszcie się rozluźnia.

* * *

Anderson budzi się gwałtownie. Nakręcany wentylator stanął, skończyły się dzule. Mężczyzna cały jest spocony. Obok jęczy i wierci się Emiko, jak hutniczy piec. Odtacza się od niej i siada.

Mieszkanie przenika delikatna bryza od morza, przynosząc ulgę. Anderson patrzy przez moskitiery na czerń miasta. Zakręcili już na noc dopływ metanu. Daleko widać parę rozbłysków w pływających osiedlach pod Thonburi, gdzie hodują ryby i pływają od jednego genhakowanego gatunku do następnego, ciągle walcząc o przetrwanie.

Ktoś wali w drzwi. Uporczywie.

Powieki Emiko unoszą się raptownie. Siada.

— Co to?

— Ktoś za drzwiami.

Zaczyna wyłazić z łóżka, lecz ona go chwytą, wbijając mu w ramię połamane paznokcie.

— Nie otwieraj ! — szepcze. Skórę ma bladą w świetle księżyca, oczy wielkie i przerażone. — Proszę.

Walenie w drzwi wzmagą się, przechodzi w nieustające łomotanie.

— Czemu?

— Ja... — Waha się. — To białe koszule.

— Co? — Andersonowi staje serce. — Śledzili cię? Czemu? Co się z tobą stało?

Kręci żałośnie głową. On wpatruje się w nią, zastanawiając się, co to za zwierzę wtargnęło w jego życie.

— Co się właściwie stało wieczorem?

Nie odpowiada. Nadal wbija wzrok w drzwi, a łomot nie ustaje. Anderson wstaje z łóżka i podbiega do drzwi. Krzyczy:

— Moment! Tylko się ubiorę!

— Anderson! — Głos z drugiej strony należy do Carlyle'a. — Otwieraj ! To ważne!

Anderson odwraca się i patrzy znacząco na Emiko.

— To nie białe koszule. Teraz się schowaj.

— Nie? — Przez chwilę na jej twarzy maluje się ulga. Znika jednak niemal równie szybko. Kręci głową: — Mylisz się.

Anderson wbija w nią wzrok.

— To z białymi koszulami się szarpałaś? Stąd masz te skaleczenia?

Kręci głową, ale nic nie mówi, zwija się tylko w załęcznioną kulkę.

— Jezus i Noe. — Anderson podchodzi do szafy, wyciąga ubrania, rzuca jej, prezenty, które jej kupił, świadectwo

zauroczenia. — Może i jesteś gotowa, żeby się ujawnić, ale ja nie jestem gotowy na ruinę. Ubieraj się. I chowaj do szafy.

Ona znów kręci głową. Anderson próbuje opanować głos, mówić rozsądnie. Jak groch o ścianę. Klęka, bierze ją za brodę, odwraca twarz ku sobie.

— To mój wspólnik od interesów. Nie chodzi o ciebie. Ale i tak masz się schować, dopóki sobie nie pójdzie. Rozumiesz? Musisz się schować, tylko na chwilę. Dopóki nie pójdzie. Nie chcę, żeby widział nas razem, to może dać mu przewagę.

Jej spojrzenie powoli się ogniskuje. Z oczu znika wyraz zahipnotyzowanego fatalizmu. Carlyle znów łomocze w drzwi. Emiko zerka na nie i z powrotem na Andersona.

— To białe koszule — szepcze. — Mnóstwo. Słyszę ich. — Nagle bierze się w garść. — To będą białe koszule. Chowanie się nic nie da.

Anderson ma ochotę wrzasnąć na nią.

— To nie białe koszule.

Łomot nie ustaje.

— Anderson, kurwa, otwieraj !

— Jeszcze chwilę! — odkrzykuje. Wciąga spodnie, patrząc na nią groźnie. — To nie są żadne, kurna, białe koszule. Carlyle prędzej poderżnąłby sobie gardło, niż włożył do łóżka z białymi koszulami.

Głos Carlyle'a niesie się echem przez drzwi:

— Pośpiesz się, kurwa!

— Już idę! — Odwraca się do niej, rozkazuje. — Chowaj się. I to już. — To nie prośba, ale rozkaz, angażujący jej genetyczne dziedzictwo i tresurę.

Jej ciało nieruchomieje, po czym Emiko nagle się ożywia. Kiwa głową.

— Tak. Zrobię jak mówisz.

Już się ubiera. Szarpane ruchy są szybkie, prawie się rozmazują. Skóra jej połyskuje, kiedy wkłada bluzkę i luźne spodnie. Nagle robi się szokująco szybka. Ruchy nabierają płynności, dziwnej i niespodziewanej gracji.

— To nic nie da, że się schowam — mówi i biegnie na balkon.

— Co robisz?

Odwraca się, uśmiecha do niego, jakby już miała coś powiedzieć, ale nie — nurkuje za balustradę i znika w ciemności.

— Emiko! — Anderson pędzi na balkon.

Pod nim nic się nie dzieje. Nikogo — ani krzyku, ani uderzenia, ani wrzasków z ulicy, że ktoś rozbił się o bruk. Nic. Tylko pustka. Jakby noc kompletnie ją pochłonęła. Znowu rozlega się łomotanie w drzwi.

Serce dudni mu w piersi. Gdzie ona jest? Jak to zrobiła? To nienaturalne. Pod koniec była taka szybka i zdeterminowana. W sekundę znalazła się na balkonie, w następnej już jej nie było, przeskoczyła. Spogląda w mrok. Nie dałaby rady przeskoczyć na sąsiedni balkon, a jednak... Spadła? Zabiła się?

Drzwi wylatują z zawiasów. Anderson się odwraca. Do pokoju wpada, potykając się, Carlyle.

— Co jest, kur...?

Za Carlyle'em do mieszkania wskakują Czarne Pantery, odpychając go na bok. W półmroku połyskują bojowe pancerze, wojskowe cienie. Jeden z żołnierzy łapie Andersona, okręca go i ciska na ścianę. Dłonie obszukują go. Kiedy się szarpie, wbijają mu twarz w ścianę. Wbiegają kolejni. Roztrzaskują się kopnięte drzwi. Wokół rozlega się tupot buciorów. Cała lawina ludzi. Pęka szkło. Tłuką się naczynia w kuchni.

Anderson wykręca szyję, próbując dojrzeć, co się dzieje. Dłoń chwyta go za włosy i wali twarzą o ścianę. W ustach czuje

ból i smak krwi. Ugryzł się w język.

— Co wy, kurwa, robicie? Wiecie, kim ja jestem?

Traci dech, gdy na podłodze obok niego ląduje Carlyle. Widzi teraz, że jest związany. Twarz usiana siniakami. Jedno oko opuchnięte, zamknięte, czarny, krwawy strup na łuku brwiowym. Brązowe włosy sklezione krwią.

— Jezu.

Żołnierze wykręcają mu ręce do tyłu i krępują. Łapią za włosy i odwracają. Jeden krzyczy coś do niego, tak szybko, że Anderson nic nie rozumie. Jest rozjuszony, ma wytrzeszczone oczy, opryskuje go śliną. W końcu Anderson rozpoznaje słowa „trzęsiłapa”.

— Gdzie nakręcanka? Gdzie ona? Gdzie?

Pantery rozwalają mu mieszkanie. Kolby rozbijają otwarte zamki i drzwiczki. Ogromne czarne mastiffy-nakręcańce wdzierają się do środka, śliniąc się i warcząc, węszą wszędzie, wyją, łapiąc trop ofiary. Ktoś znów krzyczy na niego, jakiś dowódca, czy coś.

— Co się dzieje? — pyta znów Anderson. — Mam znajomych...

— Nie za wielu.

Przez drzwi wkracza Akkarat.

— Akkarat! — Anderson próbuje się odwrócić, ale Pantery znów ciskają nim o ścianę. — O co chodzi?

— Ciebie pytam: o co chodzi?!

Wydaje po tajsku rozkaz ludziom przetrząsającym mieszkanie. Anderson zamyka oczy, czując desperacką wdzięczność, że nakręcanka nie schowała się w szafie, jak prosił. Gdyby znaleźli go z nią, dowiedzieli się...

Jedna z Panter wraca, niosąc sprężynowiec Andersona.

Akkarat krzywi się z niesmakiem.

— Masz pozwolenie na broń?

— Robimy rewolucję, a ty pytasz o jakieś pozwolenia?

Akkarat kiwa na swoich ludzi. Anderson znów ląduje na ścianie. Czaszka eksploduje bólem. Pokój ciemnieje, gną się kolana. Chwieje się, ledwo trzyma się na nogach.

— Co się, kurwa, dzieje?

Akkarat każe sobie podać pistolet. Bierze go, machinalnie pompuje, ciężki, tępy, wielki przedmiot w jego garści.

— Gdzie nakręcanka?

Anderson spluwa krwią.

— A co ci do tego? Nie jesteś białą koszulą ani grahamitą?

Pantery znów ciskają nim o ścianę. W polu widzenia Andersona pływają kolorowe plamki.

— Skąd wziąłeś tę nakręcankę? — pyta Akkarat.

— Jest japońska! Pewnie z Kyoto!

Akkarat przykłada mu pistolet do głowy.

— Jak ją tu przemyciłeś?

— Co takiego?

Akkarat wali go kolbą pistoletu. Świat ciemnieje...

...woda leje mu się na twarz. Anderson dławi się, prychnął. Siedzi na podłodze. Akkarat przyciska mu lufę do gardła, ciągnie, stawiając go na nogi, potem zmuszając do balansowania na palcach. Anderson dusi się pod naciskiem.

— Jak przemyciłeś nakręcankę do tego kraju? — powtarza Akkarat.

Oczy pieką go od potu i krwi. Anderson mruga i kręci głową.

— Nigdzie jej nie przemyciłem. — Znów spluwa krwią. — Japończycy ją tu zostawili. Skąd miałbym wytrzasnąć nakręcankę?

Akkarat uśmiecha się, mówi coś do swoich ludzi.

— Japończycy zostawili wojskową nakręcankę? — Kręci głową. — Nie wydaje mi się.

Wali Andersona kolbą pistoletu po żebrach. Raz. Drugi. Łamie po jednym z każdej strony. Anderson wyje i zgina się w pół, kaszle, kuli się. Akkarat prostuje go siłą.

— Po co ci wojskowa nakręcanka w naszym Mieście Bóstw?

— Żadna wojskowa. Była sekretarką... taką tylko...

Mina Akkarata się nie zmienia. Okręca Andersona i wali jego twarzą o ścianę. Zgrzytają kości. Chyba łamie mu szczękę. Czuje dłonie Akkarata, szarpiące go za palce. Próbuje zacisnąć pięść, jęcząc, wiedząc, co będzie, lecz Akkarat ma silne ręce, rozwiera mu dłonie siłą. Anderson przez chwilę czuje ciarki z bezradności.

Palec wygina się w uścisku Akkarata. Trzaska.

Anderson wrzeszczy w ścianę, Akkarat podtrzymuje go.

Gdy ma już dość dygotania i pojękiwania, Akkarat łapie go za włosy i odchyła głowę, żeby mogli sobie spojrzeć w oczy. Ma spokojny głos.

— Jest wojskowa, jest zabójcą, i to ty poznałeś ją z Somdetem Chaoprayą. Gdzie ona jest?

— Zabójcą? — Anderson potrząsa głową, próbując pomyśleć przytomnie. — Ale to takie nic! Śmieć, ktoś z Mishimoto ją zostawił. Japoński śmieć...

— W jednej sprawie Ministerstwo Środowiska miało rację. Nie wierzyć wam, AgriGenowcom, jak psom. Twierdzicie, że nakręcanka to tylko taka zabawka dla przyjemności i akurat przypadkiem zapoznacie z nią Opiekuna Królowej. — Nachyla się, w oczach ma wściekłość. — Równie dobrze mogliście zabić rodzinę królewską.

— Ale to niemożliwe! — Anderson nawet nie próbuje opanować hysterii w głosie. Złamany palec dygocze, krew znów napływa do ust. — To taki śmieć. Nie dałaby rady zrobić czegoś takiego. Musicie mi uwierzyć.

— Zabiła trzech ludzi i ich ochroniarzy. Ośmiu wyszkolonych ludzi. Dowody są niezbite.

Sam z siebie wspomina skuloną na progu Emiko, całą we krwi. Ośmiu ludzi? Przypomina sobie, jak zniknęła na balkonie, zanurkowała w ciemność jak jakiś duch. A jeśli mają rację?

— Musi być inne wytłumaczenie. To tylko cholerna nakręcanka. One potrafią tylko być posłuszne.

Emiko w łóżku, skulona. Szlochająca. Cała podrapana i pokaleczona.

Anderson nabiera powietrza, stara się wyrównać głos.

— Ależ proszę. Musisz mi uwierzyć. W życiu byśmy nie narazili wszystkiego na szwank. AgriGen nic nie zyskuje na śmierci Somdeta Chaoprayi. Nikt nie zyskuje. Ministerstwo Środowiska dostaje broń do ręki. Za dużo mogliśmy zyskać na dobrym porozumieniu.

— A jednak to ty przedstawiłeś mu morderczynię.

— Ale to jakiś obłąd. Jak ktoś miałby przemycić tutaj wojskową nakręcankę i tyle czasu trzymać ją w ukryciu? Ona tu jest od lat. Popytaj ludzi. Zobaczysz. Białe koszule dostawały w łapę i występowała u swojego papa-san od wielu lat...

Paple, ale widzi, że Akkarat nadstawia ucha. Z jego oczu zniknęła zimna wściekłość. Teraz jest w nich namysł. Anderson spluwa krwią i patrzy mu w oczy.

— Tak, ja go z nią poznałem. Ale tylko, żeby pokazać mu coś nowego. Wszyscy znają jego reputację. — Kuli się, widząc, jak twarz Akkarata wykrzywia nowa fala wściekłości. — Posłuchaj mnie. Przeprowadź śledztwo. Ustal, jak było. Zobaczysz, że to nie my. Musi być inne wytłumaczenie. Nie mieliśmy pojęcia... — Urywa ze znużeniem. — Przeprowadź śledztwo.

— Nie możemy. Sprawa jest w Ministerstwie Środowiska.

— Co? — Anderson nie potrafi ukryć zdziwienia. — Z jakiej okazji?

— Sprawa jest ich, przez nakręcankę. Jest gatunkiem-agresorem.

— I myślisz, że ja bym za tym stał? Kiedy to oni, kurna, prowadzą śledztwo?

Anderson rozważa wszystkie implikacje, szukając powodów, pretekstów, czegokolwiek, by kupić trochę czasu.

— Nie można im wierzyć. Pracha i jego ludzie... — Nie kończy. — Pracha by nas zrobił. Bez zastanowienia. Może zwęszył nasze plany, może to jest ruch przeciwko nam. A to taka przykrywka. Jakby wiedział, że Somdet Chaopraya jest przeciwko niemu...

— Nasze plany były tajne — mówi Akkarat.

— Nic nie jest tajne. Nie przy takiej skali. Może jeden z generałów coś wychlapał swojemu staremu znajomemu. I on zabił trzech z nas, a my oskarżamy się nawzajem.

Akkarat się zastanawia. Anderson czeka, wstrzymując oddech.

Wreszcie Akkarat kręci głową.

— Nie. Pracha nigdy nie podniósłby ręki na rodzinę królewską. Jest gównem wart, ale w końcu jest Tajem.

— Ale ja to też nie byłem! — Zerka w dół, na Carlyle'a. — Nie my! Musi być jakieś inne wytłumaczenie.

Zaczyna panicznie kaszleć, kaszel przeradza się w niekontrolowany spazm. W końcu ustaje. Bolą go żebra. Pluje krwią, zastanawia się, czy bijąc go, nie przebili mu płuca.

Unosi wzrok na Akkarata, starając się dobierać słowa. Żeby miały wartość. I brzmiały rozsądnie:

— Musi być sposób, żeby się dowiedzieć, co się naprawdę stało z Somdetem Chaoprayą. Jakies powiązanie. Wszystko jedno co.

Pantera nachyla się i szepcze coś Akkaratowi do ucha. Anderson ma wrażenie, że rozpoznaje go z przyjęcia na barce.

Jeden z ludzi Somdeta Chaoprayi. Ten groźny, o dzikiej twarzy i martwych oczach. Szepcze dalej. Akkarat kiwa stanowczo głową.

— *Khap*.

Każe swoim ludziom wepchnąć Andersona i Carlyle'a do sąsiedniego pokoju.

— No dobrze, *khun* Anderson. Zobaczmy, co się da ustalić.

— Ciskają go na podłogę obok Carlyle'a. — Czujcie się jak u siebie — mówi Akkarat. — Dałem swoim ludziom dwanaście godzin na dochodzenie. Módlcie się do swojego grahamickiego boga, żeby wasza wersja się potwierdziła.

Anderson czuje nową nadzieję.

— Dowiedz się, czego się da. Zobaczysz, że to nie my. Przekonasz się. — Oblizuje rozbitą wargę. — Ta nakręcanka to tylko taka japońska zabawka. Ktoś inny jest za to odpowiedzialny. Białe koszule po prostu próbują nas skłócić. Stawiam dziesięć do jednego, że to ruch białych koszul przeciwko nam.

— Się okaże.

Anderson pozwala głowie opaść ku ścianie, pod skórą buzuje mu adrenalina. Ręka dygocze. Złamany palec zwisa beużytecznie. Czas. Kupił trochę czasu. Teraz trzeba tylko czekać. Znaleźć coś innego, chwycić się tego, żeby przeżyć. Znowu kaszle, krzywiąc się od bólu żeber.

Carlyle jęczy, ale nie odzyskuje przytomności. Anderson kaszle jeszcze raz i wbija wzrok w ścianę, zbierając siły do kolejnej rundy konfliktu z Akkaratem. Jednakże, kiedy rozważa wszystkie aspekty, próbując zrozumieć, dlaczego sytuacja się tak gwałtownie zmieniła, uparczywie powraca doń jeden obraz. Widok biegnącej na balkon i wyskakującej w mrok nakręcanki, szybszej niż wszystko, co w życiu widział, jak zjawia — sam ruch

i dziki wdzięk. Szybkość i płynność. Przerazająco piękna, kiedy porusza się tak szybko.

XXXII

Wokół Kanyi kłębi się dym. Wykryto jeszcze cztery ofiary, oprócz tych, które wcześniej znaleźli w szpitalach. Choroba mutuje szybciej niż się spodziewała. Gi Bu Sen sugerował, że to możliwe, ale liczba trupów budzi w niej złe przecucia.

Pai idzie wzdłuż brzegu stawu rybnego. Wrzucili do niego ług i chlor, całe wory. Wokół unoszą się gryzące chmury, zmuszając wszystkich do kaszlu. Tak śmierdzi strach.

Wspomina zasypywanie innych stawów, innych ludzi zбитych w gromadkę, podczas gdy po wsi wędrują białe koszule i pała, pała, pała. Zamyka oczy. Jakże wtedy ich nienawidziła. Dlatego, kiedy miejscowy *jaopor* zobaczył, że jest bystra i ambitna, wysłał ją do stolicy z poleceniem: zgłoś się na ochotnika do białych koszul, pracuj dla nich, wkradnij się w ich łaski. Wiejski ojciec chrzestny, pracujący ręką w rękę z wrogami białych koszul. Knującej zemstę za uzurpację swojej władzy.

Dziesiątki innych dzieci też poszły na południe, żeby zebrać pod drzwiami Ministerstwa, wszystkie z takimi samymi wskazówkami. Z tych, które przyszły razem z nią, tylko ona doszła tak wysoko, ale wie, że po całej strukturze rozsiani są jeszcze inni. Inne zgorzkniałe lojalne dzieci.

— Wybaczam ci — mruczy Jaidee.

Kanya kręci głową i nie zwraca na niego uwagi. Macha na Paia, dając znać, że stawy są gotowe do zasypiania. Jeśli im się poszczęści, wioska przestanie istnieć. Jej ludzie pracują gorliwie, chcą szybko sobie stąd pójść. Wszyscy mają maski i kombinezony, ale w bezlitosnym upale to raczej tortura niż ochrona.

Kolejne chmury gryzącego dymu. Miejscowi płaczą. Mała Mai wpatruje się w Kanyę, twarz ma bez wyrazu. To w jej życiu chwila kształtująca osobowość. Utknie w jej pamięci, jak oś w gardle; nigdy się od niej nie uwolni.

Kanya całym sercem jest z nią. Gdybyś tylko rozumiała. To jednak jest niemożliwe — by ktoś tak mały pojął szarą brutalność życia.

Gdybym tak ja mogła to wtedy zrozumieć.

— Pani kapitan!

Odwraca się. Jakiś człowiek schodzi z wałów, potyka się w błocie pól ryżowych, człapie pomiędzy zielonymi jak klejnoty pędami. Pai unosi z zainteresowaniem głowę, ale Kanya macha nań ręką. Poślaniec dociera zadyszany.

— Uśmiechy Buddy dla pani i Ministerstwa. — Staje w wyczekującej pozycji.

— Teraz? — Kanya wytrzeszcza nań oczy. Ogląda się na płonąca wioskę. — Teraz mam iść?

Młody chłopak rozgląda się nerwowo, zaskoczony reakcją. Kanya macha niecierpliwie ręką.

— Powiedz jeszcze raz. Teraz?

— Uśmiechy Buddy dla pani i Ministerstwa. Wszystkie drogi zaczynają się w sercu Krung Thep. Wszystkie drogi.

Kanya krzywi się i przywołuje porucznika.

— Pai! Muszę iść.

— Teraz? — Podchodząc do niej, opanowuje zdziwienie.

Kanya kiwa głową.

— Nie da rady nie pójść.

— A co z miej scowymi?

— Niech tu siedzą kamieniem. Ściągnij dla nich żywność. Jeśli nikt więcej w tym tygodniu nie zachoruje, to może będzie koniec.

— Myślisz, że będziemy mieć tyle szczęścia?

Kanya zmusza się do uśmiechu, pomyślawszy, jakie to nienaturalne — dodawać otuchy komuś o takim doświadczeniu, jak Pai.

— Można mieć nadzieję. — Kiwa na chłopca. — No to jedziemy. — Ogląda się na Paia. — Jak skończysz tutaj, przyjdź do mnie do Ministerstwa. Zostało jeszcze jedno miejsce do spalania.

— Fabryka *faranga*?

Kanya niemal uśmiecha się, widząc tę jego gorliwość.

— Nie możemy zostawić nieoczyszczonego samego źródła. Przecież na tym polega nasza praca.

— Jesteś nowym Tygrysem! — wykrzykuje Pai. Poklepuje ją po plecach, a potem przypomina sobie swój stopień, przepraszająco składa dłonie w *wai* i pędzi kończyć niszczenie wioski.

— Nowy Tygrys — mruczy Jaidee obok niej. — Nieźle, Kanya.

— Wszystko przez ciebie. Tak ich wyszkoliłeś, że potrzebują radykała.

— I dlatego wybrali ciebie?

Kanya wzdycha.

— Wygląda na to, że wystarczy mieć w ręku zapaloną pochodnię.

Jaidee parska śmiechem.

* * *

Za wałami czeka na nią sprężynowy skuter. Chłopak wsiada, czeka aż wgramoli się na siodelko za niego i ruszają ulicami miasta, lawirując między megodontami i rowerami. Trąbi mały pneumatyczny klaksonik. Miasto ucieka w tył, rozmazując się. Handlarze ryb, ubrań, sprzedawcy amuletów z ich Phra

Seubami, z których tak się nabijał Jaidee, a który Kanya w tajemnicy sama nosi, na cienkim łańcuszku na sercu.

— Zbyt wielu bogom się podlizujesz — zauważył Jaidee, kiedy dotknęła go przed opuszczeniem wioski.

Puściła drwinę mimo uszu i nadal szeptała modlitwy do Phra Seuba, licząc na jego wstawiennictwo i wiedząc jednocześnie, że na nie nie zasługuje.

Skuter zakręca poślizgiem i staje, Kanya zeskakuje. W świecie brzasku połyskuje złoty azur świątyni miejskiej kolumny. Wokół kobiety handlują aksamitkami na ofiary. Śpiew mnichów niesie się nad pobielonymi ścianami, razem z muzyką do tańców *khon*. Chłopiec zniknął, nim zdążyła mu podziękować. Jeden z wielu, którzy są winni Akkaratowi przysługę. Pewnie podarował mu ten skuter za cenę lojalności.

— I co będziesz z tego mieć, moja Kanyo? — pyta Jaidee.

— Wiesz co — mruczy Kanya. — Będę mieć to, co przysięgałam, że dostanę.

— A dalej tego chcesz?

Nie odpowiada, wchodzi przez niskie drzwi do świątyni. Nawet o świcie tłoczno tu od wiernych, ludzie klęczą przed posągami Buddy i ołtarzykiem Phra Seuba, drugim co do ważności po tym w Ministerstwie. Teren świątyni roi się od ludzi składających kwiaty, owoce, wróżących sobie z różdżek — a ponad tym wszystkich śpiewają mnisi, broniący miasta swymi modlitwami, amuletami i girlandami *saisin* ciągnącymi się od świątyni ku wałom i pompom. Święty sznur faluje w szarym świetle, unosi się na słupach ponad ulicami, ciągnie się kilometrami z tego świętego centrum ku pompom, a potem okrąża wały. Śpiew mnichów to miarowe buczenie, chroniące Miasto Bóstw przed pochłonięciem przez fale.

Kanya kupuje sobie kadzidło i odrobinę jedzenia, wchodzi z nim w chłodny półmrok świątyni z kolumną, schodzi po

marmurowych stopniach. Klęka przed kolumną dawnego, zniszczonego miasta Ayutthaya, potem przed większą — Bangkoku. To stąd mierzy się wszystkie odległości. Serce Krung Thep, dom chroniących go duchów. Gdyby stanęła w drzwiach świątyni i obejrzała się ku wałom, zobaczyłaby, jak się wznoszą. Od razu widać, że siedzą tu jak w głębokiej wannie. Zagrożeni ze wszystkich stron. Ta świątynia... zapala kadzidło i oddaje cześć.

— Nie czujesz się hipokrytką, przychodząc tutaj, akurat tutaj, na gwizdnięcie Handlu?

— Zamknij się, Jaidee.

Jaidee klęka obok niej.

— No, chociaż dobre owoce przyniosłaś.

— Zamknij się.

Chciałaby się pomodlić, ale kiedy nęka ją Jaidee, nie ma to sensu. Po kolejnej minucie poddaje się i wychodzi z powrotem w coraz jaśniejszy dzień i coraz większy skwar. Narong stoi, opiera się o słup, patrzy na tancerzy *khon*. Bębny łomocą, tancerze wykonują stylizowane obroty, wysokie, ostre głosy konkurują z mamrotaniem ustawionych w szeregu mnichów. Kanya dołącza do niego.

Narong podnosi rękę.

— Zaczekaj, aż skończą.

Powstrzymując irytację, znajduje sobie miejsce, siada, patrzy na odgrywaną historię Ramy. W końcu Narong kiwa usatysfakcjonowany głową.

— Dobrze, nie? — Przechyliła głowę w stronę głównej kolumny.

— Złożyłaś ofiary?

— A co ci do tego?

W świątyni roi się od innych białych koszul. Składają własne ofiary. Proszą o awanse na lepiej płatne stanowiska. Proszą o sukcesy w prowadzonych sprawach. O obronę przed

chorobami, z którymi codziennie się stykają. Z natury rzeczy, to świątynia dedykowana Ministerstwu Środowiska, prawie tak dla nich ważna jak świątynia Phra Seuba, męczennika zróżnicowania biologicznego. Denerwuje się, że musi rozmawiać z Narongiem na oczach ich wszystkich, on natomiast w ogóle się tym nie przejmuje.

— Wszyscy kochamy to miasto — mówi. — Nawet Akkarat nie zawiedzie w jego obronie.

Kanya się krzywi.

— Czego ode mnie chcesz?

— Jaka niecierpliwa. Chodź, przejdziemy się.

Patrzy nań wrogo. Narongowi wyraźnie nigdzie się nie śpieszy, a wezwał ją jak w nagłej sprawie. Tłumi wściekłość i mruczy:

— Wiesz, co mi przerwałś?

— Powiesz mi na spacerze.

— Mam pięciu zmarłych z jednej wioski i jeszcze nie wyizolowaliśmy przyczyny.

Ogląda się na nią, z zainteresowaniem.

— Jakaś nowa cibiskoza? — Wyprowadza ją z terenu świątyni, obok sprzedawczyń aksamitek. Idzie dalej.

— Nie wiemy. — Opanowuje frustrację. — A ty mi przerywasz pracę, pewnie, fajnie, że przybiegam jak pies na każde gwizdnięcie, ale...

— Mamy problem — przerywa Narong. — Ta twoja wioska wydaje ci się ważna, ale przy tym jest niczym. Zginęła pewna osoba. Bardzo ważna osoba. Trzeba, żebyś pomogła w śledztwie.

Parska śmiechem.

— Nie jestem z policji...

— To nie sprawa dla policji. Zamieszana jest nakręcanka.

Kanya staje jak wryta.

— Że co?

— Ona zabiła. Podejrzewamy, że jest z sił inwazyjnych. Wojskowa nakręcanka. Trzęsiłapa.

— Jak to możliwe?

— Właśnie tego chcielibyśmy się dowiedzieć. — Narong patrzy na nią poważnie. — A nie możemy zadać pytania wprost, bo kontrolę nad śledztwem przejął generał Pracha. Stwierdził, że to jego kompetencje, bo to nakręcanka. Nielegalne stworzenie. Zupełnie jakby chodziło o cheshire'a albo żółtą kartę. — Śmieje się gorzko. — Jesteśmy całkiem odcięci. Będziesz badać sprawę w naszym imieniu.

— Ciężko będzie. Ja przy tym nie siedzę. A Pracha nigdy nie...

— Ma do ciebie zaufanie.

— Zaufanie, że spełniam swoje obowiązki, to jedno, a wtrącanie się w inne sprawy, to drugie. — Wzrusza ramionami, odwraca się. — To niemożliwe.

— Nie! — Narong chwyta ją i obraca z powrotem. — To sprawa życia i śmierci! Musimy znać szczegóły!

Kanya okręca się, strącając rękę Naronga z ramienia.

— A czemu? Czemu to takie ważne? W całym Bangkoku codziennie giną ludzie. Znajdujemy trupy tak często, że nie nadążamy pakować ich do kompostowników. Czemu ten jeden jest taki ważny, że mam się skonfliktować z generałem?

Narong przyciąga ją bliżej.

— Bo to Somdet Chaopraya. Straciliśmy Opiekuna Jej Królewskiej Mości.

Pod Kanyą uginają się kolana. Narong prostuje ją, nie przestając mówić. Cały czas uparcie nalega.

— Polityka bardzo się zbrutalizowała od czasów kiedy zaczynałem. — Na twarzy ma uśmiech, lecz Kanya widzi teraz skumulowany pod nim gniew. — Dobra z ciebie dziewczyna,

Kanya. My zawsze dotrzymywaliśmy naszych warunków. Ale właśnie dlatego tu jesteś. Wiem, że to trudna sprawa. Swoim przełożonym w Ministerstwie Środowiska też jesteś winna lojalność. Modlisz się do Phra Seuba. Dobrze. Powinnaś. Ale potrzebujemy twojej pomocy. Nawet jeśli już nie podoba ci się Akkarat, Pałac jej potrzebuje.

— Czego chcecie?

— Musimy wiedzieć, czy to zrobił Pracha. Strasznie szybko przejął śledztwo. Musimy wiedzieć, czy to on wbił nóż. Od tego zależy bezpieczeństwo twojego protektora i całego Pałacu. To bardzo możliwe, że Pracha chce coś ukryć. Może to któryś z jego sojuszników z dwunastego grudnia zadał nam cios.

— To niemożliwe...

— Zbyt wygodny przypadek. Całkiem nas odcięto, bo zabójstwa dokonała nakręcanka. — W jego głosie nagle zaczynają dzwierać emocje. — Musimy wiedzieć, czy tę nakręcankę podłożyło twoje Ministerstwo. — Wręcza jej zwitek banknotów.

Kanya wytrzeszcza oczy, zdumiona kwotą.

— Masz przekupić każdego, kto będzie stwarzał problemy — mówi Narong.

Kobieta otrząsa się z paraliżu, bierze pieniądze i wkłada je do kieszeni. Narong dotyka jej delikatnie.

— Bardzo cię przepraszam, Kanya. Mam tylko ciebie. Mój los zależy od tego, czy znajdziesz naszych wrogów i ich zniszczysz.

* * *

W wieżowcu Ploenchit panuje w środku dnia obezwładniająca upała. Śledczy tłoczą się w mrocznych pomieszczeniach klubu, ogrzewając powietrze jeszcze bardziej. Ohydne miejsce na śmierć. Siedlisko głodu, desperacji i niezaspokojonych

apetytów. W korytarzach tłoczą się pracownicy pałacu. Patrzą, naradzają się, organizują zabranie zwłok Somdeta Chaoprayi, żeby umieścić je w urnie, czekają na wyniki prac ludzi Prachy. W tym upokarzającym i przerażającym momencie w powietrzu wisi niepokój i złość, grzeczność jest spiłowana na ostrze cienkie jak włos. W pomieszczeniach panuje klimat jak tuż przed monsunem, naelektryzowany energią, ciężki od niosącego nieznanego mroku skłębionych chmur.

Pierwsze ciało leży na podłodze przed wejściem, stary *farang*, surrealistyczny i obcy. Prawie nie ma fizycznych obrażeń, poza siniakiem na zmiażdżonym gardle, fioletową torturą zadaną jego tchawicy. Leży rozciągnięty przed barem, plamisty jak trup wyciągnięty z rzeki. Jakiś stary gangster, w sam raz do karmienia ryb. Patrzy na nią szerokimi błękitnymi oczyma jak dwa martwe morza. Kanya bez słowa przygląda się obrażeniom, potem pozwala sekretarzowi generała Prachy wprowadzić się do wewnętrznej salki.

Aż się zachłystuje. Wszystko jest pochłapane krwią, ogromne zawijasy na ścianach ściekają na podłogę. Ciała leżą na kupie, splątane. A między nimi Somdet Chaopraya, gardło ma nie zmiażdżone, jak stary *farang*, ale dosłownie rozprute, jak od ataku tygrysa. Ochroniarze leżą martwi, jednemu sterczy z oka dysk ze sprężynowca, inni nadal trzymają broń, ale są cali najeżeni dyskami.

— *Kot rai* - szepcze Kanya. Waha się, niepewna, co zrobić w obliczu tak ohydnej śmierci. Po krwawej pianie łążą koziorogi. Skaczą i biegają po wszystkim, zostawiając ślady z krzepnącej krwi.

Pracha jest w sali, rozmawia z podwładnymi. Unosi wzrok, słysząc jej pełne przerażenia zachłysłenie. Reszta też ma zszokowane miny, na twarzach migocze niepokój i zakłopotanie. Kanya czuje mdłości na samą myśl, że Pracha mogłaby zorganizować taką rzeźnię. Somdet Chaopraya nie był

przyjacielem Ministerstwa Środowiska, ale od potworności tego aktu robi jej się niedobrze. Co innego knuć zamachy i kontrzamachy, co innego podnosić rękę na Pałac. Czuje się jak tonący w powodziowym nurcie liść bambusa.

Każdy musi odejść, powtarza sobie. Nawet najbogatsi i najpotężniejsi stają się w końcu mięsem dla cheshire'ów. Jesteśmy tylko chodzącymi trupami, szaleństwem jest o tym zapominać. Medytuj nad naturą trupów, a dojdiesz do tego.

Jednakże wciąż jest podenerwowana, bliska paniki od widoku śmierci tej niemal boskiej osoby. Generale, coś ty zrobił? To jest tak straszne, że nie mieści się w głowie. Powodziowy nurt grozi, że ją wciągnie.

— Kanya? — Pracha przyzywa ją do siebie.

Kanya szuka w jego twarzy oznak winy, dostrzega jednak tylko niezrozumienie.

— Co ty tu robisz?

— Ja... — Ma przygotowane słowa. Tłumaczenia. Zawodzą ją jednak w obliczu rozrzuconych po sali zwłok Opiekuna Królowej i jego świty.

Pracha wie dzie wzrokiem za jej spojrzeniem, ku trupowi Opiekuna. Głos mu łagodnieje. Delikatnie dotyka jej ramienia.

— Chodź. To za wiele. — Wyprowadza ją.

— Ja...

Pracha kręci głową.

— Już słyszałaś. — Wzdycha. — Zanim minie dzień, rozniesie się po całym mieście.

Kanya odzyskuje głos, wygłasza kłamstwo, odgrywa rolę, którą przygotował jej Narong:

— Myślałam, że to nieprawda.

— Jeszcze gorzej. — Pracha kręci ponuro głową. — To zrobiła nakręcanka.

Kanya zmusza się do okazania zdumienia. Ogląda się na krwawą jatkę.

— Nakręcanka? Jedna? — Wodzi wzrokiem po ścianach usianych powbijanymi dyskami ze sprężynowców. W jednym z trupów rozpoznaje wysokiego urzędnika z Ministerstwa Handlu, syna drugorzędnego patriarchy. Inny pochodzi z klanu fabrykantów z Chaozhou, rozpisywała się o nim prasa biznesowa. Same twarze z szeptanek. Same grube ryby, wielkie tygrysy. — To straszne.

— Aż niemożliwe, prawda? Sześciu ochroniarzy. Do tego trzech ludzi. I tylko jedna nakręcanka, jeśli wierzyć świadkom. — Pracha kręci głową. — Nawet cibiskoza zabija czyściej.

Szyja Jego Eminencji jest całkiem rozpruta, złamana i rozdarta, tak, że kręgosłup, choć wciąż się trzyma, wygląda raczej jak zawias niż wspornik.

— Jakby rozdarł go demon.

— A w każdym razie jakieś zwierzę. Te wojskowe genhakowane stwory tak robią. Widywaliśmy takie rzeczy na północy, w strefie działań Wietnamu. Używają japońskich nakręcańców jako zwiadowców i grup uderzeniowych. Nasze szczęście, że mało ich mają. — Patrzy poważnie na Kanyę. — To się nieźle na nas odbije. Handel powie, że zawiedliśmy. Że wpuściliśmy to zwierzę do kraju. Postarają się to wykorzystać, sięgnąć po większą władzę. — Jego mina staje się ponura. — Musimy się dowiedzieć, skąd się tu wzięła ta nakręcanka. Czy Akkarat nas wrobił, użył Opiekuna jako pionka, żeby rozszerzyć swoją władzę.

— Przecież nigdy by...

Pracha robi lekceważącą minę.

— Polityka jest brudna. Mali ludzie posuną się do wszystkiego, żeby zagarnąć wielką władzę. Zdaje się, że Akkarat tu wcześniej był. Parę osób z personelu chyba

rozpoznaje jego zdjęcie, jakby pamięta... — Wzrusza ramionami. — Ale oczywiście wszyscy się boją. Nikt nie chce powiedzieć za dużo. Wygląda jednak na to, że to Akkarat i jego kumpel *farang*, jakiś handlarz, zapoznali Somdeta Chaoprayę z tą trzęsiłapą.

Rozgrywa mnie? Wie, że pracuję dla Akkarata? Kanya tłumi strach. Gdyby wiedział, nigdy nie awansowałby mnie do stopnia Jaideego.

Jaidee szepcze jej do ucha:

— Nie wiadomo. Lepszy wąż w norze, niż skradający się przez dżunglę. Przynajmniej zawsze wiadomo, gdzie jesteś...

— Chcę, żebyś poszła do akt — mówi Pracha. — Nie chcemy, żeby ta informacja przypadkiem zniknęła, rozumiesz? Handel ma wśród nas swoich agentów. Zbierz wszystko co znajdziesz i przynieś do mnie. Dowiedz się, jak to możliwe, że tu mieszkała i przeżyła. Jak tylko to się rozniesie, będą próby tuszowania sprawy. Ludzie zaczną kłamać. Pozwolenia poznikają. Ktoś pozwalał tej nakręcance istnieć, wbrew naszemu prawu. To naraża dobre imię Ministerstwa. Ktoś brał w łapę. Ktoś pozwalał jej tu żyć. Chcę wiedzieć kto i chcę wiedzieć, czy jest na liście płac u Akkarata.

— Dlaczego ja?

Pracha uśmiecha się smutno.

— Tylko Jaideemu bardziej mógłbym zaufać.

— On cię wrabia — rzuca Jaidee. — Jeśli chce to wszystko zwalić na Handel, jesteś idealnym narzędziem. Wtyczką w Ministerstwie.

Na twarzy Prachy nie widać podstępny, ale to inteligentny człowiek. Ile wie?

— Znajdź dla mnie te informacje — mówi. — Przynieś prosto do mnie. I nikomu ani słowa.

— Tak zrobię — odpowiada.

W głębi duszy natomiast zastanawia się, czy te dokumenty w ogóle jeszcze istnieją. Tyle tu okazji do zarobku. Pewnie już wszystko jest potuszowane. Jeśli to naprawdę uknuty zamach na życie Opiekuna, musieli się opłacać wszystkim na wszystkich poziomach. Wzdryga się i zastanawia, kto mógł się pokusić o coś takiego. Polityczne morderstwa to jedno. Ale zadać taki cios Pałacowi... Wściekłość i frustracja grożą, że ją opanują. Tłumi je w sobie.

— Co już wiadomo o tej nakręcance?

— Utrzymała, że pozostawili ją Japońcy. Tutejsze dziewczyny mówią, że siedzi tu od lat.

Kanya krzywi się z obrzydzeniem.

— Aż trudno uwierzyć, że ktoś chciałby się zbrukać... — Urywa, łapiąc się na tym, że omal nie wyraziła się pogardliwie o Somdecie Chaoprayi. Ogarnia ją niezdrowe uczucie zmieszania i smutku. Pokrywa dyskomfort, zadając kolejne pytanie. — Skąd się wziął tutaj Opiekun?

— Wiemy tylko, że był z ludźmi z kręgów Akkarata.

— Będziecie przesłuchiwać Akkarata?

— Jakby się dało go znaleźć.

— Zniknął?

— A dziwisz się? Zawsze świetnie umiał się ukryć. Dlatego tyle razy udało mu się przeżyć. — Pracha się krzywi. — Całkiem jakby był cheshire'em. Nic w niego nie trafia. — Pracha patrzy na nią poważnie. — Musimy się dowiedzieć, kto przez tyle czasu pozwalał żyć tutaj tej nakręcance. Jak się dostała do miasta. Jak zorganizowano ten zamach. Działamy po omacku, a skoro tak, jesteśmy podatni na atak. Jeśli taka wiadomość się rozejdzie, wszystko zdestabilizuje.

Kanya składa dłonie w *wai*.

— Zrobię co w mojej mocy. — Choć Jaidee zagląda jej przez ramię i się naśmiewa. — Ale mogę potrzebować trochę więcej

informacji. Żeby wytropić, kto jest odpowiedzialny.

— Na początek wystarczy. Dowiedz się, skąd się wzięła nakręcanka. Kto brał łapówki. To muszę wiedzieć.

— I Akkarata, i tych *farangów*, co zapoznali Opiekuna z nakręcanką?

Pracha uśmiecha się nieznacznie.

— Tym ja się zajmę.

— Ale...

— Kanya, rozumiem, że chcesz zrobić więcej. Wszystkim nam zależy na bezpieczeństwie Pałacu i Królestwa. Ale musisz zabezpieczyć informacje o tym stworzeniu, te, które już są w naszym posiadaniu.

Kanya odpowiada, ważąc słowa.

— Tak. Oczywiście. Znajdę informacje o łapówkach. Czy trzeba też znaleźć kogoś, kto się pokaja?

Pracha się krzywi.

— Drobnym nieszkodliwym dochodzik z łapówek to jedna sprawa. To nie był tłusty rok dla Ministerstwa. Ale to? — Kręci głową.

— Pamiętam, jak nas szanowano — mruczy Kanya.

Pracha patrzy na nią.

— Naprawdę? Myślałem, że przysłaś długo po tym. — Wzdycha. — Nie bój się. Tym razem nie będzie tuszowania. Będą kary. Osobiście tego dopilnuję. Nie możesz wątpić w moje poświęcenie dla Królestwa i Jej Królewskiej Mości. Winni zostaną ukarani.

Kanya patrzy na zwłoki Opiekuna i obskurną salkę, w której skończył. Nakręcanka. Kurwa i nakręcanka. Próbuje opanować mdłości na tę myśl. Nakręcanka. Że ktoś chciał z taką... Potrząsa głową. Ohydztwo. I destabilizujące posunięcie. A teraz paru młodych ludzi będzie musiało za to zapłacić. Ten, kto brał w łapę w Ploenchit, może jeszcze paru innych.

Na ulicy macha na rowerową riksę. Kątem oka dostrzega stojące w szyku przed drzwiami pałacowe Pantery. Zbiera się tłum, przygląda się ciekawie. Parę godzin i plotka rozejdzie się po całym mieście.

— Do Ministerstwa Środowiska, najszybciej, jak dasz radę.

Macha riksarzowi przed nosem łapówką od Akkarata, zachęcając, żeby się przyłożył, ale nawet robiąc to, zastanawia się, w czym właściwie robi to imieniu.

XXXIII

W południe przyjeżdża wojskowa ciężarówka. Olbrzymia machina plująca spalinami, niesamowicie głośna, jak coś prosto z dawnej Ekspansji. Słyszać ją z daleka, ale nawet ostrzeżona w ten sposób, omal nie wykrzykuje, kiedy ją widzi. Taka szybka. I taka potwornie głośna. Kiedyś w Japonii widziała podobny pojazd. Gendo-sama wyjaśnił, że jest napędzany płynnym węglem. Czymś niezwykle brudnym i groźnym dla limitów węglowych, ale dającym niemal magiczną siłę. Jakby zaprząc tuzin megodontów. Idealne dla wojska, cywilom ani nie potrzeba takiej mocy, ani nie stać ich na podatek od czegoś takiego.

Kiedy staje, wokół wirują błękitne chmury spalin. Za nią pędzi mała flotylla sprężynowych skuterków, dosiadanych przez mężczyzn w czerni — pałacowe Pantery, i zieleni — Armia. Ludzie wysypują się z ciężarówki i pędzą do wejścia wieżowca, w którym mieszka Anderson-sama.

Emiko kuli się bardziej w swojej kryjówce w zaułku. Najpierw pomyślała, żeby uciec, ale nawet nie przeszła jednej przecznicy, gdy uświadomiła sobie, że nie ma dokąd iść. Anderson-sama był jedyną tratwą na wzburzonym oceanie.

Dlatego nadal trzyma się blisko i obserwuje to mrowisko, jakim jest jego wieżowiec. Próbuje zrozumieć. Wciąż jest zdumiona, że ci ludzie, którzy wdarli się przez drzwi, nie byli faktycznie białymi koszulami. Powinni być. W Kyoto policyjne psy tropiące już by ją znalazły i zostałyby ze współczuciem zlikwidowana. Nigdy nie słyszała, żeby Nowy Człowiek okazał się tak całkowicie nieposłuszny. A już na pewno, żeby urządził taką potworną rzeźnię i uciekł. Płonie ze wstydu i nienawiści

jednocześnie. Nie może tu zostać, a jednak jest oczywiste, że mieszkanie *gajjina*, choćby i splądrowane, jest ostatnim bezpiecznym miejscem. Miasto wokół jest wrogie.

Z wojskowej ciężarówki wyskakują kolejni ludzie. Emiko cofa się głębiej w uliczkę, kiedy podchodzą, spodziewając się, że rozszerzą pierścień poszukiwań, przygotowując się na impuls gorąca i ruchu przy ucieczce. Jeśli pobiegnie, zdąży dotrzeć do *khlongu* i schłodzić się przed dalszym biegiem.

Oni jednak ustawiają się tylko na głównych ulicach i wcale nie zamierzają jej szukać.

Kolejna kotłowanina. Pantery wywlekają dwóch ludzi w jutowych kapturach na głowach. Mają blade dłonie. Ewidentnie *gajjini*. Jeden z nich to Anderson-sama, myśli. Jego ubranie. Pchają go naprzód tak, że się potyka. Uderza w tył ciężarówki.

Klnąc, dwie Pantery wciągają go na górę i skuwają obok drugiego *gajjina*. Za nimi wsiada cały rój żołnierzy, otaczając ich.

Do krawężnika podejżdża limuzyna, mrużąc własnym węglowym dieslem. W porównaniu z rykiem wojskowej ciężarówki jest osobliwie cicha, ale spaliny są takie same. Pojazd bogacza. Niemal niewyobrażalne, że ktoś może być tak bogaty...

Emiko zapiera dech. To Minister Handlu Akkarat, ochroniarze ładują go do samochodu. Przechodnie przystają i wytrzeszczają oczy. Emiko gapi się razem z nimi. Później limuzyna rusza, a transporter razem z nią, rycząc potężnym silnikiem. Oba pojazdy pędzą ulicą, ciągnąc za sobą chmury dymu, i znikają za rogiem.

W pustkę wdziera się cisza, niemal namacalna po hałasie silnika. Słyszy, jak ludzie szepczą:

— Polityczne... Akkarat... *farang?*... generał Pracha...

Nawet przy jej doskonałym słuchu te słowa nie mają sensu. Patrzy za ciężarówką. Trochę determinacji i mogłaby ją dogonić... Porzuca ten pomysł. To niemożliwe. Wszystko jedno, gdzie zabrali Andersona-samę, ona się w to mieszać nie może. Wszystko jedno, w jakie polityczne tarapaty się wplątał, skończy się to wstrętnie, jak wszystkie tego typu konflikty.

Ciekawi ją, czy teraz, kiedy wszyscy sobie poszli, mogłaby przekraść się z powrotem do mieszkania. Pod wejściem do wieżowca dwóch ludzi zaczęło rozdawać wszystkim jakieś ulotki. Kolejnych dwóch przejeżdża na rowerze z platformą, wyładowaną stosami tych ulotek. Jeden zeskakuje i przykleja kartkę do słupa, potem z powrotem wsiada na powoli sunący rower.

Emiko rusza ku rowerowi, żeby wziąć ulotkę, lecz powstrzymuje ją ukłucie paranoi. Czeką, aż odjadą, potem nieufnie podchodzi do słupa, żeby zobaczyć, co tam przykleili. Porusza się ostrożnie, całą energię skupiając na naturalności ruchów, starając się nie zwracać zbędnej uwagi. Płynnie wciska się w gęstniejący tłumek, poszturkuje ich, wyciąga szyję, chcąc dojrzeć coś ponad morzem czarnych włosów i stojących na palcach ciał.

Rozchodzi się gniewny szmer. Ktoś szlocha. Jeden mężczyzna odwraca się, wytrzeszczone oczy pełne bólu i strachu. Przepycha się obok niej. Emiko wciska się w lukę. Szmer narasta. Emiko przeciska się dalej, powoli, powoli, ostrożnie... Traci dech.

Somdet Chaopraya. Opiekun Jej Królewskiej Mości. I jakieś słowa... Zmusza mózg do funkcjonowania, do tłumaczenia z tajskiego na japoński, a robiąc to, uświadamia sobie obecność wszystkich tych ludzi wokół, napierających na nią ze wszystkich stron — każdy z nich właśnie czyta o nakręcance, która ukrywa się między nimi, nakręcance-agentce

Ministerstwa Środowiska, która zamordowała Opiekuna Królowej. Śmiercionośne stworzenie.

Ludzie poszturchują ją, próbując dojrzeć tekst, przeciskają się; wszyscy myślą, że jest jedną z nich. Pozwalają jej żyć tylko dlatego, że jeszcze nie zauważyli.

XXXIV

— Siądziesz wreszcie? Denerwujesz mnie, kiedy tak chodzisz.

Hock Seng przestaje przemierzać swoją chałupkę. Mierzy wzrokiem Chana Śmieszka.

— To ja płacę za twoje kalorie, a nie na odwrót.

Chan Śmieszek wzrusza ramionami i wraca do gry w karty. Tłoczą się w tej klitce od kilku dni. Chan to sympatyczne towarzystwo, podobnie jak Pak Eng i Peter Kuok. Ale nawet najsympatyczniejsze towarzystwo...

Hock Seng kręci głową. Wszystko jedno. Nadchodzi burza. Krwawa łaźnia i chaos na horyzoncie. Takie samo przecucie miał przed Incydem, zanim ścięto mu syna, a córki zgwałcono do nieprzytomności. Siedział w samym środku szykującej się burzy, uparcie nieświadomy, powtarzając każdemu, kto chciał słuchać, że ludzie w K.L. nigdy nie pozwolą zrobić swoim szanowanym Chińczykom tego, co stało się w Jakarcie. W końcu, czyż nie są lojalni? Czy nie dzielą się dochodami? Czy nie ma znajomych na każdym poziomie władzy, którzy zapewniali go, że te Zielone Opaski to tylko takie polityczne wymachiwanie szabelką?

Burza szalała wokół niego, a on nie chciał przyjąć tego do wiadomości... ale nie tym razem. Tym razem jest przygotowany. Powietrze aż iskrzy od tego, co ma się stać. Widać to, odkąd białe koszule zamknęły fabryki. A teraz to wybuchnie. I tym razem jest przygotowany. Hock Seng uśmiecha się, rozgląda po swoim małym bunkrze z zapasami pieniędzy, drogich kamieni i jedzenia.

— Coś jeszcze mówili w radiu? — pyta.

Trzech mężczyzn zerka po sobie. Chan Śmieszek kiwa na Pak Enga.

— Twoja kolej nakręcić.

Pak Eng marszczy brwi i idzie do radia. Sporo kosztowało, Hock Seng żałuje teraz, że w ogóle je kupił. W slumsach są jeszcze inne radia, ale czając się wokół nich, zwraca się na siebie uwagę — dlatego wydał pieniądze na własne, niepewny, czy w ogóle da się z niego usłyszeć coś poza plotkami, a mimo to niezdolny odmówić sobie jeszcze jednego źródła informacji.

Pak Eng klęka obok maszynki i zaczyna ją nakręcać. Głośnik ożywa trzeszczeniem, niewiele głośniejszy od skrzypienia korbki.

— Wiecie co, jakby w tym czymś była porządna przekładnia, nakręcałoby się o wiele wydajniej.

Nikt nie zwraca na niego uwagi, wszyscy są skupieni na maleńkim głośniczku: muzyka, *saw duang*...

Hock Seng kuca przy radiu, nasłuchuje uważnie. Kręci gałką. Pak Eng zaczyna się pocić. Nakręca jeszcze przez trzydzieści sekund i przestaje, dysząc.

— No dobra. Na chwilę wystarczy.

Hock Seng manipuluje gałką, słuchając zwiastujących wiatrów fal radiowych. Nastawia kolejne stacje. Nic poza rozrywką. Muzyka. Chan Śmieszek unosi głowę.

— A która j est godzina?

— Jakaś czwarta? — Hock Seng wzrusza ramionami.

— To powinni dawać *muay thai*. Właśnie powinna trwać ceremonia otwarcia.

Wszyscy zerkają po sobie. Hock Seng przelatuje przez następne rozgłośnie. Tylko muzyka. Żadnych informacji. Nic... i nagle głos. Wypełnia wszystkie stacje, mówią jak jeden głos i jeden program. Wszyscy kucają wokół, słuchają.

— To chyba Akkarat. — Hock Seng się waha. — Zginął Somdet Chaopraya. Akkarat oskarża białe koszule. — Patrzy po nich wszystkich. — Zaczyna się.

Pak Eng i Chan Śmieszek patrzą na Hock Senga z szacunkiem.

— Miałeś rację.

Hock Seng kiwa niecierpliwie głową.

— Uczę się.

Zbiera się na burzę. Megodonty muszą iść na bitwę. Takie ich przeznaczenie. Podział władzy po ostatnim zamachu nie mógł być trwały. Giganci muszą się zetrzeć, jeden musi osiągnąć globalną dominację. Hock Seng mruży modlitwę do przodków — prosi o to, żeby wyjść cało z tego wiru. Chan Śmieszek wstaje.

— No to chyba będziemy musieli jednak zapracować na te pieniądze za ochronę.

Hock Seng kiwa poważnie głową.

— Dla kogoś, kto nie jest przygotowany, to nie będzie miłe.

Pak Eng zaczyna pompować swój sprężynowy pistolet.

— Penang mi się przypomina.

— Nie tym razem — mówi Hock Seng. — Tym razem jesteście gotowi. — Kiwa na nich. — Chodźcie. Trzeba dopilnować, czego się jeszcze...

Wszyscy prostują się, słysząc łomotanie do drzwi.

— Hock Seng! Hock Seng! — Histeryczny głos, znów łomotanie.

— To Lao Gu. — Hock Seng otwiera drzwi i do środka wpada Lao Gu.

— Zabrali pana Lake'a. Zabrali cudzoziemskiego diabła i wszystkich jego kumpli.

Hock Seng wytrzeszcza oczy na rikszarza.

— Białe koszule wystąpiły przeciw niemu?

— Nie. Ministerstwo Handlu. Widziałem, że robił to Akkarat we własnej osobie.

Hock Seng marszczy brwi.

— To się nie trzyma kupy.

Lao Gu wtyka mu w dłonie ulotkę.

— To ta nakręcanka. Ta, co ją sobie sprowadzał do mieszkania. Ona zabiła Somdeta Chaoprayę. Hock Seng czyta szybko. Kiwa głową.

— Pewien jesteś, z tą nakręcanką? Nasz cudzoziemski diabeł pracował z morderczynią?

— Wiem tyle, co napisali w szeptance, ale na pewno chodzi o tę trzęsiłapę, tak ją opisują.

Sprowadzał ją sobie z Ploenchit wiele razy. Nawet pozwalał jej spać u siebie.

— To jakiś problem? — pyta Chan Śmieszek.

— Nie. — Hock Seng kręci głową, pozwala sobie na uśmiech. Idzie, wykopuje spod materaca kółko z kluczami. — Raczej sposobność. Lepsza niż się spodziewałem. — Odwraca się do nich. — Jednak nie będziemy się tutaj chować.

— Nie?

Hock Seng szczyrzy zęby.

— Zanim wyjedziemy z miasta, musimy jeszcze pójść w jedno miejsce. Zabrać ostatnią rzecz. Coś z mojego dawnego biura. Zbierajcie broń.

Trzeba Chanowi przyznać, że nie zadaje zbędnych pytań. Po prostu kiwa głową, wsuwa pistolety do kabur, zarzuca maczetę na plecy. Reszta robi to samo. Wychodzą gęsiego przez drzwi. Hock Seng zamyka za nimi.

Biegnie zaułkiem za swoimi ludźmi, w dłoni podzwaniają mu klucze do fabryki. Po raz pierwszy od dawna los chyba mu sprzyja. Teraz tylko odrobina szczęścia i trochę więcej czasu.

Przed nimi ludzie wykrzykują różne rzeczy o białych koszulach i śmierci Opiekuna ich Królowej. Gniewne głosy, gotowe do zamieszek. Kroi się burza. Już ustawiają figury do bitwy. Przebiega mała dziewczynka, wciska każdemu w dłoń po świstku szeptanki. Partie polityczne już wzięły się do roboty. Niedługo ojciec chrzestny slumsu też rozpuści swoich ludzi po ulicach, żeby podzegli do przemocy.

Hock Seng i jego ludzie idą ciasnymi przejściami, wysuwają się na ulicę. Nic się nie rusza. Nawet prywatni riksarze gdzieś się pozaszowali. Grupa sklepikarzy tłoczy się wokół nakręcanego radia. Hock Seng kiwa na swoją ochronę, żeby zaczekała, i podchodzi do słuchaczy.

— Co nowego?

Jakaś kobieta unosi głowę.

— Radio Tajlandia mówi, że Opiekun Królowej...

— To wiem. Coś jeszcze mówi?

— Minister Akkarat potępił generała Prachę.

To wszystko dzieje się szybciej, niż się spodziewał. Hock Seng prostuje się, woła do Chana Śmieszki i reszty:

— No chodźcie. Jeśli się nie pośpieszymy, zabraknie nam czasu.

Kiedy do nich woła, zza rogu wyjeżdża ogromna ciężarówka. Jest potwornie głośna. Ciągnie za sobą chmurę spalin, jak dym z nielegalnego obornika. Z paki spoglądają dziesiątki zaciętych żołnierskich twarzy. Hock Seng i reszta chowają się w zaułku, kaszlą. Chan Śmieszek wygląda, śledzi wzrokiem ciężarówkę.

— To diesel węglowy — mówi zdziwiony. — Wojskowa.

Hock Seng zastanawia się, czy to nie lojaliści z 12 grudnia, jakaś frakcja generałów z północnego wschodu, jadąca na odsiecz generałowi Prasze i mająca zamiar przejąć rozgłośnię Radia Tajlandia. A może to sojusznicy Akkarata, pędzą zabezpieczyć śluzę, nabrzeża albo lądowiska? Albo po prostu

jakiś element oportunistyczny, który chce skorzystać z nadchodzącego chaosu. Hock Seng obserwuje, jak znikają za rogiem. Obojętne kto, to i tak zwiastuje burzę.

Ostatni przechodnie znikają w domach. Sklepikarze barykadują witryny od środka. Całą ulicę wypełnia szczęk i grzechot zamków. Miasto wie, co się wydarzy.

Wokół Hock Senga wirują i kołują go wspomnienia. Załki grubo spływające krwią. Zapach palonego, dymiącego zielonego bambusa. Dla pewności siebie dotyka dłonią sprężynowca i maczety. Może to miasto i jest teraz dżunglą pełną tygrysów, ale on nie jest już zbiegłym z Malezji małym jelonkiem. W końcu się nauczył. Można się przygotować na chaos.

Kiwa na swoich ludzi.

— Chodźcie. Przyszedł nasz czas.

XXXV

— To nie Pracha! On nie ma z tym nic wspólnego!

Kanya krzyczy do korbkowego telefonu, ale równie dobrze mogłaby drzeć się z za krat więziennej celi. Tyle samo by wskórała. Narong jakby nie słuchał. Linia trzeszczy przemieszanyymi głosami i szumem jakichś maszyn, a Narong chyba rozmawia z kimś w pobliżu, choć jego słowa są niezrozumiałe.

Nagle jego głos skrzeczy głośniejsz, tłumiąc hałasy w tle:

— Przykro mi, ale mamy swoje informacje.

Kanya patrzy wilkiem na rozłożone na blacie szeptanki, które z ponurym uśmiechem przyniósł Pai. Niektóre mówią o zmarłym Somdecie Chaoprayi, inne o generale Prasze. Wszystkie rozpisują się o morderczej nakręcance. Na miasto już leci nadzwyczajne wydanie „Sawatdee Krung Thep!”. Kanya przegląda je pośpiesznie. Jest pełne płomiennych oskarżeń wobec białych koszul, które pozamykały porty i lądowiska, ale nie umiały ochronić Somdeta Chaoprayi przed pojedynczym intruzem.

— Czyli te szeptania to wasza robota? — pyta.

Milczenie Naronga stanowi wystarczającą odpowiedź.

— Po co w ogóle prosiłeś, żebym się tym zajęła? — Nie może opanować goryczy w głosie. — Już żeście działali.

Zimny głos Naronga trzeszczy na linii:

— To nie twoja sprawa.

Gdy słyszy jego ton, jeżą jej się włosy na głowie.

— Akkarat to zrobił? — szepcze z przestraczem. — To on jest odpowiedzialny? Pracha twierdzi, że Akkarat był w to jakoś

zamieszany. To on to zrobił?

Kolejna pauza. Na namysł? Nie jest pewna. W końcu Narong mówi:

— Nie. Przysięgam. To nie my jesteśmy odpowiedzialni.

— Więc to musi być Pracha? — Wertuje licencje i zezwolenia na biurku. — Mówię ci, to nie on! Mam tu wszystkie papiery tej nakręcanki. Pracha sam mi kazał to zbadać. Znaleźć wszystkie ślady. Mam dokumenty jej wjazdu, z ludźmi z Mishimoto. Mam dokumenty utylizacji. Wizy. Wszystko.

— Kto podpisał dokumenty utylizacji?

Zwalcza własną frustrację.

— Podpis jest nieczytelny. Potrzebuję więcej czasu, żeby stwierdzić, kto był wtedy na służbie.

— A kiedy stwierdzisz, okaże się, że ten ktoś już nie żyje.

— To po co Pracha kazał mi znaleźć te informacje? To się nie trzyma kupy! Rozmawiałam z ludźmi, którzy brali w łapę w tym barze. To tylko proste chłopaki, chcące sobie trochę dorobić.

— Czyli jest sprytny. Pozacierał wszystkie ślady.

— Czemu ty tak nienawidzisz Prachy?

— A czemu ty go kochasz? Przecież spalił ci wioskę.

— Nie robił tego złośliwie.

— Nie? A w następnym sezonie nie sprzedał pozwoleń na hodowlę sąsiednim wioskom? A pieniędzy nie wsadził do własnej kieszeni?

Kanya milknie. Narong łagodzi ton:

— Przepraszam, Kanya. Nic nie poradzę. Jesteśmy pewni jego winy. Mamy pozwolenie Pałacu na zakończenie tej sprawy.

— Przez zamieszki? — Zsuwa z biurka kartki szeptanek. — I palenie miasta? Proszę. Mogę to przerwać. To nie jest konieczne. Mogę znaleźć dowód. Udowodnić, że ta nakręcanka nie jest Prachy. Mogę to udowodnić.

— Jesteś za blisko tej sprawy. I masz konflikt lojalności.

— Jestem lojalna wobec Królowej. Daj mi tylko możliwość, a przerwę to szaleństwo.

— Mogę dać ci trzy godziny. Jeśli do wschodu słońca nic nie przyniesiesz, nic więcej nie będę w stanie zrobić.

— Ale tyle zaczekasz?

Niemal słyszy jego uśmiech po drugiej stronie linii.

— Zaczekam. — Połączenie przerwane. Jest sama w gabinecie.

Jaidee sadowi się na jej biurku.

— No, ciekawe. Jak udowodnisz, że Pracha jest niewinny? Przecież to oczywiste, że on ją tam podłożył.

— Czemu nie zostawisz mnie w spokoju? — pyta Kanya.

Jaidee się uśmiecha.

— Bo mam z tego *sanuk*. To bardzo śmieszne, widzieć jak się miotasz, próbując służyć dwóm panom. — Przerywa, przygląda się jej. — Czemu się przejmujesz, co się stanie z Prachą? Przecież to nie jest twój prawdziwy pan.

Kanya patrzy nań nienawistnie. Pokazuje rozrzucone po biurku szeptanki.

— Będzie to samo, co pięć lat temu.

— Jak Pracha i premier Surawong. Wiece na dwunastego grudnia. — Jaidee przypatruje się szeptankom. — Ale tym razem atakuje Akkarat. Więc to nie jest całkiem tak samo.

Za oknem ryczy megodont. Jaidee znowu się uśmiecha.

— Słyszysz? Zbroimy się. Nie ma już sposobu, żeby te dwa stare byki się nie starły. Pojęcia nie mam, po co w ogóle próbujesz. Pracha i Akkarat ryczą na siebie i prycają od lat. Pora na porządną walkę.

— Jaidee, to nie jest *muay thai*.

— Nie. Tu masz rację.

Kanya wpatruje się w szeptanki i zebrane papiery dotyczące importu nakręcaniu. Nakręcanka zniknęła. Ale jest pewne, że

pochodzi z Japonii. Studiuje zapiski: przywieziono ją sterowcem. Asystentka menedżera...

— I morderczyni — wtrąca Jaidee.

— Cicho bądź, myślę.

Japońska nakręcanka. Porzucony wyspiarski śmieć. Kanya wstaje raptownie, chwyta sprężynowiec i wsuwa go do kabury, zbierając papiery.

— Gdzie idziesz? — pyta Jaidee.

Zaszczyca go wąskim uśmiechem.

— Gdybym ci powiedziała, pozbawiłabym się całego *sanuk*.

Phii Jaideego szczyrzy zęby.

— No wreszcie zaczynasz się wczuwać.

XXXVI

Tłum wokół Emiko gęstnieje. Ludzie ją poszturchują. Nie ma dokąd uciec. Jest odsłonięta, czeka, aż ją znajdą.

Nie dam się zabić jak zwierzę, będę walczyć. Będą krwawić.

Tłumi narastającą panikę. Stara się myśleć. Wokół tłoczy się coraz więcej ludzi, wszyscy chcą podejść do nalepionej na słupie kartki. Emiko jest uwięziona między nimi, ale nikt jej jeszcze nie zauważył. Jeśli nie będzie się ruszać...

Napór tłumu to teraz niemal zaleta. Prawie nie jest w stanie zadrgać, a co dopiero zdemaskować się swoimi stroboskopowymi ruchami.

Powoli. Ostrożnie.

Emiko pozwala sobie napierać na ludzi, powoli przepychać się między nimi, z opuszczoną głową, udając zapłakaną kobietę, roztrzęsioną zadany Pałacowi ciosem. Wbija wzrok we własne stopy, lawiruje wśród ciżby, przeciskając się ostrożnie, aż dociera na skraj zbiegowiska. Ludzie stoją w grupkach, płaczą, siedzą na ziemi, rozglądają się w oszołomieniu po ulicy. Patrząc na nich, Emiko odczuwa litość. Przypomina sobie, jak patrzyła na wsiadającego do sterowca Gendo-samę, który dopiero co powiedział jej, że wyświadczył jej grzeczność, mimo że zostawia ją na pastwę ulic Krung Thep.

Skup się, powtarza sobie w złości. Trzeba stąd iść. Wejść w małą uliczkę, gdzie nikt jej nie zauważy. Poczekać do zmroku.

Twój rysopis jest wszędzie: na słupach latarni, na ulicach, depczą po nim tłumy ludzi. Nie masz dokąd pójść. Odpycha tę myśl. Zaulek wystarczy. Na razie zaulek. Potem nowy plan.

Wbija wzrok w ziemię. Obejmuje się rękoma, udaje, że szlocha. Przekrada się w boczną uliczkę. Powoli. Powoli.

— Ej, ty! Chodź tutaj !

Emiko zamiera. Zmusza się, by powoli unieść wzrok. Macha na nią wściekły mężczyzna. Już ma się odezwać, zaprotestować, gdy odzywa się ktoś za jej plecami.

— Masz mi coś do powiedzenia, *heeya*?

Młody mężczyzna przepycha się obok niej. Na głowie ma żółtą opaskę, w dłoni garść ulotek.

— Co tam masz, gówniarzu?

Podchodzą inni, słuchają kłótni. Tych dwóch zaczyna na siebie krzyżeć, nadymają się, próbują się zdominować nawzajem. Inni zaczynają brać ich stronę. Zagrzewać okrzykami. Ośmielony starszy policzkuje młodszego i próbuje zdrzeć mu z głowy żółtą opaskę.

— Nie jesteś za Królową! Zdrajca! — Wydziera mu z ręki ulotki i ciska na ziemię. Depcze po nich. — Won stąd! I zabieraj te kłamstwa tego *heeya* Prachy!

Gdy ulotki rozsypują się po tłumie, Emiko miga karykatura twarzy Akkarata, z uśmiechem próbującego pożreć Wielki Pałac. Młodszy próbuje zbierać ulotki.

— To nie kłamstwa! Akkarat chce zniszczyć Królową! To oczywiste!

Tłuszcza szydzi z niego. Ale niektórzy wykrzykują słowa aprobaty. Chłopaczek odwraca się od tamtego i zwraca do tłumu:

— Akkarat jest żądny władzy. Ciągłe chce...

Mężczyzna kopie go w tyłek. Chłopak okręca się, wściekły, i rzuca na niego. Emiko nabiera powietrza. Młodziak umie walczyć. Ewidentnie *muay thai*. Łokciem uderza starszego w głowę. Mężczyzna pada. Chłopak staje nad nim, wykrzykując obelgi, lecz jego głos tonie we wrzasku tłumu, rzucają się nań

inni, ciosy pięści padają ze wszystkich stron. Ulicę wypełniają jego krzyki.

Emiko odwraca się i wyślizguje z rejonu bójki, już nie pilnując swoich ruchów. Ludzie ją potrącają, biegną atakować lub bronić, przepycha się między nimi najszybciej, jak może. W tej chwili jest dla nich niczym. Oddala się od zamieszania, kryje w cieniu zaułka.

Bijatyka ogarnia całą ulicę. Emiko zgarnia śmieci, przykrywa się nimi. Za jej plecami zostaje wybita szyba. Ktoś krzyczy. Kuli się za rozbitą skrzynką z WeatherAll, zgarnia odpadki, łupiny durianów, kawałek rozprutego konopnego koszyka, skórki od bananów, cokolwiek, czym może się zakryć. Zamiera i kuli się, a po zaułku uganiają się, krzycząc, uczestnicy zamieszek. Gdziekolwiek spojrzy, widzi wykrzywione wściekłością twarze.

XXXVII

Główna siedziba Mishimoto & Co. mieści się za wodą, w Thonburi. Łódka wpływa do *khlongu*. Kanya steruje uważnie. Nawet tutaj, na peryferiach miasta, szeptania oskarżają generała Prachę i nakręcaną morderczynię.

— Myślisz, że to dobry pomysł, płynąć samej? — pyta Jaidee.

— Mam ciebie. Takie towarzystwo wystarczy każdemu.

— W tym stanie nie jestem za dobry w *muay thai*.

— Co za szkoda.

Nad wodą wznoszą się bramy i pirsy firmy. Pali je późnopołudniowe słońce. Podpływa wodny sklepikarz, ale Kanya, choć jest głodna, nie śmie zmarnować choćby chwili. Słońce jakby spadało z nieba. Łódka uderza o pomost, Kanya owija cumę wokół pachołka.

— Chyba cię tu w ogóle nie wpuszczą — mówi Jaidee.

Kanyi nie chce się reagować. Dziwne, że był z nią przez całą drogę. Jego *phii* typowo interesował się nią przez chwilę, a potem odpływał ku innym sprawom i innym ludziom. Może odwiedzał swoje dzieci? Przepraszał matkę Chayi? Ale teraz tkwi przy niej cały czas.

Jaidee mówi:

— Biały mundur też im nie zaimponuje. Zbyt dobre układy mają w Handlu i policji.

Kanya nie odpowiada, ale rzeczywiście, przed główną bramą ich siedziby stoi patrol z komisariatu policji w Thonburi. Wokół chlupoce morze i *khlongi*. Japończycy myślą perspektywicznie i pobudowali się w stu procentach na wodzie, na pływających bambusowych tratwach, które podobno mają piętnaście

metrów grubości. Stworzyli sobie zakład niemal całkiem odporny na wylewy i pływy na rzece Chao Phraya.

— Chciałabym rozmawiać z panem Yashimoto.

— Nie ma go.

— Chodzi o jego majątek, który został zniszczony podczas niefortunnej kontroli na lądowisku. Przynoszę wnioski o odszkodowanie.

Strażnik uśmiecha się niepewnie. Nurkuje do środka.

Jaidee chichocze.

— Chytrze.

Kanya wykrzywia się do niego.

— Przynajmniej na coś się przydajesz.

— Mimo że nie żyję.

Chwilę później już prowadzą ich korytarzami zakładu. Nie jest daleko. Wysokie mury zasłaniają wszystkie ślady działalności produkcyjnej. Związek Megodontów skarży się, że żadnej pracy nie da się wykonać bez źródła energii, a Japończycy ani nie importują własnych megodontów, ani nie zatrudniają ich. Na kilometr śmierdzi to nielegalną techniką. Jednakże Japończycy ogromnie wspomogli Królestwo swoją technologią. W zamian za tajskie osiągnięcia nasienne dostarczają najlepsze żaglowce. Wszyscy zatem niezwykle uważają, żeby nie zadawać zbyt wielu pytań — jak się buduje kadłuby statków i czy ten proces jest w pełni legalny.

Otwierają się drzwi. Piękna dziewczyna uśmiecha się i kłania. Kanya omal nie wyciąga sprężynowca. Stojące przed nią stworzenie jest nakręcanką. Zachowuje się, jakby nie zauważała jej napięcia. Po prostu typowym, szarpano-urywanym gestem zaprasza do środka. Pomieszczenie jest elegancko umeblowane: maty tatami, obrazy Sumi-e*. Człowiek — Kanya zakłada, że to pan Yashimoto — małuje, klęcząc. Nakręcanka prowadzi Kanyę do maty, zaprasza, by usiadła.

Jaidee podziwia dzieła sztuki na ścianach.

— Wiesz, że on sam to wszystko namalował?

— Skąd wiesz?

— Byłem tu kiedyś, chciałem zobaczyć, czy faktycznie mają w fabryce dziesięciorekich. Zaraz po tym, jak umarłem.

— I co? Maj ą?

Jaidee wzrusza ramionami.

— Sama sobie zobacz.

Pan Yashimoto macza pędzelek i niezwykle zręcznym ruchem kończy malować. Wstaje, kłania się Kanyi. Zaczyna coś mówić po japońsku. Głos nakręcanki podąża za nim sekundę później, tłumacząc wszystko na tajski.

— Jestem zaszczycony pani wizytą.

Przez moment milczy, nakręcanka także milknie. Jest bardzo ładna, zauważa Kanya. Na osobliwy, porcelanowy sposób. Krótki żakiet, rozcięty u góry, ukazuje dołeczki na szyi, jasna spódnica opina się powabnie na biodrach. Gdyby nie była takim wybrykiem natury, byłaby prześliczna.

— Wie pan, dlaczego przyszłam?

Kiwa głową, krótko.

— Słyszeliśmy pogłoski o pewnym nieszczęśliwym zdarzeniu. I widzieliśmy, że w waszych gazetach i szeptankach mówi się o naszym kraju. — Patrzy na nią znacząco. — Podniosło się na nas sporo głosów. Te stwierdzenia są z reguły niesprawiedliwe i nieściste.

Kanya kiwa głową.

— Powstały pytania...

— Chciałbym panią zapewnić, że jesteśmy przyjaciółmi Tajów. Od dawien dawna, od czasów sojuszu w wielkiej wojnie, aż do teraz, zawsze byliśmy waszymi przyjaciółmi.

— Chciałabym wiedzieć, jak...

Yashimoto znów przerywa:

— Herbaty?

Kanya zmusza się do zachowania kultury.

— Z miłą chęcią.

Yashimoto kiwa na nakręcankę, która wstaje i wychodzi z pokoju. Kanya podświadomie się rozluźnia. To stworzenie jest... niepokojące. Podczas jej nieobecności milczenie przedłuża się — czekają, aż wróci i zacznie tłumaczyć. Kanya czuje mijające sekundy, tracone minuty. Czas, czas leci. Gromadzą się burzowe chmury, a ona sobie siedzi i czeka na herbatę.

Nakręcanka wraca, klęka obok, przy niskim stoliku. Kanya zmusza się do milczenia, by nie przerywać dziewczynie precyzyjnego mieszania i parzenia, ale przychodzi jej to z trudem. Nakręcanka nalewa. Kiedy Kanya przypatruje się osobliwym ruchom tego stworzenia, wydaje jej się, że dostrzega, czego oczekują Japończycy od swoich sztucznych służących. Dziewczyna działa idealnie, precyzyjnie jak w zegarku, a jej ruchy, opatrzone kontekstem herbacianej ceremonii, nabierają rytualnego wdzięku.

Nakręcanka natomiast starannie unika obserwowania Kanyi. Nie wspomina słowem, że jest białą koszulą. Nie zauważa, że w innym kontekście Kanya chętnie by ją skompostowała. Kompletnie nie zwraca uwagi na biały mundur Ministerstwa Środowiska. Jest uprzedzająco kulturalna.

Yashimoto czeka, aż Kanya upije łyk herbaty, potem próbuje sam. Z namysłem odstawia czarkę na stolik.

— Nasze kraje od zawsze się przyjaźniły — mówi. — Od czasu, gdy Cesarz podarował Królestwu tilapie, w czasach wielkiego króla-naukowca Bhimibola. Nigdy was nie zawiedliśmy. — Patrzy na nią znacząco. — Mam nadzieję, że będziemy mogli pomóc pani w tej sprawie, chciałbym jednak podkreślić, że jesteśmy przyjaciółmi waszego kraju.

— Proszę mi powiedzieć o nakręcańcach — rzuca Kanya.

Yashimoto kiwa głową.

— A co chciałyby pani wiedzieć? — Uśmiecha się, wskazuje klęczącą obok dziewczynę. — Tu widzi pani jedną na własne oczy.

Kanya zachowuje kamienną twarz. Trudna sprawa. Ta istota jest bowiem piękna. Skórę ma gładką, a ruchy zaskakująco eleganckie. I ciarki od tego chodzą.

— Proszę mi powiedzieć, po co wam oni.

Yashimoto wzrusza ramionami.

— Japończycy są starzy, młodych mamy niewiele. Miłe dziewczyny, jak Hiroko, wypełniają tę lukę. Zupełnie inaczej niż w Tajlandii: mamy kalorie, ale nie mamy siły roboczej. Potrzebni nam asystenci. I robotnicy.

Kanya stara się nie okazać niesmaku.

— Tak. Jesteście zupełnie inni. I nikomu poza wami nie udzieliliśmy pozwolenia na takie niszowe...

— ...przestępstwo — poddaje Jaidee.

— ...wyjątki — kończy Kanya. — Nikomu nie wolno sprowadzać tutaj takich stworzeń. -

Wskazuje niechętnie na tłumaczkę, próbując ukryć obrzydzenie w głosie. — Żadnemu innemu państwu. Ani żadnej innej fabryce.

— Jesteśmy świadomi tego przywileju.

— A jednak nadużywacie go, przywołując wojskową nakręcankę... Słowa Hiroko przerywają jej, choć mówi dalej. Hiroko tłumaczy stanowczą odpowiedź swojego pana.

— Nie! To niemożliwe. Nie mamy styczności z taką technologią. W ogóle!

Yashimoto czerwienieje, Kanya zastanawia się nad przyczyną tej nagłej złości. W jaki sposób mogła go nieświadomie urazić? Nakręcanka tłumaczy dalej, na jej twarzy nie ma ani śladu emocji, choć przemawia głosem swojego pana.

— Pracujemy z Nowymi Japończykami, takimi jak Hiroko. Jest lojalna, uważna i wiele umie. Jest dla nas niezbędnym narzędziem. Jak motyka dla rolnika i miecz dla samuraja.

— Ciekawe, że wymienia pan akurat miecz.

— Hiroko nie jest wojskowa. Nie mamy dostępu do takiej technologii.

Kanya sięga do kieszeni i rzuca na stół zdjęcie nakręcanki-morderczyni.

— A jednak to wasza nakręcanka, zaimportowana przez was i na stanie waszego pracownika, dopiero co zabiła Somdeta Chaoprayę i osiem innych osób, a potem rozplynęła się jak wściekły *phii*. A pan tu siedzi przede mną i twierdzi, że to niemożliwe, by znalazła się u nas wojskowa nakręcanka! — Podnosi głos do krzyku, dziewczyna kończy tłumaczyć podobnym tonem.

Twarz Yashimoto nieruchomieje. Mężczyzna podnosi fotografię, przygląda się jej.

— Będziemy musieli sprawdzić w naszych dokumentach.

Kiwa głową na Hiroko, ta zabiera zdjęcie i znika za drzwiami. Kanya wypatruje u niego oznak niepokoju czy nerwowości, ale nic takiego nie ma. Widzi irytację, ale żadnego strachu. Żałuje, że nie potrafi z nim bezpośrednio porozmawiać. Słuchając własnych słów odbijanych japońskim echem, zastanawia się, jaki element zaskoczenia gubią, gdy wypowiada je nakręcanka. Jak jest w stanie je złagodzić.

Czekają Yashimoto proponuje jej gestem dolewkę herbaty. Odmawia. On też już nie pije. W pokoju panuje tak namacalne napięcie, że Kanya prawie widzi, jak Yashimoto zrywa się na nogi i tnie ją zdobitym ścianę za jego plecami zabytkowym mieczem.

Hiroko wraca po paru minutach. Z ukłonem zwraca Kanyi zdjęcie. Potem odzywa się do Yashimoto. Żadne z nich nie

zdradza emocji. Hiroko znów klęka z boku. Yashimoto wskazuje na fotografię.

— Pewni jesteście, że to ona?

Kanya kiwa głową.

— Nie ma wątpliwości.

— Ten zamach tłumaczy coraz większe niepokoje w mieście. Przed naszą fabryką zbierają się tłumy. I ludzie z łodzi. Policja ich rozpędziła, ale teraz przychodzą z pochodniami.

Kanya opanowuje zdenerwowanie tym postępującym szaleństwem. Wszystko dzieje się za szybko. Od pewnego momentu Akkarat i Pracha nie będą mogli się wycofać, nie tracąc twarzy, i wszystko przepadnie.

— Ludzie są wściekli.

— Ta wściekłość jest chybiona. To nie jest wojskowa nakręcanka. — Kiedy Kanya próbuje to zakwestionować, patrzy na nią ostro. — Mishimoto nie ma nic wspólnego z wojskowymi nakręcankami. Nic. Te stworzenia są pod ścisłą kontrolą. Wykorzystuje je nasze Ministerstwo Obrony i tylko ono. Nigdy nie byłbym w stanie mieć tutaj czegoś takiego. — Wbija w nią wzrok. — Nigdy.

— A jednak...

Yashimoto mówi dalej, a Hiroko tłumaczy:

— Mam informacje o tej nakręcance, którą pani opisała. Zakończyła swoją służbę...

Głos nakręcania załamuje się, choć starszy pan mówi dalej. Prostuje się, zerka na niego. Yashimoto marszczy brwi na to *faux pas*. Mówi coś do niej. Ona pochyła głowę.

— *Hai*.

Kolejna pauza.

Skinieniem głowy poleca jej kontynuować. Hiroko bierze się w garść, kończy tłumaczyć:

— Została zniszczona, zgodnie z przepisami, a nie repatriowana. — Ciemne oczy patrzą teraz na Kanyę, nieruchome, niemrugające; nie okazuje zaskoczenia, jakie zdradziła chwilę wcześniej.

Kanya przypatruje się dziewczynie i starszemu panu. Dwojgu ludziom z innej planety.

— A mimo to, najwyraźniej przeżyła — mówi w końcu.

— Nie ja byłem wtedy menedżerem — odpowiada Yashimoto.
— Wiem tyle, ile dowiedziałem się z dokumentów.

— A dokumenty ewidentnie kłamią.

— Ma pani rację. Nie ma żadnego usprawiedliwienia. Wstyd mi za to, co zrobili inni, ale nie posiadam o tym stworzeniu żadnych innych informacji.

Kanya nachyla się ku niemu.

— Skoro nie może pan mi powiedzieć, jak przeżyła, to może wyjaśni mi pan, skąd wzięła się w naszym kraju ta machina zdolna do zabicia w okamgnieniu tylu osób. Mówi mi pan, że nie jest wojskowa, ale szczerze mówiąc, trudno mi w to uwierzyć. To rażące naruszenie naszych dwustronnych umów.

Wokół oczu mężczyzny niespodziewanie pojawiają się zmarszczki wywołane uśmiechem. Bierze do ręki herbatę i popija, rozważając pytanie, ale jego oczu nie opuszcza nagle radość. Nawet kiedy już kończy herbatę.

— Na to mogę odpowiedzieć.

Bez ostrzeżenia ciska filiżanką w twarz Hiroko. Kanya otwiera usta do krzyku. Ręka nakręcania rozmazuje się. Filiżanka uderza we wnętrze dłoni. Dziewczyna wytrzeszcza oczy, chyba równie zaskoczona, jak Kanya.

Japończyk zgarnia fałdy kimona.

— Nowi Japończycy wszyscy są tacy szybcy. Zadała pani niewłaściwe pytanie. Sposób, w jaki wykorzystają swoje wrodzone zdolności, to kwestia wyszkolenia, a nie fizycznych

umiejętności. Hiroko była od urodzenia uczona poruszać się z odpowiednią szybkością, z godnością. — Wskazuje na jej cerę. — Zaprojektowano jej porcelanową skórę ze zredukowaną ilością porów, ale to oznacza, że jest podatna na przegrzewanie. Wojskowe nakręcańce nie przegrzewają się, są zbudowane tak, by móc bez szkody wydatkować znaczną energię. Biedna Hiroko umarłaby, gdyby musiała się tak wysilać przez dłuższy czas. Ale wszystkie nakręcanki są potencjalnie szybkie, mają to w genach. — Jego ton poważnieje. — Jednak to zaskakujące, że była w stanie wyzwolić się z więzów szkolenia. To zła wiadomość. Nowi Ludzie nam służą. To nie powinno się było stać.

— Czyli pana Hiroko mogłaby zrobić to samo? Zabić ośmiu ludzi? Uzbrojonych?

Hiroko podskakuje i zerka na Yashimoto, wytrzeszczając ciemne oczy. On kiwa głową. Mówi coś łagodnym tonem.

— *Hai*. - Zapomina przetłumaczyć, ale po chwili odnajduje słowa.

— Tak. To możliwe. Nieprawdopodobne, ale możliwe — ciągnie. — Potrzebny byłby niezwykle silny bodziec, żeby stało się coś takiego. Nowi Ludzie cenią dyscyplinę. Porządek. Posłuszeństwo. W Japonii mówi się „Nowi Ludzie są bardziej japońscy niż sami Japończycy”. Yashimoto kładzie dłoń na ramieniu Hiroko.

— Musiałyby zajść nadzwyczajne okoliczności, żeby Hiroko stała się zabójczynią. — Uśmiecha się. — Ta, której szukacie, odeszła daleko od swojej właściwej ścieżki. Trzeba ją zniszczyć, zanim narobi więcej szkód. Możemy wam w tym pomóc... Właśnie Hiroko może wam pomóc.

Kanya próbuje się nie wzdrygnąć, ale zdradza ją wyraz twarzy.

— Pani kapitan, pani się chyba uśmiecha.

Phii Jaideego ciągle jest z nią, przysiada na dziobie łódki tnącej szerokie ujście Chao Phraya przy silnym wietrze. Przelatują przez niego strzępy piany, nic mu nie robiąc, choć Kanya za każdym razem spodziewa się, że go przemoczą. Zaszczyca go uśmiechem, udzielając mu trochę swojego zadowolenia.

— Dokonałam dziś czegoś dobrego.

Jaidee się szczerzy.

— Słuchałem obu stron podczas tej rozmowy. Akkarat i Narong byli pod wrażeniem.

Kanya przerywa.

— U nich też byłeś?

Wzrusza ramionami.

— Wygląda na to, że mogę sobie chodzić, gdzie zechcę.

— Z wyjątkiem przejścia do następnego życia.

Znowu wzrusza ramionami i uśmiecha się.

— Mam tu jeszcze robotę.

— Znaczy, zadrećzanie mnie. — W tych słowach nie ma jednak jadu.

W ciepłym blasku zachodzącego słońca, kiedy otwiera się przed nią miasto, a fale rozchlapują się na kadłubie tnącej wodę łódki, Kanya może być tylko zadowolona, że rozmowa tak dobrze się potoczyła. Już kiedy rozmawiała z Narongiemi, wydawali rozkazy wycofania ludzi z pozycji. Słyszała obwieszczenie w radiu. Spotkają się z lojalistami z 12 grudnia. To początek odprężenia. Gdyby Japończycy tak gorliwie nie wzięli na siebie winy za zbiegłą nakręcankę, mogłoby to wyglądać inaczej. Oni jednak już zaproponowali odszkodowania, a Prachę udobruchała przekazana przez nich obfita dokumentacja. Na razie wszystko idzie dobrze.

Mimo woli czuje się trochę dumna. Dźwiganie jarzma dwóch panów w końcu się opłaciło. Zastanawia się czy to *kamma* ustawiła ją na pozycji, w której dla dobra Krung Thep potrafi pokonać przepaść dzielącą generała Prachę i Ministra Akkarata. Z pewnością nikomu innemu nie udałoby się przebić przez wzniesione przez ich obozy bariery, chroniące ich dumę i twarz.

Jaidee wciąż się do niej uśmiecha.

— Wyobraź sobie, co byśmy mogli osiągnąć w tym kraju, gdybyśmy ciągle nie walczyli między sobą.

W przyptywie optymizmu Kanya mówi:

— Może wszystko jest możliwe.

Jaidee parska śmiechem.

— Jeszcze musisz złapać jedną nakręcankę.

Kanya mimo woli zerka na swoją własną. Hiroko podwinęła nogi pod siebie i gapi się na szybko zbliżające się ku nim miasto, obserwując, jak lawirują między klipkami, żaglówkami i sprężynowymi łodziami patrolowymi. Jakby wyczuwając spojrzenie Kanyi, odwraca się. Patrzą sobie w oczy. Kanya nie odrywa wzroku.

— Dlaczego wy nienawidzicie Nowych Ludzi? — pyta nakręcanka.

Jaidee się śmieje.

— Może zrób jej wykład o niszy i naturze?

Kanya odwraca wzrok, patrzy poza nią, na pływające fabryki i zatopione Thonburi. *Prang* świątyni Wat Arun wciąż sterczy w krwistoczerwone niebo.

Powraca pytanie:

— Dlaczego nienawidzicie takich jak ja?

Kanya wpatruje się w nią.

— Czy też zostaniesz skompostowana, kiedy Yashimoto-sama będzie wracał do Japonii?

Hiroko spuszcza głowę. Kanya czuje się lekko zakłopotana, że musiała zranić jej uczucia, a potem otrząsa się z poczucia winy. To tylko nakręcanka. Małpuje ludzkie zachowania, ale jest tylko niebezpiecznym eksperymentem, który posunął się za daleko. Nakręcanka. Szarpane ruchy i podrygi genetycznie zmodyfikowanego stworzenia. Inteligentna. A pod presją także niebezpieczna, jak się zdaje. Sterując łódką, rozgląda się po falach, lecz kątem oka jednocześnie ją obserwuje, podświadomie wiedząc, że ta nakręcanka też jest zdolna do tak szybkich ruchów, jak tamta. Że wszystkie one są potencjalnie śmiertelne.

Hiroko znów się odzywa:

— My jesteśmy zupełnie inne niż ta, którą ścigacie.

Kanya patrzy na nią.

— Wszystkie jesteście tak samo nienaturalne. Wszystkie wyrosłyście w probówce. Wszystkie istniejecie wbrew niszy. Nie macie dusz i nie macie *kammy*. A teraz jedna z was... — głos jej się łamie, przytłoczony potwornością tej zbrodni — ...zabiła Opiekuna naszej Królowej. Jak dla mnie, jesteście wystarczająco do niej podobne.

Wzrok Hiroko twardnieje.

— To proszę mnie odesłać do Mishimoto.

Kanya kręci głową.

— Nie. Na coś się przydasz. Przynajmniej, stanowisz dobry dowód, że wszystkie nakręcanki są niebezpieczne. I że ta ścigana nie jest wojskowa. Do tego się przydasz.

— My w ogóle nie jesteśmy niebezpieczne — upiera się Hiroko.

Kanya wzrusza ramionami.

— Pan Yashimoto mówi, że przydasz się nam przy poszukiwaniu morderczyni. Jeśli to prawda, znajduję dla ciebie zastosowanie. Jeśli nie, natychmiast zostaniesz skompostowana

razem z dziennym zbiorem obornika. Twój pan upiera się, że będziesz użyteczna, ale na razie nie bardzo wiem jak.

Hiroko odwraca głowę, patrzy ponad wodą na fabryki na drugim brzegu.

— Chyba uraziłaś jej uczucia — mruczy Jaidee.

— A ich uczucia są tak samo prawdziwe, jak ich dusze? — Kanya napiera na rumpel, skręca łodzią ku nabrzeżom. Przed nią jeszcze tyle roboty.

— Będzie szukać nowego pana — mówi nagle Hiroko.

Kanya odwraca się, zaskoczona.

— To znaczy?

— Straciła swojego właściciela, Japończyka. A potem też tego właściciela baru, w którym pracowała.

— Zabiła go.

— Wszystko jedno. Straciła pana. Musi znaleźć nowego.

— Skąd wiesz?

Hiroko patrzy na nią zimno.

— Mamy to w genach. Dążymy do podporządkowania. By ktoś nam rozkazywał. To jest nam potrzebne. Jak woda rybie. W takiej wodzie pływamy. Yashimoto-sama mówi prawdę. Jesteśmy bardziej japońskie niż sami Japończycy. Musimy służyć w hierarchii. Ona musi mieć nowego pana.

— A może jest inna? Może nie musi?

— Musi. Nie ma wyboru.

— Tak jak ty.

Spojrzenie ciemnych oczu Hiroko wraca ku niej.

— Tak jak ja.

Czy przebłyskuje w nich złość i rozpacz? Czy Kanya tylko to sobie wyobraża? Zakłada, że gdzieś głęboko w niej czają się takie uczucia, mimowolnie uczłowiczając stworzenie, które nie jest i nigdy nie będzie człowiekiem? Niezła zagwozdka. Kanya skupia się z powrotem na wodzie i podejściu do brzegu,

rozgląda się po okolicy za innymi statkami, z którymi będzie się musiała przepychać do pomostu. Marszczy brwi.

— Tych barek nie znam.

Hiroko unosi głowę.

— Tak dokładnie pilnujecie wody?

Kanya kręci głową.

— Kiedy mnie przyjęli, najpierw patrolowałam port. Punktowe kontrole importu. Dobry pieniądz. — Przypatruje się barkom. — Do ciężkich ładunków. Nie do ryżu. Nie widziałam...

Nie kończy zdania, serce zaczyna jej walić, gdy patrzy na pełną dalej machiny, wielkie, ciemne, nieubłagane potwory.

— O co chodzi? — pyta Hiroko.

— One nie są sprężynowe.

— Nie?

Kanya szarpie żagiel, sprawiając że wiejąca nad deltą bryza odpycha małą łódeczkę od nadpływających barek.

— Są wojskowe. Wszystkie są wojskowe.

8 Sumi-e - japońska technika malowania tuszem, często rozwodnionym. Wymaga nieomyślności malującego, gdyż nie pozwala na poprawki. Często traktowana także jako forma medytacji (przyp. tłum.).

XXXVIII

Anderson ledwo może oddychać pod kapturem. Ciemność jest całkowita, gorąca od jego oddechu i tłumionego strachu. Nikt nie wyjaśnił, dlaczego go zakapturzono i wyprowadzono z mieszkania. Carlyle był już przytomny, ale kiedy zaczął protestować przeciw takiemu traktowaniu, jedna z Panter przecięła mu ucho do krwi kolbą karabinu, więc obaj zamilkli i pozwolili naciągnąć sobie kaptury na głowy. Godzinę później, kopniakami postawiono ich na nogi i zapędzono do jakiegoś środka transportu, warczącego i plującego spalinami. Wojsko, domyślał się Anderson, gdy wpychano go na pakę.

Złamany palec wisi drętwo za plecami. Gdy napina rękę, ból staje się nie do zniesienia. Pod kapturem ćwiczy się w ostrożnym oddychaniu, opanowywaniu lęków i spekulacji. Przylegająca do twarzy zakurzona tkanina zmusza do kaszlu, a kiedy kaszle, od żeber odchodzą głębokie ciernie bólu. Oddycha płytko.

Urządzą mu pokazową egzekucję?

Od jakiegoś czasu nie słyszał głosu Akkarata. Niczego nie słyszał. Chciałby coś szepnąć do Carlyle'a, żeby sprawdzić, czy są w tym samym pomieszczeniu, ale nie ma ochoty znów dostać pałkami, jeśli okaże się, że razem z nim siedzi jakiś strażnik.

Kiedy ściągnięto ich z tego pojazdu i zawleczono do nowego budynku, nie był już pewien, czy Carlyle jest razem z nim. Potem znaleźli się w windzie. Wydawało mu się, że zjechali do czegoś w rodzaju bunkra, ale w miejscu gdzie go przewrócili na ziemię jest upiornie gorąco. Obezwładniająco. Juta drażni skórę. Najbardziej ze wszystkiego chciałby teraz móc się podrapać w nos, w miejscu gdzie spływa pot, mocząc tkaninę —

i stąd swędzenie. Próbuje poruszyć mięśniami twarzy, odkleić worek od ust i nosa. Gdyby tak mógł zaczerpnąć świeżego powietrza...

Szczękają drzwi. Kroki. Anderson zamiera. Ponad nim brzmia stłumione głosy. Nagle chwytają go dłonie, szarpnięciem stawiają na nogi. Stęka, gdy szturczą go w połamane żebra. Dłonie wloką go gdzieś, to skręcając, to zatrzymując się. Ręce muska powiew, chłodniejsze, świeższe powietrze, jakby z jakiegoś wywietrznika. Czuje lekki zapach morza. Wokół pomrukuje głosy. Kroki. Chodzą ludzie. Ma wrażenie, że prowadzą go korytarzem — to te ciągle pojawiające się i cichnące tajskie głosy. Kiedy się potyka, strażnicy szarpnięciem stawiają go do pionu i popychają naprzód.

W końcu stają. Powietrze jest tu świeższe. Czuje wiatr z jakichś systemów wentylacyjnych, słyszy grzechot pedałów i wysoki jęk kół zamachowych. Jakieś centrum obliczeniowe. Prześladowcy szturczą go, każąc mu stanąć prosto. Zastanawia się, czy tak właśnie będzie wyglądać egzekucja. Czy umrze, nie ujrawszy już światła dziennego.

Nakręcanka. Ta cholerna nakręcanka. Przypomina sobie, jak frunęła z balkonu w ciemność. To nie wyglądało na samobójstwo. Im dłużej o tym myśli, tym bardziej jest przekonany, że na jej twarzy malowała się absolutna pewność siebie. Naprawdę zabiła Opiekuna Królowej? Czyby się tak strasznie bała, gdyby była morderczynią? To się nie trzyma kupy. A teraz wszystko na nic. Jezu, jak ten nos swędzi. Kicha, nabiera zapyłonego powietrza spod kaptura i znów zaczyna kaszleć.

Zgina się wpół, kaszląc, żebra płoną bólem.

Zdzierają mu kaptur z twarzy.

Mruga, światło razi go w oczy. Z wdzięcznością zaczerpuje luksusowego, świeżego powietrza. Powoli się rozprostowuje.

Duża sala, pełna mężczyzn i kobiet w wojskowych mundurach. Pedałowe komputery. Bębny ze sprężynami skrętnymi. Nawet diodowy ekran na całą ścianę, z podglądem na miasto, jakby znajdowali się w jednym z centrów obliczeniowych AgriGenu.

I widok. Mylił się, nie zjeżdżał w dół. Jechał w górę. Są wysoko nad miastem. Anderson przeorientowuje zdumione zmysły. Są w jakimś wieżowcu, starym, z czasów Ekspansji. Przez otwarte okna widać całe miasto. Zachodzące słońce szkli powietrze i budynki matową czerwienią.

Carlyle też tu jest. Ma oszołomioną minę.

— A niech to, jak wy śmierdziecie.

Akkarat. Stoi w pobliżu. Uśmiecha się uśmiechem cwaniaka. Mówi się, że ci Tajowie mają trzynaście rodzajów uśmiechu. Anderson zastanawia się, który widzi w tej chwili. Akkarat mówi:

— Trzeba dać was pod prysznic.

Anderson zaczyna się odzywać, ale przygniała go kolejny atak kaszlu. Zaczepuje tchu, ale cały czas kaszle. Od spazmów kajdanki wrzynają mu się w nadgarstki. Żebra to jedna obolała masa. Carlyle w ogóle nic nie mówi. Ma krew na czole. Anderson nie potrafi poznać, czy stawiał opór prześladowcom, czy go torturowano.

— Dajcie mu szklanę wody — mówi Akkarat.

Strażnicy popychają go na ścianę i ciągną w dół, aż siada. Tym razem udaje mu się nie potraścić złamanego palca. Przynoszą wodę. Strażnik przytyka kubek do ust Andersona, by pił. Chłodna woda. Przełyka, czując bezsensowną wdzięczność. Kaszel się uspokaja. Zmusza się do podniesienia wzroku na Akkarata.

— Dziękuję.

— Tak. No cóż. Wygląda na to, że mamy problem. Twoja historia się potwierdziła. Ta nakręcanka rzeczywiście się

zbuntowała. — Kuca obok Andersona. — Wszyscy jesteśmy ofiarami pecha. W wojsku mają takie powiedzenie, że dobry plan bitwy jest w stanie przetrwać w prawdziwej walce nawet pięć minut. Potem wszystko zależy od tego, czy generałowi sprzyjają los i duchy. A to jest pech. Wszyscy musimy brać go pod uwagę. A teraz oczywiście mam wiele nowych problemów, które też muszę brać pod uwagę. — Wskazuje brodą Carlyle'a. — Oczywiście rozumiem waszą wściekłość, że tak was potraktowano. — Krzywi się. — Mógłbym was przeprosić, ale wydaje mi się, że to będzie za mało.

Anderson ze stanowczym wyrazem twarzy patrzy Akkaratowi w oczy.

— Jeśli nam coś zrobisz, zapłacisz za to.

— AgriGen nas ukarze. — Tamten kiwa głową. — Tak. To jest pewien problem. Ale w sumie

AgriGen cały czas jest na nas wściekły.

— Rozwiąż mnie i o wszystkim zapominamy.

— To znaczy, mam ci zaufać. Obawiam się, że to nie byłoby zbyt mądre.

— Rewolucje to twarda gra. Nie mam żalu. — Anderson uśmiecha się drapieżnie, modląc się, by uwierzył. — Nic się nie stało. Ciągle chcemy tego samego. Wszystko można jeszcze odkręcić.

Akkarat przekrzywia głowę w namyśle. Anderson zastanawia się, czy zaraz nie dostanie nożem pod żebro.

Niespodziewanie tamten uśmiecha się.

— Twardy z ciebie gość.

Anderson powstrzymuje trzepot nadziei.

— Tylko praktyczny. Nasze interesy nadal są zbieżne. Na naszej śmierci nikt nie korzysta. To ciągle jest drobne nieporozumienie, które da się wyjaśnić.

Akkarat się zastanawia. Odwraca się do strażników, domaga się noża. Anderson wstrzymuje oddech, gdy ostrze zbliża się do niego, lecz ono tylko tnie pomiędzy jego nadgarstkami, uwalniając ręce. Przedramiona wypełnia łaskocząca krew. Porusza nimi powoli. Są jak kawały drewna. Potem pojawia się klucie.

— Jezus.

— To chwilę potrwa, zanim ci wróci krążenie. Ciesz się, że byliśmy delikatni. — Akkarat zauważa, jak Anderson obejmuje zranioną rękę. Uśmiecha się przepaszająco, z zakłopotaniem. Zanim podejdzie do Carlyle'a, każe wezwać lekarza.

— Gdzie my jesteśmy? — pyta Anderson.

— W awaryjnym centrum dowodzenia. Kiedy się okazało, że białe koszule są w to zamieszane, przeniosłem nasz sztab tutaj, dla bezpieczeństwa. — Akkarat wskazuje brodą beczki ze sprężynami. — W podziemiu mamy stada megodontów. Ślą energię tu, na górę. Prawdopodobnie nikt nie wie, że coś takiego sobie urządziliśmy.

— Ja nie wiedziałem, że macie coś takiego.

Akkarat się uśmiecha.

— Jesteśmy współnikami, nie kochankami. Wszystkich moich tajemnic nie zdradzam nikomu.

— A złapaliście już nakręcankę?

— To tylko kwestia czasu. Wszędzie wiszą listy gończe. Miasto nie pozwoli jej żyć. Przekupić parę białych koszul, a podnieść rękę na Pałac to zupełnie co innego.

Anderson wraca myślą do Emiko, skulonej, zalęknionej.

— Dalej nie wierzę, że nakręcanka byłaby w stanie zrobić coś takiego.

Akkarat unosi wzrok.

— Świadkowie potwierdzają, a także Japończycy, którzy ją skonstruowali. To morderczynie. Znajdziemy ją, urządzimy

egzekucję w starym stylu i będzie załatwione. A Japończycy za swoje zbrodnicze zaniedbanie zapłacą niewyobrażalne odszkodowania. — Nagle uśmiecha się. — W tej jednej kwestii zgadzamy się z białymi koszulami.

Uwalniają ręce Carlyle'a. Akkarata odwołuje jakiś oficer armii.

Carlyle ściąga wór z głowy.

— To jak, dalej się kumplujemy?

Anderson wzrusza ramionami, patrząc, co się dzieje wokół.

— Na ile się w ogóle da w czasie rewolucji.

— Jak się czujesz?

Anderson delikatnie dotyka piersi.

— Mam połamane żebra. — Wskazuje dłoń, lekarz właśnie unieruchamia mu palec. — Złamany palec. Szczeka chyba w porządku. — Wzrusza ramionami. — A ty?

— Lepiej niż ty. Mam chyba naderwany bark. Ale to nie ja przedstawiłem gościowi zbuntowaną nakręcankę.

Anderson kaszle i się krzywi.

— No, szczęściarz z ciebie.

Jeden z wojskowych nakręca radiotelefon, grzechoczą tryby. Akkarat gdzieś dzwoni.

— Tak? — Kiwa głową, mówi po tajsku.

Anderson wyłapuje raptem kilka słów, ale Carlyle nasłuchuje i wytrzeszcza oczy.

— Opanowują stacje radiowe — szepcze.

— Co? — Anderson wstaje, marszcząc czoło, odpychając doktora wciąż pracującego nad dłonią.

Strażnicy rzucają się ku niemu, odgradzają go od Akkarata. Anderson woła przez nich, gdy popychają go z powrotem pod ścianę.

— Już zaczynasz? ! Teraz? !

Akkarat unosi wzrok znad telefonu, spokojnie kończy rozmowę i oddaje słuchawkę łącznościowcowi. Nakręcający siada z powrotem w kucki, czeka na kolejny telefon. Pomruk koła zamachowego cichnie.

Akkarat mówi:

— Zamach na Somdeta Chaoprayę spowodował znaczny wzrost wrogości wobec białych koszul. Demonstracje przed Ministerstwem Środowiska. Nawet Związek Megodontów się w to włączył. Ludzie i tak już byli wściekli na zaostrzoną politykę Ministerstwa. Postanowiłem to skapitalizować.

— Ale nie mamy jeszcze naszych zasobów — protestuje Anderson. — Nawet jeszcze nie ściągnęłaś wszystkich sił z północnego wschodu. Moje grupy uderzeniowe będą w stanie wylądować najszybciej w przyszłym tygodniu.

Akkarat wzrusza z uśmiechem ramionami.

— Rewolucje to jeden wielki bałagan. Lepiej łapać okazję, kiedy tylko się przytrafia. Myślę jednak, że będziesz pozytywnie zaskoczony. — Odwraca się z powrotem do korbkowego radiotelefonu. Salę wypełnia miarowy pomruk koła zamachowego, Akkarat rozmawia z kolejnymi podwładnymi.

Anderson wbija wzrok w jego plecy. Ten człowiek, niegdyś tak służalczy w obecności Somdeta Chaoprayi, teraz tu rządzi. Wydaje rozkazy jeden za drugim. Co chwila telefon bzyczy, domagając się znów uwagi.

— To szaleństwo — mruczy Carlyle. — Czy my jeszcze w tym gramy?

— Trudno wyczuć.

Akkarat ogląda się na nich, chce coś powiedzieć, ale tylko przekrzywia głowę.

— Posłuchajcie — mówi. Jego głos pobrzmiewa nabożeństwem.

Nad miastem przetacza się grzmot. Za otwartymi oknami centrum dowodzenia na moment rozbłyska światło, jak błyskawica podczas burzy. Akkarat się uśmiecha.

— Zaczyna się.

XXXIX

Pai czeka na Kanyę w jej gabinecie, gdy wpada gwałtownie przez drzwi.

— Gdzie wszyscy? — pyta, dysząc.

— Rozlokowani w koszarach dla kawalerów. — Wzrusza ramionami. — Wróciliśmy z wioski i usłyszeliśmy, że sprawy się...

— Są tam jeszcze?

— Niektórzy pewnie tak. Usłyszałem, że Akkarat i Pracha mają negocjować.

— Nie! — Kręci głową. — Ściągaj ich, natychmiast. — Biega po pokoju, zbierając zapasowe magazynki. — Mają się zgrupować i uzbroić. Jest mało czasu.

Pai wytrzeszcza oczy na Hiroko.

— Chodzi o nakręcankę?

— Nią się nie przejmuj. Wiesz, gdzie jest generał Pracha?

— Słyszałem, że kontrolował wały, a potem miał rozmawiać ze Związkiem Megodontów o protestach...

Kanya marszczy czoło.

— Zwołaj ludzi. Nie możemy dłużej czekać.

— Zwariowałaś chyba...

Ziemią wstrząsa eksplozja. Na zewnątrz z trzaskiem padają drzewa. Pai skacze na równe nogi, minę ma zszokowaną. Pędzi do okna, wygląda. Zaczyna wyc syrena.

— To Handel — mówi Kanya. — Już tu są.

Łapie sprężynowiec. Hiroko jest nienaturalnie nieruchoma, stoi z przekrzywioną głową niczym nasłuchujący pies. Potem odwraca się nieznacznie, z wyczekującą miną. Kompleksem

trzęsie seria kolejnych wybuchów. Cały budynek dygocze, z sufitu łuszczy się tynk.

Kanya wybiega z gabinetu. Razem z nią parę innych białych koszul, garstka pracujących na nocną zmianę albo nieprzydzielonych do patroli i kordonów na nabrzeżach i lądowiskach. Pędzi korytarzem, tuż za nią Hiroko i Pai, wybiega na zewnątrz.

Noc pachnie kwiatami jaśminu, słodko i intensywnie, a oprócz tego dymem i jeszcze czymś ostrym, czymś, czego nie czuła od czasu, gdy wojskowe konwoje toczyły się po przedwiecznym moście przyjaźni na Mekongu, jadąc na drugą stronę ku wietnamskim rebeliantom...

Przez zewnętrzny mur przebija się czołg.

Metalowy potwór, dwukrotnie wyższy od człowieka, pokryty dżunglowymi plamkami i rzygający dymem z paleniska. Strzela z głównego działa. Lufa błyska, czołg przegina się na gąsienicach. Wieża obraca się, klekocąc trybami, wybiera sobie inny cel. Na Kanyę sypią się odłamki cegieł i marmuru. Pada na ziemię, pod osłonę ściany.

Przez wyłom po czołgu szarżują szturmowe megodonty. W ciemności lśnią ciosy, jeźdźcy są cali w czerni. Garstka białych koszul, która postanowiła bronić swojej siedziby, w półmroku rzuca się w oczy jak blade duchy, łatwe cele. Z grzbietów megodontów dobiega wycie wysokoenergetycznych sprężyn, potem wokół zaczynają świstać dyski. Sypią się betonowe odłamki. Dysk rani ją w policzek Nagle leży, przykryta ciałem Hiroko, która ściągnęła ją na ziemię. Kolejne dyski tną powietrze nad nimi i z trzaskiem wbijają się w ścianę za plecami.

Kolejny wybuch. Hałas wypełnia jej całą głowę. Uświadamia sobie, że chlipie. Wszystkie dźwięki nagle stają się odległe. Trzęsie się ze strachu.

Czołg wtacza się na środek dziedzińca. Obraca się. Wlewają się kolejne megodonty, brodząc w ciżbie także wpadających przez wyłom szturmowców. Są za daleko, żeby ocenić, który z generałów postanowił zdradzić Prachę. Z górnych pięter budynków Ministerstwa dobiegają rozproszone strzały z lekkiej broni. Echem niosą się krzyki, giną pracownicy Ministerstwa. Kanya wyciąga sprężynowiec i celuje. Obok niej archiwista dostaje dyskiem i pada. Kanya starannie mierzy, strzela. Trudno powiedzieć: trafia czy nie. Strzela jeszcze raz. Widzi, że tamten pada. Tłum żołnierzy płynie ku niej jak tsunami. Jaidee pojawia się u jej ramienia.

— A co z twoimi ludźmi? — pyta. — Sprzedasz się tak tanio i zlekceważysz tych chłopaków? Oni polegają na tobie.

Kanya raz jeszcze pociąga za spust. Prawie nic nie widzi. Płacze. Ludzie rozbiegają się po dziedzińcu, plutony podchodzą na zmianę, osłaniając się nawzajem ogniem.

— Pani kapitan, proszę — błaga Hiroko. — Trzeba uciekać.

— Uciekaj ! — ponagla Jaidee. — Jest za późno, żeby walczyć.

Kanya zdejmuje palec z cyngla. Wokół jazgoczą dyski. Przetacza się i pełźnie do drzwi, rzuca się do stosunkowo bezpiecznego wnętrza budynku. Gramoli się na równe nogi, biegnie do wyjścia po drugiej stronie budynku. Wybuchają kolejne pociski. Cały gmach się trzęsie. Ciekawe, czy się nie zawali, zanim przebiegnie na drugą stronę.

Kiedy za Hiroko i Paiem przeskakuje nad zakrwawionymi ciałami, zalewają ją wspomnienia z dzieciństwa. Pamięć zniszczenia i przerażenia. Spalające węgiel czołgi z rykiem przejeżdżające przez wieś i jazgoczące w długich kolumnach po niedobitkach prowincjonalnych brukowanych dróg, a potem ryjące pola ryżowe. Prace nieubłaganie nad Mekong, prujące ziemię gąsienicami, pędzące, by bronić Królestwa przed pierwszymi wietnamskimi atakami z zaskoczenia. Kłębiący się

za nimi czarny dym, gdy idą bronić granicy. Teraz te potwory wjeżdżają tutaj.

Wypada po drugiej stronie Ministerstwa, prosto w burzę ogniową. Płoną drzewa. To chyba atak jakimś rodzajem napalmu. Dym wije się wokół. W oddali kolejny czołg mija brygadę, pędzi szybciej niż jakikolwiek megodont. Trudno ogarnąć, jak szybko się poruszają. Są jak biegające po całym Ministerstwie tygrysy. Ludzie strzelają ze sprężynowców, ale nie są w stanie nic zrobić żelaznym skorupom czołgów — te sprężynowce nie są przystosowane do wojny. Ze wszystkich stron dobiega klekot broni, widać też jaskrawe rozbłyski światła. Srebrzyste dyski świszczą wszędzie wokół, rykoszetując, tnąc. Białe koszule rozbiegają się w poszukiwaniu osłony, ale nie mają dokąd pójść. Na bieli wykwitła czerwień. Innych rozrywają wybuchy. Wjeżdżają kolejne czołgi.

— Kto to j est? ! — krzyczy Pai.

Kanya kręci tępo głową. Dywizja pancerna przedziera się przez płonące drzewa na terenie Ministerstwa Środowiska. Za nimi biegną kolejni żołnierze.

— Muszą być z północnego wschodu. To ruch Akkarata. Pracha został zdradzony.

Szarpie Paia za ramię, wskazuje mu niewielki wzgórek i cienie ocalałych drzew, miejsce gdzie być może stoi jeszcze świątynia Phra Seuba. Może uda im się uciec. Pai wytrzeszcza oczy, ale się nie rusza. Kanya szarpie go jeszcze raz, ruszają, pędzą przez teren. Palmy walą się, zagradzając im drogę, zapalają się z trzaskiem. Z rozdzieranych odłamkami palm kokosowych sypie się zieleń. Powietrze wypełniają krzyki ludzi rozdzieranych przez dobrze nasmarowaną wojenną maszynę.

— I teraz dokąd?! — wrzeszczy Pai.

Kanya nie umie odpowiedzieć. Kuli się gdy zasypują ją drewniane drzazgi, nurkuje pod wątpliwą osłonę zwałonej palmy.

Jaidee zwala się koło niej i szczyrzy się, nawet nie jest spocony. Wygląda zza kłody, potem zerka z powrotem na Kanyę.

— No to jak? Dla kogo pani kapitan będzie teraz walczyć?

XL

Czołg zaskakuje ich wszystkich. W jednej chwili jadą dwiema pedałowymi rikszami przez niemal pustą ulicę, w następnej powietrze wypełnia warkot, a na skrzyżowanie przed nimi wpada czołg. Ma megafon, który coś skrzeczy, pewnie jakieś ostrzeżenia, a potem obraca wieżyczkę w ich kierunku.

— Kryć się! — wykrzykuje Hock Seng, wszyscy gramolą się z rowerów.

Lufa czołgu grzmi. Hock Seng pada na ziemię. Fasada budynku wali się, obsypując ich gruzem. Nad nim kłębią się chmury szarego pyłu. Hock Seng kaszle, próbuje wstać, ale grzechocze karabin, więc znów pada plackiem. W tym pyłe niczego nie widać. Z pobliskiego budynku trzaskają w odpowiedzi strzały z lekkiej broni, czołg znów strzela. Dym nieco się przerzedza.

Chan Śmieszek kiwa na Hock Senga z bocznej uliczki. Włosy ma szare, twarz pokrytą pyłem. Bezgłośnie porusza ustami. Hock Seng szarpie Pak Enga, przedzierają się w bezpieczne miejsce. Odskakuje właz czołgu, pojawia się opancerzony strzelec, strzela ze sprężynowego karabinu. Pak Eng pada, pierś eksploduje mu czerwienią. Peter Kuok wskakuje w zaułek, Hock Seng widzi przez moment, jak ucieka. Sam znów pada na ziemię i próbuje zakopać się w gruzie. Czołg strzela, kołysząc się na gąsienicach. Gdzieś w głębi ulicy grzechoczą strzały z lekkiej broni. Człowiek w wieżyczce obwisa, martwy. Karabin zjeżdża po pancerzu czołgu. Pojazd rusza i z terkotem okręca się na gąsienicach. Wokół wirują śmieci i ulotki. Potem wyrывa do przodu, prosto na Hock Senga, i jeszcze przyśpiesza. Hock

Seng odskakuje, czołg z łoskotem przetacza się obok, obsypując go kolejną porcją śmieci.

Chan Śmieszek gapi się na odjeżdżający pojazd. Coś mówi, ale Hock Sengowi cały czas dzwoni w uszach. Kiwa, pokazując, by do niego dołączył. Hock Seng gramoli się na nogi i kuśtyka we względne bezpieczeństwo *soi*. Chan Śmieszek zwija ręce w trąbkę przy jego uchu. Jego krzyk brzmi jak szept.

— Jaki szybki! Szybszy od megodonta!

Hock Seng kiwa głową. Cały się trzęsie. Tak nagle się pojawił. Szybszy od wszystkiego, co w życiu widział. Technologia starej Ekspansji. A ludzie, którzy nim kierowali, chyba byli stuknięci. Rozgląda się po gruzach.

— Nie mam pojęcia, co oni tu robili. Nie mają tu nic do obrony.

Chan Śmieszek nagle zaczyna się śmiać. Jego słowa przebijają się przez dzwonięcie w uszach.

— Może się zgubili!

I nagle obaj się śmieją, Hock Seng czuje niemal historyczną ulgę. Siedzą w zaułku, odpoczywają, próbują złapać oddech i chichoczą. Powoli powraca mu słuch.

— To gorsze niż Zielone Opaski — mówi Chan Śmieszek, spoglądając na gruzy. — Z nimi chociaż miałeś kontakt. — Krzywi się. — Dało się walczyć. A ci są za szybcy. I za bardzo zwariowani. *Fengle*, co do jednego.

Hock Seng jest skłonny się zgodzić.

— Ale śmierć to śmierć. Wolałbym nie spotkać ani tych, ani tamtych.

— Trzeba bardziej uważać. — Chan wskazuje brodą ciało Pak Enga. — Co z nim zrobimy?

— A co, chcesz zanieść go z powrotem do wieżowca? — mówi dobitnie Hock Seng.

Chan kręci głową, krzywiąc się. Grzmi kolejna eksplozja. Sądząc po odgłosie, zaledwie parę przecznic stąd. Hock Seng unosi głowę.

— Znowu ten czołg?

— Lepiej nie czekajmy, aż się przekonamy.

Ruszają ulicą, trzymając się bram. Na ulicy jest jeszcze parę osób, wszystkie oglądają się w stronę wybuchów. Próbuja ustalić, skąd dochodzą te odgłosy, co się dzieje. Hock Seng wspomina, jak zaledwie parę lat temu stał na podobnej ulicy, czując w powietrzu intensywny zapach morza i obietnice monsunu — w dniu, gdy Zielone Opaski zaczęły swoje czystki. Wtedy ludzie też tak zadzierali głowy, jak gołębie, obracając je ku odgłosom masakry, nagle zdając sobie sprawę, że im też coś grozi.

Przed nimi rozlega się charakterystyczny klekot sprężynowców. Hock Seng gestem poleca Chanowi skrócić w kolejny zaułek. Czuje się za stary na takie głupoty. Powinien leżeć teraz na kanapie, palić opium, a piękna piąta żona powinna masować mu kostki. Za ich plecami ludzie ciągle stoją pośrodku ulicy i gapią się w stronę dochodzących odgłosów bitwy. Ci Tajowie nie mają pojęcia, co robić. Jeszcze nie. Żadnego doświadczenia z prawdziwą jatką. Złe odruchy. Hock Seng skręca do opuszczonego budynku.

— Dokąd? — pyta Chan Śmieszek.

— Chcę się rozejrzeć. Muszę wiedzieć, co się dzieje.

Wchodzi na górę. Jedno piętro, drugie, trzecie, czwarte. Dyszy. Pięć. Sześć pięter. Potem w korytarz. Połamane drzwi, obezwładniająca duchota, smród odchodów. Gdzieś daleko przetacza się kolejna eksplozja.

Przez puste okno widać na tle ciemniejszego nieba łuki pocisków smugowych, z daleka dobiega huk. Trzaskają i terkoczą karabiny, jak sztuczne ognie na święto wiosny. W

kilkunastu miejscach unoszą się słupy dymu. Wijące się *nagi*, czarne na tle zachodzącego słońca. Ładowiska, śluzy, dzielnica fabryk... Ministerstwo Środowiska...

Chan Śmieszek łapie go za ramię i coś pokazuje.

Hock Seng traci dech. Slumsy Yaowarat płoną, rudery z WeatherAll buchają rozszerzającą się kurtyną płomieni.

— *Wode tian* - mruczy Chan. — Już tam nie wrócimy.

Hock Seng gapi się na płonące slumsy, w których miał dom, patrzy z przerażeniem, jak wszystkie jego pieniądze i kamienie zamieniają się w popiół. Los jest kapryśny. Śmieje się ze znużeniem.

— A mówiłeś, że nie mam szczęścia. Gdybyśmy tam zostali, upieklibyśmy się jak prosiaki.

Chan Śmieszek wykonuje drwiące *wai*.

— Pójdę za panem Trzech Bogactw choćby do dziewiątego piekła... Ale co teraz zrobimy?

Pójdziemy aleją Thanona Ramy XII, a potem... Nie widzi nadlatującej rakiety, jest za szybka dla ludzkich oczu. Może wojskowy nakręcaneć miałby czas się przygotować, ale on i Chan Śmieszek po prostu padają, podcięci falą uderzeniową. Budynek po drugiej stronie ulicy się wali.

— Dobra! — Chan Śmieszek łapie Hock Senga i odciąga go w bezpieczne miejsce, na klatkę schodową. — Coś się wymyśli. Nie mam ochoty stracić głowy przez twój widok.

Na nowo ostrożni, przekradają się ulicami w zapadającym zmroku, idąc w stronę dzielnicy przemysłowej. Ulice w końcu pustoszeją — Tajowie uczą się, że otwarta przestrzeń nie jest bezpieczna.

— Co to? — szepcze Chan Śmieszek.

Hock Seng mruży oczy, wpatruje się w ciemność. Trzech mężczyzn kuca przy korbkowym radiu. Jeden ma w rękach antenę, którą trzyma nad głową, próbując złapać falę. Hock

Seng zwalnia, potem kiwa na Chana Śmieszka, żeby też do nich podszedł.

— Co tam mówią? — sapie.

— Widzieliście tę raketę? — pyta jeden z nich. Unosi wzrok.

— Żółte karty — mruczy.

Jego towarzysze zerkają po sobie, zauważywszy maczetę Chana Śmieszka, potem uśmiechają się nerwowo i zaczynają cofać. Hock Seng wykonuje niezdarne *wai*.

— Chcemy tylko się czegoś dowiedzieć.

Jeden z nich spluwa betelem, wciąż patrząc podejrzliwie, ale mówi:

— W radiu jest Akkarat. — Gestem zaprasza do słuchania.

Drugi ponownie unosi antenę do góry, łowiąc szumy.

— ...zostać w domach. Nie wychodzić na zewnątrz. Generał Pracha i białe koszule podjęły próbę obalenia Jej Królewskiej Mości. Naszym obowiązkiem jest bronić państwa... — Głos trzeszczy, zanika, mężczyzna znów zaczyna kręcić gałkami radia.

Drugi kręci głową.

— To wszystko kłamstwa.

Ten od gałek mruczy:

— Ale Somdet Chaopraya...

— Akkarat by zabił samego Rameę, gdyby miał coś na tym zyskać.

Ich kolega opuszcza antenę. Radio zaczyna szumieć, audycja całkiem zanika, gdy się odzywa:

— Parę dni temu przysłała do mojego sklepu biała koszula. Chciał zabrać do domu moją córkę. Jako dar dobrej woli, tak to nazwał. Wszystko to są jaszczurki. Drobne łapówki to jeszcze, ale ci *heeya* by chcieli...

Ziemią wstrząsa następna eksplozja. Wszyscy się odwracają, Tajowie i żółte karty, próbując ustalić, gdzie to było.

Jesteśmy jak małpiatki, które chcą zrozumieć całą wielką dżunglę.

Ta myśl przeraża Hock Senga. Składają do kupy jakieś poszlaki, ale nie mają dla nich kontekstu. Obojętne, ile się dowiedzą, to nigdy nie wystarczy. Mogą tylko reagować na zdarzenia na bieżąco i liczyć na łut szczęścia.

Hock Seng ciągnie Chana za rękaw.

— Chodźmy.

Tajowie już w pośpiechu zbierają radio i chowają się do swoich sklepów. Kiedy ogląda się jeszcze raz, róg ulicy jest pusty, jakby chwila politycznej dyskusji nigdy nie nastąpiła.

Gdy zbliżają się do dzielnicy fabrycznej, walki gęstnieją. Jakby wszędzie byli wojujący ludzie z Ministerstwa Środowiska i armii. A na każdą zawodową jednostkę na ulicy przypadają inne, złożone z ochotników, studentów, cywili i lojalistów, zmobilizowanych przez polityczne stronnictwa. Hock Seng kryje się w bramie, dysząc, słuchając echa wybuchów i strzałów.

— Ja ich w ogóle nie odróżniam — mruczy Chan Śmieszek, gdy obok przebiega grupka studentów, uzbrojonych w krótkie maczety, z żółtymi opaskami na ramionach. Pędzą w stronę czołgu, który jest zajęty ostrzeliwaniem starego wieżowca z czasów Ekspansji. — Wszyscy z tym żółtym.

— Wszyscy manifestują lojalność wobec Królowej.

— A ona w ogóle istnieje?

Hock Seng wzrusza ramionami. Dyski ze sprężynowca studenta odskakują od pancerza czołgu. Machina jest olbrzymia. Hock Seng mimo woli jest pod wrażeniem, że armii udało się przetrwać do stolicy tyle czołgów. Chyba pomogła im marynarka i jej admirałowie. To znaczy, że generał Pracha i jego białe koszule nie mają już żadnych sojuszników.

— Powariowali — mruczy Hock Seng. — To już wszystko jedno, kto jest kto. — Obserwuje ulicę. Boli go kolano, dawne obrażenia spowalniają ruchy. — Dobrze byłoby znaleźć jakieś rowery. Noga mi... — Krzywi się.

— Na rowerze będziesz tak łatwy do ustrzelenia, jak babcia na werandzie.

Hock Seng rozciera kolano.

— Ale ja jestem za stary na to wszystko.

Obsypuje ich gruz z kolejnej eksplozji. Chan Śmieszek wygarnia śmieci z włosów.

— Mam nadzieję, że chociaż ta wycieczka jest tego warta.

— Mogłeś zostać w slumsach i upiec się żywcem.

— To prawda. — Chan Śmieszek kiwa głową. — Ale pośpieszmy się. Lepiej nie nadużywać naszego szczęścia.

Następne ciemne skrzyżowania. Znow przemoc. Rozchodzące się po ulicach plotki. Egzekucje w Parlamencie. Pali się Ministerstwo Handlu. Studenci uniwersytetu Thammasat urządzają wiece poparcia dla Królowej. A potem kolejna audycja radiowa, na nowej częstotliwości — wszyscy gromadzą się wokół metalicznie skrzeczącego głośniczka. Spikerka ma rozdygotany głos. Hock Seng zastanawia się, czy ma przy głowie lufę pistoletu sprężynowego. *Khun Supawadi*. Taka była popularna. Zawsze zapowiadała takie ciekawe audycje. A teraz głos jej drży, gdy błaga rodaków o zachowanie spokoju, kiedy po ulicach pędzą czołgi, opanowując wszystko od lądowisk po nabrzeża. W głośniczku potrzaskuje ostrzał artyleryjski i wybuchy. Parę sekund później eksplozje przetaczają się gdzieś w oddali, jak stłumione grzmoty, idealne echo tych słyszanych w radiu.

— Jest bliżej walk niż my — mówi Chan Śmieszek.

— To dobry znak czy zły? — zastanawia się Hock Seng.

Chan już ma odpowiedzieć, gdy przerywają mu ryki rozwścieczonych megodontów, a potem wycie rozkręcających się karabinowych sprężyn. Wszyscy patrzą wzdłuż ulicy.

— To nie brzmi dobrze.

— Chowajmy się — mówi Hock Seng.

— Za późno.

Zza rogu wylewa się fala ludzi, biegnących, rozkrzyczanych. Goni ich trio megodontów opancerzonych włóknem węglowym. Wymachują przy ziemi potężnymi łbami, kły tną uciekinierów umocowanymi na nich kosami. Ciała rozplątane jak pomarańcze padają jak liście na ziemię.

Z grzbietów otwierają ogień stanowiska karabinów maszynowych. Migotliwe strumienie srebrnych dysków sypią się w zbitą ciżbę ludzi. Hock Seng i Chan Śmieszek kulą się w bramie, ludzie pędzą dalej. Białe koszule pomiędzy nimi ostrzeliwują się ze sprężynowców i jednostrzałowych karabinów, ale dyski nie robią żadnej szkody pancernym potworom. Ministerstwo Środowiska nie ma sprzętu na taką wojnę. Wokół rykoszetują pociski, karabiny maszynowe nadal klekocą. Ludzie krwawią, wiją się, padają na kupę, wrzeszcząc z bólu, tratowani. Ulicę wypełnia duszący pył, dym i woń piżma. Na Hock Senga spada człowiek odrzucony w bok przez megodonta. Z ust cieknie mu krew, ale już nie żyje.

Hock Seng wyczołguje się spod trupa. Coraz więcej ludzi ustawia się i zaczyna strzelać do megodontów. Studenci, myśli Hock Seng, pewnie z Thammasat, ale trudno powiedzieć, wobec kogo są lojalni. Ciekawe, czy w ogóle wiedzą, z kim walczą.

Megodonty szarżują dalej. Wokół Hock Senga tłoczą się ludzie usiłujący zejść im z drogi. Przygniatają go. Nie może oddychać. Próbuje wrzasnąć, zrobić sobie miejsce, ale presja jest zbyt wielka. Wrzeszczy. Desperaccy uciekinierzy napierają na niego, wyciskając z płuc resztkę powietrza. Naciera na nich

megodont. Cofa się i szarżuje jeszcze raz, wbijając się w ludzką ciżbę, wymachując ostrzami na kłach. Studenci rzucają pod megodonty butle oleju, a potem ciskają pochodniami, wirującymi ogniem i światłem...

Ulewa kolejnych dysków. Hock Seng kuli się, gdy plujące srebrem lufy kierują się w jego stronę. W oczy zagląda mu jakiś chłopak, z przekrzywioną żółtą przepaską na zakrwawionej twarzy. Noga eksploduje bólem. Nie wie, czy go postrzelono, czy złamano mu kolano. Krzyczy z frustracji i ze strachu. Ciężar ciała wbija go w ziemię. Umrze, zgnieciony przez trupy. Mimo wszystko nie docenił kapryśności wojny. Myślał, w swojej arogancji, że umie się przygotować. Co za dureń...

Nagle zapada cisza. Dzwoni mu w uszach, ale nic już nie strzela, nie trąbią megodonty. Z dygotem nabiera powietrza pod brzemieniem zwłok. Wokół słyszy tylko jęki i szlochy.

— Ah Chan? ! — woła.

Bez odpowiedzi.

Hock Seng gramoli się spomiędzy ciał. Inni też wstają. Pomagają rannym. On ledwo może stać. Noga promieniuje bólem. Jest cały we krwi. Szuka pomiędzy trupami Chana Śmieszka: nawet jeśli on tam jest, pokrywa go zbyt dużo krwi, trupów też jest za dużo i jest za ciemno, żeby go znaleźć.

Woła go jeszcze raz, rozglądając się po masie ofiar. W głębi ulicy jaskrawo płonie, tryskając gazem w niebo, rozbita metanowa latarnia. Hock Seng podejrzewa, że w każdej chwili może eksplodować, rozpruwając metanowe rury pod ulicami, ale nie jest w stanie wykrzesać z siebie dość energii, żeby się tym przejąć.

Rozgląda się po ciałach. Większość to na oko studenci. Po prostu głupie dzieciaki. Chciały walczyć z megodontami. Odpycha wspomnienia własnych dzieci, które też zginęły i znalazły się na stercie trupów. Masakry z Malezji, widoczne jak na dłoni na tajskim chodniku. Wydiera sprężynowiec z dłoni

martwej białej koszuli, sprawdza stan magazynka. Zostało tylko kilka dysków, ale dobre i to. Pompuje sprężynę, dodając jej energii. Wsuwa broń do kieszeni. Gówniarze bawiący się w wojnę. Dzieciaki, które nie zasługują na śmierć, ale są zbyt głupie, by przeżyć.

Gdzieś w oddali bitwa toczy się dalej, przeniosła się na inne ulice, ku innym ofiarom. Hock Seng kuśtyka ulicą. Wszędzie leżą zwłoki. Dociera do skrzyżowania, kuśtyka po przekątnej, zbyt zmęczony, żeby się bać, że coś go zastanie na otwartej przestrzeni. Po drugiej stronie pod ścianą leży człowiek, a obok niego rower. Ubranie na brzuchu przesiąka mu krwią.

Hock Seng bierze rower.

— To mój rower — mówi tamten.

Hock Seng przystaje, przygląda mu się. Mężczyzna ledwo jest w stanie unieść powieki, wciąż jednak trzyma się złudzenia normalności, idei, że coś takiego jak rower może do kogoś należeć. Hock Seng odwraca się, prowadzi rower chodnikiem. Mężczyzna znów woła:

— To moje! — Ale nie wstaje i nie robi nic, by go powstrzymać, gdy Hock Seng przerzuca nogę przez ramę i stawia stopy na pedałach.

Jeśli nawet coś jeszcze wykrzykuje, Hock Seng już go nie słyszy.

XLI

— Myślałem, że zaczniemy działać dopiero za dwa tygodnie — protestuje Anderson. — Nie wszystko j est j eszcze gotowe.

— Plany się zmieniają. Wasza broń i wsparcie finansowe nadal są dość przydatne. — Akkarat wzrusza ramionami. — Ale zresztą, gdyby w mieście pojawiły się grupy szturmowe *farangów*, to wcale by nie pomogło w łagodnej zmianie władzy. Bardzo możliwe, że ten przyśpieszony harmonogram okaże się lepszy.

Po mieście przetaczają się wybuchy. Metanowy ogień płonie jaskrawą zielenią, potem żółknie, dobierając się do suchego bambusa i innych materiałów. Akkarat przygląda się pożarowi, kiwa na człowieka z radiotelefonem. Szeregowy kręci korbką, a Akkarat mówi cicho, wydając rozkazy załogom straży pożarnej. Ogląda się na Andersona i wyjaśnia:

— Jeśli pożary wymkną się spod kontroli, nie będzie już czego bronić.

Anderson patrzy na rozprzestrzeniający się ogień, połyk pałacowych *chedi*, Świątynię Szmaragdowego Buddy.

— Ten ogień jest koło miejskiej kolumny.

— *Khap*. Nie możemy pozwolić, żeby się spaliła. To byłaby zła wróżba dla nowego reżimu, który ma być silny i patrzeć w przyszłość.

Anderson podchodzi, opiera się o balustradę balkonu. Unieruchomiona dłoń ciągle trochę drga, ale po nastawieniu kości przez wojskowego lekarza czuje się lepiej niż jeszcze parę godzin temu. Ból łagodzi otulająca go warstwa morfiny.

Niebo znów przecina ognisty łuk, rakieta, która ląduje gdzieś daleko, gdzieś na terenie Ministerstwa Środowiska. Aż trudno uwierzyć, jakie siły był w stanie zmobilizować Akkarat, by dojść do władzy. Miał do dyspozycji znacznie więcej, niż się przyznawał. Anderson z udawaną nonszalancją zadaje kolejne pytanie:

— Rozumiem, że ten przyspieszony harmonogram nie wpłynie na warunki naszej umowy.

— W nowej erze AgriGen pozostanie naszym preferowanym partnerem.

Rozluźnia się na te uspokajające słowa, ale kolejne zdanie Akkarata znów stawia go na baczność.

— Oczywiście, sytuacja się trochę zmieniła. Przecież nie udało się wam zapewnić niektórych obiecanych zasobów.

Anderson patrzy nań ostro.

— Mieliśmy terminy. Obiecane siły już tu płyną, podobnie jak broń i finansowanie.

Akkarat uśmiecha się lekko.

— Nie przejmuj się tak. Na pewno jakoś uda się dogadać.

— My nadal chcemy dostępu do banku nasion.

Akkarat wzrusza ramionami.

— Rozumiem twoje stanowisko.

— Nie zapominaj, że Carlyle ma jeszcze pompy, które będą ci potrzebne przed porą deszczową.

Akkarat zerka na Carlyle'a.

— Na pewno uda się dojść do odrębnego porozumienia.

— Nie!

Carlyle szczyrzy zęby, zerka na jednego, na drugiego, potem unosi ręce i się cofa.

— Dogadajcie się sami. Mnie w tym sporze nie ma.

— Tak będzie. — Akkarat wraca do ustaleń bitewnych.

Anderson patrzy zmrużonymi oczyma. Ciągłe mają kilka kart przetargowych. Gwarancje płodnych nasion ostatniej generacji. Ryż, który przez co najmniej dwanaście wysiewów będzie odporny na rdzę pęcherzową. Zastanawia się, jak najlepiej podejść Akkarata, jak z powrotem się z nim dogadać, ale daje mu się we znaki morfina oraz wyczerpanie z ostatnich dwudziestu czterech godzin.

Zawiewa na nich dymem z któregoś pożaru, wszyscy zaczynają kaszleć, dopóki wiatr nie zmieni kierunku. Nad miastem lecą łukiem kolejne pociski smugowe i artyleryjskie, potem rozbrzmiewa odległy grzmot wybuchów.

Carlyle marszczy brwi.

— Co to było?

— Pewnie kompania Kruta. Odrzucili naszą propozycję. Zapewne ostrzeliwują lądowiska w imieniu Prachy — mówi Akkarat. — Białe koszule nie pozwolą, żeby dotarło nasze zaopatrzenie. Za wały też się wezmą, jeśli im pozwolimy.

— Przecież zatopią miasto.

— I to będzie nasza wina. — Akkarat marszczy czoło. — W czasie zamachu dwunastego grudnia ledwo udało się obronić wały. Kiedy Pracha poczuje, że przegrywa — a teraz już chyba ma tego świadomość — białe koszule mogą wziąć miasto na zakładnika, żeby wymusić lepsze warunki kapitulacji. — Wzrusza ramionami. — Szkoda, że jeszcze nie mamy naszych węglowych pomp.

— Jak tylko przestaną strzelać — mówi Carlyle — skontaktuję się z Kolkatą i każę je wysłać.

— Niczego innego się nie spodziewałem. — Zęby Akkarata lśnią.

Anderson walczy, żeby nie patrzeć na nich wilkiem. Nie podoba mu się ta przyjacielska gadka. Całkiem jakby zapomnieli, że trzymał ich w niewoli, jakby Carlyle i Akkarat

byli starymi kumplami. Nie podoba mu się sposób, w jaki Akkarat rozdzielił interesy jego i Carlyle'a.

Przygląda się krajobrazowi, rozważając w myślach opcje. Gdyby tak wiedział, gdzie jest bank nasion, mógłby kazać grupie uderzeniowej wejść do miasta i opanować go w tym chaosie...

Z dołu przesączają się krzyki. Na ulicach kłębią się ludzie, patrzą w stronę zamieszania, wszyscy ciekawi, co przyniesie im ta wojna. Idzie za spojrzeniem zdezorientowanego tłumu. Na tle ognia odcinają się czarne masywy wieżowców z Ekspansji, resztki szyb w oknach połyskują wesoło odbiciem płomieni. Za miastem i pożarem faluje czarny ocean, połać mroku. Z wysoka wały wydają się czymś dziwnie wątlym: pierścień gazowych latarń, a potem już nic, tylko żarłoczna ciemność.

— Naprawdę da się przerwać wały? — pyta.

Akkarat wzrusza ramionami.

— Mają słabe punkty. Planowaliśmy bronić ich dodatkowymi siłami marynarki z południa, ale chyba damy radę je utrzymać.

— A jeśli nie?

— Ludzie nigdy nie wybaczą temu, kto pozwolił zatopić miasto — mówi Akkarat. — Do tego nie można dopuścić. Będziemy walczyć o wały, jakbyśmy byli wieśniakami z Bang Rajan.

Anderson patrzy na pożary i morze w oddali. Carlyle opiera się obok na poręczy. Jego twarz lśni w świetle ognia. Ma na ustach zadowolony uśmiech człowieka, który nie może przegrać. Anderson nachyla się ku niemu.

— Tu może rządzi Akkarat, ale wszędzie indziej AgriGen. — Wbijają wzrok w kupca. — Pamiętaj o tym. — Z przyjemnością patrzy, jak wędnie uśmiech Carlylea.

Echo przynosi kolejne strzały znad miasta. Obserwowana z wysoka bitwa jest całkowicie pozbawiona emocji. Jakby mrówki

wojowały o kupę piasku. Jakby ktoś zrzucił na kupę dwa mrowiska, żeby obserwować starcie prymitywnych cywilizacji. Grzmią moździerze. Pożary migocą i błyskają.

W oddali z ciemnego nieba opuszcza się cień — sterowiec opadający ku pożarom. Płynie nisko nad płomieniami, nagle fragment ognia znika, zalany wodą morską z jego brzucha.

Akkarat patrzy na to z uśmiechem.

— To nasi.

Jednakże po chwili — jakby ogień nie został ugaszony, tylko przeskoczył w powietrze — sterowiec wybucha. Pochłaniają go z rykiem płomienie, fragmenty powłoki płoną i odpadają, trzepocząc, latające monstrum spada na miasto i roztrzaskuje się w drobny mak o budynki.

— Jezus — odzywa się Anderson — na pewno nie chcesz posiłków już teraz?

Twarz Akkarata pozostaje niewzruszona.

— Nie sądziłem, że zdążą rozstawić rakiety.

Miastem wstrząsa potężny wybuch, gaz bucha pod niebo jaskrawozielonym płomieniem. Rozszerza się skłębiona kula ognia. Niewyobrażalna ilość sprężonego gazu rozwija się w grzmiący zielony grzyb.

— To chyba rezerwa strategiczna Ministerstwa Środowiska — rzuca Akkarat.

— Pięknie — mruczy Carlyle. — Pięknie, kurwa, pięknie.

XLII

Hock Seng kryje się w zaułku, gdy po Thanon Phosri pędzą z rykiem czołgi. Wzdryga się na samą myśl o przepalanych ilościach paliwa. Jedna orgia przemocy pochłonie pewnie znaczną część rajskich zapasów oleju napędowego. Powietrze wypełnia węglowy dym, czołgi dorzucają do pieca i ruszają dalej na klekocących gąsienicach. Hock Seng chowa się w śmieciach. Wszystko, co zaplanował, rozpadło się w jednej kryzysowej chwili. Zamiast czekać i udać się na północ ostrożną grupką, pozwolił, by jego bogactwo spłonęło w imię jednego ogromnego ryzyka.

Przestań narzekać, stary durniu. Gdybyś stamtąd nie uciekł, upiekłbyś się razem ze swoimi fioletowymi bahtami i kumplami — żółtymi kartami.

Ubolewa jednak, że nie pomyślał, żeby wziąć ze sobą chociaż trochę starannie zachomikowanego zabezpieczenia na przyszłość. Zastanawia się, czy to jego karma jest tak sponiewierana, że w ogóle nie ma co liczyć, żeby coś mu się udało.

Jeszcze raz wygląda na ulicę. Widzi już biura SpringLife, a co najlepsze — nikt ich nie pilnuje. Pozwala sobie na uśmiech. Białe koszule mają teraz własne zmartwienia. Prowadzi rower ulicą, podpierając się nim jak kulą.

Na terenie firmy chyba przez moment toczyły się jakieś walki. Pod ścianą leżą trzy trupy, na oko rozstrzelane. Ściągnięto im żółte opaski i rzucono na ziemię. Kolejne durne dzieciaki bawiące się w politykę...

Jakiś ruch za nim.

Hock Seng obraca się i dźga lufą prześladowcę. Mai sapie, gdy lufa wbija się w jej brzuch. Piszczący ze strachu, wybałuszając oczy.

— Co ty tu robisz? — szepcze Hock Seng.

Mai odsuwa się spod lufy.

— Przyszłam pana szukać. Białe koszule znalazły naszą wioskę. Ludzie chorują. — Szlocha. — A potem spalili pana dom.

Dopiero teraz widzi że cała jest okopcona i pokaleczona.

— Byłaś w Yaowarat? W slumsach? — pyta wstrząśnięty.

Kiwa głową.

— Miałam szczęście. — Powstrzymuje szloch.

Hock Seng kręci głową.

— A czemu tu przyszłaś?

— Nic innego mi nie przychodziło do głowy.

— Czyli zachorowali jeszcze inni ludzie?

Kiwa głową zalękniona.

— Białe koszule nas wypytywały, nie wiedziałam co powiedzieć, powiedziałam, że...

— Nie przejmuj się. — Hock Seng uspokajająco kładzie dłoń na jej ramieniu. — Białe koszule nie będą już nas nękać. Mają swoje problemy.

— A pan ma... — Urywa. W końcu mówi: — Spalili naszą wioskę. Wszystko spalili.

Żałosna istotka. Taka mała. Taka bezbronna. Wyobraża ją sobie, jak ucieka ze zniszczonego domu, szukając schronienia w ostatnim miejscu, które jej zostało. I trafia w sam środek wojny. Trochę chciałby się pozbyć tego ciężaru, ale wokół poginęło już zbyt wielu ludzi, więc nawet niewyraźnie cieszy się z jej towarzystwa. Kręci głową.

— Głupie dziecko. — Gestem każe jej wejść do fabryki. — Chodź ze mną.

Gdy wchodzi do głównej hali, ogarnia ich potworny smród. Oboje zakrywają twarze, oddychają płytko.

— Kadzie z glonami — mruczy Hock Seng. — Sprężyny się rozkręciły i nie działają wentylatory. Nie ma przewiewu.

Wchodzi po stopniach do biura, popycha drzwi. W pomieszczeniu jest duszno, gorąco i śmierdzi tak samo jak w hali, po wielu dniach bez przepływu powietrza. Otwiera okiennice, wpuszczając nocną bryzę i zapach pożarów. Ponad dachami migoczą płomienie, iskrząc się pośród nocy jak płynące do nieba modlitwy.

Mai staje obok niego, jej twarz oświeca migodiwy blask. Na ulicy pali się płomieniem złamana gazowa latarnia. Pewnie w całym mieście tak się palą. Hock Senga trochę dziwi, że nikt nie zakręcił gazu. Dawno trzeba było to zrobić — a jednak latarnia pali się jasną zielenią, odbijając się w twarzy Mai. Ładna jest, uświadamia sobie. Drobna i ładna. Niewinność uwięziona wśród walczących bestii.

Odwraca się od okna, idzie, kuca przed sejfem. Przypatruje się tarczom i ciężkim zamkom, szyfrom i dźwigniom. Droga rzecz, tyle stali potrzeba na taki sejf. Kiedy miał własną firmę, kiedy Trzy Klipry panowały na Morzu Południowochińskim i Oceanie Indyjskim, miał podobny w swoim gabinecie, zabytek, wyciągnięty ze starego banku, który stracił płynność, wtaszczony prosto ze skarbcza, siłą dwóch megodontów, do biur Kompanii Handlowej Trzy Bogactwa. A ten tutaj stoi i drwi sobie z niego. Trzeba mu zniszczyć zawiasy. To potrwa.

— Chodź ze mną — mówi.

Prowadzi ją z powrotem do hali. Kiedy chce iść do hali obróbki końcowej, Mai zostaje z tyłu. Wręcza jej maskę ochronną.

— To powinno wystarczyć.

— Na pewno?

Wzrusza ramionami.

— No to zostań.

Ale i tak idzie za nim, tam gdzie przechowują kwas do obróbki. Idą ostrożnie. Hock Seng bierze szmatę, żeby odgarnąć zasłony w przejściu, uważa, żeby nic go nie dotknęło. Oddech pod maską jest głośny, chrapliwy, nierówny. W halach panuje bałagan. Były tu białe koszule, robiły kontrolę. Smród gnijących glonów jest intensywny, nawet przez maskę. Hock Seng oddycha płytko, powstrzymując wymioty. Siatki do suszenia pod stropem są całe czarne od wyschniętych glonów. Zwisa z nich parę czarnych, wysuszonych na pieprz macek. Hock Seng opanowuje się, żeby nie robić przed nimi uników.

— Co pan robi? — sapie Mai.

— Szukam przyszłości. — Rzuca jej słaby uśmiezek, a potem zdaje sobie sprawę, że przez maskę nie widzi jego twarzy. Wygrzebuje z szafki rękawice i wręcza jej jedną parę. A potem fartuch. — Pomóż mi z tym. — Wskazuje worek z proszkiem. — Teraz pracujemy dla siebie. Koniec zagranicznych wpływów, jasne? — Powstrzymuje ją, gdy sięga po worek. — Uważaj, nie posyp sobie tym skóry. I żeby nie zetknęło się z potem. — Prowadzi ją z powrotem do biura.

— Co to jest?

— Zobaczysz, mała.

— Tak, ale...

— To czary. Teraz przynieś mi trochę wody z *khlongu*.

Kiedy dziewczynka wraca, Hock Seng bierze nóż i ostrożnie rozcina worek.

— Daj wodę.

Mai przysuwa bliżej wiadro. Zanurza nóż w wodzie, wsuwa go w proszek. Proszek syczy i zaczyna kipieć. Kiedy wyjmuje ostrze, jest w połowie zżarte, stopione i dalej syczy.

Mai wytrzeszcza oczy. Z noża spływa lepki płyn.

— Co to jest?

— Wyspecjalizowane bakterie. *Farangowie* je zrobili.

— To nie kwas?

— Nie. To jest żywe. W pewnym sensie.

Zaczyna smarować sejf nożem. Nóż całkiem się rozpada. Hock Seng się krzywi.

— Potrzebne mi coś innego, coś długiego, żeby to rozsmarować.

— Niech pan poleje sejf wodą — podpowiada Mai — a potem sypnie proszkiem.

Mężczyzna się śmieje.

— Bystra dziewczynka.

Po chwili sejf jest mokry. Hock Seng robi papierowy lejek i sypie proszek wąską stróżką. Tam, gdzie zetknie się z metalem, natychmiast się gotuje. Starzec odstępkuje o krok, przerażony szybkością, z jaką to działa. Powstrzymuje chęć wytarcia rąk.

— Nie dotknij tego gołą skórą — mruczy.

Przypatruje się rękawicom. Jeśli jest na nich choć odrobina, a się zamoczą... Ciarki przechodzą mu po plecach. Mai już cofnęła się na drugą stronę biura i patrzy z lękiem.

Metal spływa z drzwi sejfu, przeżarta i przetrawiona stal odpada płatami, odlatuje jak zmiotana jesiennym wichrem. Jaskrawe nadtopione łuski lądują na tekowych deskach, rozlewając się z sykiem. Palą się dalej, osmalając drewno w kratkowany wzór.

— Nie przestaje — mówi Mai z podziwem.

Hock Seng patrzy z coraz większym niepokojem, zastanawiając się, czy ten drożdżopodobny produkt przeżre podłogę pod sejfem, który spadnie na linię produkcyjną. Odzyskuje głos.

— To jest żywe. Zaraz powinno przestać trawić.

— I *farangowie* robią takie rzeczy. — Głos Mai jest pełen przerażenia i podziwu.

— Nasi też. — Hock Seng kręci głową. — Nie myśl sobie, że *farangowie* są tacy do przodu.

Sejf rozpada się dalej. Gdyby tak wcześniej wykrzesał z siebie trochę odwagi. Mógł to zrobić, kiedy jeszcze za oknami nie toczyła się wojna. Szkoda, że nie może cofnąć się w czasie, wrócić do swojej dawnej postaci, przerażonego paranoika, bojącego się deportacji, gniewu cudzoziemskich diabłów, lękającego się o własną reputację i po prostu szepnąć temu staruchowi do ucha, że nie ma nadziei. Że powinien ukraść co trzeba i zwiać, nic gorszego się nie stanie.

Czy ś głos wyrывa go z zamyślenia:

— No no, Tan Hock Seng. Miło pana widzieć.

Odwraca się. W drzwiach stoi Kundlojebca i Stary Gnat oraz sześciu innych ludzi. Wszyscy ze sprężynowcami w rękach. Są podrapani i osmoleni od ulicznych potyczek, ale uśmiechnięci i pewni siebie.

— Wygląda na to, że mamy podobne pomysły — zauważa Kundlojebca.

Niebo rozjaśnia eksplozja, zalewając biuro pomarańczowym blaskiem. Wstrząs zniszczenia przenosi się przez podeszwy Hock Senga. Trudno powiedzieć, jak daleko to było. Te pociski latają jakby na chybił trafił. Jeśli kieruje nimi jakaś inteligencja, nie im ją ogarniać. Kolejny grzmot, tym razem bliżej. Najpewniej to białe koszule bronią wałów. Hock Seng zwalcza chęć ucieczki. Trawiące żelazo bakterie dalej skwierczą. Płatki metalu spadają na podłogę. Hock Seng bada sytuację.

— Dobrze, że jesteście. Pomóżcie mi. Chodźcie.

Stary Gnat się uśmiecha.

— Chyba nie.

Mężczyźni przepychają się obok Hock Senga. Wszyscy więksi od niego. Wszyscy uzbrojeni. W ogóle nie zwracają uwagi na obecność jego i Mai. Potyka się, gdy go potrącają.

— Ale to jest moje — protestuje. — Nie możecie tego zabrać! To ja wam powiedziałem, gdzie to jest!

Nie zwracają na niego uwagi.

— Nie możecie tego zabrać! — Szuka pistoletu. Nagle lufa łąduje na jego czaszce. To uśmiechnięty Stary Gnat.

Kundlojebca przygląda mu się z zaciekawieniem.

— Jeszcze jedno zabójstwo niewiele zmieni w moim następnym życiu. Nie sprawdzaj mnie.

Hock Seng ledwo jest w stanie opanować wściekłość. Część jego duszy chciałaby i tak strzelić, zetrzeć mu z twarzy to samozadowolenie. Metal sejfu dalej kipi i syczy, odpada, powoli ukazuje się ostatni przedmiot, z jakim wiązał nadzieje. *Nak leng* patrzą na Hock Senga i Starego Gnata. Są wyluzowani, uśmiechnięci. Nie boją się. Nawet nie podnieśli broni. Po prostu patrzą na celującego w nich Hock Senga.

Kundlojebca szczyrzy zęby.

— Znikaj, żółta karto. Zanim zmienię zdanie.

Mai szarpie Hock Senga za rękaw.

— Nieważne, co tam jest, szkoda pana życia.

— Ona ma rację, żółta karto — mówi Stary Gnat. — Nie masz szans wygrać tej walki.

Hock Seng opuszcza pistolet i pozwala Mai się odciągnąć. Wychodzą z biura. Ludzie Pana Łajna patrzą na niego z uśmieškami. Schodzi z Mai schodami, oboje wychodzą z fabryki na zasłane gruzem ulice.

W oddali ryczy z bólu megodont. Zawiewa wiatr, niesie popiół, polityczne ulotki i zapach palonego WeatherAll. Hock Seng czuje się stary. Za stary, żeby jeszcze zmagać się z

przeznaczeniem, które chce go zniszczyć. Wiruje arkusz szeptanki. Nagłówek krzyczy o nakręcankach i morderstwach. Niesamowite, że ta nakręcanka pana Lake'a mogła narobić takich szkód. Wszyscy w mieście jej szukają. Niemal się uśmiecha. Choć jest żółtą kartą, nie ma tak przerabane, jak ta kreatura. Powinien jej podziękować. Gdyby nie ona i wieść o aresztowaniu pana Lake'a, pewnie już by nie żył, spaliby się w slumsach razem z całym swoim nefrytem, pieniędzmi i diamentami.

Powiniennem być wdzięczny.

Czuje jednak presję napierających nań przodków, obciążających go brzemieniem swoich oskarżeń. Wziął to, co zbudowali w Malezji jego ojciec i dziadek, i obrócił to w popiół.

Przytłaczająca porażka.

Na ścianie fabryki trzepocze kolejna szeptanka. Znowu o tej nakręcance, do tego oskarżenia wobec generała Prachy. Pan Lake miał obsesję na punkcie tej nakręcanej dziewczyny. Ciągłe się z nią pieprzył i nie potrafił przestać. Nie potrafił nie sprowadzać jej sobie do łóżka przy każdej okazji. Hock Seng zdziera szeptankę, tknięty nagłym pomysłem.

— Co tam jest? — pyta Mai.

Za stary jestem na to.

Ale serce i tak bije mu szybciej.

— Mam pomysł — mówi. — Jest taka jedna możliwość.

Nowa, bezsensowna iskra nadziei. Nic na to nie poradzi. Musi walczyć, mimo że nic mu nie zostało.

XLIII

Wybuchła pocisk z czołgu. Ziemia i odłamki drewna sypią się Kanyi na głowę. Opuścili budynki Ministerstwa — Kanya nazwała to oddaniem pola, ale w rzeczywistości to odwrot: uciekają jak najszybciej mogą przed nacierającymi czołgami i megodontami.

Jak dotąd ratuje ich tylko jedno: wojsko najwyraźniej skupia się na zajęciu głównego terenu Ministerstwa, a więc koncentruje swoje siły w tym rejonie. Ale i tak napotkali po drodze trzy grupy komandosów idące od południowego muru. Padła wtedy połowa plutonu Kanyi. A teraz jeszcze kolejny czołg, właśnie w chwili gdy mieli się wymknąć boczną bramą. Wjechał w nią i odciął im drogę ucieczki.

Poleciła swoim ludziom wycofać się w zagajniki otaczające świątynię Phra Seuba. Nic z niej nie zostało. Wojenne megodonty stratowały wypiełgnowany ogród. Kolumny świątyni spaliła bomba zapalająca, jak rozwścieczony demon, z wyciem i hukiem, pożerając suchy tek lasu. Muszą się kryć pomiędzy popiołem i wypalonymi kikutami drzew.

Na ich pozycję na wzgórzu spada następny pocisk. Zza czołgu wychodzą kolejni komandosi, rozpadają się na grupki i szturmują biegiem. Wygląda na to, że idą na laboratoria biologiczne. Kanya zastanawia się, czy Ratana nadal tam pracuje, czy w ogóle wie, o toczącej się nad jej głową wojnie. Obok pocisk z czołgu roztrzaskuje kolejne drzewo.

— Wiedzą, że tu jesteśmy, mimo że nas nie widzą — mówi Pai.

Jakby na potwierdzenie jego słów, nad ich głowami pędzi z wizgiem ulewa dysków, wbijających się w spalone pnie, lśniących srebrno na tle czarnego drewna. Kanya gestem rozkazuje ludziom, by się wycofali. Pozostałe białe koszule, w mundurach starannie wysmarowanych sadzą i popiołem, uciekają głębiej w dopalający się las.

Poniżej nich ląduje jeszcze jeden pocisk, syjąc w powietrze płonącymi tekowymi drzazgami.

— Za blisko.

Wstaje i biegnie. Pai tuż za nią. Hiroko wyprzedza ich, kryje się za czarnym obalonym pniem i czeka, aż ją dogonią.

— Wyobrażasz sobie, walczyć z czymś takim? — sapie Pai.

Kanya kręci głową. Nakręcanka już dwa razy ich uratowała. Raz, zauważając ruch cienia podchodzących do nich komandosów, drugi, popychając Kanyę na ziemię, zanim ulewa dysków przecięła powietrze nad jej głową. Ma bystry wzrok, o wiele bystrzejszy niż Kanya i jest porażająco szybka. Ale twarz ma już całą czerwoną, a skórę suchą i parzącą w dotyku. Nie budowano jej na taką wojnę w tropikach i słabnie, choć leją jej wodę na głowę i starają się ochłodzić na wszelkie sposoby.

Gdy Kanya w końcu ją dogania, Hiroko spogląda na nią rozpalonymi gorączką oczyma.

— Muszę się zaraz czegoś napić. Lodu.

— Nie mamy lodu.

— To rzeka. Wszystko jedno co. Muszę wrócić do Yashimoto-samy.

— Nad rzeką wszędzie są walki. — Kanya słyszała od innych, że na wałach jest generał Pracha, próbuje odeprzeć łodzie desantowe marynarki. Walczy ze swoim byłym sprzymierzeńcem, admirałem Noi.

Hiroko wyciąga rozpaloną dłoń.

— Długo nie przetrwam.

Kanya rozgląda się wokół siebie, szukając rozwiązania. Wszędzie trupy. Gorzej niż epidemia, ciała mężczyzn i kobiet porozrywane materiałami wybuchowymi. Jedna krwawa jatka. Nogi, ręce, urwana stopa rzucona na gałąź. Stosy palących się zwłok. Syk napalmu. Klekot sunących po dziedzińcach czołgów, smród węglowych spalin.

— Potrzebne mi radio — mówi.

— Ostatnio Pichai je miał.

Ale Pichai nie żyje i nie wiadomo, gdzie podziało się radio.

Nie uczyli nas takich rzeczy. Mieliśmy walczyć z rdzą pęcherzową, grypą, a nie czołgami i megodontami.

Gdy w końcu znajduje to radio, musi wyjąć je z martwych dłoni. Kręci korbką. Sprawdza kody, używane przez Ministerstwo do wymiany informacji o epidemiach, nie działaniach wojennych. Nic. W końcu mówi otwartym tekstem:

— Mówi kapitan Kanya. Jest tam kto? Odbiór.

Długa pauza. Trzaski i szum. Powtarza to samo. I jeszcze raz. Nic.

A potem:

— Pani kapitan? Mówi porucznik Apichart.

Poznaje głos adiutanta.

— Tak? Gdzie generał Pracha?

— Nie wiemy.

— Nie jest pan z nim?

Kolejna przerwa.

— Chyba nie żyje. — Kaszle. — Puścili gaz.

— To kto teraz dowodzi?

Jeszcze dłuższa pauza.

— Chyba pani, pani kapitan.

— To niemożliwe. A co z piątą?

— Nic nie wiemy.

— Generał Som?

— Znaleziono go w domu, zamordowanego. Tak samo Karnathę i Phailina.

— To niemożliwe.

— Plotki tak mówią. Ale nigdzie ich nie ma, a generał Pracha uwierzył, kiedy dostał tę informację.

— Nie ma innych kapitanów?

— Bhirombhakdi był na lądowiskach, ale teraz widać tam tylko ogień.

— A pan gdzie jest?

— W wieżowcu koło Phraram Road.

— Ilu ma pan ludzi?

— Z trzydziestu.

Kanya rozgląda się z konsternacją po swoich. Sami ranni. Hiroko leży pod ściętym bananowcem, twarz jej płonie jak chiński lampion, oczy ma zamknięte. Może już nie żyje. Przelotnie zastanawia ją myśl: przejmuję się jej losem czy...? Wokół gromadzą się jej ludzie, patrzą. Kanya przygląda się ich żalosnej amunicji. Ranom. Garstka ludzi. Radio trzeszczy.

— Co mamy robić, pani kapitan? — pyta porucznik Apichart.

— Nasza broń nic tym czołgom nie robi. Nie da się...

Kanał rozbrzmiewa szumem.

Od strony rzeki niesie się grzmot potężnej eksplozji.

Szeregowy Sarawut złazi z drzewa.

— Przestali ostrzeliwać nabrzeże.

— Jesteśmy sami — mruczy Pai.

XLIV

Budzi ją cisza. Noc była dla Emiko niekończącym się rozmazanym ciągiem. Okresy snu przerywanego grzmotem wybuchów i wyciem rozkręcających się wysokoenergetycznych sprężyn. Na ulicach jeszcze klekoczą spalające węgiel czołgi, ale teraz wszystko dzieje się gdzieś dalej, walki przeniosły się do innych dzielnic. Na ulicach leżą porzucone ciała, ofiary zamieszek zapomniane pośród prawdziwej wojny.

Nad miastem zapada dziwna cisza. W oknach migocze parę świeczek — to ludzie sprawujący nocne czuwanie nad spustoszone miastem — ale poza tym nie świeci się nic. Nie palą się lampy gazowe, ani na ulicach, ani w domach. Całkowita ciemność. Albo miastu skończył się metan, albo ktoś wreszcie zakręcił główne kurki.

Emiko wygrzebuje się ze śmieci, marszcząc nos z obrzydzeniem na widok łupin melonów i skórek od bananów. Na tle płomiennie pomarańczowego nieba widać kilka słupów dymu, ale nic więcej. Ulice są puste. Nie ma lepszej pory na to, co sobie zaplanowała.

Skupia się na wieżowcu. Sześć pięter nad nią czeka mieszkanie Andersona. O ile uda się jej do niego dostać. Najpierw myślała, że po prostu przebiegnie przez hall i przekradnie się na górę, ale drzwi są zamknięte, a wokół chodzą patrole. Poza tym jest teraz zbyt dobrze znana, by próbować wejść frontem. Istnieje jednak alternatywa.

Gorąco. Potwornie gorąco. Zielony kokos, który znalazła i rozbiła, gdy zapadała noc, jest teraz rzecznym wspomnieniem. Raz jeszcze liczy wznoszące się nad nią balkony. Tam na górze

jest woda. I wiatr. Przetrawanie i tymczasowa kryjówka, jeśli tylko tam dotrze.

Z oddali dobiega grzmot, potem trzaski, jak sztuczne ognie. Nasłuchuje. Lepiej już dłużej nie czekać. Gramoli się na najniższy balkon. Balustrada jest z żeliwnych prętów, podobnie jak piętro wyżej. Podciąga się na pierwszy i drugi balkon, z łatwością wykorzystując pręty jako chwyt.

Wreszcie staje na trzecim balkonie, dysząc z wysiłku. Kręci jej się w głowie od akumulującego się w środku ciepła. Pod nią lśni zapraszająco bruk zaułka. Unosi wzrok ku krawędzi balkonu na czwartym piętrze. Zbiera siły i skacze... w nagrodę otrzymuje pewny chwyt. Podciąga się.

Na czwartym balkonie przysiada na balustradzie, wbija wzrok w piąty. Z wysiłku przegrzewa się coraz bardziej. Nabiera powietrza, skacze. Łapie się palcami. Wisi nad przepaścią. Zerka w dół i od razu tego żałuje. Teraz zaułek jest daleko w dole. Powoli, sapiąc, wciąga się na górę.

W mieszkaniu jest ciemno. Nikt się nie porusza. Emiko szarpie żelazną kratę, licząc na łut szczęścia, ale jest zamknięta. Oddałaby wszystko, żeby się napić teraz wody, połączyć nią twarz i ciało. Przygląda się konstrukcji kraty. Nie ma szans na włamanie.

Jeszcze jeden skok.

Wraca na krawędź balkonu. Dłonie to jedyna część jej ciała, która poci się jak u normalnego człowieka, więc teraz ma je całe tłuste i mokre. Wyciera je co chwila, usiłując osuszyć. Pochłania ją przekrwienie z nadmiaru wysiłku. Pełźnie na krawędź balkonu, balansuje. Kręci się jej w głowie. Przysiada, uspokaja się.

Skacze.

Palce drapią o krawędź balkonu, ześlizgują się. Spada, uderzając w balustradę poniżej. Zebra eksplodują bólem, gdy

przewala się do środka i pada na doniczki z pnącym jaśminem. Ból wybucha także w łokciu.

Leży, pojękując, pomiędzy rozbitymi doniczkami i nocnym aromatem jaśminu. Krew lśni czarno na rękach. Nie potrafi powstrzymać się od jęków. Cała się trzęsie. Spala się z fizycznego zmęczenia.

Podciąga się chwiejnie, ściskając uszkodzone ramię, spodziewając się, że ktoś wybiegnie i ją zaatakuje, lecz mieszkanie za kratą pozostaje ciemne.

Gramoli się na równe nogi, opiera się o balustradę, znów zerka w górę na swój cel.

Głupia dziewczyna. Czemu tak uparcie starasz się przeżyć? Czemu nie skoczyć, nie umrzeć? To takie proste.

Spogląda w ciemny zaułek w dole. Nie umie odpowiedzieć. To coś w genach, zakorzenione tak głęboko, jak jej chęć dogadzania panu. Kolejny raz podciąga się na balustradę, balansuje chwiejnie, ściskając rozdygotaną rękę. Patrzy w górę, modląc się o zmiłowanie do Mizuko Jizo, bodhisattwy nakręcaneek.

Skacze, jedną ręką sięgając po ratunek.

Palce chwytają... i ześlizgują się.

Emiko bierze zamach zranioną ręką, chwyta. Czuje, jak w łokciu pękają ścięgna. Piszczy z bólu, gdy kości rozchodzą się, trzaskają. Szlochając, chrapliwie wdychając i wydychając powietrze, drapie po balustradzie zdrową ręką. W końcu udaje się ją chwycić. Pozwala drugiej ręce zwiisać bezwładnie.

Wisi na jednej ręce wysoko nad ulicę. Ręka jest jednym rozpalonym płomieniem. Stęka cichutko, przygotowuje się do jeszcze jednego wysiłku. Łka urywane i raz jeszcze wyciąga do góry złamaną rękę. Zaciska dłoń na balustradzie.

Proszę. Proszę. Jeszcze trochę.

Obciąża drugie ramię. Biały ból. Urywany oddech piłuje gardło. Zarzuca do góry nogę, maca stopą, szuka punktu zaczepienia dla palców, w końcu zahacza je o pręty. Podciąga się, zrzytając zębami, łkając, nie puszczać.

Jeszcze tylko trochę.

Do jej czoła przywiera lufa sprężynowca.

Emiko otwiera oczy. Broń ściska w drżących rękach dziewczynka. Gapi się na Emiko w przerażeniu.

— Pan miał rację — szepcze.

Za nią majaczy stary Chińczyk, z twarzą w cieniu. Wyglądają za balkon, patrzą na wiszącą

Emiko. Jej palce zaczynają się ześlizgiwać. Ból jest już niemal nie do zniesienia. — Proszę — szepcze Emiko. — Pomóżcie.

XLV

Gazowe oświetlenie w centrum dowodzenia Akkarata nagle się dopala. Anderson, zaskoczony, prostuje się w nagłej ciemności. Walki od jakiegoś czasu mocno osłabły, ale ze światłem dzieje się to samo w całym mieście. Latarnie gazowe Krung Thep migocą i gasną, zielone punkciki znikają jeden po drugim z głównych arterii. Parę stref walk jeszcze mruga żółtym i pomarańczowym płomieniem palącego się WeatherAll, lecz z miasta zniknęła cała zieleń. Pokrywa je czarna koldra, prawie równie ciemna, jak ocean za wałami.

— Co się dzieje? — pyta.

Salę oświetla tylko słaby poblask monitorów komputerów. Akkarat wraca z balkonu. Sala operacyjna kipi aktywnością. Ożywają awaryjne, nakręcane diodowe lampki, rozsiewając po niej światło, oświecając jego uśmiechniętą twarz.

— Zajęliśmy gazownię — mówi. — Kraj jest nasz.

— Jesteś pewien?

— Lądowiska i nabrzeża zabezpieczone. Białe koszule się poddają. Mamy kontakt z ich głównym dowódcą. Będą składać broń i kapitulować bezwarunkowo. Wiadomość idzie teraz przez ich szyfrowane radio. Paru się pewnie nie podda, ale miasto jest nasze.

Anderson pociera połamane zębra.

— To znaczy, że możemy sobie iść?

Akkarat kiwa głową.

— Oczywiście. Jeszcze trochę; oddeleguję ludzi, żeby odprowadzili was do domów. Na ulicach jeszcze czas jakiś może

się coś dziać. — Uśmiecha się. — Myślę, że będziecie bardzo zadowoleni z nowego sposobu zarządzania Królestwem.

Parę godzin później zaganiają ich do windy.

Opadają na parter i odkrywają, że czeka na nich osobista limuzyna Akkarata. Niebo zaczyna jaśnieć.

Carlyle już ma wsiąść do auta, gdy zatrzymuje się i gapi w głąb ulicy, nad którą rozjaśnia się żółta kreska świtu.

— No, tego to nie spodziewałem się zobaczyć.

— Myślałem, że już nie żyjemy.

— Ale jakoś nie za bardzo się przejmowałeś.

Anderson wzrusza ostrożnie ramionami.

— W Finlandii było gorzej. — Wsiadając do auta, znów dostaje ataku kaszlu. Trwa pół minuty i wyczerpuje go. Ociera krew z warg pod czujnym spojrzeniem Carlyle'a.

— Dobrze się czujesz? — pyta Carlyle.

Anderson kiwa głową, delikatnie zamykając drzwi.

— Mam w środku coś poprzerywane. Akkarat dał mi pistoletem po żebrach.

Carlyle mu się przypatruje.

— Na pewno czegoś nie złapałeś?

Anderson parska śmiechem, od czego bolą go żebra.

— Pracuję dla AgriGenu. Jestem zaszczepiony na choroby, które nawet nie zostały jeszcze wypuszczone.

Samochód przyspiesza, oddalając się od krawężnika w eskorcie sprężynowych skuterków. Roją się wokół limuzyny z węglowym dieslem. Anderson rozpiera się wygodniej na siedzeniu, patrzy na przesuwające się za szybą miasto.

Carlyle w zamyśleniu postukuje w skórzany podłokietnik.

— Muszę sobie taką skombinować. Jak popłyną towary, będę miał masę kasy do wydania.

Anderson kiwa głową, rozkojarzony.

— Zaraz trzeba będzie zacząć dowozić kalorie. Pomoc humanitarna, klęska głodu. Chciałbym tymczasowo wynająć twoje sterowce. Ściągniemy U-Tex z Indii. Damy Akkaratowi coś, żeby mógł się pochwalić. Korzyści z otwarcia rynku i inne takie. Szeptanki zapieją z zachwytu. Umocni się.

— Nie możesz po prostu cieszyć się chwilą? — Carlyle się śmieje. — Nie za często uciekasz przed czarnym kapturem. Pierwsza rzecz, to załatwimy sobie jakąś whiskey i kawałek dachu, siądziemy i będziemy, kurna, patrzeć, jak słońce wschodzi nad krajem, który właśnie sobie kupiliśmy. I to najpierw. Reszta tego szajsu może poczekać do jutra.

Limuzyna skręca na Phraram I Road, eskorta wyprzedza ich, tocząc się przez szybko jaśniejące miasto. Zjeżdżają z wiaduktu i objeżdżają ruinę wieżowca z Ekspansji, który zawalił się podczas walk. Paru ludzi szabruje ruiny, ale nie są uzbrojeni.

— Skończyło się — mruczy Anderson. — Tak po prostu.

Czuje się zmęczony. Z krawężnika zwisają na jezdnię trupy dwóch białych koszul, bezwładne jak szmaciane lalki. Obok stoi sęp, podkrada się coraz bliżej. Anderson delikatnie dotyka żeber, nagle ciesząc się, że żyje.

— To gdzie można dostać tę whiskey?

XLVI

Stary Chińczyk i dziewczynka kucają z dala od niej, obserwując uważnie, jak pije wodę. Emiko zdziwiła się, kiedy stary pozwolił dziewczynce pomóc jej wgramolić się na balkon. Lecz teraz, gdy jest bezpieczna, wciąż celuje w nią ze sprężynowca — Emiko rozumie, że nie motywowało go dobre serce.

— Naprawdę ich pozabijałaś? — pyta.

Emiko ostrożnie unosi szklankę i znów pije. Gdyby nie była tak obolała, nawet cieszyłaby się, że się jej boją. Po wodzie jest jej dużo lepiej, mimo że prawa ręka leży bezwładna i opuchnięta. Stawia szklankę na podłodze i ściska uszkodzony łokieć. Oddycha płytko, czując ból.

— Tak czy nie? — pyta jeszcze raz.

Wzrusza lekko ramionami.

— Byłam szybka. A oni wolni.

Mówią po mandaryńsku; Emiko nie używała tego języka od czasów Gendo-samy. Angielski, tajski, francuski, mandaryński, księgowość, protokół dyplomatyczny, urządzenie przyjęć, podejmowanie gości... Tylu umiejętności już nie wykorzystuje. Kilka minut trwało, zanim pamięć o tym języku wypłynęła na wierzch, ale potem już nie znikwała, jak jakaś kończyzna, która zanikła od długiego nieużywania, a potem magicznie okazała się silna. Ciekawe, czy złamana ręka też się tak szybko zagoi, czy jej ciało kryje w sobie jeszcze jakieś niespodzianki.

— Ty jesteś tym sekretarzem, żółtą kartą z fabryki — mówi.

— Hock Seng, tak? Anderson-sama mówił mi, że uciekłeś, kiedy przyszły białe koszule.

Stary Chińczyk wzrusza ramionami.

— Ale wróciłem.

— Dlaczego?

Szczerzy zęby.

— Człowiek trzyma się starych śmieci.

Na zewnątrz dudni eksplozja. Wszyscy zerkają w stronę, z której dochodzi dźwięk.

— Chyba się kończy — szepcze dziewczynka. — To pierwsza od ponad godziny.

Emiko myśli, że przy drobnej nieuwadze obojga, mogłaby łatwo ich zabić, nawet mając złamaną rękę. Ale jest taka zmęczona. Zmęczona niszczeniem. Zmęczona mordowaniem. Za balkonem miasto bucha dymem na tle rozjaśniającego się nieba. Całe miasto rozdarte na strzępy przez... co? Przez nakręcankę, która nie знаła swojego miejsca.

Zamyka oczy, czując tę hańbę. Niemal widzi marsową dezaprobatę Mizumi-sensei.

Zdumiewające, że ta kobieta w ogóle jeszcze ma nad nią władzę. Chyba nigdy nie uwolni się od swojej dawnej nauczycielki. Mizumi jest jej częścią, tak jak te niewydolne pory na skórze.

— Chcecie dostać za mnie nagrodę? — pyta. — Zarobić na złapaniu mordercy?

— Tajowie bardzo chcą cię dopaść.

Szczękają zamki mieszkania. Wszyscy unoszą wzrok, gdy przez drzwi wkuśtykują Anderson— sama i jakiś drugi *gaijin*. Twarze mają całe w ciemnych siniakach, ale są uśmiechnięci, roześmiani. Obaj stają jak wryci. Wzrok Andersona—samy przeskakuje z Emiko na staruszkę, na pistolet, który teraz celuje w niego.

— Hock Seng?

Drugi *gaijin* cofa się i chowa za Andersona—samę.

— Co, kurna?

— Dobrze pytanie. — Anderson-sama rozgląda się po scenie przed sobą. Bładoniebieskie oczy patrzą taksująco.

Mała Mai odruchowo pozdrawia cudzoziemca gestem *wai*. Emiko niemal parska śmiechem. Aż za dobrze zna to automatyczne okazywanie szacunku.

— Hock Seng, co ty tu robisz? — pyta Anderson-sama.

Hock Seng rzuca mu wąski uśmiezek.

— Nie cieszy się pan ze złapania morderczyni Somdeta Chaoprayi?

Anderson-sama nie odpowiada, przenosi tylko wzrok z Hock Senga na Emiko i z powrotem. W końcu pyta:

— Jak się tu dostaliście?

Hock Seng wzrusza ramionami.

— To w końcu ja znalazłem to mieszkanie dla pana Yatesa. Sam dawałem mu klucze.

Anderson-sama kręci głową.

— To był dureń, nie?

Hock Seng pochyla głowę.

Emiko mrozi świadomość, że ta konfrontacja może się obrócić tylko przeciwko niej. Tylko ona jest tu kompletnie zbędna. Jeśli będzie szybka, może uda jej się po prostu wyrwać pistolet z ręki staruszka. Tak jak pozabierała je tym powolnym ochroniarzom. Będzie bolało, ale da się zrobić. Ten stary Chińczyk nie ma z nią szans.

Drugi *gaijin* bez słowa wykrada się za drzwi, Emiko zaś stwierdza z zaskoczeniem, że Anderson-sama w ogóle się nie wycofuje. Wchodzi w głąb pokoju z uniesionymi dłońmi, wnętrzem do nich. Jedna jest zabandażowana. Ton głosu ma uspokajający.

— Czego chcesz, Hock Seng?

Chińczyk cofa się, trzymając się na dystans od *gaijina*.

— Niczego. — Wzrusza nieznacznie ramionami. — Aby zabójca Somdeta Chaoprayi poniósł sprawiedliwą karę. I tyle.

Anderson-sama parska śmiechem.

— Bardzo ładnie. — Odwraca się, ostrożnie siada na sofie. Stęka, krzywi się, opierając plecy. Znów się uśmiecha. — A naprawdę?

Hock Seng krzywi usta, w reakcji na własny żart.

— Tego co zawsze. Przyszłości.

Gaijin kiwa z namysłem głową.

— Myślisz, że ta dziewczyna ci to zapewni? Że dostaniesz ładną nagrodę?

— Na pewno złapanie zamachowca, który podniósł rękę na Pałac, da mi tyle, żebym mógł odbudować swoją rodzinę.

Anderson-sama nic nie mówi, patrzy tylko zimnymi błękitnymi oczyma na Hock Senga. Zerka na Emiko.

— Ty go zabiłaś? Naprawdę?

Część jej duszy chciałaby skłamać. Widzi po oczach, że i on chciałby usłyszeć to kłamstwo, lecz nie potrafi wykrztusić tych słów.

— Przykro mi, Anderson-sama.

— I wszystkich tych ochroniarzy?

— Zadawali mi ból.

— A ja w to nie wierzyłem. Myślałem, że Akkarat to wszystko zaaranżował. Ale potem zeskoczyłaś z tego balkonu. — Niepokojące błękitne oczy dalej się jej przyglądają. — Jesteś wyszkolona do zabijania?

— Nie! — Wzdryga się, wstrząśnięta tym podejrzeniem. Pośpiesznie wyjaśnia: — Nie wiedziałam. Bolało mnie. Byłam zła. Nie wiedziałam... — Czuje wszechogarniające pragnienie płaszczenia się przed nim. Przekonania go, że jest lojalna. Walczy z tym instynktem, widząc, że to geny każą jej położyć się na plecach i odsłonić brzuch.

— Czyli nie jesteś wyszkolonym zabójcą? — pyta. —
Wojskową nakręcanką?

— Nie. Nie wojskową. Proszę. Uwierz mi.

— Ale i tak jesteś niebezpieczna. Gołymi rękami ukręciłaś
głowę Somdetowi Chaoprayi.

Emiko chce protestować, powiedzieć, że nie jest kimś takim,
że to nie była ona, ale słowa więzną jej w gardle. Może tylko
wyszeptać:

— Nie urwałam mu głowy.

— Ale gdybyś chciała, mogłabyś nas wszystkich pozabijać.
Zanim w ogóle byśmy się zorientowali. Zanim Hock Seng
zdążyłby podnieść pistolet.

Na te słowa Hock Seng przenosi lufę z powrotem na nią.
Żałośnie wolno.

Emiko kręci głową.

— Ale nie chcę — mówi. — Chcę tylko sobie pójść. Na
północ. To wszystko.

— Ale i tak jesteś niebezpieczna — stwierdza Anderson-
sama. — Dla mnie. I dla innych ludzi. Gdyby ktoś mnie teraz z
tobą zobaczył. — Kręci głową, krzywi się. — O wiele więcej
jesteś teraz warta martwa niż żywa.

Emiko zbiera energię, przygotowuje się na nadejście
nieznośnego bólu. Najpierw Chińczyk, potem Anderson-sama.
Może tą małą nie...

— Przykro mi, Hock Seng — mówi stanowczo Anderson-
sama. — Nie dostaniesz jej.

Emiko wstrząśnięta wytrzeszcza oczy na *gaijina*.

Chińczyk parska śmiechem.

— A co, powstrzyma mnie pan?

Anderson-sama kręci głową.

— Hock Seng, czasy się zmieniają. Przyjdą moi ludzie. Dużą
siłą. Wszystkie losy się odmienią. To już nie będzie tylko

fabryka. Będą kontrakty na kalorie, na transport towarów, ośrodki badawczo-rozwojowe, negocjacje handlowe... Od jutra wszystko się zmienia.

— I mój statek też ta fala poniesie?

Anderson-sama śmieje się, potem krzywi z bólu, dotykając żeber.

— Jak nigdy. Takich ludzi jak ty potrzeba będzie jak nigdy.

Stary przenosi wzrok z Andersona-samy na Emiko.

— A co z Mai?

Anderson-sama kaszle.

— Hock Seng, przestań przejmować się drobiazgami. Będziesz miał niemal nieograniczone konto na wydatki. Zatrudnisz ją. Albo weźmiesz z nią ślub. Mnie to nie obchodzi. Co sobie zechcesz. Cholera, nawet Carlyle na pewno by coś dla niej znalazł, jeśli nie widzisz jej jako swojego pracownika. — Odchyła się i wykrzykuje na korytarz: — Wiem, że tam stoisz, tchórze! Wyłaź!

Gaijin Carlyle odkrzykuje:

— Naprawdę będziesz chronić tę nakręcankę?! — Wygląda ostrożnie zza futryny.

Anderson-sama wzrusza ramionami.

— Bez niej nawet nie byłoby pretekstu do tego zamachu. — Rzuca jej krzywy uśmiezek. — To jest coś warte. — Wraca wzrokiem do Hock Senga. — No? Jak myślisz?

— Przysięgnie pan, że to prawda? — pyta stary.

— Jeśli nie dotrzemy słowa, zawsze możesz później na nią donieść. Nigdzie nie ucieknie. Nie teraz, kiedy wszyscy wypatrują nakręcanego zamachowca. Jeśli się dogadamy, wszyscy skorzystamy, wszyscy co do jednego. No posłuchaj, Hock Seng. To łatwa decyzja. Tym razem dla odmiany wszyscy wygrywają.

Hock Seng waha się, potem zdecydowanie kiwa głową i opuszcza broń. Emiko czuje nagłą falę ulgi. Anderson się uśmiecha. Zwraca się do niej, jego twarz łagodnieje.

— Teraz wszystko się zmieni. Ale nikt nie może cię zobaczyć. Za dużo jest ludzi, którzy nigdy ci nie wybaczą. Rozumiesz?

— Tak, nikt mnie nie zobaczy.

— Świetnie. Kiedy się trochę uspokoi, pomyślimy, jak cię stąd wyciągnąć. Na razie tu siedzisz. Rękę się opatrzy. Zamówię gdzieś skrzynkę lodu. Może być?

Ulga jest niemal obezwładniająca.

— Tak. Dziękuję. Bardzo miło z twojej strony.

Anderson-sama się uśmiecha.

— Gdzie ta whiskey, Carlyle? Pora na toast. — Wstaje, marszcząc czoło, i wraca z kompletem szklanek i butelką. Stawiając szkło na małym stoliczku, zaczyna kaszleć.

— Cholerny Akkarat — mamrocze i znów kaszle, basowo, chrapliwie.

Nagle zgina się wpół. Miotają nim kolejne ataki kaszlu, mokrego, grzechotliwego. Podpiera się dłonią o stolik, który przechyla się i przewraca.

Emiko przygląda się, jak szklanki i butelka whiskey suną ku krawędzi stołu i spadają z niej. Lecą bardzo powoli, lśnić w promieniach wschodzącego słońca. Bardzo ładne, myśli. Takie czyste i błyszczące.

Rozbijają się o podłogę. Anderson-sama nadal spazmatycznie kaszle. Zwała się na kolana pomiędzy odłamki szkła. Próbuje wstać, ale łapie go kolejny spazm. Zwija się w kłębek na boku.

Gdy kaszel w końcu ustępuje, patrzy na Emiko, błękitne oczy wyzierają z zapadniętych jam.

— Akkarat nieźle mnie urządził — chrypi.

Hock Seng i Mai się cofają. Carlyle zakrywa usta ręką, przerażone oczy wyglądają zza zgiętego łokcia.

— Jak ci w fabryce — szepce Mai.

Emiko kuca obok *gaijina*.

Nagle wydaje się mały i wąty. Niezdarnie wyciąga do niej rękę, Emiko ujmuje ją. Anderson— sama ma krew na ustach.

XLVII

Oficjalna kapitulacja odbywa się na placu defiladowym przed Wielkim Pałacem. Akkarat czeka, by powitać Kanyę i przyjąć *khrab* posłuszeństwa. W porcie już stoją statki AgriGenu i rozładowują ryż U-*Tex* i SoyPro na nabrzeża. Jałowe nasiona monopoli kalorycznych — część od razu posłuży do nakarmienia ludzi, reszta trafi do rolników na następny siew. Kanya, z miejsca gdzie stoi, widzi łopoczące nad krawędzią wału firmowe żagle z czerwonym herbem z kłosem pszenicy.

Rozeszły się plotki, że ceremonię zaszczyli sama Królowa, by scementować nowy rząd z Akkaratem na czele, więc tłumy są większe niż oczekiwano. Ale w ostatniej chwili zawiadomiono, że Królowa jednak się nie pojawi, wszyscy stoją więc w skwarze pory suchej, która już trwa stanowczo za długo, pocą się i gotują, a Akkarat przy wtórze śpiewu mnichów wstępuje na podwyższenie. Składa przysięgę jako nowy Somdet Chaopraya, przyrzekając chronić Królestwo pośród niepokoїв i stanu wojennego, a potem odwraca się i staje twarzą do ustawionego w szyku wojska, cywilów i resztki białych koszul pod wodzą Kanyi.

Pot spływa Kanyi po skroni, ale ona ani drgnie. Choć poddała Akkaratowi Ministerstwo Środowiska, i tak chce przedstawić je tutaj od najlepszej, najbardziej zdyscyplinowanej strony, stoi zatem na baczność, spocona, obok w pierwszym szeregu Pai z wystudiowanym brakiem wyrazu na twarzy.

Nieco za Akkaratem miga jej obserwujący ceremonię Narong. Wita ją delikatnym skłonieniem głowy — robi, co może, by nie wrzasnąć na niego, nie wykrzyknąć, że całe to spustoszenie to jego wina. Bezmyślne, bezsensowne i zbędne.

Zaciska zęby, poci się i wwierca się swoją nienawiścią w czoło Naronga. Głupota. Naprawdę nienawidzi siebie samej. Oficjalnie podda Akkaratowi resztkę swoich najlepszych ludzi i będzie patrzeć, jak rozformowuje się białe koszule.

Jaidee stoi obok niej, patrząc z namysłem.

— Masz coś do dodania? — mruczy Kanya.

Jaidee wzrusza ramionami.

— Zabrali mi resztę rodziny. Podczas walk.

— Przykro mi to słyszeć. — Kanya żałuje, że nie może wyciągnąć ręki. Dotknąć go.

Jaidee uśmiecha się smutno.

— To wojna. Ciągłe próbowałem wbić ci to do głowy.

Chciałaby odpowiedzieć, ale przyzywa ją Akkarat. Czas na jej poniżenie. Jakże go nienawidzi. Jak to możliwe, że jej młodzieńczy gniew tak się ulotnił? Jako dziecko przysięgła, że zniszczy białe koszule, teraz jednak zwycięstwo cuchnie jak pożar w siedzibie Ministerstwa. Wspina się po stopniach, pada w *khrab*. Akkarat trzyma ją na ziemi przez dłuższą chwilę. Słyszy, jak przemawia nad jej głową.

— To naturalne, że bolejemy nad stratą takiego człowieka jak generał Pracha — mówi do tłumu. — Choć nie był lojalny, był człowiekiem z pasją i choćby za samo to winni jesteśmy mu szacunek. Należy mu pamiętać nie tylko ostatnie dni. Przez wiele lat trudził się dla dobra Królestwa. Pracował, aby ocalić ludzi w czasach wielkiej niepewności. Na jego ciężką pracę nie można powiedzieć złego słowa, mimo że na koniec zdarzyło mu się zbłądzić. — Wstrzymuje się na moment, po czym dodaje: — My, Królestwo, musimy teraz leczyć rany. — Rozgląda się po zgromadzonych. — W tym duchu życzliwości, z przyjemnością ogłaszam, że Królowa zgodziła się na moją prośbę: wszyscy uczestnicy walk, którzy walczyli po stronie generała Prachy, popierając jego próbę zamachu stanu, zostają objęci amnestią.

Bezwarunkowo. Ci, którzy nadal chcą pracować w Ministerstwie Środowiska: liczę, że dalej będziecie z dumą wykonywać swoją pracę. Stoją przed nami różne problemy, nie wiemy także, co przyniesie przyszłość.

Gestem poleca Kanyi wstać i podchodzi do niej.

— Pani kapitan, mimo że walczyła pani przeciwko Królestwu i Pałacowi, ułaskawiam panią. I nie tylko. — Przerzywa. — Musimy się pogodzić. Wszyscy, jako królestwo i jako naród, musimy się pogodzić. Wyciągnąć do siebie ręce na zgodę.

Kanya czuje skurcz w żołądku, mdłości, obrzydzenie całą tą ceremonią. Akkarat kończy:

— Ponieważ jest pani najwyższym stopniem oficerem w Ministerstwie Środowiska, stawiam panią na jego czele. Pani obowiązki nie zmieniają się. Chronić Królestwo i Jej Królewską Mość.

Kanya wytrzeszcza oczy na Akkarata. Stojący za nim Narong uśmiecha się nieznacznie. Pochyla głowę na znak szacunku. Zszokowana Kanya składa dłonie w *wai*. Akkarat się uśmiecha.

— Pani generał, może pani pozwolić swoim ludziom odmaszerować. Jutro musimy znów wziąć się za odbudowę.

Wciąż niezdolna do wykrztuszenia słowa, powtarza gest *wai* i odwraca się. Pierwsza próba wydania rozkazu brzmi jak skrzek. Przelyka ślinę i raz jeszcze rozkazuje łamiącym się głosem. Ludzie patrzą na nią z dołu, równie zaskoczeni i niepewni jak ona. Przez chwilę obawia się, że dostrzegają w niej oszustkę, że nie usłuchają. Wtem szeregi białych koszul jak jeden mąż wykonują zwrot. Odmaszerowują, błyszcząc w słońcu białymi mundurami. Jaidee maszeruje razem z nimi. Ale zanim odejdzie, pozdrawia ją *wai*, jakby naprawdę była generałem, i to boli ją bardziej niż wszystko dotąd.

XLVIII

— Rozchodzą się. Koniec.

Anderson pozwala głowie opaść na poduszkę.

— Więc wygraliśmy.

Emiko nie odpowiada. Wciąż patrzy ku odległemu placowi defiladowemu.

Zza okna pali poranne słońce. Anderson dygoce. Zmarznięty, cieszy się z powodzi ciepła. Cały spływa potem. Emiko kładzie mu dłoń na czole, a on z zaskoczeniem stwierdza, że wydaje mu się chłodna.

Unosi na nią wzrok zamglony gorączką i chorobą.

— Jest tu jeszcze Hock Seng?

Emiko kręci ze smutkiem głową.

— Twoi ludzie nie są lojalni.

Anderson niemal parska śmiechem. Nie udaje mu się odkryć. Emiko pomaga mu odgarnąć koce.

— No, nie są. — Z powrotem odwraca twarz do słońca, chłonie je, kąpie się w nim. — Ale ja wiedziałem. — Pośmiałyby się jeszcze, gdyby nie był tak zmęczony. Gdyby nie miał wrażeń, że ciało mu się rozpada.

— Chcesz jeszcze wody? — pyta ona.

Pomysł do niego nie przemawia. Nie jest spragniony. Wczoraj wieczorem był. Kiedy przyszedł wezwany przez Akkarata lekarz, mógłby wypić cały ocean. Ale teraz już nie.

Zbadawszy go, lekarz poszedł sobie, ze strachem w oczach, mówiąc, że przyśle tu ludzi. Że trzeba zawiadomić Ministerstwo Środowiska. Że przyjdą białe koszule i odprawią nad nim jakąś czarną kwarantannową magię. Emiko przez cały

ten czas się chowała, a kiedy doktor poszedł, czuwała przy Andersonie dniem i nocą.

Przynajmniej tak mu się wydaje — pamięta tylko oderwane momenty. Śnił. Halucynował. Przez jakiś czas siedział przy nim Yates. Zaglądał mu w oczy i pytał, czy już rozumie. Anderson próbował odpowiedzieć, ale gardło miał suche. Nie mógł wydobyć słowa. Yates z tego też się śmiał i pytał go, co sądzi o nowo przybyłym przedstawicielu handlowym AgriGenu, który zaraz zajmie jego niszę. Jakby Anderson bardziej niż on lubił być przez kogoś wypierany. A potem przyszła Emiko z chłodną szmatką i był jej wdzięczny, rozpaczliwie wdzięczny za jakąkolwiek troskę, za ludzkie podejście... i śmiał się słabo z tego paradoksu.

Teraz patrzy zamglonym wzrokiem na Emiko, myśli o długach, jakich narobił, i zastanawia się, czy pożyje na tyle długo, żeby zdążyć je pospłacać.

— Wyciągniemy cię stąd — szepcze.

Ogarnia go nowa fala dreszczy. Przez całą noc było mu gorąco, teraz nagle marznie, trzęsąc się, jakby wrócił na Górny Środkowy Zachód w sam środek mroźnej zimy, jakby patrzył na śnieg. Teraz jest mu zimno, nie chce mu się już pić i nawet dotykające twarzy palce nakręcanki wydają się lodowate.

Delikatnie odpycha jej dłoń.

— Jest tu jeszcze Hock Seng?

— Wypalasz się. — Twarz Emiko jest pełna obaw.

— Przyszedeł? — pyta Anderson. To bardzo ważne, żeby przyszedł. Żeby Hock Seng był tutaj, razem z nim, w jednym pokoju. Choć nie bardzo pamięta dlaczego. Ale to ważne.

— Chyba nie przyjdzie — mówi ona. — Dostał od ciebie wszystkie listy, jakie chciał. Polecające. Już pracuje z waszymi ludźmi. Z nową przedstawicielką. Tą panią Boudry.

Na balkonie pojawia się cheshire. Miauczy i wślizguje się do środka. Emiko najwyraźniej go nie zauważa, albo się nim nie przejmuje, ale w końcu ona i kot są kuzynami. Pokrewnymi stworzeniami, stworzonymi przez tych samych nieudolnych bogów.

Anderson patrzy tępo, jak kot idzie przez sypialnię i rozplywa się w drzwiach. Gdyby nie był tak słaby, rzuciłby czymś w niego. Wzdycha. Ma to już za sobą. Jest zbyt zmęczony, żeby narzekać na jakiegoś kota. Pozwala wzrokowi wrócić na sufit, ku powolnemu wirowaniu nakręcanego wiatraka.

Chciałby nadal się złościć. Ale nawet to minęło. Najpierw, kiedy odkrył, że jest chory, kiedy Hock Seng i ta dziewczyna uciekli w przerażeniu, pomyślał, że powariowali. Że przecież nie był narażony na jakiegokolwiek wektory, ale potem, popatrzawszy na ich lęk i pewność, zrozumiał.

— Fabryka? — szepnął, powtarzając słowa Mai, a Hock Seng kiwnął głową, zakrywając twarz dłonią.

— Obróbka końcowa albo kadzie z glonami — mruknął.

Wtedy Anderson czekał, aż przyjdzie złość, lecz choroba już wysysała zeń wszystkie siły. Był w stanie przywołać tylko tępą wściekłość, która szybko się wypaliła.

— Ktoś przeżył?

— Jedna osoba — szepnęła dziewczynka.

On zaś kiwnął głową i wymknęli się z pokoju. Cały Hock Seng. Zawsze jakieś tajemnice. Ciągle coś knuje i planuje. Ciągle czeka...

— On przyjdzie? — Z trudnością wykrztusza słowa.

— Nie przyjdzie — szepcze Emiko.

— Ale ty jesteś.

Wzrusza ramionami.

— Ja jestem Nowym Człowiekiem. Nie boję się waszych chorób. Ale on nie przyjdzie. Ani ten cały Carlyle.

— Przynajmniej ciebie zostawili w spokoju. Tu dotrzymali słowa.

— Może — mówi ona bez przekonania.

Anderson zastanawia się, czy ma rację. Czy mylił się co do Hock Senga, jak mylił się w wielu innych sprawach. Czy cała jego wiedza o tym kraju była błędna. Odpycha ten niepokój od siebie.

— Dotrzyma słowa. To człowiek interesu.

Emiko nie odpowiada. Cheshire wskakuje na łóżko. Odgania go, ale on znów wskakuje, chyba wyczuwając w nim przyszłą padlinę. Anderson usiłuje podnieść rękę.

— Nie — stęka. — Niech zostanie.

XLIX

Ludzie AgriGenu odmaszerowują z nabrzeża. Kanya ze swoimi stoi na baczność, warta honorowa dla demonów. *Farangowie* stoją i mrużą oczy od tropikalnego słońca, rozglądając się po mieście, które pierwszy raz widzą na oczy. Bezceremonialnie pokazują sobie idące ulicą młode dziewczyny, gadają i głośno się śmieją. Co za nieokrzesa rasa. I taka pewna siebie.

— Strasznie zadowoleni z siebie — mruczy Pai.

Kanya wzdryga się, słysząc wypowiedziane na głos własne myśli, ale nie reaguje. Po prostu czeka, a Akkarat wita się z tymi nowymi kreaturami. Dowodzi nimi nachmurzona blondynka, Elizabeth Boudry. Firmę AgriGen ma wręcz wypisaną na twarzy.

Nosi długą czarną pelerynę, jak reszta AgriGenowców, na wszystkich łśniąc czerwone herby z kłosem. Jedyna pociecha z widoku tych ludzi w ich znieawidzonych mundurach jest taka, że w tropikalnym słońcu musi im być potwornie gorąco. Ich twarze łnią od potu.

Akkarat mówi do Kanyi:

— To są ludzie, którzy pójda do banku nasion.

— Jest pan pewien? — pyta.

Wzrusza ramionami.

— Chcą tylko pobrać próbki. Zapewnić zróżnicowanie genetyczne swoim produktom. Królestwo też na tym skorzysta.

Kanya przypatruje się ludziom, których kiedyś nazywano kalorycznymi demonami, a teraz bezwstydnie idą sobie po Krung Thep, Mieście Bóstw. Ze statku wyładowuje się skrzynie

z ziarnem, lądują na zaprzężonych w megadonty platformach, na każdej skrzyni widnieje ogromne logo AgriGenu.

Akkarat, jakby czytał jej w myślach, mówi:

— Minęły czasy, kiedy można się było chować za murami i liczyć na przetrwanie. Musimy nawiązać kontakt ze światem zewnętrznym.

— Ale bank nasion... — protestuje nieśmiało Kanya. — Spuścizna króla Ramy.

Akkarat kiwa krótko głową.

— Wezmą tylko próbki. Nie przejmuj się.

Odwraca się do kolejnego *faranga* i wita się z nim po cudzoziemsku, uściskiem dłoni. Rozmawia z nim w języku *angrit* i puszcza go dalej.

— Richard Carlyle — rzuca, wracając do Kanyi. — W końcu dostaniemy nasze pompy. Dziś po południu wyśle sterowiec. Trochę szczęścia i damy sobie radę z porą deszczową. — Patrzy na nią znacząco. — Rozumiesz to wszystko? Rozumiesz, co ja tu robię? Lepiej oddać trochę Królestwa niż stracić całość. Jest czas na walkę i czas na rokowania. W całkowitej izolacji dłużej nie przetrwamy. Historia uczy nas, że musimy zacząć się kontaktować ze światem.

Kanya sztywno potakuje.

Jaidee zagląda jej przez ramię.

— Przynajmniej Gi Bu Sena nie dostali.

— Wolalabym dać im Gi Bu Sena niż bank nasion — mruczy Kanya.

— Tak, ale chyba bardziej się wściekli, że nie dostali jego. — Pokazuje brodą panią Boudry. — Wściekła się strasznie. Nawet krzyczała. Całkiem straciła twarz. Latała tam i z powrotem, machając rękami. — Pokazuje jak.

— Akkarat też był wściekły. — Kanya się krzywi. — Cały dzień mnie gnębił, wypytywał, jak mogliśmy pozwolić

staruchowi uciec.

— Bystry gość z niego.

Kanya parska śmiechem.

— Z Akkarata?

— Z genhakera.

Zanim Kanya zdąży zgłębić kolejne myśli Jaideego, podchodzą do niej Boudry i jej spece od nasion. A z nimi wiekowy Chińczyk, żółta karta. Stoi prosty jak struna, kiwa Kanyi głową.

— Jestem tłumaczem *Khun* Elizabeth Boudry.

Kanya zmusza się do grzecznego uśmiechu i przygląda stojącym przed nią ludziom. Do czego doszło. Żółte karty i *farangowie*.

— Życie to zmiany — wzdycha Jaidee. — Dobrze, żebyś o tym pamiętała. Trzymanie się przeszłości, niepokój o przyszłość... — Wzrusza ramionami. — To nic tylko cierpienie.

Farangowie czekają na nią. Niecierpliwą się. Prowadzi ich zniszczonymi wojną ulicami. Gdzieś w oddali, nieopodal lądowisk, grzmi czołg. Pewnie jakaś grupa studentów, którzy nie złożyli broni. Ludzie poza jej kontrolą. Trzymający się innego kodeksu honorowego niż ona. Kiwa na dwóch swoich nowych przybocznych, Malivalayę i Yuthakona, o ile dobrze pamięta.

— Pani generał... — zaczyna jeden z nich, ale Kanya łypie nań groźnie.

— Już mówiłam, żadnego generałowania. To bzdury. Jestem kapitanem. Skoro Jaideemu wystarczał kapitan, to i mnie niepotrzebne wyższe stopnie.

Malivalaya składa ręce w przeproszające *wai*. Kanya poleca *farangom* rozsiąść się w komfortowej limuzynie z węglowym dieslem i już ze szmerem ruszają ulicami. W życiu nie doświadczała takich luksusów, aż powstrzymuje się od

okrzyków na widok nagle ujawnionego bogactwa Akkarata. Auto sunie przez puste ulice ku świątyni z kolumną miasta.

Piętnaście minut później wysiadają z samochodu pod pałac słońce. Mnisi skłaniają głowy na powitanie, przyznając, że ma tu władzę. Kiwa im głową, czując mdłości. W hierarchii króla Ramy XII Ministerstwo Środowiska stało wyżej niż nawet mnisi.

Mnisi otwierają bramy i prowadzą ją z całym orszakiem w dół, do chłodnego podziemia. Unoszą się hermetyczne drzwi, wieje filtrowanym powietrzem. W środku panuje nadciśnienie. Idealna wilgotność, chłód. Powstrzymuje się od objęcia się rękoma, gdy temperatura spada jeszcze bardziej. Otwierają się kolejne drzwi, ukazując wewnętrzne korytarze. Prąd pochodzi tu z generatorów na węgiel, potrojonych na wypadek awarii.

Mnisi w szafranie czekają grzecznie, cofając się o krok, żeby ich nie dotknęła. Odwraca się do pani Boudry.

— Proszę nie dotykać mnichów. Przysięgali, że nie dotkną kobiety.

Żółta karta tłumaczy to na skrzekot *farangów*. Kanya słyszy za plecami parsknięcie śmiechem, ale powstrzymuje się od reakcji. Boudry i jej genhakerzy jazgoczą w podnieceniu, idąc w głąb skarbcza. Żółtej karcie nie chce się tłumaczyć ich cudacznym okrzyków, Kanya może się jednak prawie wszystkiego domyślić po podekscytowanych minach.

Prowadzi ich głębiej do skarbcza, do sal katalogowych, cały czas rozmyślając o naturze lojalności. Lepiej oddać kończynę niż głowę. Właśnie dzięki tajskiemu pragmatyzmowi Królestwo przetrwało, gdy inni upadli.

Ogląda się na *farangów*. Spojrzenia chciwych bladych oczu wędrują po półkach, po próżniowych pojemnikach z tysiącami nasion, a każde z nich to potencjalna linia obrony przed takimi jak oni. Prawdziwy skarb Królestwa, rozłożony przed nimi jak na dłoni. Wojenny łup.

Kiedy Birmańczycy obalili Ayutthayę, miasto poddało się bez walki. I teraz to samo. Tyle krwi, potu, śmierci, trudu, walki świętych od nasion i męczenników, jak Phra Seub, sprzedawanie dziewczyn, jak Kip Gi Bu Senowi, i wszystkie inne rzeczy, a na koniec dochodzi do czegoś takiego. *Farangowie* triumfalnie stoją w sercu Królestwa, znów zdradzonego przez Ministra, którego nie obchodzi korona.

— Nie przejmuj się tak. — Jaidee dotyka jej ramienia. — Wszyscy musimy godzić się z własnymi porażkami.

— Przepraszam. Za wszystko.

— Już dawno ci wybaczyłem. Wszyscy mamy jakichś panów, jakieś obowiązki. To *kamma* zetknęła cię najpierw z Akkaratem, a dopiero potem ze mną.

— Nigdy nie myślałam, że do tego dojdzie.

— To wielka strata — przyznaje Jaidee. A potem wrusza ramionami. — Ale nawet teraz, wcale jeszcze nie musi do tego dojść.

Kanya ogląda się na *farangów*. Jeden z naukowców dostrzega jej spojrzenie, mówi coś do tej kobiety. Kanya nie umie poznać, czy z drwiną, czy z namysłem. Logotypy z kłosem połyskują w migotliwym elektrycznym świetle.

Jaidee unosi brew.

— Zawsze zostaje jeszcze Jej Wysokość, prawda?

— I co to daje?

— Jak wolisz, być pamiętana jako wieśniaczka z Bang Rajan, która walczyła, kiedy wszyscy się poddali i odpierała Birmańczyków przez dłuższy czas, czy jako tchórzliwa dwórka Ayutthayi, który poświęcił królestwo?

— To tylko ego — mruczy Kanya.

— Może i tak. — Jaidee wrusza ramionami. — Ale wiesz, co ci powiem: w naszej historii Ayutthaya nic nie znaczy. Czyż Tajowie go nie przetrwali? Nie przetrwaliśmy Birmańczyków?

Khmerów? Francuzów? Japońców? Amerykanów? Chińczyków? Kaloriarzy? Nie odparliśmy ich wszystkich, choć inni wokół upadali? To nasi ludzie są krwią z krwi tego państwa, nie to miasto. Nasi ludzie noszą imiona, które dał im ród Chakri. To ludzie są wszystkim. A chroni ich ten bank nasion.

— Ale Jego Wysokość postanowił, że zawsze będziemy bronić...

— Król Rama nie dbał ani trochę o Krung Thep, dbał o nas, więc uczynił z miasta symbol, którego należy bronić. Ale nie chodzi o miasto, liczą się ludzie. Na co nam miasto, kiedy ludzie są zniewoleni?

Oddech Kanyi przyśpiesza. Lodowate powietrze wdziera się ostrzami do płuc. Ta Boudry coś mówi. Genhakerzy chrypią w swoim okropnym języku. Kanya odwraca się do Paia.

— Za mną.

Wyciąga sprężynowiec i strzela z bliska w głowę cudzoziemki.

L

Głowa Elizabeth Boudry odskakuje w tył. Krew opryskuje Hock Senga drobną mgiełką, brudząc mu skórę i świeżo uszyte ubranie. Generał białych koszul odwraca się, Hock Seng natychmiast pada na kolana, czyniąc *khra*b pokory tuż obok trupa cudzoziemskiej diablidy.

Gdy leży twarzą przy ziemi, gapią się na niego zaskoczone, martwe oczy tej blond kreatury. Po ścianach klekoczą dyski ze sprężynowców, krzyczą ludzie. Nagle zapada cisza.

Pani generał stawia go szarpnięciem na nogi i przyciska łufę do twarzy.

— Proszę — szepcze Hock Seng po tajsku. — Ja nie jestem z nimi.

Twarde oczy pani generał patrzą nań badawczo. Ostro kiwa głową i odpycha go na bok. Kuli się pod ścianą, gdy ona zaczyna wywarkiwać rozkazy. Szybko odciągają trupy AgriGenowców na bok i zbierają się wokół niej. Hock Seng jest zaskoczony, jak szybko jest w stanie ich poinstruować. Idzie teraz do mnichów pilnujących banku nasion. Sama pada w geście *khra*b i zaczyna szybko mówić. Choć padła na twarz przed ich duchową władzą, nie ma wątpliwości, że to ona jest panią tego miejsca.

Hock Seng wytrzeszcza oczy, słysząc, co ona planuje. To straszne. Niedopuszczalny akt zniszczenia... a jednak mnisi kiwają głowami i już kierują się do wyjść, szybko wykonując zadania. Generał i jej ludzie zaczynają otwierać drzwiczki, ukazują jeden za drugim stojaki z bronią. Zaczyna rozdzielać grupy: Wielki Pałac, pompa Korakota, śluza Khlong Toey...

Kończąc rozsyłać ludzi, zaszczyca Hock Senga spojrzeniem. Mnisi już zbierają nasiona z półek. Hock Seng wzdryga się pod jej wzrokiem. Po tym, co usłyszał, nie może zostać przy życiu. Krzątanina się wzmaga. Do środka wpadają kolejni mnisi. Starannie układają jedne na drugim pojemniki z nasionami. Zdejmują z półek szereg za szeregiem. Nasiona sprzed ponad stu lat, nasiona, którym od czasu do czasu pozwala się wyrosnąć w najściślej izolowanych lokalizacjach, a potem znów wnosi się do tego podziemnego skarbcza na przechowanie. W tych pojemnikach jest tysiącletnie światowe dziedzictwo.

A potem mnisi wysypują się z banku, każdy ze skrzynką na ramionach, rzeka mężczyzn w szafranie, z ogolonymi głowami, niosących państwowy skarbiec. Hock Seng patrzy z zapartym tchem, jak ogrom materiału genetycznego rozplywa się po mieście. Wydaje mu się, że słyszy, jak gdzieś na zewnątrz zaczynają śpiewać, błogosławią to nowe dzieło odnowy i zniszczenia. I pani generał znów na niego patrzy. Powstrzymuje się od pochylenia głowy. Nie chce się płaszczyć. I tak go zabije. Musi. Nie będzie się płaszczył i sikał w gacie. Przynajmniej umrzeć chce z godnością.

Pani generał sznuruje usta, a potem po prostu dźga brodą otwarte drzwi.

— Leć, żółta karto. To miasto już ci nie da schronienia.

Zaskoczony wytrzeszcza na nią oczy. Jeszcze raz wskazuje brodą, na jej ustach pojawia się cień uśmiechu. Hock Seng pośpiesznie robi *wai* i podrywa się z kolan. Pędzi tunelami, wypada w gorące powietrze, wokół niego płynie rzeka mnichów w szafranowych szatach. W otaczającym świątynię ogrodzie mnisi rozdzielają się, wychodzą różnymi bramami, rozpraszają się na coraz mniejsze grupki, diasporę, która ma skupić się ponownie w jakimś umówionym, dalekim, bezpiecznym miejscu. Tajnym punkcie zbornym, poza zasięgiem firm

kalorycznych, strzeżonym przez Phra Seuba i wszystkie duchy kraju.

Hock Seng patrzy jeszcze przez chwilę, jak z banku nasion wylewają się mnisi, po czym pędzi na ulicę.

Rikszarz widzi go i zwalnia, staje. Hock Seng wsiada.

— Dokąd? — pyta rikszarz.

Hock Seng waha się, zawzięcie myśląc. Lądowisko. Jedyne pewny sposób na ucieczkę przed nadciągającym chaosem. *Tenyanguizi* Richard Carlyle pewnie jeszcze tam jest. Razem ze swoim sterowcem. Przygotowują się do wylotu do Kolkaty po pompy dla Królestwa. W powietrzu będzie bezpieczny. Ale tylko, jeśli zdąży złapać cudzoziemskiego diabła, zanim ten podniesie ostatnią kotwicę.

— Dokąd?

Mai.

Hock Seng kręci głową. Czemu ona ciągle go prześladowuje? Nic nie jest jej winny. Tak naprawdę jest nikim. Dziewuszka z rybackiej wioski. A jednak wbrew rozsądkowi pozwalał jej ze sobą zostać i obiecał, że zatrudni ją do jakiejś pomocy. Że zapewni jej bezpieczeństwo. Tyle chociaż mógł zrobić... Ale to było przedtem. Miał się dorobić na pieniądzach firm kalorycznych. Wtedy to była całkiem inna obietnica. Ona mu to wybaczy.

— Na lądowiska — mówi Hock Seng. — Szybko, nie mam czasu.

Rikszarz kiwa głową i przyśpiesza.

Mai.

Hock Seng przeklina się. Jest durniem. Dlaczego nigdy nie może się skupić na najważniejszym. Ciągle coś go odrywa. Ciągle nie potrafi zrobić tego, co zapewni mu życie i bezpieczeństwo.

Nachyla się, zły sam na siebie. Zły na Mai.

— Nie. Zaczekaj. Jeszcze pod jeden adres. Najpierw na most Krungthon, potem na lądowisko.

— To w drugą stronę.

— Myślisz, że nie wiem?

Rikszarz kiwa głową i zwalnia. Zawraca i jedzie z powrotem. Staje na pedałach, przyspiesza. Miasto sunie w tył, kolorowa krzątanina, wszyscy robią porządek. Wszyscy są nieświadomi nadciągającej zagłady. Rower jedzie pod słońce, płynnie zmieniając przerzutki, coraz szybciej i szybciej pędzi ku dziewczynce.

Trochę szczęścia i wystarczy czasu na wszystko. Hock Seng modli się o to szczęście. Modli się, by zdążyć zabrać Mai i jeszcze złapać sterowiec. Gdyby był mądry, po prostu by tam biegł.

A tak, modli się o szczęście.

Epilog

Wysadzone śluzy i zniszczone sabotażem pompy potrzebują sześciu dni na zabicie Miasta Bóstw. Emiko obserwuje z balkonu najelegantszego apartamentowca w Bangkoku, jak do miasta wdziera się woda. Z Andersona-samy zostało tylko wyschnięte truchło. Wyciskała mu do ust wodę z namoczonej szmatki, ssał ją jak niemowlę, aż w końcu umarł, przepraszając szeptem duchy, które tylko on widział.

Gdy usłyszała pierwsze potężne eksplozje na peryferiach miasta, z początku nie domyśliła się, co się dzieje, ale gdy nastąpiły kolejne i nad wałami wzniosło się jak *nagi* dwanaście słupów dymu, zrozumiała, że zniszczono wielkie przeciwpowodziowe pompy króla Ramy XII i miasto znów znalazło się pod oblężeniem.

Patrzyła na walkę o uratowanie miasta. Trwała trzy dni. Potem nadszedł monsun i porzucono wszelkie wysiłki odpierania oceanu. Z nieba lał się deszcz — potężna ulewa zmiatająca brud i śmieci, podnosząca wirami wszystkie miejskie odpadki. Ludzie wysypywali się z domów z dobytkiem na głowach. Miasto powoli wypełniało się wodą, zmieniając się w ogromne jezioro, chlupocące o okna na pierwszym piętrze.

Szóstego dnia Jej Wysokość Mała Królowa obwieszcza opuszczenie boskiego miasta.

Teraz nie ma Somdeta Chaoprayi. Jest tylko Królowa i tłumy jej zwolenników.

Białe koszule, zaledwie parę dni temu tak pogardzane i okryte niesławą, są wszędzie, ewakuują ludzi na północ pod wodzą nowej Tygrysy, osobiłej, nachmurzonej kobiety, o

której mówi się, że jest opętana przez duchy. Dowodzi nimi, gdy walczą o uratowanie każdego mieszkańca Krung Thep. Emiko sama musi się ukryć, gdy młody ochotnik w białym mundurze przeszukuje korytarze budynku, proponując pomoc każdemu, kto potrzebuje żywności albo czystej wody. Ministerstwo Środowiska rehabilituje się, choć miasto umiera.

Ulice wokół powoli pustoszeją. Zamiast dzwonek rowerów i okrzyków sprzedawców durianów rozbrzmiewa chlupot morskiej wody i miauczenie cheshire'ów. Chwilami podejrzewa, że jest tutaj jedynym żywym człowiekiem. Gdy nakręci radio, słyszy, że stolica przeniosła się na północ do Ayutthayi, znów leżącej nad poziomem morza. Słyszy, że Akkarat ogolił głowę i został mnichem, żeby odpokutować to, że nie udało mu się obronić miasta. Lecz to wszystko jest daleko.

W porze deszczowej życie staje się znośne. Zalana metropolia oznacza, że Emiko zawsze ma w pobliżu wodę, choćby była zastała jak w wannie i cuchnąca odchodami milionów. Znajduje sobie małą łódeczkę i pływa nią po miejskiej dżungli. Deszcz leje całymi dniami, a ona kąpie się w nim, pozwala mu zmyć z siebie wszystko, co stało się przedtem.

Żywi się tym, co znajdzie lub upoluje. Je cheshire'y, gołymi rękami łapie ryby. Jest bardzo szybka. Palce błyskają i łapią karpie, gdy tylko przyjdzie jej na to ochota. Je do syta, dobrze śpi, i otoczona zewsząd wodą, już się tak nie boi płonącego w środku żaru. Może to nie jest miejsce dla Nowych Ludzi, jakie sobie kiedyś wyobrażała, ale na pewno dobra nisza.

Urządza sobie mieszkanie. Przepływa szerokie ujście rzeki Chao Phraya, by rozejrzeć się po fabryce Mishimoto, gdzie kiedyś pracowała. Jest zniszczona, ale udaje jej się znaleźć parę pamiątek z przeszłości. Zabiera je. Rozdarte i porzucone arkusze kaligrafii, miseczki *raku* do herbaty.

Parę razy spotyka ludzi. Większość jest zbyt zajęta własnym przetrwaniem, by interesować się istotą o dziwnych,

szarpanych ruchach, która gdzieś im tylko mignęła. Niektórzy jednak chcieliby wykorzystać bezbronną samotną dziewczynę. Emiko radzi sobie z nimi błyskawicznie i tak miłosiernie, jak tylko umie.

Mijają dni. Urządza się dobrze w swoim świecie wody i padliny. Czuje się tu tak bezpiecznie, że kiedy znajdują ją *gaijin* i dziewczyna, gdy pierze na balkonie pierwszego piętra, całkiem udaje im się ją zaskoczyć.

— A kto to?

Emiko cofa się, spłoszona i omal nie spada z balustrady. Zeskakuje i pędzi z chlupotem w bezpieczny półmrok mieszkań. Łódka *gaijina* przybija do szczebelków.

— *Sawatdi khrap?! -* woła mężczyzna. — Halo?

Jest stary, ma plamistą cerę i jasne, bystre oczy. Dziewczyna jest gibka i śniada, ma łagodny uśmiech. Wychylają się przez poręcz balkonu, zaglądają z łódki do środka.

— Nie uciekaj, moja mała — mówi starzec. — Jesteśmy niegroźni. Ja nie mogę chodzić, a Kip nie skrzywdzi nawet muchy.

Emiko czeka. Ale nie poddają się. Cały czas zaglądają.

— Proszę! — woła dziewczyna.

Wbrew rozsądkowi, Emiko wychodzi, brodząc po kostki w wodzie. Dawno z nikim nie rozmawiała.

— Trzęsiłapa — sapie dziewczyna.

Stary *gaijin* uśmiecha się na te słowa.

— Oni mówią na siebie Nowi Ludzie. — Nie widzi potępienia w jego oczach. Unosi parę martwych cheshire'ów. — Czy zje pani z nami kolację, młoda damo?

Emiko wskazuje balustradę, gdzie tuż pod powierzchnią wody przywiązała własny połów.

— Nie potrzebuję pomocy.

Mężczyzna zerka na linkę z rybami, potem wraca do niej wzrokiem z nowym szacunkiem.

— Chyba rzeczywiście nie. Nie, jeśli jesteś taką konstrukcją, jak myślę. — Zaprasza ją bliżej. — Mieszkasz tutaj?

Wskazuje na górę.

— Piękne lokum. A może jednak moglibyśmy zjeść z tobą kolację. Jeśli nie gustujesz w cheshire'ach, my z przyjemnością spróbujemy ryby.

Emiko wzrusza ramionami, ale czuje się samotna, a oni wyglądają na niegroźnych. Gdy zapada zmrok, rozpalają na balkonie ognisko z mebli i pieką ryby. Przez szpary w chmurach prześwitują gwiazdy. Miasto rozciąga się przed nimi ciemną płataniną. Gdy kończą jeść, stary *gaijin* przysuwa swoje chore ciało bliżej do ognia, a dziewczyna pomaga mu.

— Powiedz mi, co tu robi nakręcanka?

Emiko wzrusza ramionami.

— Zostawili mnie tutaj.

— To tak samo, jak nas. — Starzec rzuca spojrzenie przyjaciółce. — Chociaż nasze wakacje chyba szybko się skończą. Wygląda na to, że wracamy do atrakcji kalorycznej izolacji i wojny genetycznej, więc chyba białe koszule znowu znajdą dla mnie zajęcie. — Parska śmiechem.

— Jesteś genhakerem? — pyta Emiko.

— Myślę, że może czymś więcej.

— Mówiłeś, że znasz moją... platformę?

Mężczyzna się uśmiecha. Przyzywa do siebie dziewczynę i machinalnie gładzi ją po nodze, przypatrując się Emiko. Emiko uświadamia sobie, że jego przyjaciółka nie jest tym, na co wygląda: jest jednocześnie chłopcem i dziewczyną. Uśmiecha się do Emiko, jakby wyczuwając jej myśli.

— Czytałem o takich, jak ty — mówi starzec. — O waszej genetyce. I szkoleniach... Wstawaj! — wywarkuje rozkaz.

Emiko zrywa się, zanim to sobie uświadomi. Stoi i trzęsie się ze strachu i pragnienia słuchania rozkazów. Mężczyzna kręci głową.

— Straszne rzeczy z tobą porobili.

Emiko wybucha gniewem.

— Dali mi też dużo siły. Mogę panu coś zrobić.

— Tak. To prawda. — Kiwa głową. — Poszli trochę na skróty. Maskuj e to tresura, ale skróty i tak widać. To posłuszeństwo... nie wiem, skąd to wytrzasnęli. Podejrzewam, że z jakiegoś labradora. — Wzrusza ramionami. — Ale i tak prawie we wszystkim innym jesteś lepsza niż człowiek. Jesteś szybka, inteligentniejsza, masz lepszy wzrok, lepszy słuch. Jesteś posłuszną, ale nie łapiesz chorób tak jak ja. — Pokazuje swoje poblźnione, ropiejące nogi. — Masz dużo szczęścia.

Emiko wytrzeszcza nań oczy.

— Pan jest z tych naukowców, którzy mnie zrobili.

— Nie z tych, ale blisko. — Uśmiecha się nieznacznie. — Znam twoje tajemnice, tak jak znam tajemnice megodontów i pszenicy TotalNutrient. — Wskazuje brodą zdechłe cheshire'y. — O tych kotach wiem wszystko. Gdyby mi się chciało, mógłbym im podrzucić genetyczną bombę, która pozbawiłaby je kamuflażu i po iluś pokoleniach stałyby się z powrotem tą mniej udaną wersją.

— Zrobiłby pan coś takiego?

Śmieje się, kręcąc głową.

— Takie mi się podobają bardziej.

— Nienawidzę takich jak pan.

— Bo ktoś taki jak ja zrobił ciebie? — Znów się śmieje. — A ja się dziwię, że nie cieszysz się, że mnie spotkałaś. Jesteś bliższa niż ktokolwiek spotkania swojego Boga. No, dalej, nie masz do Boga żadnych pytań?

Emiko patrzy nań spode łba, brodą pokazuje cheshire'y.

— Gdyby był pan moim bogiem, najpierw zrobiłby pan Nowych Ludzi.

Stary *gaijin* parska śmiechem.

— To by było ekscytujące.

— Wygralibyśmy z wami. Jak cheshire'y.

— Może jeszcze wygracie. — Wzrusza ramionami. — Nie boicie się cibiskozy ani rdzy pęcherzowej.

— Nie. — Emiko kręci głową. — Nie możemy się rozmnażać. Jesteśmy zależni od was. — Porusza ręką. Demaskujący, szarpany ruch. — I jestem naznaczona. Wszystkie jesteście naznaczone. Rzucam się w oczy jak dziesięcioreki albo megodont.

Mężczyzna macha lekceważąco ręką.

— Ten ruch nakręcania nie jest konieczną cechą genetyczną. Nie ma powodu, żeby go nie usunąć. A bezpłodność... — Wzrusza ramionami. — Ograniczenia da się zdjąć. Porobili takie zabezpieczenia, bo uczyli się na własnych błędach, ale one nie są konieczne. Przez niektóre to w ogóle trudniej się was tworzy. Nic w was nie jest nieodwołalne. — Uśmiecha się. — Może któregoś dnia wszyscy ludzie będą Nowi i będziecie na nas patrzeć, jak my na biednych neandertalczyków.

Emiko milknie. Trzaska ogień. W końcu pyta:

— Wie pan, jak to zrobić? Może pan sprawić, że będę płodna, jak cheshire'y?

Staruch wymienia spojrzenie ze swoją ladyboy.

— Może pan zrobić coś takiego? — naciska Emiko.

Wzdycha.

— Tego, czym jesteś, twojej mechaniki już się nie zmieni. Prawie nie masz jajników. Ani nie zrobię cię płodną, ani nie dodam ci porów na skórze.

Emiko się garbi.

On zaś się śmieje.

— Nie bądź taka ponura! Właściwie nigdy nie byłem wielbicielem żeńskich jaj jako źródła materiału genetycznego. Wystarczy kosmyk twoich włosów. Ciebie się nie da zmienić, ale twoje dzieci — może nie dosłownie, ale w sensie genetycznym — one mogą być płodne, być pełnoprawnym elementem natury.

Emiko czuje, jak wali jej serce.

— Naprawdę jest pan w stanie to zrobić?

— O tak, mogę to dla ciebie zrobić. — Błądzi wzrokiem gdzieś daleko, zastanawia się. Uśmiech błyska mu na ustach. — To i jeszcze dużo, dużo więcej.

Podziękowania

Gdyby nie pomoc sztabu ludzi, *Nakręcana dziewczyna* udałaby mi się znacznie mniej. Serdeczne podziękowania kieruję do następujących osób: Kelly Buehler i Daniela Spectora, za gościnę, oprowadzanie i przytulisko w Chiang Mai, kiedy zbierałem materiały; Richarda Fossa, za koła zamachowe; Iana Chaia, za uprzejmą interwencję i rozwiązanie rażących błędów w postaci Tana Hock Senga; Jamesa Fahna, autora *A Land on Fire*, za jego wiedzę ekspercką i przemyślenia dotyczące środowiskowych problemów Tajlandii; dziękuję całej bandzie ludzi z klubu literackiego Blue Heaven — zwłaszcza moim pierwszym czytelnikom Tobiasowi Buckellowi i Billowi Shunnowi — choć na wspomnienie zasługują także: Paul Melko, Greg van Eekhout, Sarah Prineas, Sandra McDonald, Heather Shaw, Holly McDowell, Ian Tregilis, Rae Carson i Charlie Finlay. Wątpię, czy pozbawiony ich mądrości trafiłbym na puentę powieści. Chciałbym także podziękować mojej redaktorce Juliet Ulman, która pomogła mi zidentyfikować i rozwiązać krytyczne fabularne problemy w chwilach, gdy znajdowałem się w całkowitym impasie. Na odrębną wzmiankę zasługuje Bill Tuffin. Miałem szczęście poznać go, gdy powieść była jeszcze w powijakach, on zaś okazał się zarówno bogatym źródłem informacji o kulturze Azji Południowowschodniej, jak i znakomitym przyjacielem. I wreszcie chciałbym podziękować mojej żonie Anjuli, za jej wieloletnie i niezachwiane wsparcie. Jej cierpliwość i wiara nie mają sobie równych. Naturalnie, wszystkie te osoby pomogły wydobyć z mojej powieści to co najlepsze, natomiast za wszelkie błędy, przeoczenia i zniekształcenia odpowiedzialny jestem wyłącznie ja.

Niezależnie od tego, chciałbym zauważyć, że choć w książce przedstawiona jest Tajlandia przyszłości, nie należy zakładać, że odzwierciedla ona w jakikolwiek sposób Tajlandię współczesną, czy dzisiejszych Tajów. Z całego serca polecam autorów takich, jak Chart Korbjitti, S.P. Somtow, Phra Peter Pannapadipo, Botan, o. Joseph Maier, Kukrit Pramoj, Saneh Sangsuk i Kampon Boontawee — ich książki dają o wiele lepszy wgląd w różne aspekty Królestwa Tajlandii.